scriptores

Pamięć
Miejsce
Obecność

nr 2/2003 (28) zeszyt 21 Rok XI ISSN 1644-9444

laboratorium pamięci - małe ojczyzny - spotkania kultur

Ścieżkami pamięci

Odbudować w wyobraźni rzeczy, których już nie ma i dopełnić nimi obraz rzeczywistości – to piękne zadanie. Spróbujmy.

Józef Czechowicz,
Słowo o Lublinie – dawnym mieście

Wydawca:

OŚRODEK BRAMA GRODZKA
TEATR NN

i Stowarzyszenie „Brama Grodzka”

SCRIPTORES
Pamięć – Miejsce – Obecność
laboratorium pamięci
małe ojczyzny
spotkania kultur

Wydawca:
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN"
Współwydawca:
Stowarzyszenie „Brama Grodzka"
nr KRS 0000125849
Dyrektor Ośrodka:
Tomasz Pietrasiewicz

Adres redakcji i wydawcy:
ul. Grodzka 21 20-112 Lublin
tel. (0-81) 532-58-67, faks: 534-61-10
scriptores@tnn.lublin.pl
scriptores.tnn.lublin.pl
teatrnn@tnn.lublin.pl www.tnn.lublin.pl
redaktor: Marcin Skrzypek

Informacje o źródłach. Skróty informujące o pochodzeniu ilustracji: TNN – Ośrodek „Brama Gordzka – Teatr NN"; WOSOZ Lublin, WUOZ Lublin – Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Lublinie; WBP im. H. Łopacińskiego – Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego; APL – Archiwum Państwowe w Lublinie; YIVO – YIVO Institute for Jewish Research. Ilustracje i teksty archiwalne na str. 21, 23-25, 157 i 132 pochodzą ze zbiorów APL. Wszystkie ilustracje ze zbiorów Muzeum Lubelskiego w Lublinie pochodzą z Odziału Historii Miasta Lublina. Ilustracje wraz z podpisami bez adnotacji pochodzą od redakcji. Przypisy bez adnotacji [przyp. red.] pochodzą od autorów. Elementy typograficzne pochodzą z zasobów Oficyny Wydawniczej Wojewódzkiego Ośrodka Kultury dzięki uprzejmości Tadeusza Budynkiewicza.
Sprostowania. Wspomnienie o Annie Sternfinkiel zamieszczone w 27. numerze „Scriptores" na str. 171 pochodzi od Janiny (nie Ireny) Smolińskiej. Wersja skrócona podpisów pod zdjęciami z Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w tym numerze powinna brzmieć: WKZ w Lublinie (Wojewódzki Konserwator Zabytków).
Projekt okładki: Anna Prokop; grafika na okadce: Marcin Skrzypek; projekt wnętrza: Anna Prokop, Marcin Skrzypek. Grafika na str. 26-28, 78, 112, 131, 153, 154: Marcin Skrzypek. **Skład**: Amadeusz Targoński; **Druk**: KOPIA. **Nakład**: 1000 egz.

Redagowanie i wydawanie kwartalnika „Scriptores" jest jedną z form programu „Pamięć – Miejsce – Obecność" realizowanego przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN".
„Scriptores" jest kontynuacją pisma „Scriptores Scholarum [Zeszyty Szkolne] – kwartalnik uczniów, nauczycieli oraz ich Przyjaciół" wydawanego przez Ośrodek od czwartego numeru w latach 1994-2000.

Marta Kubiszyn

Historia (nie)mówiona

Opowiadanie historii jest najbardziej naturalnym sposobem przekazywania wiedzy o przeszłości, a także formą międzypokoleniowej komunikacji, która została w znaczący sposób zdegradowana przez media audiowizualne.

Tomasz Czajkowski

Czasoprzestrzeń pamięci

Dlaczego pisać książki o prezydentach, działaczach, a nie o zwykłych ludziach, którzy mieszkali kiedyś w jakimś domu, na jakiejś ulicy, o której istnieniu większość z nas nie ma nawet pojęcia? Jaki jest tego sens głębszy? Przełamać milczenie, przywrócić historię tych ludzi do historii Lublina.

Do numeru dołączona jest płyta CD pt. **„Ścieżkami pamięci"** zawierająca reportaż **Mariusza Kamińskiego** „Listy do getta" zrealizowany przez Radio Lublin S. A. oraz wybór z ponad 200 relacji dotyczących przedwojennego Lublina zebranych w latach 1998-2003 w ramach programu „Historia Mówiona" przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN". Koordynatorkami programu oraz współautorkami wyboru są **Marta Kubiszyn** i **Marta Gudzińska**. Zaprezentowane fragmenty wspomnień opowiadają przede wszystkim o nieistniejącej lubelskiej dzielnicy żydowskiej na Podzamczu oraz o polsko-żydowskich relacjach w latach trzydziestych. W ponad 45 minutach relacji pojawiają się m.in. takie tematy jak: opis dzielnicy żydowskiej, handel, zawody, przysmaki, nauka i język, święta i piosenki. W okładce płyty zamieszczono przedwojenny plan żydowskiego Podzamcza.

Rozmowa z Tomaszem Pietrasiewiczem

Przypadek zamierzony

Wiele rzeczy trzeba robić bezinteresownie, ponieważ są wartościowe – ucząc siebie i innych nieegoistycznego bycie w świecie. Wchodzimy tutaj w dyskusję o roli inteligencji polskiej.

SPIS TREŚCI

Od redakcji

ULICA SZEROKA

9 Robert Kuwałek **Terra incognita** SZEROKI EKRAN
20 Aneks **Ulica Szeroka w „Historii Mówionej"**
23 Aneks **Piekarnia na Szerokiej 28**
27 **Misterium ulicy Szerokiej**
26 **Listy do getta**

LUBLIN W NOWYM JORKU

29 Rozmowa z Adiną Cimet **Historia to odpowiedzialność** SPOTKANIE
33 Szalom Asz **Jarmark w Lublinie**
42 Samuel Lejb Schneiderman **Stary Lublin**
47 Adina Cimet **Projekt EPYC**
48 Adina Cimet **Monografia żydowskiego Lublina**

JĘZYK I ONI

56 Hillel Halkin **Wielka żydowska wojna językowa**
64 polemika **Lingua franca iudaica**
67 Adina Cimet **Wnioski z wojny językowej**
72 Marta Grudzińska **Szyfr**
75 Milena Migut **Iwrit**

ŚCIEŻKI PAMIĘCI

78 **Wortal „Wirtualna biblioteka Lublina i regionu"**
79 Joanna Zętar **Ikonografia lubelskiej dzielnicy żydowskiej** RAPORT
91 Marta Kubiszyn **Historia (nie)mówiona**
105 Barbara Odnous **Kosztelowy sad**
110 Romuald Dylewski **Lubelski Orient**
117 Łukasz Jasina **Wspomnienia mojej prababci**
122 Krystyna Skarżyńska **Trudna droga do wybaczenia**

KRAWIECKA 41

134 Tomasz Czajkowski **Czasoprzestrzeń pamięci**
143 Tomasz Czajkowski **Kibuc-hachszara „Ha Szaron"**
149 Tomasz Czajkowski **Związek Kobiet żydowskich**
153 **Wystawa „Elementarz"**
155 Tomasz Czajkowski **Towarzystwo „Pas Leorchim"**
157 Aneks **Dokumenty, kalendarium**
160 Aneks **Partie polityczne żydowskiego Lublina**

LUDZIE – PAMIĘĆ – MIEJSCE

162 Barbara Odnous **Adam Bromberg – sztukmistrz z Lublina**
163 Henryk Grynberg **Lubelski dom**
175 **Historia Mówiona**

POST SCRIPTUM

177 rozmowa z Tomaszem Pietrasiewiczem **Przypadek zamierzony**
202 Yaron (Karol) Becker **Moje żydowskie potrawy**
210 Marta Kubiszyn **Historia rodziny Rosenzweigów**

213 **Contents**
216 **O Wydawcy – About the Publisher of „Scriptores"**

FUNDACJA IM. STEFANA BATOREGO

Program subsydiowany przez Fundację Kultury

Numer ukazał się dzięki pomocy finansowej **Fundacji im. Stefana Batorego, Fundacji Kultury, Urzędu Miejskiego** w Lubliniez oraz **Województwa Lubelskiego**. Dział „Historia, Pamięć, Pojednanie" powstał dzięki pomocy **Ministertwa Kultury**.
Dziękujemy **autorom** tekstów i **właścicielom** materiałów wykorzystanych w numerze. Składamy szczególne podziękowania za życzliwość, okazane wsparcie i pomoc prof. **Monice Adamczyk-Garbowskiej** z Zakładu Kultury i Historii Żydów UMCS.

Od redakcji

Niniejszy zeszyt „Scriptores" podobnie jak poprzedni jest poświęcony żydowskiemu Lublinowi, ale widzianemu z nieco innej perspektywy. Tytułowymi ścieżkami podążają ludzie – autorzy i bohaterowie tekstów, a za nimi czytelnicy – którzy na różne sposoby rekonstruują obraz tamtego miasta z rozproszonych fragmentów. Co prawda sięganie do przeszłości z konieczności zawsze sprowadza się do układania puzzli, ale jak to się dzieje, że czasem historia jest dla nas żywa, a czasem martwa? Pomaga to wyjaśnić metafora ścieżki.

Drogę tworzy się po to, aby było wygodnie przemieszczać się z miejsca na miejsce. Istnieje ona niezależnie od tego, czy ktoś chce nią podążać, czy nie. Ścieżka zaś jest bytem „niekoniecznym", śladem pozostawionym przez wędrowca, zapisem jego wędrówki, którą przeciwstawia się entropii, „zarastaniu", zapominaniu. Z drogi „korzystamy", natomiast idąc ścieżką, w pewien sposób stajemy się jej częścią, bo istnieje ona, dopóki ktoś jej używa. Można powiedzieć, że droga jest narzędziem, a ścieżka przeżyciem. Drogi prowadzą do celu. W ścieżkę dodatkowo wpisany jest ten, kto ją wydeptał. Drogi prowadzą do miejsc i faktów, zaś ścieżki do ludzi.

W odbiorze przeszłości za pośrednictwem ludzi oraz ich indywidualnych, czasem wręcz osobistych działań, tkwi wielki potencjał. Motyw takich działań przewija się przez cały zeszyt. Raz jest nim autentyczna wędrówka, kiedy indziej odkrywanie, opowiadanie lub „dotykanie pustki" przez działania medialne, edukacyjne lub artystyczne. Tak samo przewijają się w tym numerze poszczególne wątki tematyczne, które pojawiają się i znikają, rozgałęziają i łączą jak opowieści, jak ścieżki. Wielogłosowe, pełne dygresji i odniesień teksty oplatają żydowską przeszłość Lublina, nie tworząc żadnej linearnej struktury poza spisem treści. Dlatego trudno omówić zawartość tego numeru, zachowując jakiś ścisły porządek.

Na pewno można wyróżnić w nim kilka tematów przekrojowych, które służą jako sposoby dotarcia – ścieżki – do bardziej szczegółowych zagadnień. Jednym z takich tematów jest topografia żydowskiego Podzamcza, a w szczególności jego dwie ulice: Szeroka i Krawiecka. Na spacer w czasie i przestrzeni po pierwszej z nich zabiera nas w tekście *Terra incognita* Robert Kuwałek, badacz żydowskiego Lublina. Pisząc, że przed 1939 rokiem ulica ta była dla wielu polskich mieszkańców Lublina miejscem często równie nieznanym, jak dla nas dzisiaj, autor dotyka bardzo ważnej kwestii: choć od wybuchu II wojny światowej minęło ponad pół wieku i przez ten czas ludzie zdążyli wylądować na Księżycu, patrząc wstecz na żydowski Lublin, jesteśmy w tym samym miejscu, co ówcześni obywatele młodej, nieco ponad dwudziestoletniej II Rzeczpospolitej.

Chrześcijański Lublin nigdy nie zapomniał Lublina żydowskiego – on go nigdy tak naprawdę nie poznał. Zabrakło czasu. Podobnie było w wielu innych polskich miastach i miasteczkach. Podążanie ścieżkami pamięci jest więc nie tyle przypominaniem, ile dopisywaniem ciągu dalszego do historii, która uległa zamrożeniu na pół wieku. Dlatego czytelnik wertujący ten numeru „Scriptores" może poczuć się jak przedwojenny spacerowicz, który zabłąkał się pod Bramę Grodzką i zagląda przez nią w głąb lubelskiej „terra incognita", Żydowskiego Miasta. Wchodząc tam, w pewnym sensie będzie odkrywcą – odkrywcą dysponującym co prawda o wiele doskonalszymi narzędziami

poznawczymi niż Polacy lat dwudziestych i trzydziestych, ale też stawiającym czoła bagażowi doświadczeń cięższemu o lata wojenne i powojenne.

Drugi topograficzny punkt orientacyjny numeru to posesja przy Krawieckiej 41. Materiały jej poświęcone pochodzą z pracy magisterskiej napisanej z inspiracji Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" przez studenta politologii Tomasza Czajkowskiego. Jest to dział bardziej polifoniczny niż inne, ale też i temat wyjątkowo przekrojowy, a ścieżka bardziej kręta. Dlatego główny tekst tego działu nosi tytuł *Czasoprzestrzeń pamięci*. Aby historię mieszkających pod tym adresem ludzi „przywrócić do historii Lublina", autor zawędrował aż do Izraela. Nie jedyny to w numerze przypadek, że Lublin lepiej widać z daleka niż z bliska. Pracował tam w jednym z kibuców, o których marzyła część mieszkańców Krawieckiej 41.

Tworzyli oni kibuc-hachszarę „Ha Szaron", jedną z wielu rozsianych po Polsce kolonii, będących przedsionkami przyszłego Izraela. Ci mieszkający przy Krawieckiej 41 pionierzy, zwani *chalucami*, przygotowywali się do współdziałania w trudnych warunkach życia i pracy przy zagospodarowywaniu Palestyny, niczym astronauci w obozie treningowym przed wyprawą na Marsa. Niby pracowali w tartakach i na okolicznych polach, ale byli już jakby trochę nieobecni, jedną nogą w Ziemi Obiecanej. Zupełnie inaczej, bo rozwiązując problemy „tu i teraz", działał mający siedzibę pod tym samym adresem Związek Kobiet Żydowskich, prowadzący ochronkę-przychodnię „Ognisko", w której znajdowały opiekę i wyżywienie dzieci z biednych rodzin. Działalnością charytatywną zajmowało się po sąsiedzku również Towarzystwo „Pas Leorchim". Zgodnie z wielowiekową tradycją, starało się ono zapewniać biednym ludziom godne spędzenie szabatu. W ten sposób w pozornie zrujnowanym, wręcz odpychającym zakątku Lublina, odnajdujemy miniaturę przeszłości, teraźniejszości i przyszłości narodu żydowskiego.

Takie panoramiczne spojrzenie towarzyszy wielu tekstom tego numeru. Przyświeca mu bowiem cel, który można opisać słowami Adiny Cimet ze strony 52 – cel ujrzenia i zrozumienia tamtego świata „w procesie jego intensywnego rozwoju – świata zróżnicowanego politycznie, dążącego do zmian, przewartościowującego tradycję i jej funkcje, godzącego religię z pojawiającymi się świeckimi trendami". Nie jest to łatwe. Opracowania historyczne dają nam uporządkowaną wiedzę o faktach oraz ich interpretację. Dzięki wspomnieniom, których w tym numerze szczególnie wiele, możemy poznać w sposób wręcz organoleptyczny detale codziennego życia w polsko-żydowskim Lublinie. Prawdziwym jednak wyzwaniem jest ujrzenie tamtego świata „w ruchu", zrozumienia kierunków i logiki jego przemian, z których część doprowadziła ostatecznie do powstania państwa Izrael. Wchodzimy tu na grunt polityki i publicystyki, które nie pasują do naukowego tonu ani do stereotypowej malowniczości sztetli, ale bez polityki, bez zrozumienia idei, motywacji, obaw i nadziei, którymi żyli ich mieszkańcy, przeszłość będzie tylko płaskim obrazkiem na ścianie.

Skutecznie ożywia ją spojrzenie przez pryzmat języka hebrajskiego i jidysz. Tworzą one rodzaj kulturowego „uskoku", wzdłuż którego możemy prześledzić ważniejsze kwestie i punkty napięć w żydowskiej kulturze. Najpierw pisze o nich Hillel Halkin w tekście *Wielka żydowska wojna językowa*, a potem Adina Cimet w swojej polemice z nim. Spór ma dla obojga wymiar dość osobisty, dzięki czemu ukazuje nie tylko poglądy i argumenty, ale również emocje. Ich temperatura może nam dać wyobrażenie o atmosferze, która również w Lublinie towarzyszyła kiedyś dyskusjom o syjonizmie, komunizmie, judaizmie, asymilacji czy autonomii, a które tak naprawdę dotyczyły jednej, bardzo prozaicznej kwestii: nadziei na spokojne codzienne życie – na Szerokiej, Krawieckiej, Jatecznej, Nadstawnej...

Okazuje się, że rozwiązania tego problemu wypracowywane przez wieki mogą bardzo zainteresować Amerykanów, którzy – jak czytamy w opisie *Educational Program on Yiddish Culture* (EPYC) – chcą swoim uczniom „umożliwić zrozumienie, w jaki sposób Żydzi i Polacy żyli obok siebie przez setki lat. Program EPYC ma na celu włączenie uczniów w poznawanie tej historii i zachęcenie ich do odnajdywania analogii między nią a bieżącymi sytuacjami ich życia i wydarzeniami na świecie". Miejscem, na przykładzie którego Amerykanie będą się uczyć, jak układać wielonarodowościowe stosunki w swoim kraju, jest Lublin: Szeroka, Krawiecka, Jateczna, Nadstawna... Znowu widać go lepiej z daleka niż z bliska. Jego historia promuje nas za oceanem. Niestety, parafrazując cytat otwierający dział *Lublin w Nowym Jorku*, historia to odpowiedzialność, której często wyrzekają się nawet ci, którzy mogliby coś na niej skorzystać.

Jest to niezrozumiałe podobnie, jak miejscami niezrozumiała może być dla nas dyskusja Żydów o jidysz i hebrajskim. Obie kwestie bez trudu pojmie jednak ten, kto zetknął się z terminem *power relations*. Co prawda nie zdobył on popularności w naszym kraju – być może dlatego, że nie brzmi odkrywczo w polskim tłumaczeniu – ale na Zachodzie jest powszechnie stosowany do interpretacji ludzkich zachowań zarówno w skali grup społecznych, jak i pojedynczych osób. Mówiąc w skrócie, „relacje władzy/siły" odnoszą się do wszelkich sytuacji, w których jedna ze stron postrzegana jest jako dominująca – w sferze polityki, języka, ekonomii, kultury, obyczajów, prawa, psychologii itp. – i stawiająca inne strony w gorszej sytuacji. Przez pryzmat *power relations* wyraźniej widać mechanizmy zarówno dyskryminacji rasowej, jak i zwykłej rozmowy, w której jeden z rozmówców stara się zdobyć „przewagę" na drugim gestykulacją czy tonem głosu. Z pojęciem „relacje władzy" związane jest poczucie „kontrolowania" lub „bycia kontrolowanym" oraz realnego lub urojonego zagrożenia. Myślenie w kategoriach *power relations* odgrywa ważną rolę w idei poprawności politycznej, a także krytyce feministycznej i badaniu relacji większość–mniejszość.

Być może pojęcie to pozwoli nam spojrzeć z zewnątrz na nasze dawne i obecne stosunki polsko-żydowskie. Sporo materiałów do przemyśleń na ten temat dostarcza *Lubelski dom*, pierwszy rozdział z książki *Memorbuch* Henryka Grynberga poświęconej Adamowi Brombergowi. Był on synem lubelskiego przemysłowca, a po wojnie dyrektorem Polskiego Wydawnictwa Naukowego. Po emigracji do Szwecji w 1970 roku z powodu antysemickich szykan założył wydawnictwo, które zakupiło prawa do twórczości Isaaca Bashevisa Singera i Czesława Miłosza, zanim dostali oni Nagrodę Nobla. We wstępie do tekstu Barbara Odnous pyta retorycznie: „Czemu zatem tylko garstka lublinian zna jego nazwisko? Czyżby dlatego, że świętował Pesach, a nie Wielkanoc?"

Osobnym działem tego numeru są *Ścieżki pamięci*. Składają się na nań teksty, z których każdy zasługuje na osobne omówienie. Joanna Zętar podsumowuje naszą wiedzę o rozproszonej ikonografii lubelskiej dzielnicy żydowskiej. Marta Kubiszyn wyjaśnia, jak należy rozumieć pojęcie historii mówionej i na czym polega jej wartość. Jest to przeredagowany fragment pracy doktorskiej autorki, bogato ilustrowany fragmentami *oral history* z archiwum Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN". Ich literackiej syntezy w kolejnym tekście dokonuje Barbara Odnous, ukazując pełen ciepła obraz najbiedniejszych ulic Żydowskiego Lublina. Romuald Dylewski, lubelski urbanista, autor m.in. planu rozwoju Bagdadu, na przykładzie Lublina rozszyfrowuje sztetl dzięki swojej znajomości kultury orientalnej. Łukasz Jasina, student historii, prawa i dziennikarstwa, rekonstruuje żydowski Lublin zapamiętany ze wspomnień

swojej prababci, odkrywając wiele oryginalnych cech mentalności ówczesnych mieszkańców miasta. Wreszcie Krystyna Skarżyńska, profesor psychologii, opisuje mechanizmy przebaczania w sytuacji, kiedy krzywda i wina przypisywane są całym narodom. Artykuł pasuje do każdego przypadku i dlatego, aby jego treść „zadziałała", należy go odnosić do siebie, a nie do innych. Warto w tym miejscu wspomnieć, że tak jak w poprzednim numerze, część tekstów opatrzonych jest logo „Historia–Pamięć–Pojednanie", promującym działania zbliżające Polaków i Żydów.

Zeszyt zamyka dział z dwoma tekstami usytuowanymi w jakimś sensie poza resztą zawartości numeru. Pierwszym z nich jest wywiad z dyrektorem Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" Tomaszem Pietrasiewiczem pt. *Przypadek zamierzony*. Wychodząc od projektu „Krawiecka 41", w niemal „hipertekstowej" rozmowie opowiada on, w jaki sposób Teatr NN stał się instytucją inspirowaną symbolicznym znaczeniem Bramy Grodzkiej, jako miejsca spotkania Lublina chrześcijańskiego z żydowskim. Pietrasiewicz wyjaśnia m.in., skąd się wzięły przedsięwzięcia Ośrodka, których dokumentacja rozsiana jest po całym numerze, i dlaczego warto promować Lublin przez jego historyczną wielokulturowość.

Rozmowa ta udowadnia, że z „małą ojczyzną" jest trochę jak z opowiadaniem dowcipów w pewnym żydowskim kawale. Grupa jadących w jednym przedziale Żydów, często spotykających się w podróży, zamiast opowiadać osłuchane już dowcipy, wymienia tylko ich numery i wybucha śmiechem. Przypadkowy podróżny włącza się do zabawy i rzuca jakiś przypadkowy numer, ale nikt się nie śmieje. Pyta, dlaczego, czy dowcip nie jest śmieszny? W odpowiedzi słyszy, że i owszem, ale ten akurat trzeba umieć opowiedzieć. Nie wystarczy powiedzieć „mała ojczyzna", żeby wyrazić swoją troskę o nią i dać do zrozumienia, że ma się coś istotnego na myśli, ponieważ ona również należy akurat do tych „kawałów", które trzeba umieć opowiedzieć.

Numer zamyka tekst *Moje potrawy żydowskie* Yarona Beckera, który nie jest co prawda związany z Lublinem, ale ukazuje kulinarną ścieżkę pamięci i na pewno pozostawi czytelników w dobrym humorze: „O *gefilte fisz* nawet zawzięci antysemici mówili z entuzjazmem jako o rybie po żydowsku. Lubiłem słuchać, jak wymawiają słowa «po żydowsku» bez obaw i niechęci".

Marcin Skrzypek

Przed 1939 rokiem ulica Szeroka była dla wielu polskich mieszkańców Lublina miejscem często równie nieznanym, jak dla nas dzisiaj.

Robert Kuwałek

Terra incognita

Ulica Szeroka w Lublinie

Nie ma już ulicy Szerokiej. Definitywnie skończyła się w 1954 roku, gdy na jej miejscu powstał Plac Zebrań Ludowych, obecnie Plac Zamkowy. Można doszukiwać się jej w otaczającej plac architekturze, która podobno miała nawiązywać do istniejących tu niegdyś domów. Nie ma kamienic, ludzi i od wielu lat pamięci.

Robert Kuwałek pracuje jako adiunkt w Dziale Naukowym Państwowego Muzeum na Majdanku, gdzie zajmuje się tematem „Obóz koncentracyjny na Majdanku a Akcja «Reinhard»". W Instytutu Historii UMCS przygotowuje pracę doktorską pod kierunkiem prof. dr.

Gdybyśmy zechcieli dzisiaj zapytać przeciętnego mieszkańca Lublina, gdzie jest – gdzie była – ulica Szeroka, prawdopodobnie nie uzyskalibyśmy żadnej odpowiedzi. Grono bywalców staromiejskich kawiarni stwierdziłoby najwyżej, że Szeroka znajduje się obecnie przy Grodzkiej, ponieważ niektórzy, widząc szyld z tą nazwą, przyjmują, że jest to właśnie ta ulica. Sam słyszałem, że wiele osób umawiało się nie w „Szerokiej", a właśnie „przy Szerokiej".

Umówmy się od dzisiaj, że „Szeroka 28" to tylko nazwa kawiarni mieszczącej się przy ulicy Grodzkiej, a teraz postarajmy się przejść na wyimaginowany spacer po prawdziwej, choć nieistniejącej ulicy Szerokiej. Będzie to o tyle ważna czynność, że nawet przed 1939 rokiem dla wielu polskich mieszkańców Lublina, zwłaszcza tych, którzy mieszkali w eleganckim centrum miasta – np. przy Krakowskim Przedmieściu czy Narutowicza – ulica Szeroka była miejscem często równie nieznanym, jak dla nas dzisiaj. Różnica była jedna: przed II wojną światową każdy lublinianin wiedział, że taka ulica istnieje i potrafił ją odpowiednio zlokalizować: „Na Żydach". Tej bowiem nazwy w mieście używano już w I połowie XIX wieku, by określić całe Miasto Żydowskie:

Szeroka, 1938 . Fot. Stanisław Pastusiak. Ze zbiorow TNN.

hab. Zygmunta Mańkowskiego pt. *Żydowska Gmina Wyznaniowa w Lublinie 1821-1914. Funkcjonowanie instytucji samorządu religijnego i narodowego*. Współredaguje strony poświęcone lubelskim Żydom: kft.umcs.lublin.pl/stona/zydzi_lubelscy.html. Działa jako wiceprezes w lubelskim Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Izraelskiej i prezes w Stowarzyszeniu Środkowoeuropejskim „Dziedzictwo i Współczesność", którego celem jest zwalczanie uprzedzeń pomiędzy Polakami, Niemcami, Żydami, Białorusinami, Ukraińcami i Litwinami. Współpracuje z Ośrodkiem „Brama Grodzka –Teatr NN" [przyp. red.]

[1] Przeobrażenia miasta, w tym dzielnicy żydowskiej, oraz roli i statusu Szerokiej były procesem ciągłym. W okresie międzywojennym planowano kompleksową przebudowę Podzamcza, w związku z czym powstał, trochę przez przypadek, najcenniejszy zbiór zdjęć dokumentujących jego ulice. Na stronie 81 o ich powstaniu opowiada autor Stefan Kiełsznia. [Przyp. red.]

Szeroka. Na Żydach, dobrze zabudowana

Tak o tej ulicy napisał Seweryn Sierpiński w jednym z pierwszych przewodników po Lublinie, zatytułowanym *Obraz miasta Lublina* i wydanym w 1839 roku.

Szeroka, zwana także „ulicą Żydowską" („a Jidn gas" – nazwy tej używali jeszcze przed II wojną światową żydowscy mieszkańcy miasta), od XVI wieku przez kilkaset lat stanowiła centrum handlowe i administracyjne Żydowskiego Miasta, a jednocześnie była jedną z głównych ulic i częścią handlowego „city" całego Lublina, o czym dzisiaj zdają się nie pamiętać nawet niektórzy lokalni historycy. To właśnie tędy przebiegał historyczny trakt zaczynający się od Starego Miasta i biegnący na Ruś, do Włodzimierza Wołyńskiego oraz na Litwę, przez Podlasie, w kierunku Brześcia (dlatego też od Szerokiej odbiegała ulica Ruska). Dopiero w XIX wieku i to w zasadzie w jego drugiej połowie większego znaczenia nabrała rozbudowująca się ulica Lubartowska, która w miarę modernizacji tej części miasta przejęła rolę głównej arterii wylotowej z Lublina na północ.

Los Szerokiej przypieczętowało w latach siedemdziesiątych XIX wieku założenie przy Lubartowskiej targu, który stał się zaczątkiem największego dziś w Lublinie placu targowego[1]. Kto pamięta, że miejsce ten nosiło do 1939 roku oficjalną nazwę „Targu żydowskiego"? „Targ polski", na którym nie brakowało również handlarzy żydowskich, bardziej elegancki, mieścił się za ratuszem, tam, gdzie stoi Pomnik Ofiar Getta. Znany nam dzisiaj targ na Podzamczu był przeważnie żydowski i jak można dowiedzieć się z relacji, handlowano na nim gorszym towarem, przeznaczonym dla biedniejszych warstw ludności.

„Tysiące przeszkód i nieprzyjemności

czekają na miejskiego turystę przy przejściu przez Miasto Żydowskie. Pomimo chodników asfaltowych, nawet podczas trwałej pogody trudno jest tu przejść, jak to mówią – suchą nogą – brak systematyczności, porządku, poszanowania cudzej własności i praw przyzwoitości – a nawyknienie do krańcowego niechlujstwa i samowoli, na każdym kroku uwydatnia się na mieszkańcach tej części miasta: na tretoarach zatamowane przejście; – znaczna liczba nosiwodów z kubłami uwija się bezustannie, małe dzieciaki obnażone leżą w poprzek chodników lub też obierają je sobie na miejsce zabawy. Handlarki stoją lub chodzą z różnemi sprzętami i naczyniami napełnionemi pieczywem lub suchemi produktami, inni stoją po

kilka lub kilkanaście osób, szwargoczą, kłócą się lub handlują; – przy studniach nieustannie bitwa i zbiegowisko; – ze sklepów na ulicę powystawiane stołki, ławki, worki i różne rupiecie; – tam znów na środku chodnika stoi waga z olbrzymiemi worami mąki otoczona tłumem zamączonych tragarzy, gdzie indziej sągi drzewa; – ze sklepików bezwzględnie na przechodzących, wylewają wprost na chodnik nieczystości lub wyrzucają śmiecie: – a żadną miarą nikt ci się z drogi nie usunie, każdy cię szturchnie i nawet zawala ubranie; słowem pragnąc przebrnąć przez Szeroką ulicę, czy to chodnikiem, czy środkiem zawalonym wozami i brykami, potrzeba wiele czasu i narażenia się na okułakowanie boków i zniszczenie porządnego ubrania"[2].

Autor tego niezbyt pochlebnego „reportażu" z ulicy Szerokiej dotarł także do ryneczku-skrzyżowania za Bramą Grodzką. Był to mały plac u zbiegu Zamkowej, Kowalskiej, Podwala i Grodzkiej: „na którym w każde święto zbiera się wielka liczba wojskowych niższych stopni, handlarzy ulicznych i ludzi prywatnych – tak że nie tylko przejechać, ale przejść nie można. Tu dopełnia się sprzedaż i kupno przechodzonej bielizny, odzieży i butów"[3].

Tak wyglądało centrum Miasta Żydowskiego w II połowie XIX w. w świetle prasy lubelskiej. Nic też dziwnego, że dla chrześcijańskiego mieszkańca Lublina była to egzotyczna, niezbyt interesująca i

rzadko odwiedzana ulica

Czytając dziewiętnastowieczną prasę lubelską nie znajdziemy zbyt wielu korespondencji z Szerokiej, poza tymi autorstwa kilku zasymilowanych przedstawicieli inteligencji żydowskiej, jak Henryk Neumanowicz czy Jakub Goldszmidt, którzy nie mieszkali zresztą w Mieście Żydowskim. Po prostu Polacy tam nie chodzili, bo nie znajdowali dla siebie nic interesującego, a z pewnością czuli się wśród chasydzkiego i ortodoksyjnego tłumu bardzo obco. Wszystko to miało miejsce zaledwie dziesięć minut drogi spacerem od Krakowskiego Przedmieścia, które było postrzegane jako najelegantsza ulica miasta.

Miasto Żydowskie odkrywano dopiero przy nadzwyczajnych okazjach, jak chociażby ostatnia wielka epidemia cholery, która wybuchła w Lublinie w 1892 roku i największą liczbę ofiar pochłonęła właśnie na żydowskim Podzamczu.

„Znaliśmy uwijających się w mieście handlarzy i faktorów – Żydów i Żydówki sprzedające po domach owoce, śledzie, naftę, zbyt dobrze znany jest nam obraz skupującego starą garderо-

[2] S. Lubicz, *Pogadanki miejscowe*, „Kurier Lubelski" 1874 nr 53.

[3] Tamże.

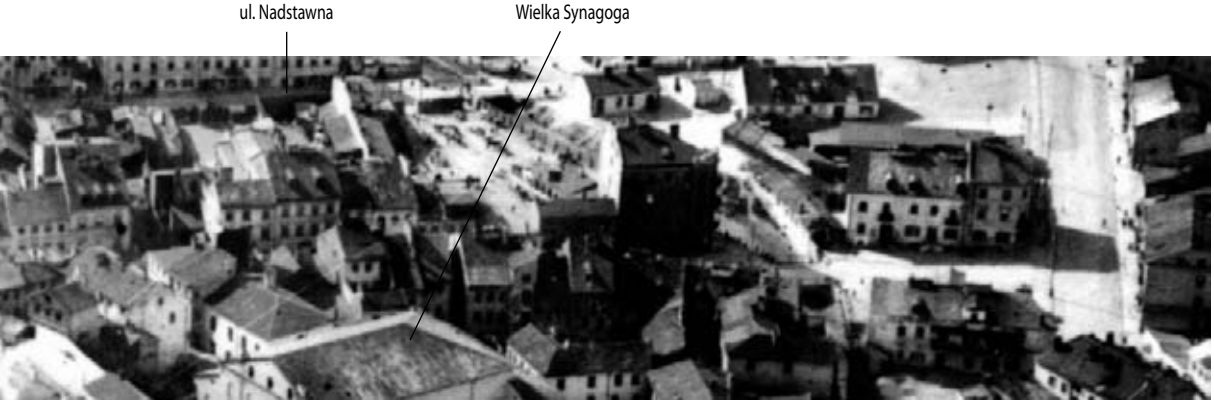

Panorama ul. Szerokiej w latach trzydziestych. Fragment fot. ze zbiorów Jakuba Kamińskiego.

bę Żyda, lecz zamknięta w swej ciasnej, ziejącej trującemi oparami dzielnicy masa żydowska, stanowi dla wielu z nas to, co nazywamy terra incognita. Trzeba było dopiero epidemii, która zebrała obfite żniwo wśród nędzy, głodu i ubóstwa, by zrobić wyłom w tym chińskim murze, który zdawał się otaczać żydowską dzielnicę. Odgrodzona od nas wąskim pasem, znanym pod nazwą Bramy Żydowskiej [tj. Bramy Grodzkiej – przyp. R. K.], dzielnica ta ma tak odrębną fizyognomię, że zda się, jak gdyby morza ją od nas dzieliły.

Każda ideologia była lepsza od szarego życia na lubelskim Podzamczu.

[4] *Nieznajomość dzielnicy żydowskiej w Lublinie*, „Gazeta Lubelska" 1887 nr 45.

Na pierwszy rzut oka widzimy zbitą masę dorosłych, starców i dzieci, zalegającą chodniki, ulice i zaułki. Nad szarem tłumem uwija się jednolita masa brudnych, obdartych istot, nieznających dotąd użytku mydła i szczotki. Wynędzniałe fizyognomie, rzadko ożywiające się pod wpływem odbieranych wrażeń, wylęknione, przygnębione, wreszcie rozmowy obracające się wokół jednej myśli – zdobywania środków marnej egzystencji – dopełniają niewesołego obrazu. Z ulicą nie rozstają się w ciągu dnia ani na chwilę. Zastępuje im ona restaurację, giełdę, aulę do przyjęć towarzyskich, gabinet dla pogawędki, szkołę, resursę, teatr..."[4]

Po tego typu opisach trudno wymagać, żeby mieszkańcy śródmieścia, zwłaszcza Polacy, mieli ochotę zapuszczać się na zdegradowane Podzamcze, chociaż na każdej żydowskiej ulicy mieszkało zazwyczaj kilka polskich rodzin, równie ubogich, jak ich żydowscy sąsiedzi. Były to rodziny stróżów w żydowskich domach, uboga służba.

Ulica Szeroka była także ulicą mówiącą jeszcze w okresie międzywojennym po żydowsku. Tu nie było potrzeby łamania sobie języka ani polskim, ani rosyjskim. We wcześniejszym okresie nawet szyldy na sklepach w wielu przypadkach miały jedynie żydowskie napisy, a jeżeli znalazł się bardziej ambitny kupiec i próbował obok żydowskiego szyldu umieścić jego polski odpowiednik, wtedy niejednokrotnie narażał się na kompromitację. Nierzadko można było spotkać takie kwiatki, jak chociażby ten, przytoczony przez „Gazetę Lubelską" w 1904 roku: „Sprzedasz węgiel kamiennych i Drewnianych i koks kowalskie". Był to całkiem inny świat od tego, z którym przechodzień stykał się już na Starym Mieście czy przy Krakowskim Przedmieściu. Był to świat, który rzadko kontaktował się z sąsiadami z eleganckich, chrześcijańskich dzielnic.

Ulica Szeroka, jako reprezentacyjna dla Miasta Żydowskiego, zawsze była szeroka i przy tym pełna ludzi. Tu znajdowało się kilkanaście synagog i prywatnych domów modlitwy. Owa arteria gęsto zabudowana była dwu- lub trzypiętrowymi kamienicami, których metryki sięgały niejednokrotnie XVII

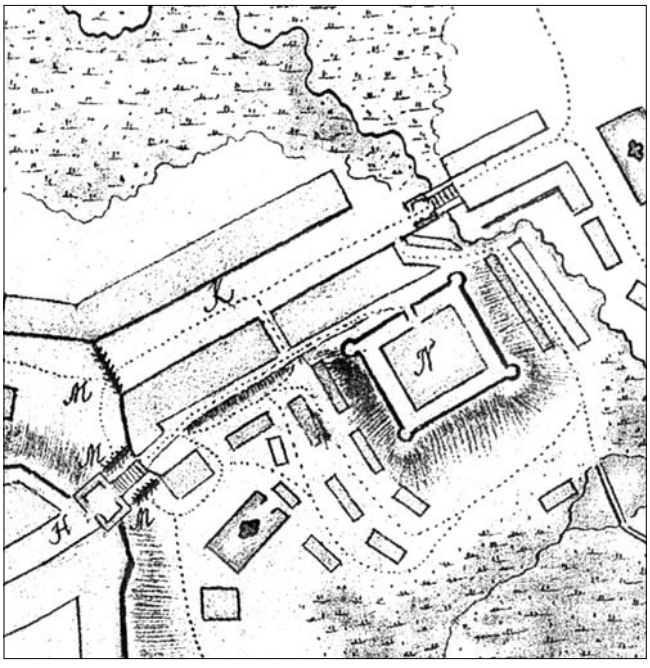

Okolice ul. Szerokiej na planie z 1716. Widoczny dawny zamek królewski. Ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

i XVIII wieku, chociaż już przed wojną trudno było dopatrzyć się w nich cech obiektów zabytkowych, a to na skutek wielokrotnych zmian architektonicznych, przybudówek, dobudówek, a przede wszystkim zapuszczenia i braku odpowiedniej opieki. Na Szerokiej

legendarna świetność

dzielnicy żydowskiej z czasów staropolskich mieszała się z jej szarą rzeczywistością ubogich i zdewastowanych ulic.

W lubelskich opowieściach krążyły informacje, że w kamienicy przy Szerokiej 19 zbierał się sejm żydowski – słynny Sejm Czterech Ziem (Waad Arba Aracot, zwany także Waad Gromnic, ponieważ jego obrady organizowano w okresie wielkich jarmarków lubelskich odbywających się w katolickie święto Matki Boskiej Gromnicznej – tak to tradycja chrześcijańska mieszała się z życiem żydowskim). Po raz ostatni żydowski parlament zebrał się przy Szerokiej w 1682 roku.

W XVI i XVII wieku Szeroka dla lubelskich Żydów była tym samym, czym dla chrześcijan Rynek na Starym Mieście – reprezentacyjnym miejscem, przy którym zamieszkiwali najbardziej szanowani członkowie miejscowego kahału. Tu swoje domy stawiali kupcy, uczeni, rabini, bankierzy i lekarze. Wystarczy wspomnieć adres Szeroka 2, gdzie do II wojny światowej funkcjonowała Synagoga Kotlarska (Kotlerszul), zwana także Synagogą Hirsza Doktorowicza. Żyjący w I połowie XVII wieku Hirsz Doktorowicz, postać niepospolita, był nadwornym faktorem króla Władysława IV, otoczonym przez monarchę osobistą opieką i zaufaniem. W dowód wdzięczności dla zasług tego lubelskiego Żyda Władysław IV nie tylko zezwolił mu w 1638 roku na wybudowanie własnej synagogi, ale także zakazał lubelskiej gminie mieszania się do jego działalności. Niestety,

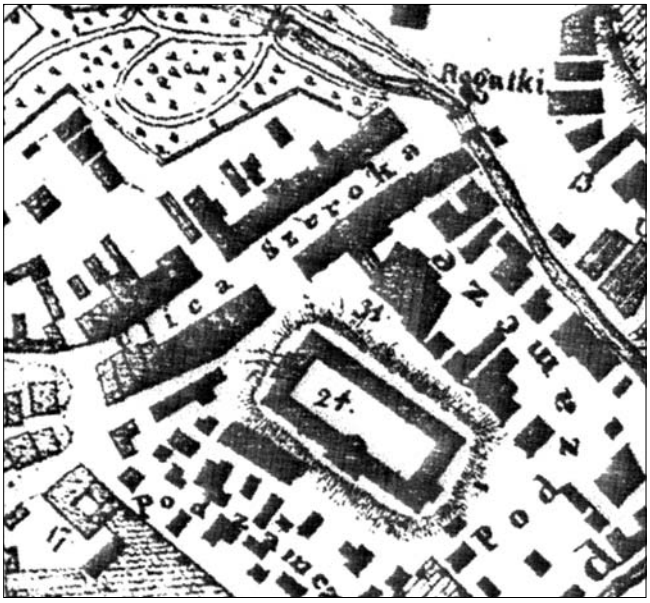

Podzamcze 1829. Zamek po odbudowie w stylu neogotyckiem (1824-1826). Ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

mimo opieki króla Hirsz Doktorowicz nie miał szczęścia do chrześcijan lubelskich, którzy podczas jednego z tumultów w 1641 roku zdemolowali mu doszczętnie dom. Bo Szeroka była też ulicą, która swoją zamożnością budziła zazdrość nieżydowskich mieszkańców miasta.

Największy bodajże tumult miał na niej miejsce w 1646 roku i zorganizowany został przez studentów lubelskiego Kolegium Jezuickiego. Zginęło wówczas 8 Żydów, a 50 zostało rannych, nie licząc zdemolowanych sklepów i mieszkań. Żydzi stawili opór – w zachowanych dokumentach sądowych tej sprawy znajdują się także obdukcje poszkodowanych chrześcijan.

Mimo sytuacji konfliktowych i oskarżeń, wśród których najczęstszym było mówienie o żydowskiej przewrotności, a najgorszym wskazywanie na wyznawców wiary mojżeszowej jako wrogów chrześcijaństwa, ci sami Żydzi okazywali się potrzebni, bo to oni napędzali gospodarkę krajową. Nie inaczej było w Lublinie, wielkim ośrodku żydowskim już nie tylko na skalę Rzeczypospolitej,

Szyld z ul. Nowej napisany charakterystyczną polszczyzną. Fot. Stefan Kiełsznia. Ze zbiorów TNN.

ale cieszącym się sławą europejską. Mówiono o nim: „żydowski Oxford", „Jerozolima Królestwa Polskiego" – ileż do dzisiaj zostało z tego w pamięci?

To właśnie przy Szerokiej funkcjonowały w okresie staropolskim

słynne drukarnie

hebrajskie, a przy sąsiedniej Jatecznej, gdzie nad Żydowskim Miastem wyrastał dach głównej synagogi Maharszalszul, promieniowała sława jesziwy założonej w XVI wieku przez Salomona Lurię, do której ciągnęli żydowscy studenci z całej Europy, by pobierać nauki od najwybitniejszych rabinów i uczonych w Piśmie.

Jeszcze przed wojną istniała pamięć o owych drukarniach; być może w którejś z nich opublikowano na początku XVII wieku słynną „Cene urene", pierwszy modlitewnik dla kobiet, najpopularniejszą księgę w języku jidysz, która do dzisiaj doczekała się około 250 wydań, również w językach hebrajskim i angielskim. Do dzisiaj historycy literatury żydowskiej spierają się, czy księga ta została po raz pierwszy wydana w Lublinie, czy też w Janowie Lubelskim, ale z pewnością kolejne wydania wychodziły z oficyn w samym Lublinie. Jej autorem był Jakub syn Izaaka Aszkenazy z Janowa Lubelskiego. Jego dzieło jest jednym z największych polskich wkładów do dziejów literatury żydowskiej na świecie. Po *Cene urene* tenże sam autor opublikował w jidysz komentarz do *Pięcioksięgu* dla mężczyzn – *Mejlic jojszer*, bo żydowscy mężczyźni woleli czytać w jidysz i nawet będąc absolwentami jesziwy, mając na głowie troski związane z utrzymaniem rodziny, zapominali hebrajskiego[5].

Tak o pamięci tych drukarni pisał jeszcze w 1945 roku żydowski dziennikarz i literat rodem z Kazimierza Dolnego Samuel Leib Schneiderman: „Zapomniane i pokryte kurzem stoją pozostałości starodawnych drukarni, przed setkami lat za zezwoleniem polskich królów zakładanych.

Drukowanie ksiąg żydowskich było przedmiotem monopolu, podobnie jak pędzenie gorzałki. Zdobyć go udawało się tylko bogaczom i tym, którzy zyskali szczególną łaskę wojewody czy starosty.

Pierwszy wyłączny monopol na drukowanie świętych ksiąg żydowskich w Polsce przyznano w 1559 roku drukarzom lubelskim, Chaimowi, synowi Izaaka, i Annie, córce Józefa, jak głosi przywilej królewski, pisany po łacinie [...].

Plan ul. Szerokiej z 1942 naniesiony na widok współczesny z lotu ptaka. Miejsce Szerokiej zajął Plac Zamkowy (dawniej Plac Zebrań Ludowych), dwupasmowa trasa i Dworzec Główny PKS. Wybudowany na dziesiątą rocznice PRL plac z pierzeją udającą renesansowe kamieniczki na co dzień służy za parking a od święta za miejsce imprez plenerowych. Dworzec i przylegające do niego chaotycznie zabudowane targowisko, otoczone przez zaniedbane przedwojenne budynki, należą do nabrzydszych okolic miasta. Reprezentacyjny z założenia, schludny ale sztuczny plac, ruchliwa ulica i reprezentacyjne z konieczności, tętniące życiem, ale niechlujne okolice dworca tworzą nieharmonijny kompleks, który przeorał historyczną tkankę miasta, nie zastępując jej niczym wartościowym i nie zostawiając żadnych pamiątek przeszłości. Tymczasem we współczesnej przestrzeni miejskiej zwykle podkreśla się wszelkie nawiązania do historii i kulturo-

[5] Najważniejszą księgą wydrukowaną w Lublinie tamtych czasów była księga *Zohar* – wydarzenie na skalę europejską do dziś pozostające imponującym przedsięwzięciem edytorskim [przyp. red.]

Po dziesięciu latach inny Żyd lubelski, Kałmen, syn Mordechaja, uzyskał podobne zezwolenie od króla Batorego. Potem tradycja udzielania monopoli w drukarstwie coraz bardziej zanikała i coraz częściej powstawały w Lublinie żydowskie drukarnie, słynące na cały świat.

Spod drewnianych, gutenbergowskich pras wychodziły najpiękniejsze modlitewniki, księgi rabiniczne i chasydzkie, wykonywane przez zecerów-artystów w skąpym świetle małych okienek lub kopcącej lampki oliwnej.

Wcześnie rozkwitła w Lublinie żydowska sztuka drukarska. Dziś pozostały po niej ledwo dostrzegalne ślady. Te same modlitewniki według starych lubelskich wzorów drukuje się dziś w Warszawie na automatycznych maszynach i sprzedaje na wagę – dziesiątki, setki kilo.

Ostatnie starodawne drukarnie lubelskie stoją zapomniane i pokryte kurzem. Na drewnianych półkach leżą jeszcze szerokie, najrozmaitszym szryftem przemyślnie złożone kolumny świętych ksiąg. Potomkowie małomiasteczkowych rabinów z okolic Lublina oddawali je do druku, zostawiając zadatek wraz z rękopisami. Zdarza się czasem, że wzbogacony wnuk któregoś z tych rabinów przybywa z Londynu czy Nowego Jorku i każe wykończyć książkę swego dziadka. Kilku zecerów staje wtedy nad niepomiernie wielkimi kasztami[6]. Od świtu do późnej nocy składają suche komentarze, półokrągłymi wierszami, gęstym maczkiem spisane na dużych pożółkłych arkuszach[7].

Tekst ten dotyczy okresu jeszcze międzywojennego, ale już czuć w nim znajomą sentymentalną nutkę legendarności, zaledwie ulotnego wspomnienia, które nie dotarło do ogólnej świadomości dzisiejszych lublinian. Chciałbym, żebyśmy przeszli teraz ulicą Szeroką, pozbawioną świetnych tradycji i magiczności, chociaż dla wielu, jeszcze do dzisiaj sam adres Szeroka 28 ma magiczny wydźwięk.

Czym była ta ulica w ciągu ostatnich stu lat, jeszcze przed jej zniszczeniem i wydarciem ze zbiorowej pamięci? Niewątpliwie nadal stanowiła centrum handlowe, z jej Psią Górką u zbiegu

Legendarna świetność dzielnicy żydowskiej z czasów staropolskich mieszała się z jej szarą rzeczywistością ubogich i zdewastowanych ulic.

wej spuścizny pokoleń. Tak się złożyło, że wyjątkowym lubelskim dziedzictwem jest dawne Miasto Żydowskie, ale fakt jego istnienia nie jest zaznaczony w przestrzeni Lublina (nie licząc kilku tablic pamiątkowych i szlaku turystycznego), a przecież ulica Szeroka mogłaby się doczekać choćby „lapidarium" w formie zaznaczenia jej konturów na Placu Zamkowym odmiennym kolorem bruku tak, jak zaznaczo-

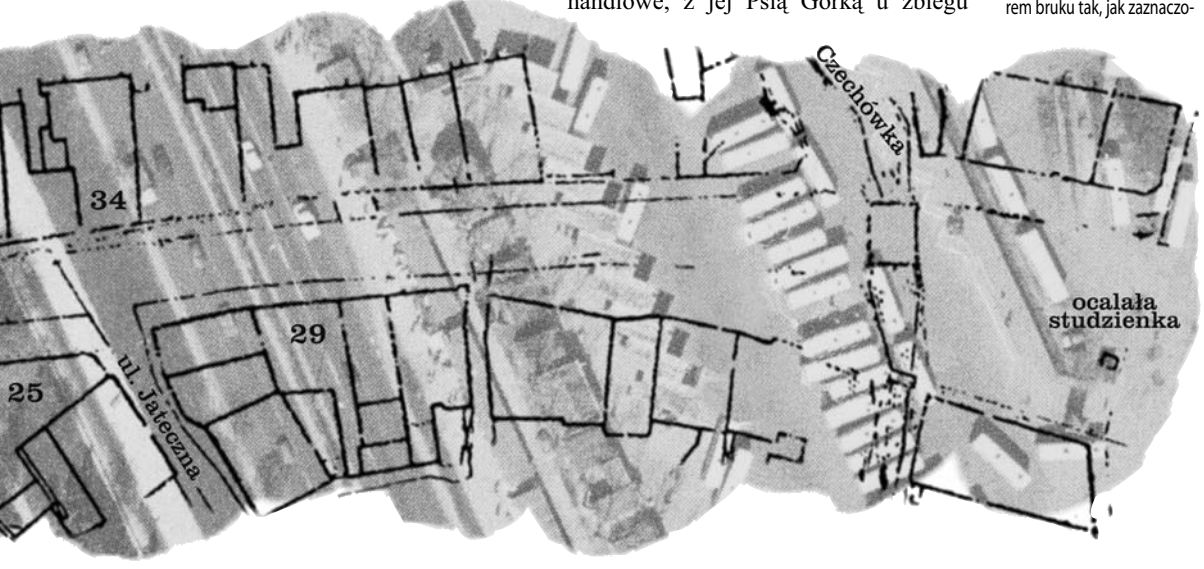

[6] Kaszta – szuflada z przegródkami na poszczególne czcionki [przyp. red.].

[7] Samuel Leib Schneiderman, *Od Nalewek do wieży Eiffla*, Nowy York 1945, przedruk za: *Stary Lublin*, „Midrasz. Pismo żydowskie", 1999 nr 7-8 (lipiec-wrzesień), s. 82-83.

no miejsce po wieży ciśnień na innym lubelskim placu. Jedynym pomnikiem w obrębie dawnej Szerokiej jest kamienny lew – „symbol Lwowa", jak głosi inskrypcja, kopia rzeźby z cmetarza Orląt upamiętniająca 75. rocznicę odzyskania niepodległości. Figura ta, licząca z cokołem ponad 5 metrów, stoi na jednym z bardziej eksponowanych miejsc w Lublinie: na ziemnej platformie nad wjazdem na na plac, przy ruchliwej obwodnicy i dworcu

[8] „Gazeta Lubelska" 1888 nr 27 (z 25 I- 4 II).

PKS. Zwykle dąży się, aby znaczenie pomnika harmonizowało z symboliką, historią lub orientacją przestrzenną miejsca, w którym stoi. Pod tym względem lew na Placu Zamkowym pasowałby jak kwiatek do kożucha, gdyby jego lokalizacja nie miała drugiego dna nadającego jej nieoczekiwany sens. Wzgórek pod lwem został bowiem usypany dokładnie w miejscu, gdzie stała kamienica Widzącego z Lublina (nr 28). Ten sławny do dziś cadyk w 1814 roku wypadł z jej okna podczas prób – jak głoszą przekazy – sprowadzenia Mesjasza. Działo się to w Simchat Tora, radosne święto związane z zakończeniem rocznego cyklu czytania Tory. 10 miesięcy później, prawdopodobnie w tej samej kamienicy, Widzący zmarł na skutek odniesionych obrażeń. Stało się to w Tisza be-Aw, najsmutniejszy dzień żydowskiego roku, upamiętniający postem zniszczenie obu świątyń jerozolimskich. Lew natomiast jest nie tylko symbolem Lwowa, ale także plemienia Judy i wywodzącego sie zeń królewskiego rodu Dawida (A. Unterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*). Wizerunkami lwa ozdabiano Aaron ha-

Szerokiej, Grodzkiej, Kowalskiej i Podzamcza, gdzie handlowano starzyzną, ze sklepami, może bardziej zamożnymi niż przy Krawieckiej i Podzamczu, ale już bez tego eleganckiego zacięcia bogatszej konkurencji przy Lubartowskiej. Ruchliwa, pełna wozów, przechodniów, sprzedawców niosących swój lichy, groszowy towar w otwartych walizkach. Jednocześnie w piątkowe wieczory zamieniała się w ulicę świąteczną, bo

tu zmierzali lubelscy chasydzi

do bóżnicy Jakuba Izaaka Horowitza-Szternfelda – „Widzącego z Lublina". Jeszcze w I połowie XIX wieku miejsce to promieniowało sławą wielkiego cadyka – wszak była to pierwsza oficjalnie funkcjonująca chasydzka synagoga w całym Królestwie Polskim, założona przez samego Choze jeszcze w 1794 roku. W okresie międzywojennym spadła do roli zwykłej bóżniczki „dla modlących się w biegu". Tu zawsze był minian i zawsze można było znaleźć chętnych do dyskutowania nad zawiłościami świętych ksiąg.

Tłumy miejscowych i prowincjonalnych chasydów zalegały przed kamienicą Szeroka 40, gdzie mieścił się dom i bóżnica cadyków z lubelskiej dynastii Eigerów, założonej w połowie XIX wieku przez Judę Lejba Eigera – „Płaczącego Rebe", wnuka Akiby Eigera, Gaona Poznańskiego i syna Salomona Eigera, rabina kaliskiego oraz członka Komitetu Starozakonnych w Warszawie. Ulica czerniała wtedy od kapot rzesz wiernych, którzy przybywali do swojego cadyka, by spędzić z nim święto.

Jego sława i wpływ na współwyznawców były tak wielkie, że docenili to nawet chrześcijanie. Gdy w 1888 roku zapadł na śmiertelną chorobę, o jego stanie zdrowia informowała nawet „Gazeta Lubelska", zazwyczaj niezbyt przychylna miejscowym Żydom. Gdy zmarł, ta sama gazeta wystawiła mu ciepły nekrolog:

„Zmarły był doskonałym znawcą nauk kabalistycznych, nad któremi pracował nieustannie, odznaczał się uczciwością i umiejętnością godzenia stron zwaśnionych, miał też dużo wielbicieli i pozostawił po sobie pamięć dobrą nie tylko wśród swoich współwyznawców, ale i chrześcijan, którzy go znali bliżej. Kilkunastotysięczny orszak odprowadził wczoraj do miejsca wiecznego spoczynku zmarłego rabina, a nie było takiego z pomiędzy Żydów tutejszych, któryby nie znajdował się na pogrzebie. Sklepy żydowskie podczas pogrzebu były zamknięte na znak żałoby"[8].

Dom, synagogę i wyznawców przejęli po nim jego syn i wnuki. Ostatnim lubelskim rebe był Szloma Eiger, który pozycję dziadka i ojca zdobył przy Szerokiej za pomocą swoistego dworskiego zamachu stanu, odsuwając swojego brata Ezriela Meira od dziedziczenia stanowiska. W ten sposób podzielił lubelskich chasydów. Odtąd zwolennicy Eigerów modlili się w dwóch miejscach – ci od reb Szlomy przy Szerokiej 40, a ci od Ezriela Meira przy Kowalskiej 4, w wielkim podwórku, istniejącym do dzisiaj, a wtedy nazywanym „Fejgele Abraham Lajzers Hojf". Na koniec Szloma Eiger został następcą rabina Meira Szapiro, przejmując po nim, już za jego błogosławieństwem, stanowisko rektora Jeszywas Chachmej Lublin.

Czyż nie odbiera się dzisiaj tych informacji jak sygnałów z bardzo dalekiej przeszłości, a dodatkowo dla większości współczesnych czytelników jako bardzo egzotycznych? Czy wszystkie te miejsca nie są aż za bardzo odległe, nieznane, może wręcz obce, tak że współczesna percepcja nie jest w stanie ich przyjąć, przetrawić i w końcu zaakceptować jako cząstki wspólnej tożsamości?

Szeroka biedniała

z końcem swojego żywota. Już w połowie XIX wieku opuścili ją najzamożniejsi lubelscy Żydzi, przenosząc się na

Stare Miasto, Lubartowską czy wreszcie do nowego centrum – na Krakowskie Przedmieście. Tu zostali ci ubożsi, religijni, wielodzietne rodziny, utrzymujące się z drobnego handlu, rzemiosła lub – zdawałoby się – z powietrza, żyjące wspomnieniem lepszych czasów. Nawet domy i chodniki wykoślawiły się. Bo Szeroka, obok Kowalskiej, mogła poszczycić się w latach osiemdziesiątych XIX wieku brukiem, którego brakowało przy innych żydowskich ulicach i zaułkach, tonących w błocie. Ale nawet i tu bruk ten był mało elegancki. W każdym razie za mało, by przyciągać zamożniejszych mieszkańców miasta.

Szeroka degradowała się z każdym rokiem. Mimo że do eleganckiego centrum szło się stąd zaledwie dziesięćpiętnaście minut, to droga ta mogła się wydawać przemarszem przez całe pokolenia. Przy Szerokiej żyło się przed wojną ciężko. Po wodę chodziło się do dwóch studni – jedna znajdowała się w pobliżu Bramy Grodzkiej, druga zaś bliżej Ruskiej. Ta druga przetrwała do dzisiaj, stojąc samotnie przy placu manewrowym Dworca PKS i świadcząc o nieistniejącej już ulicy. Przechodząc obok niej współcześnie, nikt nie zdaje sobie sprawy, że jest to jedyna pozostałość po niegdysiejszej głównej ulicy Żydowskiego Miasta. Wodę kupowało się na wiadra: jedno wiadro – 1 grosz. Jeszcze gorzej było z kanalizacją – jedna, brudna, ciągle zapchana ubikacja w podwórku musiała wystarczać dla wszystkich mieszkańców dużej kamienicy, a często nawet dwóch kamienic, jak w przypadku tych, które miały dwa frontony: od ulicy Szerokiej i Zamkowej. Nic też dziwnego, że trudno było tutaj zachować najbardziej elementarne zasady higieny. Na nowinki poprawiające stan sanitarny kamienic zazwyczaj brakowało pieniędzy, bo większości mieszkańców nie stać było na zapłacenie czynszu[9].

Zachowane w lubelskim Archiwum Państwowym akta pełne są dokumentów obrazujących codzienne bolączki mieszkańców Szerokiej, ich konflikty z właścicielami, miejskimi służbami sanitarnymi czy też architektonicznymi. Nic z magii, której chciałoby się dzisiaj poszukać.

Ot, weźmy na przykład dom przy Szerokiej 24. Kamienica pochodziła z XIX wieku, a więc jak na metrykę tej ulicy była stosunkowo młoda, jednak jej stan przypominał czasy zamierzchłego średniowiecza. Dom był na tyle gęsto zamieszkały, że na dwuizbowe mieszkanie zaadaptowano nawet balkon (pomieszczenia te zawaliły się w 1934 roku). W 1940 roku żyło tutaj 45 osób, liczba niezbyt imponująca jak na Szeroką, bywały tu bowiem domy, w których żyło ponad 100 lokatorów.[10] Dom pozbawiony był najbardziej elementarnych urządzeń sanitarnych. Ubikację zastępował dół kloaczny znajdujący się w podwórzu, osłonięty szopą. Chociaż w mieszkaniach znajdowały się zlewy na nieczystości, to i tak były one zawsze zapchane, więc mieszkańcy musieli wylewać wszystko na podwórko lub do rynsztoków, bezpośrednio na ulicy. Widok i zapach z pewnością nie zachęcał do zwiedzania tych miejsc. Tak było w większości domów przy tej ulicy. Jeszcze gorzej sytuacja przedstawiała się w przecznicach.

Za luksusowe mogły uchodzić najstarsze domy, stojące bliżej Bramy Grodzkiej, gdzie co prawda przegniłe schody groziły zawaleniem, ale funkcjonowały wodociągi i światło elektryczne. W każdej z tych kamienic gnieździły się także sklepy, zakłady rzemieślnicze i składziki – nie brakowało tutaj lokali sprzedających wszystko. W jed-

kodesz i parochet, czyli szafę do przechowywania Tory oraz jej zasłonę. Zdjęcie lotnicze zamieszczono dzięki uprzejmości Dedal Studio (Poznań), a plan dzięki uprzejmości Mariana Łozy, wykonawcy makiety lubelskiego zespołu staromiejskiego w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN".

[9] Zły stan sanitarny domów był bolączką całego miasta. Do lat dwudziestych nieczystości odprowadzano kanałami do Bystrzycy i Czechówki, wąskiej rzeczki, która zbierała je ze znacznej części miasta. Zaczęto ją zabudowywać dopiero w 1938 roku. W latach dwudziestych i trzydziestych rozpoczęto instalację nowej sieci wodno-kanalizacyjnej, która przedłużała się ze względu na brak środków, a ostatecznie została przerwana przez wojnę [przyp. red.].

Studzienka wodociągowa na końcu Szerokiej, dziś jedyna pamiątka po tej ulicy. Fot. z okresu okupacji, getto. Autor nieznany. Z kolekcji Symchy Wajsa. Zbiory TNN.

nym domu można było zaopatrzyć się w przybory galanteryjne, szewskie, kupić żywność i węgiel na opał. Wszystko za grosze i w nie najlepszym gatunku.

Szeroka była całkowitym zaprzeczeniem polskiego mitu o zamożności wszystkich Żydów. Tu nawet kamienicznicy nie różnili się niczym od swoich niezamożnych lokatorów. Zazwyczaj jeden dom miał po kilku właścicieli. Rekordzistką pod tym względem była kamienica przy Szerokiej 34, która w 1936 roku miała aż 12 właścicieli: rodzina Goldbrantów – Zelman, Cudyk, Wolf, Aron i Frymeta, Dawid Furhang, Brucha Kerszenbaum, Lejzor Granetsztajn, Moszek Klar, Froim Fiszelman, Wolf Tiszlerman i gmina żydowska. W całym domu mieszkało w tym czasie 128 lokatorów, w tym tylko trzech Polaków. Można było się szczycić tytułem własności, ale nic poza tym nie mieć. Zazwyczaj ratunkiem dla rodziny było otwarcie groszowego sklepu lub zakładu rzemieślniczego, by przynajmniej z niego mieć dochody, skoro z samych lokatorów – poza problemami – nic się nie miało. Jest to ten mniej znany obraz ulicy Szerokiej, dla dzisiejszych lublinian równie egzotyczny, jak jej dawni mieszkańcy.

Ul. Podzamcze od Szerokiej. W głębi *Porta Sordida*, czyli Brama Zasrana. Lata 30-te. Autor nieznany. Ze zbiorów WOSOZ Lublin.

Jednocześnie Szeroka miała jeszcze swój koloryt. Na ulicy tej toczyło się nie tylko życie handlowe lub codzienna wegetacja jej niezamożnych mieszkańców. W święta religijne odświętnie ubrani Żydzi, wśród których nie brakowało też tych w tradycyjnych kapotach i sztrajmlach (kapeluszach obszywanych futrem), dostojnie kroczyli do swoich synagog i sztiblech – chasydzkich domów modlitwy. Tu swoje izdebki mieli chasydzi lubelscy, parysowscy i bełżyccy. Przy Szerokiej istniały też trzy gminne synagogi: wspomniana Hirsza Doktorowicza – „Kotler-szul", przy Szerokiej 3 niewielka bóżnica urzędników handlowych – „Mszorsim-szul" i wreszcie w domu pod numerem 44 synagoga Parnas, założona jeszcze w XVIII wieku przez Abrahama Heilperna, przedostatniego marszałka Sejmu Czterech Ziem.

Inny obraz można było oglądać w żydowskie święta narodowe. Wtedy to przez Szeroką maszerowały zwarte szeregi żydowskich skautów, niosących sztandary swoich organizacji. Tu też odbywały się wiece polityczne rozlicznych partii. Rozpolitykowana młodzież żydowska dyskutowała o syjonizmie, socjalizmie, komunizmie i ideach narodowych. Każda ideologia była lepsza od szarego życia na lubelskim Podzamczu. Nawet ci, którzy pochodzili z najbardziej tradycyjnych rodzin, głodni byli najświeższych nowinek ze świata.

Cała ta barwna mozaika ludzi, a potem stare domy przestały istnieć w ciągu zaledwie pięciu lat II wojny światowej. Szeroka, od 1941 roku

centralna ulica lubelskiego getta

stała się jeszcze bardziej zagęszczona z powodu napływu mas wysiedlonych lubelskich Żydów z innych części miasta. Sklepy i synagogi zamieniono na przytułki dla wysiedlonych z miasta i z innych części Polski. Ulicę Szeroką odkryli wtedy w zupełnie innym wymiarze ci żydowscy mieszkańcy miasta, którzy z racji swojej zamożności mieszkali przez całe lata w eleganckim centrum. Teraz, wyrzuceni ze swych komfortowych mieszkań, wrócili z przymusu i hitlerowskiego nakazu do środowiska, z którego wcześniej uciekali. Bieda przy Szerokiej stała się

[10] Dane te pochodzą z okresu okupacji, ale dają wyobrażenie o gęstości zamieszkania kamienic na Szerokiej również przed wojną, ponieważ getto (do którego spędzono Żydów z całego miasta) zostało utworzone dopiero w 1941 roku, a w latach 1931--1940 liczba Żydów w Lublinie wzrosła tylko o ułamek procenta. Źródło: T. Radzik, *Lubelska dzielnica zamknięta*, Lublin 1999, s. 26-27 [przyp. red.].

jeszcze bardziej wyrazista i nie kryła się już za murami kamienic. W marcu i kwietniu 1942 roku większość mieszkańców Szerokiej wywieziono do obozu zagłady w Bełżcu. Pobliska synagoga Maharszala stała się punktem zbornym dla tysięcy deportowanych. Po zagładzie ludzi przystąpiono do zagłady ich domów. Trwała ona zdecydowanie dłużej niż wyniszczenie mieszkańców Szerokiej.

Zagłady serca Żydowskiego Miasta hitlerowcy dokonywali na początku rękami części jego mieszkańców. Kolumny żydowskich więźniów z małego getta na Majdanie Tatarskim i z obozu koncentracyjnego na Majdanku przychodziły tutaj do 1943 roku, by wyburzać dom po domu. Niszczono święte księgi, meble i zwykłe pamiątki po ludzkim życiu. Potem akcję tę prowadzono przy pomocy polskich robotników. Dzielnica, a wraz z nią jej główna ulica zamieniały się w jedno wielkie rumowisko. Miastu wycinano część jego najstarszej tkanki.

Niszczenia tej części miasta nie zaprzestano z końcem wojny. Mało kto wie, że cyklicznie wyburzana od 1942 roku ulica Szeroka fragmentami istniała jeszcze w 1950 roku Stało tu kilka domów, które zamieszkiwali już sami Polacy. Niektóre kamienice zawaliły się same, jak chociażby dom przy Szerokiej 1, który z powodu starości częściowo runął 15 lutego 1943 roku.

Chyba ostatnim adresem przy tej ulicy był dom pod numerem 5, pierwotnie przylegający do ulicy Zamkowej. Była to niewątpliwie zabytkowa kamienica, licząca ponad 200 lat. Przed wojną należała do „niepiśmiennego Chemii Kormana". Od 1943 roku zamieszkiwali ją sami Polacy, a przedtem prawie sami Żydzi – 57 osób i oprócz nich 4 chrześcijan. Mieściły się tu dwa sklepy i piekarnia. Ta ostatnia prowadzona już w getcie lubelskim przez Szlomę Gitelmana. Ostatni mieszkańcy Szerokiej, ci żydowscy, z pewnością zostali zamordowani. Czy udałoby się dotrzeć do tych polskich? Do tych, którzy chociaż na moment usiłowali ożywić ten fragment ginącego miasta?

Ulica Szeroka definitywnie skończyła się w 1954 roku, gdy na jej miejscu powstał Plac Zebrań Ludowych, obecnie Plac Zamkowy. Można doszukiwać się jej w otaczającej plac architekturze, która podobno miała nawiązywać do istniejących tu niegdyś domów. Nie ma kamienic, ludzi i od wielu lat pamięci.

Wejdźmy więc na ten pusty plac i chociaż przez chwilę pobądźmy na nieistniejącej ulicy. Może chociaż w ten sposób uda się przywrócić jej cząstkę, chociażby ulotne wspomnienie okaleczonej historii miasta.

Szeroka, lata trzydzieste. Widok w kierunku centrum. Autor nieznany. Ze zbiorów WUOZ Lublin.

ANEKS

Ulica Szeroka w Historii Mówionej

„Historia Mówiona" to program Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" polegający na zbieraniu wspomnień dotyczących dawnego Lublina i Lubelszczyzny. „Historia Mówiona" to również pewna filozofia niekonwencjonalnego myślenia o dziedzictwie kultury i współczesnych formach żywej tradycji. Choć w praktycznym działaniu „Historia Mówiona" sprowadza się do archiwizowania opowieści, co czyni także literatura czy reportaż radiowy, jest ona czymś więcej: próbą stworzenia w sferze działań kulturalno-społeczenych odrębnej „marki" dla wspomnień oraz ich przekazu. Posłuchajmy.

Jan Błaszczak: Przechodząc przez Bramę Grodzką, po lewej stronie było zejście na ulice Szeroką. Tam były kamienie, tak zwane kocie łby, żeby spad był dla koni bardziej możliwy do zjechania na dół i pod górę. Więc schodziło się po tych kamieniach na lewo, a później na prawo. Zaczynała się ta ulica Szeroka.

Tam był bardzo duży ruch i dużo takich „lepszych" sklepów. Każdy z nich miał namalowany – na okiennicach, które zamykano na noc – rodzaj handlu. Szewc miał buta, krawiec materiały, wodę oznaczał syfon. Podstawą codziennej egzystencji był na Szerokiej handel.

Ryszard Giszczak: Żydzi mieli przeważnie takie sklepy, gdzie można było kupić, jak to mówią, naftę, mydło i powidło. A najwięcej było ich chyba na Szerokiej i Kowalskiej. Ulica Szeroka była faktycznie szeroka, ale nie wybrukowana. Dopiero podobno gdzieś koło 1937 roku ją wybrukowali i nie kostką tylko kocimi łbami. One ciągnęły się na odległość jakichś 100-150 metrów, a dalej znów było błoto. Wiosna czy jesień, to niesamowita pryta była i sklep przy sklepiku. Żydów pełno, z Polaków mało kto mieszkał.

Zahawa Lichtenberg: Chciałabym przede wszystkim wspomnieć Szeroką 28. Za moich czasów był to zwyczajny dom. Nie wiem dlaczego on stał się taki sławny, że aż zaczęli się nim przechwalać. Kler nigdy mnie nie interesował i nigdy nie wierzyłam w robiących cuda[1]. Ja znałam inny Lublin. Urodziłam się w 1920 roku przy ul. Szerokiej 35 i tam mieszkałam do 1936 roku. Potem przeprowadziliśmy się na Grodzką 4, co było marzeniem mojej matki, gdyż mieliśmy tam sklep „Sprzedaż nabiału", a z Szerokiej na Grodzką nie było wcale łatwo biegać po kilka razy dziennie. Pomiędzy numerami 35 i 33 było przejście, wąska brukowana uliczka, która prowadziła na ulicę Jateczną. Tylna część domu, w którym mieszkałam, wychodziła właśnie na tę uliczkę, a ja miałam widok na Maharamszul[2]. W domu przy Szerokiej 1 mieściła się organizacja Cukunft, młodzieżowa organizacja Bundu. Po drugiej, parzystej stronie pod numerem 16 mieścił się Związek Igły, tzw. *Nudł Farain*[3]. Był to związek zawodowy krawców, ale przychodziła tam też młodzież komunistyczna. Trochę dalej znajdował się dom numer 50, z olbrzymim podwórkiem. Zawsze stały tam furmanki z produktami, które chłopi przywozili ze wsi. Z tego podwórka można było przejść na ulicę Nadstawną. Szeroka po mojej stronie, jeśli się nie mylę, miała 49 numerów nieparzystych, a po drugiej stronie 50. Dalej już nic nie było, tylko brzeg rzeczki. Wody w niej było, jak to się mówiło po polsku, co kot napłakał, ale zimą czasem zamarzała i można było się na niej ślizgać, co nam, dzieciom z Szerokiej, sprawiało dużo radości. Za rzeczką zaczynała się już ulica Ruska.

Na Szerokiej, Ruskiej, Nadstawnej żyli Żydzi, którzy nie mieli żadnej przyszłości przed sobą, głównie młodzież. Byli drobnymi kupcami, krawcami, szewcami itp. W swoim pokoju – najczęściej były to jednopokojowe mieszkania – stawiali maszynę do szycia albo

[1] Chodzi o Widzącego z Lublina o jego kamienicę pod numerem 28. [Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji.]

[2] Budynek Wielkiej Synagogi mieszczący synagogę Maharszalszul i Maharamszul.

[3] Wszystkie słowa w jidysz zapisane w wymowie rozmówców.

dwie, przyjmowali jakąś dziewczynę albo chłopca na uczniów i już był warsztat, już był majster. Praca była przeważnie sezonowa i przez kilka miesięcy w roku ludzie ci byli bezrobotni. Bardzo niewiele młodzieży żydowskiej mogło się kształcić, a jeżeli kończyli gimnazja, to co mogli robić, kiedy nie było żydowskich urzędników w Polsce? Młodzież żydowska przestała chodzić śladem swoich rodziców, przestała wierzyć, że wszystko pochodzi od Boga, przestała chodzić do bożnicy. Dlatego też ja nigdy nie wiedziałam, gdzie na Szerokiej istnieje jakieś miejsce służące do modlitwy. Nie wiedziałam nawet, gdzie modlił się mój ojciec. Byliśmy młodzi i chcieliśmy z zapałem zmienić wszystko, co tylko można było zmienić, żeby w przyszłości było lepiej. Więc wieczorami wychodziło się z ciasnych mieszkań do organizacji, które prawie wszystkie mieściły się na Szerokiej. Wieczorem było bardzo wesoło, zaczynały się dyskusje, tworzyły się kółka, parki. Spacerowało się od Szerokiej 1 do Ruskiej. Szeroka była najżywszą ulicą. Nawet kiedy już mieszkałam na Grodzkiej, chodziłam na Szeroką, żeby spotykać się ze znajomymi, pogadać, podyskutować, żeby dobrze spędzić wieczór.

Wiesława Majczakowa: Utkwiło mi w pamięci to, że była to ulica zawsze pełna ludzi. Jeździły po niej wozy, dorożki. Nie słyszało się tam w zwykły dzień języka polskiego. Obraz bardzo biednej ul. Ruskiej, czy Szerokiej, to był obraz dnia powszedniego. W szabas ta ulica wyglądała zupełnie inaczej, ponieważ ci wszyscy ludzie byli ubrani bardzo odświętnie. Widziało się wtedy Żydów w czapach, w czarnych chałatach i białych pończochach, z pejsami. Moi żydowscy szkolni koledzy nie nosili pejsów, natomiast te dzieci na Szerokiej – tak. Widocznie rodziny, które posyłały dzieci do szkół polskich, chciały je zasymilować. Całe partery domów na Ruskiej, Szerokiej, Cyruliczej, to były drzwi do warsztacików i sklepików. Ich właściciele bardzo często stali po prostu na progu.

Jacek Ossowski: Ja tu przychodziłem z ojcem – z psami na spacer, bo niedaleko były łąki Krauzego. Szeroka była jak na warunki tamtego osiedla rzeczywiście stosunkowo szeroka. I bardziej kolorowa, było dużo reklam, natomiast pozostałe ulice odchodzące od niej. Kowalska, Furmańska były szare, zabudowane tak ad hoc i nie wyglądały uroczo.

Aleksander Szrift: Przed II wojną światową mieszkaliśmy przy Szerokiej 40, w kamienicy lubelskiego cadyka Szlomo Eigera, przywódcy lubelskich chasydów. Mój dziadek był chasydem Eigera i za jego namową najął mieszkanie w tym domu. Od frontu do kamienicy przylegała Bożnica Chasydów Lubelskich. Miała wejście od Szerokiej, a odgrodzona była od niej parkanem. Przed bożnicą znajdowała się suka-kuczka, którą wykorzystywano w święto Sukkot. Drugie wejście było od uliczki, która prowadziła do ul. Nadstawnej. Trzecie wejście do bóżnicy, przeznaczone tylko dla cadyka, było od zachodniej ściany. Wejście to miało połączenie schodami z jego mieszkaniem. Na tejże samej ścianie znajdował się aron ha-kodesz, a po środku bóżnicy umiejscowiona była bima. Za nią stały ławki dla modlących się. Tylko najzamożniejsi posiadali swoje miejsca przy Wschodniej Ścianie. Specjalnie je wykupywali. Wracając do Eigera, na święta żydowskie, gdy przyjeżdżało do niego dużo chasydów, zwłaszcza z prowincji, cała Szeroka robiła się czarna od chasydzkich kapot.

Tam się wchodziło w prawie orientalny świat. Pamiętam ulicę Szeroką, te bożnice, tamtą atmosferę. Inny świat.

Oprócz chasydów lubelskich w Lublinie były również grupy innych chasydów. Po nieparzystej stronie ul. Szerokiej, w ostatnim domu nr 43 lub 45, już przy ul. Ruskiej, mieścił się sztibł[4] chasydów z Turzyska na Wołyniu i rezydował tam Trisker Rebe. Znanym miejscem na Szerokiej była bożnica w domu pod numerem 28. Mieściła się tu dawna bożnica Widzącego z Lublina. Na parterze tego domu znajdowała się piekarnia, która wypiekała ciastka dla cukierni. Piekarzem tam był Mordechaj. Na piętrach kamienicy mieszkali

[4] Mała synagoga, często urządzana w mieszkaniu.

Fragmenty planów budowy instalacji wodno-kanalizacyjnej dzielnicy żydowskiej. Usytuowanie i rzut parteru dwupiętrowej kamienicy przy Szerokiej 34, która w 1936 roku miała 12 właścicieli.

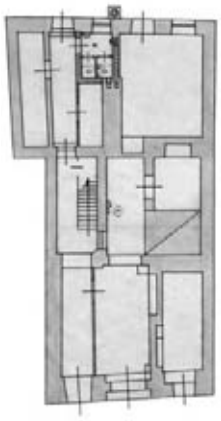

lokatorzy. Sama bożnica usytuowana była za piekarnią, a wchodziło się do niej przez wejście prowadzące od uliczki przebiegającej od Szerokiej do Nadstawnej. Była to niewielka bożnica, pozostająca pod administracją Gminy Żydowskiej i mówiło się o niej, że jest przeznaczona dla modlących się w biegu. Tu zawsze był minjan i każdy, kto szedł ulicą, a chciał się pomodlić, mógł wejść i wiedział, że będzie tutaj dziesięciu Żydów gotowych do modlitwy[5]. Charakterystyczną dla Lublina cechą były również bożnice przeznaczone dla stowarzyszeń zawodowych – tragarzy, kupców, krawców itd.

[5] Wdzień powszedni obowiązywały trzy modlitwy w minian.

Bogdan Stanisław Pazur: Na początku ulicy Szerokiej znajdował się wodociąg – kiosk w stylu neogotyckim, z białej cegły, nie wypalanej w piecu tylko na słońcu, tak jak klinkier – i tam sprzedawała Żydówka wodę. Szeroka kończyła się przy Ruskiej takim samym wodociągiem. Ten wodociąg jeszcze stoi do tej pory. Można go zobaczyć na placu manewrowym PKS-u. Dwa wiadra wody, czyli ok. 60 litrów, kosztowały 5 gr. Każdy brał duże wiadra, żeby taniej wychodziło. Właścicielka Zamkowej 1, Grajerowa, miała taki kran na podwórku i też sprzedawała wodę, ale była droższa, więc nosiliśmy z Szerokiej.

Szeroka 1. Źródło: Photo Archive/Beit Lohamei Haghetaot/Israel (http://english.gfh.org.il.search.asp).

Ulica szła łukiem – najpierw prosto, potem skręcała w lewo i tam dochodziła do Ruskiej, a od niej odchodziły Wąska, Jateczna, Ciasna, itd. Przy ul. Szerokiej mieszkali bogaci Żydzi. Mieszkali też Polacy, m.in. rodzina państwa Boczków. Kolegowałem się z ich dwoma synami. Było dużo sklepów, piekarnia. Krawiecką i Szeroką łączyła tzw. „psia górka". Przy czym „psich górek" było dużo, co górka, to była psia. Jeśli zaś chodzi o tę górkę przy Szerokiej, to siedziały tu żydowskie przekupki i sprzedawały makakigi, a w zimie gorącą fasolę i abubałe acej, czyli babeczki na gorąco robione z jakiejś ciemnej mąki.

Bawiliśmy się z Żydami. W tej kamienicy w której mieszkałem – narożna kamienica przy Zamkowej 1 i Krawieckiej 2 – z dzieci polskich byłem tylko ja i brat. A dzieci żydowskich było mnóstwo. Każdy Żyd to miał z tuzin dzieci. Nigdy po wojnie żadnego z moich kolegów nie spotkałem.

Aleksander Szrift: Szeroka uchodziła za ulicę zamożniejszą, przynajmniej w skali Podzamcza. Oczywiście, różne były domy i różni ludzie w nich mieszkali – bogatsi i biedni. Zamożniejszymi domami były Szeroka 43 i 45. te kamienice były bardziej eleganckie i lepiej utrzymane, ponieważ zamożniejsi lokatorzy, którzy w nich mieszkali regularnie płacili czynsz. Inne domy przy Szerokiej były bardziej zaniedbane. Przede wszystkim domy nie posiadały kanalizacji. W żadnym nie było ubikacji w mieszkaniach. Mieściły się one na podwórkach i były wspólne dla wszystkich lokatorów. Z Szerokiej od nieparzystej strony było wejście na ulicę Zamkową, zaś Zamkową przechodziło się nad Zasraną Bramą, która łączyła Szeroką z Krawiecką, Podwalem i ulicą Podzamcze. Za Zasraną Bramą mieszkała już tylko biedota. Na placyku przy rozwidleniu na Szeroką i Kowalską, zaraz za Bramą Grodzką istniał niewielki żydowski rynek. Prowadzono tam dorywczy handel. Między innymi sprzedawano specyficzny tylko dla Lublina przysmak – *bubelach*. Były to babki gryczane, pieczone w specjalnych naczyniach, które jedzono na ciepło z masłem. Wypiekano je przy Grodzkiej, dwa domy przed Bramą Grodzką. Na placyku tym sprzedawano także obwarzanki.

Marek Wyszkowski: Za Bramą Grodzką, to była już dzielnica pokracznych domów, pozawalanych ruder, zapuszczonych, zaniedbanych. Tam się wchodziło w prawie orientalny świat. Pamiętam ulicę Szeroką, te bożnice, tamtą atmosferę. Inny świat.

Piekarnia na Szerokiej 28

Co zostało do roku 1939 z cudowności i mistyki legendarnego adresu „Szeroka 28", pod którym wiek wcześniej mieszkał cadyk Widzący z Lublina? W archiwach znajdziemy głównie dokumenty dotyczące wodociągów i kanalizacji. Problem zaopatrzenia lublinian w bieżącą wodę istniał mimo, że od prawie czterdziestu rozwijano nową sieć wodociągów (wcześniej po zubożeniu Lublina przez ponad dwa wieki jego mieszkańcy korzystali ze studzien i rzek). Działo się tak dlatego, że każdy z kolejnych właścicieli wodociągów stawiał na sprzedaż wody przy wysokiej cenie i małych obrotach (np. nie inwestował w kanalizację). W ten sposób woda nie była dostępna dla mieszkańców dzielnic najuboższych, mających najgorszą sytuację sanitarną, choć to właśnie ze względu na nich pod koniec XIX wieku zaczęto mówić o konieczności budowy wodociągów.

Oto korespondencja w sprawie zasądzenia zaległości 1205,82 zł za wodę zużytą w kamienicy przy ulicy Szerokiej 28 od wszystkich mieszkających tam lokatorów – do Zarządu Miejskiego, Miejskich Wodociągów i Kanalizacji w Lublinie (pisownia uwspółcześniona).

26.01.1939

Z a ż a l e n i e

[...] W powyższym domu przy ulicy Szerokiej nr 28 w Lublinie my, niżej podpisani i Jojne Helfman jesteśmy współwłaścicielami, przy czym każdy z nas posiada w domu tym swoją hipotecznie podzielną część, składającą się z mieszkania jednego. Jojne Helfman zaś posiada i zajmuje w tym domu cały parter, w którym prowadzi piekarnię oraz ma swoje mieszkanie. Jojne Helfman dla celów swojej piekarni urządził sobie w swoim parterze instalację wodociągową, z której to instalacji wyłącznie Jojne Helfman korzysta dla celów swojej piekarni i nawet sprzedaje z niej wody innym osobom i zainkasowane pieniądze pobiera wyłącznie on, Jojne Helfman; my zaś, niżej podpisani nigdy z tej wody wodociągowej żadnej korzyści nie mieliśmy i nie mamy i nawet wcale stąd wody nie bierzemy. Już od lat 30 instalacja wodociągowa tak istnieje w parterze Jojne Helfmana, którą on też i zaprowadził, przez cały ten szereg lat instalacja ta figuruje wyłącznie na jego imię i on wyłącznie zawsze opłacał do Biura Wodociągów za wodę, bez żadnego udziału z naszej strony, a przeto nie ma obecnie żadnej podstawy do wymagania od nas płacenia należności za wodę, gdyż za to winien jest płacić wyłącznie Jojne Helfman.

Na dowód powyższych okoliczności prosimy o wezwanie i zbadanie światków: 1/ Jana Kościa, dozorcy domu, 2/ Chajny Helfmana i 3/ Maszy Waksman zamieszkałych w tymże domu przy ulicy Szerokiej nr 28 w Lublinie, którzy stwierdzają, że my, niżej podpisani, żadnego udziału w tej wodzie nie mamy i nigdy nie mieliśmy i że ta instalacja wodociągowa należy wyłącznie do Jojne Helfmana [...]

Za niepiśmiennych: za zgodność

Icka Szpir, Bniamina Gała, Davida, Boima i Esterę Messinger na skutek ich osobistej prośby oraz za siebie podpisali petenci następujący: M. Ungera, M. Messynger, Aron Fayman, podpis nieczytelny.

10.02.1939

Podanie

[...] W tych warunkach zaznaczam, że w całej nieruchomości znajduje się tylko jeden kran, z której czerpię wodę dla celów osobistych i dla piekarni prowadzonej w tymże domu, że żadna z wymienionych osób nie posiada w swym mieszkaniu kranu i nie korzysta z wody z kranu będącego w mym mieszkaniu. [...]

Zaległość w płaceniu należności za wodę powstała skutkiem złego prosperowania mej piekarni, jednak w miarę możności wpłacałem na zamortyzowanie sum, jakoteż należność bieżącą wpłacam w terminie.

W takich warunkach, zasądzenie od wszystkich wyżej wymienionych osób solidarnie należności za wodę, jest krzywdzące te osoby, gdyż każde z nich z wody nie korzystało i jest samoistnym właścicielem podzielnego mieszkania w danej nieruchomości, nic zatem dziwnego, że nie będąc winnymi powstania zaległości, czują do mnie uzasadnioną urazę, że są i mogą być dalej narażeni na przykrości, a zrozumiałe jest, że uraza ta w wypadku przymusowej windykacji od nich zaległości zamienić się może w nienawiść pociągając złe skutki [...]

Jojna Helfman

(Biuro pisania podań do władz administracyjnych i sądowych Ludwika Kawki, pobrano 2 zł.)

Plan sytuacyjny i projekt fasady kamienicy na ul. Szerokiej 416 A (wg numeracji rosyjskiej) z 1909 roku. Ze zbiorów APL.

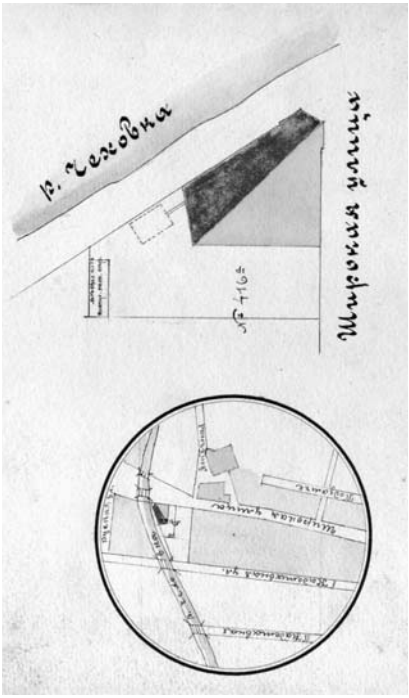

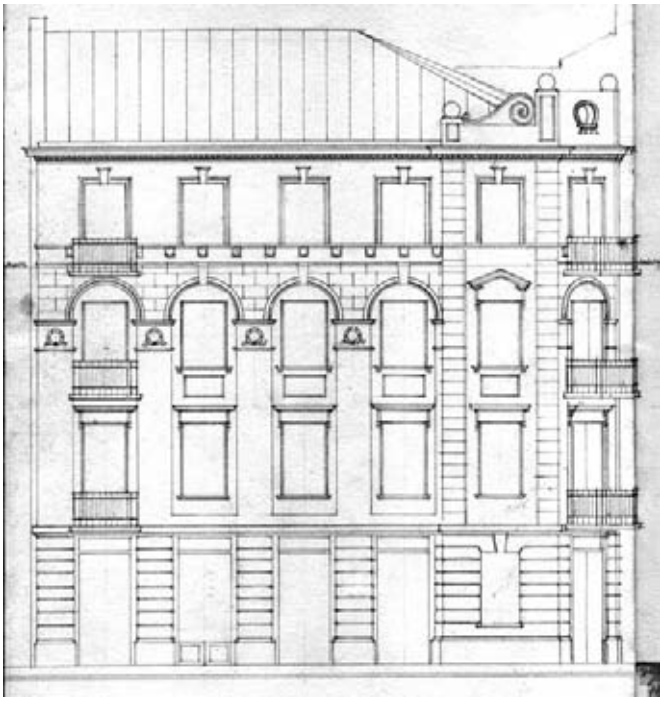

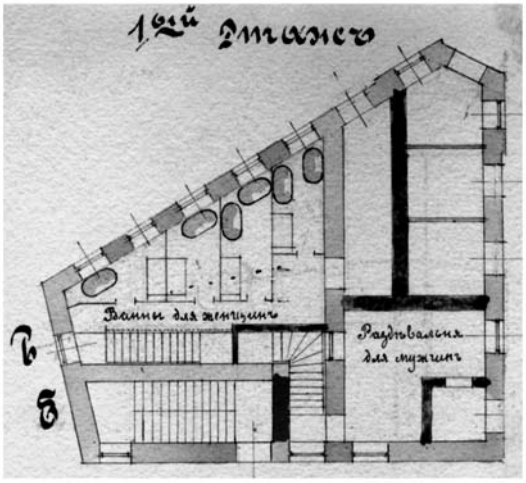

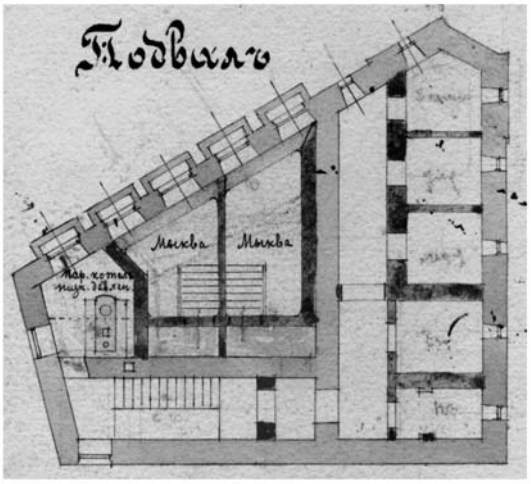

Projekt mykwy (basenów do rytualnych oczyszczeń) i łaźni w kamienicy na ul. Szerokiej 416 A z 1909 roku. Ze zbiorów APL.

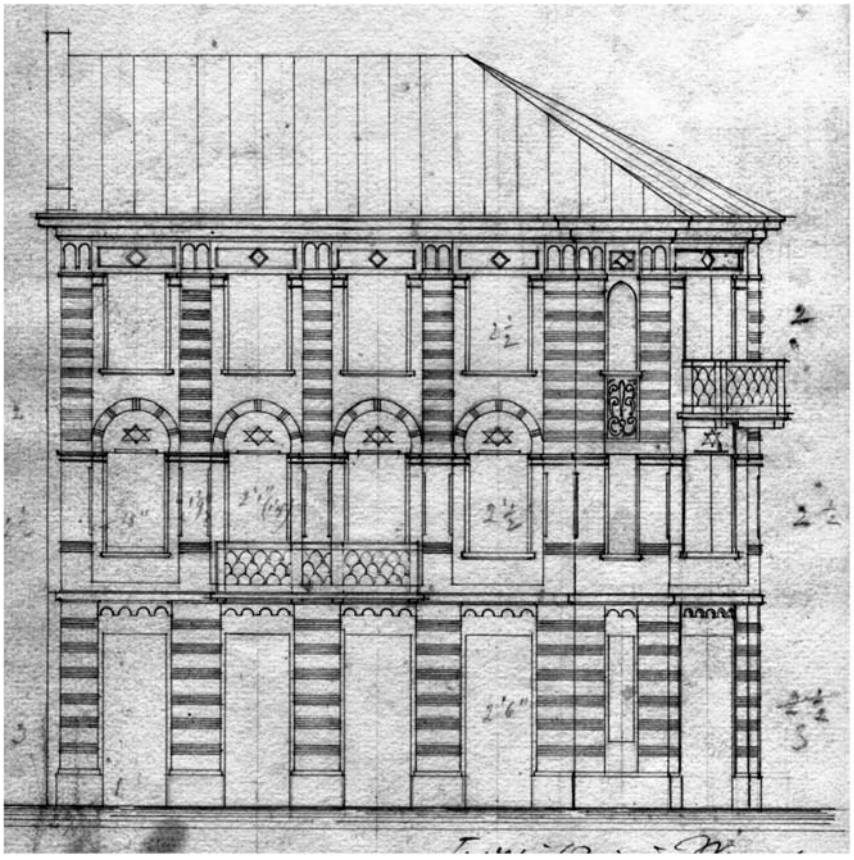

Projekt fasady kamienicy na ul. Szerokiej 416 A z 1908 roku. Ze zbiorów APL.

60. ROCZNICA ZAGŁADY GETTA - OBCHODY W TEATRZE NN
1942
2002
16.03.2002 LUBLIN
Brak adr.
W Lublinie ulic Szerokich nie ma
W Lublinie nie ma ul. Szerokiej
W Lublinie nie ma ul. Szerokiej.
W obszarze doręczeń UPP Lublin
ulica nieznana adresat nieznany
Na Lb8 nie ma ulicy Szerokiej tylko Szerokie.
Podpis lub identyfikator
WIĄZANKA LISTOWA
Nie odbiory
Lb 8.
CHiP Drukarnia W-w
ppup PP nr 406
60. rocznica Zbrodni Katyńskiej
POLSKA
Lejb Fajersztajn
Lublin
ul. Szeroka 2/8

fot. J. Bułhak

Piec chlebowy

W tę szczególną noc chcieliśmy przypomnieć nieistniejącą już ulicę Szeroką, największą ulicę lubelskiego Miasta Żydowskiego. W wierszu Józefa Czechowicza „Ulica Szeroka" (z „Poematu o Mieście Lublinie") pada zdanie: „ciepła woń płynie z piekarń". Dlatego w tę Noc powróciliśmy do Szerokiej również poprzez zapach pieczonego chleba. Na trzy dni przed Nocą Świętojańską w miejscu, gdzie przebiegała, u stóp Wzgórza Zamkowego, rozpoczęła się budowa pieca chlebowego. W samą Noc upieczono w tym miejscu pierwsze od ponad pół wieku bochenki. Piotr Kowalski w swojej książce „Chleb nasz powszedni" pisze, że „piec chlebowy wyznaczał święte centrum domu, stawał się jego symbolicznym upostaciowieniem, był też czczony jako miejsce, w którym objawiały się moce sacrum. Pięknym tego przykładem jest wierzenie zapisane wśród polskich Żydów w końcu ubiegłego wieku: zwalając piec chlebowy należy zostawić podmurowanie. Z podłogą zrównać miejsca tego nie wolno, gdyż idzie o to, by się wyróżniało na pierwszy rzut oka. Nieszczęście spotkałoby tego, kto by ślad pieca chlebowego zatarł." Ta noc była świętem ulicy Szerokiej. Tak jak kiedyś w Noc Świętojańską chodzono do lasu w poszukiwaniu kwiatu paproci, tak my wyruszyliśmy na poszukiwanie nieistniejącej już ulicy i chlebowego pieca.

fot. M. Kubiszyn

V NOC ŚWIĘTOJAŃSKA 2001

W POSZUKIWANIU ulicy Szerokiej

Sam, może jeszcze z rzeczułką,
której nie słychać,
choć w taką jasną noc z lazuru
i ona – niebios kochanka –
od zmierzchu aż do ranka
na pewno wzdycha
wśród murów...

Widzący z Lublina

Z ulicą Szeroką najbardziej związana jest postać Widzącego z Lublina, jednego z najsynniejszych cadyków. Jest z nim związana następująca historia (wyczerpująco opisana w książce „Gog i Magog" Martina Bubera). Po upadku Napoleona cadycy widzieli dokonujące się w Europie zmiany – upadek potęg i rośnięcie w siłę małych i słabych. Odczytali je jako znaki czasu zapowiadające przyjście Mesjasza (którego, jak wiadomo, Żydzi oczekują do dziś). Teraz chodziło tylko o przyspieszenie tego momentu. Z inicjatywy Widzącego dwaj inni cadycy zjednoczyli się z nim w modlitwie, aby zdobyć dla tej idei Niebo. Wkrótce jednak musieli odpokutować za swoją zuchwałość. Magid z Kozienic i Jehudi z Przysuchy zmarli jeszcze w tym samym roku. Widzący z Lublina zmarł niedługo po nich. Tak skończyła się autentyczna próba przywołania Mesjasza. Działo się to w Lublinie, na ulicy Szerokiej.

Misterium Szerokiej

Z ulicy Szerokiej pozostały tylko zdjęcia, dwujęzyczny szyld i studzienka wodociągowa na placu manewrowym PKS. Misterium podczas V Nocy Świętopjańskiej w 2001 roku było próbą jej przywołania. To para-artystyczne działanie rozpoczęło się namalowaniem farbą na Placu Zamkowym wiersza Józefa Czechowicza oraz zarysowaniem jej konturów. Po zmroku między koncertami wzdłuż nich ustawili się ze świeczkami w dłoniach zgromadzeni ludzie, aby w tak powstałym pustym „korytarzu" mógł pojawić się duch Sztukmistrza.

Organizator: Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN"
Główny sponsor:

TELEKOMUNIKACJA POLSKA S.A.

Listy do getta 2001-2003

W nocy z 16 na 17 marca 1942 roku hitlerowcy rozpoczęli likwidację lubelskiego getta. To wydarzenie było wstępem do „operacji Reinchard" – eksterminacji Żydów w Generalnej Guberni oraz grabieży ich mienia. Był to również początek zagłady świata lubelskich Żydów, którzy stanowili wtedy trzecią część mieszkańców miasta.

Od marca 2001 roku w kolejne rocznice tej nocy z siedziby Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" wysyłane są listy na wybrane, nieistniejące już adresy przedwojennego Miasta Żydowskiego, do jego nieżyjących mieszkańców. Każdego roku działania Ośrodka rozpoczyna symboliczne zaznaczenie obszaru getta kilkudziesięciominutowym wygaszeniem świateł ulicznych za Bramą Grodzką na pustych przestrzeniach wokół Zamku. Powstają w ten sposób dwie przestrzenie: przestrzeń światła istniejącego ciągle Lublina i przestrzeń ciemności zlikwidowanej dzielnicy żydowskiej.

„Listy do getta" są próbą zmierzenia się z zagładą i pustką, jaka powstała w pamięci miasta po jego żydowskich mieszkańcach. Wracający do nadawcy list, opatrzony standardową formułą, np. „adresat nieznany", niesie elementarną informację o tym, że w Lublinie Miasta Żydowskiego już nie ma. Z drugiej strony akt wysłania listu na konkretne nazwisko i adres, jest symbolicznym przywróceniem pamięci o tej osobie.

W „Listach do getta" uczestniczą również uczniowie lubelskich szkół, którzy wysyłają do getta swoje własne listy, w Bramie Grodzkiej spotykają się z Żydowskim Lublinem i zapiują refleksje poświęcone projektowi.

Koordynatorem całego przedsięwzięcia jest Beata Markiewicz.

Odpowiedzialność można opisać w ten sposób, że staramy się, jak gdyby, przypisać właściciela działaniu i jego konsekwencjom. Zwykle każdy chętnie wyrzeka się takiej własności i w tym tkwi problem.

Historia to odpowiedzialność

rozmowa z Adiną Cimet o projekcie EPYC

(Opis projektu: strony 47-48)

Joanna Zętar: Przyjechała Pani z Nowego Jorku do Lublina, by zbierać materiały do przygotowywanego przez YIVO programu edukacyjnego poświęconego kulturze Żydów z Europy Wschodniej. Dlaczego właśnie do Lublina?

Adina Cimet-Singer: Lublin jest przykładem miasta, w którego historii, kulturze i strukturze społecznej ważną rolę odgrywała przez kilkaset lat społeczność żydowska. W Lublinie, m.in. za sprawą Sejmu Czterech Ziem, mniejszość żydowska posiadała autonomię jak odrębne państwo. W XIX i XX wieku Lublin był jednym z najważniejszych żydowskich ośrodków w Europie, a historia lokalnej społeczności może stanowić punkt wyjścia do badania zjawisk społecznych w szerszym kontekście. Moja wizyta ma na celu uzupełnienie materiałów pomocnych w rekonstrukcji historii i stylu życia lubelskich Żydów oraz nawiązanie współpracy z instytucjami zajmującymi się podobną problematyką.

Marta Kubiszyn: Jak postrzega Pani współczesny Lublin w kontekście wiedzy, którą zebrała Pani wcześniej o tym mieście?

Nigdy wcześniej nie byłam w Polsce. Jadąc, chciałam przede wszystkim zobaczyć Lublin – miasto, o którym myślałam tak długo. To było niesamowite przeżycie, chodzić po miejscach, o których tyle czytałam; rozpoznawać te puste przestrzenie, na których dawniej stały żydowskie domy; widzieć drogę, która przebiega w miejscu, gdzie stała kiedyś synagoga. To było jak kolorowanie czarno-białego rysunku. Spodobał mi się Lublin. Niewielka przestrzeń, spokój, specyficzny, odrębny świat, przywodzący na myśl wyrafinowaną prostotę życia dawnych lubelskich myślicieli. Wyraźnie wyczuwa się w nim atmosferę nostalgii i jest wiele miejsc, które przypominają o jego historycznym charakterze.

J. Z.: Jak wyglądały początki YIVO?

YIVO czyli Żydowski Instytut Naukowy został założony w 1925 roku na konferencji żydowskich naukowców i nauczycieli w Berlinie. Na jego siedzibę wybrano Wilno. Nazwa YIVO

Adina Cimet – socjolog; urodzona w Mexico City w rodzinie żydowskich emigrantów ze wschodniej Rzeczypospolitej. Ukończyła studia magisterskie na Columbia University w Nowym Jorku. Tam też obroniła doktorat, a obecnie prowadzi zajęcia dla studentów z wiedzy o współczesnej cywilizacji. Pracuje w YIVO (Institut for Jewish Research) w Nowym Jorku, gdzie realizuje program edukacyjny mający przybliżyć kulturę i historię Żydów Europy Wschodniej. Jest autorką książki poświęconej społeczności żydowskiej w Meksyku oraz wielu artykułów na temat tożsamości i identyfikacji etnicznej.

(JIWO) jest akronimem od Jidiszer Wisnszaftlecher Institut, tj. od pierwotnej nazwy instytutu w języku jidysz. Pomysłodawcami YIVO byli dwaj lingwiści: Nahum Shtif i Max Weinreich. W skład komitetu założycielskiego weszły tak znane osobistości, jak Albert Einstein i Zygmunt Freud. Celem tej instytucji miało być zbieranie materiałów o kulturze Żydów Europy Wschodniej, czyli Żydów aszkenazyjskich, ponieważ nie istniała żadna inna placówka, która zajmowałaby się jej archiwizowaniem i udostępnianiem. A była to kultura bardzo bogata i specyficzna, odrębna od kultury Żydów sefardyjskich czy tych mieszkających w Izraelu.

Czas, w którym powołano YIVO, był okresem politycznego, ekonomicznego i duchowego zgiełku. Żydowska społeczność powoli otrząsała się z szoku I wojny światowej. Powstawało wiele partii i ruchów oferujących rozmaite recepty na aktualne problemy. YIVO, zgodnie z duchem Haskali (żydowskiego Oświecenia), za główny cel postawiło sobie szerzenie nowoczesnej kultury pośród ubogich i niewykształconych mas. Z drugiej strony miała to być również instytucja badawcza ogniskująca zainteresowania na codziennym życiu zwykłych ludzi. Przybliżając Żydom ich własną historię i kulturę, założyciele YIVO mieli nadzieję na podniesienie ich świadomości narodowej i poczucia dumy.

Na początku stworzono kilka grup zbieraczy, zwanych w jidysz zamlers. Były to osoby wędrujące od miasteczka do miasteczka i zbierające informacje, dokumenty, książki, wszystko, co było reprezentatywne dla żydowskiej kultury. Do 1929 roku liczba owych zbieraczy zwiększyła się w Polsce do około 500. YIVO miało oddziały również za granicą. W hallu ukończonego na początku lat trzydziestych nowego budynku Instytutu znajdowała się

Ul. Lubartowska, 29 października 1933. Pogrzeb zmarłego 2 dni wcześniej Majera Szapiry, założyciela i pierwszego rektora Jesziwy Mędrców Lublina. Brało w nim udział kilkanaście tysięcy ludzi, czyli przynajmniej 10% mieszkańców. W 1958 roku brat Szapiry przeniósł jego zwłoki z Lublina do Jerozolimy na cmentarz Har Hamnochet. Na nowym cmentarzu żydowskim przy ul. Walecznych, gdzie był wcześniej pochowany, pozostał tylko symboliczny ohel (namiot). Reprodukcja z *Księgi pamięci Lublina*, Paryż 1952.

wielka mapa z zaznaczonymi filiami w czternastu krajach, m.in. w Wielkiej Brytanii, Rumunii, Argentynie, Południowej Afryce i Palestynie. YIVO od samego początku skupiło wokół siebie grono wybitnych myślicieli, pisarzy, filozofów, historyków, ponieważ Instytut miał stać się „narodową akademią" Żydów. Rzeczywiście, szybko rozwinął się w wiodące centrum badań nad językiem, literaturą i kulturą jidysz. Przez pierwsze piętnaście lat istnienia wydano ponad 2,5 tys. tytułów. Gromadzono też bibliografie i wydawnictwa w języku jidysz drukowane na całym świecie. W ramach Instytutu funkcjonowały cztery sekcje historii: ekonomii i statystyki; lingwistyki, literatury i folkloru oraz psychologii i edukacji.

J. Z.: Po wybuchu wojny YIVO znalazło się w Nowym Yorku. Jak to się stało?

Kiedy w 1940 roku do Wilna wkroczyli Rosjanie, Max Weinreich, w momencie wybuchu wojny będący poza Polską, przeniósł siedzibę centrali Instytutu do jego nowojorskiej filii. Jednocześnie YIVO kontynuował swoją działalność jako część Litewskiej Radzieckiej Akademii Nauk. Gdy w czerwcu 1941 roku Niemcy zjęli Wilno, zamknęli Żydów w gettcie, a specjalna jednostka, zwana „brygadami Rosenberga", rozpoczęła plądrowanie YIVO i innych bibliotek w poszukiwaniu materiałów dla hitlerowskiego Instytutu Badań nad Kwestią Żydowską. Grupa dwudziestu Żydów wysyłana była codziennie z getta, aby segregować książki. Ludzie ci, znani jako „brygada papierowa", ocalili część wartościowych dokumentów, ukrywając je w getcie i w mieszkaniach zaprzyjaźnionych nie-Żydów. Ryzykowali życiem. W Nowym Jorku natomiast już w czasie wojny kontynuowano działalność Instytutu, wydając czasopismo językoznawcze „Yiddish Language" i organizując w 1944 roku wystawę fotografii Romana Vishniaca pt. *Obrazy żydowskiego życia w Polsce przedwojennej*.

Po wojnie kontynuowano projekty rozpoczęte przed 1939 rokiem. Instytut skupił krąg specjalistów, którzy wyemigrowali z Europy. Organizowano letnie kursy języka, kultury, etnografii; rozpoczęto drukowanie książek; uzupełniano bibliotekę; ogłaszano konkursy na autobiografie. W 1947 roku udało się odzyskać część materiałów, które Niemcy wywieźli z Wilna. Stały się one podstawą archiwum YIVO w Stanach Zjednoczonych. Najważniejszą osobą w Instytucie był nadal Max Weinreich. To jego studenci stworzyli pierwsze projekty edukacyjne. Z czasem YIVO stało się centrum badawczym o dużym prestiżu, współpracującym m.in. z Uniwersytetem Columbia, ale pozostającym niezależnym ośrodkiem akademickim.

Mimo biedy życie społeczne tu kwitło. Temat dobry dla celów edukacyjnych, bo każe zastanowić się, dlaczego było to możliwe.

M. K.: Od początku istnienia Instytutu bardzo ważnym elementem jego badań był sam język jidysz.

Instytut przyjął, że oficjalnym językiem badań będzie jidysz jako język codzienny milionów ludzi mieszkających w Europie Wschodniej. Było to najlepsze narzędzie poznawania tej grupy. Jednocześnie chciano podnieść jidysz do rangi języka naukowego. W YIVO ustalono m.in. prawa gramatyki, wymowy i transliteracji jidysz w tłumaczeniu na inne języki. Zasady te obowiązują do dzisiaj. Żydzi tworzyli odrębną i bogatą kulturę, gdziekolwiek się osiedlali. Dzięki temu możemy śledzić ich historię przez tysiąclecia. Warto jednak podkreślić, że diasporę aszkenazyjską wyróżniały dwie cechy. Po pierwsze, stosunkowo duży przyrost demograficzny, po drugie, fakt, że wszędzie posługiwała się tym samym językiem, wzbogacanym, co prawda, o zapożyczenia, ale tym samym. Był on

dla niej narzędziem kreowania kultury. Budował wokół niej granice, ale umożliwiał też stworzenie autonomicznych społeczności, które umiały wyrażać się w pełny sposób, czego najlepszym dowodem beletrystyka tworzona w jidysz. Literatura powstawała również w innych lokalnych odmianach języka żydowskiego, jak ladino czy judezmo[1], choćby w formie ludowych przypowieści czy piosenek, ale nigdy nie osiągnęła tam tak wyrafinowanego poziomu, jak w jidysz[2].

Obecnie, paradoksalnie, jidysz stał się dla potomków Żydów aszkenazyjskich przeszkodą do głębszego zrozumienia kultury ich przodków, ponieważ po wojnie język ten nie odzyskał dawnej pozycji. Holokaust zabrał pisarzy, poetów, myślicieli, a także całe rzesze zwyczajnych użytkowników języka. Ci, co przetrwali, rozproszyli się po świecie, a przeszczepienie kultury osadzonej w języku jidysz na nowe terytorium zakończyło się porażką. Jidysz kojarzono bowiem z życiem w diasporze, ze statusem Żydów jako wiecznych emigrantów i uchodźców oraz z Zagładą. Żydzi, którzy osiedlili się po wojnie w Izraelu, Stanach Zjednoczonych, Zachodniej Europie czy Ameryce Łacińskiej używali go wprawdzie do porozumiewania się między sobą, jednak językiem oficjalnym państwa Izrael stał się hebrajski i na nim zbudowano nową narodową tożsamość. Wszystkim obywatelom państwa Izrael, zmuszonym rozpocząć swoje życie od nowa, jidysz przypominał dramatyczną historię Europy Wschodniej, którą zostawili za sobą.

M. K.: Czy można więc traktować jidysz jako swoisty „klucz" do tamtego świata?

Wizja Lublina z *Księgi pamięci Lublina*, Paryż, 1952. Pozornie jest to tylko nostalgiczny obrazek. Wydaje się jednak, że wybór i rozmieszczenie tworzących go elementów moż-

[1] Judezmo (zwany również spaniolskim lub jidyo) – najważniejszy z języków judeoromańskich, powstał na bazie dialektów kastylijskich na Półwyspie Iberyjskim. Jego historia sięga I wieku n.e., czyli początków osiedlania się Żydów na tym terenie. Po wygnaniu ich z krajów romańskich w XIV i XV wieku na judezmo wpłynęły również inne języki i dialekty romańskie. Dziś określa się go mianem ladino i traktuje jako język Żydów sefardyjskich (od Sefarad, biblijnej nazwy Hiszpanii), w odróżnieniu od jidysz, języka Żydów aszkenazyjskich (od Aszkenaz, biblijnej nazwy terenów Niemiec). Zob.: E. Geller, *Jidysz, język Żydów polskich*, Warszawa 1994.

[2] Ladino z czasem wyparło hebrajski z liturgii i modlitwy. W tym języku powstał przekład Biblii a także obszerna literatura religijna i świecka. Liczba jego użytkowników spadła jednak znacznie już przed I wojną światową. Dziś należy w zasadzie do języków martwych. Najliczniejsza wspólnota językowa Żydów powstała w oparciu o jidysz. Przed II wojną światową mówiło nim 12 milionów osób, czyli trzy czwarte wszystkich Żydów. Jidysz nie wyparł hebrajskiego z liturgii, ale walczył z nim o prymat języka narodowego. Wykształcił formę języka literackiego, w którym powstawała zarówno literatura piękna, jak i naukowa. Na gruncie jidysz ukształtował się w Europie Wschodniej specyficzny folklor, w którego kręgu zrodził się m.in. chasydyzm. Zob.: tamże.

Jidysz otwiera drzwi do kultury tysiąca lat spędzonych przez Żydów w Europie Wschodniej, ale jednocześnie jest zagrożony. Bardzo niewiele osób posługuje się nim na co dzień i niewiele osób uczy się go. Nie ma już pisarzy, dziennikarzy, poetów tworzących w tym języku. Nieliczni, którzy pozostali, nie są w stanie osiągnąć tzw. masy krytycznej. Utrata języka jako podstawowego komponentu kultury danej grupy jest jak utrata klucza do drzwi domu. Bez niego człowiek nie może wejść do środka i jest skazany na włóczęgę po świecie. To bardzo dramatyczne. Nie oczekuję oczywiście, że dzięki pracy Instytutu uda się odtworzyć grupę użytkowników tego języka. Naszym zadaniem jest postarać się, by ludzie zrozumieli, co tracą i pomóc odkrywać ten język na nowo.

J. Z.: Projekt edukacyjny, którym Pani kieruje, jest uważany za nowatorski. Dlaczego?

Ponieważ jego odbiorcami są uczniowie w wieku 16-18 lat. Podobne przedsięwzięcia Instytut realizował już w latach trzydziestych, ale zasadniczo nasze projekty – w których przekazujemy wiedzę o historii, języku, etnografii i folklorze – są adresowane do college'ów i uniwersytetów. Przekonanie władz YIVO do projektu dla młodzieży było równie trudne, jak mój egzamin doktorancki. Budżet Instytutu jest bardzo napięty, więc wszelkie decyzje o dofinansowaniu nowego programu są rozważane niezwykle starannie. Nikogo nie interesuje już kolejna książka na półce, a ja mogłam wziąć odpowiedzialność wyłącznie za jakość pomysłu. Co zrobią z nim szkoły, bo to projekt do nich skierowany, niestety, nie zależy ode mnie. Ale mam nadzieję, że jeśli szkoły ocenią ofertę jako wartościową, przyłączą się i wypromują ją. Ryzyko polega na tym, że inicjatywa wypływa od nas. To my zgłaszamy się do szkół, a nie na odwrót, mając jednocześnie świadomość, jak bardzo wypełniane są programy nauczania. Liczę jednak na tych nauczycieli, którzy chcieliby w swojej pracy podjąć nowy temat, tylko nie wiedzą, jak to zrobić. Władze YIVO przyjęły moje tłumaczenia, postanowiły zaryzykować i przyznały środki na realizację projektu.

Szalom Asz

Jarmark w Lublinie

Po dwóch tygodniach jazdy woźnica Hilel dotarł ze swoją budą do Bramy Krakowskiej w Lublinie. Już z daleka sławne miasto mrugało wysokimi wieżami swoich kościołów i zamków. Wśród nich dostrzegł Mendel również wierzchołek synagogi i natychmiast pokazał go synowi Szlojmele. Wjechawszy przez bramę do miasta, podróżnicy natychmiast zderzyli się z kipiącym życiem jarmarkiem. Hilel z trudem torował sobie drogę wśród licznych pojazdów szlachty. Skierował więc konie w jedną z bocznych ulic żydowskich, ale okazało się, że tu ruch targowy był największy.

Liczne stoiska z przeróżnym towarem po prostu tarasowały ulicę. Na jednych leżały stosy kożuchów, na drugich buty rozwieszone na drągach. Na trzecim bele wełny. Kolorowe chusty chłopskie na głowach żydowskich handlarek mieniły się w słońcu blaskiem. Mieniły się również barwy wystawionych towarów. Cała gama barw. Od barwy kości słoniowej do żółtozłotej. Od krzyków wznoszonych w różnych językach drżało powietrze. Norymberscy rękodzielnicy sprzedawali naczynia ze srebra i mosiądzu. Persowie wystawili na sprzedaż wielobarwne tkaniny w stylu orientalnym. Mieszała się szarość i biel kości słoniowej z żółcią bursztynu. Rozlana miedź z błękitem nieba. Granatowy z bielą śniegu. Cała ta mieszanina barw przypominała szumiącą pianę.

na potraktować symbolicznie i w ten sposób dowiedzieć się, w jaki sposób Lublin był przed wojną postrzegany przez Żydów, a przynajmniej, jak został zapamiętany lub jak chciano, aby był zapamiętany przez potomnych. Grafika przedstawia Lublin o „subiektywnej" topografii. Życie toczy się w nim na wspólnej, kolistej przestrzeni, rodzaju rynku, pomiędzy kilkoma obiektami, które można uznać za znaczące. W lewym dolnym rogu widać Bramę Krakowską, symbol miasta, tutaj zepchnięty na margines i zmniejszony nieproporcjonalnie do rangi. Jest ona jedyną całkowicie „chrześcijańską" budowlą na obrazie. Przez nią wchodziło się na Stare Miasto, w dużym stopniu zamieszkałe przez Żydów. Po przeciwnej stronie, w prawym górnym rogu, widać Bramę Grodzką prowadzącą do właściwej dzielnicy żydowskiej. Ten sposób patrzenia „z lewej do prawej" odpowiada naszym przyzwyczajeniom związanym z kierunkiem czytania oraz intuicyjnemu odbiorowi topografii Starego Miasta, do którego od centrum wchodzi się przez Bramę Krakowską, by, idąc w dół ul. Grodzką, wyjść z niego przez bramę Grodzką. Warto jednak zauważyć, że czytelnik jidysz i hebrajskiego, przyzwyczajony do spoglądania w odwrotnym kierunku, z prawej do lewej, widzi ów układ – z naszego punktu widzenia – jakby w lustrzanym odbiciu. Brama Krakowska jest w nim raczej „wyjściem na zewnątrz" niż „wejściem". Równie interesująca jest oś pionowa obrazu. Cały „świat przedstawiony" grafiki opiera sie na cmentarzu. Płonący wśród macew ogień może symbolizować pamięć. Nad całością góruje Uczelnia Mędrców Lublina, żywe i w zamyśle mające wybiegać w przyszłość na-

wiązanie do świetnej tradycji pochowanych na cmentarzu uczonych. Najbardziej zaskakujące szczegóły widać jednak pośrodku. Znaczną powierzchnię zajmują tam typowe postacie kojarzone z żydowskim kolorytem dawnego Lublina – krawiec, szewc, uliczna sprzedawczyni, nosiwoda, studiujący pisma itp. – ale w samym centrum autor umieścił studzienkę wodociągową (w mieście było ich kilka) i grupkę dyskutujących mężczyzn obok tablicy ogłoszeń z tytułami przedwojennych gazet żydowskich w języku jidysz, hebrajskim i polskim. Powyżej z lewej widać demonstrację pierwszomajową, a poniżej z prawej młodzież przed „Domem Pereca", założonym przez socjalistyczny Bund nowoczesnym domem kultury. Stereotypowa malowniczość żydowskiej ulicy, przez pryzmat której dziś często chcemy pamiętać lubelskich Żydów, sąsiaduje tutaj – ale na drugim miejscu – z problemami współczesności II Rzeczypospolitej: ruchem robotniczym, polityką, brakiem wody i kanalizacji czy laicką kulturą. Z naszej perspektywy problemy te mogą wydawać się prozaiczne i nieciekawe, ale jak widać, to właśnie nimi żył żydowski Lublin.

Marcin Skrzypek: Jaki jest jego główny cel?

Zaznajomienie dzieci żydowskich emigrantów z Europy Wschodniej z kulturą ich przodków. Diaspora jest rozległą społecznością. Programy nauczania, koncentrując się na XX wieku, prześlizgują się tylko po jej wcześniejszej historii i pozostawiają w cieniu tematy związane z językiem i kulturą. Chodzi o to, by te proporcje w pracy z młodzieżą wyrównać. To cel główny, ale nie jedyny. Zależy mi również na promocji YIVO wśród młodych ludzi, by nauczyli się korzystać z naszych badań i materiałów. Mam nadzieję, że w przyszłości uda się objąć projektem także szkoły nieżydowskie. W wielu z nich żydowskie dzieci stanowią znaczny odsetek. Poza tym wiedza, skąd one pochodzą i jaka jest ich kultura, ma znaczenie również dla nie-Żydów. Uczy zrozumienia dla kulturowej odrębności sąsiadów.

M. S.: Czy takie argumenty trafią do nauczycieli?

Dojrzeliśmy już do tego. Społeczeństwo jest w stanie zrozumieć te argumenty i przyjąć je. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, głównie za sprawą mniejszości afroamerykańskiej, rozpoczęły się w USA spory wokół pojęcia rasy, etniczności, koloru skóry, odrębności kulturowej i języka. Dziś podobne dyskusje wywołują protesty latynoamerykanów przeciwko ich dyskryminacji, a trzeba wiedzieć, że w niektórych miastach stanowią oni obecnie prawie 10% ogółu mieszkańców. Członkowie mniejszości etnicznych zdają sobie sprawę z istnienia w społeczeństwie hierarchii polityczno-ekonomicznej, uważając, iż zajmują w niej niższą pozycję. To rodzi bunt. Trzeba pobudzać procesy umożliwiające szybką integrację obywateli związanych z innymi kulturami.

Na początku utożsamiono proces integracji z asymilacją i kulturową homogenizacją. Miało to dać początek nowoczesnemu społeczeństwu, ślepemu na kolor skóry. Jednak szybko okazało się, że odmienni kulturowo obywatele amerykańscy wcale tego nie pragną, że są dumni ze swojej inności i chcą ją zachować. Zaczęły powstawać różnego

„Cnotliwe" światło pereł z jaskrawą czerwienią korali wraz ze wszystkimi barwami zlały się w jedno płonące morze chust, sukni i dywanów.

Zdawało się, że kolory falują, tak jakby tańczyły na jakimś balu maskowym. Na głowach wojewodów, kasztelanów, husarzy i chorążych płomieniały pióropusze. Tu i ówdzie nagle błysnęło światło odbite ze szlachetnego kamienia na turbanie Tatara.

Ogromna masa ludzka i niezwykły ruch panujący na jarmarku przejęły Mendla strachem. Także Szlojmele zaczął drżeć ze strachu. Nawet „strażnik Izraela" Chaim Pocztar nie mógł ukryć niepokoju. Tylko woźnica Hilel zachował spokój. Wbiwszy się głęboko w kozioł, mocno trzymał lejce i pewnie prowadził konie wśród licznych wozów, ludzi i kramów. Nie rozglądał się na boki. Nic go poza końmi nie interesowało. Chciał jak najprędzej dotrzeć do jakiegoś zajezdnego domu.

Z trudem udało się Mendlowi znaleźć w Lublinie wolne miejsce w zajezdnym domu. W końcu zajechali do takiego domu, który już był wypełniony do granic możliwości przez przyjezdnych Żydów. Zjechali się bowiem do Lublina na jarmark Żydzi z całego niemal świata. Z odległych okolic Polski przyjechali rabini i *parnesowie*[1], żeby uzyskać od żydowskiego sejmu odpowiedzi na różne nurtujące ich problemy religijne. Chcieli też przedstawić do rozstrzygnięcia spory, jakie powstały między poszczególnymi gminami żydowskimi. Każdy rabin przyjechał do Lublina w asyście swoich uczniów. Kabaliści ubrani w białe kapoty przyjechali pod wodzą rabina z Poznania reb Szeftla

[1] Parnas (hebr. „urzędnik", „przedstawiciel") – wybieralny urzędnik synagogi, należący do starszyzny gminy (za: Uterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, – przyp. red.).

rodzaju ekstremistyczne ugrupowania i hasła w rodzaju „black is beautiful", a przede wszystkim rozwinęła się tożsamość mniejszości, które zaczęły przedstawiać swoje problemy na forum opinii publicznej. Po stronie większości zrodziła się natomiast świadomość, iż tolerancji i zrozumienia wymaga nie tylko pojedynczy przedstawiciel innej kultury, ale również cała grupa, etniczna mniejszość, co okazało się zupełnie odrębnym problemem. W efekcie np. na uniwersytetach wprowadzono tzw. punkty za pochodzenie dla członków społeczności, mających potencjalnie gorszy dostęp do wykształcenia. Skoro zaś zmieniła się struktura społeczna studiujących, trzeba było dostosować programy nauczania do ich potrzeb, wprowadzając więcej zajęć poświęconych problematyce mniejszości. Dzięki tym przemianom nasz projekt może dziś liczyć na zrozumienie i akceptację odbiorców.

M. S.: Jakie wnioski mogą wyciągnąć Amerykanie z historii Lublina?

Jako socjolog przedstawiam historię z perspektywy socjologicznej. Pokazuję, jak mniejszość może zachować swoją kulturę wewnątrz większości i jak zachodzą procesy wymiany kulturowej. W historii Lublina interesuje mnie zwłaszcza okres świetności miasta w XV i XVI wieku. Polska społeczność żydowska miała wtedy bardzo złożoną i unikalną dla diaspory organizację, chodzi o Sejm Czterech Ziem. Wśród amerykańskiej młodzieży żydowskiej są to mało znane fakty, obrazujące, w jaki sposób, żyjąc w nie swoim kraju, można zachować pełną autonomię i rządzić się własnymi prawami. Nie są to być może wzorce gotowe do przeniesienia na inny grunt, ale uczą nas one myślenia w nowatorski sposób, poszukiwania niestandardowych rozwiązań. Potrzebuje ich obecnie na przykład Kanada.

Historia jest nieustannym procesem łączenia ludzkich działań we wspólną opowieść.

Interesuje mnie także Lublin dziewiętnasto- i dwudziestowieczny. Choć ze świetności miasta pozostały wówczas już tylko wspomnienia, nadal wiele miejsc w jego krajobrazie ro-

Horowica, sławnego mistyka. Prześwietni znawcy pisma, erudyci przybyli wraz ze swoim przywódcą duchowym, lwowskim rabinem, członkiem Sejmu Czterech Ziemstw.

Żydzi przybyli z Niemiec nosili aksamitne kapelusze. Czescy Żydzi mieli na sobie jedwabne płaszcze. Włoscy Żydzi, w których trudno było rozpoznać Żydów, nosili krótkie kolorowe ubrania i przy pasie mieli, wzorem wszystkich szlachetnie urodzonych Włochów, zawieszone szpady. Wielu z nich przyjechało w celach handlowych, ale byli wśród nich również tacy, którzy chcieli studiować w sławnej jesziwie. Polskie jesziwy cieszyły się obecnie taką samą sławą, jak niegdyś talmudyczne szkoły w Babilonii. Uczyli się w nich młodzi Żydzi z całego niemal świata. Niektórzy młodzi uczeni żydowscy przyjechali do lubelskiego grodu po to, żeby otrzymać z rąk tego czy innego stołecznego rabina *semiche*, czyli dyplom uprawniający do pełnienia funkcji rabina lub rytualnego rzezaka. Także autorzy książek przyjechali po zgodę na wydanie drukiem swoich dzieł.

Ci wszyscy ludzie spotkali się na ulicy Bożnicznej, przy której wznosiła się sławna jesziwa i siedziba Sejmu Czterech Ziemstw. Tu również odbywał się jarmark żydowski. Tu na przyległych ulicach rozmieszczone były kramy i stoiska z książkami. Tu również zawodowi swaci urządzali swoje „sklepiki". Zgłaszali się do nich zamożni Żydzi z całego kraju, którzy chcieli wydać swoje córki za mąż za studentów jesziwy. W tych sklepikach ustalano wysokość posagu oraz inne warunki, na podstawie których małżeństwo miało dojść do skutku. W innych kramikach siedzieli za ladą uznani kabaliści,

biło wrażenie, np. Wielka Synagoga. Jeżeli nieliczna i biedna społeczność potrafiła stworzyć takie instytucje jak Uczelnia Mędrców Lublina, czy stojący obok niej szpital, to znaczy, że posiadała duży wewnętrzny potencjał, i to mnie również ciekawi. W tym czasie w Lublinie działa cała gama żydowskich organizacji: bundyści, syjoniści prawicowi i lewicowi, organizacje robotnicze, szkoły, jeszywa, synagogi. Mimo niewielkiego potencjału ekonomicznego życie społeczne kwitło tu jak w dżungli. Temat dobry dla celów edukacyjnych, bo każe zastanowić się, dlaczego było to możliwe.

Życie mniejszości było „podwójne". Najpierw wypełniały zobowiązania wobec państwa, a potem dopiero troszczyły się o własne potrzeby.

M. S.: Sądzimy często, że kultura jest pochodną komfortu materialnego, a tu nagle odkrywamy społeczność bardzo aktywną i kreatywną, choć biedną. To nie tylko zaskakuje, ale i wzbudza poczucie dumy.

To właśnie chciałabym przekazać. Niestety, zachowało się bardzo niewiele świadectw, pozwalających zrekonstruować tamten świat. W studia nad nim włożyłam bardzo wiele wysiłku. Gdybym wysłała tu mniej zaangażowanego studenta, niczego by nie dokonał. Odtwarzając w wyobraźni tamtą rzeczywistość, musimy w konsekwencji, zdać sobie sprawę z koszmaru, który sprawił, że już jej nie ma; wreszcie – musimy zmierzyć się z pustką, która po niej została. To prawdziwa skala problmemów, przed jakimi staje każdy badający ten obszar dziejów. Świat ma strukturę palimpsestu[3], wielu warstw farby nałożonych na siebie. Ta, którą w danej chwili widzimy, nie jest jedyną.

M. S.: Historia jest odpowiedzialnością, takiego sformułowania użyła Pani na spotkaniu z pracownikami Ośrodka. Proszę rozwinąć tę myśl.

Cieszę się, że do niej wracamy, ponieważ kieruję się nią w życiu i staram się przekazać ją moim studentom. Historia jest nieustannym procesem łączenia ludzkich działań we wspólną opowieść. Proces ten musi być podtrzymywany,

[3] Palimpsest – w starożytności i średniowieczu rękopis pisany na pergaminie, z którego zeskrobano lub starto poprzedni tekst.

którzy sprzedawali kamee, talizmany i amulety mające chronić nabywców przed złymi duchami i diabłami. Można było również kupić *supliki* – kwitki z tekstem wypisanym przez kabalistę, które zawieszone na środku pokoju skutecznie chroniły przed diablicą Lilit. Były też sklepiki, w których pobożne i uznane za świątobliwe kobiety żydowskie sprzedawały modlitewniki zawierające *techinot* – błagalne modlitwy kobiece. Te modlitwy miały zapewnić ciężarnym kobietom lekki poród. Sprzedawały również jako panaceum zęby jeleni, korzenie do ssania dla niemowląt i lekarstwo na ból zębów i odczynianie uroków. Pisarze, kopiści wypisywali kupcom w swoich sklepikach weksle, zobowiązania i pokwitowania. Studenci zaś jeszywy mieli monopol na spisywanie na pergaminie intercyz ślubnych oraz kontraktów zaręczynowych. Zarobione przez nich pieniądze szły do wspólnej kasy. Złotnicy w swoich kramach sprzedawali liturgiczne naczynia, jak pucharki używane do kiduszu[2], puszki do przechowywania *etrogów*[3] na Święto Szałasów oraz *belzaminki*, chanukowe świeczniki, które za naciśnięciem odpowiedniego mechanizmu wygrywały stosowną modlitwę.

Głównie jednak na tej ulicy handlowano książkami. Lubelskie słynne na cały świat drukarnie miały prawo drukowania talmudycznych ksiąg bez ingerencji cenzury. Żydzi z całego świata przyjeżdżali do Lublina, żeby tu zakupić żydowskie księgi. We wszystkich domach modlitwy i nauki wyłożone były lubelskie wydania całego Talmudu. Można tu było również nabyć tałesy i *tefilin*[4].

[2] Kidusz (hebr. „uświęcenie") – ceremonia odmawiania modlitw i błogosławieństw nad pucharem wina z okazji rozpoczęcia szabatu i innych świąt oraz ponownie po zakończeniu nabożeństwa porannego, a przed obiadem. Sens Kiduszu polega na oznajmieniu nastania czasu sakralnego, który należy uroczyście oddzielić od zwykłego czasu świeckiego. Rabini za podstawę tego obrzędu uznali Dekalog z jego nakazem: „Pamiętaj o dniu szabatu, aby go uświęcić" (Wj 20, 8). (Tamże, zob. również przypis na końcu tekstu).

[3] Etrog – owoc cytrusowy, jedna z roślin czterech ga-

a niekiedy nawet rekonstruowany. Nie wystarcza jednak samo poznanie czy zrozumienie historii. Każde pokolenie tworzy własny kanon wydarzeń oraz ich interpretację. Nie jest więc obojętne, w jaki sposób myślimy o przeszłości. W ocenie faktów powinniśmy kierować się zwykłą ludzką przyzwoitością, pamiętając o normach etycznych. Większość tego, co się ludziom przydarza, jest logiczną konsekwencją ich czynów. Czując się produktem historii, powinniśmy zastanowić się, co nas tworzyło i zatroszczyć o to, co ukształtuje następne pokolenia. Tak dochodzimy do pojęcia odpowiedzialności. Można je opisać w ten sposób, że staramy się, jak gdyby, przypisać każdemu działaniu jego właściciela, do którego należą również konsekwencje tego działania. Zwykle każdy chętnie wyrzeka się takiej własności i w tym tkwi problem.

M. S.:Wspomniała Pani wcześniej o Waad Arba Aracot, Sejmie Czterech Ziem, który powstał w Lublinie. Dlaczego był tak ważny i wyjątkowy?

Z chwilą opuszczenia Palestyny przez Żydów powstała diaspora, składająca się z rozproszonych społeczności o różnym potencjale kulturowym. Ośrodki słabsze, biedniejsze korzystały z dokonań i doświadczeń tych prężniejszych, czerpiąc od nich wiedzę, wzorce kulturowe i w ten naturalny sposób wyłaniały się ośrodki skupiające władzę sądowniczą, rabinów pełniących rolę autorytetów czy jeszywy jako centra edukacyjne. Ostatecznie proces ten doprowadził do współzawodnictwa między Jeruzalem a Babilonią. Nie było jednak struktury organizującej te rozproszone społeczności w jednolity system prawny, ekonomiczny itp. Spoiwem diaspory była wyłącznie religia. Podobna sytuacja miała miejsce później w Hiszpanii. Tam również działali rabini, bogaci przedstawiciele gminy zajmowali się rozmowami z władzą zewnętrzną, ale tamte gru-

Stary cmentarz żydowski przy ul. Siennej, macewa Szaloma Szachny, zmarłego w 1558 r. założyciela pierwszej lubelskiej jeszywy, wybitnego w skali europejskiej rabina (patrz: „Scriptores" nr 27, s. 92-93). Do dziś jest ona celem pielgrzymek. Tylko z perspektywy kirkutu żydowska tradycja Lublina tak wyraźnie wpisuje się we współczesny krajobraz miasta. Źródło: Photo Archive/Beit Lohamei Haghetaot/Israel (http://english.gfh.org.il/search.asp).

Na tejże ulicy, tuż przy wejściu do mykwy[5], lekarze żydowscy mieli przychodnie, w których puszczali chorym krew, zapisywali leki i rwali zęby. Urzędowały tu również łazienne, które niepłodnym kobietom doradzały, jak zajść w ciążę i jak z góry zaplanować chłopca lub dziewczynkę. Można było także kupić u nich zioła, posiadające moc zjednania serca mężczyzn.

Żydzi polscy, którzy przez okrągły rok przebywali w rozrzuconych na dalekim stepie karczmach, przyjechali na jarmark do Lublina, żeby tu naładować się żydowskością na całą zimę. Wśród kupców uwijały się pobożne, znane ze swojej dobroczynności kobiety, które zbierały datki na rzecz biednych studentów jeszywy. Wzięły bowiem na siebie obowiązek dostarczania im noclegu i pościeli. Chodziły z zapieczętowanymi przez zarząd jeszywy puszkami, do których bogaci kupcy wrzucali pieniądze. Za nie kupowały jeszybotnikom koszule i buty. Słychać było na ulicy ich głośne zawołanie: „Prosimy o datki dla studentów Tory".

Załatwiwszy sprawę przyjęcia synka do jeszywy, Mendel zwrócił się do sejmu żydowskiego z prośbą o wpłynięcie na władze polskie, żeby te uwolniły Żydów od obowiązku ściągania z chłopów czynszu cerkiewnego. Uzbrojony w polecający list od niemirowskiego rabina, łatwo uzyskał dostęp do kierownictwa Sejmu. Sejm obradował w drugiej sali lubelskiej gminy żydowskiej. Przewodniczył obradom rabin Kac, który pochodził ze znanej, bardzo nobliwej rodziny. Był mianowicie ze strony matki

tunków, którymi potrząsa się razem w czasie święta Sukot (Kpł 23, 40). Pozostałe rośliny to: gałązka palmy, witka wierzbowa i mirt (Tamże).

[4] Tefilin (hebr. „przedmioty modlitewne", z aram. „ozdoby") – dwa czarne skórzane pudełeczka zawierające cztery przepisane przez sofera (skrybę tekstów świętych) ustępy biblijne (Wj 13, 1–10; 11, 16; Pwt 6, 4–9; 11, 13–21), które rzemieniami przywiązuje się do lewego przedramienia i górnej części czoła. Tefilin noszą dorośli mężczyźni podczas porannych modlitw w dni powszednie, o słowach Bożych powiedziano bowiem: „Przywiążesz

py Żydów również nie były zorganizowane w jedną całość. A gdy zaczęły się wygnania, kolejno z Hiszpanii, Francji, Wysp Brytyjskich, to nagle, po przejściu doliny Renu, diaspora zorganizowała się na nowych zasadach i powstał żydowski parlament, który należy widzieć przede wszystkim jako centrum komunikacji i koordynacji działań rozproszonych społeczności.

Druk oznaczał likwidację geograficznych barier stojących na straży lokalnych wpływów.

W liście wysłanym z Waad w Lublinie do gminy w Hamburgu – w sprawie Żyda, który nie zapłacił podatków – grzecznościowy zwrot do adresatów zajmuje całą stronę i składa się z samych komplementów, typu „uczeni, najwięksi z największych" itd. Język odzwierciedla zwykle sposób, w jaki ludzie postrzegają innych i sami chcą być postrzegani. Ten rozbudowany system oddawania honorów społeczności stojącej niżej w hierarchii przez stojącą wyżej pokazuje, jak skomplikowanym mechanizmem była żydowska diaspora. Koordynacja działań wewnątrz tej struktury wymagała zdolności mediacyjnych i była bardzo trudna do zorganizowania i legitymizacji. Ponadto każda żydowska gmina sama musiała zorganizować sobie szkoły, cmentarze, domy modlitwy, sama pokrywała ich koszty. Życie mniejszości było jakby „podwójne". Najpierw wypełniały one zobowiązania wobec państwa, a potem dopiero mogły zatroszczyć się o organizacje zaspokajające ich własne potrzeby. Zarządzać, kierować żydowskim gminami, mogła tylko solidna struktura, którą udało się wypracować w Polsce, w Lublinie.

M. S.: Sejm Czterech Ziem jest w projekcie, który pani realizuje, punktem zbiegu wielu wątków tematycznych. Stanowi swoisty punkt widokowy w podróży przez historię. Uzyskujemy dzięki niemu szerszą perspektywę spojrzenia na dany fragment dziejów. Czy takich punktów jest w projekcie więcej?

Kolejnym jest druk – jego historia oraz sposób kontroli przez Sejm Czterech Ziem. Kto, jakie książki może drukować? kto będzie je sprzedawał?

je do swojej ręki jako znak. Niech one ci będą ozdobą przed oczami" (Pwt 6, 8). Nie zakłada się ich w szabat i święta, ponieważ te dni same są znakiem. (Tamże).

[5] Mykwa – łaźnia do kąpieli rytualnych.

[6] Gaon (hebr. „znakomitość", „geniusz") – tytuł wybitnego mędrca, którego wyższość powszechnie uznawano.

[7] Sztadlan (także: „sztadłon", aram. „pośrednik") – Żyd reprezentujący gminę żydowską wobec władz świeckich. Dobrze zorganizowane wspólnoty żydowskie zatrudniały zawodowego sztadlana,

wnukiem *gaona*[6] z Pragi. W Sejmie Czterech Ziemstw zasiadali sławni rabini z Poznania, Lwowa i Krakowa oraz *sztadlani*[7] – orędownicy żydowskich spraw i parnesowie, tacy jak na przykład reb Abraham, parnes z Lublina, i reb Mojsze Muntaltis, potomek uchodźców z Hiszpanii, człowiek wielce szanowany na królewskim dworze. W sumie zasiadało w sejmie trzydziestu rabinów i parnesów.

Przed tym gronem stanął Mendel, żeby zreferować sprawę czynszu cerkiewnego. Dalsze ściąganie czynszu z Kozaków sprowadzi – oświadczył Mendel – wielkie nieszczęście na Żydów.

Sejm uważnie go wysłuchał. Lubelski rabin podkreślił w swoim wystąpieniu, że sprawa jest arcypoważna i należy spowodować zwolnienie Żydów z obowiązku ściągania czynszu od Kozaków. Uczestniczył jednak w obradach zaproszony w tej sprawie reb Zcharia Sobilenko, sztadlan i parnes z tego samego okręgu, co Mendel.

Reb Zcharia sprzeciwił się wnioskowi Mendla. Stwierdził, że zwolnienie Żydów z obowiązku ściągania czynszu z Kozaków wywoła sprzeciw i gniew księży, a zwłaszcza jezuitów, którzy powiedzą, że Żydzi przez oddanie cerkwi chłopom odciągną ich od przechodzenia na wiarę katolicką. Można sobie wyobrazić – podkreślił z naciskiem – co z tego wyniknie dla Żydów. Rabinów i parnesów na dźwięk słów „księża i jezuici" ogarnął strach. Reb Szeftel Horowic, rabin z Poznania, zaczął ciężko wzdychać. Przypomniał sobie, że dwa lata temu oskarżono Żydów w Łęczycy o morderstwo rytu-

Strona tytułowa księgi Zohar, *Księgi Blasku*, wydrukowanej w Lublinie w 1623 roku. Jest to główne dzieło kabalistyczne ukazujące w formie komentarzy do Tory rzeczywistość ezoteryczną kryjąca się za zasłoną codzienności. Wypada w tym miejscu sprostować informację zamieszczoną w poprzednim numerze: nie było to pierwsze wydanie Zohar. Po raz pierwszy wydano ją jednocześnie w Kremonie i Mantui w 1558 roku, co oczywiście nie umniejsza wagi faktu, że tak istotne dzieło w 65 lat po pierwszej publikacji ukazało się właśnie w Lublinie. Ilustracja zamieszczona dzięki uprzejmości Scholem Library w Żydowskiej i Narodowej Bibliotece w Jeruzalem.

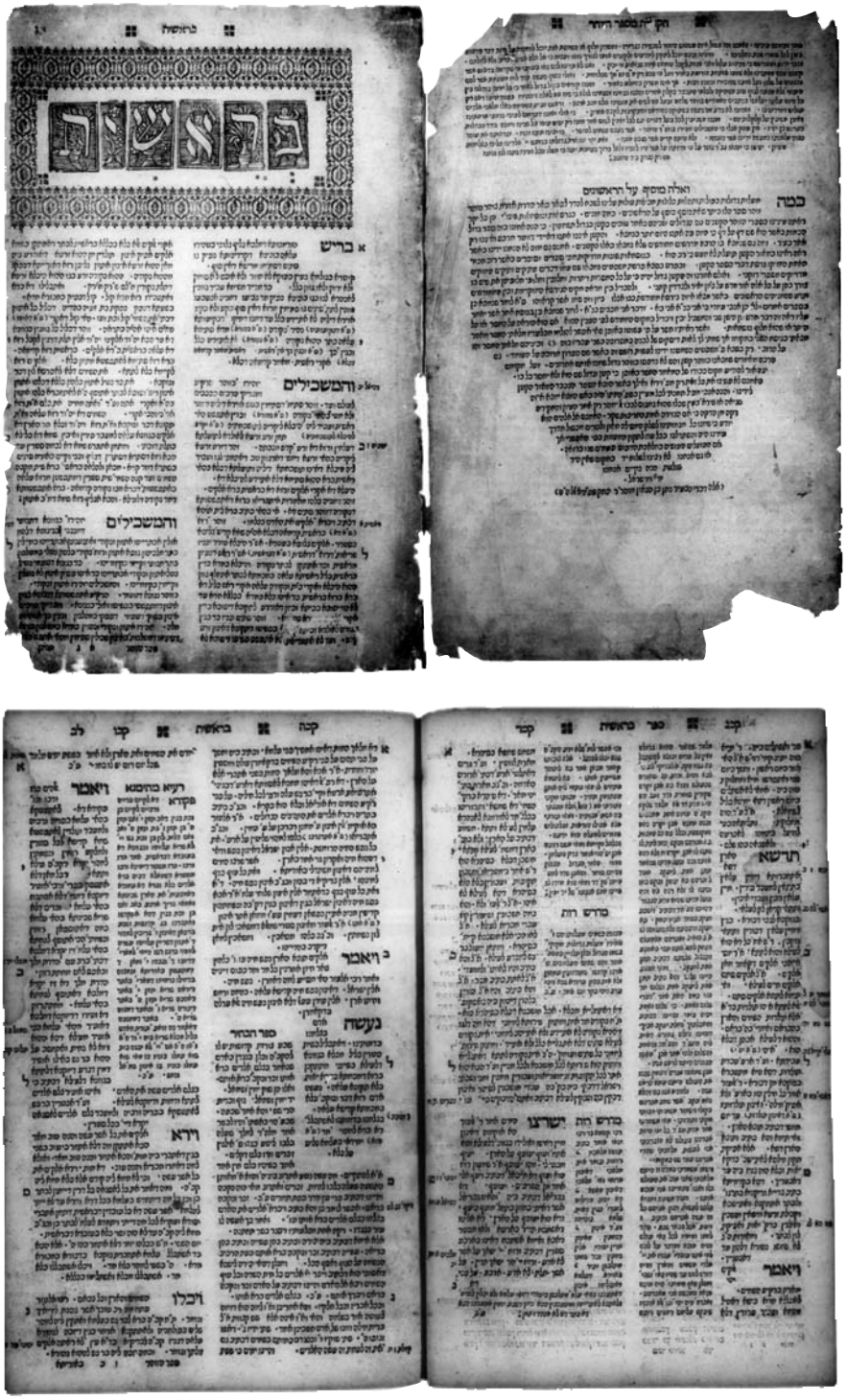

Przykładowe strony wydanej w Lublinie księgi Zohar. Dzięki uprzejmości Scholem Library w Żydowskiej i Narodowej Bibliotece w Jeruzalem.

kto kupował? która jeszywa będzie je studiować itd. – takie problemy roztrząsano. Druk był nowym rodzajem biznesu, a także rewolucją na poziomie intelektualnym i organizacyjnym. Aby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, że przed jego upowszechnieniem obowiązywała w diasporze tradycja miejsca. Lokalny rabin narzucał swojej społeczności własną interpretację przepisów prawa religijnego, według której żyli jej członkowie. Podobnie czynili jego uczniowie i tak aż do czasu pojawienia sie nowej indywidualności. Druk, czyli dawne mass-media, oznaczał standaryzację i likwidację geograficznych barier stojących na straży lokalnych wpływów. Teraz należało się o nie dodatkowo starać, stąd konflikty i dyskusje, które ilustrują, co było stawką w tej grze. Do projektu wybrałam takie motywy, na przykładzie których mogę pokazać relacje, jakie zachodziły między prawem rabinicznym, ekonomią, polityką itp. Życie jest zawsze kombinacją różnych czynników. Dużą wagę przywiązuję też do ilustracji. Zwykły widok karty tytułowej jakiejś księgi jest sugestywnym dowodem życia jej twórców i czytelników.

M. S.: Czy możemy powiedzieć, że Pani projekt jest propozycją alternatywną wobec budowania tożsamości żydowskiej na Holokauście?

Żydzi budują swoją tożsamość na Holokauście, istnieniu państwa izraelskiego i religii. Nie ma oczywiście sposobu, żeby mówiąc o kulturze jidysz, zapomnieć, co się z nią stało, ale nie zamierzam zagłębiać się w tę tematykę. Robią to już inni.

M. S.: Porozmawiajmy chwilę o istniejącej kiedyś w Lublinie ul. Szerokiej. To dzisiaj terra incognita zarówno dla młodych Polaków, jak i żydowskich uczniów w Nowym Yorku. Jeśli jednak zechcą oni szukać swoich korzeni, to choć będą szli różnymi ścieżkami, dojdą do Szerokiej i tam się spotkają. W jakiś sposób ta nieistniejąca dziś ulica jednoczy potomków tych, którzy żyli kiedyś w odrębnych światach.

Rzeczywiście, pisarze jidysz opisywali zazwyczaj sztetl, jak gdyby to był tylko wyizolowany żydowski świat. Dla-

---

alne. Księża zamęczyli wtedy niewinne ofiary na śmierć. Jego blada zazwyczaj twarz w jednej chwili sczerniała. Oczy schowały się głęboko pod czołem. Drżącym głosem oświadczył, ciężko przy tym wzdychając:

– Ciężkie czasy nadchodzą dla domu Jakuba.

Westchnienie jego udzieliło się wszystkim parnesom. Zgodnym chórem oświadczyli:

– Z polskimi władzami możemy się dogadać. One nas rozumieją i my je także, ale sęk w tym, że władze boją się zadzierać z księżmi, z kościołem. Bóg jeden wie, jakie kłopoty mogą z tego wyniknąć.

I tak ogólnym ciężkim westchnieniem załatwiona została prośba Mendla, któremu na koniec udzielono rady, żeby poszukał pomocy u Wiekuistego.

I z tą radą udał się Mendel w drogę powrotną. Kiedy wszedł już do wozu, zauważył stojącego przed jakimś kramem nauczyciela Szlojmele, krawczyka. Stał przed progiem kramu i nawoływał ludzi do kupowania czegoś u niego. Zaciekawiony, czym może handlować krawczyk, zszedł Mendel z wozu i wstąpił do kramu. Tu zobaczył gołe ściany. W kramie nic nie było. Na pytanie, co ma do sprzedania, krawczyk odpowiedział:

– Pokutę, Modlitwę i Dobroczynność.[8]

Przetłumaczył i opracował Michał Friedman

który działał jako jednoosobowa grupa nacisku. (Tamże).

[8] Rozdział 10. powieści *Kidusz Haszem* Szaloma Asza przedrukowany za „Dos Jidisze Wort – Słowo Żydowskie" 1995 nr 2 (80). *Kidusz ha-szem* po hebrajsku oznacza dosłownie „uświęcenie boskiego imienia", męczeństwo za wiarę (zob. „męczeństwo" w: A. Uterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, Warszawa 2000 – przyp. red.).

tego zresztą krytykowano ich twórczość, jako zbyt alegoryczną i symboliczną, ale wiem, że podobnie było z drugiej strony. Polscy pisarze również rzadko wspominali o żydowskim sąsiedztwie. Jako socjolog myślę, że nie istniała sytuacja faktycznego odizolowania obu społeczności czy wzajemnej całkowitej niewiedzy o sobie. Jednak obie grupy wytworzyły kulturę zdolną zaspokajać wszystkie potrzeby jej członków i mogło to w nich stwarzać wrażenie życia wyłącznie we własnym świecie, w kulturowej bańce, a miejscem, gdzie to wrażenie się sublimowało, była literatura. Oczywiście, każde sąsiedztwo zmusza do myślenia w kategoriach relacji między sąsiadami. I wy dzisiaj tym się zajmujecie. Zastanawiam się, dlaczego? Z szacunku, z ciekawości? Co wam daje wiedza o wkładzie Żydów w waszą kulturę?

M. S.: W sensie historycznym nie jest to najistotniejsze. Ważniejsze jest przenikanie kultury żydowskiej i polskiej, które odbywa się obecnie między przeszłością a teraźniejszością. Mówiąc o metaforycznym spotkaniu na Szerokiej, miałem na myśli to, że nasze działania zbliżają nas do siebie mimo dystansu czasowego i geograficznego. W jakimś sensie dopisujemy do tej historii pozytywny ciąg dalszy, mimo że według wszelkich definicji została ona nieodwracalnie przerwana. Nie zgadzam się z częstym wśród Żydów przekonaniem, że wy, wracając do żydowskiego Lublina, poznajecie wnętrze kulturowej bańki, która Polaków nie interesuje. Żydowska przeszłość miasta jest również polskim dziedzictwem, bez względu na to, czy miała miejsce jakaś faktyczna kulturowa wymiana. Innymi słowy, jidysz jest dla mnie ważny, bo mówiono w nim w mieście, w którym mieszkam.

To ciekawe, bo dla mnie praca tutaj ma znaczenie przede wszystkim pod kątem tego, jak Żydzi radzili sobie kiedyś w sytuacji mniejszości narodowej. Przyjechałam tu jako potomek ludzi, którzy co prawda nie pochodzili z Lublina, ale się w kulturze jidysz wychowali, dlatego ja i moje dzieci posługujemy się jidysz. Włożyłam wiele wysiłku

Samuel Lejb Schneiderman
Stary Lublin

W dół prowadzi droga do żydowskiego getta. Nowy Lublin rozłożył się szeroko na górze, na pagórkowatym terenie rozpoczynającym się od Krakowskiego Przedmieścia – a w dole, w ciasnej kotlinie, leży Lublin stary.

Oto ulica Jateczna. Tu rozpoczyna się nędza żydowskiego getta. Rzeźnicy o czarnych i rudych brodach, w białych, poplamionych fartuchach, krają wątrobę, płuca i porcje krezki dla ubogich klientek, którym dopiero w południe udało się zebrać parę groszy na lichy posiłek. Tłuste, bezkostne mięso rozchwytały już z samego rana służące bogatych gospodyń.

Drewniany mostek prowadzi przez suchotniczą rzeczkę, która wije się między uliczkami getta i roi od śmieci i odpadków wyrzucanych z ciasnych izdebek. Murowane domy z ciemnymi, sklepionymi korytarzami zapadają się coraz głębiej i kruszą ze starości. Ramy okienne są powyginane i gdzieniegdzie tylko otwiera się okno w dusznych pokoikach.

Niegdyś, w szesnastym i siedemnastym wieku, zjeżdżały się do tych uliczek wysokie budy, wiozące dozorców kahalnych na zjazdy gmin żydowskich. W niskich, ciasnych sklepikach wzdłuż ulic Żydowskiej i Krawieckiej zakupywali przybysze

Samuel Lejb Schneiderman (ur. 1906, Kazimierz Dolny – zm. 1996, Tel Awiw) był znanym i cenionym publicystą oraz autorem znakomitych reportaży, zwłaszcza ukazujących środowiska żydowskie w Polsce i na świecie. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim. W 1931 roku wyjechał jako korespondent prasy żydowskiej do Paryża, skąd w 1940 roku udał się do Nowego Jorku. Przed 1939 rokiem publikował w prasie żydowskiej w Polsce („Nasz Przegląd" i „Hajnt"), a następnie w USA („Forwerts"). Czytelnicy polscy mogli zapoznać się z jego twórczością dzięki zbiorowi reportaży *Od Nalewek do*

w to, by mieszkając w Nowym Jorku, mieć z tą kulturą łączność. Wzbogaca mnie ona, dzięki niej dostrzegam problemy – np. jak zachować bogactwo i wyjątkowość kultur, jak chronić wymierające języki – które trzeba rozwiązać dla dobra wszystkich mniejszości na świecie. Zwłaszcza wobec niestabilnej sytuacji politycznej.

M. S.: Znowu polityka...

Niestety. Żyjemy w epoce dużego politycznego zamieszania. Dla Żydów wciąż aktualne są pytania: do jakiego miejsca przynależymy? gdzie możemy stosunkowo bezpiecznie mieszkać? Do tych stale aktualnych doszły kolejne. W Izraelu już nie jesteśmy mniejszością, tylko sami mamy mniejszości w obrębie własnego państwa. Polityczne uwarunkowania determinują również Polaków. Myślę, że wasza fascynacja historią wynika z chęci zbudownia nowoczesnego społeczeństwa w nowych warunkach. Powrót do przeszłości prowokuje do dyskusji o roli mniejszości narodowych, co pozwala je lepiej rozumieć i pomaga w procesach integracji zachodzących współcześnie.

M. S.: Pani teza jest taka, że wracamy do historii, by szukać w niej rozwiązań współczesnych problemów.

Właśnie. Dla mnie i moich studentów wizyta w Lublinie nie jest końcem intelektualnej podróży, tylko kolejnym przystankiem na trasie, fragmentem badań, które nie są związane bezpośrednio z Lublinem. Przedmiotem mojej pracy są relacje większość-mniejszość w diasporze i Izraelu.

M. S.: Nasze ambicje są skromniejsze. Chcielibyśmy po prostu, żeby pani studenci wiedzieli, że spotkają tutaj ludzi, z którymi znajdą wspólny język. I choć Lublin będzie dla nich tylko przystankiem, a dla nas jest domem, chcielibyśmy, żeby dowiedzieli się, że kiedyś dzieliliśmy skrawek ziemi i czasu.

Taki cel jest na pewno potrzebny i możliwy do osiągnięcia. Dla mnie wizyta w Ośrodku była poruszającą niespodzianką. Wiedziałam, czym się zajmujecie, ale co innego wiedzieć, a co innego spotkać grupę oddanych swojej pracy osób. Nie byłam na to przygotowana.

znane lubelskie wydania Talmudu, tałesy, megiły[1] i mezuzy[2]. Szewcy, oczytani w księgach świętych, szyli pantofelki dla narzeczonych, a krawczyki-cudotwórcy – jedwabne kapoty dla panów młodych.

Na ulicy Krawieckiej zachowała się dotąd mała piwniczka, w której żył słynny reb Kasze. Święty cadyk za dnia mełł kaszę ręcznym młynkiem, a po nocach, przy świetle łojówki, czytywał i zagłębiał się w świętych księgach – do świtu. Dziś ta piwniczka jest zabita deskami, a małe, kamienne schodki pokruszył i zmełł już młyn czasu.

Tu, w tych uliczkach wokoło zamku, żył w nędzy słynny ze swej mądrości i wiedzy cadyk, przezwany „Żelaznym mózgiem". Granic tego siedliska nędzy nie opuszczali nigdy cadycy Mahrszal i Mahram. Stary gmach, mieszczący w sobie dwie synagogi, stoi tu dotąd jak twierdza z opancerzonymi drzwiami i grubymi murami. Część górna nosi imię Mahrszala, a kamienne schodki prowadzą w dół do synagogi imienia Mahrama. W czasie wojny lub pogromów Żydzi lubelskiego getta ukrywali się w tych murach, uchodząc cało z rąk prześladowców.

O kilka kroków dalej znajduje się bóżnica późniejszego cadyka, przezwanego „Choze" – jasnowidz. Wokoło długich stołów siedzą dziś obrośnięci, obdarci żebracy wędrowni. Kilku Żydów mruczy nad pożółkłymi Gemarami, a na ołtarzu pali się rocznicowa świeca. Powietrze jest przesycone zapachem tabaki i zgnilizny.

wieży Eiffia (przełożonych przez jego żonę Halinę i poprzedzonych wstępem Egona Erwina Kischa), z którego pochodzą powyższe fragmenty reportażu o Lublinie. W 1945 roku z jego inicjatywy i z jego przedmową ukazał się w Nowym Jorku *Dziennik z getta warszawskiego* pióra Mary Berg (wydanie polskie w 1993 roku). W 1973 roku wydano w Nowym Jorku angielską wersję jego książki *The River Remembers*, poświęconej rodzinnemu miastu; obszerne fragmenty w przekładzie polskim zamieścił tygodnik „Fołks-Sztyme" w pierwszej połowie 1986 roku. (Przedruk oraz notka biograficzna za: „Midrasz", lipiec-sierpień 1999. Przyp. red.)

Obok bóżnicy stoi dom rebego Choze. Pokruszone kamienne schodki pną się w górę i skrętem prowadzą do ciemnego, wąskiego korytarzyka. Wszystko tu zakurzone, krzywe – wszystko postękuje ze starości. [...]

Niewiele się tu zmieniło w uliczkach żydowskiego getta. Burze, szalejące nad światem w ciągu ostatnich stuleci, ominęły to kłębowisko nędzy żydowskiej. Przegniłe schodki drewniane wiszą jak dawniej na ścianach, pokrytych niebieskawą farbą wapienną. Dach nad dachem, przy dachu dach – ciasno stłoczone strychy pod błękitem nieba, jak pod niebieskim tałesem dłonie, złączone nad głową w modlitewnym geście.

Na ulicy Krawieckiej i Żydowskiej znajdują się klasyczne eksponaty nędzy. W czterołokciowych komórkach mieszkają rzemieślnicy i handlarze. Czworo lub pięcioro dzieci tarza się na łóżku czarnym od brudu, które służy równocześnie za stół biesiadny dla całej rodziny. Ojciec siedzi na niskim stołeczku i naprawia buty. Dziewczynka, opierając zeszyt na ojcowskim warsztaciku, odrabia zadania szkolne. Matka sprzedaje u progu lilipucie jabłuszka.

Komórka za komórką cały rząd: tu krawiec, dalej szczotkarz, rymarz, blacharz, a przed komórkami – kobiety z koszykami obwarzanków, gotowanego grochu lub małych rybek. Splątane uliczki okrążają zamek warowny, wznoszący się na wzgórzu, w samym sercu żydowskiego getta. Dwa średniowieczne krzywe topory, sterczące na najwyższej wieżyczce więziennej, grożą, ostrzegają mieszkańców.

Ludzie mają tu twarze zapadnięte. Ostre, wystające kości policzkowe budzą niepokój, ale skąd owa łagodność w oczach, skąd te serdeczne, proste słowa? Co sprawia ów cud, że w tych ciasnych siedliskach nędzy nie zrodził się nigdy upiór mordu?

Kroczę po ponurej dzielnicy i na tle nędzy getta moje znoszone ubranie odcina się jak jasna łata na czarnych, postrzępionych łachmanach.

W uliczkach jest cicho – gdzie krzyk rozpaczy i buntu?

Idę dalej; cisza coraz głębsza, domki aż do okienek zakopane w ziemię – i oto najstarszy cmentarz żydowski. Pod górę ciągnie się drewniany płot. Jak rogi jelenie sterczą uschnięte korony rozpadających się dębów. Tu leżą mędrcy Lublina.

Na dole znajdują się groby sprzed stu pięćdziesięciu, dwustu lat. Małe pomniki, zakończone spiczastymi daszkami, wyglądają jak lilipucie domki. Widnieją na nich lekkie ornamenty i wypukłe, kolorowe litery. Dalej, pod górę, narastają stulecia, pomniki są większe, surowsze. Stary Żyd, dozorca cmentarza, ma niesamowicie zieloną brodę i duże, skręcone brwi tejże barwy. Przesiąkł cały mchem i pleśnią cmentarną, mieszka tu samotnie w zmurszałym domku i biegle odczytuje inicjały i na wpół starte epitafia, wyryte przed wiekami na pomnikach. Zna je już na pamięć i powtarza skwapliwie i szybko:

– Tu leży cadyk z dwunastu uczniami. Jeden drugiego żywcem pogrzebał. Jezuici długo męczyli ich na placu przed katedrą i trzynastu cadyków wolało wybrać raczej straszną śmierć niż chrzest – uchowaj Boże!

Odchylam dzikie, kłujące zarośla, aby odczytać epitafia na grobie trzynastu cadyków, ale walące się pomniki pokryte są rojem

Fragment jednego z bardziej znanych zdjęć Stefana Kiełszni: Żyd w drzwiach sklepu na ul. Szerokiej. Ze zbiorów TNN.

[1] Megila (aszk. „megiłe" – hebr. „zwój") – pięć ksiąg hebrajskiej Biblii: Rut, Pieśni nad pieśniami, Lamentacji, Koheleta, Estery [przyp. red.].

[2] Mezuza (hebr. „framuga drzwi", „odrzwia") – zwitek pergaminu zawierający przepisane ręcznie przez sofera (skrybę) dwa pierwsze akapity modlitwy Szma (Pwt 6, 4-9; 11, 13-21; Lb 15, 37-41) umieszczany w pudełku po prawej stronie drzwi. Mezuza jest dosłownym wypełnieniem nakazu zawartego w Szma o wypisywaniu imienia Boga „na odrzwiach twojego domu", podobnie jak tefilin, jest dosłownym wypełnieniem analogicznego przepisu Szma o umieszczaniu słów Boga na ramieniu i „przed oczami". (Więcej: Uterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich* – przyp. red)

„bożych krówek" i czarnych robaczków – nie sposób dojrzeć ani jednej litery.

– Oto grób Mahrszala, tam spoczywa „Żelazny mózg", a tu: reb Kasze...

Pomniki – wielkie kwadratowe płyty kamienne bez ornamentów. Od góry do dołu szerokie strofy wyryte ostrym pismem Pięcioksięgu. Wydaje się, że przed czterema, pięciu wiekami wmurowano tu tablice jakiejś kamiennej Biblii.

Stoimy przed pomnikiem cadyka reb Kasze i dozorca wskazuje zieloną owłosioną ręką stary budynek klasztorny u stóp górzystego cmentarza.

– Widzi pan ten klasztor? Dawniej żyli tu źli mnisi i za każdym razem, gdy przechodził tędy pogrzeb, na złość uderzali w dzwony. Klasztor był kiedyś trzy razy wyższy, ale cadyk, reb Kasze, rzucił nań klątwę i odtąd mury osuwają się w ziemię, co rok o jeden łokieć.

„Suchotnicza rzeczka", czyli Czechówka. Źródło: Photo Archive/Beit Lohamei Haghetaot/Israel (http://english.gfh.org.il/search.asp).

Wracamy na dół i podczas gdy Żyd z zieloną brodą wciąż jeszcze wymienia pomniki świętych cudotwórców, obliczam: lata od śmierci cadyka reb Kasze zamieniam na łokcie zagrzebanej w ziemi części muru klasztornego i dochodzę do prostego wniosku, że w ziemi powinno już tkwić kilkaset łokci mocnego jeszcze budynku...

Zapada wieczór. Nad pochyłym dachem klasztoru wypływa pełny księżyc, jak ogromna maska pośmiertna... Na tle ciemnego, gęstego błękitu nieba dostrzegam jeszcze wyraźnie, że na wieżyczce klasztoru nie ma krzyży.

– Klasztor bez krzyża?

Żyd z zieloną brodą szybko odmawia wieczorną modlitwę. Nie gniewa się jednak, że mu przeszkadzam, i przerywając modlitewny szept, opowiada, że gmach klasztorny został już przed laty odkupiony przez pewnego wychrztę, a jego wnukowie przerabiają teraz budynek klasztorny na fabrykę.

Odchodzę stąd, zaczadzony pleśnią i opowieściami, którymi dozorca cmentarny sypał jak z rękawa. W na wpół rozwalonych izdebkach ulicy Cmentarnej palą się naftowe lampy, ale w jeszybocie Mędrców Lublina płoną teraz światła elektryczne...

W wieczornym mroku getto żydowskie wydaje się jeszcze bardziej stłoczone i ciasne. W gazowych latarniach z potłuczonymi szybkami migoce cherlawe światełko, a w przegniłych, drewnianych gankach gra wiatr jesienny, jakby na tiarach Dawidowych.

Gdzież są owi smętni trubadurzy getta, gdzie pieśń *Nad rzekami Polonii*?

Stoją tu jeszcze średniowieczne wielkie bramy, które zamykały żydowskie getto, oddzielały je od szlachetnych mieszczan lubelskich, jak to w roku 1686 król Jan III surowo nakazał: „Aby się żaden żyd nie ważył sklepów tak górnych, jako dolnych w Rynku y albo w ulicach miasta Lublina naymować (gdyż żydzi maią osobne swoie Miasto y Podzamcze), otwierać ani w nich towary jakiegokolwiek nazwiska, ani funtem, ani łokciem, ani kwaterą sprzedawać, sub poena confiscationis mericum, których połowica do Miasta na reperacyą, połowica kupcom Lubelskim cedera ma. Mieszczanom tudzież, aby pod pretekstem kontraktów swoich w handlach kupcom lubelskim nie przeszkadzali, y pod surowym karaniem Naszym najmować Dóbr swoich żydom w mieście Lublinie nie ważyli się, nakazujemy".

Bramy znikły już spod sklepisk, ale Żydzi nie wyszli dotąd getta, pozostali w nędzy, ubrani w staroświeckie, ciemne roje. Żółte łaty zdjęto już dawno z czarnych kapot. Wolna Rzeczpospolita Polska zapewnia wszystkim swym obywatelom równe prawa, bez względu na wyznanie i narodowość.

Jak równe z równymi stoją więc matki Żydówki i nie-Żydówki u żelaznych wrót lubelskiego więzienia, oczekując widzeń ze swymi synami. Z uliczek getta, z zapadłych wsi, okolicznych miasteczek przybywają one – w perukach i czerwonych chustkach; w ręku trzymają ubogie tłumoczki żywnością.

Pod górę, im bliżej szerokiej, gwarnej arterii Lublina – Krakowskiego Przedmieścia – tym wyżej wznoszą się murowane domy. I one pokryte są patyną przeszłości, ale tu, na krańcach getta, mieszkają bogaci Żydzi, w przestronnych, ciemnych salonach z ciężkimi portierami. W staromodnych serwantkach stoją rzeźbione kadzielnice i srebrne lichtarze, w aksamitnych woreczkach leżą odświętne tałesy, obszyte złotogłowiem.

Cicho jest na czworokątnym rynku i uderzenia starego zera na wieży rozchodzą się w powietrzu fugą niewidzialnych, miedzianych kręgów. Na środku rynku stoi stary gmach trybunału o zakratowanych oknach i okutych drzwiach. W gmachu tym mieści się teraz urząd podatkowy, ale nietknięta pozostała ogromna sala rozpraw, gdzie na stole sędziowskim widnieje wypalona tajemnicza dłoń, a nagi Chrystus, który czuwał nad sprawiedliwością wyroków sędziowskich, odwrócony jest twarzą ku ścianie.

Jakby wykuta ze spiżu jest legenda o starym Trybunale Lubelskim. Wszyscy opowiadają z równą wiarą i powagą historię o diabłach, które ognistą dłonią przypieczętowały na stole sędziowskim ludzką niesprawiedliwość!

Żydówka z piwiarni na Starym Rynku i woźny, oprowadzający mnie po niesamowitej sali, opowiadają niemal tymi samymi słowami, jak to za dawnych czasów odbywał się tu pewnego razu sąd nad ubogą chłopką, którą oskarżał bogaty dziedzic. Jak zwykle, sędziowie stanęli po stronie dziedzica i chłopka została skazana na ciężkie więzienie. A gdy woźni trybunalscy po ogłoszeniu wyroku ujęli skazaną pod ręce, aby ją zaprowadzić do więzienia zamkowego, chłopka krzyknęła sędziom:

– Gdyby tu diabły sądzili, sprawiedliwszy wydaliby wyrok!

Tejże nocy zajechała przed Trybunał czarcia karoca. Wysiadł z niej pełny komplet sędziowski i w tej samej sali, za tym samym stołem, odbył się powtórnie sąd i zapadł wyrok, uniewinniający ubogą chłopkę. Po skończonej rozprawie najstarszy z diabłów położył ognistą dłoń na stole sędziowskim i w ten sposób przypieczętował wydany werdykt. Zawstydzony wyrokiem diabłów, który sprawiedliwszy był od wyroku ludzi, nagi Chrystus odwrócił się twarzą ku ścianie i tak pozostał do dnia dzisiejszego

Ten sam Trybunał Lubelski w roku 1636 za sprawą jezuickiego kolegium oskarżył ludność żydowską Lublina o mord rytualny. Dekret, wydany w tej sprawie przez Trybunał, głosi czarno na białym: „Żydzi lubelscy, a mianowicie: Jeremjasz i Samuel, doktorzy, Wiktor Moszkowicz, Sewek Salamanowicz [następuje około dwudziestu nazwisk – S. L. S.] oraz cały ogół żydów lubelskich, wszyscy razem i każdy pojedynczo, oskarżeni są o zabicie chłopca chrześcijańskiego i wytoczenie z niego krwi na użytek swych obrzędów".

Domy przy ul. Mostowej,1924 r. Fot. Alter Kacyzne. Ze zbiorów YIVO.

Nie zawsze żółty pergamin historii iluminowany jest barwną wyobraźnią ludu. Suche kroniki pozostają często nietknięte w pyle wieków i ponura ich treść nienaruszona przechodzi z pokolenia w pokolenie.

Projekt EPYC
Lublin w amerykańskich szkołach

W ramach Programu Edukacyjnego Kultury Jidysz (The Educational Program on Yiddish Culture – EPYC), powstałego z inicjatywy Żydowskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku (YIVO Institute for Jewish Research), przygotowywany jest obecnie projekt zajęć dla szkół średnich mający na celu zapoznanie amerykańskich uczniów z bogactwem kultury Żydów Europy Wschodniej, od jej początków do II wojny światowej. W amerykańskich szkołach średnich historię Żydów w Polsce często przedstawia się w uproszczony sposób lub nawet pomija. Zaangażowanie nowego pokolenia uczniów w bardzo trudne zadanie, jakim jest próba zrekonstruowania i zrozumienia kultury żydowskiej, która kiedyś kwitła w Polsce, jest szczególnie ważne w sytuacji, gdy nie przetrwała większość jej materialnych przejawów. Uczniom należy umożliwić zrozumienie, w jaki sposób Żydzi i Polacy żyli obok siebie przez setki lat. Program EPYC ma na celu włączenie uczniów w poznawanie tej historii i zachęcenie ich do odnajdywania analogii między nią a bieżącymi sytuacjami ich życia i wydarzeniami na świecie.

Pierwszy etap programu EPYC koncentruje się w całości na regionie lubelskim, który był kiedyś centrum żydowskiego świata w Europie Wschodniej. Rekonstruując historię żydowskiego Lublina, umożliwiamy uczniom pełne zrozumienie jego życia codziennego. Dzięki swemu wielopłaszczyznowemu znaczeniu historycznemu i społecznemu, Lublin jest szczególnie odpowiednim miejscem do rozpoczęcia programu. To królewskie miasto było znane w świecie żydowskim jako miejsce związane z głęboką wiedzą i edukacją. Lublin był także centrum gospodarczym regionu, bardzo ważnym dla Żydów miastem targowym, do którego zjeżdżali się z całej wschodniej Europy, a ponadto siedzibą przedstawicielskiego organu politycznego polskich Żydów. W ten sposób, na kilka tygodni w roku, Lublin stawał się politycznym, religijnym, ekonomicznym i społecznym centrum żydowskiej Polski.

Tak jak kiedyś Żydzi i Polacy chodzili obok siebie ulicami Lublina, tak obecnie Instytut YIVO i Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN" pracują nad zbliżonymi projektami, mającymi na celu ukazanie młodzieży w naszych krajach bogatej wielokulturowej tradycji tego miasta. Pracownicy Programu EPYC, którego cele są częściowo zbieżne z celami programu Ośrodka „Zapomniana Przeszłość – Wielokulturowe Tradycje Regionu Lubelskiego", pragną stworzyć podstawy do rozpoczęcia istotnego dialogu o kulturze większości i mniejszości narodowych.

Dr Adina Cimet
Dyrektor Programu EPYC

Przekład z angielskiego:
Ewa Zabrotowicz

Nie wszyscy Żydzi w Polsce byli mleczarzami.

Adina Cimet

Monografia żydowskiego Lublina
fragmenty

Materiały edukacyjne towarzyszące projektowi EPYC mieszczą się w sporym pudełku. Składa się na nie osiem książek i płyta CD (autorzy w nawiasach): *Cultural Monograph: Lublin* (Adina Cimet); *The Distinctive Life of East European Jewry* (Samuel Kassow); *An Outline of Polish History* (Monika Adamczyk-Garbowska, Christipher Garbowski); *Preface and User Guide*; *Source Material – Appendix*; *Source Material – Maps, Charts, Visuals*; *Curriculum Manual – Basic*; *Curriculum Manual – Advanced*; CD *Yiddish Poetry and Songs*. W chwili oddawania numeru do druku materiały te przechodziły etap drobiagowej korekty.

Lubelskie miasto żydowskie

Lublin, w którym społeczność żydowska tworzyła swój własny mikrokosmos, można uznać za miniaturę jej losów w Polsce. Stanowił on dla Żydów centrum handlowe, polityczne, edukacyjne i kulturalne. Warunki życia były zależne od zróżnicowanych i skomplikowanych czynników, często zależnych od kaprysów sił politycznych i od indywidualnych negocjacji.

[...] W Polsce występowało wiele znaczących form osadnictwa: miasta i miasteczka, wsie, feudalne miasta prywatne i miasta królewskie. Wszystkie one ukazują nam fragmenty historii kraju i jego mieszkańców, jednak dla celów tego studium miejscem szczególnie atrakcyjnym jest Lublin z powodu jego wielopłaszczyznowego znaczenia dla Żydów. Był on regionalnym centrum targowym i miastem królewskim, w którym znajdowało się kilka królewskich instytucji prawnych. W lubelskim zamku zasiadali starostowie, przedstawiciele króla, którym Żydzi podlegali. Również tutaj obradowała największa żydowska instytucja polityczna: Sejm Czterech Ziem, wierzchołek ogromnej piramidy organizacji społecznych (kahałów), której znaczenie i złożoność omówimy później. Poza tym w Lublinie mieściły się cenione instytucje edukacyjne (jeszywy) oraz prawne. W czasach rozkwitu Lublina w Polsce istniały także inne ważne ośrodki żydowskie – Kraków, Lwów i Poznań – jednak to właśnie Lublin, mimo iż nie był ani największy, ani najbardziej rozwinięty ekonomicznie, stał się metropolią, centrum przyciągającym Żydów zarówno z sąsiednich miejscowości, jak i z głębi kraju.

Pewien siedemnastowieczny dokument nazywa Lublin hebrajskim okre-

śleniem *Ir wa-em be-Israel* („miasto i matka Izraela"[1] – zwrot ten pochodzi z fragmentu Biblii, opisującego centralne miasto, z którego rodzą się inne mniejsze osady. Fakt, że Lublin uzyskał taki tytuł, dowodzi nie tylko jego znaczenia, lecz i szacunku, jakim się wtedy cieszył). Określenie to trafnie opisuje ośrodek, który, będąc centrum życia gospodarczego i kulturalnego, odegrał „matczyną" rolę w rozwoju okolicznych mniejszych miejscowości. W drugiej połowie XVIII wieku w regionie lubelskim znajdowało się 15 miast królewskich, z których najważniejszymi były: Lublin, Kazimierz, Ostrów, Chełm, Hrubieszów, Tarnogród, Izbica i Tyszowce. [...]

W tym czasie w Polsce pojawiła się jeszcze inna forma osadnictwa: „miasteczko żydowskie" (sztetl), którego 40 do 60 procent ludności stanowili Żydzi. Powstanie sztetli częściowo wynikało ze zmian demograficznych, jednak oprócz tego zdaniem historyków, z jednej strony sprzyjała mu również władza rabinów, a z drugiej wymuszała je segregacja Żydów narzucona przez szlachtę. Konsolidacja geograficzna (mieszkanie w grupach), jako tradycyjna metoda zapewnienia solidarności, była też logiczną konsekwencją zdarzających się w Polsce fal przemocy, często kończących się dramatycznie dla żydowskiej ludności. Żydom po prostu zawsze łatwiej było chronić się, gdy mieszkali razem. Poza tym bliskość umożliwiała im życie religijne, tworzenie wspólnej kultury oraz ułatwiała zbieranie podatków. Jej potrzebę stwarzał chociażby wymóg codziennej trzykrotnej modlitwy, na której musiał być obecny minian, czyli dziesięciu dorosłych mężczyzn. Styl życia narzucany przez żydowskie władze, oparty na ścisłej kontroli przestrzegania tradycji i nakazów religijnych, również wymagał bliskiego sąsiedztwa. Żydzi mieszkali jednak w wielu miejscach i odbywali dalekie podróże, więc niezależnie od tego, jak bardzo byli skupieni, mieli zawsze kontakt z nie-Żydami. Życie z dala od centrum i w małych skupiskach miało tutaj swoje znaczenie: obie grupy często ignorowały lub nie przestrzegały ściśle mniej stanowczych nakazów – własnych lub władz – jak żyć i jak zachowywać się względem siebie.

Żydzi i nie-Żydzi mieszali się ze sobą w codziennym życiu. Im niższa była pozycja ekonomiczna Żydów w małych miastach czy osadach, tym bardziej prawdopodobny był ich kontakt z nie-Żydami. Historycy ustalili, że pomimo segregacji mniejsze miasta umożliwiały kontakty ludności żydowskiej z nieżydowską, nawet jeśli istniały specjalne dzielnice dla Żydów. Im te grupy były mniejsze, tym bardziej zależne od siebie. Żydzi i nie-Żydzi przeprowadzali między sobą transakcje handlowe i kredytowe. Znane są przypadki mieszanych związków seksualnych, czasem tole-

[1] Albo: Jeruzalem. Przydomek ten nadawano miastom wyjątkowo ważnym dla diaspory. Współcześnie jest on przywoływany np. w odniesieniu do Wilna i Krakowa [przyp. red.].

Lubelscy Żydzi. Fot. Alter Kacyzne. Ze zbiorów YIVO.

rowanych, najczęściej jednak surowo karanych przez starszych. Żydów można było również spotkać, choć nieczęsto, wśród lokalnych złodziei. Te zachowania wskazują na istnienie tendencji integracyjnych.

Aby czuć się bezpiecznie, Żydzi potrzebowali jednak otoczenia innych Żydów. Taki styl osiedlania się wymuszał zdyscyplinowaną gospodarkę dobrami w celu utrzymania separacji i umożliwienia rozwoju kultury. W rezultacie czynniki decydujące o warunkach życia Żydów w dawnej Polsce wydają się dziś skomplikowane, zróżnicowane i trudne do uogólnienia. Istniały bowiem prywatne miasta szlacheckie, wsie i mniejsze osady, rozwijające się w granicach posiadłości arystokratycznych; były też miasta królewskie bądź koronne, należące do monarchy, jak również miasta i wioski będące własnością Kościoła. Chociaż Żydzi mieli specjalne przywileje, oparte na Statutach Kaliskich i potwierdzone przez Kazimierza Wielkiego, pozostawali pod bezpośrednią kontrolą poszczególnych właścicieli ziemskich, którzy przyjmowali ich na swoje włości lub zapraszali do osiedlenia się w którymś z miast królewskich.

Fragment fotografii Altera Kacyzne. Lublin 1924, synagoga na przedmieściach miasta, sięgająca czasów najazdów tatarskich (oryginalny podpis autora). Ze zbiorów YIVO.

Życie migrujących Żydów nie było łatwe. Często zdarzało się, że choć zaproszono już ich do osiedlenia się w mieście królewskim, przedstawiciel lokalnej władzy (wojewoda) przeciwstawiał się tej decyzji i prawomocności przywilejów poprzez wydanie edyktu ograniczającego wolność osiedlania się do przedmieści. Mimo że zaproszenia dotyczyły miast prywatnych i królewskich, istniały w nich grupy, które chciały się Żydów pozbyć. Kiedy władze miast królewskich zgadzały się spełnić to żądanie, w pobliskich miastach prywatnych następował znaczny wzrost ludności żydowskiej, która w ten sposób stawała się podległa szlachcie. Gdy w XVI i XVII wieku podobne sytuacje zaczęły być coraz częstsze, starsi kahałów zdali sobie sprawę, że wydane przywileje nie są absolutną ani doskonałą gwarancją ich praw. Opierając się więc na wcześniejszych, podstawowych przywilejach, wszyscy Żydzi, zarówno z miast królewskich, jak i prywatnych, próbowali potwierdzać swoje prawa u osób, które w danym czasie i miejscu znajdowały się u władzy. Precedens prawny nie zapewniał jednak poczucia przynależności ani spokoju.

Żydzi stanowili zarówno rezerwę demograficzną, którą można było rozmieścić w wielkich latyfundiach lub majątkach ziemskich, jak również grupę godną zaufania, która odwdzięczała się lojalnością w zamian za zapewnienie jej miejsca w społeczeństwie. Po stratach powodowanych częstymi epidemiami, wojnami, powstaniami kozackimi, pożarami i innymi katastrofami, Żydzi szukali nowych miejsc, w których mogliby się osiedlić i znaleźć zarobek. W czasie migracji wytrwale pracowali nad odnowieniem lub pozyskaniem przywilejów, które potwierdzałyby ich nowy status. Po osiedleniu się spełniali rozmaite role: byli stróżami, przedstawicielami właścicieli lub zarządców na oddalonych placówkach, współobrońcami miast w czasie zagrożeń, pomagali w utrzymaniu fortyfikacji lub służyli w armii. Wciąż jednak często podważano ich prawa, a czynili to zwłaszcza ci, którzy utożsamiali Żydów z dominującą klasą, dla której ci pracowali. Kościół i mieszczanie często domagali się całkowitego wygnania Żydów. Tak więc, choć istniały poważne argumenty za utrzyma-

niem ludności żydowskiej w strukturze społecznej, wielu uważało, że powinna ona być w możliwie jak największym stopniu „niewidzialna".

Rzeczywistość była jednak zawsze bardziej skomplikowana niż życzenia poszczególnych grup interesu. Nawet tam, gdzie istniała segregacja, niejednokrotnie ustalano zasady umożliwiające ich obchodzenie zarówno Żydom, jak i nie-Żydom. Na przykład nakazywano Żydom mieszkać na peryferiach, lecz pozwalano przyjeżdżać do miasta w pewnych okresach, jak choćby w dni targowe. Wtedy też dokonywano wynajmu, wymieniano towary i zawierano interesy. Okresowe potwierdzanie aktów prawnych podtrzymujących segregację, a z drugiej strony regularne przyznawanie praw osadniczych ukazuje wyraźnie ambiwalentny stosunek do Żydów.

Segregacja i wzajemne odziaływanie – parapolis

Relacje między polską większością a żydowską mniejszością znalazły odbicie w powstaniu parapolis, usankcjonowanej prawnie formie rozbudowy miast, która zapewniała każdej z grup jednorodne środowisko. System ten pozwalał wprawdzie na rozkwit odrębności kulturowej, jednocześnie jednak skrywał politykę uprawomocnionej dyskryminacji, która legła u jego podstaw.

W dwóch dużych ośrodkach Żydzi uzyskali przywilej „de non tolerandis Christianis", czyli prawo wykluczające chrześcijan z ich sąsiedztwa. Miało to miejsce na krakowskim Kazimierzu w 1568 roku, w Poznaniu w 1633 oraz w 1645 roku we wszystkich gminach litewskich. W miastach królewskich, do których przeważnie nie mieli dostępu, Żydzi grupowali się w miejscach nabytych dzięki przywilejom, tworząc w ten sposób **miasto obok miasta**. Tak właśnie stało się w Lublinie. Odseparowani i wyrugowani na peryferie Żydzi wybudowali dla siebie drugie miasto, miasto na zewnątrz miasta, które będziemy nazywać **parapolis**. Dzięki temu mogli, nie łamiąc reguł, czerpać korzyści z sąsiedztwa dużego ośrodka, z którego byli wykluczeni. Jednym z ich codziennych zadań stały się negocjacje i stosowanie rozmaitych strategii w celu zdobycia dostępu do „prawdziwego" miasta i poszerzenia działalności gospodarczej.

Z dokumentów podatkowych pochodzących z początku XVI wieku wynika, że w tym czasie istniało w Polsce około 170 wspólnot żydowskich. Żydzi osiedlali się poza miastem lub w wioskach i miastach, w których im na to pozwalano. Stulecia, które upłynęły od kiedy Żydzi przybyli na polskie ziemie, przyniosły im stałe miejsca zamieszkania, ale nie dały poczucia przynależności. Miejsce i sposób ich osiedlania się były ważną sprawą zarówno dla nich, jak i dla całego społeczeństwa. Konkretne przywileje gwarantujące prawa osadnicze miały jednak wielkie znaczenie nie tylko dla Żydów i tych, którzy je wydawali, ale również dla tych, którzy szukali sposobów na ich unieważnienie.

Magnateria i bogata szlachta władała wielkimi posiadłościami ziemskimi. Niektóre z nich obejmowały od dwóch do dziesięciu dworów, jedno lub dwa miasta, ponad dwadzieścia wsi oraz rezydencje właściciela i głównego zarządcy. Około 70 procent Żydów w Polsce mieszkało w posiadłościach, wioskach i miastach należących do zamożnych arystokratów, którzy przyjmowali ich na służbę w charakterze namiestników, aby powiększali gęstość zaludnienia na obszarach, do których panowie rościli sobie prawa i by pracowali jako lojalni nadzorcy i dostarczyciele usług potrzebnych w majątku. Mieli też pomnażać zyski z dzierżawy i wynajmu ziemi, którą to działalność poczęto określać ogólnym terminem „arendowanie".

Miasta królewskie, tworzone dla zaspokojenia potrzeb administracyjnych

panującego, który był najpotężniejszym i najbogatszym przedstawicielem elity, również przyciągały Żydów. Uosabiały one potęgę i władzę, a zarazem były głównymi ośrodkami działalności gospodarczej. Położony w strategicznym miejscu Lublin stał się centrum szlaku handlowego łączącego ważne i odległe miejsca. Oprócz tego był ośrodkiem sądowniczym, w którym negocjowano i rozwiązywano konflikty i spory. Zainteresowanie Żydów Lublinem i chęć stania się jego częścią są więc oczywiste. [...]

Lublin

Materiały archiwalne oraz świadectwa osób pozwalają nam zrekonstruować niektóre elementy codziennego życia Lublina. Wspomnienia ze spędzonego w nim dzieciństwa mówią o rytmie dnia powszedniego, o wartościach, radościach i wciąż istniejących zagrożeniach, które kształtowały żydowski Lublin.

Naszym zadaniem będzie teraz przyjrzenie się Polsce międzywojennej. Musimy wyobrazić sobie życie różnych grup Żydów, aby poczuć puls miasta za dnia i usłyszeć ciche dźwięki nocy; poznać zapachy miejskich targowisk i odgłosy targowania, ujrzeć biedaków i ich codzienne problemy, odwiedzić domy i poznać zasady, według których żyli ich mieszkańcy, spróbować potraw i rozpoznać kuchenne wonie, być świadkiem dyskusji przy stole w czasie szabasu i ocenić zapalczywość tonu różnych głosów, zaobserwować, jak kobiety podejmują w społeczeństwie nowe role, posłuchać popularnych piosenek i pójść na przedstawienie, usłyszeć śmiech dzieci bawiących się na podwórku – i spróbować rozpoznać ich zabawy – oraz głosy nauczycieli, woźniców i rzeźników na zebraniu politycznym, zobaczyć, jak starsi karcą młodzież, podsłuchać rozmowy zakochanych, obejrzeć zawody sportowe i wybrać się na długi spacer głównymi ulicami, by wyłowić z ich szumu melodyjny półgłos minian w synagogach i zawiłe *szewrusa* (lekcje polegające na dialogu połączonym z dyskusją) w czasie zwykłego dnia nauki w jesziwie.

Większość książek historycznych daje nam bardziej uporządkowany obraz ówczesnego życia: możemy dowiedzieć się z nich, że ludzie popierali rozmaite linie polityczne, podejmowali różne działania i tworzyli rozmaite związki. Niektórzy, rozczarowani religijnym życiem, dystansowali się od tradycji i praktyk religijnych. W książkach tych znaleźć można zdjęcia ludzi ubogich, być może żebraków, dzieci w sierocińcach, uczniów w szkołach, nosiwodów, zdjęcie nauczyciela i prostego krawca. Dowiadujemy się, że istnieli złodzieje, oszuści, bogate rodziny, wspaniałe synagogi, rzeźnicy, kupcy, lekarze i intelektualiści. Nic jednak nie przygotowuje nas do ujrzenia i zrozumienia tego świata w procesie jego intensywnego rozwoju – świata zróżnicowanego politycznie, dążącego do zmian, przewartościowującego tradycję i jej funkcje, godzącego religię z pojawiającymi się świeckimi trendami.

Gdy patrzymy na ówczesnych ludzi i ich rodziny, często spostrzegamy wśród nich niespotykaną dzisiaj różnorodność: rodzice są religijni, a dzieci są socjalistami, syjonistami lub robotnikami działającymi w związkach zawodowych. Młodzi ludzie, niegdyś gorący zwolennicy któregoś z poglądów politycznych, wchodzą w nowe układy i zmieniają partie polityczne, by dołączyć do swoich przyjaciół, nauczyciela czy rabina. Podczas gdy jedni porzucają styl życia oparty na wierze, inni taki styl podejmują. Zdarzają się domy, w których dziadkowie są tradycyjni, rodzice nieco bardziej świeccy, lecz wciąż zachowują na przykład tradycyjne reguły związane z pokarmami czy obchodzeniem świąt, zaś

dzieci badają zupełnie nowe możliwości pojawiające się na horyzoncie żydowskiej egzystencji. Podziały te nie były aż tak ostre jak sugerują podręczniki, ale na pewno społeczeństwo to było niejednolite. „Skrzypek na dachu" nie jest archetypem, nie wszyscy Żydzi w Polsce byli mleczarzami. W tym świecie, który miał własne marzenia i kłopoty, możemy odnaleźć wiele różnych typów ludzkich z bardzo szerokiego spektrum.

Na tle problemów, z którymi borykali się ówcześni ludzie, istniała jednak nadzieja. Nie wszystkim pokoleniom dana jest ona w równym stopniu. W latach międzywojennych była to nadzieja stworzenia spokojnego miejsca do życia lub też nadzieja, że jakaś szersza wizja odmieni oblicze całego świata. Różne grupy Żydów różnie podchodziły do tych kwestii. Jednak nadzieja miała wkrótce wymieszać się z rozpaczą. Po drugiej wojnie światowej, w obliczu śmierci, ludzkich tragedii i poczucia bezcelowości, państwo Izrael stało się dla Żydów uosobieniem historycznej i moralnej nadziei. Dla większości Żydów oznaczało ono możliwość normalizacji politycznej i perspektywę ochrony, której im dotąd brakowało. Izrael powstał zatem jako latarnia wskazująca przyszłość, która wciąż będzie przynosić przeszkody i wyzwania.

Przekład z angielskiego i adaptacja:
Ewa Zabrotowicz, Marcin Skrzypek

W momencie oddawania numeru
do druku tekst angielski był
w trakcie korekty

Lublin 1925. Konsekracja Jeszivy Chachmej Lublin – Uczelni Mędrców Lublina. Dla stojących na jej schodach Żydów była ona soczewką skupiającą wielką przeszłość i przyszłość żydowskiego Lublina oraz nadzieją na odrodzenie żydowskiej diaspory w duchu edukacji łączącej tradycję z nowoczesnością. Fot. Alter Kacyzne. Ze zbiorów YIVO.

Monografia żydowskiego Lublina – spis treści

LUBLIN I
WPROWADZENIE: MIGRACJA I OSADNICTWO

I LUBELSKIE MIASTO ŻYDOWSKIE
Zasady osadnictwa jako przywileje
Segregacja i wzajemne oddziaływania – parapolis
Podzamcze, „parapolis" Lublina
Powstanie żydowskiego Lublina

II ŻYCIE SPOŁECZNE
Pejzaż miejski
Życie w centrum i na przedmieściach
Cechy rzemiosł i stosunki zawodowe
Żydowscy rzemieślnicy i ich organizacje cechowe
Pozostałe zawody żydowskie
Niestabilność polityczna i migracje wewnętrzne
Znaczenie jarmarków
Wzajemne stosunki i napięcia społeczne
Wypędzenia i oskarżenia o mord rytualny jako stałe zagrożenie

III RZĄDY
Autonomia żydowska: prawo, sądy i system sądowniczy
Szalom Szachna i próba centralizacji żydowskiej społeczności
Podatki
Sejm żydowski – Waad Aracot
Polityka i powstanie elity władzy – eksperyment
Kahał
Funkcje sejmu żydowskiego – jego status i pozycja
Kodeksy prawne

IV DRUK JAKO KATALIZATOR PRZEMIAN
Wpływ druku na wiedzę
Przemysł drukarski
Skutki społeczne
Osobistości – rabini

EPILOG

LUBLIN II

I ROZKWIT KULTURY POMIMO KRYZYSU GOSPODARCZO-POLITYCZNEGO
Przemiany społeczne
Zmiany i kontynuacje
Życie religijne
Haskala jako żydowska odmiana Oświecenia
Rozwój chasydyzmu
Wpływ nacjonalizmu i politycznego przystosowania na żydowskie autorytety
Nieosiągalna zmiana polityki i echo pogromów
Spory wokół mniejszościowego statusu Żydów
Język i polityka

II WEWNĘTRZNE RUCHY SPOŁECZNE
Wprowadzenie
Chasydyzm – wewnętrzne wyzwanie dla tradycyjnego przywództwa
Nowi przywódcy

Chasydzi lubelscy
Przesłanie chasydyzmu
Powstanie partii polityki religijnej
Meir Szapiro i Jesziwa Chachmej Lublin (Uczelnia Mędrców Lublina)

III POSTAWY ŻYDÓW WOBEC ZMIAN POLITYCZNYCH W EUROPIE
Transformacja kontekstu politycznego
Wprowadzenie
I wojna światowa – nowe państwa i ich mniejszości
Dziewiętnastowieczna Rumunia jako przykład autonomii
Gwałtowny wzrost antysemityzmu
Traktat o mniejszościach w Polsce
Żydzi jako mniejszość o charakterze większościowym
Rozwiązania dla niektórych mniejszości
Reakcja silnych państw
Możliwe rozwiązanie
Żydowski lobbying – poszukiwanie rozwiązań politycznych
Ideologie żydowskie
Wprowadzenie
Ideologie
Postawy polityczne wobec problemów współczesności – nowe rozwiązania starych kwestii
Migracja jako dobrze znana alternatywa
Syjonizm
Autonomia – różnice ideologiczne
Wpływ polityki na tożsamość
Państwo Izrael

LUBLIN III

I NOWOCZESNY LUBLIN I JEGO PRZEDMIEŚCIA
Przedmieścia Lublina
Tożsamość – ciągły proces tworzenia
Region – sztetle i ich kultura

II ŻYCIE MIEJSKIE I KULTURA
Lublin
Z wypowiedzi lublinianki
Szkoły
Synagogi
Literatura
Więzienie
Robotnicy i związki zawodowe

III ŻYDOWSKIE ORGANIZACJE W LUBLINIE
Organizacje ochrony zdrowia
Banki
Partie polityczne – ugrupowania młodzieżowe
Sport

IV DRUGA WOJNA ŚWIATOWA I HOLOKAUST
Jak zniknęły dobrosąsiedzkie stosunki
Wyzwolenie: ocaleni
Szczególna odpowiedzialność ugrupowań młodzieżowych.
Organizacje polityczne
Ocaleni i odbudowa ich życia

REGION LUBELSKI DZISIAJ: EPILOG

„Podpowiedź". Fot. Alter Kacyzne. Lublin 1924. Ze zbiorów YIVO

Wojny między hebrajskim a jidysz nie prowadzili prawdziwi pisarze, lecz ideolodzy, politycy, organizatorzy, teoretycy i pismacy. Niemniej jednak była ona koniecznością.

Hillel Halkin

Wielka żydowska wojna językowa

Hillel Halkin jest pisarzem, dziennikarzem i krytykiem od 1970 roku mieszkającym w Izraelu. Pisuje m.in. do „New York Forward", „Commentary" i „The New Republic". W swoich artykułach i książkach porusza różnorodną tematykę związaną z kulturą, literaturą i polityką.

Żydowskie powiedzenie mówi: *Man tracht un got lacht* – człowiek myśli, a Bóg się śmieje. Dorastałem w przekonaniu, że jidysz jest moim wrogiem, a teraz między innymi zajmuję się tłumaczeniem literatury w tym języku. Powinienem dodać, że był to wróg ukryty, ponieważ jako chłopak z Nowego Jorku w latach 50-tych nie mogłem dokładnie określić, jakie zagrożenie niesie ze sobą ów język, który codziennie rano docierał pod frontowe drzwi w nieszkodliwej postaci „Morgn żurnal", dziennika w jidysz, który mój ojciec prenumerował wraz z „The New York Times". [...]

Jidysz, język ojczysty obojga moich rodziców, faktycznie używany przez

nich, kiedy zachodziła taka potrzeba, był jedną z niewielu rzeczy, które mogły wyraźnie rozzłościć mojego ojca, na co dzień człowieka zrównoważonego. Jedno ze wspomnień z dzieciństwa, kiedy widziałem go w takim stanie, to scena, kiedy ojciec krzyczy na jidysz – lub raczej na swojego przyjaciela Bena Dworkina, którego żona była córką poety piszącego w jidysz, Solomona Bloomgardena, znanego bardziej pod swym pseudonimem literackim jako Yehoash. Nie pamiętam dokładnie, o czym rozmawiali, czy też co wyprowadziło mojego ojca z równowagi, ale wnioskując z ich kłótni, było dla mnie jasne, że Ben Dworkin i jidysz stali po jednej stronie wielkiego muru, a mój ojciec po drugiej. [...]

Wojna pomiędzy zwolennikami hebrajskiego a jidysz trwała mniej więcej od roku 1900 do 1940 i była jedną z tych wielkich *Kulturkämpfe*, wojen domowych bez przemocy, które zdarzały się w historii żydowskiej. U swego szczytu zawziętością dorównywała schizmie z IX wieku pomiędzy karaitami[1] a rabanitami lub konfliktowi z drugiej połowy XVIII wieku pomiędzy chasydami a *mitnagdim*[2], jednak w przeciwieństwie do nich, nie starała się pogodzić czegoś całkowicie nowego w świecie żydowskim z czymś zdecydowanie starym. Jidysz i hebrajski funkcjonowały w symbiozie przez co najmniej tysiąc lat, od kiedy jidysz rozwinął się w Europie na ziemiach niemieckojęzycznych jako żydowski dialekt bogaty w hebrajskie słownictwo. Osiągnęły ten stan, dzieląc się sferami życia społeczeństwa żydowskiego: hebrajski był językiem liturgii, praktyk religijnych, świętych tekstów, rabinistycznych dyskursów oraz oficjalnej literatury, a jidysz językiem mowy codziennej, folkloru, komunikacji na piśmie oraz prostych modlitw dla osób słabiej wykształconych, a szczególnie kobiet. Ponieważ obydwa języki całkowicie się uzupełniały, nie było powodów do tarć między nimi.

W tym sensie związek jidysz z hebrajskim przypominał związek hebrajskiego z innymi językami używanymi przez dużą liczbę Żydów od czasów antycznych, kiedy hebrajski stracił status języka codziennego. Mieliśmy więc: hebrajski i aramejski, hebrajski i grekę, hebrajski i arabski, hebrajski i judeohiszpański. Choć każda z tych par posiadała cechy je wyróżniające, we wszystkich przeważał podobny schemat. W każdym przypadku hebrajski pozostawał w pozycji *leszon ha-kodesz*, języka objawienia i wysokiej kultury, języka świętego, lecz martwego, nie używanego potocznie, natomiast jego partner był *la'az* – stopniowo adaptowanym językiem ulicy używanym przy wszystkich okazjach dnia codziennego, ale zawierającym słowa hebrajskie w liczbie wystarczającej do odróżnienia go od mowy nieżydowskich sąsiadów.

Tradycyjne związki pomiędzy hebrajskim a uzupełniającym go miejscowym dialektem można było scharakteryzować – co też robiono – za pomocą różnych metafor. Porównywano je na przykład do pana i sługi: język potoczny „wykonywał" codzienne czynności pod nadzorem języka nadrzędnego, który je „zlecał". Kiedy indziej przyporządkowywano je do dwóch kast społecznych, z których wyższa była kastą kapłańską, „bramińską", a druga niższą, laicką i plebejską. Można je było też wyobrazić sobie jako męża, który wykonuje zadania wyższego rzędu i żonę prowadzącą dom. Lub też jako *s'fat awot*, „język ojców" i surowych męskich obowiązków, oraz *mame-loszn*, matczyny język miłości i ciepła.

Porównania takie były w rzeczywistości czymś więcej niż zwykłymi me-

Ul. Krawiecka. Fragment pocztówki ze zbiorów Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

[1] Karaici (lub: karaimowie, od hebr. *karaim* – „ludzie Pisma") – sekta żydowska założona w Babilonii w VIII w. n.e. przez Anana ben Dawida z Basry (754–775), który zebrał wokół siebie ugrupowania opozycyjne wobec tradycji rabinicznej. Anan uznawał wyłącznie autorytet Starego Testamentu, odrzucając wszystkie późniejsze komentarze (m.in. Talmud) i ustną tradycję. W VIII–X wieku karaizm rozszerzył się w Mezopotamii, Syrii, Północnej Afryce, Bizancjum, Persji i państwie chazarskim, po którego upadku część ludności tureckiej pozostała przy karaizmie. W 1863 r. doszło do odłączenia się rosyjskich karaitów, którzy uważali się za naród odrębny od Żydów. Również hitlerowcy uznawali karaitów za rasowo odrębnych, dzięki czemu uniknęli oni prześladowań. Obecnie pozostało kilka tysięcy osób tego wyznania. Wielu z nich żyje w Izraelu, gdzie cieszą się autonomią religijną.
Karaimowie byli obecni w życiu gospodarczym dawnej Rzeczpospolitej Obojga Narodów jako kupcy, bankierzy i negocjatorzy. Pierwsza faza osadnictwa

Ul. Krawiecka. Fragment pocztówki ze zbiorów Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

taforami. Co prawda każdy mówił w *la-'az*, a modlił się w *leshon ha-kodesh*, adeptami i głównymi użytkownikami tego drugiego byli rabini, bogacze, ludzie wykształceni i mężczyźni, podczas gdy ludzie biedni, niewykształceni oraz kobiety posługiwali się tylko językiem potocznym. [...] Tak jak dwa narody, które przez wieki żyją w pokoju pod imperialną kontrolą, a zaraz po upadku imperium w duchu wojowniczego nacjonalizmu zwracają się przeciwko sobie, tak samo hebrajski i jidysz ostatecznie wypowiedziały sobie wojnę. To również nie jest tylko zwykłą przenośnią, ponieważ o ile owo „imperium" można uznać jedynie za metaforę kultury rabinistycznej kontrolującej tradycyjną żydowską dwujęzyczność, to nacjonalizm, który je rozbił, był czymś realnym. Należał do wielkiej fali nacjonalizmów, które przetoczyły się przez dziewiętnastowieczną Europę, wraz ze stopniowym upadkiem prawdziwych imperiów – napoleońskiego, habsburskiego, otomańskiego, carskiego – oraz kiedy Żydzi przyłączyli się do ogólnoświatowej walki o uznanie i samostanowienie.

nastąpiła za czasów księcia Witolda w XIV w. Karaimowie otrzymali wówczas zadanie obrony granicy litewskiej przed Krzyżakami. Jako grupa etniczna, religijna, szczuplejsza liczebnie od Tatarów, a więc nie zagrażająca panującemu, zawsze znajdowała opiekę władców. W 1935 liczbę Karaimów w Polsce szacowano na 900-1500 osób. Obecnie Karaimowie tworzą trzy gminy wyznaniowe (Warszawa, Wrocław, Trójmiasto, ok. 150 os.). Często są to rodziny mające

Ul. Krawiecka. Fragment pocztówki ze zbiorów Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

W tej walce nie było miejsca na dwujęzyczność. Europejski nacjonalizm wyrósł z romantyzmu i tak jak jego rodzic był radykalnie monistyczny. Hasło „jeden naród, jeden język, jeden kraj" stało się zawołaniem każdego ruchu narodowościowego w Europie, skolektywizowaną wersją romantycznej niezależności. Dla nacjonalizmu żydowskiego z końca XIX i początków XX wieku oznaczało to życie albo „po hebrajsku", albo „w jidysz", ale nie w obu tych językach. Albo ludzie posługujący się jidysz mieli tworzyć literaturę i wysoką kulturę, albo ludzie, których wysoka kultura i literatura istniała w języku hebrajskim, mieli ponownie nauczyć się nim posługiwać na co dzień. W obydwu przypadkach stary porządek musiał odejść.

Nie ma sensu zastanawiać się, kto w tej historii pełnił rolę agresora, a kto ofiary. Zwykle uważa się, że antyczny reżim języka hebrajskiego został zaatakowany przez jidysz – rewolucyjnego bojownika. Ten sposób myślenia jest być może naturalny, natomiast na pewno uproszczony. Obydwa języki, każdy na swój sposób, były bowiem zaangażowane zarówno w procesy rewolucyjne, jak i umacnianie tradycji. Jidysz odnosił sukcesy jako żywy język zrzucający okowy zmumifikowanego języka świętego lub jako głos żydowskiego robotnika i kobiety żądających dostępu do przywilejów, długo odmawianych im przez rządzącą klasę hebrajską, ale był on również sztandarem tych, którzy woleli raczej pozostać w spokoju znanej sobie diaspory niż na nowo rozpoczynać życie w Syjonie jako mówiący po hebrajsku pionierzy.

Konflikt pomiędzy oboma językami, który rozpoczął się niewinnie, a następnie uległ eskalacji, rozwijał się z zachowaniem wyjątkowej symetrii. [...] [Ostatecznie,] w roku 1907 Poalej Syjon, mniej wojownicza z dwóch głównych żydowskich partii robotniczych, ogłosiła hebrajski jako jedyny język *jiszuwy*[3], natomiast w roku 1908, w trakcie hucznie obchodzonej konferencji w Czerniowcach, pisarze tworzący w jidysz tacy jak Sholom Asz, Chaim Żytłowski czy Hirsz-Dawid Nomberg próbowali uchwalić rezolucję – odrzuconą niewiel-

ką ilością głosów – o uznaniu jidysz jedynym narodowym językiem Żydów.

Choć konferencja w Czerniowcach i wywołana nią debata miały raczej znaczenie symboliczne, mówiło się, że zaznaczyły one rzeczywisty wybuch wrogości między obu językami. Prawdą jest, że spośród wielkiego triumwiratu literatury jidysz, w którego skład wchodzili Szolem Jakow Abramowicz (znany pod pseudonimem Mendele Mojcher-Sforim), Szolem Alejchem i Icchok Lejbusz Peretz, jedynie ten ostatni wziął udział w konferencji, lecz akurat dla niego oznaczała ona prawdziwy punkt zwrotny. Wcześniej był on pisarzem w pełni dwujęzycznym, często publikującym opowiadania najpierw w wersji jidysz a potem po hebrajsku lub na odwrót. W swojej odezwie na konferencji zadeklarował jednak, że: „Żydzi są jednym narodem – a ich językiem jest jidysz". Ponadto Perec powiedział delegatom, że jeżeli jidysz miałby zastąpić język hebrajski jako język narodowy Żydów, to przede wszystkim musiałby przyswoić sobie spuściznę hebrajską – i aby to osiągnąć, kontynuował, „proponuję przetłumaczyć na jidysz cały dorobek kulturowy naszej złotej przeszłości, a nade wszystko Biblię – *iberhojpt fun der bibl*". Blisko wiek później to ostatnie słowo wciąż rani: nie *Tanach*, nie *Kitwej ha-kodesz* czy inne określenie hebrajskie lub pochodzące z hebrajskiego, którym używający jidysz, włączając samego Pereca, tradycyjnie nazywali hebrajskie Święte Pisma, ale *bibl*, całkowicie chrześcijański zwrot nigdy nie używany przez Żydów posługujących się jidysz. W ten sposób, świadomie czy nie, Perec zadał językowi hebrajskiemu cios w samo serce – językowi, który kochał – i nie mógł do tego znaleźć ostrzejszego sztyletu.

Jeżeli chodzi o ścisłość, Biblia Hebrajska została przetłumaczona na dawny jidysz już w XVI i XVII wieku. Jidysz nie był też pierwszym językiem

Lublin. Zdjęcie z prawdziwego „frontu" wojny języka hebrajskiego z jidysz. Członkowie kibucu „Ba-nativ" młodzieżowej organizacji Ha-Szomer ha-Cair, przygotowują się do pracy we wspólnocie i trudnych warunków życia przed wyjazdem do Palestyny. Ci, którym się to uda nie tylko wyrwą sie z biednych i pozbawionych perspektyw *sztetli*, ale przede wszystkim ujdą z życiem przed hitlerowcami. Fot w 1934 r. Źródło: Photo Archive/Beit Lohamei Haghetaot/Israel (http://english.gfh.org.il/search.asp).

la'az, na który Żydzi przetłumaczyli Biblię, wcześniej była greka, aramejski i arabski. Rabini osiągali w ten sposób swoje cele, ale widzieli również zagrożenia, jakie te tłumaczenia ze sobą niosły (o najwcześniejszym z nich, greckiej Septuagincie, powiedzieli, że dzień, w którym się pojawiła był „dla Izraela równie nie do przyjęcia, jak dzień, w którym wykonano złotego cielca"). Żadne z tych tłumaczeń nie miało też znamion aktu kapitulacji i chęci wyparcia języka hebrajskiego przez jakiś inny w imieniu samego narodu żydowskiego. Żadne nie było ojcobójstwem z premedytacją. Żadne nigdy wcześniej nie miało na celu, tak jak to, nie tylko przesunięcia granic języka hebrajskiego, ale wręcz splądrowania jego starożytnej twierdzy przez obrócenie Księgi Ksiąg, do której odnosiły się wszystkie wcześniejsze tłumaczenia, w opuszczoną ruinę, archeologiczne wykopalisko: *bibl!* [...] Ale pozostawmy wielką wojnę językową w Czerniowcach i pomińmy jej najgorsze lata, kiedy to została brutalnie upolitycznione oraz kiedy w Rosji Sowieckiej, a na mniejszą skalę w żydowskiej Palestynie, osiągnęła poziom „językowych czystek".

Nacjonalizm żydowski przełomu wieków oznaczał życie albo „po hebrajsku", albo „w jidysz", ale nie w obu tych językach.

duże zasługi w historii nauki i kultury polskiej, np. rodzina Nisanowiczów – potomków lekarza i nadwornego matematyka króla Jana Kazimierza czy potomkowie Mojseja Sehana, kapitana wojsk króla Kazimierza Jagiellończyka. Na Litwie tworzą enklawy nawet w mniejszych miastach, posiadające charakterystyczną architekturę i własne świą-

Kadr zdjęcia z poprzedniej strony.

Nie ma sensu oceniać tamtych lat, ponieważ uczyniła to za nas historia. Wkrótce bowiem odrodzenie języka hebrajskiego święciło triumfy w Izraelu, a jidyszyzm wydał swe ostatnie tchnienie – dosłownie – w roku 1952 na procesie pisarzy jidysz w Moskwie, którzy zostali rozstrzelani. [...]

Powracając na chwilę do Pereca z okresu przed Czerniowcami, w roku 1901 ukazało się w wersji hebrajskiej oraz jidysz jego opowiadanie pod tytułem *Szolem bajs* lub *Szczęśliwa rodzina*. Zakończenie utworu zależy od niuansów znaczeniowych różniących dwie wersje językowe jednego słowa. W opowiadaniu tym rabin mówi prostemu Żydowi, nosiwodzie, że jego żona, którą kocha i z którą jest szczęśliwy, w raju zostanie jego *fisbenkele*, podnóżkiem. Nosiwoda czuje się dotknięty słowami rabina, które odbiera jako poniżające. Jednak rabin nie miał zamiaru go obrazić. Wprost przeciwnie: wiedząc, iż ma do czynienia z niewykształconym człowiekiem, zwyczajnie przetłumaczył na jidysz biblijne wyrażenie *hadom-raglojim*, które, chociaż rzeczywiście oznacza „podnóżek", pojawia się w słowach Izajasza: „Tak mówi Pan: niebiosa są moim tronem, a ziemia podnóżkiem nóg moich"[4] oraz Dawida „Wysławiajcie Pana, Boga naszego, oddajcie pokłon u podnóżka stóp Jego"[5]. *Hadom-ragloyim* nie jest więc zwyczajnym *fisbenkele*. To miejsce odpoczynku Boga. Mimo iż rabin faktycznie mógł mieć tu na myśli podporządkowanie żony mężowi, byłaby to jednak podległość pełna godności.

Jidysz lepiej przedstawiał życie codzienne, a hebrajski życia wewnętrzne

Jednakże prosty nosiwoda, nieświadomy znaczenia słów biblijnych, odbiera „podnóżek" dosłownie i wraca do domu, oznajmiając żonie, że zgodzi się na życie w raju tylko wtedy, gdy będzie mogła zasiąść u jego boku.

Te dwa punkty widzenia nie dotyczą jedynie rabina i nosiwody. W rzeczywistości dotyczą one dwóch wersji *Szczęśliwej rodziny* Pereca. Wersja w jidysz ujmuje tylko słowo *fisbenkele*, a nie *hadom-raglojim* i na odwrót. Innymi słowy, opowieść hebrajska jest bliższa punktu widzenia rabina, który nie ponosi odpowiedzialności za komiczne nieporozumienie spowodowane niedouczeniem biednego Żyda, podczas gdy druga wersja, egalitarna i feministyczna w swojej wymowie, opowiedziana jest z punktu widzenia nosiwody. Należy przeczytać obie, aby zrozumieć pełny sens.

Pomimo swojej skrajności, przykład *Szczęśliwej rodziny* pokazuje typowe cechy jidysz i hebrajskiego, które od początku przesądzały o różnicach w prozie tworzonej w tych językach. Jidysz był lepiej dostosowany do przedstawiania zwykłych sytuacji życiowych, a hebrajski do wyrażania życia wewnętrznego zanużonego w bogactwie żydowskiej tradycji. [...] Brało się to stąd, że języki te odwoływały się w Europie Wschodniej do dwóch różnych audytoriów. Czytelnicy hebrajskiego byli produktem edukacji rabinicznej, która sama w sobie umożliwiała im zdobycie wiedzy o literaturze tego języka. Mimo że zwykle zaglądali do hebrajskiej literatury świeckiej, chcąc uciec od rabinicznego sposobu myślenia, to jednak przejmowali zeń, często nieświadomie, wiele wartości i w konsekwencji wiele uwagi poświęcali tematom elitarnym, związanym z problemami wiary, żydowskiej tożsamości, autentyczności i autorytetu w obszarze kultury.

Czytelników jidysz natomiast, stanowiących znacznie większą grupę, bardziej absorbowały sprawy codziennego

tynie. Podobnie jak tamtejsi Tatarzy, zachowali język polski jako swój narodowy, posługują się ponadto rosyjskim i litewskim. (Red. na podst. źródeł własnych oraz: A. Unterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, Warszawa 2000 i encyklopedia.pwn.pl.)

[2] Ortodoksyjni Żydzi, głównie z Litwy i Białorusi, przeciwni chasydyzmowi [przyp. red.].

[3] Żydowska społeczność w Palestynie (słowo to można spotkać w języku polskim w rodzaju męskim i żeńskim). W odniesieniu do czasów przedsyjonistycznych określana bywa „starą jiszuwą", a po 1880 roku „nową jiszuwą".

[4] Iz 66, 1 – wg www.biblia.pl, strony biblijnej Wydziału Teologicznego UAM w Poznaniu [przyp. red.].

[5] Ps 99[98], 5 – tamże. Przypis do tego wersetu informuje, że podnóżek symbolizuje Syjon, któ-

życia społecznego i ekonomicznego. Wynikiem tego była ciekawa sytuacja, obserwowana w ostatnich latach przed I wojną światową, kiedy zarówno literatura hebrajska, jak jidysz wciąż ograniczały się do Europy Wschodniej i/lub życia wschodnioeuropejskich Żydów: pomimo intensywnej rywalizacji oba języki odzwierciedlały dawny podział ról. Choć konkurowały ze sobą i opisywały ten sam świat, nie był to świat opisywany z tego samego punktu widzenia.

Weźmy na przykład postać znaną w świecie krytyki literatury hebrajskiej jako *talusz* – „zagubioną duszę". Zazwyczaj jest on młodym Żydem, który otrzymał rygorystyczne wychowywanie religijne, doświadcza szczytów młodzieńczej pobożności i w uznaniu swoich talentów intelektualnych zostaje wysłany na nauki do jesziwy, tradycyjnej uczelni żydowskiej. Tam podczas kryzysu dojrzewania intelektualnego traci wiarę w Boga, co w końcu doprowadza go do porzucenia nauk religijnych wraz z ich zasadami. Pomimo doznawanej pustki i straty nasz bohater zachowuje jednak silne poczucie żydowskiej tożsamości i ostatecznie widzimy go, jak dryfuje dumny i samotny na marginesie żydowskiego społeczeństwa, niezdolny do ponownego połączenia się z tradycją, z którą zerwał, ani do asymilacji w świecie gojów.

„Piszę dla siebie i w tajemnicy" – zwierza się czytelnikowi Jirmija Feuermann, typowy *talusz* i narrator autobiograficznej powieści Chaima Brennera Ba-horef (*Zimą*, 1901). Jirmija faktycznie żyje w milczeniu, nie mając nikogo z kim mógłby porozmawiać. Choć podobne postacie są tak powszechne w prozie hebrajskiej sprzed I wojny światowej, iż można by je uznać za reprezentatywny typ swego pokolenia – różne ich warianty występują nie tylko u Brennera, ale również u kilku innych czołowych pisarzy hebrajskich – na próżno szukać ich równolegle w prozie jidysz. Wprost przeciwnie, obsesją literatury jidysz tego okresu jest mówienie. Większość jej stron wypełniają dialogi lub monologi. Dosłownie gada ona niemal przez cały czas, dopóki – jak mówi sam o sobie Mendele Mojcher-Sforim w niezrównanym tłumaczeniu Teda Gorelika *Fiszke der Krumer*[6] – „słowa nie zaczną sypać się z moich ust wartko, jak owies z rozprutego dna worka z obrokiem". Ówczesna literatura jidysz mówi, gdyż to właśnie robią Żydzi, kiedy się spotkają, a także dlatego, że rozsadza ją wyzwalająca świadomość, iż ta mowa – mowa „służebna" – wreszcie nadaje się do druku.

Jidyszyzm był formą radykalnej amputacji żydowskiego poczucia narodowości i historii.

W poniższym fragmencie, przetłumaczonym przez Gorelika, poznajemy Fiszke, którego Mendele przedstawia przyjacielowi:

W murowanej łaźni w Głupsku znam jednego chłopaka, który zarabia tam na życie od niepamiętnych czasów, od maleńkości. Nazywa się Fiszke, Fiszke Kulas, z tego powodu, że jest kaleką, rozumiesz. Słyszałeś kiedy o nim? Nie. Tak też myślałem... No więc, kim jest w końcu ten cały Fiszke? Chciałbyś pewnie wiedzieć, skąd się wziął? Jak to się właściwie stało, że się tam znalazł? No cóż, drogi panie, jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, ani nikomu innemu, żeby spytać. Ta część jest dość niejasna. Ale czego się spodziewałeś? Masz tu tego biednego przedstawiciela ludzkości obijającego po kątach, który może ma nawet jakieś imię – powiedzmy Fiszke, czy jakoś tam – ale przecież niczym się nie różni od reszty tych żałosnych wyrzutków z naszego

Kadr zdjęcia ze strony 59.

ry w ten sposób określają także Iz 66, 1 i Mt 5, 35, ale szczególnie chodzi jednak o Arkę Przymierza w świątyni Salomona (por. Ps 132[131], 7; 1 Krn 28, 2). Taka interpretacja lepiej tłumaczy pozytywne znaczenie biblijnego „podnóżka" [przyp. red.].

[6] W tłumaczeniu dosłownym: „Fiszke Kulawy" [przyp. red.].

Kadr zdjęcia ze strony 59.

otoczenia, jego braci, którzy pojawiają się wśród nas ni z tego, ni z owego, w pełni uformowani, jak te grzyby po deszczu, ze wszystkimi częściami już wyrośniętymi i na swoim miejscu... No i są wokół nas ci wszyscy biedacy, gnieżdżąc się w przeróżnych dziurach i zakamarkach, gdzie rozmnażają się niewidoczni, rodząc dzieci w mrocznej nędzy. No a niby dlaczego nie mieliby tego robić?

Dwadzieścia lat po napisaniu tego utworu w wersji jidysz Abramowicz przetłumaczył go na hebrajski. Porównajmy powyższy fragment z jego wersją hebrajską w moim tłumaczeniu:

Był sobie w łaźni w Kislon [tak po hebrajsku Mendele nazywa Głupsk] kulawy gość imieniem Fiszke, który stanowił część tego miejsca od czasów młodości. Skąd pochodził i kim był? To pytanie, którego ani ja, ani nikt inny nie zadał. Jakie to miało znaczenie? Po prostu na bożym świecie żył także i Fiszke, kolejna marna dusza niczym nie różniącą się od innych, wyrastająca z ziemi niczym błyszczące muchomory czy inne grzyby. Mimo, że każdy posiada jakąś formę, powłokę, a nawet własne myśli, ledwie go zauważasz i nie wiesz, jak wyrósł. Nasi żebracy rodzą się, po czym zmierzają do ciemnych zaułków, aby po kryjomu płodzić kolejnych żebraków i kto w ogóle wie o ich istnieniu? A niech się mnożą ku uciesze swych serc!

Hebrajski Abramowicza, równie nowatorski jak jego jidysz, był podziwiany przez współczesnych za dynamikę i elegancję, ale jednak nawet kiedy hebrajski Mendele mówi, jego styl jest eseistyczny, mniej dynamiczny niż jego odpowiednik w jidysz, mniej komicznie zagmatwany, za to precyzyjnie dopasowany i rozsądnie wyważony. Abramowicz zaczął pisanie po hebrajsku, ale później przerzucił się na jidysz, w którym napisał swe główne dzieła, aby potem przepisać je z kolei po hebrajsku. Podobnie jak Perec, ale w jeszcze większym stopniu, jest on w każdym z tych języków takim samym, a zarazem innym autorem. Ta różnica po części skłoniła go do oscylowania między nimi, ponieważ nie mógł osiągnąć tylko w jednym z nich.

Nie tylko on. Poza Perecem, Mendele oraz (na mniejsza skalę) Szolem Alejchemem, liczba dwujęzycznych autorów piszących w jidysz i po hebrajsku na przełomie XIX i XX wieku jest uderzająca. W żadnym wypadku nie poświęcają się oni jednakowo obydwu językom. Wielu eksperymentuje w jednym, by potem zająć się na stałe drugim. Wybierają go, bo lepiej wyraża ich wnętrze: ponieważ są syjonista mi lub diasporystami, ponieważ identyfikują się z tradycją żydowską lub rewolucyjnym socjalizmem albo po prostu dlatego, że żyją w środowisku hebrajskim bądź jidysz. [...] Wyjątkom, nagłym zwrotom i skomplikowanym przykładom lojalności nie było końca. Szolem Alejchem, który pisał niewiele po hebrajsku, był syjonistą. Perec, który po hebrajsku pisał dużo, syjonistą nie był. Uri Nisan Gnessin wyjechał w roku 1907 do Palestyny, skąd pisał do ojca: „Żydowska dusza jest w Diasporze, a nie tutaj" i podjął kroki, by powrócić do Rosji, gdzie stworzył swe wielkie powieści po hebrajsku. Eseista Hillel Zeitlin energicznie bronił judaizmu rabinistycznego – w jidysz. W roku 1919 hebrajski prozaik Eliezer Szteinmann opublikował hebrajski manifest po rosyjsku zatytułowany *Hebrajski komunista*, nawołując do „czerwonej kultury hebrajskiej". Abraham Suckewer spędził ostatnie 55 lat w Izraelu, pisząc poezję wyłącznie w jidysz. [...]

Takich niekonsekwencji było wiele. Wskazują one na fakt, iż pomimo tego, że wojna językowa między hebrajskim

a jidysz naprawdę miała miejsce, nie prowadzili jej prawdziwi pisarze. Prowadzili ją ideolodzy, politycy, organizatorzy, teoretycy i pismacy. [...] Niemniej jednak była ona koniecznością. Miała swoje dobre i złe strony. Była konfliktem dwóch koncepcji politycznych i kulturowych dotyczących żydowskiej przyszłości, z których jedna okazała się katastrofalną pomyłką.

W rzeczywistości jidyszyzm był bowiem formą radykalnej amputacji żydowskiego poczucia narodowości i historii. Zamiast hebrajskiego, jedynego języka wspólnego dla Żydów w każdym czasie i miejscu, proponował judeo-germański, którego nie znała znacząca część Diaspory. Z demograficznej mozaiki tego świata, do której należeli Żydzi sefardyjscy, bliskowschodni, z Azji i Europy Środkowej, Włoch, Francji, Holandii i Żydzi anglojęzyczni, za „prawdziwych" Żydów jidyszyzm uznawał jedynie tych posługujących się jidysz z terenów Rosji, Polski, Rumunii i krajów bałtyckich. Europa Wschodnia, region po raz pierwszy zasiedlony przez Żydów w średniowieczu, miał być teraz ich prawdziwą ojczyzną. Z przeszłości żydowskiej, liczącej 3 tysiące lat, dwie trzecie jej początkowego okresu, w którym jidysz nie istniał, miało zostać całkowicie wymazane.

Słowa Pereca: „Żydzi są jednym narodem – ich językiem jest jidysz" były absurdalną sprzecznością. Jednakże myślenie w kategoriach jidyszyzmu wciąż jest żywe nie tylko w modnym ostatnio, zabarwionym sentymentalizmem, renesansie jidysz, ale również w żydowskich kręgach intelektualnych. Z tego powodu można powiedzieć, że z wyjątkiem kręgów ultraortodoksyjnych jidyszyzm przeżył jidysz. Współczesne przykłady takiego podejścia można mnożyć. Ich częścią jest między innymi przekonanie – podtrzymywane przez niekończący się konflikt arabsko--izraelski – że syjonizm był dla Żydów błędną strategią; że silne utożsamienie się z Izraelem nie musi być głównym wyznacznikiem życia żydowskiego w Diasporze; że status mniejszości w Diasporze jest optymalnym duchowym i kulturalnym stanem dla Żydów; że interesy polityczne Żydów z Diaspory polegają na tworzeniu aliansów z jak największą liczbą „postępowych" i lewicowych stron; że solidarność z innymi nieżydowskimi ofiarami kapitalizmu, kolonializmu, rasizmu i innych niesprawiedliwości jest ważniejsza od solidarności z innymi Żydami; oraz że samo pojęcie „innych Żydów", *klal jisrael*, zbiorowości, wobec której wszyscy Żydzi są odpowiedzialni, może być dowolnie dopasowywane do własnych preferencji ideologicznych.

Niewielu poważnych pisarzy tworzących w jidysz podzieliłoby te opinie. Rozróżnienie między kulturą jidysz z jednej strony a jidyszyzmem lub neojidyszyzmem, który go zastąpił, z drugiej, jest sprawa elementarną. Potrzebowałem aż tylu lat, żeby to pojąć, być może dlatego, że za młodu słyszałem w rodzinnym domu odgłosy zaledwie jednej potyczki z końca długiej wojny i początkowo nie rozumiałem natury wroga.

Przekład z angielskiego:
Artur Niedźwiedź, Marcin Skrzypek

... I inne okrzyki, np. „hajse bubałe". Kobiety nosiły bober do sprzedania, gorący – „hajsa biba". A sklepikarze wołali: „Kum cu mija, kum cu mija, ba mija ist wołwo" – „Tanie sprzedaję".

Józef Honig. Zmarły w 2003 roku opiekun „starego kirkutu" przy ul. Siennej w Lublinie. Z archiwum „Historii Mówionej" TNN.

Marian Milsztajn. Z archiwum „Historii Mówionej" TNN.

Na Kalinowszczyźnie pod nr 3 mieszkała jedna rodzina chrześcijańska i mówili po żydowsku. Nie słyszałem ani jednego słowa po polsku. Nie wiedziałem, czy taki język istnieje. O ile istnieje, to wiedziałem, że to jest język „goim" [jęz. gojów – przyp. red.]. Polska? Zielonego pojęcia.

Lingua franca iudaica

polemika wokół „Wielkiej żydowskiej wojny językowej"

Do redakcji[1]

Hillel Halkin, który od dawna deklaruje się jako wróg jidysz, został jego tłumaczem i nawołuje do homogenizacji żydowskiego życia przy pomocy języka. Taka polityka była fatalnym błędem popełnionym w przeszłości zarówno przez syjonistów, jak i diasporę. Ponieważ obie frakcje różniły się nieznacznie, można zrozumieć, czemu upolitycznio no właśnie język[2]. Członkowie obu ugrupowań popełnili jednak poważny błąd, angażując się w językową wojnę. Upieranie się dzisiaj przy dawnych błędach, jak czyni to Hillel Halkin, oznacza konfrontację z upiorami przeszłości.

Walka z jidysz była wstydliwym i przynoszącym szkody epizodem, z którego jeszcze się nie otrząsnęliśmy. Kiedy Hillel Halkin sugeruje, że tylko jedna ze stron – diaspora posługująca się jidysz – była winna, myli prawdę historyczną z politycznym uprzywilejowaniem. Jego wielokrotnie powtarzane przenośnie, przedstawiające język hebrajski w roli pana, a jidysz jego sługę czy niewolnika,

[1] Fragmenty polemiki czytelników miesięcznika „Commentary" z Hillelem Halkinem, autorem tekstu *The Great Jewish Language War*, zamieszczonym w grudniowym numerze pisma. Całość polemiki po angielsku można znaleźć pod adresem: www.comentarymagazine.com/letters.htm

[2] Szerzej: patrz wstawka *Wojna językowa* oraz następny tekst *Wnioski z wojny językowej* [przyp. red.].

Wyobrażenie wielu ludzi (zarówno Żydów jak i nie-Żydów) o sztetlach i kulturze jidysz przypomina to zdjęcie: na pierwszym planie koślawe budy i rynsztok, a po bokach zbita, ciemna masa ludzkich postaci. Ul. Krawiecka, pocz. XX wieku. Autor nieznany. Pocztówka ze zbiorów TNN.

są szczególnie obraźliwe dla osób, które, podobnie jak ja, kochają oba języki. Przeciwieństwa te obrazują jedynie hierarchiczny sposób rozumowania Hillela Halkina. Jeżeli jedna kultura została usunięta i zastąpiona przez inną, a jidysz nie jest już zagrożeniem, po co nazywać hebrajski językiem panującym, skoro nie ma już niewolnika, który by potwierdzał ten status?

Żaden inny język, z wyjątkiem hebrajskiego, nie wytworzył takiego kulturowego bogactwa, jakie dał Żydom jidysz. Zarówno walka o własne państwo, prowadzona przez syjonistów, jak i bój o prawa mniejszości, któremu przewodzili Żydzi z diaspory, były słuszne. Jednakże przeciwstawianie ich sobie poprzez kojarzenie jednej z językiem hebrajskim, a drugiej z jidysz, jest niewłaściwe.

Adina Cimet, YIVO Żydowski Instytut Naukowy, Nowy Jork.

Hillel Halkin ma rację, twierdząc, że „nastąpił koniec wielkiej wojny językowej pomiędzy hebrajskim a jidysz". Zastanówmy się jednak, czy taka wojna rzeczywiście miała miejsce? Z historycznej perspektywy wygląda to raczej na potyczkę między politycznymi ambicjami, którym kalkulacje syjonistów i manipulacje komunistów przydały pozorów wojny.

Moja babcia była nauczycielką hebrajskiego, moja matka posługiwała się jidysz i oba języki współistniały w mojej rodzinie pokojowo. Wydaje się, że na poziomie zwykłych ludzi takiej wojny nie było.

Izaak B. Dimenstein, La Grange, Illinois

Hillel Halkin, jak rzadko kto, potrafi spojrzeć odkrywczo na obszar literatury i języka. Ale gdy opadną emocje wywołane jego teoriami, pozostaje gorzka prawda. Lingua franca Żydów w 2003 to ani hebrajski, ani jidysz, lecz angielski.

Jerome A. Chanes, Barnard College New York City

Odpowiedź Hillela Halkina

Jeśli potrzeba dowodu na to, że miałem rację, twierdząc w moim artykule, iż „myślenie w kategoriach jidyszyzmu[3] jest wciąż żywe", Adina Cimet takiego dowodu dostarcza. Oznajmia ona, że uważając jidyszyzm w pierwszej połowie XX wieku za „katastrofalną pomyłkę w osądzie", pomyliłem „prawdę historyczną z politycznym uprzywilejowaniem". Spróbujmy przetłumaczyć jej słowa.

Adina Cimet twierdzi, iż właśnie dlatego, że istnieje obecnie państwo Izrael z pięcioma milionami mówiących po hebrajsku Żydów; dlatego, że jidyszyści byli antysyjonistami, szydzącymi z możliwości powstania takiego państwa i robili, co mogli, by do tego nie dopuścić; dlatego, że nie przewidzieli katastrofy europejskich Żydów, którą zapowiadał syjonizm; dlatego, że stalinowski reżim w Rosji sowieckiej, postrzegany przez wielu z nich jako nadzieja narodu żydowskiego, okazał się bezlitosnym prześladowcą, i dlatego, że język jidysz, którego masowe upowszechnianie propagował jidyszyzm jako najmądrzejszą inwestycję w żydowską przyszłość, dawno już przestał być żywym medium kultury nie tylko w Europie okupowanej przez nazistów i w sowieckiej Rosji (gdzie gwałtownie tracił popularność, nawet gdy wspierały go rządy komunistyczne), lecz także w Sta-

[3] Jidyszyzm to ideologia uznająca jidysz za język narodowy Żydów. Jidyszysta to gorliwy zwolennik języka i kultury jidysz. Ruch ten należałoby jednak rozpatrywac na innym poziomie niż syjonizm, ktory jest ruchem politycznym. Jidyszyzm miał raczej charakter językowo-kulturowy, choć często łączył się z socjalistyczną ideologią Bundu. (Bund, czyli Ogólnożydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Rosji i Polsce uznawał Żydów za naród żyjący w diasporze, pozbawiony terytorium, lecz o własnej kulturze, przeciwstawiał się dominacji zarówno Żydów ortodoksyjnych, jak i syjonistów oraz postulował utworzenie autonomii kulturalnej na terenach zamieszkałych przez ludność żydowską.) [Przyp. red.]

nach Zjednoczonych, Kanadzie, Argentynie, Meksyku i innych wolnych krajach, w których ruch jidyszyzmu rozpoczynał działalność z mocnej pozycji i miał swobodę realizowania swego programu – pomimo tego wszystkiego Adina Cimet twierdzi, że nie wolno nam mówić, iż jidyszyści mylili się, a ich adwersarze – hebraiści i syjoniści – mieli rację. O, nie – to byłoby zwykłe wykorzystanie faktu, iż historia potoczyła się tak, a nie inaczej, bo był to po prostu rzut monetą, który równie dobrze mógł mieć inny wynik. Zgódźmy się zatem, że wszyscy mieli rację, wszyscy popełniali błędy, a hebraiści i jidyszyści przede wszystkim nie powinni być na tyle małostkowi, by się kłócić.

Izakowi B. Dimensteinowi mogę jedynie przytaknąć. Tak, ma Pan rację. Właśnie przez „kalkulacje syjonistów i anipulacje komunistów" wojna języka hebrajskiego z jidysz była tak zacięta. Na szczęście kalkulacje syjonistów okazały się słuszne, a manipulacje komunistów upadły. Gdzie bylibyśmy dzisiaj, gdyby zdarzyło się odwrotnie?

Jednakże ani hebraiści, ani jidyszyści nie byli małostkowi. Bardzo dobrze wiedzieli o tym, o czym Adina Cimet udaje, że nie wie, czyli – że prowadzą prawdziwą polityczną i kulturalną bitwę o przyszłość narodu żydowskiego oraz że ich nadzieje i oczekiwania co do tej przyszłości są tak radykalnie odmienne, iż nie ma możliwości ich pogodzenia. Być może Adina Cimet żałuje, że ta bitwa nie skończyła się innym wynikiem. Być może gdyby miała wybierać, chętnie zamieniłaby państwo Izrael na komunistyczną Europę usianą lokalnymi odmianami Birobidżanu (Żydowski Okręg Autonomiczny ZSRR)[4]. Jeśli jednak tak jest, powinna mieć odwagę, przyznać to zamiast oskarżać mnie o przewrotność", chęć „homogenizacji żydowskiego życia" (w którym miejscu wzywam do czegoś podobnego?) lub o posługiwanie się „obraźliwymi" metaforami, których, co było jasno wskazane w artykule, nie wymyśliłem sam, lecz używali ich liczni pisarze hebrajscy i jidysz w celu przedstawienia, czasem z aprobatą, czasem w proteście, relacji pomiędzy hebrajskim a jidysz.

[...] Triumfowi hebrajskiego w Izraelu towarzyszył, jak na ironię, jego upadek jako języka powszechnie kiedyś używanego przez Żydów z diaspory i zastąpienie go angielskim, który stał się międzynarodowym sposobem porozumiewania się. Podejrzewam jednak [...], że zjawisko to ma poważne konsekwencje dla kultury żydowskiej w diasporze i że społecznościom żydowskim, których intelektualiści nie posiadają funkcjonalnej znajomości hebrajskiego, grozi niebezpieczeństwo odcięcia od twórczych źródeł żydowskiej przeszłości.

Przekład z angielskiego:
Ewa Zabrotowicz

[4] Ściślej mówiąc, Birobidżan jest stolicą Żydowskiego Okręgu Autonomicznego, przylegającego do północnowschodniej granicy Chin (36 tys. km kw. powierzchni, 220 tys. mieszkańców, w tym 85% Rosjan, 6,3% Ukraińców i 5,4% Żydów – dane z początku lat 90.). Założony w 1928 roku, miał on być sowiecką alternatywą dla Palestyny. Aby uniknąć tarć z ludnością miejscową, wybrano obszar bezludny (surowe zimy, brak dróg, podmokły grunt). Dzięki wysiłkom propagandy na przełomie lat 20. i 30. wyjechało tam około 41 tys. Żydów. Ocenia się, że do dziś zostało ich około 3 tys. [przyp. red.].

Z językiem polskim zetknąłem się, gdy miałem 7 lat. Jak wszedłem na pierwsze piętro Talmud-Tora, do pierwszej klasy. Tam był język żydowski, było pisanie po żydowsku, trochę historii po żydowsku, rachunki i język polski. I w pierwszym tygodniu nauki nauczyciel mówił po polsku, a my nie rozumieliśmy ani słowa. I zaczęliśmy wrzeszczeć: „Gadaj po naszemu, gadaj po naszemu". Zrobiliśmy taką awanturę, że przyszedł szames. „O co się rozchodzi?" I szames do nas się zwraca: „Dzieci, musicie się uczyć języka polskiego, bo jesteśmy w Polsce". Odkrył Amerykę. My jesteśmy w Polsce! A myśmy żądali: „Niech uczy po polsku, ale niech tłumaczy". Nie udało nam się. Męczyliśmy się. Musieliśmy uczyć się: a, b i c...

Marian Milsztajn. Z archiwum „Historii mówionej" TNN.

Adina Cimet

Wnioski z wojny językowej

krytyka tekstu Hillela Halkina

Trudno znaleźć Żyda, który zaprzeczyłby twierdzeniu, że hebrajski jest najważniejszym językiem dla żydowskiego narodu. Można jednak spotkać się ze zjawiskiem odwrotnym, tj. Żydem, który głośno i publicznie wyraża swój negatywny stosunek do innej istotnej części kultury żydowskiej, czyli języka jidysz.

W sytuacji, gdy tak wielu językom grozi wymarcie (prawdopodobnie połowa z 6,5 tys. istniejących obecnie języków wyjdzie z użycia i zostanie zapomniana w przyszłym stuleciu), zastanawiający jest niewielki sprzeciw wobec lekceważącego stosunku do języka jidysz. Ponadto, jeśli współczesny Żyd, świadomy zamiarów nazistów, nie kojarzy śmierci kultury w 2003 roku ze śmiercią narodu w czasie II wojny światowej, jest to absurdalne i niewybaczalne.

Taka była

moja reakcja

po lekturze artykułu Hillela Halkina opublikowanego w magazynie „Commentary" w grudniu 2002 roku. Halkin zatytułował swój esej *Wielka żydowska wojna językowa*, odnosząc się do pamiętnej żydowskiej „wojny", która upolitycznila jidysz i hebrajski. Halkin nie opisuje rzeczywistości tej wojny ani nie omawia jej źródeł czy skutków. Zamiast tego próbuje uzasadnić, dlaczego został tłumaczem pogardzanego jidysz i po raz kolejny przytacza powody, dla których język ten i literatura w nim powstająca zależne są od tłumacza, dzięki któremu docierają do szerokiego kręgu czytelników. Halkin nie wypowiada się jako historyk, językoznawca czy socjolog, lecz jako obrońca idei zwycięskiej bitwy. Być może gnębi go poczucie winy, gdy widzi spowodowane zniszczenia. Możliwe jest też, że pragnie być postrzegany jako wybawca – tłumacz, który choć starł jidysz w proch, może jednak pokazać nam kilka wybranych pozycji powstałych w kulturze tego języka, wyjątkowo niepodlegających lekceważeniu i pogardzie.

Jako pisarz, krytyk literatury, tłumacz jidysz i człowiek, który podróżuje, Halkin ma możliwości rozumienia kultur w odmienny sposób, niż pojmował je jego ojciec. Nie zwraca on jednak uwagi na to, że kultura jest tworem społecznym, [...] budowanym przez wielu ludzi w długim czasie, stale zmieniającym się i dlatego będącym rzeczą tak unikalną i niezwykłą, że nie można jej zignorować. Halkin, jakby zapominając, gdzie i kiedy żyjemy, wyznaje przestarzały pogląd, który popiera ujednolicenie kultury żydowskiej w celu lepszego kontrolowania politycznej struktury grupy etnicznej. [...] Nie dostrzega on konieczności zachowania kultury żydowskiej jako całości. [...]

Jak bardzo skomplikowana jest psychologia i problemy tożsamościowe ży-

Żydzi lubelscy, lata 30. Ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

dowskiego umysłu! [...] Ojciec Halkina był syjonistą i wielkim obrońcą języka hebrajskiego. W swoim czasie odczuwał potrzebę umniejszania wszystkiego, co zostało napisane w idysz. Wschodnia Europa była glebą, na której oba języki zostały upolitycznione, służąc jako sztandary: jeden dla ideologii syjonistycznej, drugi dla sprawy Socjalistycznej Diaspory Żydowskiej. Halkin najwyraźniej przejął te idee. [...] W jego rozumieniu szacunek dla ojca obejmuje również akceptację dla wszystkich interpretacji kulturalnych i politycznych tamtych czasów, czego najdobitniejszym przykładem jest wojna językowa. Choć upłynęło 100 lat od pierwszych jej oznak i można dziś ocenić konsekwencje kulturowych strat, którymi w jej wyniku zostały dotknięte kolejne pokolenia, Halkin pozostał przy jednostronnym punkcie widzenia tych, którzy starali się odebrać narodowi jego język. [...]

Pomijając ideologię, ogromnie przykre są dla mnie wielokrotnie używane przez niego przenośnie, które stawiają

hebrajski w pozycji mistrza

a jidysz określają jako sługę lub niewolnika. W odróżnieniu od Halkina jestem wielką miłośniczką obu języków. Nie wychowywałam się, jak on, w USA, lecz w Meksyku, gdzie w społeczności aszkenazyjskiej uczono w szkole obu języków równolegle. W domu, gdzie również słyszałam oba języki, wpajano mi szacunek do obydwu. Chociaż dotarły do naszej społeczności echa językowej wojny, nie uczono mnie, na szczęście, że miłość do jednego z nich, np. tego, którego używałam, dorastając, pociąga za sobą nienawiść do drugiego. Nie rozumiem dumy Halkina z tego, że był „wrogiem jidysz", a teraz jest jego tłumaczem. Właśnie ten dualizm streszcza cały tragizm wojny językowej. Dziś jidysz potrzebuje tłumaczy. Jakże smutne, że często są nimi ludzie, którzy wcześniej nienawidzili tego języka!

Nawet jako tłumacz Halkin nie zdaje sobie sprawy, że przekłady z języka nieużywanego zubażają zarówno jego, jak i jego pracę. Być może postrzega swe dzieło jako trofeum, które jedynie on może pokazać światu. Czy to nie zadziwiające, że nie przejmuje się tym, iż obecnie niewiele osób umie czytać w jidisz? Jak może uniknąć odpowiedzialności za zubożenie naszej kultury, poprzez odcięcie Żydów od pokładów ich kreatywności związanej z tysiącletnią historią wszystkich, którzy posługiwali się jidisz? Kto uważał za pożyteczne i słuszne odcięcie społeczności od jej języka, jednego z najważniejszych sposobów ekspresji grupy etnicznej, struktury zawierającej nagromadzoną mądrość i tradycje narodu? I kto przy zdrowych zmysłach może z dumą głosić, że bitwa, która okaleczyła język i zdeprecjonowała dziedzictwo kulturowe, była słuszna, a następnie stwier-

Uczyłem się nie w Szkole Powszechnej Królowej Jadwigi i chodziłem do szkoły Tarbut*, to była szkoła hebrajska, prywatna szkoła. Jednocześnie uczyliśmy się języka polskiego i historii Polski. Będąc w szkole, czułem się patriotą polskim zawsze i w moich kościach był głęboko zasadzony patriotyzm polski.

* Tarbut (hebr. kultura) – Żydowskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe „Tarbut", w Polsce założone w 1922 roku przez działaczy syjonistycznych. Jego celem było „rozprzestrzenianie języka hebrajskiego, kultury żydowskiej i oświaty wśród ludności żydowskiej w Polsce". Ostatnie szkoły Tarbutu w Polsce zlikwidowano w 1949 roku. (Na podstawie: *Żydzi w Polsce. Dzieje i kultura. Leksykon*, red. J. Tomaszewski, A. Żbikowski, Warszawa 2001 – przyp. red.)

Moshe Haendelsman. Z archiwum „Historii Mówionej" TNN.

dzić: „Ja, dawny wróg, a nie zagorzały miłośnik, ja, który nadal nie zgadzam się z przesłaniem tego języka, będę tłumaczyć dla was jego literaturę i pokażę wam jej piękno. Zrozumielibyście mnie lepiej, gdybyście tylko umieli czytać ją w oryginale.". Ale ten dar posiadają jedynie błogosławieni nieliczni. Jidysz jest osobistym trofeum Halkina, a on gladiatorem, niosącym go do domu.

Sposób, w jaki Halkin nadużywa dawnej metafory, postrzegając język hebrajski jako święty *loszn-koidesz*, a jidysz jako pospolitą *mame-loszn*[1], graniczy ze stereotypowym przeciwstawieniem: pan – sługa, mąż – żona, wyższa kasta kapłańska i niższa plebejska. W świecie Halkina plebejusz, sługa, żona są znienawidzonymi wrogami. Metafory obrazują w tym przypadku hierarchiczne antypatie i osądy tłumacza. Twierdzenie Halkina, że hebrajski dominuje nad jidysz, ujawnia jego ciągłe pragnienie zredukowania jidysz do „mowy służących". To wręcz niewiarygodne, że nie jest on świadom potrzeby ochrony wszelkich przejawów działalności kulturalnej narodu i nie rozumie, że było to konieczne dla raison d'ętre utworzenia Izraela. Hasło „jeden język, jeden naród" nigdy nie kształtowało naszej rzeczywistości i nie powinno być naszym programem. [...]

Mimo że nie zgadzam się z Halkinem,

nie chcę obwiniać o wszystko

języka hebrajskiego i Izraela. Hebrajski jest pięknym, starym, choć unowocześnionym narzędziem, łączącym nas jako naród z naszymi językowymi korzeniami. Jest ponadto mową Izraela. Analiza Halkina dotycząca dwujęzycznych pisarzy, którzy tworząc w jednym języku, tłumaczyli swe prace na drugi z poczuciem, że każdy z tych języków oferuje sobie tylko właściwe modalności, jest naprawdę fascynująca. Godne uwagi jest, w jaki sposób każdy język wyraża przekaz kulturowy, proponuje zawsze coś szczególnego i odmiennego. Jednak Hillel Halkin w sposób rażący podważa własną pracę, gdy pisze, że tłumaczenia psalmów w jidisz zawierają „grube germańskie sylaby". Nie zamierzam tu bronić języka niemieckiego. Uważam jednak, że określanie sylab jakiegoś języka jako „grube"

[1] Loszn-koidesz – „święty język", określenie hebrajskiego stojące w opozycji do mame-loszn czyli języka matki, języka rodzinnego, używanego na codzień przez Żydow aszkenazyjskich [przyp. red.].

Żydzi lubelscy, lata 30. Ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

jest obraźliwe. Każdy, kto zna jidysz, powie, że w tym języku nie ma nic „grubego, germańskiego". Takie określenia nie przystoją tłumaczowi. [...]

Poparcie wyrażone przez żydowskich intelektualistów dla żydowskiej kultury ze wszystkimi jej odgałęzieniami przyszło o wiele za późno. Używanie statystyk w celu wytłumaczenia, dlaczego w Izraelu przyjęto hebrajski i odrzucono inne żydowskie języki, w tym jidysz – jest błędem. Nie zdarzyło się w historii diaspory, by tak wielu Żydów używało na co dzień własnego języka, jak we Wschodniej Europie używano jidysz. Walka syjonistów o państwo i Żydów z diaspory o prawa mniejszości były ważnymi sprawami i o dziś stanowią część naszego programu obecności w świecie. Przekładanie tych różnych ideologicznie programów na wewnętrzne spory kulturalne, dzielenie Żydów na frakcje językowe, można porównać jedynie do podziału „świecki–religijny", który faworyzuje jedną grupę kosztem drugiej.

Hillelowi Halkinowi nie udało się odrzucić wiary w fałszywe twierdzenie – jedność kosztem mnogości i bogactwa. Odgrzebuje on stare, mylne drogowskazy, które niejednokrotnie prowadziły do poważnych błędów i kulturalnego chaosu. Dopóki nie przetnie swej pępowiny, będzie dalej mylił problemy zewnętrzne z wewnętrznymi. Jeśli nie jesteśmy w stanie kontrolo-

Wojna językowa

W roku 1914 słynny jidyszysta Chaim Żytłowski miał wystąpić w Tel Awiwie z referatem w jidysz. Oto reakcja zwolenników [partii] Ha-Poal haCair: kilkudziesięciu uczniów z liceum Hercelija, na czele z nauczycielem, obstawiło dom, w którym przebywał Żytłowski. Następnie zadeklarowali, że w przypadku wystąpienia trzeba będzie się liczyć z „konsekwencjami". Odczyt został odwołany. Reakcja publiczności: demonstracja na ulicy, z pełnymi oburzenia okrzykami: „Niech żyje jidysz! Precz z hebrajskim!". W roku 1928 partia Gidud zorganizowała najście na klub [partii] Poalej Syjon w Tel Awiwie, gdzie miał się odbyć wieczór literacki w jidysz; było sporo rannych. [...]

W latach trzydziestych i czterdziestych odbywają się dalsze akcje bojkotu, np. bojkot filmu w jidysz lub nawet podpalenie drukarni Ligi na rzecz Kultury Jidysz. Tragiczny jest fakt. że tylko w latach czterdziestych, w czasie, kiedy kultura żydowska w Europie ginie nieodwracalnie, tępiono ją również w Palestynie. [...] Z drugie strony – trzeba widzieć to „okrucieństwo" w kontekście historycznym, jako bezpośrednią kontynuację kulturalno-ideologicznej walki między Haskalą (oświeceniem żydowskim) a miłośnikami kultury i języka jidysz*. W Palestynie na bazie syjonizmu konflikt ten został przeniesiony na pojęcia diaspory (jidysz) i Syjonu (hebrajski). Ta paralela prowadziła do jednego z najbardziej popularnych argumentów: jidysz sam w sobie symbolizuje tragiczny los żydowskiej diaspory. Narodowe odrodzenie ludu Izraela stawiało sobie jeden cel: stworzenie nowego wizerunku Żyda – silnego, twardego, bohatera narodowego.

Ideał ten pochłonął co najmniej dwie ofiary: do roku 1948 literaci piszący w języku jidysz, którzy próbowali się zakorzenić w Ziemi Świętej, opuścili ją po niedługim czasie, rozumiejąc, że nie ma tam dla nich miejsca – nie byli w stanie zakasać rękawów czy wsiąść na traktor, lecz chcieli uprawiać jidysz! Druga ofiara była bardziej abstrakcyjna: kibucnik wygnał pisarza, a 50 lat później żołnierz wygnał kulturę dziadka, ojca i wnuka. [...] Ironia losu: w 1949, rok po powstaniu państwa Izrael i 4 lata po Szoa, Hista-drut (związki zawodowe) wydał po raz pierwszy czasopismo literackie w jidysz, „Goldene Kejt" („Złoty Łańcuch"), które stanie się najważniejszym w swoim rodzaju i które wychodziło jeszcze do niedawna. Jeszcze większy krok nastąpił w roku 1951: otwarcie katedry jidysz na Uniwersytecie Hebrajskim (sic!) w Jerozolimie [...]. Ja należę już do trzeciego pokolenia, które uzyskało dyplom jidysz na tej uczelni. [...] Po ciężkiej walce hebraistów przeciw mame-loszn praprawnuki zostają oświecone i zaczynają rozumieć, ze ziemia ojców wykracza jednak poza granice Izraela.

* Warto zauważyć, że Żydowski Instytut Naukowy (YIVO) wywodzi swój rodowód również z Haskali, choć za cel postawił sobie badanie i obronę kultury jidysz. Ta pozorna sprzeczność pokazuje, że wśród Żydów istniały skrajne interpretacje roli jidysz w realizacji ideałów oświeceniowych. Jedni widzieli w tym języku przeszkodę na drodze Haskali, a drudzy jej narzędzie. [Przyp. red.]

Fragmenty tekstu Miriam Zonsztajn zamieszczonego pod tym samym tytułem w „Midraszu" z grudnia 1998 roku. Skróty i wstawki w nawiasach kwadratowych pochodzą od redakcji „Scriptores".

wać międzynarodowego środowiska politycznego Izraela, powinniśmy przynajmniej pomagać naszemu wewnętrznemu środowisku kulturalnemu polityką uczciwości i wsparcia. Wielu musi nauczyć się doceniać jidysz jako język siostrzany dla hebrajskiego. Odniosą oni wtedy korzyści z poznania kultury, z której ten język wyrasta. Tracimy część naszej przeszłości, tracąc tę kulturę. Halkin nie potrafi odciąć się od błędów ojca, ale jeśli on tego nie uczyni, zrobią to jego dzieci lub wnuki, zaś Halkinowie, ojciec i syn, zostaną zapamiętani jako ci, którzy przeszkodzili w procesie odzyskiwania naszego dziedzictwa kultury[2].

Przekład z angielskiego:
Ewa Zabrotowicz

[2] Wybór nieopublikowanych fragmentów z pełnej wersji listu Adiny Cimet przesłanego do redakcji „Commentary" (a potem również do redakcji „Scriptores") w odpowiedzi na tekst Hillela Halkina pt. *The Great Jewish Language War*. Opublikowaną polemikę można znaleźć pod adresem: www.commentarymagazine.com/letters.htm [Przyp. red.]

Rzeczą, którą pamiętam na ulicy Ruskiej, to były ogromne ilości dzieci. Tam było mnóstwo dzieci. Dzieci ubranych bardzo różnie, mówiących naturalnie w języku jidisz, o czym wiem w tej chwili, że był to jidisz. Mówiło się wtedy, że oni mówią po prostu po żydowsku.

Wiesława Majczakowa. Z archiwum „Historii Mówionej" TNN.

Ul. Nadstawna, w głębi skrzyżowanie z ul. Ruską. Mały chłopiec wyjaśnia, która strona rynsztoka, to jego terytorium (oryginalny podpis autora). Fot. Alter Kacyzne. Ze zbiorów YIVO.

Marta Grudzińska

Szyfr

„Każdy, będąc dzieckiem, wymyślał szyfry. Sekretne znaki dawały możliwość komunikacji w sposób zrozumiały wyłącznie dla wtajemniczonych. Wyobraźmy sobiem, że jidysz jest właśnie takim szyfrem. Obecnie na świecie używa go kilka milionów ludzi." Tymi słowami rozpoczęła kurs jidysz profesor Monika Adamczyk-Garbowska, chcąc ośmielić słuchaczy do nauki języka dla Polaków niewątpliwie egzotycznego, bo choć przypominającego niemiecki, to pisanego „robaczkami" z prawej do lewej.

Jidysz to jeden z kilku języków, jakie stworzył i jakimi posługuje się naród żydowski. W oparciu o języki kraju zamieszkiwanego Żydzi tworzyli własne gwary. Z czasem niektóre z nich na drodze ewolucji zyskiwały autonomię, tak jak jidysz[1]. Pierwszym językiem, jakiego używał naród żydowski, był hebrajski. Trudno jednak powiedzieć, czy był on pierwotnym językiem plemion hebrajskich przybyłych do Kanaanu, zjudaizowaną formą języka kananejskiego, czy też powstał w wyniku wzajemnego oddziaływania kilku języków[2]. W skali dziejów narodu żydowskiego hebrajski pełnił rolę języka dnia codziennego stosunkowo krótko, bo od 586 r. p.n.e., kiedy zaczęła się niewola babilońska, zaczął być wypierany przez aramejski, aby po 200 roku. stać się wyłącznie językiem literatury, liturgii, piśmiennictwa religijnego i szkolnictwa. Od końca XIX wieku hebrajski był propagowany przez ruch syjonistyczny i używany jako lingua franca przez osadników w Palestynie[3]. Dzięki Eliezerowi ben Jehudzie w 1922 roku stał się tam językiem urzędowym (obok arabskiego i angielskiego), a od 1948 roku (powstanie Izraela) jedynym językiem państwowym[4]. Współczesny język hebrajski, zwany także *'iwrit*, jest kontynuacją języka ukształtowanego w II w., podczas redakcji Miszny[5].

Oprócz hebrajskiego naród żydowski wytworzył także inne języki. Istnieje wiele teorii wyjaśniających ich powstanie. Odmienności językowe z całą pewnością miały służyć podkreśleniu odrębności religijno-obyczajowej Żydów i wiązały się z częstymi i masowymi migracjami narodu, podczas których język przenoszony był z kraju do kraju. Wszystko to, a także izolowanie się Żydów podyktowane życiem we wspólnocie obyczaju i religii owocowało powstawaniem nowych języków żydowskich, takich jak np. judeogrecki, judeoperski, krymczacki (zhebraizowany język turko-tatarski), ladino (powstały w oparciu o dialekty romańskie), italkian (język judeowłoski), szuadit (język judeoprowansalski) oraz jidysz[6].

Język jidysz to jedyny język żydowski wytworzony w średniowieczu na bazie języków i dialektów germańskich z elementami hebrajskimi i słowiańskimi, zwłaszcza polskim[7]. Nazwa jidysz to współczesne określenie języka Żydów Europy Środkowej i Wschodniej znanego w polskojęzycznych publikacjach przedwojennych i nazywanego przez samych jego użytkowników „językiem żydowskim". Od XVIII wieku jidysz był zasadniczo codziennym językiem mówionym Żydów w Europie Wschodniej, w odróżnieniu od hebrajskiego, którym

[1] E. Geller, *Jidysz, język Żydów polskich*, Warszawa 1994, s. 14; M. J. Sitarz, *Jidysz, podręcznik nauki języka dla początkujących*, Kraków 1995, s. 9; A. Unterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, Warszawa 2000, s. 130; A. Cała, H. Węgrzynek, G. Zalewska, *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*, Warszawa 200, s. 133-134.

[2] Geller, dz. cyt., s. 15-16.

[3] Sitarz, dz. cyt., s. 9; Unterman, dz. cyt., s.130.

[4] Sitarz, dz. cyt., s. 9; Unterman, dz. cyt., s. 110.

[5] Sitarz, dz. cyt., s. 9.

[6] Geller, dz. cyt., s. 15-16.

[7] Geller, dz. cyt., s. 25-26; Sitarz, dz. cyt., s. 17-18, 21; de Lange N., *Wielkie kultury świata: Świat żydowski*, Warszawa 1996, s. 117-120.

posługiwano się w piśmie i dla celów religijnych. Z czasem jednak nastąpił rozwój literatury jidysz, dzięki czemu kobiety, które nie były dopuszczane do edukacji religijnej i nie znały hebrajskiego, miały możliwość zapoznania się z tłumaczonymi opowieściami biblijnymi[8]. Przed II wojną światową jidysz posługiwało się około dwanaście milionów ludzi, tj. 3/4 Żydów na świecie.

Cechą, która charakteryzuje wszystkie języki żydowskie, jest zapis w alfabecie hebrajskim. Było to związane nie tylko z wyznaniem religijnym ich użytkowników, ale także m.in. z nauką w szkole, gdzie alfabet ten był zawsze pierwszym, a niejednokrotnie jedynym, jakie poznawało dziecko żydowskie. Alfabet hebrajski, niezawierający liter oznaczających samogłoski, został dostosowany do potrzeb języka jidysz, w którym na ogół pisownia odpowiada wymowie[9]. Wyjątek stanowią wyrazy pochodzenia hebrajskiego, które przez szacunek dla języka świętego zachowały tradycyjną pisownię. W alfabecie hebrajskim i w jidysz nie ma wielkich liter. Wyrazy pisane są od prawej do lewej, a więc dla czytelnika kultury chrześcijańskiej żydowskie książki są pisane i czytane jakby od końca.

Elementy hebrajskie w jidysz możemy odnaleźć w słownictwie i gramatyce, germańskie zdominowały przede wszystkim słownictwo i zasady jego odmiany, a słowiańskie odegrały decydującą rolę w gramatycznych regułach, w składni i fonetyce. Wpływy słowiańskie na jidysz pochodziły z czterech języków: czeskiego, polskiego, białoruskiego i ukraińskiego[10]. Są to języki blisko ze sobą spokrewnione, nie tylko w zakresie słownictwa, ale także struktury. Kategorie językowe, które znajdują odbicie w jidysz, są wspólne wszystkim wymienionym, dlatego też szczegółowe badanie wpływów słowiańskich w tym języku jest bardzo trudne.

Spośród języków słowiańskich najważniejszą rolę w języku jidysz odegrał polski[11]. Związane jest to z tym, że w okresie masowego napływu ludności żydowskiej z Niemiec Polska stanowiła punkt wyjściowy dla dalszych migracji. Żydzi w Polsce osiedlali się głównie w miastach, tworząc duże skupiska, zakładając ulice i dzielnice. Jako grupa samowystarczalna, o dużej autonomii, ograniczała swoje związki z ludnością miejscową do kontaktów ekonomicznych. Współistnienie obu języków w naszej kulturze zaowocowało wzbogaceniem języka polskiego w szereg wyrazów pochodzenia hebrajskiego i niemieckiego. Uważa się nawet, że o wiele więcej wyrazów pochodzenia niemieckiego, niż zakładano, dotarło do języka polskiego nie bezpośrednio, lecz poprzez jidysz.

Zapożyczenia właściwe z języków słowiańskich w jidysz związane są z na-

[8] Sitarz, dz. cyt., s. 68; Unterman, dz. cyt., s. 257-258.

[9] Geller, dz. cyt., s. 29; Sitarz, dz. cyt., s. 11; Unterman, dz. cyt., s. 18-19.

[10] Sitarz, dz. cyt., s. 52.

[11] Geller, dz. cyt., s. 89-93.

Żydówki przy Grodzkiej 26. Lata 30. Fot. Stanisław Magierski. Ze zbiorów TNN.

zewnictwem odnoszącym się do życia codziennego i otaczającego świata. Zaliczamy do nich brzmiące swojsko: *alkowe*, *banke*, *bazar*, *bruk*, *bufet*, *korek*, *palac*, *rinsztok*, *rogatke*, *szmate*, *warsztat*, *wazon*, *rumjanek*, *oplatek*, a także np. *blondzen* (błądzić), *dżamdżen* (dziamdziać, mówić niewyraźnie) oraz *pif paf* (w jidysz: „jak się patrzy")[12]. Jako przykłady określeń osób można wymienić: *cwanjak*, *facet*, *hultaj*, *kacap*, *kanalie*, *kochanek*, *lajdak*, *pacholek*, *psotnik*, *szarlatan*, *pokrake*, *wiskrobek*, *pempik* (brzdąc)[13]. Grupa wyrazów oznaczających garderobę i części ciała to wyrazy takie jak: *gatkes*, *kapote*, *krawat*, *majtkes*, *plejce* (plecy), *wonse*, *gembe*, *kark*, *morde*, *zadik*[14]. Nietrudno tu zauważyć, że jidysz to pierwotnie język prostego człowieka, kształtowany i rozwijany w małomiasteczkowej rodzinie żydowskiej, nieskrępowany nakazami dbałości o leksykalną czystość.

W jidysz na pytanie: „Co u ciebie?" odpowiada się pesymistycznie „Zawsze mogłoby być lepiej" lub „Zawsze mogłoby być gorzej".

Istnieją też całe związki frazeologiczne wspólne dla obu języków np.: *... az s'felt dir in klepke in kop*, (... że brakuje ci klepki w głowie), *s'hot gegosyn wi fun cebers* (lało jak z cebra), *zej zicyn ojf majn kark...* (siedzą mi na karku)[15]. Inaczej niż w języku polskim, w jidysz nie odpowiada się tą samą formą pozdrowienia. Na pytanie „Co u ciebie?" (*vos makhstu*) odpowiada się pesymistycznie „Zawsze mogłoby być lepiej" (*s'ken alemol zayn beser*) lub „Zawsze mogłoby być gorzej" (*s'ken alemol zayn erger*)[16]. W obu językach możemy spotkać wiele podobnych przysłów, które potwierdzają zarówno wzajemne kontakty kulturowe jak i podobieństwo w widzeniu świata. Przysłowia żydowskie mają jednak więcej metafor i są – podobnie jak zdawkowa odpowiedź na pozdroweienie – bardziej pesymistyczne niż ich polskie odpowiedniki:

„Jeśli rozglądasz się za chałą, uważaj: możesz stracić swój kawałek chleba";

„Jeśli handlujesz miodem, znajdziesz zawsze okazję do lizania";

„Nie pluj do studni – może jeszcze będziesz musiał z niej pić wodę";

„Jeśli jeden człowiek powie ci, że masz ośle uszy, nie przejmuj się, jeśli powie ci to dwóch ludzi, przygotuj sobie siodło";

„W łaźni wszyscy są sobie równi";

„Gdyby Bóg żył na ziemi, ludzie wybijaliby mu szyby";

„Jeśli nie możesz pomóc przyjacielowi groszem, pomóż westchnieniem";

„Wszystkie narzeczone są piękne, wszyscy zmarli pobożni";

„Gdy biedak chce się postawić, jada barszcz z piernikiem";

„Każda półprawda jest całkowitym kłamstwem";

„Będziesz za słodki – połkną cię, będziesz za gorzki – wyplują"[17].

Obecnie coraz mniej osób posługuje się jidysz. Zostało to spowodowane zarówno Holokaustem, jak i dobrowolnym lub wymuszonym zarzucaniem jidysz na korzyść języków krajowych. Taki stan rzeczy doprowadza do stopniowego wymarcia języka, ponieważ poza nielicznymi kręgami ultraortodoksyjnych Żydów w Ameryce i Izraelu praktycznie nie istnieją środowiska, w których jidysz byłby wyłącznym środkiem codziennej komunikacji językowej. Dużą rolę w procesie zaniku tego języka odegrało także powstanie państwa Izrael z prymatem języka nowohebrajskiego, gdzie jidysz uważano za żargon, przejaw małomiasteczkowego zacofania.[18]

BIBLIOGRAFIA:

Geller Ewa, *Jidysz, język Żydów polskich*, Warszawa 1994.

Lange Nicholas de, *Wielkie kultury świata: Świat żydowski*, Warszawa 1996.

[12] Geller, dz. cyt., s. 128-129, 207; Sitarz, dz. cyt., s. 21-22. Transkrypcja wyrazów w jidysz w tym tekście pochodzi od różnych autorów i nie została ujednolicona.

[13] Geller, dz. cyt., s. 207; Sitarz, dz. cyt., s. 21-22.

[14] Geller, dz. cyt., s. 207; Sitarz, dz. cyt., s. 21-22.

[15] Sitarz, dz. cyt., s. 22.

[16] Sitarz, dz. cyt., s. 13.

[17] *Mądrości żydowskie,* zebrał, tłumaczył i opr. A. Drożdżyński, Warszawa 1961, s. 23.

[18] Sitarz, dz. cyt., s. 55-56; de Lange, dz. cyt., s. 122.

Mądrości żydowskie, zebrał, tłumaczył i opr. Aleksander Drożdżyński, Warszawa 1961.

Sitarz Magdalena Joanna, *Jidysz, podręcznik nauki języka dla początkujących*, Kraków 1995.

Unterman Alan, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, Warszawa 2000.

Żydzi w Polsce, dzieje i kultura. Leksykon, red. Jerzy Tomaszewski, Andrzej Żbikowski, Warszawa 2001.

Fragment zniszczonej Tory ze zbiorów TNN oraz szyld z ul. Kowalskiej. Fot. Stefan Kiełsznia. Ze zbiorów TNN.

Milena Migut

Iwrit

Hebrajski – język Dekalogu, Tory i Talmudu. Język, w którym zostało wypowiedziane niewymawialne imię Boga, tetragram JHWH, ale także język, w którym współcześni Izraelczycy rozmawiają o obejrzanym wczoraj teleturnieju.

Hebrajski – język pełen sprzeczności i tajemnic, ale przez to tak bardzo zajmujący i pociągający zarówno dzisiejszych językoznawców, jak i kabalistów w dawnych czasach. Jeden z tych ostatnich, Abraham Abulafia, wierzył, że hebrajski jest w najkrótszej linii pochodną pierwotnego języka, od której wywodzą się pozostałe języki świata. Teoria ta podnosi rangę hebrajskiego, jednak znacznie odbiega od wyników badań naukowych.

Najstarsze zapiski w języku hebrajskim datuje się na XI-X wiek p.n.e., kiedy był też nazywany „mową Kanaanu" lub judejskim (został zaadoptowany przez Izraelitów po objęciu we władanie Kanaanu około XIII-XII wieku p.n.e.). Dlatego też zalicza się go do kanaanejskiej gałęzi, północno-zachodniej semickiej podgrupy, semickiej podrodziny, chamito-semickiej rodziny języków. W tym okresie Kanaan stykał się z terytorium Fenicjan i dlatego jest prawdopodobne, że hebrajski w swej najwcześniejszej formie był niemal identyczny z językiem fenickim. Zasób słów języka w tamtym okresie był bardzo ubogi. Konkretne przymiotniki używano w połączeniu z abstrakcyjnymi rzeczownikami. Niewielka liczba partykuł łączących i określających relacje pomiędzy fragmentami wypowiedzi, w połączeniu z jedynie dwoma aspektami (dokonanym i niedokonanym) powodowały niejednoznaczność języka. Dlatego w celu sprecyzowania wypowiedzi stosowano różne konstrukcje składniowe, np. konstrukcja, w której pierwszy z serii czasowników był w formie dokonanej a pozostałe w niedokonanej, wskazywała na czynność w przeszłości. Jeśli zaś czasownik w formie niedokonanej poprzedzał czasowniki dokonane, oznaczało to czas teraźniejszy lub przyszły.

Językiem hebrajskim posługiwano się do czasu niewoli babilońskiej, tj. do 586 roku p.n.e. W V-IV wieku p.n.e. został wyparty z potocznego użycia przez język aramejski, stając się wyłącznie językiem tekstów religijnych, naukowych i literackich. Tak więc z biegiem lat hebrajski ograniczył się wyłącznie do formy pisanej (tzw. „rabiniczny hebrajski" czyli język Miszny). Mimo to lepiej nadawał się do codziennego użycia niż hebrajski biblijny. Nowe słowa i konstrukcje składniowe w dużym stopniu pochodziły z aramejskiego. Słownictwo zapożyczano również z greki, łaciny i perskiego. Wyrazy pochodzące z biblijnego hebrajskiego otrzymywały nowe znaczenia. Wprowadzono jaśniejsze i bardziej jednoznaczne zasady określające czas czynności. Słownictwo hebrajskie poszerzało się dalej w średniowieczu na skutek arabskiego wpływu na hebrajskie pisma filozoficzne, a także w wyniku częstych tłumaczeń arabskich prac filozoficznych i naukowych. Ten okres w rozwoju języka nazwano pobiblijnym. Od IX wieku użycie hebrajskiego zaczęło zanikać – był on przede wszystkim „świętym" językiem liturgii, literatury sakralnej i szkolnictwa

Hebrajski ożył ponownie jako język mówiony, gdy Żydzi w XIX wieku zaczęli osiedlać się w Palestynie. Współczesny hebrajski, *'iwrit*, został uznany za oficjalny język urzędowy Izraela w 1948. Jego nazwa wywodzi się od wyrazu „Hebrajczyk" (*iwri*). Warto wspomnieć, że istnieją trzy teorie na temat etymologii tego słowa. Według pierszej pochodzi ono od czasownika *laavor* (przechodzić, przejść). W tym wypadku iwri miałoby oznaczać „tego, który przeszedł z drugiej strony" – Jordanu (wersja mojżeszowa) albo Eufratu (wersja abrahamowa). Druga teoria wywodzi słowo „Hebrajczyk" od babilońskiego rzeczownika *habiru*. Wyraz ten był używany w Egipcie w okresie Amarny (XV-XIV wiek) i oznaczał wędrowca, koczownika. Trzecia teoria wskazuje na imię własne niejakiego Ebera, zwanego również Heberem, prawnuka Sema i pradziadka Abrahama (Rdz 10,21-25; 11,10-26). W tym wypadku „hebrajczyk" oznaczałby „potomka Ebera".

Słowa w hebrajskim pisane są od prawej do lewej, co wywodzi się z pierwotnego sposobu zapisywania tekstów na tablicach kamiennych, na których łatwiej było ryć z prawej do lewej strony, ponieważ większość ludzi jest praworęczna. Cecha ta jest charakterystyczna dla wielu starych języków. Alfabet składa się z 22 znaków pochodzenia fenickiego. Zapisywane są jedynie spółgłoski i samogłoski długie. W świętych księgach, książkach dla dzieci i poezji jest używana tzw. pisownia uproszczona, z pomocniczymi znakami – kropkami i kreskami wskazującymi samogłoski. Samogłoski – zarówno ich pisownia, jak i wymowa – wprowadzone zostały pomiędzy VI a X wiekiem przez uczonych zwanych *masoretami*[1]. Pisownia bez tych znaków, powszechnie używana w życiu codziennym, określana jest pisownią pełną.

Wymowa oparta jest na języku Żydów sefaradyjskich, zamieszkujących głównie w Turcji, Grecji i Bułgarii, a wcześniej także na półwyspie Iberyjskim (do czasu wygnania w XV wieku). Słownictwo jest oparte na biblijnym hebrajskim, zaś zasady składni – na hebrajskim rabinicznym. Starożytny język pisany, aby sprawnie funkcjonować we współczesnym świecie, musiał zaadaptować ogromną liczbę nowych słów, głównie terminów naukowych. Zadaniu temu stawił czoło urodzony na Litwie naukowiec Eliezer ben Yehuda, który, opierając się na biblijnym hebrajskim, wyprowadził ok. 4 000 nowych słów (czyli o połowę mniej niż występuje w Starym Testamencie). Odnowiony przez niego i spopularyzowany współczesny hebrajski modyfikowany jest cały czas pod wpływem języków naro-

[1] Masoreci (od *masora*, hebr. „tradycja") utrwalili reguły ortografii, znaków samogłoskowych, podziału na zdania i akapity, wokalizacji i akcentów muzycznych (służących do przekazu melodyki intonowania biblijnych tekstów) oraz ogólnego układu hebrajskiej Biblii. Reguły te pozwalały uniknąć błędów podaczas przepisywania przez skrybów, czyli soferów [Przyp. red.].

Uczyłem się w szkole hebrajskiej, gdzie się mówiło, pisało i czytało po hebrajsku, w domu z siostrami i na ulicy mówiłem po polsku, a rodzice jak nie chcieli żebyśmy rozumieli, to mówili w jidysz.

Mosze Opatowski. Z archiwum „Historii Mówionej" TNN.

dowych żydowskich imigrantów. Duży wpływ miał na niego również jidysz.

Gramatycznie hebrajski jest typowym językiem semickim, jako że większość jego słów posiada temat złożony z trzech spółgłosek, rozdzielonych samogłoskami. Zmienianie lub pomijanie samogłosek zmienia znaczenie tematu. Znaczenie ulega zmianie również przez przedrostki i przyrostki dodawane do tematu. Fleksja rzeczowników hebrajskich jest bardzo uboga. Odmiana rzeczowników przez przypadki w hebrajskim nie występuje, mimo że zachowała się szczątkowo w innych językach semickich, np. w arabskim. Największą trudnością dla Europejczyków w poznaniu i zrozumieniu języka hebrajskiego jest sam alfabet, któremu kabaliści przypisywali znaczenie magiczne (wystarczy, aby dowolne słowo zostało zapisane w hebrajskim, a zyska ono moc). Klasyczne pismo hebrajskie wyodrębniło się po okresie niewoli babilońskiej, kiedy Żydzi pisali po aramejsku. Pierwotnie każda litera miała swoje odrębne znaczenie, które językoznawcy odczytują jako: א – wół, ב – dom, ג – wielbłąd, ד – drzwi, ה – okno, ו – gwóźdź, ז – miecz, ח – płot, ט – wąż, י – ręka, כ – dłoń, ל – kij do poganiania wołów, מ – woda, נ – ryba, ס – podpora, ע – oko, פ – usta, צ – haczyk na ryby, ק – tył głowy, ר – głowa, ש – ząb, ת – krzyż Taw.

Zarówno ta, jak i inne, omówione wcześniej właściwości sprawiają, że hebrajski bywa wciąż postrzegany jako „magiczny". Jednocześnie jest coraz bardziej popularny. Ciągle powstają miejsca, gdzie można się go uczyć, zaś w polskich księgarniach można znaleźć słowniki, samouczki, a nawet tomiki poezji po hebrajsku z tłumaczeniem na język polski[2].

[2] Bibliografia:
P. Nowicki, *Hebrajszczyzna biblijna*, Warszawa 1978; D. Aczel Amir, *Tajemnica Alefów*, Warszawa 2002 (http://republika.pl/judaizm/hebr_hist.htm).

Lublin. Dwa pokolenia wspólnie studiują religijne teksty. Zarówno jidysz, jak i hebrajski służyły kultywowaniu tradycji i wzmacnianiu żydowskiej tożsamości, ale ich rola bardzo się różniła. Jidysz był głównie językiem ulicy, handlu i życia codziennego, a hebrajski tradycji religijnej. Hebrajskie księgi studiowali tylko mężczyźni. Fot. Alter Kacyzne. Ze zbiorów YIVO.

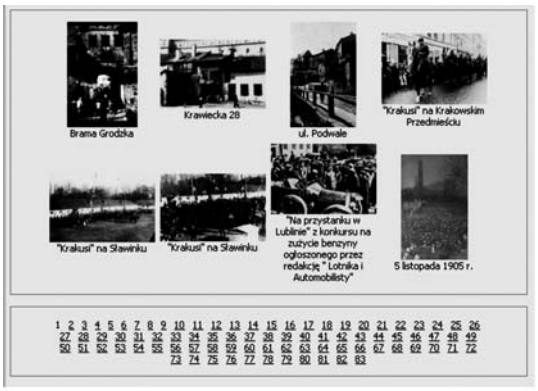

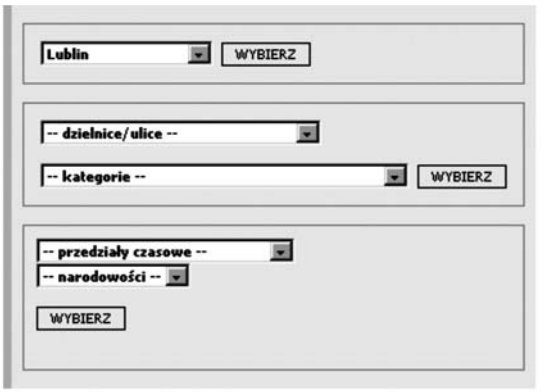

Menu główne

- Strona główna
- Twoje konto
- Wyloguj się

Teatr NN

- O nas
- Kalendarium
- Dokumentacja fotograficzna

Zapomniana Przeszłość

- Opis projektu
- Jak zaczynaliśmy

Biblioteka Wirtualna

- Opis
- Teksty
- Ikonografia
- Historia mówiona

Edukacja

- Wprowadzenie
- Kluby odkrywców
- Religie
- Formy pracy
- Stereotypy
- Pamięć
- Autorytety
- Media
- Europa

Scriptores

- O piśmie

Obyczaje

- Magazyn Międzynarodowy

Dodatki

- Forum dyskusyjne
- Katalog stron

Kontakt

- Adresy

WIRTUALNA BIBLIOTEKA LUBLINA I REGIONU LUBELSKIEGO

Biblioteka funkcjonuje w formie internetowego wortalu na stronie Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" pod adresem www.tnn.lublin.pl i zawiera informacje o dziedzictwie kulturowym Lubelszczyzny (artykuły, scenariusze lekcji, fotografie, relacje itp.), które na co dzień są rozproszone w archiwach, bibliotekach i zbiorach prywatnych.

Idea „Wirtualnej Biblioteki" nawiązuje do „Wystawy przedmiotów sztuki i starożytności" zorganizowanej sto lat temu przez Hieronima Łopacińskiego, która pokazywała eksponaty związane z historią miasta i regionu. Pomysł stworzenia „Wirtualnej Biblioteki" zrodził się podczas realizowanego przez Ośrodek projektu „Zapomniana Przeszłość – Wielokulturowe Tradycje Lubelszczyzny", w ramach którego powstała sieć prawie stu Szkolnych Klubów Odkrywców „Ścieżkami Pamięci". Znaczna część materiałów do wortalu została pozyskana dzięki współpracy z tymi klubami oraz lokalnymi środowiskami prezentowanymi w Ośrodku w ramach cyklu spotkań „Ludzie – Miejsca – Środowiska".

Zbiory „Wirtualnej Biblioteki" składają się z tekstów, ikonografii, nagrań i materiałów edukacyjnych. Baza tekstowa zawiera podstawową literaturę związaną z tematyką wielokulturowej Lubelszczyzny. Obecnie znajduje się w niej 442 pozycje – ponad 2500 stron maszynopisu ułożonych w działach tematycznych. Baza ikonograficzna wortalu zawiera blisko 1000 fotografii. Każda ilustracja posiada kartę inwentarzową z podstawowymi informacjami. Ponadto w zbiorach „Biblioteki" znajduje się 175 relacji dostępnych w formie tekstów i częściowo również plików dźwiękowych. Głosy ludzi pamiętających przedwojenną Lubelszczyznę układają się w opowieści o miejscach, rodzinie, dzieciństwie, szkole, tradycjach, kuchni, rozrywkach itp. Osobny dział „Edukacja" zawiera materiały dla nauczycieli realizujących ścieżkę międzyprzedmiotową „Edukacja regionalna – dziedzictwo kulturowe w regionie". Ta część „Biblioteki" zawiera m.in. informacje o głównych religiach, artykuły podejmujące problem stereotypów oraz propozycje rozwiązań metodycznych. W jej skład wchodzi ponad 90 tekstów.

Aktualne zasoby „Wirtualnej Biblioteki Lublina i Regionu Lubelskiego" obejmują większość miejscowości Lubelszczyzny (w sposób szczególny Grabowiec, Hrubieszów, Janowiec nad Wisłą, Kurów, Puławy, Tarnogród, Tomaszów Lubelski, Wohyń, Wojsławice) i są stale uzupełniane. Koordynatorką programu jest Joanna Zętar.

Przekazy ikonograficzne pokazują nam, jak wiele zmieniło się w Lublinie w ciągu niespełna stu lat i jak mało wiemy o miejscach i faktach związanych z historią miasta.

Joanna Zętar

Ikonografia lubelskiej dzielnicy żydowskiej

Henryk Gawarecki w szkicu z przeszłości miasta zawartym w zbiorze *O dawnym Lublinie* zwrócił uwagę: „Nie trzeba chyba dziś nikogo przekonywać o podstawowym znaczeniu, jakie dla poznania przeszłości miasta mają wszelakiego rodzaju przekazy ikonograficzne: ryciny, rysunki, obrazy i fotografie. Najdokładniejszy nawet opis gmachu, ulicy, miasta nie potrafi przekazać tych wszystkich szczegółów, które daje rysunek, a przede wszystkim fotografia. Dlatego z taką pilnością poszukujemy i wykorzystujemy wszystkie źródła ikonograficzne, pozwalające na odtworzenie przestrzennego obrazu miasta i jego budowli”[1]. Słowa te nabierają szczególnego znaczenia w kontekście badań nad ikonografią lubelskiej dzielnicy żydowskiej.

Lubelska dzielnica żydowska rozlokowała się wokół wzgórza zamkowego w XVI wieku, osiągając stopniowo wysoką rangę wśród polskiej społeczności żydowskiej. To tutaj od 1554 roku rozwijało się hebrajskie drukarstwo, a od 1681 roku obradował Sejm Czterech Ziem, czyli żydowski parlament. Tutaj od 1794 roku miał swój dwór Jakub Icchak Horowitz zwany Widzącym z Lublina, a od 1931 roku funkcjonowała największa w tej części Europy uczelnia talmudyczna. Podczas II wojny światowej nastąpiła zagłada tego gwarnego, tętniącego życiem świata. Dziś teren dawnej żydowskiej dzielnicy jest pustym miejscem, które dla wielu Lublinian nie niesie za sobą żadnych znaczeń. Nie ma dziesięciu dorosłych Żydów do minjan, nie ma żydowskich pochówków,

[1] H. Gawarecki, *O dawnym Lublinie. Szkice z przeszłości miasta*, Lublin 1974, s. 115.

Konstanty Kietlicz-Rayski, *Widok Zamku Lubelskiego*, 1902, akwarela. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

nikt nie czerpie wody ze studni, nie istnieje ul. Szeroka, zniknął plac Krawiecki, a przez teren po Wielkiej Synagodze przebiega ruchliwa Aleja Tysiąclecia. Coraz trudniej, przemierzając tę część miasta, wyobrazić sobie, jak wyglądały ulice dzielnicy na Podzamczu: partery domów z maleńkimi sklepikami lub warsztacikami, kolorowe szyldy w języku jidysz, zaprzęgi konne, bawiące się dzieci, czarne chałaty, białe tałesy,

tamte głosy, dźwięki, zapachy...

Na szczęście architektura i wizerunki ludzi żyjących w dzielnicy żydowskiej zostały udokumentowane przez artystów na kliszach fotograficznych i w dziełach plastycznych. Te przekazy ikonograficzne są obecnie jedyną podstawą do odtwarzania wyglądu dawnego żydowskiego miasta, a zarazem sposobem ocalenia go od zapomnienia. Przeglądając zdjęcia, zatrzymując się nad dziełami malarstwa i grafiki, mamy szansę choć na chwilę przenieść się w czasie, odbyć swoisty spacer po uliczkach miasta z przeszłości.

Pomimo że początki dzielnicy żydowskiej sięgają XVI wieku, nie znajdziemy jej pełnego obrazu na żadnym z najstarszych zachowanych widoków Lublina. Podzamcze nie widnieje zarówno na wykonanej po 1575 roku polichromii z kamienicy Lubomelskich[2], jak również na miedziorycie Jana Maszewskiego z 1774 roku[3]. Bardzo schematyczny zarys żydowskiego osiedla znajduje się na miedziorycie kolorowanym Jerzego Brauna i Abrahama Hogenberga z roku 1617[4], kilka budowli z terenu Podzamcza zostało przedstawionych na obrazie z 1719 roku *Pożar miasta Lublina* znajdującym się w kościele oo. Dominikanów oraz na płótnie *Wjazd generała Zajączka do Lublina w 1826 roku*. Uproszczone wizerunki zabudowań tej części miasta odnajdujemy na rycinach Leona Urmowskiego z 1814 roku. Dopiero na jednej z litografii w *Albumie Lubelskie* Adama Lerue z lat 1857-1860 ukazana jest wchodząca w skład żydowskiego osiedla ulica Kowalska[5].

Karl Richard Henker, Podwórze kamienicy na rogu Kowalskiej i Rybnej. Źródło reprodukcji: Majer Bałaban, *Żydowskie miasto w Lublinie*, Lublin 1991, s. 30.

Świadome dokumentowanie dzielnicy żydowskiej rozpoczęło się właściwie wraz z upowszechnieniem fotografii. Warto podkreślić, że fotografia lubelska ma długą i bogatą tradycję. Wynalazek Ludwika Dauguerra opatentowany w 1839 roku szybko trafił nad Bystrzycę. Prekursorem lubelskiej fotografii miejskiej był Aleksander Nowaczyński. Pierwsze widoki Lublina zostały wykonane w zakładzie fotograficznym jego ojca na użytek *Kalendarza fotograficznego Nowaczyńskiego* na rok 1871[6]. Około 1898 roku powstały zdjęcia Zofii Grzybowskiej pracującej w zakładzie artystyczno-fotograficznym „A. Stepanoff". W serii 24 fotografii opublikowanych w warszawskim tygodniku „Świat" po raz pierwszy pojawia się widok dzielnicy żydowskiej. Na fotografii zatytułowanej „Były Zamek królewski" widać bryłę budowli od strony południowo-zachodniej wraz z Podzamczem. Natomiast pierwsza samodzielna fotografia przedstawiająca Zamek i rozlokowaną wokół niego dzielnicę

[2] I. Rolska-Boruch, *Malarski portret gotyckiego miasta Lublina z Kamienicy Lubomelskich*, w: *Ikonografia dawnego Lublina. Materiały z sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki Oddział w Lublinie*, red. Z. Nestorowicz, Lublin 1999, s. 14-24.

[3] R. Bartnik, *Widoki Lublina w zbiorach graficznych Muzeum Lubelskiego*, w: *Ikonografia dawnego Lublina*, s. 122.

[4] Miedzioryt, popularyzujący ikonografię miasta, uważany za najstarszy widok Lublina, miał wiele powtórzeń: Pitera van der Aa *La galerie agreable du Monde*, wykonany w Lejdzie w 1729 roku, A. Cellariusa *Regni Poloniae Magnique Lituaniae... novissima descripto*, wykonany w Amsterdamie w 1659 roku, Gabriela Bodenehra *Curioses Stats— und Kriegs Theatrum in Polen*, wykonany w Augsburgu około 1720 roku. Informacje z: A. Frejlich, *Widok Lublina Jerzego Brauna i Abrahama Hogenberga. Zarys genezy widoków miast w sztuce nowożytnej*, w: *Ikonografia dawnego Lublina*, s. 31-51 oraz H. Gawarecki, *Najstarszy widok Lublina A. Hogenberga i jego późniejsze powtórzenia w XVII i XVIII wieku*, „Studia i Materiały Lubelskie" (1963) t. I, s. 53-72.

[5] *Album Lubelskie* Adama Lerue powstał na podstawie rysunków z natury sporządzanych podczas prowadzonej pod kierunkiem Kazimierza Stronczyńskiego w latach 1844-1855 inwentaryzacji zabytków. Zob. M. Kurzątkow-

żydowską, sygnowana przez zakład A. Stepanoff, jest datowana na koniec XIX wieku[7]. Przełomowym momentem w dokumentowaniu żydowskiej dzielnicy były fotografie wykonane przez Wandę Sierocińską. Cztery połączone w formę fryzu zdjęcia tworzą panoramę miasta od strony północnej, ukazując dzielnicę żydowską z wyróżniającą się sylwetką synagogi, ul. Szeroką i ul. Lubartowską[8]. Panorama po raz pierwszy została zaprezentowana na Wystawie Przemysłowo-Rolniczej w 1901 roku, a później rozpowszechniana jako widokówka-składanka[9].

Fotografie powstałe w 1. połowie XX wieku między innymi w zakładach Wandy Chicińskiej, Stanisława Zawadzkiego, Ludwika Hartwiga, wykorzystywane do produkcji pocztówek, są podstawą opisu ówczesnego wyglądu miasta. Jednak analiza materiału ikonograficznego dowodzi wybiórczego potraktowania dokumentowanych miejsc. Zdjęcia ukazują jedynie atrakcyjne i najbardziej reprezentacyjne budowle: Bramę Krakowską, Rynek i kamieniczki staromiejskie oraz ul. Krakowskie Przedmieście. W niewielu przypadkach znajdujemy na nich widoki miasta od strony Podzamcza. Praktycznie nie istnieją widoki Kalinowszczyzny i Wieniawy. Pod względem kompozycyjnym fotografie są prawie zawsze identycznymi, statycznymi ujęciami.

Najciekawsze widoki dzielnicy żydowskiej

powstały głównie w okresie dwudziestolecia międzywojennego za sprawą Jana Bułhaka, Józefa Czechowicza, Edwarda Hartwiga, Altera Kacyzne, Stefana Kiełszni, Stanisława Magierskiego, Henryka Poddębskiego i Wiktora Ziółkowskiego.

Najwartościowszym chyba zbiorem dokumentującym dzielnicę na Podzamczu jest kolekcja zdjęć Stefana Kiełszni (1911-1987) – pracownika Księgarni św. Wojciecha, fotoamatora, członka Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego i właściciela największej w Lublinie prywatnej biblioteki fotograficznej. W 1938 roku na zlecenie Magistratu, który podjął decyzję o przebudowie żydowskiego przedmieścia, Kiełsznia aparatem marki Rolleiflex wykonał około 600 zdjęć. Ze zbioru, który uległ rozproszeniu już po wojnie, do dziś zachowało się 120 fotografii, na których oglądamy ulice: Nową, Lubartowską, Świętoduską, Kowalską, Szeroką, Krawiecką, Zamkową, a także Zamek Lubelski od strony ulicy Podwale, podwórka i slumsy na Podzamczu, Bramę zwaną Zasraną. Na tle architektury fotograf zatrzymał wizerunki typowych postaci. Kolekcja jest bezcennym dokumentem, podstawą analiz i materiałem do odtwarzania wyglądu żydowskiej dzielnicy[10].

Fot. ze zbiorów TNN. Dzięki uprzejmości Danuty Kowal.

W okresie międzywojennym było dużo artykułów w prasie i na posiedzeniach Towarzystwa mówiło się o całkowitej przebudowie części żydowskiej, Podzamcza, rejonu ulic handlowych, bo to było w ruinie strasznej. Ówczesny konserwator wojewódzki sygnalizował i sugerował, że trzeba zachować to „na wieczną rzeczy pamiątkę". Myśmy zupełnie indywidualnie chcieli zebrać jakieś archiwa, zdjęcia. Wyszło się raz, drugi. Przeszło się jedną, drugą, dziesiąta, a jednocześnie polowało się na te zdjęcia typowo... o zacięciu artystycznym, bo wtedy wszyscy chorowali na artyzm. I jeszcze byliśmy szykanowani i ośmieszano nas, że z aparatem fotograficznym, że ambicje zbyt wygórowane, a przecież to zrobi każdy „mordochwyt" [uliczny fotograf – przyp. red.].

Transkrypcja rozmowy Krystyny Kotowicz ze Stefanem Kiełsznią, członkiem przedwojennego Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego, autorem najcenniejszej kolekcji zdjęć dokumentujących ulice lubelskiego Miasta Żydowskiego. Z archiwum Radia Lublin.

ski, *Album Lubelskie Adama Lerue jako źródło ikonograficzne*, w: *Ikonografia dawnego Lublina*, s. 52-57.

[6] J. Lipniewski, *Widokówki lubelskie – historia i znaczenie dla ikonografii miasta (1896-1939)*, w: *Ikonografia dawnego Lublina*, s. 87-88.

[7] Tamże, s. 99.

[8] Na Wystawie Rolniczo-Przemysłowej w 1901 roku lubelscy fotograficy byli w czołówce wystawców. Złoty medal otrzymali: zakład Aleksandra Ste-

panoffa i Józef Wasilewski z zakładu Adama Kłosowskiego. Dużym zainteresowaniem cieszyły się widoki na platynie autorstwa Wandy Sierocińskiej. Prasa pisała o kartach pocztowych Zofii Grzybowskiej, pocztówkach z drukarni Ludwika Pietrzykowskiego, bombonierkach z widokami Lublina z Cukierni Semadeniego, zdjęciach Stanisława Zawadzkiego, Zofii Mikłaszewskiej i Ludwika Hartwiga. Informacje z: I. J. Kamiński, *Życie artystyczne w Lublinie 1901-1926*, Lublin 2000, s. 357.

[9] Gawarecki, *O dawnym Lublinie*, s. 118., Lipniewski, *Widokówki lubelskie*, s. 91-93.

[10] B. Odnous, *Fotograf zaginionego miasta*, „Karta" 2000 nr 31, s. 10-13; H. Gawarecki, *Dawny Lublin na fotografiach Stefana Kiełszni*, Lublin 1975.

[11] K. Jarzembowski, *Magierski Stanisław Jacek*, w: Polski Słownik Biograficzny, t. XIX, Wrocław 1974, s. 171-173.

Wiele zdjęć Lublina z lat trzydziestych, ukazujących motywy ze Śródmieścia, ulicy Krawieckiej, Grodzkiej, Zamkowej i Podzamcza z widokiem na Zamek, wykonał Stanisław Magierski (1904-1957) – farmaceuta, muzyk, malarz, fotograf, współzałożyciel Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego, właściciel jednego z najlepszych w Lublinie sklepów z materiałami fotograficznymi oraz filmowiec, który w 1937 roku nakręcił siedmiominutowy film o Lublinie[11].

Bardziej znany jako poeta, mniej jako fotoamator, Józef Czechowicz (1903-1939) zimą lub wczesną wiosną 1934 roku wykonał kilkadziesiąt widoków Starego Miasta, okolic Magistratu oraz przedmieść Kalinowszczyzna i Czwartek. Zdjęcia powstały w ścisłym związku z opublikowanym w 1934 roku tomem poetyckim *Stare kamienie* i przygotowywanym *Poematem o mieście Lublinie*. Ukazują miejsca charakterystyczne dla pejzażu miasta, ulice i zaułki żydowskiej dzielnicy, Zamek od strony Placu Krawieckiego, dom przy ul. Zamkowej 2, widok na ul. Zamkową z Bramy Grodzkiej i samą Bramę Grodzką. Spuścizna jest przechowywana w lubelskim muzeum poety[12].

Z kolei Wiktor Ziółkowski (1893-1978) – malarz, poeta, dziennikarz, człowiek o wszechstronnych zainteresowaniach artystycznych pozostawił po sobie kolekcję zdjęć wykonanych w latach trzydziestych, przedstawiających motywy staromiejskie, a przede wszystkim dzielnicę żydowską: dom usytuowany na rogu ulic: Krawieckiej i Mostowej, widok na Podzamcze i ul. Krawiecką, „kaszarnię" na rogu ul. Ruskiej i Nadstawnej, Podzamcze, widok ogólny ze wzgórza Czwartek. Oryginały znajdują się w Muzeum Historii Miasta Lublina.

Pisząc o ikonografii lubelskiego osiedla żydowskiego, nie można zapomnieć o Edwardzie Hartwigu (1909-2003), jednym z najbardziej utalentowanych polskich fotografów. Na początku lat trzydziestych Edward Hartwig założył zakład fotograficzny, gdzie realizował własne poszukiwania twórcze. Z lubelskich krajobrazów upodobał sobie szczególnie okolice Starego Miasta. Za namową Wiktora Ziółkowskiego zainteresował się dzielnicą żydowską, którą z czasem zaczął traktować jako kopalnię fotograficznych tematów. Zdjęcia żydowskiego Podzamcza nie przetrwały jednak okresu wojny[13].

Wiele zabytków Lublina udokumentował również Jan Bułhak (1876-1950) – praktyk i teoretyk fotografii, twórca kilkunastu tysięcy zdjęć o wielkiej wartości artystycznej i dokumentalnej. Przedstawienia charakteryzujące się standardowością ujęć były głównie wykorzystywane w produkcji pocztówek[14]. Bułhak wykonał jedno z najbardziej znanych ujęć ul. Zamkowej, szczególnie interesujące w porównaniu ze współczesnym widokiem z przejazdu w Bramie Grodzkiej. Na zdjęciu widzimy tuż za Bramą murowane, solidne domy i jedynie krenelaż zamku. Inne znane fotografie artysty to zdjęcia ul. Szerokiej i widok ogólny na miasto żydowskie od strony starego cmentarza żydowskiego.

Kaszarnia, róg Ruskiej i Nadstawnej, lata trzydzieste. Fot. Wiktor Ziółkowski. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

Lublin dokumentował również warszawski fotograf Henryk Poddębski (1890-1945). Wiele z jego dzieł wykonanych około 1931 roku weszło do kanonu polskiej fotografii. Zdjęcia Starego Miasta, Krakowskiego Przedmieścia, widok na Zamek i Podzamcze z Placu po Farze, widok z Czwartku były prezentowane na indywidualnej wystawie zorganizowanej w 1938 roku w Lublinie[15].

Istnieje również bogata kolekcja fotografii Lublina i regionu autorstwa Altera Kacyzne (1885-1941) – poety, pisarza i dramaturga tworzącego w języku jidisz, którego spuścizna jest przechowywana w nowojorskim YIVO Institute for Jewish Research. Zdjęcia z Lublina zostały wykonane w 1924 roku[16]. Kacyzne sfotografował dom na rogu ul. Mostowej i Krawieckiej, tak zwaną „Psią górkę", ul. Szeroką, ul. Grodzką od strony ul. Podwale, Krawiecką. Fragment wnętrza synagogi Maharszalszul jest, obok rysunku Symchy Binem Trachtera i filmu *Żyd Süss*, jedynym zachowanym przekazem ikonograficznym, dzięki któremu możemy obejrzeć wnętrze tej świątyni. Dużą część dorobku Kacyzne stanowią portrety wykonane w synagogach Maharszalszul i Saula Wahla, chederach, „szkole" dla dziewcząt oraz wizerunki pojedynczych osób pracujących w warsztatach rzemieślniczych lub przebywających na ulicy.

Z kolei zdjęcia Romana Višniaka (1897-1990) – biologa i anatoma, który w połowie lat trzydziestych podróżował po Polsce, Czechach i Węgrzech, są ważnym dokumentem historycznym tradycji i życia społeczności żydowskiej przed zagładą. Jak dotychczas znane są cztery kadry przedstawiające przedwojenny Lublin.

Fotografie dokumentujące dzielnicę żydowską powstawały również w czasie wojny, głównie dla celów propagandowych. Z tego okresu pochodzi seria pocztówek z lubelskiego getta, określona w literaturze mianem „typy Żydów lubelskich". Inna seria pocztówek, wykonanych według fotografii Maxa Otto Vendreya, stanowi część materiału ilustracyjnego *Przewodnika po mieście Lublinie z 1942 roku*[17]. Nieocenione dla odtwarzania topografii i wyglądu miasta są archiwalne zdjęcia lotnicze placu Łokietka i Starego Miasta, a przede wszystkim panoramy Lublina z widokiem na Zamek od strony południowo-wschodniej i wschodniej.

Znacznie wcześniej

niż fotograficy po motywy z lubelskiej dzielnicy żydowskiej, sięgnęli artyści plastycy[18]. Jednym z najstarszych widoków Podzamcza jest akwarela Konstantego Kietlicza–Rayskiego (1868-1924) z 1902 roku przedstawiająca pejzaż z bryłą Zamku Lubelskiego otoczonego dzielnicą żydowską. Najliczniejsza grupa dzieł powstała w okresie I wojny światowej. Tematyka dzielnicy żydowskiej była inspiracją m.in. dla Witolda Chomicza, Jana Kantego Gumowskiego, Karla Richarda Henkera, Leona Wyczółkowskiego oraz artystów pochodzenia żydowskiego: Symchy Binem Trachtera, Henryka Lewenstadta i Lionela Reissa.

Twórcą zbioru rysunków o wielkim znaczeniu dokumentacyjnym był Jan Kanty Gumowski (1883-1946) – malarz, grafik, rysownik. Grafiki przedstawiające motywy architektoniczne Lublina, wykonane między 1917 a 1918 rokiem na podstawie szkiców, pocztówek i zdjęć, złożyły się na tekę 15 autolitografii zatytułowanych *Lublin. Mo-*

[12] A. Tyszczyk, *Poemat o mieście Lublinie i jego fotografie*, „Na Przykład", 1999 nr 11/12 (listopad/grudzień), s. 13-16.

[13] Informacje zaczerpnięte z rozmowy przeprowadzonej z Edwardem Hartwigiem w dniu 18 stycznia 1994 roku dla potrzeb projektu „Historia mówiona". Zapis dostępny w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN".

[14] H. Dereczyński, *Wstęp*, w: J. Bułhak, *Fotografia ojczysta*, Wrocław 1951, s. 5-9.

[15] Informacje pochodzą z biogramu artysty prezentowanego na monograficznej wystawie w Kazimierskim Domu Kultury w zimie 2002 roku.

[16] M. Web, *Polyn. Jewish Life in the Old Country. Alter Kacyzne*, New York 1999, s. 16-17, 19-20.

Leon Wyczółkowski, *Dzielnica żydowska* z *Teki lubelskiej*, 1918-1919, litografia. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

[17] J. Lipniewski, *Szkic do dziejów lubelskich pocztówek*, w: *Lublin na dawnej pocztówce*, red. T. Panfil, M. Wyszkowski, J. Lipniewski, Lublin 1997, s. 20.

[18] Widoki Lublina, w tym również widoki dzielnicy żydowskiej, omawia Renata Bartnik. Zob. R. Bartnik, *Widoki Lublina w zbiorach graficznych Muzeum Lubelskiego*, w: *Ikonografia dawnego Lublina*, s. 120-143.

Witold Chomicz, *Lubelski zaułek*, 1923-24, litografia. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

tywy architektury polskiej. Jednobarwne lub wzbogacone pastelową kolorystyką prace są wykonane w identycznym formacie. W ośmiu przypadkach, oprócz przedstawienia budowli, zawarty jest również rysunek rzutu poziomego[19]. Autor bardzo dokładnie „spenetrował" dzielnicę żydowską: ul. Zamkową, Bramę Grodzką, budynek „bazaru przy Bramie Grodzkiej", ulice: Krawiecką i Mostową, fragmenty zabudowy dzielnicy Kalinowszczyzna i peryferie nad Czechówką. Ciekawym dokumentem ikonograficznym jest litografia przedstawiająca architekturę kilku domów z nieparzystej strony ul. Szerokiej. Najwyższa z kamienic, pod numerem 13, miała monumentalną fasadę zwieńczoną wolutowym szczytem. Do jej formy nawiązuje, w pewnym stopniu, dzisiejsza architektura Placu Zamkowego. Gumowski narysował również wiele zabytków architektury drewnianej, np. zrębowy dom z balkonem i facjatkami z ul. Krawieckiej 6, domek żydowski i domek mieszczański na Podzamczu. Jedenaście spośród przedstawionych obiektów dziś już nie istnieje.

W tym samym czasie co dzieła Gumowskiego powstały prace Karla Richarda Henkera (1873-?) – architekta, grafika i dekoratora wnętrz z Charlottenburga. Henker podczas pobytu w Lublinie w 1918 roku stworzył cykl grafik obrazujących między innymi dzielnicę żydowską. Pięćdziesiąt dziewięć dzieł wykorzystał w swojej książce *Żydowskie miasto w Lublinie* Majer Bałaban, przyjaciel artysty[20]. Spośród nich na szczególną uwagę zasługują: widok na Podwale z Placu Po Farze, sklep „klęcznikowy" w Bramie Żydowskiej, czyli Grodzkiej, kościół św. Wojciecha, widok z Podwala na tylną stronę ul. Grodzkiej, widok na ul. Krawiecką, magazyn przy ul. Kowalskiej 17, „most zamkowy" nad ul. Podzamcze, domy z ul. Szerokiej od numeru 9 do 19, drewniany, zrębowy dom z balkonem i facjatkami z ul. Krawieckiej 6, domy i podwórka ul. Krawieckiej, wnętrze synagogi Parnas przy ul. Szerokiej 44, bethamidrasz przy ul. Jatecznej 7, synagoga Maharszalszul i elementy jej wyposażenia. Dzieła Henkera znamy tylko dzięki opracowaniu Bałabana. Prowadzone poszukiwania oryginałów rysunków nie przyniosły, jak dotąd, rezultatów.

Malarz i mistrz litografii Leon Wyczółkowski (1852-1936) swoje prace graficzne wydawał w tekach tematycznych. Jedną z nich była wykonana w latach 1918-1919 *Teka autolitografii Lublin. Budowle i zaułki żydowskie*. Znajdują się w niej przedstawienie ul. Zamkowej, widok Zamku wraz z Podzamczem widzianym z Placu po Farze, widok Lublina z łąk za Katedrą i Zamku od strony wschodniej.

Wiele dzieł z widokami Lublina pozostawił po sobie Witold Chomicz (1910-1974) – malarz, grafik, profesor krakowskiej ASP, który na początku lat dwudziestych przebywał w Lublinie. Chomicz był od 1924 roku członkiem awangardowej grupy „Elipsa", wtedy też przyjaźnił się z Józefem Czechowiczem. W latach 1924-1939 wydał tekę grafik *Stare mury Lublina*, zawierającą 17 dzieł wykonanych w technice mieszanej. Dzieła zawierają motywy architektury Lublina. Najbardziej interesująca jest panorama Podzamcza z Zam-

kiem, dwa widoki Bramy Grodzkiej od strony dzielnicy żydowskiej, rudery przed Zamkiem, ul. Zamkowa nad Bramą Zasraną oraz dwa lubelskie zaułki[21].

Architekturą Lublina fascynował się Symcha Binem Trachter (1893-1942), urodzony przy ulicy Lubartowskiej. Po studiach w Warszawie, Krakowie i Wiedniu oraz pobycie we Francji, powrócił do Lublina, gdzie między 1920 a 1925 rokiem, a następnie od 1929 do 1938 roku prowadził w domu rodzinnym pracownię[22]. Zachowało się niewiele prac tego artysty. Niewykluczone, że większa część spuścizny Trachtera przetrwała jednak wojnę, zamurowana tuż przed wybuchem wojny w domu rodziców artysty[23]. Symcha Binem Trachter wykonał wiele ilustracji architektury Lublina, między innymi: kościół na Podwalu, pejzaż miasta od strony wschodniej z widokiem na kaplicę Tyszkiewiczów przy kościele oo. Dominikanów, obraz olejny i rysunek węglem przedstawiający Bramę Grodzką oraz rysunek wnętrza synagogi Maharszalszul.

W dorobku malarza i rysownika Henryka Lewenstadta (1893-1945) nie ma zbyt wielu dzieł poświęconych rodzinnemu miastu. Choć po studiach w Krakowie i Monachium wrócił do Lublina, tworzył głównie w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą. Lewenstadt wykonał w 1927 i 1930 roku dwa rysunki przedstawiające zaułki dzielnicy żydowskiej. Był również autorem zaginionej *Teki Stary Lublin*, na którą składały się rysunki węglem i sangwiną wykonane w 1930 roku[24].

Na Lubelszczyźnie i w samym Lublinie powstało wiele dzieł Lionela Reissa. Artysta urodził się w Janowie Lubelskim, skąd, jeszcze jako dziecko, wyemigrował wraz z rodziną do USA. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych kilkakrotnie przebywał w Polsce. Wśród jego dzieł przedstawiających lubelskie zabytki warto wymienić dwa szkice Bramy Grodzkiej[25].

Widoki dzielnicy żydowskiej znajdują się w dorobku wielu innych artystów plastyków: Maksymiliana Gierymskiego, Zenona Kononowicza, Juliusza Kurzątkowskiego, Henryka Zwolakiewicza, Czesława Stefańskiego – malującego w latach 1936-1938 akwarele z motywami dzielnicy żydowskiej i Wieniawy, Zygmunta Kazimierza Bartkiewicza, jak również fotografików: Feliksa Kaczanowskiego, Gerarda Ciołka. Istnieje wiele zdjęć anonimowych, a także do dzisiaj nieopisanych, a znajdujących się w zakamarkach domowych albumów i archiwach instytucji.

„Przełom Czechówki" w Mieście Żydowskim. Fot. Roman Višnak. Ze zbiorów TNN.

Możliwa do obejrzenia

nieistniejąca lubelska dzielnica żydowska jest obecnie tylko dzięki fotografiom i dziełom plastycznym. Pozornie beznamiętne zdjęcia Stefana Kiełszni; statyczne, pocztówkowe ujęcia Jana Bułhaka; postacie ludzi zatrzymane przez Altera Kacyzne; malarskie wi-

[19] J. Żywicki, *Lublin w litografiach Jana Gumowskiego* w: *Ikonografia dawnego Lublina*, s. 59-64.

[20] M. Bałaban, *Żydowskie Miasto w Lublinie*. Z rysunkami Karla Richarda Henkera, Lublin 1991.

Ul. Czechowska, przedmieście Lublina. Fot. Stanisław Magierski, przed 1939. Ze zbiorów TNN.

Henryk Lewenstadt, *Fragment Starego Miasta w Lublinie*, 1930, węgiel. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

zje Symchy Binema Trachtera; drobiazgowe rysunki Witolda Chomicza, rysunki rzutów zawarte na marginesach prac Jana Kantego Gumowskiego – są dziś jedynym źródłem poznawania topografii tej części miasta i wyglądu budowli ją tworzących. Oglądając zachowane przekazy ikonograficzne, zaczynamy sobie uświadamiać, jak wiele zmieniło się w Lublinie w ciągu niespełna stu lat oraz jak mało wiemy o miejscach i faktach związanych z historią miasta.

Warto podkreślić, że cytowana w powyższym artykule literatura nie wyczerpuje tematu, a większość publikowanych artykułów ma charakter przyczynkarski. Zaledwie kilka rozpraw naukowych traktuje o historii lubelskiej fotografii, poszczególni fotograficy i mniej znani plastycy nie doczekali się dotychczas monografii. Bardzo mało miejsca zajmuje w nich tematyka związana z dzielnicą żydowską[26]. W ostatnich latach, za sprawą lubelskiego środowiska kolekcjonerskiego, więcej uwagi zaczęto poświęcać pocztówkom. Duże znaczenie dla badań nad ikonografią miasta miała sesja naukowa pod tytułem *Ikonografia dawnego Lublina* zorganizowana w 1999 roku przez lubelski oddział Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Wygłoszone na niej referaty porządkowały wiele zagadnień i sygnalizowały nowe kierunki poszukiwań.

Wydaje się, że nastedł czas na zanalizowanie zarówno ikonografii dzielnicy żydowskiej, jak i całej ikonografii Lublina, nie tylko w aspekcie zbioru dzieł sztuki – malarstwa, grafiki i fotografii – dokumentującego miejsce lub przedstawiającego temat. Opis i klasyfikacja powinna być wstępem do głębszego przemyślenia poszczególnych warstw

Fotograf zaginionego miasta

Oto było miasto w Lublinie, o którym żydowski historyk Majer Bałaban pisał w 1919 roku: „«Z głębokości wód wołam do Ciebie, Panie!» – modlił się niegdyś, przed tysiącami lat Psalmista, i z tej samej głębokości, z ciemnych zaułków, z brudu getta żyjącego nadal w świecie Średniowiecza trzy razy dziennie modlą się tymi słowami w swoich synagogach dzieci Psalmisty. A synagog jest w Mieście Żydowskim wiele, niemal tak wiele, jak kościołów na Starym Mieście. Niemal w każdym domu jest bożnica lub bethamidrasz, przy którym zwykle mieści się także cheder. Rano i wieczorem zbierają się tutaj pobożni, cały dzień siedzą tu dzieci i słuchają z ust nauczyciela «Słowa Bożego». Tutaj, w ciemnych i niewietrzonych pomieszczeniach, od rana do późnego wieczora malcy studiują Pismo i Talmud, monotonnie wyśpiewując święte wersy. Ich śpiew rozbrzmiewa daleko na ulicy i razem ze zgiełkiem ulicznym, krzykami tandeciarzy i sprzedawców, głosami targujących się kobiet i turkotem wozów nadaje żydowskiej ulicy swoisty koloryt."

Jak sfotografować takie miasto? Jak zrobić jego wierny portret, wiedząc, że zapadł już wyrok na odrapane fasady domów, na sklecone byle jak przybudówki i drewniane komórki? I nie o wyrokach boskich tu mowa, ale o polityce grodzkich władz. Gdy pod koniec lat trzydziestych podjęto w lubelskim magistracie decyzję o gruntownej przebudowie żydowskiego przedmieścia i wyburzeniu znacznej jego części, miejski konserwator zabytków poprosił środowisko lokalnych fotografów o zdokumentowanie stanu dzielnicy przed remontem. Na apel odpowiedział m.in. Stefan Kiełsznia (1911-1987), członek Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego. Ten młody wówczas pracownik księgarni interesował się grafiką i malarstwem. Warunki materialne – pochodził z rodziny najemnego młynarza – nie pozwoliły mu jednak rozwinąć plastycznych

[21] W. Chomicz, *Stare mury Lublina*, „Architektura" 23 (1969), s. 240-244; *Witold Chomicz. Malarstwo. Rysunek. Grafika. Katalog wystawy*, Kraków 1973.

[22] R. Bartnik, *Malarze żydowscy w zbiorach Muzeum Lubelskiego*, w: *Żydzi lubelscy. Materiały z sesji poświęconej Żydom lubelskim*, red. W. Hawryluk, G. Linkowski, Lublin 1996, s. 29-34; J. Malinowski, *Malarstwo i rzeźba Żydów polskich w XIX i XX wieku*, Warszawa 2000, s. 251.

[23] Informacja za: Bartnik, *Malarze żydowscy*, s. 33.

[24] Bartnik, *Widoki Lublina*, s. 139; J. Malinowski, *Malarstwo i rzeźba Żydów polskich*, s. 250.

[25] Twórczość Lionela Reissa doczekała się kilku opracowań opublikowanych w Stanach Zjednoczonych: *My Models Were Jews.*

interpretacyjnych, czyli do szczegółowej analizy elementów, wzajemnych związków, zmian jakie dokonały się na przestrzeni czasu. Proces ten powinien kończyć się interpretacją dzieła w kategoriach własnej, opisowej narracji, ponieważ na podstawie zbiorów ikonograficznych można łatwo wnioskować o życiu miasta i ludzi w nim żyjących. Zdjęcia w najwierniejszy sposób przekazują ikony codzienności, a w przypadku Lublina mają również znaczenie w ocalaniu pamięci o miejscach, których już nie ma.

Akcja

Większość omówionych powyżej przykładów jest wyborem zdjęć pochodzących ze zbiorów Archiwum Fotografii, znajdującego się w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN". Pomysł stworzenia archiwum powstał w 1997 roku. Z inicjatywy Ośrodka w „Gazecie w Lublinie" opublikowano apel skierowany do lublinian o dostarczanie przedwojennych zdjęć w celu zorganizowania wystawy dokumentalnej. Akcja spotkała się z ogromnym zainteresowaniem ze strony mieszkańców miasta. Od października 1997 roku kwerendę rozszerzono na kolekcje prywatne oraz instytucje statutowo zajmujące się przechowywaniem dokumentów: muzea, biblioteki, archiwa w kraju i za granicą. Zebrane fotografie posłużyły do stworzenia dwóch ekspozycji: *Wielkiej Księgi Miasta. Lublin w fotografii do*

Symcha Binem Trachter, *Kościół na Podwalu*, 1921, akwarela. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

A painter's Pilgrimage to Many Lands. A Selection of One Hundred and Seventy-Eight Paintings, Watercolors, Drawing and Etchings by Lionel S. Reiss. Introductions by prof. Franz Boas, dr. Cecil Roth, dr. John Haynes Holmes, New York 1938; *A World at Twilight. A Portrait of the Jewish Communities of Eastern Europe Before the Holocaust*, art by Lionel S. Reiss, text by Milton Hindus, preface by Isaac Bashevis Singer, New York 1971; *New Lights and Old Shadows. New Lights of an Israel Reborn Old Shadows of a Vanished World. A Selection of Two Hundred and Ten Paintings, Watercolors, Drawings and Etchings by Lionel S. Reiss*. With an Introduction by dr. Cecil Roth, New York 1975.

uzdolnień. Formą artystycznej samorealizacji stała się dla niego fotografia. Tym bardziej, że Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne, skupione wokół osobowości takich jak Edward Hartwig, Mieczysław Rotblit, Gerard Ciołek, było wówczas jednym z najprężniej działających w Polsce. Jesienią 1937 roku Stefan Kiełsznia ustawił na statywie swój Rolleiflex, świeżo kupiony za 560 zł w znakomicie zaopatrzonym sklepie Stanisława Magierskiego, i zaczął rejestrować kamienicę za kamienicą. „Na wiecznej rzeczy pamiątkę. Nie miałem ciągot do modnego przed wojną artyzmu. W fotografii widziałem doskonały instrument zatrzymywania czasu" – opowie kiedyś w rozmowie z dziennikarzem.

Obiektyw aparatu z precyzją chirurga utrwalił uliczną ikonografię żydowskiego osiedla: architektoniczne detale, kute balustrady balkonów, ręcznie malowane reklamowe szyldy, klejone na odrapanych tynkach plakaty i ogłoszenia, wyłożone przed sklepami towary i nazwiska, które jednoznacznie identyfikują mieszkańców. Zatrzymana w kadrze miejska „galanteria", czyli codzienne drobiazgi pozwalaj dzisiaj dokładnie stwierdzić, ile kosztowała rok przed wojną szklanka piwa od Vettera na rogu Lubartowskiej i Cyruliczej, co można było zamówić na obiad „U Turka" na Świętoduskiej, czym handlował sklep kolonialny Estery Rubinstain i gdzie sprzedawał towary łokciowe Rozenbaum. Na tle witryn sklepów bławatnych, sodówek z owocami, aptek, zakładów fryzjerskich i targowych jatek bystre oko fotografa zatrzymało również w kadrze kolekcję postaci typowych nie tylko dla tej dzielnicy, ale dla wszystkich miast wschodniej Rzeczypospolitej. Bogaty chłop w wyglancowanych oficerkach, biedota wysiadująca na schodach, dziewczynka w paltociku z przenicowanej wełny wracająca ze szkoły, zakutane w chusty chłopki na tle szczuplutkiej elegantki w szpilkach z reklamowego szyldu, dorożkarz w kaszkietówce, wiejski hołysz w waciaku, lokalny żigolak

[26] Ważnymi opracowaniami tematu są: rozdział poświęcony fotografii zawarty w książce I. J. Kamińskiego *Życie artystyczne w Lublinie* oraz praca magisterska Artura Misiewi-

Jan Gumowski, *Domek żydowski na podzamczu*, 1917, litografia jednobarwna. Ze zbiorów TNN.

cza dotycząca historii fotografii lubelskiej w okresie dwudziestolecia międzywojennego: Misiewicz, *Fotografia w Lublinie w latach 1918-1939*, Lublin 1985 (maszynopis).

1939 roku, otwartej w maju 1998 roku, oraz *Portretu Miejsca. Makiety lubelskiego zespołu staromiejskiego*, której wernisaż miał miejsce rok później.

Obecnie Archiwum zawiera około 2 tys. fotografii w postaci odbitek na papierze, negatywów, diapozytywów, dagerotypów i kopii w formie cyfrowej. Podstawę zbioru stanowi: 120 zdjęć Stefana Kiełszni, 41 zdjęć Stanisława Magierskiego, 22 fotografie Jana Bułhaka, 52 zdjęcia Józefa Czechowicza, 48 fotografii Wiktora Ziółkowskiego, 6 fotografii Romana Višniaka, 6 zdjęć lotniczych Lublina oraz zdjęcia rodzinne. Zbiory są archiwizowane w formie kart katalogowych, sporządzanych według standardowego opisu z uwzględnieniem podstawowych informacji: autora, daty wykonania, przedstawionego miejsca.

W zasobach Archiwum Ośrodka znajdują się ponadto dwa filmy nakręcone w Lublinie. Nakręcony w 1937 roku ręczną kamerą MOVEX 8, trwający siedem minut obraz autorstwa Stanisława Magierskiego, składa się z trzech części: fragmentów trzeciomajowego pochodu przed Hotelem Victoria, gdzie widoczna jest ul. Krakowskie Przedmieście i Brama Krakowska; dzielnicy żydowskiej widzianej z placu po Farze oraz dożynek na terenie ul. Lipowej. Końcówka filmu zawiera scenki z targu w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą. Drugi z filmów pod tytułem *Żyd Süss* to propagandowy niemiecki plakat z 1940 roku. Przypuszcza się, że niektóre z jego

w kapeluszu, granatowy policjant, bogobojny Żyd itd. Słowem: klientela „sklepów cynamonowych". Nie wiedzieć czemu brakuje tylko ulicznego fotografa, tzw. leikarza, który stanowił także element tego krajobrazu.

Stefan Kiełsznia potraktował pomysł zdokumentowania fragmentu historii na tyle poważnie, że nie był w stanie wykonać odbitek z około 3 000 wywołanych negatywów. Fotografia w latach trzydziestych była stosunkowo kosztowną pasją. Potem wybuchła wojna. Tajemnicą pozostaje, w jaki sposób filmy i zdjęcia przetrwały czas pożogi. W latach stalinowskiego bezprawia ich właściciel, inwigilowany nieustannie przez Służbę Bezpieczeństwa za współpracę z AK (zajmował się wyrabianiem tzw. lewych dokumentów) i nagabywany o zdjęcia kolegów z podziemia, zniszczył – podobnie jak kilku innych lubelskich fotografów – sporą część swoich zbiorów. Spędził za to trzy i pół roku w więzieniu, gdzie na zawsze nauczył się nie wspominać o przeszłości nawet swoim dzieciom. Wojnę i esbeckie konfiskaty przetrwało niewiele ponad 400 negatywów. Niektóre z nich doczekały się pierwszych odbitek dopiero w 1977 roku, gdy autor zdecydował się ujawnić w końcu ich istnienie. „Do pozostałych po zawierusze wojennej resztek nie przywiązywałem żadnej wagi. Leżały zapomniane w szufladzie. Kiedyś, przeglądając je, uzmysłowiłem sobie, że takiego Lublina już nie ma. Zrobiłem trochę wglądówek i pokazałem je Henrykowi Gawareckiemu, prezesowi Towarzystwa Miłośników Lublina, a on namówił mnie do zrobienia wystawy [„Dawny Lublin na fotografiach Stefana Kiełszni" w 1977 – przyp. red.]" – wyjaśnił autor zdjęć pod koniec swojego życia.

Na początku lat osiemdziesiątych zbiorem zainteresował się Murray Forbes, Amerykanin studiujący malarstwo w Krakowie, który z ramienia Fundacji Nawigator w Bostonie zorganizował wystawę fotogramów obrazującą życie polskich Żydów przed wojną. Świadectwa minionych czasów autorstwa Stefana Kiełszni

scen były kręcone w Lublinie, m.in. w synagodze Maharszalszul.

Obecnie trwają starania o pozyskanie filmu *Obrazek turystyczny*, uważanego za najstarszy film o Lublinie. Według informacji uzyskanych od pracowników Muzeum Filmu w Amsterdamie, gdzie przechowywana jest jego kopia, prawdopodobnie został on nakręcony około 1920 roku. Materiał jest bardzo krótki i niekompletny, a składa się z sekwencji ruchomych widokówek.

Dotychczasowe działania prowadzone w Ośrodku pozwoliły na zgromadzenie w Archiwum Fotografii wyczerpujących informacji na temat przedwojennego Lublina, w szczególności na temat żydowskiej dzielnicy. Archiwum wchodzi obecnie w skład „Wirtualnej Biblioteki Lublina i Regionu Lubelskiego" (www.tnn.lublin.pl). Dzięki zastosowaniu nowoczesnych technologii archiwizowania i obróbki zdjęć udało się przybliżyć przeszłość, o której nie powinno się zapomnieć.

Podwórze kamienicy na Krawieckiej 41, lata trzydzieste. Fot Józef Czechowicz. Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

pokazano m.in. w Bostonie, San Francisco, Paryżu, Tel Avivie. W trakcie tego objazdu zaginęła niestety większość z już raz ocalonych negatywów. „Ojciec, poproszony o pożyczenie filmów, nigdy nie odmawiał" – przyznaje jego syn Jerzy Kiełsznia. Wykorzystywali to niesolidni organizatorzy wystaw i amatorzy pamiątek po żydowskiej przeszłości. W rękach rodziny pozostały, przechowywane jak relikwie, dwie ostatnie rolki filmów, tj. około pięćdziesięciu negatywów. Trudu zgromadzenia rozproszonego materiału (obojętnie w jakiej formie) podjął się działający w Lublinie Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN". Sukcesywnie „skompletowano" całą ulicę Nową, Lubartowską, Świętoduską, Kowalską, częściowo Szeroką i Krawiecką. Dzięki temu przynajmniej część wartościowego zbioru jest obecnie dostępna w jednym miejscu.

Przeglądając dziś uporządkowane zdjęcia, pod monotonią następujących po sobie numerów kamienic i w zatrzymanych spojrzeniach przechodniów nieistniejącego już miasta, odczytujemy posmak tajemnicy, atmosferę wyczekiwania. Na Mesjasza? Ale zanim przyjdzie Mesjasz, na klienta, na sąsiada do pogadania, na to, co przyniesie kolejny dzień. W pozornie beznamiętnych obrazach fotograf uchwycił specyficzną aurę żydowskiej dzielnicy, koloryt miejsca, które zbiera się do odejścia, choć jeszcze nikt nie wie, że już zapadł wyrok i to znacznie gorszy od decyzji lubelskiego magistratu. W pięć lat po fotograficznych peregrynacjach Stefana Kiełszni, wiosną 1943 roku żydowskie miasto w Lublinie odeszło przez rampę za miejską rzeźnią do obozu zagłady w Bełżcu. Z Wielkiej Synagogi przy Jatecznej pozostały zgliszcza, z ulicy Szerokiej, Krawieckiej, Wąskiej – ruiny, z czterdziestu tysięcy żydowskich obywateli Lublina nie pozostał prawie nikt. Tylko dzięki zachowanym zdjęciom możemy dziś wywołać w wyobraźni fantom tamtego civitas judeanum i przywrócić obecnym lublinianom amputowaną część historii. Gdyby Stefan Kiełszni nie posiadł umiejętności zaklinania czasu w fotografii, pozostalibyśmy ubożsi o całe miasto.

Skrócona wersja artykułu Barbary Odnous „Fotograf zaginionego miasta" ukazała się w kwartalniku historycznym „Karta" nr 31/2000, s.10-13., jak również w zbiorczej rosyjskojęzycznej edycji „Karty" w 2003 r.

Bibliografia

Bartnik R., *Malarze żydowscy w zbiorach Muzeum Lubelskiego*, w: *Żydzi lubelscy. Materiały z sesji poświęconej Żydom lubelskim*, red. W. Hawryluk, G. Linkowski, Lublin 1996, s. 29-45.

Bartnik R., *Widoki Lublina w zbiorach graficznych Muzeum Lubelskiego*, w: *Ikonografia dawnego Lublina. Materiały z sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki Oddział w Lublinie*, red. Z. Nestorowicz, Lublin 1999, s. 120-143.

Chomicz W., *Stare mury Lublina*, „Architektura" 23 (1969), s. 240-244.

Gawarecki H., *Dawny Lublin na fotografiach Stefana Kiełszni*, Lublin 1974.

Gawarecki H., *Najstarszy widok Lublina A. Hogenberga i jego późniejsze powtórzenia w XVII i XVIII wieku*, „Studia i Materiały Lubelskie" (1963) t. I, s. 53-72.

Gawarecki H., *O dawnym Lublinie. Szkice z przeszłości miasta*, Lublin 1974, s. 115-118.

Ikonografia dawnego Lublina. Materiały z sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki Oddział w Lublinie, red. Z. Nestorowicz, Lublin 1999.

Jarzembowski K., *Magierski Stanisław Jacek*, w: Polski Słownik Biograficzny, Wrocław 1974, t. XIX, s. 171-173.

Kamiński I. J., *O sztuce w Lublinie*, w: *Lublin w dziejach i kulturze Polski*, red. T. Radzik, A. A. Witusik, Lublin 1997.

Kamiński I. J., *Życie artystyczne w Lublinie 1901-1926*, Lublin 2000.

Lipniewski J., *Szkic do dziejów lubelskich pocztówek*, w: *Lublin na dawnej pocztówce*, red. T. Panfil, M. Wyszkowski, J. Lipniewski, Lublin 1997, s. 11-20.

Lipniewski J., *Widokówki lubelskie – historia i znaczenie dla ikonografii miasta (1896-1939)*, w: *Ikonografia dawnego Lublina. Materiały z sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki Oddział w Lublinie*, red. Z. Nestorowicz, Lublin 1999, s. 88-119.

Lublin trzech pokoleń, wstęp i podpisy M. Kurzątkowski, Lublin 1987.

Malinowski J., *Malarstwo i rzeźba Żydów polskich w XIX i XX wieku*, Warszawa 2000.

Odnous B., *Fotograf zaginionego miasta*, „Karta" nr 31, 2000, s. 10-15.

Tyszczyk A., *Poemat o mieście Lublinie i jego fotografie*, „Na Przykład" 1999 nr 11/12 (listopad/grudzień), s. 13-16.

Web M., Polyn. *Jewish Life in the Old Country. Alter Kacyzne*, New York 1999.

Żywicki J., *Lublin w litografiach Jana Gumowskiego*, w: *Ikonografia dawnego Lublina. Materiały z sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki Oddział w Lublinie*, red. Z. Nestorowicz, Lublin 1999, s. 58-87.

Lubartowska 3. Fot. Stefan Kiełsznia. Ze zbiorów TNN.

Dziedzictwo kulturowe miejsca odczytywane jest zazwyczaj jedynie na płaszczyźnie materialnej, ale równie ważną jego częścią są wspomnienia ludzi, którzy w tym miejscu żyli.

Marta Kubiszyn

Historia (nie)mówiona

Trzy osie: pamięć, miejsce, obecność – odzwierciedlają strukturę środowiska życia społeczności lokalnej, wyznaczając jednocześnie przestrzenie badawcze i sfery, wokół których rozwijają się programy edukacyjne oraz działania artystyczne Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN".

Jeśli uznać „pamięć" i „miejsce" za kategorie podstawowe dla istnienia człowieka w czasie i przestrzeni, można interpretować „obecność" jako zasadniczy wymiar identyfikacji i tożsamości jednostki osadzonej w określonej rzeczywistości przestrzenno-historycznej. „Pamięć – Miejsce – Obecność" – program realizowany przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN" w Lublinie od 1992 roku – zakłada rekonstrukcję tożsamości oraz więzi łączących wspólnoty lokalne poprzez odwołanie się do pamięci miejsca. Rozpoznanie i przywołanie tradycji ma pomóc w kształtowaniu tożsamości rozumianej jako zaangażowana obecność.

Historia (pamięć)

Kategoria pamięci jest trwałym elementem dyskursów o kulturze, umożliwiającym pogłębianie refleksji na temat historii. Charakteryzując współczesne typy tych dyskursów, można zauważyć współistnienie różnych sposobów rozumienia kategorii pamięci. Istniejąca różnorodność jest następstwem faktu interpretowania pamięci jako doświadczenia kulturowego oraz zastosowania wobec niej perspektywy poznawczej typowej dla badania zjawisk kulturowych. Maurice Halbwachs, który jako pierwszy opisał zjawisko pamięci społecznej, za najważniejszą spośród jej funkcji uznał współtworzenie poczucia tożsamości zbiorowej, opartej na świadomości wspólnej przeszłości oraz dziedzictwa historyczno-kulturowego.

Pamięć społeczna, pomimo iż nierozłącznie związana z pamięcią historyczną, nie jest z nią tożsama. Pamięć

historyczną można określić jako pamięć zatwierdzoną i honorowaną przez dane społeczeństwo, choć w praktyce oficjalna historia nie musi być przez wszystkich znana ani też uznawana za element pamięci indywidualnej. Natomiast pamięć społeczna jest nieuporządkowana, często niekonsekwentna i może być różna dla różnych grup społecznych. Działa ona w oparciu o kanony i stereotypy, w których główną rolę odgrywają bohaterowie, mity oraz symbole[1]. Jest pełna mistyfikacji i pod wieloma względami selektywna – różne fragmenty dziejów pamiętane są nierównomiernie. Pamięć społeczna sankcjonuje błędy empiryczne, irracjonalne argumenty, odwołuje się do mitów i usprawiedliwia fałszowanie przeszłości. Zwłaszcza że to, co wykreowane, wydaje się niejednokrotnie bardziej atrakcyjne, a czasami wręcz bardziej realne, ponieważ odpowiada istniejącym stereotypom.

Etnocentryzm, leżący u podłoża zafałszowań pamięci społecznej i historycznej, Jerzy Kłoczowski określa najpoważniejszym przekłamaniem w polskiej historiografii

Pamięć społeczna bywa „rwana na strzępy" i „zaczynana na nowo", zapominana i wtórnie odtwarzana, przy czym procesy te mogą zachodzić spontanicznie lub być sterowane przez różnego rodzaju siły społeczne i polityczne. Wymuszone przez czas, świadome bądź przypadkowe przekształcenia pamięci społecznej pociągają za sobą daleko idące zmiany w systemie wartości całych grup[2]. Zdarza się, że same nośniki pamięci zawierają w sobie pamięć intencjonalnie zniekształconą. Dotyczy to m.in. celowo fałszowanych dokumentów, które stają się nośnikami pamięci zafałszowanej, a jednocześnie informują o fałszerstwie i czasach, w których go dokonano[3]. Zjawiska pamięci mają relatywny charakter, gdyż pamięć indywidualna czy społeczna nie jest nigdy absolutna. Rozróżniamy zawsze sprawy mniej lub bardziej ważne, selekcjonując fragmenty dziejów.

Jednym ze zjawisk leżących u podłoża zafałszowań pamięci społecznej i historycznej jest etnocentryzm, określany przez Jerzego Kłoczowskiego jako jedno z najpoważniejszych przekłamań w polskiej historiografii[4]. W powojennej literaturze historycznej i kulturoznawczej, a także w podręcznikach i programach szkolnych etnocentryzm przejawia się jako brak informacji dotyczących Żydów, Ukraińców, Tatarów czy Romów. Aż do 1989 roku dane na temat mniejszości znaleźć można było niemal wyłącznie w publikacjach specjalistycznych, czasopismach regionalnych o małym zasięgu, publikacjach poświęconych Holokaustowi oraz w wydawnictwach obcojęzycznych ukazujących się za granicą[5]. Wydawane w latach osiemdziesiątych przewodniki i broszurki turystyczne, będące wówczas jednym z nielicznych powszechnie dostępnych źródeł informacji o regionie, nie ujmują w ogóle wiedzy o mniejszościach, nawet jeśli dotyczą miejscowości, w których przed wojną społeczność żydowska stanowiła ponad 50 proc. ludności. Ten polonocentryczny punkt widzenia, wypaczający obraz historii i kultury, miał też

[1] B. Szacka, A. Sawisz, *Czas przeszły i pamięć społeczna*, w: *Studia nad świadomością historyczną*, red. B. Szacka, cz. 3. Warszawa 1990.

[2] H. Arendt, *Między czasem minionym a przyszłym*, Warszawa 1994, s. 46 n.

[3] M. Kula, *Nośniki pamięci historycznej*, Warszawa 2002, s. 148-149 n.

[4] Zob. J. Kłoczowski, *Polska wielu narodów*, „Rzeczpospolita" z dnia 10-11 listopada 2001.;

Krakowskie Przedmieście, główna ulica Lublina. Przełom wieków (w głębi widoczna wieża rosyjskiego soboru prawosławnego). Źródło: Photo Archive/Beit Lohamei Haghetaot/Israel (http://english.gfh.org.il/search.asp).

swoje odzwierciedlenie w programach i podręcznikach szkolnych, gdzie aż do początku lat dziewięćdziesiątych Żydzi, Romowie czy Ukraińcy wzmiankowani byli marginalnie i w kategoriach „obcych". Począwszy od 1989 roku zaczęły ukazywać się publikacje podejmujące zagadnienia mniejszości m.in. w kontekście współegzystencji wielu kultur i religii, jednakże nawet w chwili obecnej, gdy problematyka wielokulturowa nie jest już objęta tabu politycznym i społecznym, nadal pojawią się książki w których ta tematyka jest pomijana[6].

Pamięć społeczna współtworzy zasoby kulturowe środowiska lokalnego. Jak pisze Wiesław Theiss, cytując Tadeusza Łepkowskiego, jest to „przeszłość, która leży w każdych rękach, żyje własnym życiem"[7]. Jednym ze sposobów odtwarzania pamięci społecznej w odniesieniu do środowisk lokalnych jest prowadzenie badań o charakterze jakościowym. Chodzi tu głównie o różne odmiany metody biograficznej i wywiadu narracyjnego, oraz oral history – relacje (historie) mówione, przez które badana jest nie historia sensu stricto, ale oparte na ludzkiej pamięci i przekazie ustnym dziedzictwo kulturowo-społeczne czasu i miejsca. Chodzi tu o „dziedzictwo" w sensie, w jakim rozumie to pojęcie David Lowenthal. Autor stawia dziedzictwo kulturowe państwa czy grupy społecznej na jednej płaszczyźnie ze sferą wierzeń religijnych, a nie przesłanek racjonalnych, twierdząc że sensem istnienia dziedzictwa nie jest potrzeba pielęgnowania wiedzy historycznej, ale chęć posiadania pewnego zasobu przekonań wspólnych dla całej grupy, potwierdzających identyfikację z nią i z określonym miejscem. Lowenthal podkreśla wartość poznawczą, jaką niesie ze sobą badanie dziedzictwa, dostarczające wielopłaszczyznowej wiedzy, niedostępnej konserwatywnie nastawionym historykom[8].

... W 1938 roku rocznik statystyczny podawał, że Lublin liczy 126 tysięcy mieszkańców. W tym 1/3 Żydów – przyjmijmy że 42 tysiące. To znaczyłoby, że co trzeci przechodzeń na ulicy to Żyd, ale w praktyce było inaczej, bo jak się przechodziło ulicą Lubartowską, można było 50 przechodniów spotkać i to wszystko byli Żydzi. Bo ulica Lubartowska, Cyrulicza, Kowalska, Furmańska były żydowskie, a już nie mówię o tych dawnych ulicach, jak Szeroka, Krawiecka, Jateczna...

* * *

... Lublin żydowski to było miasto w mieście, małe, wąskie uliczki, dookoła sklepy żydowskie. Na ulicy Świętoduskiej był Rynek: duży targ – tu, gdzie arkady, były murowane wanny z rybami; nad arkadami na górze były sklepiki, gdzie handlowali mięsem z uboju. Zawsze się targowaliśmy o cenę...

* * *

... Słynne było to targowanie. No, człowiek się targował, można się było targować, można się było wyżyć. Na początku za parę butów proponował 7 złotych, kupiło się za 3 złote, nawet do tego stopnia. Jak się powiedziało 5, to on: nie – 6. No to nie – no to 3. No to on – 4. I takim targiem dochodziło się do jakiejś kwoty, z której był zadowolony. Żyd, jak się wyszło ze sklepu, wybiegał – „Wróć pan, dogadamy się, ja opuszczę jeszcze, kup pan u mnie, nigdzie nic lepszego pan nie kupi, będzie u mnie wszystko najlepsze"...

*

... Żydówki kupczyły swoim towarem, sprzedawały różne rzeczy, szczególnie bardzo dobre były „abuba-

por. *Encyklopedia katolicka*, Lublin 1983, t. IV, kol. 1188-1189.

[5] Nieliczne wyjątki to m.in. A. Trzciński, *Śladami zabytków kultury żydowskiej na Lubelszczyźnie*, Lublin 1980; M. Fuks, *Prasa żydowska w Lublinie 1918-39*, w: *Prasa lubelska, tradycje i współczesność*, Lublin 1986; J. Marczuk, *Rada Miejska i Magistrat Lublina 1918-1939*, Lublin 1984; R. Szczygieł, *Konflikty społeczne w Lublinie w poł. XVI w.*, Warszawa 1977.

[6] Np. *Życie kulturalne Lublina w okresie międzywojennym*, Lublin 2002, gdzie autor – Ireneusz Kamiński, nie zamieścił informacji dotyczących żydowskich organizacji i instytucji kulturalnych.

łe acej", przysmak, który w tej chwili trudno spotkać. To było z jakiejś mąki gryczanej – babeczka na gorąco, a w środek włożone masło. Przy kilkustopniowym mrozie dostawało się cieplutką bułeczkę do ręki, taką jak babeczka wielkanocna, tyko mała, czarna i w środku z masłem. Pamiętam to szczególnie w zimie – sprzedające Żydówki siedziały na żeliwnych saganach, w których był węgiel drzewny, na tym worki czy chusty i one na tym siedziały, w największy mróz, i ciepło im było, bo węgiel się żarzył, i w drugim takim saganie trzymały te „abubałe acej", na węglach, dlatego to było takie gorące i świeżutkie...

* * *

... Te Żydówki nosiły peruki, przeważnie rude. Dlaczego je nosiły – czy to była sprawa mody, czy potrzeby, czy to było coś, co pozostało z dawnych czasów? Ubrane były przedziwnie, kolorowo raczej, ale jedna rzecz, której ja jako dziewczynka się przyglądałam: zawsze miały piękne kolczyki: wiszące, długie i z korala-

Przez rejestrowanie wspomnień łatwiej poruszyć tematy tabu i dotrzeć do elementów dziedzictwa pomijanych przez historyczne dokumenty.

mi, to było dla mnie cudowne i bardzo pragnęłam zawsze mieć takie kolczyki...

*

... Za Bramą Grodzką to już była absolutna dzielnica żydowska i to było niesamowite wrażenie. Tak wiele nie mogę powiedzieć, bo tu się prawie nie chodziło, to się czuło jak w obcym kraju. Nie to, że Żydom nie pozwalano gdzie indziej mieszkać, absolutnie nie. Po prostu oni się tu lepiej czuli...

* * *

... Na Krawieckiej mieszkali szewcy i krawcy, wbrew temu, co mówi nazwa. W jednym pomieszczeniu – w kuchni stał zydelek, stał warsztat szewski czy stół krawiecki, on tam mieszkał, pracował, jadł, żył, spał, w nocy rozkładali jakieś spania, a w dzień zamieniał to na pracownię szewską czy krawiecką. Najczęściej to w kuchniach to mieli te swoje zydelki, bo takie siedzenie szewskie to się zydelek nazywa, miał taki warsztacik i tam kuł te swoje buty, na drewniane szpilki robił, miał szpilarek, dratew, szydło, no i tam szył, bił, robił buty, dobre buty...

* * *

... Pamiętam mezuzy – to była taka blaszka, ukośnie przybita do futryny drzwi, i tam było pismo ich święte zwinięte i wchodząc, oni to dotykali ręką i całowali...

* * *

... Ulica za Bramą Krakowską to był świat Żydów. Handel zanikał w sobotę, w ogóle nic nie można było kupić ani załatwić, bo wszystkie sklepy były pozamykane, a Żydzi wychodzili na spacer do Ogrodu Saskiego...

* * *

... Gdy przyjechałem teraz, po tych sześćdziesięciu latach, do Lublina, byłem oszołomiony. Zacząłem się kręcić, szukać tych ulic, które znałem sprzed wojny. Jedyna, jaką poznałem, to była Lubartowska i trochę Krakowskie Przedmieście, Ogród Saski, tam się znalazłem jakoś u siebie...

Brama (miejsce)

W kategoriach spontanicznego postrzegania przestrzeń człowieka jest subiektywnie scentralizowana. Oznacza to, że poszukiwanie i wyznaczanie centrów będących punktem odniesienia dla otaczającego świata jest pierwotnym sposobem ogólnej jej organizacji. Ustanawiane przez człowieka środki świata, centra, miejsca połączenia dróg, dominanty wskazujące kierunki lub granice, wyobrażane są często jako drzewo, słup, wieża lub inny wertykalny element wyznaczający w przestrzeni pionową oś. W tym świetle brama miejska jako forma architektoniczna, postrzegana w kontekście pełnionej przez nią funkcji, ma szczególne predyspozycje do stanowienia centrum.

Historia Bramy Grodzkiej, położonej na osi Traktu Królewskiego – najstarszej

[7] T. Łepkowski, *Historia ustna i „historia ludowa"*, „Kwartalnik Historyczny" 1981 nr 2; cyt. za: W. Theiss, *Polsko-żydowska przeszłość w perspektywie międzykulturowej*, w: „Wychowanie na co dzień" 1999 nr 6, s. 14.

[8] Zob. D. Lowenthal, *Fabricating Heritage. History and Memory, Studies in Representation of the Past*, vol. 10, nr 1, Tel Aviv University 1998 , s. 6-18.

drogi Lublina, będącej niegdyś fragmentem szlaku handlowego pomiędzy Lwowem a Krakowem – jest nieodłącznie związana z dziejami miasta. Wyznaczając przez kilkaset lat granicę pomiędzy górnym miastem chrześcijańskim a dolnym – żydowskim, Brama była rzeczywistym i symbolicznym miejscem spotkania różnych kultur, narodów i religii. Odnajdywanie w niej zagubionego „środka świata" pozwala traktować ją nie tylko jako istotny punkt w myśleniu o mieście, ale uzasadnia także podejmowanie działań artystycznych i edukacyjnych, w których Brama staje się punktem odniesienia do percepcji przestrzeni, miejscem zachodzenia społecznych interakcji, a także sceną dla działań artystów odwołujących się do tkwiącego w niej potencjału.

Dziedzictwo kulturowe określonego miejsca i czasu odczytywane jest zazwyczaj jedynie na płaszczyźnie materialnej, tymczasem równie ważną częścią tego dziedzictwa są wspomnienia ludzi, których życie było z danym miejscem związane. Dokonywana poprzez relacje mówione rekonstrukcja wyglądu samej Bramy, jak też zaczynającej się niegdyś zaraz za nią, a obecnie nieistniejącej dzielnicy żydowskiej, stanowi istotny element symbolicznej rekonstrukcji świata lubelskich Żydów.

... Ulicą Grodzką dochodziło się do tej bramy, tzw. Bramy Żydowskiej, ona kiedyś się tak nazywała. Nie była tak imponująca jak dzisiaj. Widać było, że to taki przysadzisty, stary twór, szary, czasem trochę oświetlony, ale na ogół szary, i przez tę bramę przechodziło się. Właściwie człowiek musiał uważać, żeby się nie poślizgnął, bo tam było niezbyt przyjemnie – spadek duży, kamienie wielkie, okrągłe, wyślizgane kocie łby, i schodziło się na dół, i tam zaczynało się dopiero to właściwe takie, bardzo gęste, to żydowskie środowisko...

* * *

... Po bokach Bramy Grodzkiej były sklepy: szewc, sodówka i materiały włókiennicze. Wewnątrz Bramy było pełno handlarzy, którzy sprzedawali „pucz" – pływały tam jabłka po lustrze wody, no i oni to sprzedawali na kubeczki i każdy tam zmęczony popijał i gasił pragnienie. Jeśli chodzi o przejście z tej Bramy do dzielnicy żydowskiej, wyglądało to tak, jakby była jakaś procesja, tak było dużo ludzi, że jeden o drugiego się ocierał. Nie było tak swobodnie przejść, ruch był niesamowity...

Naturalną ponadkulturową miarą oraz punktem odniesienia dla przestrzeni jest człowiek. To antropocentryczne ujęcie wskazuje, iż punktem wyjścia do opisywania miejsca i związanej z nim pamięci są ludzie, których życie było z nim związane. Istotną rolę odgrywa tu humanistyczna kategoria „przestrzeni egzystencjalnej" wraz z jej podstawową jednostką organizacyjną, jaką jest „nasze miejsce" – mała ojczyzna, czyli zorganizowana całość, którą jednostka dzieli z innymi i która daje jej poczucie tożsamości. Miejscem takim może być najbliższe otoczenie domu, dzielnica lub miasto, stanowiące znany, bezpieczny, dający oparcie obszar, którego postrzeganie, jako części większej całości, towarzyszy procesowi stopniowego wchodzenia człowieka w szerszy kontekst społeczny.

Po drugiej wojnie światowej państwowe mechanizmy utrwalania i przekazywania pamięci nie objęły ochroną historii lubelskich Żydów.

Zarejestrowane opowieści mieszkańców przedwojennego Lublina sięgają wprost do zasobów pamięci społecznej. Opisywany jest w nich krąg rzeczywistości najbliższej każdemu człowiekowi, tj. osobiste i rodzinne losy splecione z historią miasta. Jest to siłą rzeczy opis subiektyw-

ny, a relacje stanowią cenne źródło wiedzy nie tyle historycznej, co społecznej i obyczajowej. Chociaż nie jest możliwe wsteczne interpretowanie przeszłości ani powrót dzisiejszej świadomości do wybranego momentu z przeszłości[9], to przez rejestrowanie wspomnień, realna staje się, przynajmniej częściowa, rekonstrukcja obrazu dawnej rzeczywistości społecznej. Łatwiej wtedy dotrzeć do istotnych, a pomijanych przez historyczne dokumenty elementów dziedzictwa, jak też poruszyć tematy tabu. Belinda Bozzoli zwraca uwagę na korzyści czerpane z „wysokiego stopnia intymności" wywiadów. Tylko stosując taką metodę, otrzymujemy możliwość dotarcia do bardzo zindywidualizowanych, osobistych form widzenia i odbierania świata, które w żaden inny sposób nie mogłyby zostać wychwycone[10].

Wielu zwolenników historii mówionej wskazuje także na tkwiący w niej potencjał wyzwalania ludzkich uczuć i emocji, nieobecnych w oficjalnej historii. Dzięki zastosowaniu tej metody możliwe jest odkrywanie przez społeczność lokalną własnej przeszłości, rozwijanie tożsamości wolnej od schematów konwencjonalnej wiedzy historycznej, wychwycenie indywidualności każdego z członków tej społeczności oraz odkrycie ich wkładu w dorobek całej grupy.

[9] M. Golka, *Pamięć społeczna i jej zmiany*, w: *Pamięć i zapomnienie w Europie przełomu wieków*, Poznań 2001, s. 251.

[10] B. Bozzoli, *Interviewing the Women of Phokeng*, w: B. Bozzoli, M. Nkotsoe, *Women of Phokeng: Consciousness, Life Strategy and Migrancy in South Africa 1900-1983*, London 1991. Cyt. za: L. Taylor, *Historia mówiona a badania nad dziejami ubioru*, „Kultura i Społeczeństwo" 2000 nr 4, s. 146.

Ul. Lubartowska 15. Fot. Stefan Kiełsznia. Ze zbiorów TNN.

... Na ulicy widać było przede wszystkim głównie czarno ubranych ludzi w charakterystycznych płaskich czapeczkach. Różnie oni się zachowywali, były dzieci, byli dorośli, byli starcy, trudno mi opisać dzisiaj dokładnie to, co człowiek widział wówczas, ale wiem jedno, że ci ludzie nie napawali mnie lękiem, jak to się niejednokrotnie mówiło, oni tylko napawali mnie zapachem, to był ich zapach, zapach tego miejsca, w którym ja ich widziałem...

* * *

... Jednym z ulubionych spacerów był właśnie spacer do dzielnicy żydowskiej. Wchodziło się przez Bramę Krakowską i od razu największą dla mnie atrakcją były stare Żydówki. Te stare Żydówki w perukach z tymi koszami, z najwspanialszą rzeczą, jaka była na świecie w dzieciństwie...

* * *

... Podzamcze, mówiąc językiem człowieka wrażliwego, było genialne do malowania, do fotografowania: ten prymityw, ten ubiór, ten wygląd zarośnięty, te bardzo ubogie drewniane chałupy... Szewcy, krawcy mieli taki kąt do spania, a pracowali na powietrzu. Jednocześnie był ciekawy sztafaż i był ten moment zarobków...

* * *

... Dla mnie największym rarytasem były bajgle – takie śmieszne obwarzanki sprzedawane przez Żydówki. To była tajemnica tych piekarzy – one były stale chrupiące, wspaniałe w smaku, cały dzień dostarczane w niewielkich ilościach. Były bajgle zwykłe i bajgle jajeczne. Zwykły kosztował 3 grosze, jajeczny – 5 groszy. Inne – to słynne makagigi – z miodem i karmelem, z tłuczonym makiem...

* * *

... Jabłka kiszone to była specjalność Żydówek, które na targu na Świętoduskiej handlowały kiszoną kapustą, kiszonymi ogórkami. To był specjalny gatunek jabłuszek, w beczce z kapustą, nie tak jak u nas po wsiach – gospodynie wkładają do kapusty kilka jabłek, a tam tych jabłek było pół na pół...

* * *

... Pamiętam lodziarza, który jeździł z wózkiem. Oczywiście to nie były lody takie jak dziś. To były lody robione i rozwożone w takich naczyniach blaszanych, cylindrycznych, nakrywanych. To zazwyczaj były dwa pojemniki metalowe, bo tam były śmietankowe lody i dajmy na to owocowe, które były nakładane do wafelka. Lodziarz wołał: „lody,

lody, lody" – pamiętam tylko ten krzyk, który bardzo tak... ekscytował...

* * *

... Dorożki stały na Cyruliczej, na Furmańskiej, w Śródmieściu, ale tam, gdzie stały te dorożki, strasznie czuć było moczem końskim, bo wsiąkał w te kamienie...

* * *

... Sodówki to były sklepy, w których było słodyczy trochę, woda sodowa, napoje, takie łakocie dziecinne, makagigi na przykład. To były z maku krojone takie kosteczki, miód, mak, może trochę orzechów i to było mocno sklejane i krojone w kawałki. Jak się szło do szkoły albo ze szkoły, to się wpadało na makagigę...

* * *

... Woda sodowa była na szklanki. Gaz był w takich olbrzymich butlach. Od razu się mieszało gaz z wodą, aż nosem szło, taki orzeźwiający był ten gaz, i to się kupowało. Taka sodówka bardzo uczęszczana była na początku ulicy Nowej. U właściciela – Żyda – były doskonałe różne przysmaki i ta woda sodowa, która szumiała bardzo w szklance, aż się wylewała, taka była nagazowana...

* * *

... Jak weszliśmy do Lublina z V Dywizją, staliśmy tu kilka dni, to chciałem pokazać żołnierzom naszą dzielnicę. Staliśmy na Majdanku, a ja nie wiedziałem, że to był obóz śmierci. Zaprowadziłem ich przez Grodzką do Bramy Grodzkiej i chciałem im pokazać naszą dzielnicę, a nasza dzielnica, to były tylko kupki i górki, aż hen do młyna Kraussego. Oparłem się o karabin, gdyby nie oni, to bym się zastrzelił. Byłem gotów pociągnąć za cyngiel. A dzielnicę widzę, mogę ją narysować. Ulica Szeroka, ulica Zamkowa...

* * *

... Dzisiaj nie widzi się Żydów, nie ma ich i tego brakuje w Lublinie. Co stało się z Żydami Polski? – Bóg wie. Byliśmy dumnymi Polakami o religii żydowskiej. Dlaczego musiał być nasz los taki?...

* * *

... Zawsze myślałem o Lublinie. To miasto rodzone moje. Teraz, gdy ja jestem znowu w Lublinie, chodzę po tych samych ulicach, które mówią do mnie, rozmawiamy ze sobą, ja się pytam tych ulic – „Gdzie są ci wszyscy Żydzi, gdzie oni są, gdzie są te wszystkie dzieci?"....

Ostatni katarynarz na rynku Starego Miasta, 1937 r. Fot. Wiktor Ziółkowski. Ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

Istotnym elementem krajobrazu kulturowego są dźwięki. Ich percepcja stanowi kluczowy składnik doznań emocjonalnych i przeżyć estetycznych związanych z miejscem i czasem, dla których określone dźwięki są charakterystyczne. Do tego zjawiska odnosi się pojęcie „krajobrazu multisensoryczego" lub „krajobrazu dźwiękowego" (soundscape). Wszelkie głosy i odgłosy są traktowane w nim jako bodźce zmysłowe, niosące określone cechy estetyczne i uzupełniające stronę wizualną kulturowej panoramy danego miejsca o dodatkowe informacje[11]. Zmiany w elementach krajobrazu dźwiękowego Lublina są ważnym wskaźnikiem informującym o przekształceniach w kulturowym obrazie miasta, a relacje mówione stanowią dziś, obok tekstów literackich i fotografii, podstawowe źródło wiedzy o przeobrażeniach, jakie miały miejsce na tym obszarze w ciągu ostatnich sześćdziesięciu, siedemdziesięciu lat.

... Jak się wyszło z domu rano, to słychać było z miasta ten turkot kół odbijających się, podskakujących na tych kocich łbach bruków miejskich – to był ten odgłos miasta. Nie warkot samochodów. To był ten hałas kół. Jak również kiedy się szło miastem, to też właściwie dominujące było stąpanie koni, dorożki...

* * *

... Był gwar wielu głosów, jak na perskim rynku, każdy mówił. Był gwar, szczególnie na tej „psiej górce", na tym targu tutaj [placyk u zbiegu ulic za Bramą Grodzką], to był gwar, mnóstwo ludzi, „abubałe acej", „bajgle, bajgle"...

[11] S. Bernat, *Krajobraz dźwiękowy miasta Lublina*, w: *Krajobraz kulturowy – idee, problemy, wyzwania*, red. Urszula Myga-Piątek, Sosnowiec 2001, s. 11-12.

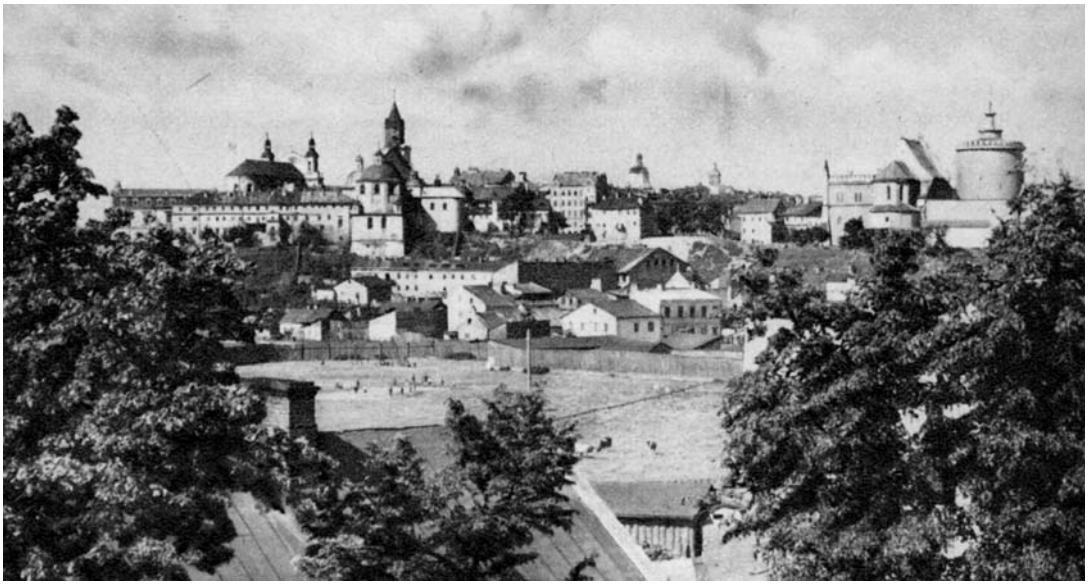

Lublin, widok na żydowskie Podzamcze i wzgórze Starego Miasta. Fot. Henryk Poddębski. Reprodukcja na podstawie przedwojennego przewodnika po Lublinie. Ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

* * *

... Atmosfera tego miasta była bardzo spokojna, życie toczyło się powoli, gdzieniegdzie przetoczył się wóz z Żydem krzyczącym: „Szmaty, gałgany, kupię, zamienię na talerze, łyżki". Tak troszeczkę sennie, troszeczkę spokojnie upływały dzień za dniem bez jakichś szczególnych wydarzeń. Wydarzeniem był na przykład pogrzeb żydowski...

* * *

... Pamiętam, jak wynieśli umarłego, szły płaczki najęte, za to się dostawało dużo pieniędzy – były Żydówki płaczki, które płakały za umarłą. Pamiętam ten charakterystyczny płacz: „aj, waj, waj, waj" zachodziły się, płakały...

*

... Na nasze podwórko przychodzili tacy, co śpiewali jakieś ballady i pamiętam te zawijane w papierek grosze, które się im rzucało. Poza tym – taki, co ostrzy noże, przychodził. Przychodził szklarz. Każdy miał inne zawołanie, śpiewne bardzo, przekupki także, można by było spisać te melodie...

... A pamiętam, jak szklarz z taką brodą szedł na wieś. Na sobie miał skrzynie z szelkami i krzyczał: „A szub! Wezel a szub! A szub!" A po polsku: „Szyby! Kto potrzebuje szyby!?" Po żydowsku śpiewał „a szub". A na wsi to śpiewał: „Szyba, szyba, szyba, szklarz, szyba, szyba, szyba"...

* * *

... W piątek wieczór to leciał szames po sklepach żydowskich i taki miał krótki kij. Był przez bożnicę wyznaczony, żeby zamykać sklepy, że już godzina, piątek wieczór. To on tak stukał w drzwi: „Trach! Trach! Trach! Farmacht!!! Trach! Trach! Trach! Szame gieje farmacht!!!" Żeby szybko zamykać i w każdym sklepie przy drzwiach sklepu to „Trach! Trach! Trach!" – taki krótki kij miał...

* * *

... Tu nie było słychać dźwięków odbiorników radiowych – tu chyba nikt nie miał radia. Było słychać turkot kół po bruku, nawoływanie dzieci żydowskich: „bejchło, bejchło", „Choć tutaj, nie ruszaj tego", krzyki Żydówek, wrzaski dzieci, bo dzieci bawiły się w berka – były głośne, jak dzieci... No i grał skrzypek...

* * *

... Koło mojego domu był postój taksówek, stał tam szereg taksówek, pamiętam, że czasem strzelały, ruszając...

Edukacja (obecność)

Po zakończeniu drugiej wojny światowej państwowe mechanizmy utrwalania i przekazywania pamięci nie objęły ochroną historii lubelskich Żydów. Podjęcie próby rekonstrukcji całościowego obrazu przedwojennego Lublina wymaga w chwili obecnej wnikliwego spojrzenia na zniekształcony, pozbawiony elementów dawnej różnorodności krajobraz kulturowy oraz stworzenia interdyscyplinarnej metody badania i opisywania miasta.

Wobec niewielu materialnych dowodów istnienia lubelskiej dzielnicy żydowskiej konieczne jest rozszerzenie poszukiwań źródłowych i odwołanie się nie tylko do wiedzy topograficznej czy ikonograficznej, ale też do podań, legend, źródeł literackich itp. Szczególnie istotnym elementem mogą być relacje mówione, gdyż opowiadanie historii jest najbardziej naturalnym sposobem przekazywania wiedzy o przeszłości, a także formą międzypokoleniowej komunikacji, która została w znaczący sposób zdegradowana przez media audiowizualne.

W przypadku polsko-żydowskich aspektów historii Lublina opowieści i relacje mają szczególne znaczenie. Dzielnicę żydowską pamiętają już bowiem wyłącznie najstarsi mieszkańcy, zaś tradycyjnych źródeł wiedzy historycznej, do jakich można by się odwołać, zachowało się bardzo niewiele. Zarejestrowane wspomnienia dawnych Lublinian tworzą żywy obraz historii widzianej przez pryzmat indywidualnego doświadczenia. Są narzędziem opisywania przeszłości i jej rozumienia, umożliwiającym dostrzeganie źródeł historycznych nie tylko w przedmiotach materialnych, takich jak dokumenty, książki, obiekty kultu, kultury i codziennego użytku, ale też w konkretnych osobach – członkach społeczności lokalnej.

Przyjmując interdyscyplinarne podejście do badań historycznych, można uznać wspomnienia za źródło wiedzy niedostępnej w inny sposób, nieobecnej ani w dokumentach, ani opracowaniach naukowych, ale będącej istotnym dopełnieniem oficjalnego obrazu dziejów. Według wielu badaczy fakt, że w historiach mówionych wydarzenia mieszają się z opiniami, dyskwalifikuje je jako wiarygodne źródło wiedzy. Tymczasem sposób, w jaki ludzie rozumieją i komunikują swoje doświadczenia życiowe, jest sam w sobie ważnym materiałem dla badań historycznych.

Warunkiem poznania i zrozumienia świata kreowanego poprzez relacje mówione jest interpretacja struktur znaczeniowych tworzących obraz świata rozmówców. Jest to możliwe dzięki przyjęciu perspektywy metodologicznej interakcjonizmu interpretacyjnego (symbolicznego interakcjonizmu) w ujęciu zbliżonym do proponowanej przez N. K. Denzina metody biograficznej. Zastosowanie jej w badaniach pozwala na uchwycenie specyfiki życia w określonej epoce, m.in. przez odkrywanie i interpretację znaczeń, doświadczeń i sensów im nadawanych, czyli przez poznanie struktury interpretatywnej.

Relacje mówione posiadające atrybuty fikcji i fakcjonalności[12] muszą być odczytywane poprzez kategorie prawdy, różne od standardów tzw. prawdy obiektywnej czy historycznej, gdyż proces swobodnej narracji naznaczony jest zawsze piętnem kreacji i autokreacji. Jako podstawowe założenie

[12] Fakcjonalnośc (ang. *facticity*) – termin jest neologizmem powstałym z połączenia słów „fakt" i „fikcja". To adekwatne zarówno w stosunku do historii mówionej, jak i dziedzictwa kulturowego pojęcie oznacza coś rozpiętego między fikcją a faktem, coś postrzeganego i kreowanego przez podmiot jako „realność", budującego obraz świata w opowieściach rozmówców.

metodologiczne w badaniach nad dziedzictwem kulturowym środowiska lokalnego poprzez historie mówione należy przyjąć, że gromadzone relacje przedstawiają doświadczenia osób tak, jak one same je widzą, a przyjęta subiektywna perspektywa i subiektywne definicje mają pierwszeństwo nad sytuacją zaistniałą obiektywnie. Zasadą konstytutywną, do której odwołują się zwolennicy takiego podejścia, jest zasada współczynnika humanistycznego Floriana Znanieckiego, głosząca, że przedmioty natury stają się przedmiotami kultury w subiektywnych aktach nadawania im znaczenia przez jednostki[13]. Poprzez historie mówione badane są subiektywne fakty kulturowe (jako osobliwe byty), będące odmienną kategorią zjawisk. W tym kontekście „relacje mówione", opowieści posiadające niezaprzeczalny atrybut fakcjonalności, stanowią interesujące i, jak się wydaje, adekwatne narzędzie do badania specyficznej, nieobiektywnej rzeczywistości społecznej, jaką jest dziedzictwo kulturowe środowiska lokalnego. Historie mówione służą więc nie tyle poznawaniu faktów, co rozumieniu procesów historycznych, dostrzeganiu związków przyczynowo-skutkowych zachodzących w życiu społecznym oraz ich wpływu na losy jednostek. Relacje mogą też stanowić podstawę badań językowych, antropologicznych, kulturowych, socjologicznych itp. Mogą też stać się tworzywem dla wszelkich poczynań twórczych.

[13] Zasada ta została sformułowana w: W. Thomas, F. Znaniecki, *Chłop polski w Europie i Ameryce*, Warszawa 1976, *Nota metodologiczna*.

„Historie mówione" z przedmiotów natury stają się przedmiotami kultury w subiektywnych aktach nadawania im znaczenia przez jednostki.

... Jeździł po ulicy brukowanej wóz na obręczach, drewniane koła z obręczami sucha chabeta ciągnęła i Żyd krzyczał: „Szmelc, szmelc, szmelc, kupię, zamienię, kupię". No więc myśmy biegli i krzyczeli za nim: „Żydzie, Żydzie, Żydzie!", no więc Żyd, prrrr, stanął, „No, chodźta chłopaki, macie po rybce" – to takie były cukiereczki małe, sprzedawał Pini, tutaj miał w naszej kamienicy sodówkę – „Macie po rybce, a jak będę jechał następnego dnia, to krzyczcie jeszcze głośniej, to dostaniecie po dwie". No więc my następnego dnia znowu: „Żydzie, Żydzie, Żydzie". Prrrr, stanął, po dwie rybki dostaliśmy. No więc teraz mówimy, jak będzie jechał, to się będziemy darli wniebogłosy. No, jedzie Żyd, my krzyczymy jak możemy, zaciął konia batem i pojechał. Na następny dzień mówimy – jak nie dał rybek, to nie krzyczymy. Mądrość żydowska: nie dał – nie krzyczą, skończyło się krzyczenie „Żydzie" na niego...

* * *

... Ku mojemu nieszczęściu, kapelusz okazał się trochę ciasny. Wtedy Żyd powiedział: „Proszę państwa, proszę się nie martwić, ja go zaraz rozciągnę". Ojciec zażartował – „Jak pan to zrobi?" – „A ja mam specjalną maszynę". No i rodzice czekają, a ja poszedłem za Żydem i zajrzałem, co on robi. Żyd wsadził to na kolano i zaczął rozpychać. I rozepchnął tak skutecznie, że kapelusz się nie rozdarł, a ja w nim chodziłem chyba przez następne jeszcze lato...

* * *

... Jak się zbliżało do dzielnicy żydowskiej, był zapach czosnku, cebuli, śledzi, z tych sklepików to wszystko dobiegało, poza tym trochę dymu. To był inny zapach niż w innych częściach miasta. Na Krakowskim w ogóle się nie czuło, że tam ludzie mieszkają. Było wiadomo, że za tymi oknami ktoś jest, ale na Starym Mieście się czuło, że tam naprawdę mieszkają ludzie, że jedzą i rozmawiają, i żyją ze sobą...

* * *

... Na Stare Miasto zapuszczałam się z uczuciem troszeczkę takiej jakby obawy, że to jest mało znane, tajemnicze, nie mówiąc o tym, że bardzo piękne. To była dzielnica częściowo żydowska, ale też był tam Trybunał, jakieś administracyjne ośrodki, a równocześnie bardzo dużo kościołów i to się wszystko tam stykało...

* * *

... Naprzeciw Krawieckiej to była tzw. ulica Wąska – przez nią przechodziło się do ulicy

Cyruliczej i na Furmańską, jak się chciało dojść do Lubartowskiej, to się szło ulicą Wąską. Jak się szło tamtędy, szczególnie rano, to trzeba było wołać: „Idzie się, idzie się", no bo każdy te naczynia nocne wylewał przez okno na bruk. Ona była naprawdę bardzo wąska – wóz żelaźniak ledwo co się przeciskał. Były budynki dość wysokie – jak kanion była, budynki dwutrzypiętrowe, a ulica bardzo wąska[14]...

* * *

... Jak nieraz szedłem z nianią, panią Marysią, ulicą Grodzką, to ona brała mnie za rękę: „Pamiętaj żebyś mi się gdzieś nie wyrwał, bo cię Żydzi złapią na macę" – mówiła. Nie wiedziałem, co to maca. „Placki pieką – mówiła pani Marysia. – Złapią cię, do takiej beczki wsadzą, ta beczka jest gwoździami powybijana i tak targają tą beczkę, a później krew z beczki dodają do macy." Ja później nie mogłem spać, jak tak opowiadano...

* * *

... Charakterystyczne dla ulicy Ruskiej były Żydówki, siedzące obok wejść do sklepów czy do warsztatów, one siedziały na różnych stołkach czy krzesłach w perukach i wiem, że chłopcy, z którymi chodziłam do szkoły, polscy chłopcy, w ramach złośliwości, które były wtedy robione Żydom, zrywali Żydówkom te peruki. I pamiętam, że one były ogolone, jeżeli któryś z chłopców zerwał taką perukę, to Żydówka miała pod spodem ogoloną głowę. To były stare Żydówki, naturalnie bardzo się denerwowały, podnosił się wtedy okropny krzyk, chłopcy uciekali...

* * *

... Żydzi i Polacy przed wojną to były dwa odrębne światy. Ja się znajdowałem na jakiejś ścieżce, ni tu, ni tam. Polakiem czułem się, ale Polacy nie pozwalali mi nim być. Dali mi to do zrozumienia...

* * *

... Mówiłam do dzieci na rachunkach: „Kilogram cukru kosztuje 1 zł, kilogram soli kosztuje 50 gr. Ile trzeba razem zapłacić?". Na to podnosiło się w górę kupa rąk – „Proszę pani, ja chciałem co innego powiedzieć, ja chciałem powiedzieć: po co pani płaci za cukier po złoty, kiedy u nas w sklepiku jest cukier po 80 gr., to niech pani nie kupuje tam, gdzie po złoty, tylko u nas po 80 groszy, a my mamy sklepik na Lubartowskiej 17, to niech pani do nas po cukier przychodzi". O soli nic nie mówili, ale o cukrze – to kilka. – „A ty co chciałeś powiedzieć?" – „Ja chciałem to samo, tylko my mamy sklep nie na Lubartowskiej, tylko na Grodzkiej, ale u nas też jest po 80 groszy, nigdzie nie ma po złoty, komu pani płaci po złoty?!"...

Zniekształcenia pamięci przyczyniają się w znaczący sposób do zaburzeń tożsamości członków społeczności lokalnej, wpływając na brak ich identyfikacji i więzi z miejscem zamieszkania oraz z należącym do niego dziedzictwem historycznym i kulturowym, co sprzyja z kolei obojętności i niechęci do brania na siebie odpowiedzialności za losy „małej ojczyzny". Za najistotniejsze wyzwania w obszarze edukacji można zatem uznać: poszerzanie świadomości historycznej młodego pokolenia, przywracanie ciągłości przekazu historycznego, a także tworzenie warunków do nawiązania kontaktu z dziedzictwem własnego miasta i po-

... do odkopania pańskiego Pińska żadna technika poza pana własną, reporterską, nie pomoże.

Ileż ja bym mógł wiedzieć od swoich rodziców, kiedy jeszcze żyli! Do głowy mi nie przyszło, żeby pytać. Teraz nie mam już kogo. I w ten oto sposób wychodzi cala słabość współczesnej cywilizacji zachodniej. W Afryce od zawsze istniała tradycja opowiadania historii rodzinnych z pokolenia na pokolenie, a i dziś cała rodzina zbiera się wieczorem przy ognisku i opowiada. W ten sposób tworzą się przekazy. Jeśli spotyka się dwóch Afrykańczyków i starają się ustalić swoje korzenie, to każdy potrafi wymienić wielu swoich przodków i kuzynów i każdy jest pełen historii. Europejczyk zupełnie tego nie ma. Nie zna nawet swoich braci ciotecznych. Ja na przykład niektórych nie znam i w ogóle mi do głowy jeszcze nie przyszło, żeby ich poznać. Europejczykom brak nośników pamięci. To wielka słabość Europejczyków.

Z rozmowy z Ryszardem Kapuścińskim„ Przekrój " nr 28/ 3029 z 13 lipca 2003

[14] Subiektywizm wspomnień w przypadku tego fragmentu relacji spowodował błąd w poprzednim numerze „Scriptores". Na zamieszczonym w nim planie Podzamcza zaznaczono ul. Wąską zgodnie z niniejszą relacją jako przedłużenie ul. Cyruliczej wychodzące na przeciwko ul. Krawieckiej. Inny rozmówca wspomniał, że na Wąskiej hodowano krowy. To pozwoliło postawić ciekawą hipotezę, że najsłynniejszy chyba na świecie opis Lublina zamieszczony w *Sztukmistrzu z Lublina* I. B. Singera powstał w oparciu o wspomnienie konkretnie tego charakterystycznego zaułku („Za miastem było jeszcze dość jasno, ale w wąskich uliczkach i między wysokimi budynkami panował już mrok. [...] Na ulicach stały wciąż kałuże, ślady wiosennego deszczu, choć cały dzień słońce mocno grzało. Tu i ówdzie ze ścieków wypływała cuchnąca woda; powietrzem niósł się zapach końskiego gnoju i krowiego łajna oraz świeżo udojonego mleka."). Niestety, jeżeli nazywano tę część ul. Cyruliczej „Wąską", była to jedyne nazwa obiegowa. Faktycznie ul. Wąska z oborą była krótką odnogą ul. Krawieckiej, obok numeru 41. Przy okazji okazało się jednak, że krowę hodował dozorca tego domu, Polak Jan Tabaka, mieszkający przy Szerokiej 44, mniej więcej na wysokości Wielkiej Synagogi, a więc w środku miasta (relacja Aleksandra Szryfta, mieszkańca domu przy Krawieckiej 41, w zbiorach Tomasza Czajkowskiego). Oznacza to, że uwieczniona przez I. B. Singera miejsko-wiejska zapachowa impresja Lublina mogła być oparta na faktach [przyp. red.].

strzeganie go jako bogactwa duchowego oraz intelektualnego[15].

Odczytywanie przeszłości poprzez badanie pamięci społecznej jest bliskie teatralnemu, „onirycznemu" sposobowi myślenia i opisywania rzeczywistości, co w sposób znaczący wpływa na formy i sposoby wykorzystywania zebranych materiałów w projektach edukacyjnych. W przeciwieństwie do opisu historycznego, którego zasadniczym elementem jest ciągłość narracji, relacje stanowią pojedyncze punkty odnoszące się do wydarzeń, z którymi związane były silne emocje. Zebranie i odczytanie wielu pojedynczych punktów pozwala naszkicować „mapę" zachowanego w pamięci społecznej krajobrazu danego miejsca[16], którą można następnie nałożyć na przestrzeń (fizyczną, temporalną i społeczną) współczesnej rzeczywistości. Sporządzanie tego rodzaju mapy sprzyja rozwijaniu umiejętności radzenia sobie zarówno w fizycznej, jak i metafizycznej przestrzeni, a jednocześnie wymaga podjęcia świadomego wysiłku w celu jej strukturalizacji. Ważne jest też samo rysowanie mapy. Będące dowodem umiejętności rozumowego ujmowania relacji przestrzennych, akt ten wymaga abstrakcyjnego myślenia i symbolizowania[17].

Zniekształcenia pamięci przyczyniają się do braku identyfikacji z miejscem zamieszkania, co sprzyja niechęci do brania odpowiedzialności za losy „małej ojczyzny".

Innym, nie mniej ważnym zagadnieniem związanym z zaburzeniami pamięci społecznej, pojmowanej jako mechanizm służący do gromadzenia i selekcji przeżyć oraz doświadczeń, jest stosunek do czasu[18]. Fragmentaryzacja przeszłości i utrata poczucia ciągłości, wynikające z zaniedbań edukacyjnych, powodują m.in. brak umiejętności powiązania wydarzeń historycznych z problemami współczesności, nieświadome zawężanie przestrzeni historycznej czy wręcz ahistoryczność. Zaniedbania te konkretyzują się m.in. jako brak myślenia o przyszłości i nieumiejętność jej planowania. T. Frąckowiak, analizując rozumienie i odczuwanie czasu jako kategorii porządkującej wydarzenia historyczne, stwierdza – powołując się na badania przeprowadzone na Uniwersytecie Warszawskim – iż Polacy z dużym lekceważeniem podchodzą do swojej rzeczywistości temporalnej a ich stosunek do przeszłości jest wybiórczy i stereotypowy. Szukając antidotum na te problemy, Frąckowiak postuluje zmianę w podejściu do programów edukacyjnych i podkreślanie w nich przyczynowo-skutkowych powiązań historycznych[19].

Edukacja wielokulturowa, prowadzona w warunkach braku rzeczywistych międzykulturowych kontaktów, siłą rzeczy odwołuje się do historii i koncentruje na odczytywaniu „pamięci miejsca". Chodzi tu zarówno o istniejącą w świadomości społeczności lokalnej pamięć związaną z danym miejscem, jak i o metafizycznie rozumianą pamięć odciśniętą przez historię i odzwierciedlającą się w wyglądzie i układzie przestrzennym oraz innych elementach krajobrazu kulturowego, jaką posiada samo miejsce. Założenia i cele edukacji wielokulturowej, m.in. przełamywanie mitów i stereotypów dotyczących mniejszości, kształtowanie otwartości i tolerancji, a także krytycznego, samodzielnego myślenia, mogą być wdrażane poprzez realizowany obligatoryjnie w szkołach ponadpodstawowych program edukacji regionalnej, będący formą wielopłaszczyznowego poznawania środowiska lokalnego. W obszarze tym szczególnie silne jest oddziaływanie edukacyjne wywierane przez tzw. trzeci układ kultury, tj. sieć placówek i organizacji kulturalnych, hobbystycznych, klubów dyskusyjnych, związków wyznaniowych, organizacji religijnych działających na rzecz wielokulturowości, edukacji

[15] Zob. J. Le Goff, *History and Memory*, New York 1992, s. 53.

[16] Punkty te można określić jako „wyspy" lub „królestwa pamięci". Sformułowanie to zostało zaczerpnięte ze wstępu do publikacji Pierre`a Nora *Realms of Memory*. W rozumieniu autora tytułowe *realms* to miejsca, przedmioty (np. książki, dokumenty, pomniki, tablice pamiątkowe, fotografie, filmy wideo i nagrania audio), pieśni, rocznice wydarzeń, obyczaje, obrzędy, akty symboliczne i wszelkie inne elementy środowiska kulturowego stworzone przez człowieka, a odwołujące się do pamięci, zachowujące ją, chroniące tożsamość i świadomość przynależności kulturowej. Zob. P. Norra, L. D. Kritzman, *Realms of Memory*, New York and Chichester 1996; A. Tuszyńska, *Dokumenty pamięci*, „Odra" 1989 nr 4, s. 37.

[17] Yi-Fu Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, Warszawa 1987, s. 103.

[18] J. Mizińska, *Sztuka zapominania*, w: *Pamięć – Miejsce – Obecność. Współczesne refleksje nad kulturą i ich implikacje pedagogiczne*, Lublin 1997, s. 61.

[19] Zob. T. Frąckowiak, *Kontrowersje wokół świata war-*

międzykulturowej i współpracy transgranicznej.

Rozważając potencjał instytucji kultury w obszarze edukacji wielokulturowej i regionalnej, należy wskazać przede wszystkim na możliwość ich oddziaływania w szerszym niż szkoły wymiarze środowiskowym, oraz możność dotarcia do odbiorców należących do różnych grup wiekowych. Istotna jest też posiadana przez nie autonomia w ramach tworzenia własnych programów i zdobywania na nie środków finansowych. W porównaniu ze szkołami, instytucje kultury mogą podejmować działania na szerszą skalę – od badania określonej problematyki i rozpowszechniania jej poprzez działalność kulturalną, po wprowadzanie jej elementów w system edukacji w ramach podejmowanej współpracy z uniwersytetami i lokalnymi mediami.

Rola pozaszkolnych instytucji kulturalno-oświatowych w obszarze edukacji wielokulturowej oraz regionalnej wydaje się tym bardziej istotna, że, jak wynika z badań, polska szkoła nadal w słabym stopniu kształtuje tożsamości regionalną i nie uczy postawy tolerancji. Badania prowadzone w 2000 roku przez Jolantę Ambrosewicz-Jacobs wykazały, że wiedza młodych Polaków na temat mniejszości w ich kraju jest ograniczona, a tożsamość większości z badanych budowana jest wokół tradycyjnych wartości narodowych. Jednocześnie zgromadzone przez autorkę wyniki wskazują na potencjalnie dużą rolę szkoły w procesie kształtowania postaw. Potwierdzają one jak się wydaje fakt zbyt wolnego procesu przemian zachodzących w polskim systemie edukacji, wskazując jednocześnie, że wprowadzone rozwiązania nie są wystarczająco skuteczne. Uruchomienie procesów kształtowania opinii i postaw nie tylko wśród dzieci i młodzieży, ale także wśród dorosłych wymaga tworzenia przez instytucje kultury oraz lokalne media publiczne wewnątrzśrodowiskowych mechanizmów wspierających inicjatywy środowiskowe w obszarze edukacji wielokulturowej. Ich oddziaływanie może przyczyniać się do przełamywania stereotypów i kształtowania postaw tolerancji wśród dorosłych członków społeczności lokalnej, a tym samym do przekazywania tego rodzaju postaw na poziomie środowiska rodzinnego[20].

Sprzedająca pączki na ul. Szerokiej. Lata 30-te. Fot. Stanisław Magierski. Ze zbiorów TNN.

Warsztat prac badawczych i działań wielokulturowych wymaga tworzenia nowych rozwiązań metodycznych, dostosowanych do potrzeb i warunków konkretnych środowisk, a jednocześnie odwołujących się do różnych elementów lokalnego dziedzictwa: śladów materialnych, przekazów dokumentalnych, a także bezpośrednio do pamięci indywidualnej i zbiorowej będącej istotnym obszarem badań, a zarazem cennym materiałem edukacyjnym[21]. Przyjmując że jednym z zasadniczych zadań współczesnej oświaty jest wychowanie pojmowane nie jako dodatkowy wymiar procesu edukacji, ale integralne zadanie pedagogiczne, można stwierdzić, iż regionalizm powinien być traktowany jako punkt wyjścia w tworzeniu indywidualnych programów wychowawczych, budowanych w oparciu o lokalne tradycje i wartości środowiskowe. Poznawane w toku realizacji ścieżki regionalnej dziedzictwo kulturowe środowiska lokalnego może

tości a przeobrażenia społeczne, w: *Pedagogika społeczna. Pytania o XXI wiek*, red. A. Przecławska, W. Theiss, Warszawa 1999, s. 79-92.

[20] Zob. E. Ogrodzka-Mazur, *Świadomość odrębności kulturowej a poczucie przynależności regionalnej młodzieży (studium z pogranicza polsko-czeskiego)*, w: Edukacja międzykulturowa w Polsce i na świecie, Katowice 2000, s. 261; *Rodzina wobec wyzwań edukacji międzykulturowej*, red. J. Nikitorowicz, Białystok 1997, s. 10; tenże, *Pluralizm i tożsamość kulturowa w nowym wymiarze edukacji równoległej*, w: *Edukacja międzyszkolna (równoległa) w warunkach przemian w Polsce*, red. E. Trempała, Bydgoszcz 1994, s. 95-110; J. Ambrosewicz-Jacobs, Referat wygłoszony podczas warsztatów „Edukacja dla pojednania: czy można uczyć tolerancji dla dawnych wrogów", odbywających się w Lublinie, w dniach od 3-5 czerwca 2001 r. Taż, We-Us-Them, Kraków 2003.

stanowić podstawę kształtowania przez uczniów własnego systemu wartości oraz budowania wielopoziomowej tożsamości, zawierającej w sobie wymiar rodzinny, lokalny, regionalny, etniczny, narodowy, europejski i globalny. Edukacja regionalna może stać się drogą do akceptującego poznania bogactwa kulturowego, o ile będzie wydobywała to, co łączy i ubogaca, a nie to, co dzieli i buduje podstawy konfliktów. J. Nikitorowicz podkreśla, że konieczne jest dostrzeżenie oraz wyraźne oddzielenie w procesie edukacyjnym pozornego, zewnętrznego etnocentrycznego, i separatystycznego pluralizmu, prowadzącego do narastania stereotypów i agresji, od prawdziwego pluralizmu wewnętrznego, kładącego nacisk na wymianę międzykulturową, jaki powinien być rzeczywistym przedmiotem edukacji wielokulturowej[22].

Historia mówiona jest w sposób szczególny predestynowana do realizacji założeń programów edukacji regionalnej. Prowadzenie programów tworzących wspólną przestrzeń z wartościami wdrażanymi poprzez edukację regionalną buduje płaszczyzny komunikacji między członkami społeczności lokalnej, uczy empatii, rozwija współrozumienie, uruchamia „rozmowy w czasie", tj. dialog międzypokoleniowy. Program „Historia Mówiona" odgrywa znaczącą rolę w edukacyjnej ofercie Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN". Stanowi on propozycję mającą wspierać proces kształtowania nowego oblicza szkoły samorządowej, poprzez stosowanie metod łączących wychowanie z przekazywaniem wiedzy, a mających na celu kształtowanie człowieka otwartego, związanego emocjonalnie z własną „małą ojczyzną", budującego tożsamość w oparciu o zakorzenienie w środowisku lokalnym. Program ten odwołuje się do różnych wymiarów środowiska człowieka. Nagrywanie relacji umożliwia kontakt z międzywojennym Lublinem, pozwala poznać urbanistyczną i architektoniczną strukturę oraz nieznany powojennym pokoleniom, zróżnicowany kulturowo pejzaż miasta. Istotne jest również odwoływanie się bezpośrednio do przestrzeni egzystencjalnej rozmówcy, tj. do konkretnych miejsc obecnych w życiu tej osoby oraz do związanych z nimi wspomnień. Dzięki relacjom możliwa jest rekonstrukcja wielu elementów dawnego krajobrazu kulturowego Lublina, a oprzez kontakt uczniów z osobami pamiętającymi okres międzywojenny utrzymana zostaje naturalna ciągłość przekazu historycznego. W ten sposób proces edukacyjny dokonuje się w akcie integracji bodźców zmysłowych z przekazem na poziomie intelektu i emocji, połączonych z działaniem w określonej przestrzeni. W akcie bezpośredniej komunikacji zdobywane są najbardziej wartościowe doświadczenia o charakterze osobistym, co odbywa się poprzez bezpośrednie odbieranie przeżyć innych ludzi. Przez historie mówione dokonuje się zarówno rekonstrukcja rzeczywistości materialnej sprzed ponad pół wieku, jak też „rzeczywistości mentalnej" ówczesnej społeczności lokalnej. Współtworzona przez wiele pamięci indywidualnych, pamięć społeczna danego miejsca tworzy obraz bardzo różnorodny. To zróżnicowanie, pozornie utrudniające proces badawczy, stanowi gwarancję większej rzetelności całościowego opisu.

Obecność realizuje się dzięki historii mówionej w szerokim znaczeniu tej kategorii. Chodzi tu bowiem nie tylko o świadome „bycie", kształtowane w procesie nabywania wiedzy i tożsamości, czy też o zaangażowanie młodszych i starszych mieszkańców Lublina w działalność na rzecz wspólnoty lokalnej. Nie mniej istotne jest tworzenie sytuacji, w której konkretni ludzie

Opowiadanie to najbardziej naturalny sposób przekazywania historii i forma międzypokoleniowej komunikacji, dziś zdegradowanej przez media.

[21] Zob. Theiss, *Polsko-żydowska przeszłość*, s. 14.

[22] Zob. J. Nikitorowicz, *Wielokulturowość wyzwaniem dla edukacji międzykulturowej*, w: *Edukacja zorientowana na XXI wiek*, red. J. Gajda, Lublin 2000, s. 218.

[23] Zob. W. Theiss, *Między Węgrowem a Caracas*, w: J. Mizińska, J. P. Hudzik, *Pamięć, Miejsce, Obecność. Współczesne refleksje nad kulturą i ich implikacje pedagogiczne*, Lublin 1997, s. 239.

[24] W tekście wykorzystano fragmenty relacji: Jana Błaszczaka, Israela Carmiego, Teresy Buk-Szmigielskiej, Ryszarda Giszczaka, Mosze Haendelsmana, Julii Hartwig, Edwarda Hartwiga, Józefa Honiga, Mieczysława Kurzątkowskiego, Henryka Łusiewicza, Wiesławy Majczakowej, Zofii Matysiak, Zbigniewa Matysiaka, Elżbiety Margulowej, Mariana Milsztajna, Krystyny Modrzewskiej, Jerzego Pasierbiaka, Bogdana Stanisława Pazura, Adama Sulaka i Eugenii Wachowskiej, pochodzących z archiwum Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN". Wszystkie słowa w jidysz zostały zapisane fonetycznie, zgodnie z indywidualną wymową rozmówców. Wstawki w nawiasach kwadratowych pochodzą od redakcji „Scriptores".

zaznaczają swą obecność w danym miejscu poprzez włączenie się do procesu konstruowania obrazu przeszłości na użytek przyszłych pokoleń.

Program „Pamięć – Miejsce – Obecność", wokół którego od ponad dziesięciu lat rozwija swoją działalność Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", służy zarówno odkrywaniu i badaniu lokalnego dziedzictwa kulturowego, jak też wypracowywaniu trwałych mechanizmów ochrony tego dziedzictwa poprzez wprowadzenie go, niejako na nowo, w obieg pamięci społecznej, przez włączenie go w powszechny system edukacji. Program „Historia Mówiona", podjęty na początku 1998 roku, stał się ważnym elementem realizacji tego programu. Prowadząc dialog z zapomnianą przeszłością Lublina, stopniowo zyskał on znaczący wymiar edukacyjny i społeczny. Program „Historia Mówiona" ma charakter szeroko rozumianego procesu edukacji środowiskowej, a stosowana procedura badawcza bliska jest koncepcji badania czynnego, określanego przez pedagogów jako komunikacyjne badanie społeczne[23]. Doświadczenie nabywane przez uczniów i studentów podczas nagrywania relacji kształtuje zdolność krytycznego odnoszenia się do źródeł historycznych, a interaktywny charakter metody rozwija umiejętności interpersonalne. Stwarzając szansę bezpośredniego kontaktu z historią i dziedzictwem, uczy otwartości, samodzielności myślenia i problemowego ujmowania zagadnień[24].

Chodzi o to, aby konkretni ludzie zaznaczali swą obecność w danym miejscu konstruując obraz przeszłości na użytek przyszłych pokoleń.

Barbara Odnous

Kosztelowy sad

epitafium dla lubelskiego getta

Na przełomie marca i kwietnia 1942 roku hitlerowcy zlikwidowali getto na Podzamczu w Lublinie, deportując około 30 tys. Żydów do obozu zagłady w Bełżcu. Była to pierwsza akcja likwidacji getta w Polsce.

Zbieg ul. Szerokiej z Krawiecką i Zamkową, tzw. „psia górka". W głębi widoczny fragment kościoła św. Wojciecha. Fot. Alter Kacyzne. Ze zbioów YIVO.

Wschodni skraj Lublina, przy pradawnym szlaku ze Lwowa w głąb Rzeczpospolitej. Trakt, którym od wieków ciągnęli kupcy na lubelskie jarmarki, obsiadły ubogie domki przedmieścia Kalinowszczyzna. Podróżni zdążający do centrum miasta mijają najpierw targ zbożowy zwany „słomianym rynkiem", potem stary kirkut graniczący przez mur z katolickim klasztorem. W miejscu, gdzie Kalinowszczyzna przechodzi w ulicę Ruską, zaczyna się gęstwina ulic żydowskiego osiedla. Wejścia dogląda, o dziwo, nie synagoga a prawosławna cerkiew Przemienienia Pańskiego. W latach trzydziestych dwudziestego wieku korzystają z niej głównie prawosławni polscy żołnierze. Poletko na tyłach cerkwi, przylegające do jednego z lubelskich wzgórz, zwanego

Czwartkiem, porasta zaniedbany sad. Jesienią w cerkiewnym sadzie pysznią się na drzewach dorodne kosztele.

Kosztele. Jądro lata zaklęte w niepozornej, zielonkawej skórce. Energia słońca niezmarnotrawiona w kolorze, a przemieniona w smak. Jabłka twarde jak marchewka i słodkie jak lipowy miód. W sam raz dla dzieci, tym bardziej, że nie da się z nich upiec jabłecznika ani nagotować kompotu. I dlatego prawosławny ksiądz pozwala Rywce zrywać jesienią kosztele w swoim sadzie.

Rywka z kosztelowego sadu, choć nigdy się nad tym nie zastanawiała, jest Żydówką. Matka w piątki nakłada szal, zapala świece i „zagania" ich blask rękami, a ojciec chodzi co sobotę na Jateczną do Wielkiej Synagogi. Rywka słyszała jednak kiedyś, jak rabin upominał go, żeby nie „umawiał" w domu modlitwy cen skór i obcasów. Stąd Rywka rozumie, dlaczego babka ubolewa czasami, że rodzina jej najstarszego syna nie jest nazbyt religijna.

– Rywka, rzuć jabłko – uśmiechnięta buzia Ariego wystaje sponad drewnianego płotu. Ari, z domu Mosze, po wojnie Marian, jest starszym bratem Rywki. Urodził się, gdy matka jakimś cudem wykradła ojca ze szpitala w Carycynie[1]. Tuż po ślubie carska armia zabrał a jej męża w góry Pamiru, gdzie zastał go wybuch wojny i rewolucja. O tym, że jej ukochany mężczyzna gdzieś nad Wołgą leczy rany, donieśli młodej żonie uciekający ze wschodu ostatni carscy wojacy. Poszła po męża piechotą i przywiozła go do domu na „błotniki", do zakątka na błotnistych gruntach pomiędzy przedmieściem Kalinowszczyzna a początkiem żydowskiego osiedla.

[1] Później Stalingrad, obecnie Wołgograd.

Gdy Ari nadgryza jabłko z cerkiewnego sadu, w warsztacie jego ojca czeka już przygotowana partia butów na zimę. Lada dzień przyjadą domokrążni kupcy i będą się kłócić o „choć jeszcze jedną parę oficerek". Potem Ari pojedzie z ojcem dorożką do skórzanego sklepu na Kowalską po towar na wiosenne półkamaszki i letnie sandały. Ojciec zapłaci i wypije z kupcem kieliszek czystej wódki. Wracając, wstąpią do kamasznika na Ruskiej. Ojciec zapłaci i wypije kieliszek. A na wiosnę znowu przyjadą kupcy po buty.

– Rywka, a dla Stasia? Daj jabłko dla Stasia.

Czupryna Stasia jest tak jasna, jak czarna jest czupryna Ariego. Chłopcy urodzili się w tym samym roku i w tym samym domu, tyle że Ari w suterenie, a Staś na parterze.

– Żebraczy z was bracia – śmieją się z nich matki.

Kadr zdjęcia z poprzedniej strony.

Na tyłach ich kamienicy mieszka w drewnianej komórce pełzająca na czworakach kaleka. Dzieci wołają na nią „pająk Gitl". W słoneczne dni Gitl zwykle opuszcza komórkę i grzeje powykręcane kończyny na ulicy przed wejściem do bramy. Kilka lat temu, pewnego dnia półroczny Staś był wyjątkowo marudny, a jego babka dozorczyni nadzwyczaj zajęta. Za to „pająk Gitl" siedziała jak zwykle przed bramą. Nie namyślając się długo, babka włożyła niemowlaka w jej podołek.

– Dam ci później 5 groszy Gitl. Popilnuj małego.

Następnego dnia Mosze był marudny, a ojciec i czeladnik wyjątkowo zajęci i... Gitl dzierżyła już tego ranka dwójkę chłopaczków za całe 10 groszy. Zdziwieni przechodnie przystawali pytając:

– Który jest twój Gitl? Ten czarniutki czy biały – a potem wrzucali w podołek kaleki po grosiku.

Interes kwitł, dopóki nie zwiedziały się matki. Rozsierdzone obiecały Gitl codziennie 15 groszy pod warunkiem, że nie będzie więcej niańczyć ich dzieci.

– Antosia, chodź, pomóż mi wyzbierać jabłka – Rywka cieszy się, że Antosia, siostra Stasia, idzie właśnie ze szkoły. Ich matki też znają się od dziecka. Razem chodziły do szkoły, jeszcze tej rosyjskiej, potem razem pracowały w fabryce cygar na Krawieckiej. A odkąd przyszła Polska i skończył się wschodni rynek na cygara, obie handlują. Matka Rywki – drobiem w jatce u teściowej, matka Stasi – owocami na bazarze.

Rywka jest o rok starsza od Antosi, ale rodzice nie przymuszają jej do szkoły. Do chederu wstęp mają wyłącznie chłopcy, a do najważniejszego obowiązku żydowskiej dziewczyny – dobrze wyjść za mąż – szkoła polska i tak jej nie przygotuje.

Polska? Dla Rywki z kosztelowego sadu to tajemnicze słowo niewiele znaczy. Po polsku to rozmawiają Staś z Antosią, kiedy się kłócą.

– Już się nie „módlcie" – prosi wtedy Rywka.

Nie rozumie polskiego podobnie jak śpiewu kantora w synagodze. W domu i dookoła wszyscy mówią po „żydowsku"[2]. Również Antosia i Staś. Zresztą, Staś, mając cztery lata, chodził jakiś czas z Arim do chederu. Okazało się wtedy, że święte litery przyswajał szybciej niż Ari, a z okazji świąt chanuka dostał nawet od mełameda czekoladkę za najpiękniej narysowaną menorę. Wspólna nauka „żebraczych braci" skończyła się jednak karczemną awanturą. Gdy doniesiono mełamedowi o gojowskim pochodzeniu Stasia, rozeźlony nauczyciel zbeształ ojca Ariego. Na nic zdały się tłumaczenia, że czteroletni Ari odmówił chodzenia na lekcje bez nierozłącznego kolegi.

Żydowski miesza się czasami na „błotnikach" z rosyjskim, zwłaszcza gdy ojca Rywki odwiedza kolega z carskiego wojska, proboszcz tutejszej prawosławnej parafii. Właśnie

[2] Tj. w jidysz.

Ul. Mostowa, skrzyżowanie z Jateczną. W głębi widoczny mur wokół cerkwii przy ul. Ruskiej. Początek XX w. Zdjęcie zrobione na szklanym negatywie. Fot. ze zbiorów Symchy Wajsa. Archiwum TNN.

Kadry zdjęcia z poprzedniej strony.

on nazwał kiedyś Mosze Arim i tak się przyjęło. Ksiądz ma na imię Józef, ale ojciec Rywki i Ariego nazywa go Nikola, od nazwiska Nikolski. Prawosławny ksiądz nosi polskie, choć właściwie żydowskie imię i rosyjskie, a może bardziej francuskie nazwisko z polską końcówką. Rywki z kosztelowego sadu narodowościowe zagmatwania księżego nazwiska nie obchodzą. Polacy, Żydzi, Rosjanie, jakie to ma znaczenie. Na „błotnikach" jest się po prostu u siebie.

– Helenka, Helenka! Chcesz jabłko? – Rywka wyciąga rękę przez płot.

– Bierz jabłko, Helenka – tłumaczy na polski Antosia.

Helenka nie rozumie po „żydowsku". Mieszka tu od niedawna w tzw. bloku Vettera. Bogaty przemysłowiec, Niemiec z pochodzenia, wybudował na granicy żydowskiego osiedla, akurat na wprost „błotnickiego" zaułka, nowoczesny dom dla pracowników swojego browaru. Matka Helenki prowadzi w nim ogólnospożywczy sklepik, żeby okoliczni katolicy mieli gdzie robić codzienne zakupy. Helence zakazano wchodzić do pobliskiej żydowskiej dzielnicy, chyba że po lekarstwa na Lubartowską dla chorego na gruźlicę ojca. Nie wolno jej też bawić się z żydowskimi dziećmi i broń Boże próbować macy, która, o zgrozo!, może być nasączona krwią niewiniątek. Ale przecież kosztele to nie maca. Poza tym Rywka nosi starannie zaplecione warkocze, czyste sukienki i nie kłóci się o szkiełka, gdy dziewczynki grają w klasy. No i jest przecież Antosia.

Jesienią 1939 roku, choć Rywka wyzbierała już wszystkie kosztele, kupcy nie przyjechali jak zwykle do ojca po buty. Któregoś ranka znikła „pająk Gitl", a prawosławny ksiądz obiecał przechować Ariego. Ale Ari wolał uciec na wschód z wycofującą się za Bug rosyjską armią, która stała tuż za Piaskami, trzydzieści kilometrów od kosztelowego sadu. Ari namawiał na wyjazd całą rodzinę. Matce szkoda było jednak domowego dobytku, gromadzonego przez lata. Ojciec, dawny carski żołnierz, a potem uczestnik wojny z dwudziestego roku, powiedział tylko:

– Rosjanie? Tych się bój! Niemcy to cywilizowany naród – po czym pokornie nałożył opaskę z żółtą gwiazdą i przeniósł się z „błotnik" dwie ulice dalej do teściowej na Nadstawną 47, do kamienicy stojącej w obrębie wyznaczonego przez Niemców getta.

Helenka widziała Rywkę po raz ostatni, gdy na wózku ciągnionym przez ojca podtrzymywała domowe manele. Wkrótce wyprowadzili się i Staś z Antosią. W okolicy zostali tylko ci Polacy, którzy nie mieli gdzie wyjechać.

[3] Wieś pod Lublinem.

– Trzeba nam było siedzieć w Zemborzycach[3] – powiedziała któregoś dnia przy śniadaniu matka.

Gdy znów zakwitły drzewa w kosztelowym sadzie, kilka mieszkań w domu Vettera wykupili bogaci Żydzi spoza Lublina. Budynek stojący wprawdzie w bliskim sąsiedztwie getta, ale już za jego płotem, dawał im złudzenie bezpieczeństwa. Sowicie opłaceni niemieccy urzędnicy nie protestowali. Doskonale wiedzieli, że ten stan rzeczy nie potrwa długo.

Późną jesienią 1941 roku ktoś cichcem pozrywał jabłka w cerkiewnym sadzie i przyszła sroga zima. Gdy śniegi ustąpiły,

wraz z wiosną dzielnicowy folksdojcz wskazał ekipie żołdaków w czarnych mundurach mieszkania żydowskich rodzin w bloku Vettera. Wszyscy zobowiązani nosić żółtą gwiazdę na rękawie zostali odeskortowani do getta, a podwórko za budynkiem rozświetlił stos płonących mebli, ubrań, książek. Ognia pilnowała ściągnięta przez żandarmów straż pożarna. Zamknięci w swoich mieszkaniach Polacy na wszelki wypadek pakowali dobytek.

– Boże, może coś wtedy można było zrobić? – spyta po latach Helenka kolegę z tamtych czasów.

– Można było modlić się, żeby folksdojcz nie wskazał przypadkiem twojego mieszkania – tamten odpowie.

A potem nadeszła poniedziałkowa noc z 16 na 17 marca, gdy poruszył się bruk. Tego dnia w południe było dość słonecznie. Polskie dzieciaki bawiły się na dworze do późnego wieczora. Helenka zasnęła tuż po kolacji. Obudziły ją pojedyncze strzały i krzyki. Matka stała przy oknie delikatnie uchylając zasłonę. Zza szyby dochodził monotonny szmer szurających po kamieniach butów zmieszany z turkotem ciągnionych wózków, wózeczków, waliz. Dziewczynka delikatnie wsunęła się matce pod ramię. Z wysokości trzeciego piętra potok idących głów przypominał sunący bruk. Matka odskoczyła jak oparzona, ciągnąc za sobą córkę.

– Nie wyglądaj nigdy w nocy przez okno – wyszeptała jej w twarz.

Kula, która gdzieś blisko wybiła szybę, przypieczętowała te słowa. A rano znów świeciło słońce, ludzie robili skromne zakupy w sklepiku. Ulicą sunął wolno ciężarowy samochód. Mężczyźni wrzucali do niego porzucone przy drodze jakieś tobołki. Z okna na trzecim piętrze Helenka nie widziała dokładnie, co to było. I tylko matka nie chciała jej wypuścić ani do szkoły, ani na dwór. Głęboką nocą powtórnie wylewał się od Ruskiej charakterystyczny potok. Następnego ranka Helenka, nie pytając o zgodę, wybiegła przed dom. Na wprost wejścia, na poboczu leżała skulona postać dziewczynki w jej wieku. Od strony Ruskiej nadjeżdżała ciężarówka. Helenka pojęła nagle, że to nie sen zmorzył dziewczynkę. Wróciła do mieszkania, pokonując po trzy stopnie na raz. Nie chciała wyjść z domu przez tydzień. W końcu matka nakazała jej iść do szkoły.

Nie rozumie polskiego podobnie jak śpiewu kantora w synagodze. W domu i dookoła wszyscy mówią po „żydowsku". Również Antosia i Staś.

– Poprosiłam córkę pani Wandy, żeby wstąpiła jutro po ciebie.

Córka pani Wandy już się przyzwyczaiła do widoku leżących czasami na poboczu trupów. Idąc do szkoły tą samą drogą, którą w nocy opuszczali miasto jego żydowscy mieszkańcy, widziała je nie raz. Zawsze odwracała od nich głowę, ale w duchu liczyła ciała. Parzysta liczba znaczyła szczęście tego dnia, nieparzysta – pech.

Po około trzech tygodniach, gdy bruk odzyskał zwykłą sobie stabilność, pomocnik piekarza, który przynosił świeże pieczywo do sklepu, wyszeptał na pozdrowienie matki.

– W getcie nie ma jednego Żyda. Wywieźli wszystkich przez rampę za rzeźnią.

– To niemożliwe – pomyślała Helenka. – A Rywka? Dałaby znać, że wyjeżdża.

Dziewczynka, pokonując strach, postanowiła pójść na Nadstawną. Pamiętała tę ulicę, bo mijała ją niejednokrotnie, chodząc do apteki na Lubartowską. Wybrała się tuż po obiedzie. Za cerkwią, gdzie kiedyś zaczynały się gwarne ulice żydowskiego osiedla, było pusto i niezwyczajnie cicho. Przy studni na Szerokiej nie dźwięczały wiadra stawiane na bruku. Przed niskimi domkami na Ruskiej nie siedziały jak zwykle

stare Żydówki w perukach, a drzwi maleńkich sklepików nie wypełniali mężczyźni w chałatach. W ogóle nie było sklepików i towarzyszącej im mieszaniny zapachów kiszonych ogórków, jabłek i cebuli. Nie było też pejsatych chłopaczków ani młodziutkich dziewczynek uginających się pod ciężarem jeszcze młodszego rodzeństwa. Wymarłe ulice bieliły się za to w kwietniowym słońcu stertami papieru i pierza. Na odrapanym murze kamienicy przy Nadstawnej 47 zachowała się metalowa tabliczka i dziewczynka weszła niepewnie w czeluść sieni. Mrok rozświetlały nikłe dziury po futrynach. W zrujnowanym wnętrzu uderzył ją zapach zapleśniałej wilgoci. Uważając, by broń Boże nie dotknąć zagrzybionych, zmurszałych ścian, dziewczynka spróbowała zerknąć do najbliższego pomieszczenia. Ruszyła nogą i... coś szmyrgnęło jej spod stóp. Zamarła na sekundę, a potem rzuciła się w stronę wyjścia.

– To kot. Tylko kot – powtarzała w myślach.

Pędziła jednak szaleńczo dalej. Dalej, jak najdalej od tej stęchlizny, ciszy, pierza. Opamiętała się dopiero za cerkwią. Serce waliło jej jak młot, nogi drżały. Kucnęła, żeby się uspokoić. W oddali młodzi chłopcy kopali grządki na klasztornym polu. Sąsiadka myła okno w kuchni. W witrynie sklepiku matki stały jeszcze w wazonie świąteczne palmy – zaledwie tydzień temu była Wielkanoc. W wiosennym słońcu pysznił się kwieciem kosztelowy sad[4].

[4] Tekst napisany na podstawie wspomnień Wiesławy Majczakowej i Mariana Milsztajna [przyp. red.].

Pustynia w Iraku.

Romulad Dylewski – wybitny lubelski urbanista, praktyk i teoretyk, m. in. wieloletni kierownik lubelskiego Zakładu Instytutu Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej w Warszawie, wiceprzewodniczący ds. konsultacji naukowej Wojewódzkiej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej, członek Państwowej Rady Gospodarki Przestrzennej w Rządowym Centrum Studiów Strategicznych. Wykładowca kilku uczelni w kraju i za granicą. Główny projektant pierwszego po wojnie *Planu Miasta Lublina* (nagrodzonego I nagrodą państwową), *Planu rozwoju miasta i aglomeracji Bagdadu*, a także m. in. planów miast w Syrii i Libii. Autor wielu prac naukowych i popularyzatorskich z dziedziny planowania miast i regionów.

Romuald Dylewski

Lubelski Orient

Dopiero po latach pojąłem podobieństwa między kulturą żydowskich miasteczek mojego dzieciństwa a kulturą krajów Bliskiego Wschodu. Jaśniejszy stał się sens wielu opacznie tłumaczonych zjawisk.

Dzielnice żydowskie w Polsce – w Łęcznej, Lublinie... Pamiętam je z dzieciństwa. Miały swoistą, niezwykłą atmosferę. Nie ma po niej śladu, zaginęła wraz z mieszkańcami... Wiele lat później zadania zawodowe architekta urbanisty-planisty miast zawiodły mnie na Bliski Wschód, do Iraku, Egiptu, Libanu, Syrii. Egzotyka kulturowa tych krajów zaskoczyła mnie, zafascynowała. Zaczęło budzić się też poczucie, że jest mi ona jakoś szczególnie bliska – oto spotkałem atmosferę bliską mojego dzieciństwa...

Urodziłem się i wzrastałem w atmosferze żydowsko-polskiego miasteczka podlubelskiego – Łęcznej. Mieszkaliśmy na granicy dzielnic polskiej i żydowskiej, dosłownie – między bożnicą a kościołem. Wśród moich małych przyjaciół było chyba tyleż dzieci żydowskich co polskich, a może nawet tych pierwszych więcej. Wokół świat dzielnicy żydowskiej. W wieku lat 12 wysłano mnie do Lublina do gimnazjum i tam, na ulicy Czechowskiej, u dziadków, mieszkałem przez trzy ostatnie międzywojenne lata, przyjeżdżając często do rodziców do Łęcznej. Ale i z mojego nowego miejsca zamieszkania nie było daleko do ulic i skupisk żydowskich – Wieniawy, Starego Miasta, Lubartowskiej... Lubiłem tam chodzić, ciekawił mnie ów świat inny, a bliski mi, przyciągający, choć egzotyczny. Jak się okazało – świat w istocie orientalny.

Dopiero po latach, patrząc na Orient z bliska i okiem osoby profesjonalnie

wrażliwej na sprawy środowiska przestrzenno-kulturowego, pojąłem te zdumiewające podobieństwa – podobieństwa między kulturą żydowskich miasteczek mojego dzieciństwa a doświadczaną kulturą krajów Bliskiego Wschodu. Jaśniejszy stał się dla mnie też sens wielu opacznie tłumaczonych zjawisk. Zrodził się świadomy szacunek do Narodu, który przez tysiąclecia w niemal skrajnie odmiennych warunkach zewnętrznych diaspory potrafił zachować i pielęgnować nie tylko religię i sposób życia, ale też żywą tradycję związaną z ich pierwotnym środowiskiem, przeniesioną często jakby wbrew logice.

Oto kilka obrazków, porównań, refleksji.

Jedną z cech starych żydowskich dzielnic w Polsce był niemal zupełny brak zieleni. Budynki stały przy gołym,

„Jaka cena jest?" – „30 złotych" – „E, to niewart 5" – „Jak niewart 5? 25 jak obszył!" – i od nowa zaczynał. Jak od razu wyjęło się pieniądze i zapłaciło 30, to nie sprzedał. „Jakiż to interes? Ja muszę pohandlować."

bezdrzewnym klepisku placu czy ulicy, klepisku ziemi, gliny wydeptanej stopami czy końskimi kopytami, kurzącej latem i błotnistej jesienią. Z rzadka kępy trawy, chwasty... Jeszcze rzadziej jakieś marne drzewko, samosiejka, niebudzące większego zainteresowania (poza dziećmi)... Dominował kolor ziemi, nie zieleni. Rzecz zdumiewająca z punktu na przykład tradycji polskiej, europejskiej... A jakże oczywiste jest to na Bliskim Wschodzie.

Domy miasteczka buduje się tam najczęściej z suszonej cegły czy wręcz z gliny, na gliniastych terenach pustynnych, gdzie zasadzenie i utrzymanie zieleni, a tym bardziej drzew, na suchym gruncie to praca, często wielka praca, wymagająca stałego, uciążliwego nawadniania. Nie stać na to zwykle ludzi, szczególnie gdy chodzi o drzewa. Ogród

Kadr zdjęcia ze strony 107.

staje się marzeniem dla większości nieosiągalnym. Ludzie jak gdyby bali się drzew, które byłyby niewątpliwie ich kłopotem. Miasteczka są więc szare, gliniaste, bezdrzewne... Zaskakująco bliskie dzielnicom żydowskim w Polsce przed laty... Czyżby nie takie było źródło tego zjawiska ?

Inną cechą dzielnic żydowskich było to coś, co wyglądało jak brak porządku, chaos, bałagan przestrzenny zabudowy, zwłaszcza tej, która znalazła się poza narzuconymi formalnie liniami regulacyjnymi ulic i placów. I tu znów wskazać można na odległe, choć, jak się zdaje, oczywiste związki z tradycją bliskowschodnią. Większe miasta starożytnego Orientu miały wprawdzie wytyczone względnie proste ulice główne, ale zabudowa w kwartałach między tymi ulicami i placami, szczególnie mieszkaniowa, powstawała na zupełnie innych zasadach. Można by je opisać jako naturalne rozrastanie się zwartej, gęsto zabudo-

Taki specyficzny był zapach: cebula, śledzie, te ich pożywienie gotowane, smażone... Teraz takiego nie powąchasz, nie uwidzisz. Specyficzny, że trudno się wysłowić, może jakiś ekspert mógłby powiedzieć – taki niedostrzegalny, bo zapachu nie dostrzeżesz.

◂ Ryszard Giszczak. Z archiwum „Historii Mówionej" TNN.

Bagdad, uliczny sprzedawca. Wszystkie zdjęcia na marginesie w tym tekście nie pochodzące z Lublina zostały zrobione przez Autora.

◂ Jan Drobek. Z archiwum „Historii Mówionej" TNN.

Bagdad. Handel uliczny – *suk*.

Lublin. Handel w gettcie. Źródło: Photo Archive/Beit Lohamei Haghetaot/Israel (http://english.gfh.org.il/search.asp)

wanej tkanki miasta poprzez swobodne dodawanie kolejnych, różnej wielkości – według potrzeb – budynków, domów, jeden tuż obok drugiego, bez uprzednio wyznaczonej ulicy.

Ulica nie była narzucona liniami regulacyjnymi, stawała się raczej wtórnym, spontanicznym efektem tej dojrzałej, ukształtowanej przez tysiąclecia wschodniej filozofii budowania miasta – ale przecież była, choć nie prosta. Powstawała samorzutnie jako naturalna, malownicza, raz szersza, raz węższa przestrzeń, o żywej linii, pełnej niespodziewanych otwarć, zawężeń, zaułków, zakrętów – urzekająca swoim urokiem... Oceniając ją z pozycji „linearnej", mogła wydawać się efektem „braku geometrycznego porządku", patrząc nieco szerzej i bez uprzedzeń – była po prostu wyrazem innej kultury, i to wcale nie „gorszej".

Kolejnym wyrazem niezrozumienia istoty dzielnic żydowskich w Polsce było zbyt uproszczone tłumaczenie zjawiska, które można by nazwać „zaniedbaniem" tych dzielnic, małą dbałością o wygląd zewnętrzny budynków, ich otoczenia, ulic, placów... Przyczyn w znacznej mierze trzeba zapewne szukać w biedzie mieszkańców, ale nie tylko – dotyczyło to nie tylko najuboższych kwartałów. Podobne zjawisko obserwować można też w miastach Bliskiego Wschodu, nawet w ich śródmieściach. Powody tkwią więc, jak się zdaje, głębiej, w obyczaju, a nawet psychice mieszkańców.

Nieznajomość dzielnicy żydowskiej w Lublinie, „Gazeta Lubelska" 1887 nr 104. ▸

Kadr zdjęcia ze strony 107.

Znaczenie może mieć tutaj wpływ gorącego klimatu, gdzie każda czynność zewnętrzna wymaga zwykle większego trudu, zwłaszcza w półroczu letnim. Ale może też – i chyba głównie – jest to wynik innych priorytetów, innej filozofii życia ludzi tamtych rejonów świata, na przykład silniejszej potrzeby życia wewnętrznego kosztem mniej ważnych, drugorzędnych wartości środowiska zewnętrznego. Wiele przykładów mogłoby potwierdzić tę tezę, przykładów z życia mieszkańców i miast Orientu, ale też i bezpośrednio – Żydów polskich i ich dzielnic.

Mówiąc o dzielnicach żydowskich w Polsce przedwojennej, trzeba też wspomnieć o sprawie nieco żenującej – wiele ich zaułków wypełniały nie najlepsze zapachy. Załatwiano tam po prostu czynności fizjologiczne. Nie tylko zresztą w zaułkach, nierzadko pod jakąkolwiek ścianą, tuż przy wejściu, gdziekolwiek. Trzeba przyznać, że nie lepiej bywało wówczas i w biedniejszych dzielnicach nieżydowskich, ale w żydowskich zdawało się to być zjawiskiem bardziej

Odgrodzona od nas wąskim pasem, znanym pod nazwą Bramy Żydowskiej, dzielnica ta ma tak odrębną fizyognomię, że zda się, jak gdyby morza ją od nas dzieliły.

ostentacyjnym, beztroskim, rzucało się bardziej w oczy. Można by nie wiązać z tym szczególnego znaczenia, gdyby znów nie analogie orientalne.

Oto centrum jednej ze stolic Bliskiego Wschodu, lata siedemdziesiąte XX wieku, godzina kończenia pracy w urzędach. Z wielkiego nowoczesnego gmachu banku wychodzą urzędnicy – czarne eleganckie garnitury, białe koszule, krawaty, jak trzeba. Wychodzą, ale niektórzy z nich zatrzymują się i... siusiają na piękną marmurową ścianę budynku. Zapach uryny czuć w mniejszym czy większym nasileniu w całym śródmieściu, jak w przedwojennych dzielnicach Lublina lub Łęcznej. Dla kobiet w owej prawie europejskiej stolicy wygodnym miejscem są na przykład wszelkiego rodzaju placyki i skwerki – wystarczy kucnąć i zarzucić czarną abaję na głowę...

I znów próba znalezienia genezy zjawiska. Wypadło mi jechać przez ponad dobę publicznym mikrobusem przez pustynię (z Damaszku do Bagdadu). Kilkunastu pasażerów – mężczyźni, kobiety, raczej „klasa średnia". Co kilka godzin przerwa w podróży, przystanek, aby wypić łyk nie najświeższej, nagrzanej słońcem wody z baku na bagażniku, po czym – panie w lewo, panowie w prawo... Ale że to płaska, bezbrzeżna pustynia, bez szansy intymności, więc zarówno panie, jak i panowie załatwiają swoje potrzeby bez żenady, pruderii, po prostu – niemal obok siebie, w zasięgu wzroku. Czyż można w tych warunkach inaczej? Mimo że obyczaj każe tu szczególnie ostro strzec godności, prywatności, że kobiety zasłaniają twarze i resztę ciała aż do stóp. Paradoksy kulturowe,

Kamienice były raczej szare. Szczególnie ulica Krawiecka, Jateczna. Bardziej kolorowa była Szeroka, było dużo reklam, natomiast pozostałe ulice odchodzące od Szerokiej – Kowalska, Furmańska – były szare...

wyrosłe ze specyfiki tych krajów i, jak się okazuje, zadomowione w tradycjach zamieszkujących je narodów.

Może jednak najbardziej godną wspomnienia cechą dzielnic i miasteczek żydowskich w Polsce przedwojennej było ich życie – życie ulic i placów. Stanowiły one wielostronnie aktywną przestrzeń publiczną, często zdawały się być ważniejsze od ciasnych na ogół mieszkań, a w każdym razie uzupełniały je niezwykle intensywnie, stając się jakby wspólną przestrzenią. Na co dzień ulice i place były oczywiście miejscem transportu, komunikacji, ale też – może szczególnie – handlu w różnych postaciach, którego apogeum stawały się dni jarmarczne i handel w tłumie miasteczka. Handlowali wszyscy – mężczyźni, kobiety, dzieci, ludzie starzy, biedni, bogatsi – wszyscy... towarem w sklepikach i przed nimi, na stołach, na ziemi, na plecach, w rękach... w gwarze, hałasie zachwalania oferowanych towarów, przyciągania nabywców...

Po czym handel się kończył. Wieczorami i w dni świąteczne te same uliczki, ulice i place zmieniały się, jak gdyby nigdy nie było tu tłumu, hałasu, stawały się miejscem odpoczynku, rekreacji mieszkańców. Otwierały się na nie mieszkania, które, jak sklepy, miały na ogół bezpośredni kontakt z przestrzenią ulic. To tutaj, przed progami domów w ciepłe wieczory czy święta rodziny się rozsiadały, patrząc, rozmawiając, popijając herbatę, tu dzieci się bawiły, tu załatwiało się spokojnie interesy.

Kadr zdjęcia ze strony 107.

W dni szabasów ulice i place stawały się jednak przede wszystkim promenadami, miejscami spotkań, spacerów. Całymi rodzinami, w odświętnych tradycyjnych strojach – panowie z brodami, w czarnych długich płaszczach (chałatach) i czarnych nakryciach głowy, kapeluszach bądź czapeczkach z małym daszkiem (jarmułkach), panie w długich ciemnych sukniach, często w perukach, z barwnymi szalami – dostojnie spacerowali sobie, nawet gdy pogoda była nie najlepsza.

I tu znów narzucają się analogie. W kulturze krajów bliskowschodnich nietrudno dostrzec ślady podobnych zachowań. Chociażby fakt, iż właśnie w krajach Orientu powszechnym, tradycyjnym typem mieszkania był i jest dom patiowy, gdzie zachowany został bezpośredni związek pokoju mieszkalnego z przestrzenią otwartą, pod gołym niebem – patiem. Ten szczególny dziedziniec wewnętrzny jest główną wspólną przestrzenią mieszkania, przechodzi się przez nią, idąc z pokoju do pokoju,

◂ Bogdan Stanisław Pazur. Z archiwum „Historii Mówionej" TNN.

Bagdad. Relaks przy fajce wodnej – *nargili*.

Lublin, ul. Zamkowa. Ze zbiorów WUOZ Lublin.

Lubelskie Stare Miasto, ul. Szambelańska. Autor nieznany. Ze zbiorów TNN.

siedzi, rozmawia z sąsiadami, przyjmuje gości, żyje.

Ale nie tylko w patiach; powszechny jest też tam zwyczaj siadania przed domem, w otwartych kawiarniach, na dziedzińcach meczetów, na placach – na dworze. Zachęca do tego ciepły klimat, ale także skłonność kulturowa, obyczaj. Ludzie lubią siedzieć i patrzeć, rozmawiać, rozmyślać, kontemplować. Gdy trzeba, we wnętrzu domu, ale gdy tylko można – na zewnątrz. W efekcie przebywanie pod dachem staje się ograniczone. Szczególnym tego przykładem są też tamtejsze uliczki handlowe – suki. Jakże podobne w swojej atmosferze do uliczek przedwojennej Łęcznej czy Lublina w dni handlowe. I tam, na Wschodzie, towar też wykładany jest na zewnątrz, a przy nim rozsiadają się z widoczną przyjemnością, sprzedawcy, zachęcając głośno przechodniów do kupna, rozmowy. Podobny tłum i gwar... Przy czym stroje zarówno sprzedających, jak i przechodniów są także długie, ciemne, poważne, tradycyjne...

Dzielnice butwiejących domów drewnianych i kamienic z naroślami przybudówek, komórek, galeryjek i szop.

Mieczysław Kurzątkowski, *Lublin trzech pokoleń*, Lublin 1987, s. 10. ▸

Warto w tym miejscu wspomnieć o jeszcze jednym charakterystycznym rysie tych ulic, sklepików, rysie niezwiązanym z przestrzenią, a jednak jakże od niej nieodłącznym – o specyfice handlu, a ściślej o targowaniu się, tej wręcz kulturze tak typowej dla krajów Bliskiego Wschodu i powszechnej w handlu żydowskim przedwojennej Polski. Zasady były wszystkim znane. Wiadomo było, że cena podawana na wstępie to tylko zaproszenie do dłuższej towarzyskiej rozmowy – rytuału targu. Ceny tej nikt nie traktował poważnie, ani sprzedawca, ani kupujący, ot – początek konwersacji...

Z listu Anny Zydrańskiej „obywatelki z ulicy Podzamcze", zbulwersowanej postawą Wydziału Sanitarnego, do gazety „Ziemia Lubelska" 23 marca 1916 r. ▸

Żydzi w Europie Wschodniej żyli bardziej w czasie niż w przestrzeni. Było tak, jakby ich dusza była zawsze w drodze, jak gdyby tajemnica ich serca nie miała pokrewieństwa z rzeczami.

A. J. Heschel, *Pańska jest ziemia. Wewnętrzny świat Żyda w Europie Wschodniej*, Warszawa 1996, s. 10. ▸

Pamiętam, miałem wtedy chyba dwanaście lat, jak matka kupowała mi mundurek szkolny w żydowskim, oczywiście, magazynie pana Mańczyka na ulicy Koziej w Lublinie. Magazyn mieścił się na pierwszym piętrze, gdzieś w połowie wąskiej, krótkiej uliczki. Wielki sklep wypełniony odzieżą i zapachem naftaliny. Pokonawszy ten raczej nieznośny zapach, wybieraliśmy mundurek i zaczynał się rytuał. Żyd podawał cenę, matka proponowała swoją, oczywiście o wiele niższą. On się niby denerwował, matka udawała, że wychodzi, on, że na to pozwala. Wychodziliśmy więc, ale niedaleko, na dole przy wejściu stał chłopak, którego zadaniem było zawracanie klientów: Co, Pani już odchodzi? Niech się pani wraca, on sprzeda taniej... Potwierdzał to też sam Mańczyk osobiście z okna na górze. Ale nawet gdybyśmy przełamali tę blokadę i próbowali iść dalej, następni chłopcy z firmy stali na obu krańcach uliczki, zachęcając do powrotu jeszcze bardziej natarczywie. W końcu wracaliśmy do sklepu i kupowali mundurek za połowę ceny, ku radości sprzedawcy i naszej satysfakcji... lecz po może godzinie rozmów i przekomarzań.

Śmieci i gnój leżą w dalszym ciągu, powietrze jest zatrute, okien nie można otwierać. Co zaś dzieje się w podwórzach, tego nie sposób opisać.

Taki był obyczaj. Człowiek, który się nie targował, uchodził za nietowarzyskiego dziwaka. Podobne, choć może nie tak przemyślne ceremoniały handlu przeżywałem później wielokrotnie na sukach miast Bliskiego Wschodu, ostatnio w Jerozolimie. Obyczaj żyje w pełnych barwach swojego uroku. I dobrze. Szkoda, że już nie u nas.

Na końcu raz jeszcze o zapachach, tym razem jednak nie o tych przykrych – naftaliny czy zaułków. O atmosferze zapachów, jakie ogarniały całe obszary żydowskich domów, kwartałów, dzielnic – szczególnej mieszanki zapachów oliwy, cebuli, czosnku, ryb, przypraw, mieszanki kulinarnej żydowskiej kuchni, egzotycznie dla nas pachnącej. Pachnącej intensywnie zwłaszcza przed żydowskimi świętami, w dniach przygotowania wieczerzy szabasowej. I znów, po latach, jakże podobne zapachy w miastach bliskowschodnich, w starych dzielnicach – Kairu, Bagdadu, Damaszku, Bejrutu, Jerozolimy...

Takie to były w znacznej części miasta i miasteczka Lubelszczyzny przed wojną – dzielnice żydowskie, pełne przedziwnie zachowanej i kultywowanej atmosfery Orientu, szczególnej jej odmiany, ale o wyraźnych korzeniach. Tak niewiele po nich zostało. W Lublinie wraz z eksterminacją ludności żydowskiej wyburzono również większość budynków – stare, często zabytkowe domy, szkoły, synagogi... Zniknęły dawne, historyczne ulice Podzamcza, Wieniawy wraz z ich mieszkańcami. Ale nawet tam, gdzie budynki zostały, jak na przykład na ulicy Lubartowskiej, nie ma w nich atmosfery tamtych lat... inni teraz mieszkają w nich ludzie, inna wypełnia je kultura, inna tradycja.

Obraz bardzo biednej ulicy Ruskiej czy Szerokiej, to był obraz dnia powszedniego. W szabas ta ulica wyglądała zupełnie inaczej, ponieważ ci wszyscy ludzie byli ubrani bardzo odświętnie. Widziało się wtedy tych Żydów w czapach, w czarnych chałatach, białych pończochach, z pejsami.

Widać to jakże wyraźnie w Łęcznej. Ludność żydowska została wymordowana, lecz jej domy niemal w całości przetrwały, a przecież trudno mówić o zachowanej dzielnicy żydowskiej. Jej charakter zmienił się radykalnie, zmieniła się przestrzeń miasteczka mimo wysiłków konserwatorów zabytków. Znikły klepiska ulic, placów, ich znaczną część zajęły drzewa, „skwery", „przydomowe ogródki", pojawiły się ogrodzenia „swoich" własności, jakich nigdy tu nie było. Zmieniła się skala przestrzeni, jej wyraz, charakter, Zamknęły się domy, mieszkania, znikły maleńkie sklepiki. Uliczki wypełniły się samochodami. Ale przede wszystkim – brak ludzi, którzy tu mieszkali, ich życia, tradycji, obyczaju, duchowości, swoistego sprytu, czasem chytrości, ale i mądrości... Szkoda. Ich świadectwem jest w Łęcznej jedynie cudem ocalała bożnica – obecnie muzeum judaików. Dobre i to. W Lublinie i tego brak. Jedynie resztki cmentarzy zdają się być nikłym świadectwem przeszłości.

Z reguły były otwarte parterowe drzwi na ulicę i widać tam było drobne warsztaty – więc mieszkali tam jacyś szewcy, jacyś krawcy i poprzez to pierwsze pomieszczenie widać było dalej mieszkanie...

Czy rzeczywiście nic nie zostało z atmosfery, obyczaju, kultury Żydów polskich? Z atmosfery żydowskich dzielnic, miasteczek? Odpowiedź na te pytania nie jest łatwa. Wymagałaby poważniejszych badań, wszak były to kultury – polska i żydowska – tak blisko ze sobą współżyjące przez wieki, w istocie w jakiś sposób z sobą zespolone, mimo głębokich odrębności. Z drugiej strony wojna i dziesięciolecia powojenne tak głęboko zmieniły kulturę w ogóle, przyśpieszone, niestety, zostały procesy globalizacyjne. Tym niemniej, biorąc dziś pod uwagę choćby atmosferę targowisk, których popularność przetrwała w wielu naszych miastach i miasteczkach, czyż

Z ulicą nie rozstają się w ciągu dnia ani na chwilę. Zastępuje im ona restaurację, giełdę, aulę do przyjęć towarzyskich, gabinet dla pogawędki, szkołę, resursę, teatr...

Ulica w Bagdadzie.

◂ Wiesława Majczakowa. Z archiwum „Historii Mówionej" TNN.

◂ Wiesława Majczakowa. Z archiwum „Historii Mówionej" TNN.

◂ *Nieznajomość dzielnicy żydowskiej w Lublinie*, „Gazeta Lubelska" 1887 nr 104.

Bagdad. Uliczna kawiarenka.

Bagdad. Uliczny pisarz.

nie można dopatrywać się w niej śladów orientalnych? A w tej szczególnej nonszalancji polskiego budownictwa wobec ładu przestrzennego, zwłaszcza na obrzeżach miast, czy nie ma śladów – niestety zniekształconych – tej kultury? Nie mówiąc już na przykład o obecnej „kuchni polskiej". Sami nie jesteśmy świadomi, jak dalece te wpływy ukształtowały współczesnego Polaka.

Faktem jest jednak, że atmosfery żydowskich dzielnic i miasteczek w jej przedwojennym wymiarze nie ma już w Polsce. Co więcej, trudno ją znaleźć nawet wśród Żydów polskich w Izraelu. Może poza niektórymi dzielnicami Starej Jerozolimy. Żydzi europejscy, polscy mieszkają tam raczej w nowych – „nowoczesnych" osiedlach i miastach... Ta szczególna wielowiekowa ciągłość kulturowa, jaką pielęgnowali polscy Żydzi została przerwana, niestety, chyba bezpowrotnie. O jej wielkości świadczą już tylko przetrwałe, choć także topniejące, wzorce kultury orientalnej w krajach Bliskiego Wschodu. Utraciliśmy w Polsce coś rzeczywiście niezwykłego.

Kolaż zdjęcia współczesnej zabudowy w okolicach Tel Awiwu (fot. Tomasz Czajkowski) i fotografii lotniczej lubelskiego przedwojennego Podzamcza ze zbiorów Jakuba Kamińskiego (widoczna ul. Szeroka). Pomysł i wykonanie Marcin Skrzypek.

Prababcia opowiadała mi bajki. Nie spotykało się w nich baby-jagi czy Czerwonego Kapturka. Ich miejsce zajął nieistniejący, przedwojenny świat.

Łukasz Jasina

Wspomnienia mojej prababci

Klio, muza historii, jest chyba najbardziej niewdzięczną z muz. Nie możemy liczyć na jej pomoc w walce z zawodnością ludzkiej pamięci. Muza jako bogini powinna o wszystkim wiedzieć i pomagać nam w ustalaniu obiektywnego stanu rzeczy. Niestety, mimo naszych zabiegów, Klio okazuje się muzą zdradliwą, leniwą i kapryśną. W konsekwencji efekty poszukiwań „prawdy historycznej" nigdy nas nie zadowalają.

A może nie jest to wina Klio?

Muzy, bądź co bądź, a nie naukowca? Prawda historyczna jest bytem idealnym, którego odkrywanie zawsze będzie rozczarowywać. Nie powinniśmy więc odsyłać ludzkiej pamięci do lamusa tylko dlatego, że daje nam subiektywny obraz przeszłości. Pamięć jest wartością sama w sobie, czymś niezmiernie ciekawym i pięknym, jedynym śladem istnienia zwykłego człowieka i jego ciężkiej pracy nad przeżyciem własnego życia. Nie twierdźmy więc, że odkryliśmy prawdę, ani nie zniechęcajmy się, że nam się to nie udało. Pamiętajmy tylko, że pamięć drugiego człowieka jest naszym kluczem do przeszłości, często pierwszą prawdą, na jaką nas stać, która jest jak pierwsza miłość. Ta prawda ma dla nas taką wartość, jaką mają ludzie, którzy ją w sobie noszą. Tak więc stać nas na taką prawdę, na jaki stać nas szacunek dla nich.

Mam 22 lata, więc o dzieciństwie powoli zaczynam myśleć jak o zamierzchłej przeszłości, pełnej tajemnic – czasem zastanawiam się, czy to wszystko w ogóle się zdarzyło...

Prababcię pamiętam najlepiej

Ja, moja mama i prababcia zajmowaliśmy niewielkie mieszkanie w Hrubieszowie, który istniał leniwie za naszymi oknami. Prababcia opowiadała mi bajki – podobne do najbardziej kolorowych filmów – które jednak od zwykłych bajek różniły się tematyką. Nie spotykało się w nich baby-jagi czy Czerwonego Kapturka. Ich miejsce zajął nieistniejący, przedwojenny świat. Pierwsza była wyliczanka... Nie pamiętam jej dokładnie, ponieważ prababcia śpiewała ją w jakimś niezrozumiałym języku. Na moje pytanie odpowiedziała krótko:

Prababcia Helena Gumińska-Jasina – bohaterka tekstu.

Fragment zdjęcia Wieniawy, żydowskiego przedmieścia Lublina. Fot. ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

„To po żydowsku" i śpiewała dalej. Tak to w latach osiemdziesiątych w pewnym polskim domu rozbrzmiewała wyliczanka w jidysz – martwym na tej ziemi od czterdziestu lat. W Hrubieszowie przeżyło kilku Żydów, ale wszyscy odeszli od jidysz. Niektórzy założyli nowe, polskie rodziny i starali się zapomnieć o największym z możliwych koszmarów.

Prababcia Helena Gumińska-Jasina nie pochodziła z Hrubieszowa. Była rodowitą lublinianką, stanowiła więc raczej wyjątkowy w skali naszego województwa przypadek migracji. Pochodziła ze zbiedniałej rodziny ziemiańskiej, której dzieje ostały się w mojej pamięci w niewielkim stopniu. Prapradziadek był surowym ojcem i weteranem wojny w Mandżurii, praprababcia zajmowała się wychowaniem pięciu córek. Najstarsza z nich przyszła na świat w roku 1907, najmłodsza w 1916. Prababcia urodziła się w styczniu 1909 roku, wtedy, kiedy na Bystrzycy stanął kamienny most. „Mam tyle lat, co on" – zawsze z dumą podkreślała. Z pierwszych lat swojego życia pozostawiła mi niewiele wspomnień. Są one jak zabytki architektury – przetrwały nie te najbardziej wartościowe i ciekawe, lecz te... które przetrwały, które po prostu miały szczęście. Nie mam pojęcia, ile zapomniałem ja, a czego prababcia w ogóle mi nie powiedziała.

Opowiadała o Ratuszu, znacznie większym niż obecnie (jednym z pierwszych mieszkań rodziny Gumińskich), ponurej ulicy Granicznej „na skraju miasta", no i oczywiście o rosyjskiej orkiestrze wojskowej w Ogrodzie Saskim. Więcej chyba nie zapamiętuje kilkuletnie dziecko. Kalendarz rodzinny związany z Pierwszą Wojną Światową był ważniejszy niż historyczny – nikt w świecie nie przekonałby prababci do tego, że „wielka wojna"[1] skończyła się w roku 1918. Według niej miało to miejsce dwa lata wcześniej, gdy do domu wrócił ojciec – legionista. Obrazy z lat dwudziestych były już ostrzejsze.

Tamten Lublin

nie ograniczał się tylko do rodziny i najbliższych przyjaciół. We wspomnieniach z tego okresu często pojawiała się szkoła. A może po prostu głównie ją zapamiętałem? Przecież babcia opowiadała o niej, kiedy jako siedmiolatek rozpoczynałem swoje szkolne życie. Dzięki względnej zamożności rodziny (co w owych czasach oznaczało nieprzymieranie głodem) prababcia mogła sobie pozwolić na uczęszczanie do placówki zakonnej w pobliżu katedry. Uczono w niej tego, co każda panienka wiedzieć powinna. O koedukacyjności takiej szkoły nie można było nawet pomarzyć, niemniej musiała być przybytkiem dość liberalnym, skoro uczęszczały do niej dziewczęta pochodzenia żydowskiego. Nie uczestniczyły tylko w lekcjach religii i modlitwach. Pochodziły z raczej zamożnych i zasymilowanych rodzin, niezwiązanych już z dzielnicą żydowską – niemniej katoliczkami nie były. Z niektórymi prababcię łączyła przyjaźń i wzajemne odwiedziny. W ich domach żyło się raczej w stylu warszawskiej synagogi na Tłomackiem, niż lubelskiej ulicy Szerokiej[2].

Prababcia chyba nigdy nie miała momentu „wejścia" w dzielnicę żydowską. Po prostu żyła w tym mieście i wchodziła w nią tak, jak my wchodzimy np. w sznurowanie butów czy jedzenie nożem i widelcem. Żydowska wyliczanka wspomniana przeze mnie na początku nie była więc dla prababci „przepustką" do Miasta Żydowskiego. W tamtych czasach była nią odwaga

[1] Dla prababci I wojna światowa była „wojną światową" albo „wielką wojną", a II wojna światowa po prostu „wojną", strasznym przeżyciem, o którym starano się nie mówić wprost.

[2] Lubelska ul. Szeroka była, jak wiadomo, zamieszkana przez chasydów i Żydów ortodoksyjnych, którzy przechodząc pod krakowską synagogą Tempel (będącą, podobnie jak ta warszawska na Tłomackiem, nowoczesną synagogą dla „zreformowanych Żydów"), spluwali z pogardą. Krakowska anegdota mówi, że tradycyjny Żyd wolał przejść obok kościoła Bożego Ciała niż synagogi Tempel. (Obie anegdoty usłyszałem z ust pana Henryka Halkowskiego z gminy żydowskiej w Krakowie w trakcie wycieczki po Kazimierzu).
W latach siedemdziesiątych XIX wieku, kiedy to wśród Żydów nabierały tempa tendencje asymilacyjne i ruch reformujący życie religijne, w Warszawie zbudowano nowoczesną świątynię. Zdaniem inicjatorów budowy,

patrzenia dookoła siebie i traktowania tego jako rzeczy normalnej. Niemniej jednak wspomniana wyliczanka prawdopodobnie stała się taką „przepustką" dla mnie. Przepustką do realnego świata z przeszłości zrekonstruowanego w mojej wyobraźni. Tylko taki wewnętrznie skomponowany obraz może na nas oddziaływać – ale czy jesteśmy zdolni do odczuwania czegoś, czego już nie ma i czego nigdy nie widzieliśmy? Czy naprawdę tego szukamy?

Obecność Żydów

w Lublinie nie była dla prababci niczym nadzwyczajnym i w jej wspomnieniach stanowiła jedynie element opowieści na zupełnie inne tematy. Występowała niejako „przy okazji", ale zarówno te opowieści, jak i wspomnienia o Żydach pojawiały się w zgoła nieprzewidzianych okolicznościach. Weźmy na przykład łąki nad Czechówką, ulubione letnisko prababci. Mówiła, że widok doliny rzeki od Sławinka do kościoła św. Agnieszki był jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie widziała w życiu. Nic jednak nie wspominała przy okazji o znajdującej się niejako „po drodze" dzielnicy żydowskiej. Podobnie lubelska „Starówka", dziś dla nas przedmiot troski i przedsionek dzielnicy żydowskiej, w pamięci prababci uchodziła głównie za miejsce leżące na uboczu, zaniedbane i niebezpieczne. Życie nocne w ówczesnym Lublinie prawie wcale wtedy nie istniało – podobno już około dwudziestej pierwszej po wymarłych ulicach miasta przechadzały się jedynie patrole policyjne. O Starym Mieście prababcia wspominała z tego właśnie powodu i z uwagi na Bramę Krakowską, ponieważ na jej wieży prapradziadek legionista odgrywał na trąbce „Boże, coś Polskę..."

O lubelskich Żydach po raz pierwszy usłyszałem, kiedy przypadkiem przechodziliśmy we dwójkę przez Plac Zebrań Ludowych (obecnie Plac Zamkowy), który wtedy wydawał mi się ogromny. Na moje dziecięce zachwyty babcia odpowiedziała, że kiedyś (w domyśle: „przed wojną") na jego miejscu stały domy, a w nich mieszkali Żydzi. Nie mogłem w to uwierzyć – tyle ulic? Tyle domów? Gdzie to się wszystko podziało? Kim byli Żydzi. Teraz już wiem – ale z prababcią nie mogę już o tym porozmawiać. I jeszcze jedno. Zaraz potem dowiedziałem się czegoś o historii niedalekiego skweru za Zamkiem; prababcia nazywała go „laskiem katyńskim", co mogło oznaczać tylko jedno – zdarzyła się tam wielka tragedia[3]. Wtedy jednak Zagłady nikt jeszcze nie przeczuwał.

Ortodoksyjni Żydzi byli dla prababci najbardziej religijnymi ludźmi na świecie, co nie przeszkadzało jej nazywać „żydem" każdej nieochrzczonej osoby.

Życie toczyło się normalnie

Wspomnienia prababci z pierwszej dekady jej życia w niewielkim stopniu dotyczyły miasta, a koncentrowały się głównie na historii rodziny i jej problemów. Wtedy to nad Europą, a przy okazji i nad Lublinem przetoczyła się wojna. Prapradziadek, jej ojciec, walczył w Legionach. I było źle... No właśnie: było źle. Gdy prababcia opowiadała o wojennym i powojennym kryzysie, po raz pierwszy pojawiła się dzielnica żydowska i jej mieszkańcy. Podzamcze stało się dla niej symbolem biedy. Dziś zachwycamy się malowniczością tych okolic, oryginalnością detali architektonicznych i bogactwem tworzonej tu niegdyś kultury. Prababci zaś kojarzyło się ono z nędzą i dewastacją – co jednak nie przekładało się raczej na stosunek do jego mieszkańców.

ciasne hebrajskie synagogi nie przystawały do „nowych czasów". W tym celu zakupiono teren pomiędzy ulicą Tłomackie a Rymarską, niedaleko Placu Bankowego, czyli prawie w centrum Warszawy. Zbudowano jedną z największych na świecie synagog, prawdopodobnie najznaczniejszą kubaturowo na ziemiach polskich, zaś obok niej kompleks z najlepszą w Polsce biblioteką synagogalną. Budynek był monumentalny, zachwyt wzbudzał szczególnie portyk z dwiema wielkimi menorami.
Synagoga zreformowana różniła się od świątyni ortodoksyjnej na przykład tym, że znacznie większe znaczenie miał w niej język polski, a rabin mógłby nam nieco przypominać księdza. Była ona do tego stop-

Lublin, modlący się Żyd. Fot. Alter Kacyzne. Ze zbiorów YIVO.

Według prababci w dzielnicy żydowskiej było biednie, ale kolorowo – kolorowo, czyli różnorodnie: różni ludzie, różne sklepy, wszystko w ruchu, zupełnie jak w dziecięcym kalejdoskopie. Bajkowym elementem pośród tego wszystkiego był Zamek, wynurzający się z otaczających go budynków jak zamek baby-jagi. Ortodoksyjni Żydzi byli, zdaniem prababci, najbardziej religijnymi ludźmi na świecie (co nie przeszkadzało jej nazywać „żydem" każdej nieochrzczonej osoby). Stwierdziła kiedyś, że nigdy katolik nie będzie potrafił się tak modlić, jak oni. Modlący się Żydzi przypominali jej pierwszych męczenników chrześcijańskich. Być może dlatego nie dziwiło jej zbytnio spokojne w gruncie rzeczy pójście ich na śmierć w czasie Zagłady.

Biedni Żydzi bali się bogatszych od nich Polaków, a biedni Polacy bali się bogatych Żydów.

Piekarze żydowscy kojarzyli jej się z niezwykłymi bułkami, cebularzami i chałką, polscy natomiast z wszelkiego rodzaju słodkościami. Zdaniem prababci, ciasta z żydowskich piekarni nie zaliczały się do najlepszych. To różni ją od innych ludzi, którzy wychwalają np. żydowski biszkopt, ale być może dlatego, że dla niej biszkopty nie były ciastami – nawet szarlotki nie jadała. Poza tym wyjątkiem Podzamcze oznaczało jedno: fachowość tamtejszych rzemieślników. Niezamożni w gruncie rzeczy ludzie, jakimi byli Gumińscy, korzystali prawie wyłącznie z ich usług, bo były też najtańsze. Bardziej osobiste skojarzenie z dzielnicą żydowską to koleżanka z Monopolu Tytoniowego, gdzie obydwie pracowały jako sekretarki. Koleżanka zdecydowała się na pracę w polskiej instytucji rządowej pomimo oporów rodziny. W jej wynajętym pokoiku panowała niezwykła bieda. Pewnego lata przez kilka dni odżywiała się zupą gotowaną na jednej kości. To ona dla prababci była nauczycielką żydowskiego języka i zwyczajów.

Tamten świat bowiem pojawiał się w moim życiu nie tylko w opowieściach, ale również zwyczajach: w chałce na śniadanie, żydowskich potrawach na wigilijnym stole i „nicnierobieniu" w sobotę. Do końca życia bowiem prababcia szanowała szabas. W niedzielę potrafiła prać, natomiast nigdy nie robiła tego w sobotę, argumentując, że „w sobotę to nawet Matka Boska nie pierze"[4]. We wspomnieniach prababci swoje miejsce zajmowali też

Żydzi „czarne charaktery"

Było ich dwóch, ale jak na ironię, żaden nie mieszkał w dzielnicy żydowskiej. Pierwszym z nich był niejaki Flejszfarb, handlowiec i przedsiębiorca, który doprowadził do niewielkiej „rodzinnej tragedii". Otóż prapradziadek był właścicielem niewielkiego majątku na Kresach. Międzywojenny kryzys narastał. Majątek leżał gdzieś na wschodzie, czyli tam, gdzie toczyła się wojna z bolszewikami. Istniało zagrożenie, że sowieci „dokonają" na nim reformy rolnej. Pan Flejszfarb przekonał więc dziadka do sprzedaży majątku w zamian za dość atrakcyjną sumę w markach polskich. Transakcja doszła do skutku, podobnie jak i traktat ryski ustanawiający granicę z ZSRR na Zbruczu. Majątek pozostał w Polsce, a galopująca inflacja zdewaluowała uzyskaną sumę. Prapradziadek na szczęście nie targnął się na swoje życie, ale „nieuczciwy" pan Flejszfarb przyczynił się do wzmocnienia pewnego rodzaju antysemickich odczuć u mojej prababci. Kipiała złością na to wspomnienie jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych. Flejszfarb był chyba jedynym Żydem szczerze przez prababcię znienawidzonym.

Historia drugiego „czarnego charakteru" związana jest z restauracją „Ziemiańska" w hotelu „Europa", gdzie prababcia pracowała jako kelnerka. Pewnego razu na sali zjawił się pan o typowo semickiej urodzie – powszechnie znany syn bogatego właściciela

nia nowoczesna, że ubranie zostawiało się w szatni za pobraniem numerka, a przy wejściu obowiązywały płatne wejściówki. Jak na ironię, z całej synagogi zachowała się tylko jedna z nich i numerek z szatni – przechowywane są w muzeum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Warszawska synagoga na Tłomackiem mimo zreformowanego charakteru była jednak symbolem żydowskiej religii. Została zburzona w 1943 roku przez Jurgena Stroppa, kata warszawskiego getta, który osobiście odpalił ładunki w symbolicznym akcie zniszczenia.

[3] „Laskiem katyńskim" prababcia nazywała każde miejsce, gdzie nowo posadzone drzewa maskowały ludzką tragedię. Podobnie nazywała Park Ludowy, gdzie, jej zdaniem, rozstrzeliwano Żydów z Piask [jednego z żydowskich przedmieść Lublina – przyp. red.].

[4] Prababcia mawiała, że „Matka Boska pierze pieluszki Jezuskowi w piątek, a w sobotę suszy". Jeżeli w sobotę była słoneczna pogoda, to znaczyło, że właśnie „Matka Boska pieluszki suszy".

gorzelni, birbant i hulaka. Rodzina jego była już od dość dawna spolonizowana. W pewnym momencie pan ów zaczął wygłaszać głośno jakąś niezwykle „mądrą" tyradę. Dotyczyła ona zacofania i brudu w dzielnicy żydowskiej. Padały w niej obraźliwe słowa, takie jak: „parszywe, ciemne, wredne Żydki" i „Żydki-oszuści". Ot, typowy Żyd antysemita, zupełnie jak w sztuce Antoniego Słonimskiego „Murzyn Warszawski".

Według prababci podziały ekonomiczne w przedwojennym Lublinie były znacznie ostrzejsze niż podziały narodowościowe. Biedny Polak z ulicy Dolnej Panny Marii wolał zdecydowanie biednego Żyda z Krawieckiej od swojego rodaka z Krakowskiego Przedmieścia. Z opowieści prababci wynika, że panował wtedy lęk – o przyszłość, o teraźniejszość. Biedni Żydzi bali się bogatszych od nich Polaków, a biedni Polacy bali się bogatych Żydów. Do końca życia prababcia uważała więc żydowską kuchnię za jedną z najlepszych na świecie, a rzemiosło za najbardziej fachowe, a jeżeli zdarzała się niechęć, to dopiero po dokładnym rozróżnieniu biednych i bogatych. To była dziwna harmonia: z jednej strony niechęć do spolonizowanych, bogatych żydowskich handlowców, a z drugiej strony niesamowita sympatia, z jaką babcia Helena mówiła o swoich żydowskich przyjaciółkach, pewnym szewcu z Cyruliczej, kuchni i zwyczajach religijnych. Tak, według babci, to byli „oni": inaczej się modlili i ubierali, ale – jakby to ująć – byli to

„nasi oni"

Od wieków mieszkaliśmy razem i osobno, modliliśmy się do tego samego Boga, ale inaczej, i chyba wszystkim było z tym dobrze. Różniliśmy się tak, jak różnią się sąsiedzi, którzy pomimo wszelkich podziałów prowadzą razem normalne życie. Był to jednak w gruncie rzeczy taki sam Lublin – inny od jego drugiej części głównie poprzez język i dni świąteczne. Dziś spacer po dzielnicy żydowskiej nazwalibyśmy „spotkaniem kultur", wtedy była to normalna, choć nieczęsta wizyta mieszkańca miasta w jednej z jego dzielnic. Prababcia nie traktowała żydowskiego Lublina jakoś przesadnie nadzwyczajnie, bo był i istniał. Dla nas to wielka rzecz. Bo nie ma go i nie istnieje. „Śpieszmy się..."

Ul. Lubartowska 1, 1938 r. Fot. Stefan Kiełsznia. Ze zbiorów TNN.

Bez przebaczenia cała nasza energia idzie w ustawiczne porachunki z prawdziwymi i wyimaginowanymi krzywdzicielami.

Krystyna Skarżyńska

Trudna droga do wybaczenia

Prof. dr hab. **Krystyna Skarżyńska** jest psychologiem, kierownikiem Pracowni Psychologii Politycznej Instytutu Psychologii PAN, prorektorem ds. naukowych i kierownikiem Katedry Psychologii Społecznej Szkoły Wyższej Społecznej w Warszawie. Napisała między innymi *Spostrzeganie ludzi* oraz *Konformizm i samokierowanie jako wartości*. Pod jej redakcją ukazała się *Psychologia polityczna*.

Dyskusje o wyrządzanych i doświadczanych krzywdach dużych grup społecznych, narodowych czy etnicznych nie są naszą krajową specyfiką. Społeczny odbiór tych dyskusji, przeprosin i próśb o wybaczenie bywa bardzo różny. A jak to wygląda z perspektywy psychologicznej?

Dlaczego potrzebne są narodom publiczne rachunki krzywd?

Do czego potrzebne są ludziom i narodom publiczne przeprosiny, wyrażany żal i łzy, a w końcu – wybaczenie? Dlaczego trzeba wielu lat, by społeczności zdecydowały się na przeprosiny i zechciały wybaczenia? Spróbujmy przyjrzeć się procesowi dojrzewania do wybaczania i pojednania, odwołując się do społecznej reakcji na zbrodnię w Jedwabnem, popełnioną 60 lat temu, oraz do wyników badania sondażowego studentów, które przeprowadziłam w czerwcu tego roku razem z Moniką Rakusą-Soszyńska.

Charakterystycznym rysem ostatnich lat jest społeczny dyskurs o przeszłych indywidualnych oraz grupowych winach i zasługach, wyrządzonych i doznawanych krzywdach. Publicznie wyznawane są własne winy, żale i cierpienia, prośby o przebaczenie i deklarowane zamiary przebaczenia doznanych krzywd. Jedni przepraszają za PZPR, inni – za „Solidarność". Ofiary masowych przesiedleń domagają się zadośćuczynienia za cierpienia sprzed dziesiątków lat, a jednocześnie publicznie artykułowane bywają prośby o wybaczenie krzywd wyrządzonych wysiedlonym Niemcom, Ukraińcom i Łemkom. Rok temu byliśmy poruszeni słowami prezydenta Kwaśniewskiego, który przepraszał naród żydowski za zbrodnie Polaków w Jedwabnem, a także wystąpieniem rabina Bakera, który mówił o wspólnym żalu i potrzebie wybaczenia. Publiczne spory na temat winy, kary i przebaczenia toczą się w różnych miejscach świata. Australijczycy dyskutują o cierpieniach zadanych aborygenom, prezydent Clinton przeprasza Amerykanów za swoje prywatne zachowania, a IRA – ludność cywilną za wyrządzone jej krzywdy. Wiele mówi się i pisze o krzywdach apartheidu w Afryce Południowej czy o cierpieniach przesiedlonych Niemców. Dla jednych jest to niepotrzebne rozdrapywanie ran bądź przejaw akceptowania zbiorowej odpowiedzialności. Dla innych – „przywracanie pamięci", „droga do sprawiedliwości" lub „powrót do normalności i zdrowia".

Publiczna wymiana opinii na temat zbrodni w Jedwabnem pokazuje, jak bardzo różnimy się w percepcji i ocenie tego, co i dlaczego wtedy się zdarzyło, a w związku z tym – także w kwestii potrzeby i formy wyrażenia skruchy czy przeproszenia. Dokonywane były rekonstrukcje wydarzeń, opowiadane rozmaite wspomnienia z życia tamtejszej społeczności. Dla rodzin ofiar, świadków, żyjących jeszcze sprawców oraz ich rodzin owe wspomnienia musiały być bardzo bolesne. Prawdopodobnie osoby te przeżywały konflikt między potrzebą wykrzyczenia (nareszcie) swoich cierpień, bólu, strachu i krzywd a naturalną potrzebą usunięcia tych traumatycznych przeżyć ze świadomości, wyrzucenia ich z pamięci.

Z psychologicznego punktu widzenia, dla zdrowia psychicznego i fizycznego tych ludzi, otwarte opowiadanie o doznawanych (a nawet i urojonych) krzywdach ma znaczenie terapeutyczne. Trzeba przeżyć bezgraniczny smutek, wielokrotnie opowiedzieć swoje długo ukrywane historie, aby przyjąć odpowiedzialność za siebie i swoją teraźniejszość – to wniosek z obserwacji wielu osób, które doświadczyły lub były świadkami traumatycznych wydarzeń.

Korzyści z przyjmowania roli pokrzywdzonych

Dlaczego więc tak wielu Polaków ma opory przed publicznym roztrząsaniem dawnych urazów, przepraszaniem i wybaczaniem doznanych krzywd? Ważnym psychologicznym powodem tej niechęci jest potrzeba zachowania pozytywnej tożsamości grupowej oraz korzyści płynące z przyjmowania roli ofiary. Inna przyczyna to specyficzne, subiektywne rozumienie sprawiedliwości jako prostego odwzajemniania relacji.

Ważną potrzebą człowieka jest zachowanie pozytywnego obrazu własnej osoby i grupy, z którą czuje się związany. Dlatego też, gdy zrobimy coś złego lub gdy o straszny czyn obwinia się członków naszej grupy – staramy się jakoś ten czyn usprawiedliwić. Częsta formą usprawiedliwiania własnych przewinień jest przyjęcie roli ofiary sprowokowanej przez niecne czyny innych, dążącej do „przywrócenia sprawiedliwości". Nawet sprawcy tortur czy seryjnych morderstw widzą siebie jako ofiary prowokacji. Dla Polaków taka forma usprawiedliwienia jest szczególnie dostępna poznawczo, bowiem myślenie w kategorii ofiar zakorzeniło się w polskiej tradycji. Wielu współczesnych myśli o sobie jako o ofiarach cudzych krzywd. Badania Sopockiej Pracowni Badań Społecznych pokazują, że w roku 1994 tylko 16 proc., a w 1998 30 proc. Polaków nie czuło się skrzywdzonymi. Sprawcami naszych krzywd są przeszłość i teraźniejszość, stary i nowy reżim, rządzący i nowobogaccy, prywatyzacja i brak prywatyzacji, Niemcy, Rosjanie i Żydzi – dla niektórych świat składa się wyłącznie z krzywdzicieli. Trwałe

Ul. Krawiecka, lata trzydzieste. Autor nieznany. Ze zbiorów TNN.

poczucie krzywdy ma kilka poważnych konsekwencji psychologicznych.

Czy zemsta rekompensuje doznany ból?

Po pierwsze, ofiary myślą o jakiejś formie „wyrównania krzywdy", o odwecie, zemście, jakiejś korzystnej zamianie ról ze swoimi prześladowcami. Wyobrażają sobie, iż akt zemsty pozwoli im pozbyć się własnego bólu, wstydu, upokorzenia, a także własnej bezradności: przywróci utracone poczucie siły i znaczenia. W świetle aktualnej wiedzy o tym, co działo się w lipcu 1941 roku w Jedwabnem, można przypuszczać, że przynajmniej część mieszkańców tego miasteczka czuła się skrzywdzona przez Żydów i przypisywała im odpowiedzialność za nieszczęścia własne, rodziny lub sąsiadów. Psychologicznie nie jest ważne, kto rzeczywiście był sprawcą ich krzywdy. Mieszkańcy Jedwabnego skierowali swój gniew i zrzucili odpowiedzialność na tych, którym można było wtedy bezkarnie „wymierzyć sprawiedliwość", a jednocześnie zyskać aprobatę ówczesnej groźnej niemieckiej władzy. Jest więc prawdopodobne, że dopuścili się zbrodni w odwecie za własne krzywdy. Euforia nie mogła trwać długo, bowiem dokonanie aktu krwawej zemsty nigdy nie rekompensuje doznanej czy urojonej krzywdy. Psychologowie pracujący z osobami, które w wyniku różnych zdarzeń stały się ofiarami, między innymi z weteranami wojennymi czy ofiarami gwałtów, dowodzą, że ludzie dopuszczający się zbrodni w odwecie za własne krzywdy nie pozbywają się swoich objawów. Przeciwnie – cierpią na najpoważniejsze, najtrudniejsze do leczenia zaburzenia psychiczne i somatyczne (por. Lewis J. H., *Przemoc. Uraz psychiczny i powrót do równowagi*, 1998). Sprawcy zbrodni motywowanej odwetem stają się ofiarami własnych czynów. Sądzę, iż tak mogło być również w Jedwabnem.

> Formą usprawiedliwiania własnych przewinień jest przyjęcie roli ofiary. Dla nas jest ona szczególnie dostępna poznawczo, bo myślenie w kategorii ofiar zakorzeniło się w polskiej tradycji

Skoro swoje wycierpieli...

Po drugie, poczucie krzywdy egocentryzuje, wyzwala emocje skoncentrowane na samym sobie, zamyka na przeżycia i emocje innych. Ofiary czują tylko własny ból, stają się obojętne na cierpienia innych, bierne. Oczekują, że świat dostrzeże ich cierpienia czy krzywdy i że jakoś je wynagrodzi. Doznane krzywdy traktowane są często jak specyficzny rodzaj „wkładu", upoważniający do lepszego traktowania. Rodzi to szczególną roszczeniowość ofiar; zdają się myśleć, ze zasługują na więcej niż inni i że wolno im więcej – bo niesprawiedliwie cierpieli przez innych. Ludzie, którym przypisuje się etykietkę ofiary, są często postrzegani jako wysoce moralni czy cnotliwi, akceptuje się ich prawo do odszkodowań i reparacji finansowych. Otrzymują także wyrazy sympatii i wsparcie ze strony społeczeństwa. Racje moralne są zwykle po stronie ofiar. Skrzywdzeni sądzą, iż nie musza się szczególnie starać, aby wygrywać w życiowej rywalizacji

Kadr zdjęcia z poprzedniej strony.

z innymi: mogą być bierni, bowiem „swoje wycierpieli" – i to jest rodzaj ich moralnej inwestycji. Innymi słowy, akceptacja roli ofiary może przynosić pewne nagrody, z których niechętnie się rezygnuje. A oczekiwanie zysków z roli ofiary poważnie utrudnia przebaczenie sprawcom krzywdy. Co więcej, czasami wzbudza agresję postronnych obserwatorów lub tych, wobec których ofiara kieruje swoje roszczenia; jest wtedy raczej samousprawiedliwianiem niż skutecznym sposobem polepszenia własnego losu.

Po trzecie, przyjęcie roli ofiary łączy się z nieufnością wobec świata. Osoby przeżywające trwałe poczucie krzywdy na każdym kroku podejrzewają manipulację, złe intencje i fałsz. Tymczasem wiadomo, że zaufanie społeczne to cenny element kapitału społecznego: zwiększa aktywność społeczną, pobudza twórczość i innowacyjność, jest czynnikiem rozwoju jednostki i społeczeństwa. Niskie zaufanie społeczne znacząco obniża jakość życia. Nieufność bywa też pochodną braku zaufania do siebie samego, wyrazem własnego niesprostania wymaganiom chwili, zaniechania jakiegoś ważnego dla innych działania czy własnej w tym zakresie nieskuteczności. Bezradni świadkowie zbiorowego mordu mogą czuć się winni, bowiem sądzą, iż zawiedli: nie pomogli ofiarom. Skoro nie mogą ufać samym sobie, nie ufają także innym.

Sprawcy czy ofiary?

Nasza heroiczna interpretacja historii dostarczała wielu dowodów na to, że jesteśmy narodem męczenników, ofiarami międzynarodowych spisków i gry obcych interesów. Doświadczenie Jedwabnego mówi nam, iż byliśmy nie tylko ofiarami, ale także sprawcami krzywdy. Jesteśmy zdolni nie tylko do cierpienia za miliony, ale i do zadawania strasznych cierpień innym. Dyskusja o tym, co się zdarzyło 60 lat temu, może

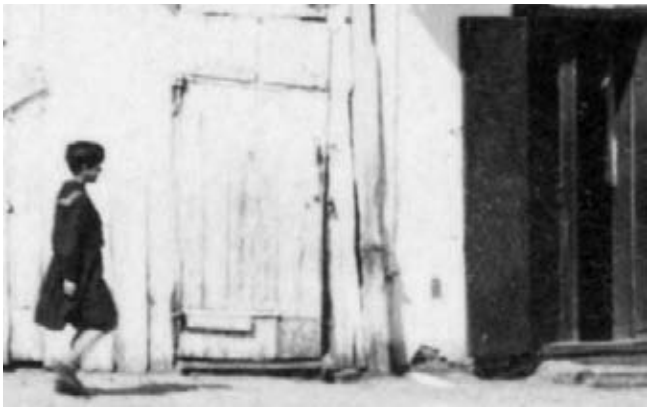

pomóc nam wyzwolić się ze społecznej identyfikacji Polaka z rolą ofiary. Również współcześni mieszkańcy Jedwabnego, opowiadając swoje historie i mówiąc o swoich dzisiejszych emocjach, mogą odnieść korzyść psychologiczną, jeżeli spojrzą na owe historie z różnych perspektyw. Okazuje się bowiem, iż w kontaktach między ludźmi, grupami społecznymi i wielkimi zbiorowościami – ofiary i sprawcy to często te same osoby. Kiedy mieszkańcy Jedwabnego sami przestaną czuć się ofiarami wścibskich dziennikarzy i innych, bliżej niezidentyfikowanych spisków, lepiej zrozumieją, co stało się 60 lat temu w ich miasteczku. Może będzie im łatwiej żyć, gdy dostrzegą winę sprawców zbrodni, ból ofiar, a także możliwość własnego udziału w budowaniu lepszej społeczności. Przecież nie są pionkami w prowadzonej przez kogoś grze. Są aktorami we własnym życiu.

Osoby przeżywające trwałe poczucie krzywdy, na każdym kroku podejrzewają złe intencje. Tymczasem wiadomo, że zaufanie społeczne to cenny element kapitału społecznego.

Jeżeli ani mściwe wyrównywanie krzywd, ani trwanie w pozycji ofiary i odrzucanie własnej odpowiedzialności nie jest skutecznym remedium na własny ból, nie przywraca życia ofiarom, lecz eskaluje nienawiść i agresję

oraz pogarsza nasze zdrowie – to co takiego można zrobić, co będzie miało pozytywne skutki? Psychologowie dowodzą, iż „dobrym zakończeniem" doznanych krzywd, cierpień fizycznych i urazów psychicznych jest wybaczenie. Zdają sobie z tego sprawę badani przez nas studenci: 70 proc. z nich zgadzało się z opinią, że wybaczenia potrzebują także skrzywdzeni przez inne narody.

Oczekiwanie zysków z roli ofiary poważnie utrudnia przebaczenie sprawcom krzywdy.

Co oznacza wybaczenie na poziomie psychicznym? Kiedy jest możliwe? Jakie są bariery i konsekwencje takiego rozwiązania? Wybaczenie to trudny, złożony proces, mający swoje intrapersonalne i interpersonalne aspekty. Nie jest zapomnieniem czy wyrzuceniem ze świadomości doznanych krzywd, nie jest ich usprawiedliwianiem ani pomniejszaniem. Jest wewnętrzną gotowością człowieka do zaniechania – wyłącznie z własnej woli – prawa do odwetu, resentymentu, wyłącznie negatywnego sądu o winowajcy i negatywnego bądź obojętnego zachowania wobec niego. Wybaczający przekształca swoje emocje wobec sprawcy: złość, gniew i nieufność mijają, a pojawiają się: zaufanie w relacjach, zainteresowanie i prospołeczne zachowania. Wybaczenie wymaga czasu, motywacji i możliwości poznawczych. Poprzedza je otwarty dyskurs na temat doznanych krzywd, ich okoliczności i konsekwencji. Chociaż jest procesem intrapsychicznym, czyli zachodzi w psychice osoby, zawsze dotyczy określonego sprawcy i określonej krzywdy (prawdziwej bądź wyimaginowanej). A w związku z tym – w pewnym stopniu bywa także uwarunkowany zachowaniem sprawcy.

Lubelskie getto. Fot. Kazimierz Sobocki. Ze zbiorów TNN.

Arytmetyka wybaczania

Aby wybaczyć, trzeba mieć pewne możliwości poznawcze. Jean Piaget – znakomity psycholog, badacz moralności – kilkadziesiąt lat temu zauważył, że wybaczanie jest zdolnością rozwojową, która pojawia się dopiero w późnym dzieciństwie, kiedy człowiek osiąga pewien poziom poznawczego i moralnego rozwoju. Małe dzieci nie są zdolne do wybaczania, bowiem wymaga ono złożonych przekształceń prostej, matematycznej wzajemności w kontaktach społecznych. Tymczasem przebaczanie jest koniecznością w długotrwałych relacjach z innymi ludźmi i narodami. Bez niego cała nasza energia idzie w ustawiczne porachunki z prawdziwymi i wyimaginowanymi krzywdzicielami.

Badacze procesu wybaczania wykazali, że istnieje związek między indywidualnym pojmowaniem sensu przebaczania a sposobem rozumienia sprawiedliwości. Nawiązując do znanej koncepcji rozwoju moralnego autorstwa Lawrence'a Kohlberga, empirycznie dowiedli, iż najprostszy sposób rozumienia przebaczania wiąże się z moralnością heteronomiczna, czyli z przekonaniem, że o tym, co jest, a co nie jest sprawiedliwe i dobre, orzekają autorytety. Człowiek heteronomicznie rozumiejący sprawiedliwość jednocześnie sądzi, że może wybaczyć komuś, kto wyrządził mu coś złego, ale tylko wtedy, gdy przedtem spotka go kara równie dolegliwa jak krzywda, którą wyrządził. Rewanż jest tu koniecznym warunkiem wybaczenia. Około 10 proc. badanych przez nas studentów zadeklarowało, iż są w stanie wybaczyć Niemcom i Ro-

sjanom krzywdy wyrządzone Polakom, ale pod warunkiem, że najpierw poniosą oni sprawiedliwe kary. Takiego warunku wybaczenia nie stawia się Żydom i Ukraińcom.

Inne rozumienie wybaczenia wiąże się z rozumieniem sprawiedliwości jako odwzajemnionych świadczeń. Jednak i tutaj wybaczenie ma charakter warunkowy: mogę wybaczyć komuś, kto jest winny, jeżeli zaprzestanie on swego złego zachowania i wyrażania negatywnych opinii o nas. Czasami również ludzie myślą o wybaczaniu jako spełnianiu społecznych oczekiwań albo instrumencie harmonii społecznej. Sądzą, że sprawiedliwe i wartościowe jest to, co pozwala zachować lub przywrócić dobre relacje społeczne.

Otwarte oczy miłości

Są też ludzie przekonani, iż słuszne i sprawiedliwe jest respektowanie oraz podtrzymywanie dobra i rozwoju każdej osoby. Dla tych, którzy tak rozumieją sprawiedliwość – wybaczanie jest formą wyrażania miłości drugiego człowieka. Zdaniem Kohlberga, świadczy to o najwyższym poziomie myślenia moralnego. Takie myślenie o wybaczaniu obserwuje się u osób mających zdolność wczuwania się w położenie innych, również sprawców krzywdy. Wymaga więc rezygnacji z egocentryzmu, który oślepia społecznie cierpiące ofiary. Aby przebaczyć z miłości, trzeba uznać, iż zmiana własnych uczuć, pragnień i zachowań wobec sprawcy – jest czymś dobrym nie tylko dla nas, ale i dla innych. Właśnie takie rozumienie wybaczenia otwiera drogę do pojednania i na trwałe „zamyka drzwi" do rewanżu. „Miłość do tych, którzy nas skrzywdzili, może przemienić nawet pole bitwy w miejsce solidarnej współpracy" – to słowa Jana Pawła II.

Wybaczanie nie oznacza, że bagatelizujemy doznane krzywdy lub usprawiedliwiamy ich sprawcę. To indywidualny wybór człowieka, który chce siebie i sprawcę uwolnić od „długów", rewanżu, niekończących się roszczeń i przykrości. Wybaczenie nie jest ła-

Kadr zdjęcia ze strony 126.

We wstawce na tej stronie i następnej zamieszczono wypowiedzi Alexa Danziga na spotkaniu z młodzieżą izraelską (9 października 1999) pochodzące z filmu „Czytając Sienkiewicza na Pustyni Negev". Alex Danzig wyjechał z Warszawy z rodzicami jako dziewięciolatek w 1957 roku. W Izraelu skończył historię, od lat mieszka w kibucu Nir Oz na pustyni Negev. Po raz pierwszy przyjechał do Polski po trzydziestu latach od jej opuszczenia. Od tej pory pokazuje grupom młodzieży izraelskiej Polskę oraz kształci przewodników dla tych grup. Obecnie jest zatrudniony w izraelskim Ministerstwie Edukacji. Jest bohaterem dwóch filmów dokumentalnych: „Czytając Sienkiewicza na Pustyni Negev" i „Kibucnik Nir Oz" (reż. Krzysztof Bukowski, scen. Michał Sobelman). Największą przyjemność sprawia mu czytanie w języku polskim, szczególnie Sienkiewicza. Ma żonę i czworo dzieci. Alexa Danziga można śmiało nazwać głosem polsko-żydowskiego sumienia.
(c.d. na s. 130)

Chcę wam coś powiedzieć, pomyślcie o tym w drodze. Zrozumcie! Jeżeli chodzi o Holokaust, jest olbrzymia różnica pomiędzy odpowiedzialnością faktyczną a moralną. Czym jest odpowiedzialność moralna? To jest odpowiedzialność, gdy nie robi się wszystkiego, aby ocalić bliźniego, nawet wtedy, gdy jest to niezwykle trudne. Nie chcesz, ale nawet jeśli chcesz – to nie możesz, nie potrafisz. To jest odpowiedzialność moralna. Zrozumcie. Nasz rachunek z Polakami jest i tak ciężki. Nie można do niego dodawać jeszcze tej drugiej odpowiedzialności, faktycznej. Czy to znaczy, że nie było Polaków, którzy ponosili też odpowiedzialność faktyczną? Byli. Była taka część narodu polskiego, która rzeczywiście brała udział w Zagładzie. Czy było ich wielu? Nie. Znikoma mniejszość. Ale wiecie co? To wszystko stało się tam, na tej ziemi. I ta obcość, ten strach przed Polakami – to była ta sytuacja! I my to teraz wszystko mieszamy! Zajmujemy się narodem – jego kolektywną winą. Narodem, który był również ofiarą. Narodem, który nie zdał tego egzaminu z historii. Żaden naród w Europie nie zdał tego egzaminu!

* * *

Pomówmy szczerze, pomówmy o nas samych. Gdybym ja sam za uratowanie czy też przechowywanie Żyda miał być razem z moją rodziną skazany na śmierć – bo tak wyglądała ta sytuacja – to nie wiem, naprawdę nie wiem, co bym zrobił. Jak bym się sam zachował? Nie bądźmy takimi bohaterami! Polak ratujący Żyda świadomie narażał się na niebezpieczeństwo i wiedział, że od razu może być skazany na śmierć. On i jego rodzina. Taka była sytuacja! Oczywiście chciałbym, by więcej wtedy było takich Polaków, którzy ratowali Żydów. Chciałbym, żeby

twe psychologicznie, Wymaga intencji i poznawczych możliwości dokonania wewnętrznej zmiany – zmiany sposobu patrzenia na doznane krzywdy, zmiany własnych emocji i nastawienia do sprawcy. Wymaga też czasu oraz możliwości wyrażenia swojego bólu. Dlatego tak ważne jest społeczne przyzwolenie na publiczną dyskusję o doznawanych krzywdach i cierpieniach. Wiadomo również, że proces dochodzenia do wybaczenia może być utrudniony albo ułatwiony poprzez zachowania sprawcy krzywdy. Wielokrotnie wykazano bowiem, iż wyznanie winy, przyznanie się do odpowiedzialności oraz wyrażenie skruchy i żalu – znacząco przyczyniło się do przebaczenia. Ale skrucha i przeprosiny nie są dla sprawcy łatwe. Ze strachu przed karą, także chroniąc własną samoocenę, stosuje on różne strategie obronne: obwinia ofiarę, przypisuje jej negatywne cechy i zachowania czy wręcz prowokację. Broni siebie, atakując innych. Długo nie jest w stanie empatyzować z ludźmi, których skrzywdził. Gdy zaczyna wstydzić się swego postępowania – odgradza się od świadków i ofiar, zamyka się we własnym świecie. A wstyd i strach uniemożliwiają kontakt z ofiarami, utrudnia-

Wybaczanie to indywidualny wybór człowieka, który chce siebie i sprawcę uwolnić od „długów", rewanżu, niekończących się roszczeń i przykrości.

Brama Grodzka w czasie okupacji. Zdjęcie z nazistowskiej broszury propagandowej. Reprodukcja z Księgi pamięci Lublina, Paryż 1952.

w wypadku, gdy Polacy wydawali Żydów, to inni albo polskie podziemie otwarcie wystąpili przeciwko nim. Zrobili to, ale w stopniu niewystarczającym. I dlatego ja, jak i wy mamy rachunek z narodem polskim. Ale trzeba wiedzieć dokładnie, jaki jest ten rachunek. Jeżeli jest to rachunek historyczny, to dokładnie musimy sobie z tego zdawać sprawę. Nie róbmy z tego wszystkiego bigosu.

* * *

Jesteście w Oświęcimiu. I co robić? Wyważać to wszystko dokładnie tak jak w aptece? Licytować się, kto więcej, kto mniej? W Birkenau, w Brzezince, jest blok z ekspozycją rysunków dzieci. Przez całe lata urządzaliśmy w nim, bloku dzieci, nasze uroczystości. I co się nagle okazuje? Wyniki ostatnich badań wskazują, że przez większość historii Birkenau, który powstał jako obóz dla Żydów, ten blok... owszem, był dla dzieci, ale dla dzieci polskich! Pytam cię – robisz tu różnicę? Czy to jest powód do tworzenia podziałów, barier? Polacy nie, a Żydzi tak? A ja powiem: jeżeli względem historii tego bloku, bloku dzieci, ktoś robi taką różnicę, to znaczy, że Hitler wygrał tę wojnę!

* * *

Uczcie się! Wiem, że otworzycie serca, że będziecie wypełnieni emocjami... Ale spróbujcie zacząć posługiwać się rozumem. Spóbujcie zacząć myśleć racjonalnie. I choć racjonalne doznanie nie dopisuje się wprost do przeżyć, to jednak o coś ważnego was wzbogaci.

Jedyny w Polsce miesięcznik popularnonaukowy poświęcony psychologii

Charaktery

MAGAZYN PSYCHOLOGICZNY DLA KAŻDEGO

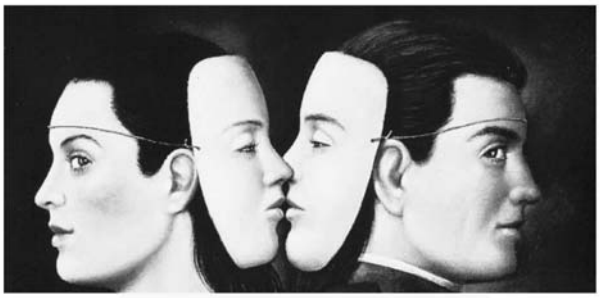

Czytam, bo chcę zrozumieć...

charaktery.onet.pl

(c.d. ze str. 127)
W rozmowie pt.„My, Żydzi, zamazaliśmy naszą historię" („Rzeczpospolita" nr 192 z dn. 18.08.2000) powiedział m.in.: „Młodzi ludzie nie powinni wyjeżdżać z Oświęcimia z utrwalonymi stereotypami, w nienawiści do Polaków, do świata, zamknięci w sobie. Ten wybór – uczyć czy demonstrować – ma charakter światopoglądowy. Dotyczy tego czy chcemy, aby młody Izraelczyk wracał do kraju stając się lepszym Żydem, czy lepszym człowiekiem. [...] Polacy nie zdają sobie sprawy, jaką szkodę może zrobić jedna swastyka, jedno «Jude raus». Mogę mówić przez dziesięć dni, przez pół roku o prawdziwych dziejach Żydów w Polsce, a wystarczy jeden napis: «Żydzi won», by to zniszczyć."

ją możliwość zadośćuczynienia, pogarszają jakość życia.

Lekcja Jedwabnego

Żyjący jeszcze uczestnicy zbrodni w Jedwabnem nie potrafią „przyjąć" swojej winy. Prawdopodobnie nie są też, ze względu na wiek i możliwości poznawcze, zdolni do zmiany własnych emocji i stereotypów. Przypuszczam, że mieszkańcy Jedwabnego wstydzą się czynów, których sami nie popełnili, ale które popełnione zostały w ich mieście i przez Polaków. Podobny wstyd odczuwa wielu naszych rodaków, niezależnie od miejsca zamieszkania. Sprawcom przypisujemy winę i odpowiedzialność, staramy się zrozumieć społeczny kontekst tej zbrodni, ówczesne stereotypy i uprzedzenia. Ale odczuwamy też ogromny żal, że popełniona została wtedy taka zbrodnia. Tylko niektórzy są zdolni wybaczyć. Nasze dyskusje, ostre spory o to, kto więcej cierpiał, łzy i przeproszenia – nie przywrócą życia ofiarom, to prawda. Zmieniły się jednak emocje wielu Polaków i wielu Żydów. Otwartość i różnorodność wspomnianych sporów i dyskusji, ich emocjonalna szczerość – dały możliwość lepszego wzajemnego zrozumienia, były przejawem zainteresowania losem żydowskich obywateli polskiego państwa. To ważny krok do pojednania: znaczący sygnał wzajemnej nieobojętności, poczucia pewnej wspólnoty. Te trwające wiele miesięcy dyskusje, inspirowane książką Grossa, przyniosły nam przede wszystkim ważną samowiedzę o tym, jak łatwo rozpala się ogień zbiorowej nienawiści, jak ofiary przeistaczają się w katów, jak silne i złe są grupowe stereotypy i uprzedzenia. Niektóre z owych stereotypów i uprzedzeń są dziś równie żywe i niebezpieczne, co przed laty. Może więc przestaniemy traktować je jak nieszkodliwy folklor.

Publicznie wyrażony żal i ból za zło wyrządzone innym narodom przez naszych rodaków to początek drogi do odbudowania zaufania i zdrowych związków między Polakami a tymi narodami. Wspólny płacz nad losami naszych dawnych sąsiadów – Żydów, Ukraińców, Niemców – jest im i nam potrzebny. Potrzebny także po to, byśmy mogli zrezygnować z roli „zawsze moralnej, nieskazitelnej ofiary", pozbyć się nieufności do innych i niewiary w siebie samych – byśmy mogli bardziej cieszyć się życiem.[1]

[1] Tekst ukazał się w listopadowym numerze „Charakterów" w 2002 roku.

Ulica żydowskiego Lublina. Fot. ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

Aby przebaczyć z miłości, trzeba uznać, iż zmiana własnych uczuć, pragnień i zachowań wobec sprawcy jest czymś dobrym nie tylko dla nas, ale i dla innych.

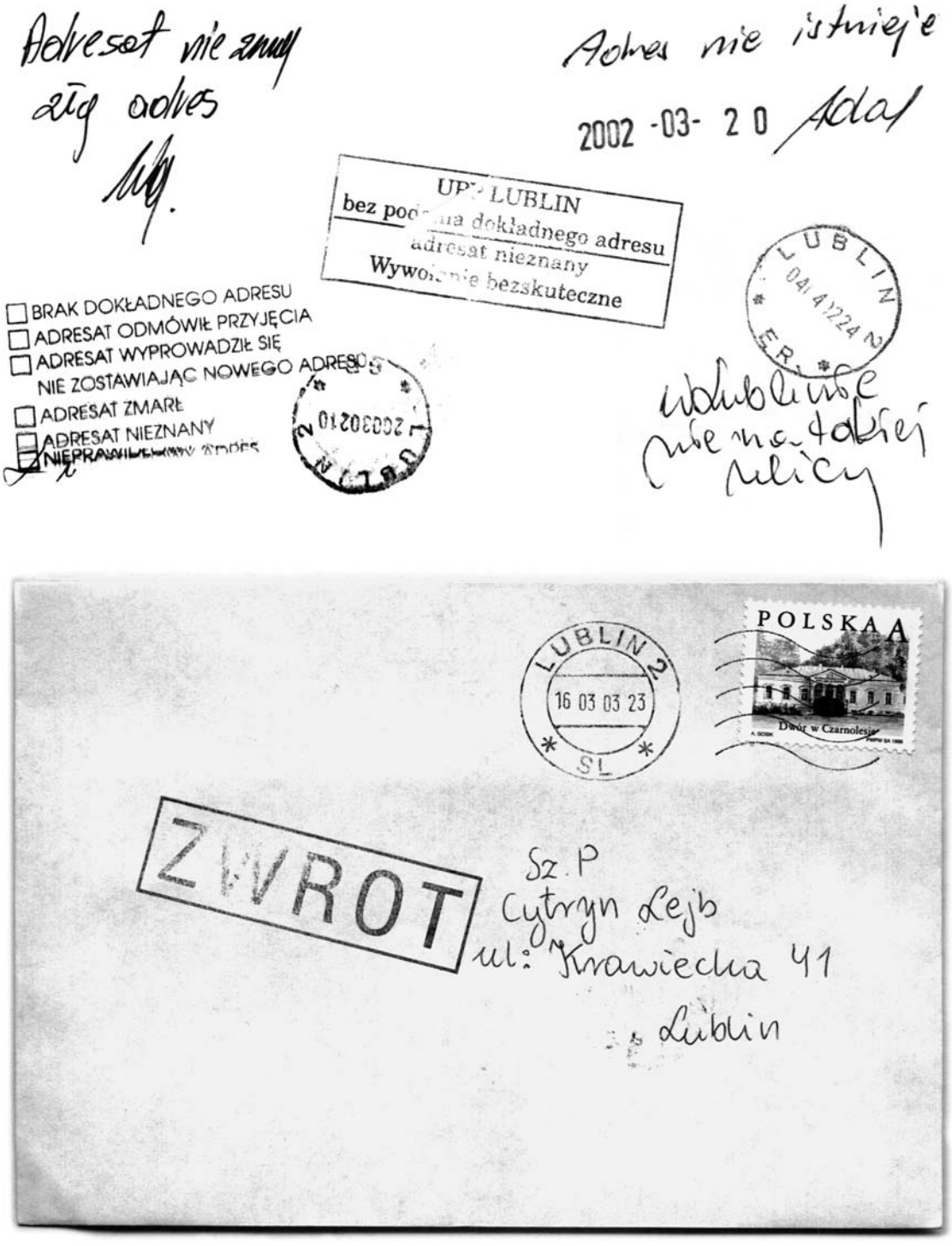
Adresat nie znany
zły adres
Adres nie istnieje
2002 -03- 20
UP LUBLIN
bez podania dokładnego adresu
adresat nieznany
Wywołanie bezskuteczne
BRAK DOKŁADNEGO ADRESU
ADRESAT ODMÓWIŁ PRZYJĘCIA
ADRESAT WYPROWADZIŁ SIĘ
NIE ZOSTAWIAJĄC NOWEGO ADRESU
ADRESAT ZMARŁ
ADRESAT NIEZNANY
LUBLIN
04 4 224 2
Lublinie
LUBLIN 2
16 03 03 23
SL
POLSKA
Dwór w Czarnolesie
ZWROT
Sz.P
Cytryn Lejb
ul. Krawiecka 41
Lublin

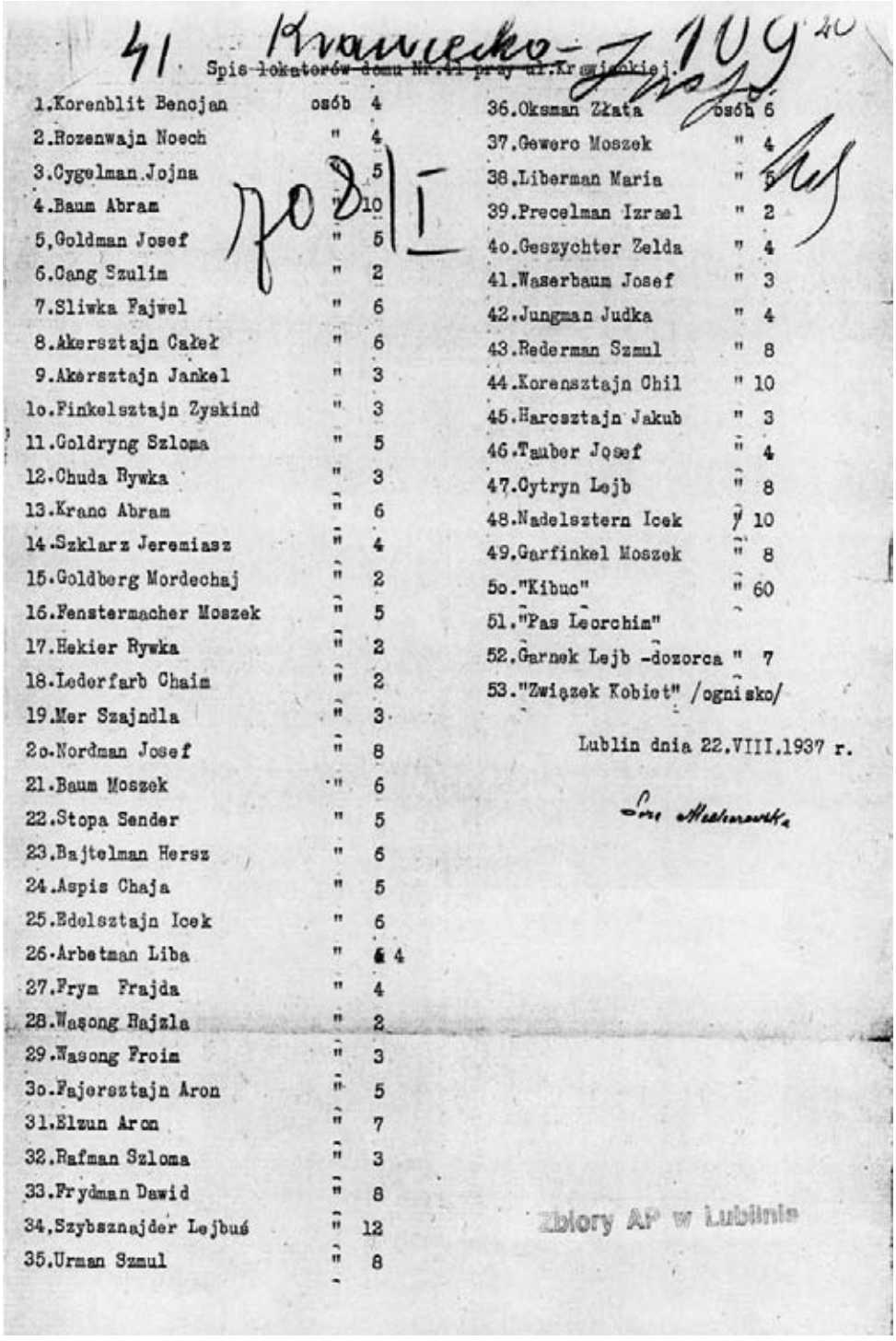

41 Krawiecko- Żydowska 40

Spis ~~lokatorów domu Nr.41 przy ul.Krawieckiej~~

1.Korenblit Benojan	osób	4
2.Rozenwajn Noech	"	4
3.Cygelman Jojna	"	5
4.Baum Abram	"	10
5.Goldman Josef	"	5
6.Cang Szulim	"	2
7.Sliwka Fajwel	"	6
8.Akersztajn Całeł	"	6
9.Akersztajn Jankel	"	3
1o.Finkelsztajn Zyskind	"	3
11.Goldryng Szloma	"	5
12.Chuda Rywka	"	3
13.Krano Abram	"	6
14.Szklarz Jeremiasz	"	4
15.Goldberg Mordechaj	"	2
16.Fenstermacher Moszek	"	5
17.Hekier Rywka	"	2
18.Lederfarb Chaim	"	2
19.Mer Szajndla	"	3
2o.Nordman Josef	"	8
21.Baum Moszek	"	6
22.Stopa Sender	"	5
23.Bajtelman Hersz	"	6
24.Aspis Chaja	"	5
25.Edelsztajn Icek	"	6
26.Arbetman Liba	"	4
27.Frym Frajda	"	4
28.Wasong Bajzla	"	2
29.Wasong Froim	"	3
3o.Fajersztajn Aron	"	5
31.Elzun Aron	"	7
32.Rafman Szloma	"	3
33.Frydman Dawid	"	8
34.Szybsznajder Lejbuś	"	12
35.Urman Szmul	"	8
36.Oksman Złata	osób	6
37.Gewerc Moszek	"	4
38.Liberman Maria	"	5
39.Precelman Izrael	"	2
4o.Geszychter Zelda	"	4
41.Waserbaum Josef	"	3
42.Jungman Judka	"	4
43.Rederman Szmul	"	8
44.Korensztajn Chil	"	10
45.Harcsztajn Jakub	"	3
46.Tauber Josef	"	4
47.Cytryn Lejb	"	8
48.Nadelsztern Icek	"	10
49.Garfinkel Moszek	"	8
5o."Kibuc"	"	60
51."Pas Leorchim"		
52.Garnek Lejb -dozorca	"	7
53."Związek Kobiet" /ognisko/		

Lublin dnia 22.VIII.1937 r.

Zbiory AP w Lublinie

Bogdan Stanisław Pazur: Znam Krawiecką. Bawiłem się, biegałem po tej ulicy. Wybrukowana była „kocimi łbami", nie skanalizowana. Chodniki miała w miarę czyste, zasypane łuskami z pestek słonecznika – to było charakterystyczne – i pestek dyni. Chodził przodownik policji i jeśli bardzo było brudno, zmuszał dozorców do sprzątania. W zasadzie dozorcami na tak zwanych „Żydach" byli Polacy. Jak to ulica: szara, bezbarwna, hałaśliwa, ze specyficznym zapachem cebuli, czosnku i śledzi. Taka była Krawiecka.

Całe życie Żydów toczyło się na ulicy, przed domem. Szczególnie w marcu, jak zaczęło świecić pierwsze słońce, to oni się wygrzewali. No i kręcili się na okrągło. Ruch kołowy był bardzo niewielki, od czasu do czasu przejeżdżał wóz – „żelaźniak". Najczęściej jeździł Żyd, który zbierał szmaty, zamieniał na szklanki, talerze, garnki, skupował, zamieniał, wymieniał. Zabawy odbywały się na środku jezdni. Tam się siedziało na chodnikach, grało w klasy, skakanki.

Krawiecka to była żydowska biedota: szewcy, krawcy, nosiciele wody, drwale, jacyś tacy bezzawodowcy. Nie pracowali, z czegoś to jakoś wszystko żyło, jakoś się trzymało kupy.[1]

[1] Wszystkie relacje w tym dziale pochodzą ze zbiorów Tomasza Czajkowskiego i zostały opracowane przez redakcję „Scriptores" [przyp. red.].

Marian Milsztajn: Nie było takiej możliwości, żeby Żyd mógł dostać pracę. Nie było tak, żeby pracował tam, gdzie Polacy pracowali, w polskiej firmie. Bo gdzie go poślą? Na pocztę? Poczta go nie przyjmie. Do Magistratu? Magistrat nie przyjmie. Do fabryki samolotów Plage–Laśkiewicz? Przecież nie przyjmie. Żyda? Śmiech! Było kilka fabryk żydowskich w Lublinie, na Woli-Kalinowszczyźnie dwie garbarnie. Większość robotników była Polakami, mały procent pracowników żydowskich. Bo i fabrykant nie chciał. Władze patrzałyby bardzo źle, gdyby żydowski fabrykant zatrudniał tylko żydowskich robotników.

Z tych granic nie było wyjścia. Nasze życie było, jakby tu rzec, „odstemplowane" – tutaj, tu, tu i tu dla ciebie miejsca nie mamy. Zostawało: krawiectwo, szewstwo, stolarstwo, szczotkarstwo.

Marian Milsztajn: Żydzi nie znali języka polskiego. Znali trochę ze szkoły, ale nie używali. Jak się pobrał, jak miał dzieci, jak miał żonę, jak miał warsztat, to też nie używał polskiego, bo do czego? Z kim miał mówić po polsku? Jak cała jego rodzina mówiła tylko po żydowsku. Moja babcia wiedziała, co to jest polski język? Nie wiedziała. Nie miała zielonego pojęcia, że istnieje jakiś język oprócz żydowskiego. Matka moja, na przykład, znała rosyjski trochę ze szkoły, ojciec znał rosyjski ze szkoły i z wojska. A z polskich szkół i z polskiego okresu niepodległości Żydzi nie mówili po polsku. Inteligencja – tak, bo ukończyli gimnazja.

Bogdan Stanisław Pazur: Budynek 41 mieścił się prawie na końcu ulicy Krawieckiej. Pamiętam go już, jak był budynkiem mieszkalnym. Mieszkali w nim tylko Żydzi. Nie miałem tam kolegów. No, dla mnie był ponurym budynkiem. Miał schody wejściowe z dwiema kolumnami. Niedaleko, bo na Krawieckiej 39, mieszkali państwo Woleńscy, którzy mieli synów w moim wieku i z nimi tam podchodziłem. Ten budynek był dla mnie tajemniczy, prawie cały czas zamknięty od zewnątrz. Zamknięte okiennice, zamknięte okna, nigdy nie otwierane. Był o tyle ciekawy, że tajemniczy, no ale ja w nim nigdy nie byłem przed wojną. No a po wojnie, to już nie było budynku.

Tomasz Czajkowski

Czasoprzestrzeń pamięci

Na tropach Krawieckiej 41

Na sąsiedniej stronie: fragmenty reportażu „Krawiecka 41" Mariusza Kamińskiego (Radio Lublin, emisja 27.05.2001).

Izrael, 20 marca 2001 roku

Autobus linii 222, kursujący na trasie Tel Awiw–lotnisko Ben Guriona w Lod zatrzymał się w punkcie kontrolnym przed wjazdem na teren portu lotniczego. Do autobusu wsiadł uzbrojony w uzi agent ochrony i wolno idąc, dokładnie zlustrował wszystkich pasażerów. W tym samym czasie ktoś inny sprawdzał bagażnik autobusu. Przed i za nami kontrolowano samochody osobowe. Wszystko było w porządku, więc za chwilę podjechaliśmy do hali odlotów. Tutaj również na każdym kroku widoczni byli agenci ochrony. W regularnych, kilkuminutowych odstępach sprawdzano każdy centymetr powierzchni.

Odlatujących czekała jeszcze, przypominająca przesłuchanie, rozmowa z pracownikiem ochrony lotniska. To następna z metod minimalizowania niebezpieczeństwa. Przyszła kolej na mnie. Po jednej stronie stołu – ja, po drugiej – urzędniczka, pomiędzy nami mój bagaż. Kobieta przewertowała paszport i bilet, a następnie przystąpiła do zadawania pytań: Z jakiego powodu wybrał pan międzylądowanie w Istambule? Czy pan sam pakował bagaż i gdzie on się znajdował w ciągu ostatnich 48 godzin? Czy obserwował pan pakowanie zakupionych prezentów? Czy wiezie pan środki ochrony osobistej, na przykład nóż? Czy w czasie swojego pobytu w Izraelu wyjeżdżał Pan za granicę, na przykład do Egiptu lub Jordanii? Czy ktoś Pana zaczepiał na lotnisku? Czy ktoś, nawet spośród izraelskich znajomych, przekazał Panu jakąś przesyłkę dla kogoś w Polsce?

Aleksander Szryft, 11 marca 2001. Fot. Tomasz Czajkowski.

Po pytaniach wstępnych urzędniczka przeszła do szczegółów.

– Co pan robił i gdzie przebywał w czasie swojego pobytu Izraelu?

– Pierwsze trzy miesiące byłem wolontariuszem w kibucu Bar Am. Potem pojechałem do kibucu Yakum, gdzie spędziłem również trzy miesiące. Ostatnie dwa miesiące znowu mieszkałem w Bar Am.

– W jaki sposób dostał się pan do Bar Am?

– Po przylocie do Izraela zgłosiłem się do Kibbutz Program Center w Tel Awiwie i tam przydzielili mi miejsce.

– Skąd pan wiedział o KPC?

– Z Internetu.

– Dlaczego przeniósł się pan później do Yacum?

– Chciałem być bliżej Tel Awiwu.

Urzędniczka wyraźnie się ożywiła.

– Z jakiego powodu?

– Zbieram materiały do pracy magisterskiej o lubelskich Żydach. Chciałem przeprowadzić z nimi wywiady, a oni mieszkają właśnie w Tel Awiwie i okolicy.

– Jak pan poznał tych ludzi?

– Kontakt z nimi umożliwił mi pan Aleksander Szryft, przewodniczący Ziomkostwa Lubelskiego w Izraelu.

– A jego jak pan poznał ?

– Poprzez Jakuba G.

– Ale co właściwie było powodem pana przyjazdu do Izraela? Zwiedzanie i bycie wolontariuszem w kibucu, czy

przeprowadzenie wywiadów z tymi starszymi ludźmi?

– Oba pomysły były ściśle powiązane. Przyjechałem do Izraela, by spotkać się z ludźmi z Lublina, a szczególnie z Mosze Wasągiem. To był podstawowy cel. Natomiast pobyt w kibucu był środkiem, aby ten cel osiągnąć. Umożliwił mi poznanie tego kraju, ale – co bardzo ważne, nie tylko oczami turysty.

Na tym przesłuchanie zakończyło się. Najwyraźniej przekonałem urzędniczkę, że nie stanowię niebezpieczeństwa i tym samym uniknąłem szczegółowej kontroli bagażu.

Tak wyglądały moje ostatnie chwile w Izraelu. Spędziłem tutaj prawie osiem miesięcy. Jak właściwie zaczęła się moja przygoda?

Lublin, luty 1999 roku

Byłem wtedy studentem III roku Wydziału Politologii UMCS. Właśnie zaczynał się nowy semestr, a ja, w ramach mojej specjalności – samorząd i polityka lokalna, musiałem wybrać dodatkowy fakultet. Tak trafiłem po raz pierwszy do Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN". Tomasz Pietrasiewicz, dyrektor Ośrodka a jednocześnie prowadzący nasze zajęcia, zaproponował kilka tematów, które mogliśmy zrealizować w ramach fakultetu. Grupa wybrała projekt zdokumentowania historii i współczesności jednego z domów lubelskiego Starego Miasta. Ja natomiast przyjąłem propozycję, by odtworzyć historię nieistniejącego już budynku z nieistniejącej już również lubelskiej Dzielnicy Żydowskiej. Nie miałem wtedy zielonego pojęcia ani o Żydach, ani o dziejach Lublina. Historię znałem jedynie ze szkolnych podręczników.

Pierwszą osobą, do której skierował mnie Tomasz Pietrasiewicz, był Marian Łoza, znany lubelski modelarz. Pan Łoza zakończył właśnie kwerendę w lubelskim Archiwum Państwowym. Szukał tam dokumentów koniecznych

Tomasz Czajkowski: Dostałem informację, że istnieje możliwość wyjazdu do Izraela i zostania wolontariuszem w kibucu. Pojechałem, żeby poznać młodych ludzi z całego świata, Izrael i instytucję kibucu. Wtedy nic mi to nie mówiło. Ktoś kiedyś powiedział, że nie można poznać Izraela, nie będąc w kibucu. Trafiłem do takiego, który okazał się, jak niektórzy Izraelczycy mówią, ostatnim prawdziwym kibucem – Bar Am. To było pasjonujące – funkcjonowanie w społeczności opartej na zasadach komunizmu. Komunizm w kibucach należy kojarzyć ze słońcem, z pracą ciężką, ale na równych zasadach dla wszystkich, z wypoczynkiem. Oni się dziwili, że ktoś przyjeżdża z Polski, nie jest Żydem i pracuje na rzecz państwa Izrael, na rzecz kibucu. W kibucach praktycznie nie ma Polaków, słyszałem może o 2-3 osobach, które w ciągu kilku lat tam były.

* * *

Tomasz Pietrasiewicz: Miałem w Bramie Grodzkiej zajęcia ze studentami z kierunku samorządowego. Rozdawałem im różne tematy, żeby przygotowali np. historię ulicy, historię synagogi, takie „uczenie miasta", jak ja to nazywam. Kończą się zajęcia, ludzie wychodzą, jeden ze studentów zostaje i mówi, że bardzo by chciał podjąć się badań nad historią kamienicy. Zaproponowałem budynek, w którego materiałach archiwalnych znaleźliśmy spis lokatorów, jedyny, jaki przetrwał. Wiedziałem, co to znaczy, jak wielki to jest wysiłek, ile tam trzeba przeorać materiałów. Wyobrażałem sobie, że powinna to robić grupa studentów, a tu przyszedł jeden.

* * *

Tomasz Czajkowski: Wtedy już myślałem, że to może być temat na pracę magisterską. Dlaczego pisać książki o prezydentach, działaczach społecznych, a nie o zwykłych ludziach, którzy mieszkali kiedyś w jakimś domu, na jakiejś ulicy, o której istnieniu większość z nas nie ma nawet pojęcia? Jaki jest tego sens głębszy? Myślę, że przełamać milczenie, przywrócić historię tych ludzi do historii Lublina. Dla mnie osobiście to było wtedy po prostu sprawdzenie się, zadanie: zdobyć jak najwięcej informacji o nich. Na ogół byli to ludzie ubodzy, bezrobotni albo chorzy, albo utrzymywani przez opiekę społeczną. Mam tylko 54 nazwiska głównych lokatorów. W ogóle nie wiedziałem, że była taka ulica jak Krawiecka w Lublinie. To była dla mnie nowość, odkrycie.

* * *

Marian Łoza: Wszystko zależy od tego, jak się jakiś temat komuś podsunie. I tak było z Tomkiem, że po prostu zainteresował go ten tajemniczy świat, świat niedomówień. Przyjechałem do Lublina w 1951 roku, więc widziałem te zgliszcza po spalonym getcie lubelskim – kikuty, spychy... To jest odkrywanie, to jest archeologia, co Tomek zrobił.

* * *

Tomasz Czajkowski: Zacząłem od Archiwum Lubelskiego. To była nowość w moim życiu – nie miałem wcześniej do czynienia z takimi instytucjami jak archiwum czy Sąd Wojewódzki, gdzie są księgi wieczyste. Miałem po prostu dokument z nazwiskami. Po pierwszym okresie poszukiwań w Archiwum nic nie znalazłem i trochę się zniechęciłem. Chociaż myślałem cały czas, że jest jakaś droga dotarcia do tych dokumentów. To było właściwie takie uczucie, że „można, ale ja nie potrafię" – czyli że coś jest, jestem obok tego, ale jak znaleźć drogę? Nie było drogi. Było po prostu szukanie, przeglądanie kilkudziesięciu czy kilkuset teczek po kilkaset stron – taka była droga.

Mosze Waság w szeregach I Armii Wojska Polskiego, w okresie II wojny światowej. Archiwum domowe Mosze Wasága.

do zbudowania w Ośrodku Makiety Lubelskiego Zespołu Staromiejskiego. W zamyśle dyrektora, to on mógł nadać kierunek mojej pracy. Jak się okazało, był to strzał w dziesiątkę. Marian Łoza natrafił w Archiwum na *Spis lokatorów domu przy ulicy Krawieckiej Nr 41 w Lublinie, należącego do Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Lublinie* z 1939 roku, który stał się punktem wyjścia dla moich poszukiwań.

Dlaczego właśnie ten dokument zwrócił jego uwagę? Marian Łoza przejrzał dokumentację każdego domu Dzielnicy Żydowskiej i tylko w jednej teczce znalazł zachowany spis lokatorów. Na dwóch kartkach formatu A4 zapisano w nim równym maszynowym pismem imiona, nazwiska, stan rodzinny oraz zawód pięćdziesięciu czterech mieszkańców kamienicy, a także nazwy trzech organizacji mających siedzibę w tym domu: Towarzystwa Dobroczynnego „Pas Leorchim", kibucu „Ha Szaron" i przedszkola „Ognisko", prowadzonego przez Związek Kobiet Żydowskich w Lublinie.

Dzięki dociekliwości i skrupulatności Mariana Łozy, dostałem klucz do zaginionego, zupełnie mi dotychczas nieznanego świata. Po raz pierwszy czytałem dziwnie brzmiące imiona i nazwiska: Jankiel Goldman, Ruchla Fiszman, Abram Kranc, Aron Elzon, Estera Cang, Chil Korensztajn, Pinia Zyswaser, Moszek Garfinkiel, Jeremiasz Szklarz, Icek Nadelsztajn... Co to za ludzie? Skąd się wzięli? Co robili? I w ogóle, co to za ulica, ta Krawiecka? Nigdy o niej nie słyszałem, a tu czytałem, że mieszkał na niej czapnik, tragarz, wodonosz, hafciarz, dorożkarz, torebkarz, rymarz. Te zawody odeszły dawno temu wraz

Ul. Krawiecka. Fragment pocztówki ze zbiorów Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

z tymi, którzy je kiedyś uprawiali. Po raz pierwszy poczułem, że spotkałem się z historią w bezpośredni sposób. Miałem ją dosłownie w ręku. Postanowiłem pójść tropem spisu lokatorów i poszukać informacji o domu przy ul. Krawieckiej 41 i jego mieszkańcach. Nie zdawałem sobie sprawy, na co się porywam.

Pierwsze kroki skierowałem do Archiwum Państwowego w Lublinie. Czego jednak miałem szukać? Łatwo jest dotrzeć do dokumentów urzędów, zakładów pracy czy organizacji, ale jak znaleźć informacje o stolarzu Chilu Korensztajnie, zamieszkałym w czerwcu 1939 roku w domu przy ul. Krawieckiej 41? Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Czekała mnie iście benedyktyńska praca. W dodatku bez gwarancji sukcesu. Najtrudniejsze były początki. Po dniach bezowocnych poszukiwań w Archiwum przeżyłem momenty zniechęcenia. Kiedy jednak natrafiłem na pierwszą informację, praca znowu nabrała sensu. Odczułem ogromną radość i satysfakcję. A jednak udało się! Udało się zburzyć, przynajmniej częściowo, mur zapomnienia.

Pierwszy etap mojego projektu zakończył się. Uzyskałem przeszło 150 dokumentów dotyczących kamienicy i jej mieszkańców. Nadszedł czas, by podjąć próbę odszukania choćby jednego z byłych lokatorów. Skontaktowałem się z Ziomkostwem Żydów lubelskich w Izraelu. Pewnego dnia nadeszła ta długo oczekiwana wiadomość. Żyje dwóch lokatorów interesującej mnie kamienicy. Jeden z nich – Mosze Wasąg mieszka w Tel Awiwie, drugi – Joseph Baum w Kanadzie. Później dowiedziałem się, że w kibucu Yad Mordechai mieszka jeszcze Szika Kacir, przygoto-

Mosze i Hana Wasągowie, 6 marca 2001. Fot. Tomasz Czajkowski.

Szika Kacir. Kibuc Yad Mordechai, lipiec 2001. Fot. Aliza Salomon. Zbiory własne autora.

wujący się kiedyś w domu przy ul. Krawieckiej 41 do wyjazdu, do Palestyny.

Wiadomość z Izraela stała się przełomem w mojej pracy. Poczułem, że to, co robię, może być komuś potrzebne. Komu? Historii Lublina, jego obecnym mieszkańcom, mnie i dawnym lokatorom. Byłem pewien, że oni tak samo rozumują. Nie mogłem się doczekać spotkania z nimi. Moje intencje były szczytne, chciałem przecież przywrócić pamięć o nich, spodziewałem się więc, oczywiście w przenośni, „powitalnego komitetu". Czekała mnie jednak kolejna... lekcja pokory.

Izrael 2000

Każdy wolontariusz w kibucu Bar Am ma prawo (oprócz wolnych sobót, świąt żydowskich, oraz Bożego Narodzenia i Nowego Roku) do trzech wolnych dni w ciągu miesiąca (w Yakum – do dwóch). Wolontariusze łączą najczęściej wolne dni w jeden dłuższy urlop, by móc w tym czasie zwiedzić Izrael. Ja wyruszyłem tropem byłych mieszkańców Lublina. W Tel Awiwie spotkałem się z Mosze Wasągiem i Aleksandrem Szryftem, w Beer Szewie z Marianem Milsztajnem. Cel moich dociekań nie wywołał wcale entuzjazmu ze strony tych starszych ludzi. Byli raczej zdziwieni i zadawali pytania, których się nie spodziewałem.

– Dlaczego akurat ten dom na Krawieckiej 41?

– A kogo to w ogóle interesuje?

– Zostaw pan ten dom w spokoju i lepiej zajmij się pogromem kieleckim!

– Pisać pracę o jednym domu? To śmieszne. Pan powinien pisać pracę o całym Lublinie.

To był dla mnie szok. Nie rozumiałem, dlaczego ci ludzie nie doceniają mojego szczerego zainteresowania? Dlaczego nie chcą wracać do historii? Musiałem to wyjaśnić.

W 1939 roku mieszkało w Lublinie ponad 38 tysięcy Żydów, jedna trzecia mieszkańców. Toczyło się rozwinięte życie polityczne, społeczne, kulturalne, istniało wiele organizacji. Według moich rozmówców tym powinienem się zajmować, o tym napisać. A jedna kamienica? Choćby najokazalsza, zawsze pozostanie tylko jedną kamienicą. Tym bardziej, że budynek przy ul. Krawieckiej był brudny, obdrapany, a w środku żyła w biedzie masa ludzi i takim go zapamiętali dawni lokatorzy. W rozmowie z obcym człowiekiem niechętnie się do takich wspomnień wraca. W Polsce było szaro i brzydko. W Izraelu świeci słońce i jest pięknie. Ulicami przechodzają się urodziwi, szczęśliwi młodzi ludzie – duma narodu. Dzieci, wnuki, prawnuki moich rozmówców są wykształcone, mają dobrą pracę, dobrze im się wiedzie. O tym chcą opowiadać. Polska, pierwsza ojczyzna dawnych mieszkańców żydowskiego getta, nie była dla nich matką, a raczej macochą. Wcale jej nie było smutno, kiedy wyjeżdżali. Mają o to żal. W wywalczonym, w zbudowanym od podstaw Izraelu czują się nareszcie u siebie. Nie uogólniają, nie mówią – „wszyscy Polacy". Spędzili u nas lata młodości i pamiętają, że Polacy są różni. Inna sprawa, czy mówią o tym młodym Izraelczykom. Młody Polak, odgrzebujący nie zawsze wesołe wspomnienia, wzbudził w pierwszej chwili zdziwienie i niechęć, a mimo wszystko pomogli mi, służąc nie tylko informacjami. Dali mi dużo wiecej, niż mogłem się spodziewać: serdeczność i gościnę, tak potrzebną z dla od domu.

Lublin 1926-1939

Kamienica przy ul. Krawieckiej 41 (wcześniej ul. Podzamcze 547) od drugiej połowy XIX wieku należała do rodziny Krasuckich. W 1880 roku umieścili w niej Fabrykę Wyrobów Tytoniowych, która funkcjonowała do wybuchu wojny w 1914 roku, zdobywając medale za swoje wyroby. Po zakończeniu wojny, mimo prób ze strony właścicieli, nig-

dy już nie doszło do pełnego rozruchu fabryki. Drugiego marca 1925 roku Krasuccy ostatecznie pozbyli się nieruchomości. Kupiła ją Żydowska Gmina Wyznaniowa za 9 tys. dolarów amerykańskich. Szybko tego zakupu pożałowała. Nieruchomość pozostawała własnością Gminy przeszło szesnaście lat, od marca 1925 do sierpnia 1941 roku, kiedy to, na rozkaz władz niemieckich, zrównano ją z ziemią, a ludzi tam mieszkających (ponad 600 osób) wyrzucono na ulicę.

Ciekawe, że pierwotnie kamienica nie była przeznaczona do zasiedlenia. Z dostępnych źródeł wynika, iż zakupiono nieruchomość z myślą o utworzeniu w niej szkoły rzemieślniczej. Nie udało się odnaleźć dokumentów informujących, czy taka szkoła w ogóle powstała. O tym okresie opowiada Marian Milsztajn, zwany przez kolegów Mosze Gałech, czyli „Ksiądz", a mieszkający przed II wojną światową stosunkowo niedaleko od ul. Krawieckiej, na tzw. Błotnikach: „Pamiętam, że podwórko [kamienicy przy ul. Krawieckiej 41] było zawalone brudem, śmieciami. Jestem pewny, że pierwsze lata miejsce było niezamieszkane. Budynek straszył pustymi oczodołami. Wraz z ogromnym kryzysem w latach 1928-1929 ludzie tracili pracę i wyrzucano ich z wynajmowanych lokali. Szukali wtedy pustych, często rozwalających się budynków, za to bez komornego i gospodarza, gdzie na pewno było lepiej aniżeli na ulicy".

Pierwsi lokatorzy kamienicy Krawiecka 41 wprowadzili się prawdopodobnie w 1931 roku. Osiem lat później mieszkało tam w warunkach urągających ludzkiej godności około 300 osób. Ich pojawienie się i wynikające z tego problemy opisane są w piśmie Zarządu Gminy Wyznaniowej do Inspekcji Budowlanej: „Dom przy ul. Krawieckiej nie był kupiony z przeznaczeniem na zamieszkiwanie. Był on przeznaczony na szkołę rzemieślniczą. Gdy raz wybuchł pożar w dzielnicy żydowskiej czy też zawalił się jakiś inny dom, to Magistrat miasta Lublina (Wydział Opieki Społecznej), nie pytając Gminy o zezwolenie, ulokował tam kilkanaście rodzin, które następnie wpuszczały do domu każdego, kto się zgłaszał. W tych warunkach stan domu, który został zajęty przez Magistrat [...] na cele opieki społecznej, bo na pomieszczenia dla bezdomnych – pogarszać się musiał. Brak jest jednak przepisu, który by obowiązywał właściciela domu do troszczenia się o jego stan, jeżeli dom ten władze publiczne, jaką niewątpliwie w zakresie opieki społecznej jest Zarząd Miejski, zajął na cele publicznej opieki, przewidzianej ustawą".

Zarząd Miejski w Lublinie odpowiedział zaś, że w domu tym „bezdomnych nie umieszczał", w związku z tym żadnych zobowiązań wobec ludzi tam mieszkających nie ma. Jak widać, nie było komu ponosić kosztów koniecznych w budynku remontów, za to wprowadzali się tam wciąż nowi lokatorzy: pogorzelcy, wyeksmitowani. Tak było w przypadku rodziny Wasągów.

Rodzice Mosze Wasąga nie pochodzili z Lublina. Matka Rajzla urodziła się w Zwoleniu, a ojciec Chaskiel w Międzyrzecu Podlaskim. Tam również 13 września 1917 roku przyszedł na świat Mosze Wasąg. Miał troje starszego rodzeństwa: Szmuela, który zmarł w dzieciństwie, Froima Chaskiela oraz siostrę Hanę. W 1918 roku cała rodzina przeniosła się do Lublina. Zamieszkali w suterynie przy ul. Podwale 11, w tzw. polskiej części miasta. Ojciec pracował w jednej z żydowskich garbarni

Marian i Edwarda Milsztajnowie, 2001 rok. Fot. Tomasz Czajkowski.

Posesja przy Krawieckiej 41. Fragment planu z 1942 roku. Własność Mariana Łozy.

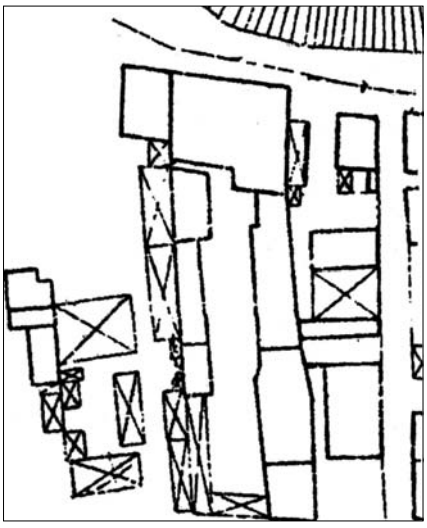

Tyły posesji przy Krawieckiej 41. Fragment pocztówki ze zbiorów Zbigniewa Lemiecha.

na Kalinowszyźnie. Zmarł, kiedy Mosze miał dwa lata. W 1933 roku rodzina opuściła suterynę w budynku przy ul. Podwale 11, ponieważ jego właścicielka przepisała nieruchomość na rzecz sióstr kanoniczek. Przeprowadzili się do pobliskiej kamienicy przy ul. Krawieckiej 41. Tak wspomina dziś tamte czasy Mosze Waság:

„W budynku na Podwalu była siostra Maria, która nas bardzo lubiła i powiedziała, że nie musimy płacić komornego, ale kiedy zmarła, od razu dostaliśmy eksmisję. Matka z trudem zarabiała na życie, choć brała każdą pracę, jaka tylko była. Trzydzieści osiem lat wtedy miała. Przyszli mocni ludzie, wzięli nasz cały majątek: trochę ciuchów, stół, krzesło, łóżka i poszliśmy mieszkać na Krawiecką, dziesięć minut drogi od Podwala. To był pusty dom i kto dostał eksmisję, łapał tam sobie pokój cztery metry na cztery i się wprowadzał. Magistrat polski nie wiedział, czy to legalne, bo dom należał do gminy żydowskiej. To było bardzo ubogie życie, po prostu nędza. Przecież to nie była kamienica dla lokatorów tylko fabryka. Ludzie podzielili fabryczną halę przegródkami z dykty, drzewa, dostawili prowizoryczne drzwi i tak powstały mieszkania. Kuchenkę miało się przez dach albo okno. Tam mieszkali tylko najbiedniejsi".

Do domu przy ul. Krawieckiej 41 przychodził także Aleksander Szryft. Dla niego i jego kolegów była to najkrótsza droga prowadząca na łąki Kalinowszczyzny, ale dom ten interesował ich z jeszcze jednego powodu:

„Były tam pozostałości maszyn, jakieś materiały, odpadki z produkcji i kolorowe pudełka z denkiem. Górne denko było ze szkła. Wykradaliśmy je więc z sali, gdzie leżały. Wymienialiśmy się nimi potem. Wiedziałem, że w tym domu mieszkali ubodzy ludzie, których nie stać było na czynsz. Znałem tam rodzeństwo Wasągów i kobietę, która pracowała latem jako kucharka na półkoloniach dla ubogich żydowskich dzieci. Dzieci dostawały śniadanie i obiad na stadionie przy ul. Siennej, gdzie odbywały się ich zajęcia, ale gotowano w domu na Krawieckiej 41. To był kawał drogi i taki jeden zdrowy facet dźwigał codziennie kotły z jedzeniem z Krawieckiej na Sienną".

W latach 1933-1939 kamienicę odwiedziło kilkanaście kontroli: sanitarnych, budowlanych i policyjnych. Każda stwierdzała antysanitarny stan nieruchomości zagrażający zdrowiu i życiu. Jednak kary nakładane na właściciela, czyli Gminę Żydowską, nie przynosiły efektu. W efekcie dom trzeba było poddać gruntownemu remontowi albo zburzyć. W obu przypadkach oznaczało to wyrzucenie na bruk 300 osób. Zdesperowani lokatorzy postanowili nagłośnić swoje problemy. 22 sierpnia 1935 roku w żydowskim dzienniku „Lubliner Tugblat"[1] ukazał się artykuł opisujący ich sytuację:

„Lokatorzy domu gminnego przy ul. Krawieckiej 41 przeżywają okropne noce. Dom jest w niebezpieczeństwie. Ściany lada chwila mogą się zawalić. Lokatorzy o własnych siłach próbowali podstawić słup w zagrożonem miejscu, ale gdy dotknięto ściany, ona natychmiast zawaliła się, na szczęście nikt nie ucierpiał. We wtorek 20 sierpnia wszy-

[1] „Lubliner Tugblat" („Dziennik Lubelski") – jedyny dziennik ukazujący się w Lublinie przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego. Osiągał nakład ok. 1 tys. egzemplarzy. Gazeta deklarowała się jako bezpartyjna. Pod względem edytorskim stała na dość niskim poziomie – miała skromną szatę graficzną, drukowana była na niskich gatunkach papieru.

scy lokatorzy wraz z żonami i z dziećmi udali się do Gminy Żydowskiej, żądając, by uratowano ich dach nad głową. Ale dokonanie remontu tego domu ma kosztować 50 000 złotych. Lokatorzy zatrzymali w Gminie kilku radnych i Członków zarządu z prezesem Halbersztadtem na czele, nie wypuszczając ich z lokalu. W sprawie tej odbędzie się dziś specjalne posiedzenie. Lokatorzy zbierają również podpisy wśród Radnych Gminy w sprawie zwołania specjalnego posiedzenia Rady Gminnej. Lokatorzy zagrożonego domu uważają, że Gmina może otrzymać specjalną pożyczkę w Miejskim Komitecie Rozbudowy na remont domu przy ul. Krawieckiej 41. Jasnem jest, że Zarząd Gminy winien energicznie zająć się tą sprawą".

Niestety, zryw lokatorów nie przyniósł żadnych efektów. Zamiast specjalnego zebrania Rady Gminy w sprawie ratowania budynku odbyło się specjalne zebranie w sprawie najścia, co nie poprawiło stanu kamienicy. O jej ciągle pogarszającej się kondycji świadczą kolejne dokumenty służb budowlanych. Wstrząsający w swej wymowie jest np. protokół z września 1937 roku. Komisja Inspekcji Budowlanej Wydziału Spraw Społecznych i Policji, stwierdziła znaczne pęknięcia we wszystkich ścianach zewnętrznych budynku frontowego, świadczące o jego osiadaniu. Schody drewniane zagrażały bezpieczeństwu pożarowemu. Balkony posiadały przegniłe pomosty i przerdzewiałe balustrady. Konstrukcja dachu zmurszała i przegniła. Stwierdzono także antysanitarny stan podwórza i ustępów, zagrażający zdrowiu korzystających z nich ludzi. Komisja postawiła kolejny wniosek o eksmisję lokatorów i rozbiórkę domu. Dlaczego i tym razem do niej nie doszło, wyjaśnia Mosze Waśąg:

„W 1937 roku Magistrat ogłosił, że na Krawieckiej 41 dom grozi zawaleniem. Przyszła policja i wyrzucili nas. Każdy, kto miał choć parę groszy, odszedł. Kto nie miał, został. Myśmy zostali i jakieś osiem innych rodzin. Do podwórka kamienicy przytykał ogród i łąki. Ktoś tam sobie zbudował pałatkę, inny szałas. Czekaliśmy, czy ten dom się zawali. Nie zawalił się, więc weszliśmy z powrotem bez pozwolenia."

Kolejna próba eksmisji dzikich lokatorów miała miejsce w 1938. Gmina przeznaczyła na ten cel 4 tys. zł. Dodatkowo zagwarantowano 1,3 tys. zł na utrzymanie budynku. Ponieważ jednak uzyskano jedynie 57,6 proc. zaplanowanych w preliminarzu dochodów, czyli 140 040,47 zł a wydano 198 702,78 zł, konieczne były ograniczenia, które dotknęły m.in. dom przy ul. Krawieckiej 41. Co prawda na jego utrzymanie (pensję dozorcy, remont, podatki) przeznaczono kwotę wyższą niż pierwotnie zakładano (1 461,30 zł), ale obcięto fundusze na usunięcie lokatorów. Fragment *Sprawozdania Zarządu Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Lublinie za rok 1938* świadczy jednak, że decyzja o eksmisji nie została anulowana:

„Największych zmartwień przysparza dom na Krawieckiej 41, gdzie Magistrat w swoim czasie skierował dziesiątki wyeksmitowanych rodzin z zagrożonych domów na Krawieckiej. Obecnie grozi temu domowi katastrofa i Gmina została zmuszona wystąpić sądownie przeciwko Magistratowi jako współodpowiedzialnemu za wprowadzenie

Przeważała tematyka regionalna, dotycząca samego Lublina i innych miast Lubelszczyzny. M. Fuks, *Prasa Żydowska w Lublinie i na Lubelszczyźnie (1918-1939)*, w: „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego" 1979 nr 4/112, s. 53-56.

Fragment zdjęcia lotniczego ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego. Pod skrzydłem widoczny budynek przy Krawieckiej 41, obok wlot ul. Wąskiej („Wąską" nazywano obiegowo również bardzo wąską uliczkę będącą przedłużeniem Cyrulicznej do Szerokiej).

obecnych lokatorów. Ostatnio Gmina doszła do porozumienia z Magistratem, że lokatorzy, którzy muszą co do jednego opuścić zagrożony dom, otrzymają jednorazowe zapomogi, aby mogli znaleźć sobie nowe lokum”[2].

W lipcu 1939 roku władze miejskie podjęły ostatnią próbę wyprowadzenia lokatorów z budynku. Tym razem jednak moc nakazów złagodziła, prawdopodobnie, zbliżająca się szybkimi krokami wojna i lokatorzy pozostali w rozwalającej się kamienicy do sierpnia 1941, kiedy to, na rozkaz hitlerowców, kamienica została rozebrana, a jej mieszkańcy rozproszeni, dokwaterowywani do innych domów i przytułków dla uchodźców. Społeczność lokatorska z Krawieckiej 41 przestała istnieć.

Niektórym lokatorom ul. Krawieckiej 41 udało się uniknąć zagłady. W październiku 1939 roku uciekł z Lublina, na tereny zajęte przez Armię Czerwoną, Mosze Wasąg, który wcześniej dwukrotnie wymykał się Niemcom z łapanek do pracy. Zostawił w mieście matkę i rodzeństwo, ale zabrał świeżo poślubioną żonę Hanę. Oto fragment jego relacji:

„Poszedłem się żegnać z siostrą i powiedziałem – Więcej tu już nie będę. A szwagier odrzekł – Dobrze robisz. Nie masz co siedzieć tutaj. Uciekaj. Matka nie chciała jechać, bo brat i siostra zostali, powiedziałem więc do ojca Hany, że uciekam, a ona na to – Ja uciekam z nim. Nie byliśmy jeszcze małżeństwem i ojciec Hany powiedział – Jak chcesz jechać, weź ślub. W sobotę wieczorem wzięliśmy ślub, a rano wyjechaliśmy. To była sobota, w tydzień po świętach Kuczki[3], Szabes Barajsiesz[4]”.

Opowieść męża uzupełnia Hana Waząg:

„Ślub był u mnie w domu przy Ciasnej 9, boczna Bonifraterskiej. Przyszedł rabin, przeczytał, napisał, podpisał i do widzenia. Byli tylko członkowie rodziny, dziesięć osób. Gdzie to może być radosny ślub, kiedy nie można gości zaprosić i kiedy trzeba wyjść przed dziewiętnastą. Byłam najstarsza z rodzeństwa, miałam pięciu braci. Najstarszy miał wtedy 17 lat, najmłodszy dwa i pół roku. Jak się pożegnałam z ojcem, to postawiłam na stół tego małego, a on prosił – Nana, nie idź, nie odchodź. A ja ich wszystkich zostawiłam... Prosiłam ojca, żeby wziął dzieci, żebyśmy pojechali razem. – Nie. Gdzie ja będę się błąkał z dziećmi? – odpowiedział. Kto wiedział, co się stanie”.

Opowieść kontynuuje Mosze Waząg:

„W niedzielę rano [8 października] uciekliśmy przez dzielnicę Piaski do Chełma. Byli tam przewodnicy, którym się płaciło za to, że wiedzieli, którędy i kiedy można stosunkowo łatwo przejść przez Bug. Zapłaciliśmy i zostaliśmy zaprowadzeni do chaty jednego Polaka, skąd łódkami zostaliśmy przewiezieni na drugi brzeg. Niemcy zaczęli strzelać, jak myśmy już byli po drugiej stronie. Przespaliśmy się w stodole, byli z nami jeszcze jacyś dwaj bracia i małżeństwo, a rano spotkaliśmy ruską straż pograniczną. Zaaresztowali nas i zawieźli do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie spędziliśmy kilka miesięcy, śpiąc w szkole na podłodze. Potem wywieźli nas na Sybir”[5].

Decyzja o ucieczce, podjęta jesienią 1939 roku, pozwoliła Wazągom przeżyć wojnę. Dzięki temu można dziś odtworzyć dzieje lokatorów nieistniejącej już kamienicy. Można, pod warunkiem, że Mosze Waząg będzie miał dość sił, by powspominać.

– To opowiadanie... tak ciężko na sercu... – wzdycha i przerywa rozmowę.

A ja rozumiem już, dlaczego tamta przeszłość tak rani. Dziś Mosze Waząg, nobliwy, starszy pan, mieszka razem z żoną Haną w centrum Tel Awiwu. Prowadzą ustabilizowany żywot ludzi na emeryturze. Są dumni z dwójki swoich dzieci. Radość i pociechę przynosi im pięcioro wnucząt.

[2] *Sprawozdanie Zarządu Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Lublinie za rok 1938*, w: *Żydzi w Lublinie*, red. Tadeusz Radzik, t. II, Lublin 1998, , s. 374. i n.

[3] Święto Sukkot (Święto Kuczek) – obchodzone jest w diasporze przez 9 dni. Przypada na jesieni po zebraniu plonów z pól, sadów i winnic. Charakteryzuje je wesołość i radość ze zbiorów oraz modlitwy o deszcze i bogate plony w roku następnym. Z okazji święta budowane są szałasy (tzw. sukki), co ma przypominać wyjście Izraelitów z Egiptu i ich wędrówkę przez pustynię. W szałasie spożywa się posiłki, a ortodoksyjni Żydzi pozostają w nim nawet na noc, co jednak nie jest obowiązkowe w chłodniejszym klimacie. Zob. *Kalendarz żydowski 1986-1987*, s. 26.

[4] Szabat Bereszit (Mosze Waząg użył tutaj formy w języku jidysz) – pierwszy szabat po Święcie Sukkot, kiedy zaczyna się nowy roczny cykl czytania Tory w synagodze. W 1939 roku przypadał w sobotę 7 października. Dz. cyt.

[5] Hana i Mosze Waząg na początku 1940 roku deportowani zostali na Syberię, gdzie przebywali 18 miesięcy. Po zwolnieniu wyjechali do Kirgizji. W 1942 roku Mosze Waząg wcielony został do Armii Czerwonej, a od 1943 roku znalazł się w szeregach I Armii Wojska Polskiego. Do Lublina przyjechał w kilkanaście dni po wyzwoleniu miasta. Hana Waząg została wypuszczona z ZSRR w 1946 roku. Małżeństwo spotkało się ponownie w lipcu 1946 roku w Kielcach, w tragicznych dla siebie okolicznościach. W maju 1950 roku wyjechali do Izraela. Mieszkają obecnie w Tel Awiwie. Relacja w zbiorach autora.

Tomasz Czajkowski

„Ha Szaron” kibuc-hachszara

Idea powrotu do Palestyny, ziemi obiecanej przez Boga, obecna była w świadomości narodu żydowskiego od czasu zburzenia jerozolimskiej Drugiej Świątyni w 70 roku n.e. i początków rozproszenia Żydów po całym świecie. Pod koniec XIX wieku uzyskała ona formę świeckiego ruchu politycznego – syjonizmu. Zdaniem jego twórcy, Teodora Herzla, jedyną szansą uczynienia z Żydów nowoczesnego narodu, a jednocześnie szansą na rozwiązanie kwestii żydowskiej w Europie było utworzenie samodzielnego państwa żydowskiego w Palestynie[1]. Do wzrostu popularności syjonizmu w Polsce przyczynił się przede wszystkim rosnący antysemityzm oraz rozczarowanie do niepodległego państwa polskiego, które nie umiało wypracować skutecznych metod rozwiązywania konfliktów polsko-żydowskich.

Środkami służącymi do osiągnięcia głównego celu syjonistów były: organizowanie emigracji, krzewienie języka i kultury hebrajskiej oraz dążenie do zmiany struktury społeczno-zawodowej społeczności żydowskiej. W przedwojennej Polsce istniało wiele miejsc, gdzie młodzież syjonistyczna mogła przygotować się do wyjazdu do Palestyny. Były to zorganizowane na zasadzie komuny kibuce. Miejsce takie istniało również w Lublinie, w domu przy ul. Krawieckiej 41.

Idea aliji, czyli emigracji do Palestyny, wydawała się atrakcyjna zwłaszcza dla żydowskiej młodzieży, która nie widziała w Polsce dla siebie perspektyw. Dotyczyło to szczególnie mieszkańców kresowych sztetl, choćby takich jak Ostróg, gdzie urodził się

Szika Kacir[2]

jeden z późniejszych członków kibucu „Ha Szaron”[3] przy ul. Krawieckiej 41. Ostróg to miasto w powiecie Zdołbunów, w województwie wołyńskim, przy ujściu rzeki Wilii do Horynia. Dziesięć kilometrów dalej przebiegała linia kolejowa Zdołbunów–Sławuta. Według spisu przeprowadzonego w 1931 roku mieszkało tam wówczas ponad 13 tys. osób, w większości Żydów. W mieście działała elektrownia, a także młyny, tartaki, garbarnie, fabryka świec, wyrabiano tam również grzebienie. Dobrze rozwijał się handel. Funkcjonowało kilka szkół średnich, bibliotek oraz muzeum książąt

[2] Szika Kacir – urodzony w 1915 roku, mieszkaniec kibucu im. Mordechaja Anielewicza w Izraelu, założonego w listopadzie 1943 roku przez członków organizacji Haszomer Hacair. W okresie II wojny światowej służył pięć lat jako żołnierz w piechocie angielskiej, po wojnie odbył jeszcze roczną służbę jako wywiadowca w angielskim Intelligence Service. W 1948 roku brał udział w ciężkich walkach z piętnastokrotnie liczniejszymi wojskami egipskimi w obronie swojego kibucu, co dało czas armii żydowskiej na przegrupowa-

Tomasz Czajkowski: Konsultowałem się z historykami zawodowymi. Nie mówili mi tego, ale prawdopodobnie myśleli, że to jest strata czasu. Może nie chcieli zniechęcać młodego człowieka do poszukiwań naukowych, ale wątpię, czy sami by się tego podjęli. Osoby pracujące w instytucjach, które powinny mi udzielić pomocy, czasami wyrażały zdziwienie tematyką mojej pracy, czasami widziały w tym interes osobisty. Jeżeli ktoś interesuje się jakimś domem, to coś z tego musi mieć. Może chce odzyskać kamienicę, może sprawdzić stan prawny. Trudno zrozumieć ludziom, że można coś robić bezinteresownie. Oczywiście, były też reakcje bardzo pozytywne.

* * *

Robert Kuwałek: Kopalnią wiedzy na temat nieistniejącej dzielnicy żydowskiej jest Wydział Hipoteczny Sądu Rejonowego w Lublinie. Znaleźliśmy tam kompletną księgę, założoną od początku. Tłumaczyłem dokument po dokumencie. Rosyjski dziewiętnastowieczny jest zupełnie inny niż ten, który my znamy, a do tego jeszcze opisy techniczne maszyn. Jest to nietypowa praca historyczna, bo owszem, mamy monografie dotyczące kamienic na Starym Mieście, ale robili to zazwyczaj historycy sztuki. Ktoś może opracować monografię jednej rodziny i będzie się tym zajmował pod kątem typowo historycznym, ale takie zadanie – masz zanalizować dokumenty dotyczące architektury, historii miejsca i do tego jeszcze ludzi – to rzucenie młodego człowieka, jeszcze studenta, na bardzo głęboką wodę, naprawdę bardzo trudna praca dla kogoś, kto nie siedzi kilka lat w tematyce, nie bada. Łączenie historii i etnografii, socjologii, historii sztuki.

nie sił i pozwoliło osiągnąć ostateczne zwycięstwo nad armią egipską.

[3] Ha Szaron – żyzna i bogata w wodę równina w Izraelu, położona nad Morzem Śródziemnym (zaczyna się u podnóża góry Karmel a kończy w Jaffie, na południe od Tel Awiwu.) Nazwa ta występuje wielokrotnie w Biblii jako symbol obfitości.

[4] Kurs został zorganizowany przez jedną z istniejących Ostrogskich. Mieszkańcy modlili się w świątyniach trzech wyznań: mojżeszowego, katolickiego i prawosławnego.

Dwudziestoletni Szika Kacir nie znalazł na tej ziemi miejsca dla siebie. Opuścił Ostróg. Dla niego i dla podobnych mu żydowskich dziewcząt oraz chłopców jedynym miejscem, gdzie mogli poczuć się u siebie, stała się Palestyna. Marzyli o odbudowie państwa żydowskiego i byli gotowi poświęcić życie tej idei. Wiedzieli jednak, że w Erec Israel czekały na nich pustynne piaski i ciężki byt. By temu podołać, młodzi pionierzy, chaluce, musieli być do wyjazdu bardzo dobrze przygotowani. Do Palestyny mieli bowiem przybyć jako zupełnie nowi ludzie, pozbawieni przyzwyczajeń nabytych w diasporze i kulturze języka jidysz. Dlatego szczególną wagę przykładano do nauki hebrajskiego. Bardzo ważna była również praca wychowawcza prowadzona wśród młodzieży oraz zacieśnianie więzów między członkami organizacji.

1 marca 1926 roku rozpoczął się w Warszawie cykl kursów przeznaczonych dla kierowniczych kadr organizacji chalucowych. Trwały one od trzech do pięciu miesięcy. Każdy uczestnik podpisywał przed rozpoczęciem kursu zobowiązanie, że pozostanie w szeregach chaluców od pół roku do dwóch lat i będzie zajmował się w tym czasie pracą kulturalną. Program szkolenia był bardzo szeroki i obejmował „historię Żydów; historię powszechną; zagadnienia socjalne, polityczne, ekonomiczne; prawo państwowe; kooperacje; historię ruchu żydowsko-robotniczego; historię i problemy syjonizmu; kolonizację robotniczą w Palestynie; ideę palestyńską; wychowanie młodzieży; literaturę hebrajską i jidysz; ekonomię rolnictwa; problemy chaluców i zagadnienia aktualne”[4].

Nie mniej ważne było

wychowanie poprzez pracę

Ochotnicy przed wyjazdem zdobywali umiejętności i zawody przydatne w pustynnej, ubogiej wówczas Palestynie. Musieli być gotowi do ciężkiej pracy i trudów życia wspólnotowego w kibucu. Takie przeszkolenie a jednocześnie miejsce, gdzie się ono odbywało, nosiło nazwę hachszary.

W Polsce istniało wiele hachszar. Każda z poszczególnych organizacji syjonistycznych posiadała własne. Kibuc przy ul. Krawieckiej 41 w Lublinie należał do ruchu Haszomer Hacair. Regułą było, iż chaluce przechodzili przeszkolenie

Tomasz Pietrasiewicz: To było przykre, kiedy docierały do mnie informacje związane z podejrzeniami, że projekt, który robimy w Bramie Grodzkiej, jest na zamówienie jakichś „sił żydowskich”, które chcą zinwentaryzować pożydowskie mienie. Tak jakby nikt sobie nie chciał wytłumaczyć, że te motywacje mogą być zupełnie inne, że wcale nie kryją się za tym jakieś pieniądze i ciemne siły. To jest bzdura.

* * *

Tomasz Czajkowski: Zobaczyłem ten dom z zewnątrz, od strony ulicy Krawieckiej, na podstawie planów. Pomieszczenia pofabryczne z tyłu nieruchomości, a z przodu główny budynek, trzypiętrowy. Wyróżniał się wielkością na tle małych budyneczków żydowskich w tej części miasta. Ubikacja była na zewnątrz, na piętro prowadziły schody drewniane. Mieszkania urządzono w ten sposób, że każda rodzina zajęła jakiś kawałek hali, odgrodziła się od innej rodziny kawałkiem drewna, blachy. Pierwsze zdjęcie odnalazłem po kilku miesiącach przypadkowo, jak większość dokumentów. Zainteresował mnie podpis. Przedstawiało dzieci z Ochronki-Przychodni „Ognisko”, która miała siedzibę w tym domu, prowadzonej przez Związek Kobiet Żydowskich. Początkowo nie chciałem pójść na ten pusty plac pod Zamek, gdzie kiedyś mieszkali ludzie z Krawieckiej 41, ale w pewnym momencie zmieniłem zdanie. Kiedy się tam znalazłem, okazało się, że nic nie czuję. Nie słyszałem żadnych krzyków, odgłosów dzieci ani dorosłych, ani przekupek. Po prostu widziałem pustkę. Dla ludzi, którzy przejeżdżają tędy autobusami czy przychodzą na spacer i nie wiedzą, że tam wcześniej coś było, jest to po prostu teren rekreacyjny. A to był kiedyś dom dla 300 ludzi.

* * *

Bogdan Stanisław Pazur: Ja, jak wszędzie mówię, urodziłem się na tak zwanych „Żydach”. Bawiliśmy się z dziećmi żydowskimi. Budynek 41 był dla mnie tajemniczy. Prawie cały czas zamknięty od zewnątrz, zamknięte okiennice, okna nigdy nie otwierane. Życie Żydów toczyło się na ulicy, przed domem. Były stołki, taborety, stołeczki, to wszystko tam siedziało, szczególnie w marcu, jak zaczęło świecić pierwsze słońce, wygrzewali się, wchodzili, wychodzili, siedzieli przed tym budynkiem. Od czasu do czasu przyjeżdżał wóz „żeleźniak”; najczęściej jeździł Żyd, który zbierał szmaty, gałgany, skupował, zamieniał na szklanki, talerze. Taka była ulica Krawiecka.

w hachszarze, która znajdowała się poza ich miejscem zamieszkania. Chodziło o szeroką integrację młodzieży, wykraczającą poza obszar własnej okolicy. Dlatego też Szika Kacir, członek Haszomer Hacair, przyjechał do Lublina aż z Wołynia. Natomiast z Lublina do Słonimia w województwie nowogrodzkim udał się inny członek tej samej organizacji. Warto zaznaczyć, że chaluce z góry wiedzieli, dokąd trafią w Palestynie. Każda hachszara stanowiła jednocześnie część gdudu, czyli jednostki założycielskiej konkretnego kibucu w Ziemi Obiecanej.

Kibuc „Ha Szaron", lubelska hachszara

powstała prawdopodobnie w latach 1919-1921. Mieściła się w zabudowaniach Fabryki Wyrobów Tytoniowych położonej przy ul. Krawieckiej 41, należącej wówczas do Nechemiasza Krasuckiego, bogatego lubelskiego syjonisty. Chaluce przyuczali się tam do zawodu robotnika, pracując całymi dniami za tak niewielkie pieniądze, że członkowie innych organizacji syjonistycznych przynosili im do fabryki jedzenie. Lubelscy chaluce odbywali także praktyki rolne. Nie mając własnej farmy, zatrudniali się grupami (po 15-20 osób) u żydowskich właścicieli podlubelskich majątków.

„Ha Szaron" mieścił się w lewej oficynie kamienicy przy ul. Krawieckiej 41, w dwóch dużych salach budynku. Szika Kacir mieszkał w nim trzy lata, od 1935 do 1938 roku i wspomina panujące tam warunki:

„Na parterze mieszkali zwykli lokatorzy, ale my nie mieliśmy żadnych kontaktów z nimi. Nam dali pierwsze i drugie piętro. Sala na drugim piętrze służyła jako jadalnia, kuchnia i prowizoryczna umywalnia. Wodę trzeba było przynosić kubłami z ulicy. Sypialnię podzielono na pół ścianą z dykty i z jednej strony spali chłopcy, z drugiej dziewczęta. Nie było dość miejsca na wszystkie łóżka, więc spaliśmy po dwie osoby w jednym. Tak samo dziewczynki. Mimo to miejsca było ciągle mało. Umocowaliśmy więc jedno łóżko nad drugim. Grupa, która mieszkała przed nami wymalowała ściany, tak że my mieliśmy już ładnie i czysto. Trzymaliśmy czystość. Ci biedni ludzie z parteru mówili nam nieraz – Wy to mieszkacie w pałacu. – Myśmy to zrobili sami. Wy możecie tak samo – odpowiadaliśmy".

Nie jest możliwe dokładne określenie liczby wszystkich członków kibucu „Ha Szaron". Osoby, które zakwalifikowały się do emigracji, wyjeżdżały z Lublina, a ich miejsca zajmowali nowi ochotnicy. Zgodnie ze spisem lokatorów z 1937 roku w kamienicy mieszkało 60, a w 1939 roku 50 członków kibucu. Według Sziki Kacira w latach 1935-1938 było ich około 80, w tym 50 mężczyzn i 30 kobiet. Wszyscy pochodzili spoza Lublina, najczęściej z małych miejscowości. Wywodzili się w większości z rodzin średnio zamożnych, co znaczyło wtedy – utrzymujących się z rzemiosła lub handlu. Społeczność chaluców na ul. Krawieckiej 41 stanowiła

przykład typowej komuny

Żaden z jej członków nie posiadał niczego na własność. Wszystkie rzeczy przywiezione z domu przekazywano na rzecz kibucu, nawet odzież. Szika Kacir z nostalgią opowiada o tamtych czasach:

cych wówczas syjonistycznych organizacji – „Hechaluc". W całej Polsce liczyła ona wówczas 2,5 tys. członków, w tym 1,7 tys. zakwalifikowanych do osiedlenia się w Palestynie. W Lublinie do „Hechaluc" należało 60 osób. Przy „Hechaluc" istniała także skupiająca młodzież – „Hechaluc Hacair", która liczyła 36 członków. W jej Zarządzie zasiadali: Mordko Muszkat, Josef Zajchter, Alergand i Monia Najsztajn. APL, Ekspozytura Policji Politycznej w Lublinie, sygn. 12, s. 42-47.

Lublin. Członkowie kibucu należącego do młodzieżowej organizacji Ha-Szomer ha-Ca'ir. Fot. zrobiona 20 czerwca 1933 roku. Źródło: Photo Archive/ Beit Lohamei Haghetaot/ Israel (http://english.gfh.org.il/ search.asp).

„Dzisiaj jest już inaczej, bo mamy prywatne ubrania, a wtedy każdy dostawał co piątek po praniu inne spodnie, inną bluzę. Czasami trafiało się za wielkie ubranie, czasami za małe, ale nie chcieliśmy przywiązywać się do rzeczy przywiezionych z domu”[5].

Podstawowym obowiązkiem członków wspólnoty była codzienna praca. Wszystkie zarobione pieniądze trafiały do wspólnej kasy. W latach trzydziestych w Lublinie o pracę było bardzo ciężko. Przyjezdni młodzi syjoniści nie mogli jej znaleźć nawet za pośrednictwem żydowskich związków zawodowych. Te zresztą, pod wpływem Bundu albo komunistów, dbały o pracę jedynie dla swoich zwolenników. Członkowie kibucu podejmowali się więc każdej, nawet najcięższej i najmniej płatnej roboty. Mężczyźni np. rżnęli drewno na opał dla piekarni żydowskich.

„Piekarnie żydowskie zatrudniły nas – mówi Szika Kacir – bo u nich praca nie była zorganizowana przez związek. Ale wyzyskiwali nas. Płacili bardzo mało, nie więcej niż dwa złote za osiem godzin pracy albo wcale nie dawali pieniędzy, tylko chleb. Bardzo trudno było się utrzymać. Kupowaliśmy jedynie ziemniaki, chleb imasło, ale bardzo mało. Mięso jadaliśmy raz, dwa razy na tydzień, najczęściej w sobotę. Od czasu do czasu otrzymywaliśmy niewielką pomoc od Gminy. Myśmy nie chcieli być zależni od nikogo”.

Mężczyźni z kibucu pracowali również na stacji kolejowej jako tragarze przy rozładunku i załadunku worków z mąką. Dziewczęta zarabiały m.in. sortując i pakując len. Siedziały na ziemi dookoła rozrzuconego lnu, segregowały go i układały w bele. Tak przygotowane ładunki o wadze od 25 do 30 kg mężczyźni przenosili do składów. Dla młodych ludzi, nieprzyzwyczajonych na początku do ciężkiej fizycznej pracy, był to bardzo duży wysiłek. Jak wspomina Szika Kacir, chaluce pracowali najczęściej przy układaniu drewna w składach materiałów budowlanych. On sam pracował jako ślusarz w fabryce (nauczył się tego zawodu od ojca, który był ślusarzem w Ostrogu) oraz jako nauczyciel języka hebrajskiego. Korepetycji udzielał m.in. córce Beli Dobrzyńskiej[6]. Tak to zapamiętał:

„Córka Beli Dobrzyńskiej była w moim wieku i studiowała na uniwersytecie. Była dość ładna. Jej mąż już wyemigrował do Palestyny, a ona szykowała się do wyjazdu, dlatego zostałem jej nauczycielem. Przychodziłem do niej dwa, trzy razy na tydzień. Dobrzyńscy byli dość bogaci, za to ja – zawsze głodny. Nieraz chcieli zaprosić mnie na obiad, ale nigdy się nie zgodziłem, bo wiedziałem, że w tym samym czasie koledzy z mojego kibucu siedzieli w domu bez jedzenia. Zdarzyło się tylko, że jak było bardzo zimno, wypiłem u Dobrzyń-

[5] We współczesnych izraelskich kibucach członkowie społeczności posiadają ubranie na własność. Wciąż jednak oddają je do wspólnej kibucowej pralni, a każda sztuka ubrania oznakowana jest numerem.

[6] Bela Dobrzyńska, znana w Lublinie przedwojenna działaczka syjonistyczna, była współzałożycielką i wiceprzewodniczącą Związku Kobiet Żydowskich w Lublinie, mającego, przez pewien okres, swoją siedzibę w kamienicy przy ulicy Krawieckiej 41. Związek prowadził tam Ochronkę-Przychodnię „Ognisko”.

skich szklankę gorącej herbaty. Bardzo o to prosili i wypiłem".

Równolegle z przygotowywaniem się do pracy fizycznej chaluce z ul. Krawieckiej 41 uczyli się języka hebrajskiego i historii Żydów. Pracowali codziennie, siedząc do późna w nocy, w grupach od dwóch do czterech osób. Korzystali z polskich i hebrajskich książek. Organizowano również dla nich seminaria, na których wygłaszali referaty zaproszeni z Warszawy przywódcy Haszomer Hacair.

Z relacji Sziki Kacira wynika, że w domu przy ul. Krawieckiej 41 członkowie kibucu tworzyli zamkniętą społeczność przyjaciół, działających w myśl zasady –

„jeden za wszystkich, wszyscy za jednego"

Razem pracowali, mieszkali, spożywali posiłki, spali w tym samym pokoju i wspólnie decydowali o wszystkich sprawach. Razem spędzali też czas wolny, np. szabat. Ponieważ byli ortodoksyjnymi Żydami dlatego organizowali w szabat wycieczki, zebrania albo słuchali wykładów.

Najwyższą władzą kibucu było zebranie ogólne wszystkich członków, obradujące w każdą sobotę wieczorem. Uchwały podejmowano większością głosów. Istniał również sekretariat, zajmujący się bieżącymi sprawami bytowymi. W jego skład wchodziły dwie osoby, najczęściej dziewczyna i chłopak, wybierane przez zebranie ogólne i jemu też podlegające. Do spraw rozstrzyganych na forum zgromadzenia ogólnego należała np. decyzja o przyjęciu nowego członka. Kandydat musiał mieć od 12 do 18 lat, a po okresie próbnym decydowano, czy może zostać.

Członkowie kibucu „Ha Szaron" w domu przy ulicy Krawieckiej 41 w Lublinie. Fot. ze zbiorów Muzeum Kibucu Yad Mordechai w Izraelu [T. Cz.].

Członkowie hachszary mieli

jeden cel – wyjazd do Palestyny

Życie innych ludzi, nawet sąsiadów, niezbyt ich interesowało. Dlatego Szika Kacir nie potrafi dziś wymienić nazwiska choćby jednego lokatora mieszkającego kiedyś przy ul. Krawieckiej 41. Nic mu też nie mówią nazwy innych organizacji mających tam kiedyś swoją siedzibę. Szika Kacir zapamiętał jedynie ubóstwo okolicznych mieszkańców:

„Najbiedniejsi, najnędzniejsi, którzy oprócz pomocy z Gminy nie mie-

Kadry zdjęcia z poprzedniej strony.

li żadnych innych dochodów, mieszkali w tym domu. Z okna widziałem, że w każdym pokoju spały razem dwie albo trzy rodziny. Nie wiem, jak mogli tak żyć. Pamiętam, że gdy ktoś umarł, wzięli go na jakieś łóżko, położyli przy wejściu do bramy, przykryli gazetami i czekali, aż przyjdzie ktoś z Gminy zabrać trupa. Tylko jeden raz mieliśmy bliższy kontakt z pozostałymi lokatorami kamienicy. W budynku była niewykorzystana piwnica bez okien. Myśmy ją wyczyścili i urządziliśmy w niej pralnię. I ci biedni sąsiedzi stali w kolejce do naszej pralni, żeby wziąć brudną wodę po praniu, ponieważ było w niej mydło. Ale pewnego razu przyszli inni ludzie z miasta i chcieli zabrać nam pralnię, żeby mogły w niej zamieszkać kolejne dwie rodziny. Musieliśmy z nimi walczyć. Na szczęście przyszli policjanci i powiedzieli, że nikt nie ma prawa nas z tej piwnicy wyrzucić. W dzielnicy żydowskiej było ciasno, brudno, biednie. Nie wspominam jej mile. Za czasów niemieckich było tam getto, ale za naszych czasów też tam było getto".

[7] Netania – miasto położone 35 km na północ od Tel Awiwu, powstałe w 1929 roku jako ośrodek uprawy cytrusów. Nazwane na cześć amerykańskiego filantropa Nathana Straussa.

[8] Obecnie w kibucu Yad Mordechai mieszka ośmioro byłych członków lubelskiej hachszary. Wielu z tych, którym udało się wyemigrować do Palestyny, poległo w wojnach o niepodległość Izraela.

Oczekiwanie chaluców na wyjazd trwało od kilku miesięcy do kilku lat. O zakwalifikowaniu konkretnej osoby decydowało zebranie ogólne na wniosek sekretariatu. Jednak ostateczny głos mieli przywódcy organizacji z Warszawy. Przeszkodą wydłużającą procedurę wyjazdu stanowiły ograniczenia imigracyjne stosowane przez Wielką Brytanię, sprawującą wtedy mandat nad Palestyną. Kiedy Anglicy wstrzymali w ogóle wydawanie zezwoleń na wjazd do Erec Israel, zorganizowano przemyt ludzi. Z pierwszą nielegalną grupą wyjechał w 1938 roku Szika Kacir:

„Choć byłem w kibucu nie więcej niż trzy lata, zakwalifikowano mnie, bo dostałem powołanie do polskiego wojska. Wiedziałem, że wtedy nigdy bym już do Palestyny nie dotarł. Najpierw wróciłem z Lublina do domu, gdzie przez miesiąc szykowałem się do podróży. Anglicy wstrzymali akurat wydawanie certyfikatów, przygotowaliśmy więc sto dwadzieścia osób do nielegalnego przerzutu. To znaczy, wyrobiliśmy normalne paszporty, w których każdy z nas miał co innego napisane. Ja na przykład oficjalnie jechałem do Francji jako handlowy agent. Po czym pociągiem z Warszawy – przez Lwów i Węgry – przyjechaliśmy do Aten. W porcie dowiedzieliśmy się, że już więcej nie jesteśmy Polakami, nikt nas nie szuka i popłyniemy dalej statkiem. Statek był brudny i tak mały, że nie było nawet gdzie wygodnie usiąść. Płynęliśmy cały tydzień praktycznie bez jedzenia. Mieliśmy jedynie wodę do picia. W końcu dotarliśmy do kolonii Netania, gdzie już czekali na nas inni członkowie lubelskiej hachszary[7]. Kibuc nazywał się „Micpe Hayar", co znaczy „Patrzysz na morze", a to dlatego, że znajdował się na wzniesieniu akurat nad brzegiem morza. Dawaliśmy stamtąd znaki statkom wiozącym kolejnych nielegalnym alijach".

Większości członków kibucu „Ha Szaron" udało się wyjechać do Palestyny. Ci, którzy mieszkali w hachszarze przy ul. Krawieckiej 41 w dniu wybuchu wojny, prawdopodobnie zginęli, ale dziś nikt nie wie, ilu ich tam wówczas było[8].

Tomasz Czajkowski

Związek Kobiet Żydowskich i Ochronka-Przychodnia „Ognisko”

30 sierpnia 1927 roku zarejestrowane zostało w Warszawie stowarzyszenie pod nazwą Związek Kobiet Żydowskich (ZKŻ). Statut przyznawał ZKŻ prawo tworzenia oddziałów na terenie całego kraju. Taki lokalny oddział powstał również w Lublinie. Jedną z jego współzałożycielek była znana w mieście działaczka syjonistyczna Bela Dobrzyńska. W latach 1935-1937 Związek Kobiet Żydowskich w Lublinie miał oficjalną siedzibę w domu przy ul. Krawieckiej 41.

Zgodnie ze statutem, działalność ZKŻ miała na celu przede wszystkim: rozwój kulturalny i budzenie tożsamości narodowej wśród kobiet żydowskich; obronę ich praw oraz interesów narodowych, ekonomicznych i zawodowych; pomoc w wykształceniu ogólnym i zawodowym; budowanie więzi koleżeńskich; pomoc w bieżących problemach członkiniom związku; opiekę nad matkami i dziećmi, a także wspieranie moralne i materialne emigrantek, udających się do Palestyny. Dla osiągnięcia tych zadań ZKŻ miał prawo do prowadzenia działalności kulturalno-oświatowej[1]. Lubelski oddział Związku poświęcił się głównie pracy na rzecz własnego zakładu opiekuńczego dla dzieci pod nazwą Ochronka-Przychodnia „Ognisko”. W latach 1932-1939 zakład ten miał siedzibę w domu przy ul. Krawieckiej 41.

Statut ZKŻ wymieniał trzy kategorie członkiń: rzeczywiste, honorowe i aplikantki. W latach 1935-1937 do lubelskiego ZKŻ należało od 180 do 200 osób. W skład Zarządu lubelskiego ZKŻ wchodziły: Dora Lewin, Bela Dobrzyńska (wiceprzewodnicząca), R. Nisenbaum, Chana Goldsztejn, M. Bursztyn, R. Zajfen, Ch. Persik, F. Fefer oraz Dina Feder-Ajzner. Członkinie Zarządu funkcje swe pełniły honorowo. Posiedzenia Zarządu odbywały się co jeden, dwa tygodnie.

Zgodnie z oceną organu nadzorczego (tj. starostwa lubelskiego) Związek prowadził „ożywioną działalność”. Wydatki i fragmenty urzędowych sprawozdań potwierdzają, że w głównej mierze była ona poświęcona „Ognisku”[2], które co najmniej od 1 kwietnia 1932 roku miało siedzibę w kamienicy przy ul. Krawieckiej 41. Data powstania Ochronki-Przychodni podawana jest w źródłach raz jako 1926 rok, a raz jako 15 września 1927 roku. Użyte w nazwie Zakładu słowo „ochronka” może wprowadzać w błąd. Było to właściwie przedszkole, nazywane w okresie przedwojennym „freblówką”. W oficjalnych sprawozdaniach używano również terminu „dzieciniec”[3].

Genezę powstania „Ogniska” przedstawiła na posiedzeniu Rady Miejskiej Bela Dobrzyńska.

[1] Związek w szczególności mógł: a) urządzać odczyty, wykłady, konferencje, zwoływać zjazdy, b) otwierać uniwersytety ludowe i zakładać kursy, c) utrzymywać bibliotekę, czytelnię, d) wydawać broszury i pisma, e) rozwijać życie towarzyskie w gronie swych członkiń, organizować chóry śpiewacze, kółka gimnastyczne, dramatyczne, urządzać koncerty, wieczornice, przedstawienia amatorskie, f) otwierać domy ludowe, g) zakładać kursy przezorności i pomocy, prowadzić biura pośrednictwa pracy, h) organizować pomoc prawną i lekarską dla swych członkiń, i) urządzać letniska, ogniska, świetlice, kolonie letnie, sanatoria, internaty, szkoły i ochronki dla dzieci, j) zakładać

Anna Szwarc i Bela Dobrzyńska w otoczeniu dzieci z przedszkola „Ognisko”. Podwórko kamienicy przy ulicy Krawieckiej 41, 1932 rok. Fot. ze zbiorów TNN [T. Cz.].

Dzieci z przedszkola „Ognisko" na podwórku kamienicy przy ulicy Krawieckiej 41, przedwojenne. 1932 rok. Stoją od prawej: Anna Szwarc (kierowniczka i wychowawczyni przedszkola) oraz Bela Dobrzyńska (wiceprzewodnicząca Związku Kobiet Żydowskich w Lublinie). Źródło: *Sefer Zikkaron Lublin* (*Księga Pamięci Lublina*) Tel Awiw 1957 [T. Cz.].

Miało to miejsce 27 września 1928 roku w trakcie debaty budżetowej na rok 1928/1929. Radna Dobrzyńska zaprotestowała wówczas przeciwko skreśleniu z budżetu miasta subwencji na rzecz „Ogniska" w wysokości 5 tys. zł tymi słowami:

„Czy znacie Panowie tę bezgraniczną nędzę mas żydowskich? Czy znają Panowie dzielnice i nory, w których biedota żydowska wegetuje? W jakich okropnych warunkach sanitarnych ci ludzie żyją, a wraz z nimi i dzieci, które po to się rodzą, by prędko ze świata schodzić? Śmiertelność wśród dzieci ubogiej ludności żydowskiej jest olbrzymia, co Panowie Lekarze stwierdzić mogą, te zaś, co zostają przy życiu, również są skazane na zagładę fizyczną i moralną. Zimne, wilgotne, bez słońca piwnice są grobem za życia dla tych dzieci, rzadko które się wydostaje, a jeśli – to po to, by je zamienić na ulicę, w nie lepszym utrzymaną stanie. Prócz wyboi i cuchnących kałuż dziecko tam nic nie spotyka. Zakrzewienie, trawniki i bruki dla innych dzielnic Magistrat przeznacza i tak bruka dziecko swe ciałko i duszę.

Biedne dzieci przeważnie są opieki pozbawione, gdyż nędza – matki po zarobek wygania, nie dziw więc, że dziecka choroba fizyczna, zaniedbanie moralne i nawet występek się imają. Dla tych oto nieszczęśliwych, opuszczonych, głodnych i zaniedbanych dzieci Związek nasz Ochronkę-Przychodnię założył. Dziecko tam spędza większą część dnia. Jest tam myte, przebierane, dostaje latem trzy razy dziennie zdrowy posiłek, zimą dwa razy dziennie. Oddycha czystem powietrzem i pod okiem troskliwych wychowawczyń odradza się fizycznie i duchowo. Ochronka nasza szła tego lata jeszcze dalej. Pragnąc sumiennie się wywiązać ze wziętego na siebie zadania, sama urządziła dla swych dzieci kolonję letnią, trzymając je sześć tygodni na letnisku, mimo wysiłku, który przekroczył możliwości finansowe Związku.

Ratując dzieci, uzdrawiamy i społeczeństwo. Komisja Finansowo-Budżetowa, nie bacząc na to wszystko, skreśliła preliminowaną na tę instytucję subwencję. [...] Podnoszę przeciw temu najostrzejszy protest, protest przeciw krzywdzie, która naprawioną być winna i zwracam się z apelem do Świetnej Rady o poparcie moich wniosków, o przyznanie subwencji [...] na rzecz ochronki przy Związku Kobiet Żydowskich"[4].

Stan liczebny i płeć dzieci przebywających w Zakładzie w latach 1932-1938

Lata	Liczba dzieci	Płeć
1932/1933	76	30 chłopców i 46 dziewczynek
1933/1934	83	24 chłopców i 59 dziewczynek
1934/1935	60	20 chłopców i 40 dziewczynek
1935/1936	55	18 chłopców i 37 dziewczynek
1936/1937	70	[b. d.]
1937/1938	70	18 chłopców i 52 dziewczynki

spółdzielcze przedsiębiorstwa, sklepy i pracownie. APL, SGL, sygn. 37, *Statut ZKŻ*, pkt 3.

[2] W latach 1935-1936 i 1936-1937 ZKŻ wydał na „Ognisko" odpowiednio 3 554 zł i 4 091,76 zł, co stanowiło 92 proc. związkowego budżetu

Do wystąpienia Beli Dobrzyńskiej ustosunkowała się – na posiedzeniu Rady Miejskiej 2 października 1928 roku – radna klubu PPS Józefa Kunicka:

„Radna Dobrzyńska z dobrą wolą i sercem mówiła o nędzy, jak żydów, tak i Polaków. O niedoli najbiedniejszych nie zapomniał Klub Radnych P.P.S., lecz my nie umiemy głośno krzyczeć, tylko coś robić! Z ciężkim sercem trzeba było pójść na skreślenia i to tylko dlatego, że finanse miasta tego wymagają, bo troska o całość Samorządu tego wymagała"[5] [zachowano pisownię oryginału – przyp. red.].

Mimo to przedszkole „Ognisko" nie przerwała swojej działalności, choć na ul. Krawieckiej 41 nie było odpowiednich warunków dla dzieci. Był to budynek murowany, bez kanalizacji. Na terenie nieruchomości nie było ani ogrodu, ani boiska. Dzieci mogły natomiast korzystać z pobliskich łąk. Ponadto kamienica nie miała własnego ujęcia wody. Mieszkańcy kupowali ją, po dwa grosze za wiadro, na pobliskiej ulicy Wąskiej. Wodę do przedszkola przynosił czasami jeden ze stałych mieszkańców kamienicy – Mosze Wasąg. Zgodnie z jego relacją przedszkole mieściło się we frontowym budynku i zajmowało dwa pokoje z kuchnią. Jeden służył dzieciom do zabaw, drugi była jadalnią i salą przedszkolnych zajęć.

Przedszkole przeznaczone było dla dzieci żydowskich w wieku od półtora roku do siedmiu lat. Zakład nie miał własnego regulaminu. Otwarty był przez 11-12 miesięcy. Dzieci spędzały w nim 6-7 godzin dziennie. Zgodnie z jednym ze sprawozdań ich „dzień był ściśle wypełniony". Przede wszystkim codziennie słuchały bajek i wychowawczych pogadanek. Miały również zajęcia z robótek ręcznych, śpiewu, rysunku i gimnastyki. Pozostały czas spędzały na zabawie, korzystając ze znajdujących się w przedszkolu zabawek, kręgli, obrazkowych loteryjek, gimnastycznych przyrządów itp. Przedszkolne pomieszczenia wyposażone były w stoliki, ławki, krzesła, szafkę i etażerkę. Podopieczni „Ogniska" otrzymywali zimą trzy posiłki: śniadanie, drugie śniadanie i obiad, a latem dochodził jeszcze podwieczorek. Dzieci korzystały również, co dwa tygodnie, z kąpieli. W latach 1932-1939 w Ochronce pracowało od dwóch do pięciu osób.

Krawiecka 41. Fragment fot. ze zbiorów Jakuba Kamińskiego.

Wiele informacji odnośnie do zakładu przynoszą sprawozdania finansowe z lat 1932-1938. Po ich przeanalizowaniu można stwierdzić, że Zakład borykał się z ustawicznymi problemami finansowymi. Dochody nigdy nie pokrywały wydatków. Rodzice podopiecznych ponosili jedynie niewielkie koszty. Przeważnie były to symboliczne opłaty za posiłki, np. w latach 1932-1933 uzyskano kwotę 158 zł za serwowane „porcje mleczne

[3] Dzieciniec – zakład opieki częściowej (otwartej) przeznaczony dla dzieci od półtora roku do czasu rozpoczęcia przez nie nauki szkolnej. Zapewniał dzieciom w godzinach dziennych opiekę wychowawczą i świadczenia materialne. Dzieciniec mógł mieć charakter stały bądź okresowy (np. otwarty tylko w okresie letnim).

[4] APL, *Akta Magistratu m. Lublina*, sygn. 49, s. 145-146.

[5] W dalszej części swojego wystąpienia radna Kunicka podkreślała, iż skreślenia dotknęły zarówno instytucji żydowskich, jak i polskich.

Personel Zakładu w latach 1932-1933

Imię i nazwisko	Funkcja	Wykształcenie ogólne	Liczba godzin pracy dziennie	Uposażenie roczne w zł
Anna Szwarc	Ochroniarka	Domowe	8	900
Balcia Najsztajn	Pomoc ochroniarki	7 oddziałów szkoły powszechnej	8	720
[b. d.]	Kucharka	[b. d.]	10	360
Abram Zakalik	Inkasent	[b. d.]	Bez ograniczeń	112

Kadry zdjęcia ze strony 150.

Całkowita kwota subwencji wyniosła 289 tys. zł, z tego 86 tys. zł przyznano instytucjom polskim, 144 tys. instytucjom żydowskim, a 59 tys. przeznaczono na cele ogólne.

po 5 groszy dziennie". Za buty ofiarowane wszystkim dzieciom udało się zebrać od niektórych rodziców 24 zł. W latach 1937-1938 dzienna opłata za pobyt dziecka nadal wynosiła 5 groszy, a mimo to na siedemdziesięcioro uczęszczających do przedszkola dzieci uiszczało ją zaledwie czterdzieścioro. Tymczasem dzienny koszt utrzymania jednego dziecka wynosił 18 groszy. Zakład mógł funkcjonować jedynie dzięki różnorakim subwencjom i prywatnym ofiarom.

Jedną z nauczycielek „Ogniska", Annę Szwarc, pamięta Aleksander Szryft, który chodził z jej siostrzeńcem do jednej klasy w szkole powszechnej i razem odrabiali lekcje:

„To były dwie siostry. Jedna była nauczycielką w tym przedszkolu, druga, starsza, uczyła mnie śpiewu. Ta starsza wyszła za mąż za zamożnego Żyda Cygielmana. Mieli kilkoro dzieci i sklep z obuwiem oraz kaloszami. Siostry nazywały się z domu Szwarc i miały rzeczywiście ciemną skórę. Sądzę, że ich rodzina przywędrowała kiedyś do Polski po wygnaniu Żydów z Hiszpanii".

Prowadzący Ochronkę Przychodnię „Ognisko" nie doczekali wręczenia nakazu opuszczenia nieruchomości, jaki w lecie 1939 roku otrzymało Towarzystwo „Pas Leorchim" i indywidualni lokatorzy. W połowie lutego 1939 roku przedszkole przeniesione zostało do nowego lokalu przy ul. Złotej 2/4.

Tomasz Czajkowski: Każda informacja o tych ludziach i domu była dla mnie bardzo ważna. W 1939 roku lokatorom wręczono nakazy opróżnienia mieszkań. Ci zjednoczyli się, sformowała się delegacja, która udała się do firmy zajmującej się pisaniem podań. Sformułowano podanie do prezydenta Lublina. Zapłacono za tę usługę złotówkę. Opisano fatalny stan materialny tych ludzi, proszono o przedłużenie rozbiórki do czasu znalezienia jakiegoś innego kąta. Właściwie wejście Niemców uchroniło ten dom przed rozbiórką. Niektórzy uciekli na Wschód, inni tam się wprowadzili. Mieszkańcy byli wzywani do różnego rodzaju robót, ktoś został wysłany do Chełma, ktoś inny dostał wezwanie do pracy w obozie na Lipowej. W 1941 roku wydano zarządzenie o zburzeniu domu. Nie było już oczywiście żadnego odwołania. Lokatorzy zaczęli wysyłać pisma do Rady Żydowskiej z prośbą o zapewnienie mieszkań. Posiadam kilka takich dokumentów i to jest właściwie ostatni ślad po tych ludziach. W 1941 roku w sierpniu ten dom został zburzony. Są dokumenty stwierdzające, w jakich godzinach były dyżury przy jego rozbiórce.

* * *

Andrzej Falber (autor filmu o projekcie „Krawiecka 41"): Zainteresował mnie ten projekt. Dlaczego młody człowiek robi coś takiego? Po kilku spotkaniach z nim dalej nie wiem i podejrzewam, że on też do końca tego nie wie. Ale to nie ma żadnego znaczenia – ważne, że to robi. Mnie się często wydaje, że zainteresowanie młodych ludzi w Polsce judaikami i historią Żydów jest nieszczere, ale powoli zmieniam zdanie. To jest po prostu ludzka ciekawość i ona jest szalenie szczera. To jest naturalny proces. Zajmując się Żydami, odkrywamy naszą polską historię. I Tomek to czyni. Zaczął zupełnie nieświadomie, ale powoli zaczyna rozumieć, że on nie interesuje się Żydami, tylko samym sobą.

WYSTAWA

ELEMENTARZ

dzieci w obozie koncentracyjnym
NA MAJDANKU

Podczas II wojny światowej hitlerowcy zamordowali i zamęczyli w obozach koncentracyjnych tysiące dzieci. Jednym z takich miejsc był obóz na Majdanku. Związane są z nim losy dzieci białoruskich, polskich i żydowskich. Wiele z nich była w wieku, w którym idzie się do szkoły z „Elementarzem" w tornistrze. Książka ta uczy dziecko porządkować i opisywać świat. Zawiera najprostsze kategorie społeczne leżące u podstaw relacji między ludźmi. Przedstawiony w nim świat pozbawiony jest okrucieństwa i zła. Właśnie z niego dzieci zostały wyrwane i wrzucone w świat obozu śmierci, w którym obowiązywał zupełnie inny „elementarz".

Do zilustrowania losu dzieci w obozie wybrano życiorysy czworga z nich – dwójki żydowskich, polskiego, białoruskiego: Haliny Birenbaum, Henryka Żytomirskiego, Janiny Buczek-Różańskiej i Piotra Kiriszczenki. W sposób symboliczny przywołano również postać dziewięcioletniej dziewczynki żydowskiej Elżuni, o której wiadomo tylko tyle, co sama napisała o sobie na kartce z wierszykiem. Śpiewała go na melodię „Z popielnika na Wojtusia iskiereczka mruga". Przestrzeń obozowego baraku przeznaczona na wystawę podzielona została na trzy części: informacyjną, Świat Elementarza i Świat Obozu. Instalacji oprócz warstwy archiwalnej i scenograficzno-fotograficznej towarzyszą dźwięki: śpiewana kołysanka,odgłosy szkolnej przerwy i relacje więźniów-dzieci.

Wystawa jest częścią projektu edukacyjnego zrealizowany przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN" we współpracy z Państwowym Muzeum na Majdanku dzięki dotacji Unii Europejskiej w ramach programu „Nazistowskie obozy koncentracyjne w pamięci historycznej". Oprócz wystawy na projekt złożyły się również: strony www.tnn.lublin.pl/elementarz, drukowany katalog, cykl lekcji w lubelskich szkołach oraz spotkania metodyczne dla nauczycieli. Autor wystawy: Tomasz Pietrasiewicz; koordynator projektu: Marta Grudzińska; oprawa plastyczna: Małgorzata Rybicka; nadzór merytoryczny: Robert Kuwałek.

**NA WOJTUSIA Z POPIELNIKA
ISKIERECZKA MRUGA,
CHODŹ, OPOWIEM CI BAJECZKĘ,
BAJKA BĘDZIE DŁUGA.**

**BYŁA SOBIE RAZ KRÓLEWNA,
POKOCHAŁA GRAJKA,
KRÓL WYPRAWIŁ IM WESELE
I SKOŃCZONA BAJKA.**

**BYŁA SOBIE BABA JAGA,
MIAŁA CHATKĘ Z MASŁA.
A W TEJ CHATCE SAME DZIWY,
CYT, ISKIERKA ZGASŁA.**

BYŁA SOBIE RAZ ELŻUNIA
UMIERAŁA SAMA,
BO JEJ TATUŚ NA MAJDANKU,
W OŚWIĘCIMIU MAMA.
APEL
BLOK
TRANSPORT

Tomasz Czajkowski

Towarzystwo „Pas Leorchim”

W okresie międzywojennym istniało w Lublinie wiele różnego rodzaju żydowskich instytucji charytatywnych. U genezy powstania tych mniej lub bardziej sformalizowanych towarzystw leżał głęboko zakorzeniony w żydowskiej tradycji zwyczaj udzielania pomocy osobom ubogim lub przyjezdnym. Wiele z tych towarzystw opierało swoją działalność na wymogach religijnych, np. „Hachnosas Kało” („Wpływy dla dziewcząt”) – udzielające pomocy dziewczętom żydowskim wychodzącym za mąż, czy „Chesed Ojłom” („Prawdziwe miłosierdzie”) – zajmujące się oddawaniem ostatniej posługi ubogim zmarłym. Podobną organizacją charytatywną było działające w domu przy ul. Krawieckiej 41 Towarzystwo „Pas Leorchim”, czyli „Kromka chleba dla gości”[1]. Głównym celem jego działalności było umożliwienie wszystkim potrzebującym spędzenie szabatu, jednego z najważniejszych świąt w judaizmie, zgodnie z nakazami religii[2].

Już w średniowieczu funkcjonowała w gminach żydowskich na terenie Polski instytucja, a zarazem religijne przykazanie –

„Hachnasat Orchim”

tj. „przyjmowania gości”, która w czasach późniejszych przyjęła formę charytatywnej organizacji. Członkowie towarzystwa udzielali pomocy podróżnym, którzy nie mogli wrócić przed końcem tygodnia do domu. Zadanie wyszukiwania takich osób spoczywało na *gabaju*[3], znającym doskonale wszystkich członków danej religijnej wspólnoty. Gdy gabaj, w trakcie piątkowych modłów, dostrzegał w bożnicy nieznajomego, wypytywał go najpierw, jak się nazywa, skąd pochodzi i czym się zajmuje, po czym podchodził do bimy – podwyższonego miejsca w synagodze, z którego odczytywana jest Tora – i trzykrotnie uderzał w pulpit. Stanowiło to sygnał dla zgromadzonych, że oto jest człowiek, który nie ma gdzie spędzić szabatu. Wtedy któryś z pobożnych Żydów zapraszał gościa do swojego domu. Tym samym czynił miły Bogu, dobry uczynek (micwę). Czasem zapraszano również w ten sposób osoby znajome, ale ubogie. O tej tradycji opowiada Aleksander Szryft:

„Mój dziadek, który nie był zamożnym człowiekiem, ale zarabiał wystarczająco na życie, miał stałego gościa, który w piątek i sobotę jadał u niego. Był to stary wdowiec, z zawodu szewc oraz szames w bóżnicy na ul. Szerokiej 44. Szames, czyli coś w rodzaju kościelnego; taki dozorca, który dbał o porządek i usługiwał. W okolicy żyli również żebracy. Przez cały tydzień jakoś sobie radzili, ale gdy na sobotę zamykano sklepy i ludzie zajmowali się modlitwami w bożnicy, ktoś musiał zadbać, by i w święto nie było głodnych. Nasza religia tego wymaga. Stąd dużo było instytucji charytatywnych. Ich członkowie chodzili z wielkim koszem po

[1] Nazwa Towarzystwa zapisana jest w *Spisie lokatorów domu przy ulicy Krawieckiej Nr 41 w Lublinie, należącego do Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Lublinie* w dwóch językach. Forma „pas” pochodzi z języka jidysz i oznacza kromkę chleba (w języku hebrajskim byłoby to „pat”). „Leorchim” oznacza w języku hebrajskim „dla gości”.

[2] Szabat trwa od zachodu słońca w piątek do zachodu słońca w sobotę. Obowiązuje wtedy, rygorystycznie przestrzegany w środowisku ortodoksyjnych Żydów, zakaz wykonywania wszelkich czynności z wyjątkiem ratowania życia lub zdrowia. Można natomiast i należy wypoczywać, jeść, pić, modlić się i studiować religijną literaturę.

Krawiecka 41. Fot. Henryk Poddębski. Reprodukcja na podstawie przedwojennego przewodnika po Lublinie. Ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

podwórkach i nawoływali, żeby wrzucać chleb, chały, cebulę i tym podobne rzeczy. Zachowywali nawet jakąś stałą kolejność tych produktów do wrzucania. Ludzie obwiązywali w papier, co mogli dać i rzucali z okien. W ten sposób zbierano również żywność dla więźniów na Zamku".

„Pas Leorchim"

było stałą instytucją gwarantującą osobom potrzebującym, najczęściej ubogim, których na ul. Krawieckiej nie brakowało, godne spędzenie szabatu. Mieszkańcy żydowskiej dzielnicy wiedzieli, że zawsze mogą przyjść do siedziby towarzystwa, pomodlić się i dostać jeść.

Towarzystwo mieściło się w Lublinie na pierwszym piętrze kamienicy przy ul. Krawieckiej 41 i zajmowało trzy albo cztery pomieszczenia. Znajdowała się tam niewielka bożnica, kuchnia, gdzie przygotowywano obowiązkowy tradycyjny czulent[4], a także inne świąteczne potrawy. Pierwszy posiłek, na powitanie szabatu, spożywano tuż po piątkowych modłach. Następnego dnia, również po zakończeniu modlitw w bożnicy, częstowano drugim posiłkiem, po czym śpiewano wspólnie zmirot, czyli religijne pieśni i hymny dziękujące Bogu za ofiarowane święto. Trzeci, ostatni posiłek jedzono w sobotę po południu, na krótko przed zakończeniem szabatu. Odprawiano wtedy Hawdalę, tj. rytuał oznaczający koniec dnia świątecznego i początek powszedniego.

Towarzystwo „Pas Leorchim" na ul. Krawieckiej 41 działało także w czasie innych żydowskich świąt, takich jak Nowy Rok czy Pesach. Przygotowywano wtedy posiłki dla żydowskich więźniów na Zamku Lubelskim. Opowiada o tym Mosze Waśąg:

„Oni [członkowie towarzystwa – przyp. red.] posyłali do więzienia na Zamek koszerne jedzenie – rybę, rosół z mięsem, bo byli tam aresztanci żydowscy. Mnie już znali i wiedzieli, że chętnie im pomagam, a pomagałem faktycznie, ile mogłem. Nie tylko zresztą ja, koledzy też. Miałem wtedy 14–15 lat. Zanosiłem dary nie do cel, tylko na korytarz. Dyżurny z więzienia miał listę, wzywał według imienia i każdy z więźniów sam odbierał swoja porcję. To w większości byli politycznie aresztowani".

„Pas Leorchim" częściowo przynajmniej było subsydiowane ze środków Gminy Żydowskiej. W preliminarzu budżetowym Gminy na rok 1938 zapisano na rzecz Towarzystwa 300 zł. Ostatecznie jednak, wobec ograniczenia wydatków, przyznano tylko 182,50 zł[5].

W 1939 roku „Pas Leorchim" zastosowało się do wydanego przez Wydział Budownictwa Zarządu Miejskiego nakazu eksmisji z przeznaczonej do rozbiórki nieruchomości i 10 lipca opuściło budynek przy ul. Krawieckiej 41.

[3] Gabaj – urzędnik gminny odpowiedzialny za organizację instytucji dobroczynnych . Zob. *Kalendarz Żydowski 1986-1987*,Warszawa 1986, s. 17

[4] Czulent – tradycyjna świąteczna potrawa złożona z fasoli, mięsa, ziemniaków. Danie przyrządza się w piątek po południu, pozostawiając na piecu przez noc, tak by było gotowe na obiad w sobotę. *Kalendarz żydowski 1986-1987*, Warszawa 1986, s. 16.

[5] *Sprawozdanie Zarządu Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Lublinie za rok 1938*, w: Żydzi w Lublinie, red. Tadeusz Radzik, t. II, Lublin 1998, s. 375, 381.

Tomasz Czajkowski: Niewątpliwie dużo zyskałem na tej przygodzie, na pewno chciałbym wrócić do tego kraju i do tych ludzi. Byli bardzo serdeczni, przyjacielscy. Mówię przede wszystkim o Żydach polskich, ale także o młodych Izraelczykach, którzy nie mają żadnych uprzedzeń do Polski ani do Polaków. Jeżeli rozmawiałem z młodym Izraelczykiem czy Żydem, to ten ktoś nie może powiedzieć, że w Polsce żyją tylko antysemici, bo przecież rozmawiał ze mną i może sobie w ten sposób wytłumaczyć, że takich jak ja jest więcej. Kontakty osobiste wiele mogą wyjaśnić, wiele mogą przełamać.

* * *

Robert Kuwałek: Czy wśród ofiar Majdanka, miejsca bardzo związanego z zagładą Żydów lubelskich, mógł być ktoś z budynku przy Krawieckiej 41? Nie sądzę. Jestem przekonany, że jego mieszkańcy zostali dokwaterowani do przytułków dla uchodźców. Mieściły się one w lubelskich synagogach. Ci ludzie w pierwszej kolejności byli wysyłani do obozu zagłady w Bełżcu.

* * *

Tomasz Czajkowski: W pewnym momencie zdobyłem wystarczającą liczbę dokumentów do podjęcia jakiegoś kontaktu z Izraelem. Napisałem list do znajomego, który skontaktował mnie z Aleksandrem Szryftem, przewodniczącym Ziomkostwa Lublinian w Izraelu. Odpisał, że dwóch mieszkańców tego domu żyje: Mosze Waśąg w Tel Awiwie i Josef Bojm w Kanadzie. To był przełom w mojej pracy. Naturalnym pragnieniem było spotkanie z nimi i skonfrontowanie dokumentów, mojej wiedzy na temat tej kamienicy z ich opowieściami o domu, o swoim dzieciństwie, o Krawieckiej i Lublinie. Postanowiłem pojechać do Izraela, żeby spotkać się z Mosze Waśągiem. W 1939 roku uciekł z żoną na Wschód. Cała jego rodzina zginęła, poza siostrą, która została przechowana przez Polaków w Lublinie. ■

Krawiecka 41 – aneks

We wszystkich ścianach zewnętrznych istnieją znaczne pęknięcia dochodzące do 5 cm szerokości, rozszerzające się ku górze, a świadczące o osiadaniu budynku, przy czym ściana od strony południowej odchyliła się od pionu. Mury w wielu miejscach rozluźnione, co świadczy o pozbawieniu własności łączących zaprawy. Ściany kominowe wewnątrz budynku posiadają pęknięcia pionowe wzdłuż kanałów. Schody drewniane zużyte, zagrażają bezpieczeństwu pożarowemu. Na wszystkich kondygnacjach stropy wygięte, co świadczy o przegniciu belek, przy czym poziomy krawędzi stropów wykazują spadek ku stronie południowej. Balkony posiadają pomosty drewniane przegniłe, zaś wsporniki i balustrady żelazne przerdzewiałe. Nadproża otworów okiennych i drzwiowych popękane. W klatce schodowej mury w znacznym stopniu rozluźnione. W sieniach stropy drewniane grożą zawaleniem. Zabezpieczenie ich przed zawaleniem wykonane nie fachowo. W mieszkaniach trzony kuchenne ustawione na paczkach drewnianych, posiadają rury dymowe w nieprzepisowej odległości od ścian drewnianych. Część z nich wyprowadzona jest przez okno na ulicę. Konstrukcja dachu zmurszała, przegniła i wypaczona. Pokrycie dachowe zniszczone. Kominy na strychu zrujnowane.

Fragment raportu komisji mieszanej złożonej z przedstawicieli Inspekcji Budownictwa, Wydziału Spraw Społecznych, Działu Pomiarów i Zabudowy Miasta,Oddziału Drogowego i Policji, która poddała nieruchomość oględzinom 22 września 1937 roku. Fragment dotyczy budynku frontowego. Źródło: APL, IBmL, sygn. 2235 [przyp. red.].

Ostatni spis lokatorów kamienicy (z początku 1939 roku)

Josef Nordman, Sender Stopa, Miriam Liberman, Moszek Bojm, Josek Goldman, Srul Reden, Jankiel Akiersztajn, Toba Berger, Jankiel Goldman, Hersz Bajtelman, Icek Edelsztajn, Hersz Frym, Rajzla Waság, Froim Waság, Złata Oksman, Majer Śliwka, Szajndla Mer, Josek Tauber, Ruchla Fiszman, Lejb Fajersztajn, Fajwel Śliwka, Moszek-Mendel Gewerc, Szajndla-Łaja Glazer, Luba Arbetman, Abram Kranc, Miriam Geszychter, Aron Elzon, Srul Precelman, Chaja-Liba Aspis, Chaim Lederfarb, Cał Akiersztajn, Hersz-Jakób Harsztajn, Estera Cang, Abram Bojm, Noech Rozenwajn, Bencjan Korenblit, Jojna Cygielman, Chil Korensztajn, Szloma Rajdman, Pinia Zyswaser, Dawid Frydman, Lejb Szulszrajber, Szmul Urman, Moszek Garfinkiel, Judel Jungman, Moszek Fenstermacher, Rywka-Ruchla Chudy, Jeremiasz Szklarz, Mordechaj Goldberg, Lejb Cytryn, Zyskind Finkielsztajn, Icek Nadelsztajn, Szloma Goldring, Lejb Garnek.

Spis lokatorów domu przy ulicy Krawieckiej Nr 41 w Lublinie, należącego do Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Lublinie, od którego wszystko się zaczęło. Jedynie przy sześciu osobach zaznaczono, że pracują. Większość miała przynajmniej troje dzieci. W sumie w dniu sporządzenia tego dokumentu mieszkało tam 325 osób. Tamże [przyp. red.].

16 czerwca 1939 roku

Przymusowe usunięcie nas z mieszkań spowoduje zamieszkiwanie przez blisko 300 osób pod gołym niebem, gdyż jak jest powszechnie wiadomem, żyjemy wszyscy w najskrajniejszej nędzy i nie posiadamy najmniejszych nawet funduszów na wynajęcie mieszkań. Znajdujemy się z tego powodu w położeniu bezwyjściowym, gdyż zamieszkiwanie tyle rodzin z małymi dziećmi pod gołym niebem jest wprost niemożliwe. Zachodzi więc konieczna potrzeba przedłużenia terminu opróżnienia lokali dla umożliwienia każdemu z nas szukania dla siebie jakiegoś konta, aby miał dach nad głową.

Zwracamy się więc z pokorną prośbą do PANA PREZYDENTA jako do OJCA naszego miasta i ze łzami w oczach prosimy o branie pod uwagę faktu naszego zupełnego ubóstwa i przedłużenie terminu opróżnienia przez nas mieszkań. Przychylnej i rychłej decyzji PANA PREZYDENTA oczekujemy z niecierpliwością.

Fragmenty *Podania 57-miu lokatorów domu w Lublinie przy ulicy Krawieckiej Nr 41 do Pana Prezydenta miasta Lublina*, zachowano pisownię oryginału. Tamże [przyp. red.].

Kalendarium najważniejszych wydarzeń

1801 – pierwsza, pochodząca z Ksiąg Wieczystych informacja o nieruchomości.
1801-1864 – nieruchomość w posiadaniu rodziny Szwalbe.
1864-1869 – nieruchomość w posiadaniu rodziny Zyserman.
1873 – nieruchomość nabywa Motel Wajnman i rozbudowuje ją do 1878 roku.
kwiecień – nowo pobudowana nieruchomość Wajnmana ulega spaleniu.
1879 – nieruchomość nabywa Zelman Herszenhorn.
1880 – na terenie posesji powstaje Parowa Fabryka Wyrobów Tabacznych „Z. Krasucki", należąca do Zelmana Krasuckiego.
1890 – Z. Herszenhorn zaciąga pożyczkę w Lubelskim Towarzystwie Kredytowym, pod zastaw hipoteczny nieruchomości.
1892 – nieruchomość zostaje wystawiona na licytację, dużą jej część nabywa rodzina Krasuckich.
1897 – śmierć Zelmana Krasuckiego, zarząd Fabryki Wyrobów Tytoniowych obejmuje jego syn Nechemiasz.
6 marca 1906 – strajk w Fabryce Wyrobów Tytoniowych.
10 kwietnia 1908 – pożar fabryki.
Grudzień 1908 – kolejna fala robotniczych wystąpień.
1914 – zamknięcie fabryki z powodu wybuchu I wojny światowej.
13 września 1917 – w Międzyrzecu Podlaskim przychodzi na świat Mosze Wasąg, czwarte dziecko Rajzli i Chaskiela Wasągów.
24–27 grudnia 1917 – kamienica miejscem obrad ogólnokrajowego zjazdu Bundu.
1918 – rodzina Wasągów przenosi się do Lublina, gdzie do 1933 roku mieszka przy ulicy Podwale 11.
1919/1921 – prawdopodobna data założenia kibucu-hachszary.
7 września 1920 – fabryka otrzymuje „zasadnicze zezwolenie przemysłowe" na wznowienie produkcji.
Lipiec 1922 – kolejna fala strajków w Fabryce Wyrobów Tytoniowych.
20 lutego 1923 – właściciele nieruchomości zaciągają pożyczkę w Polskim Monopolu Tytoniowym.
2 marca 1925 – nieruchomość kupuje Gmina Wyznaniowa Żydowska w Lublinie (prawdopodobnie z przeznaczeniem na szkołę rzemieślniczą).
1931 – prawdopodobna data wprowadzenia się pierwszych lokatorów.
1932 – w kamienicy lokuje swoją siedzibę Lubelskie Towarzystwo Popierania Uczących się Biednych Dzieci Żydowskich, a od **1 kwietnia** działa tu również Ochronka-Przychodnia „Ognisko" prowadzona przez Związek Kobiet Żydowskich w Lublinie.
Rok 1933 – Rodzina Wasągów przeprowadza się z ul. Podwale 11 na ul. Krawiecką 41.
27 maja – 29 września – trzy kolejne inspekcje sanitarno-budowlane stwierdzają fatalny stan budynku.
Od 1 kwietnia 1935 do 31 marca 1937 – Związek Kobiet Żydowskich w Lublinie przenosi swoją siedzibę do kamienicy.
Rok 1935 – do kamienicy wprowadza się Szika Kacir, członek kibucu „Ha Szaron".

26 czerwca 1935– raport policyjny potwierdzający fatalny stan techniczno-sanitarny nieruchomości.

20 sierpnia 1935 – lokatorzy wraz z całymi rodzinami udają się do Gminy Żydowskiej, żądając ratowania kamienicy.

16 sierpnia 1936 – administrator nieruchomości Chaim Szulim Mecherowski w piśmie do Wydziału Budownictwa odmawia ponoszenia odpowiedzialności za stan domu i możliwe wypadki.

22 sierpnia 1937 – powstanie *Spisu lokatorów domu Nr 41 przy ul. Krawieckiej*, zawierającego 50 nazwisk głównych lokatorów, liczbę osób w każdej rodzinie oraz nazwy trzech organizacji mających tam swoje siedziby.

22 września 1937 – komisja złożona m.in. z przedstawicieli Inspekcji Budownictwa, Wydziału Spraw Społecznych i Policji po dokonaniu oględzin nieruchomości zaleca natychmiastowe wysiedlenie lokatorów i przeprowadzenie gruntownego remontu.

Rok 1937 – eksmisji lokatorów, w tym rodziny Mosze Wasąga.

Rok 1938 – Szika Kacir wyjeżdża nielegalnie do Palestyny.

Luty 1939 – z kamienicy wyprowadza się Ochronka-Przychodnia „Ognisko".

12 czerwca 1939 – lokatorzy otrzymują nakazy opuszczenia lokali najpóźniej do **3 lipca**.

10 lipca 1939 – wyprowadzka Towarzystwa Dobroczynnego „Pas Leorchim".

16 lipca 1939 – lokatorzy usunięci wcześniej z innych kondygnacji zajmują siłą pomieszczenia zwolnione przez „Pas Leorchim".

7 października 1939 – ślub Hany i Mosze Wasągów.

8 października 1939– ucieczka Hany i Mosze Wasągów do Związku Radzieckiego.

Kwiecień 1940 – w kamienicy prowadzi działalność, powołana przy Radzie Żydowskiej, Komisja Macowa, zajmująca się przydzielaniem macy przed świętami Pesach.

5-30 czerwca 1940 – działająca na żądanie Niemców Komisja Zbierania Metali konfiskuje 16 rodzinom w kamienicy 50,6 kg metali.

17 października 1940 – sporządzenie dla nieruchomości projektu kanalizacji i wodociągu.

11 listopada 1940 – lustracja lokali i stanu materialnego lokatorów w celu ustalenia wysokości czynszu.

4 sierpnia 1941– prawdopodobny początek rozbiórki domu.

16-17 marca 1942 – początek likwidacji lubelskiego getta.

Z lewej posesja na Krawiecka 41, z lewej. Fot. ze zbiorów TNN.

Tomasz Czajkowski

Partie polityczne żydowskiego Lublina

„Aguda święcie wierzyła, że trzeba się zamknąć w Torze, która jest twierdzą i to ona ich przechowa, aż przyjdzie Mesjasz. Syjoniści twierdzili, że nie Tora jest twierdzą, tylko państwo, którego do nadejścia Mesjasza bronić musi dobrze wyćwiczone wojsko. Bundowcy zaś głosili, że Mesjaszem jest socjalizm."[1]

W Lublinie działało kilkanaście żydowskich partii politycznych, obejmujących całe spektrum przekonań. Należy wspomnieć o przynajmniej trzech głównych nurtach politycznych reprezentowanych przez: konserwatywną Agudas Isroel, partie syjonistyczne oraz lewicowy Socjalistyczny Powszechny Żydowski Związek Robotniczy (Bund).

Największe wpływy w żydowskim Lublinie miała partia ortodoksyjno--religijna Agudas Isroel. Do najważniejszych jej celów statutowych należały: obrona praw religijnych Żydów, krzewienie zasad religii, popieranie szkolnictwa wyznaniowego, obrona interesów ekonomicznych. Kwestia emigracji Żydów do Palestyny była mniej istotna od rozwiązywania podstawowych problemów ludności żydowskiej w ich kraju zamieszkiwania.

W opozycji do tego nurtu pozostawał ruch syjonistyczny[2]. Do zwiększenia popularności idei syjonizmu w Polsce przyczyniały się m.in. nieskuteczność koncepcji asymilatorskich, rosnący antysemityzm, rozczarowanie do niepodległego państwa polskiego. Środkami służącymi do osiągnięcia głównego celu syjonistów (czyli utworzenia samodzielnego państwa żydowskiego w Palestynie) były: organizowanie emigracji, krzewienie języka i kultury hebrajskiej oraz dążenie do zmiany struktury społeczno-zawodowej społeczności żydowskiej.

W przedwojennej Polsce istniało wiele miejsc, gdzie młodzież syjonistyczna mogła przygotować się do wyjazdu do Palestyny. Były to zorganizowane na zasadzie komuny kibuce. Miejsce takie istniało również w Lublinie, w domu przy ulicy Krawieckiej 41. Przez trzy lata przebywał tam, we wspólnocie podobnych mu młodych ludzi, Szika Kacir.

Najsilniejszą żydowską partią lewicową w Lublinie był Bund. Pod jego wpływem znajdowało się kilka związków zawodowych i organizacji kulturalno-oświatowych. Przy partii działały organizacje młodzieżowe. Były to: dziecięca Skif oraz młodzieżowa Cukunft (Przyszłość). Do tych młodzieżówek należało przynajmniej dwóch mieszkańców kamienicy przy ulicy Krawieckiej 41: Mosze Waszg (do Skifu wstąpił w wieku 11-12 lat, a do Cukunftu w wieku 17-18 lat), oraz jego przyjaciel Szmuel Śliwka.

Bund występował z jednej strony przeciwko Agudas, opowiadając się za laicyzacją żydowskiego życia społecznego (na przykład starał się uwolnić szkolnictwo żydowskie od wpływów religijnych), a z drugiej strony krytykował partie syjonistyczne. Jeden z czołowych działaczy partii Wiktor Alter pod koniec 1933 roku stwierdził, iż „stworzenie państwa w Palestynie jest niemożliwe i należy bronić sprawy bytu robotników żydowskich w Polsce, a nie w Palestynie". Stanowisko Bundu w tej kwestii doskonale ilustruje wypowiedź Mosze Waszga: „Bo ja byłem socjalistą. Tu się urodziłem, tu jest mój dom, tu jest moja praca, tu jest moja ojczyzna. Ja byłem tak Polakiem, jak każdy

[1] Henryk Grynberg, *Memorbuch*. Zob. tekst pt. *Lubelski dom* w tym numerze [przyp. red.].

[2] Idea powrotu do Palestyny, ziemi obiecanej przez Boga, obecna była w świadomości narodu żydowskiego od czasu zburzenia jerozolimskiej Drugiej Świątyni w 70 roku n.e. i początku rozproszenia (diaspory) Żydów po całym świecie. Pod koniec XIX wieku idea ta uzyskała nową formę – świeckiego, politycznego syjonizmu. Jego twórcą był Teodor Hertz. Lubelski ruch syjonistyczny był silnie zróżnicowany; reprezentowany przez

inny, tylko wyznania mojżeszowego"[3]. Bund najlepsze kontakty utrzymywał z partią polskich robotników – PPS. Współpraca układała się w Radzie Miejskiej, między organizacjami związkowymi, młodzieżowymi i kulturalnymi. Członkowie obu partii wspólnie uczestniczyli w obchodach święta 1 Maja.

Poza nawiasem legalnego życia politycznego, zarówno żydowskiego, jak i polskiego, działała w Lublinie Komunistyczna Partia Polski (KPP)[4]. Znalazła ona wielu zwolenników również wśród lubelskich Żydów. Jednym z nich był mieszkaniec domu przy ulicy Krawieckiej 41 – Fajwł Śliwka. W okresie ofensywy wojsk bolszewickich w Polsce, latem 1920 roku, odegrał ważną rolę w lubelskim Komitecie Rewolucyjnym (Rewkom). Za swoją działalność w ruchu komunistycznym konsekwentnie płacił wysoką cenę, spędzając – według relacji jego sąsiada z Krawieckiej 41, Mosze Wasąga – więcej czasu w więzieniu niż na wolności[5].

Znawca dziejów KPP w Lublinie Emil Horoch wymienia kilka przyczyn znacznego, jego zdaniem, udziału ludności żydowskiej w działalności partii komunistycznej. KPP głosiła atrakcyjną tezę o samostanowieniu mniejszości narodowych, przeciwstawiała się prześladowaniom narodowym i poglądom nacjonalistycznym. Na radykalizację części ludności żydowskiej wpływ miało także duże bezrobocie, niezatrudnianie Żydów w przemyśle państwowym, administracji i szkolnictwie, brak perspektyw dla młodzieży.

liberalno-mieszczańską Organizację Syjonistów Ogólnych, syjonistów religijnych skupionych w partii Mizrachi, Nową Organizację Syjonistyczną i dwie partie łączące idee syjonizmu z socjalizmem: Poalej Syjon – Lewicę i Poalej Syjon – Prawicę.

[3] Relacja Mosze Wasąga z 27 sierpnia 2000 roku (w zbiorach Autora).

[4] Powstała ona 16 grudnia 1918 roku z połączenia SDKPiL i PPS – Lewicy, jako Komunistyczna Partia Robotniczej Polski, a w 1925 roku zmieniła nazwę na KPP. KPP była partią antysystemową. Z zasady występowała przeciwko istnieniu niepodległego państwa polskiego. Polska miała być jedną z części europejskich, a w perspektywie światowych republik radzieckich. Celem nadrzędnym partii była budowa społeczeństwa bezklasowego, w którym środki produkcji stałyby się wspólną własnością.

Jednym z motorów działalności politycznej i społecznej była przed wojną bieda i brak perspektyw. Na zdjęciu: Wieniawa, lata trzydzieste. Ta dzielnica obok Krawieckiej uchodziła za najbiedniejszą część Żydowskiego Lublina. Autor nieznany. Ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

[5] Relacja Mosze Wasąga z 27 sierpnia 2000 roku (w zbiorach Autora). Pierwsza znana informacja o nielegalnej działalności Fajwła Śliwki (ur. w 1888, z zawodu kamasznika) pochodzi z jesieni 1920. W nocy z 15 na 16 września w mieszkaniu Śliwki przy ulicy Krawieckiej 39 przeprowadzona została rewizja. Na strychu odnaleziono maszynę drukarską i zapasowe czcionki, a w całym mieszkaniu liczne dokumenty, ulotki i pisma komunistyczne. Fajwł Śliwka został aresztowany, a następnie oskarżony (w tzw. procesie Rewkomu, który toczył się przed Sądem Okręgowym w Lublinie w dniach 4-20 maja 1922) o to, „że w 1920 r. brał udział w stowarzyszeniu, a mianowicie «Komunistycznej Partii Robotniczej Polski» z wiedzą, iż stowarzyszenie to obrało sobie jako cel działalności obalenie istniejącego w państwie ustroju społecznego przez zagarnięcie władzy, ustalenie dyktatury proletariatu i zamianie istniejącego ustroju państwowego na «Polską Republikę Delegatów Robotniczych»". Został za to skazany, podobnie jak większość oskarżonych w tym procesie, na 2 lata ciężkiego więzienia (bez zaliczenia aresztu prewencyjnego). Nie wiadomo, kiedy rodzina Śliwków przeniosła się do sąsiedniej posesji nr 41. Mieszkali tam (on, żona i czwórka dzieci) w sierpniu 1937. Ze spisu lokatorów z 1939, wiadomo jedynie, iż odsiadywał wtedy kolejny wyrok. Jak wynika z relacji Mosze Wasąga, był on regularnie prewencyjnie zatrzymywany przez policję w okresach zaburzeń społecznych, świąt robotniczych itp. Informacje na temat Fajwła Śliwki przynosi także lektura wspomnień Róży Fiszman-Sznajdman (*Mój Lublin*, Lublin 1989, s. 188-189). Autorka, działająca w nielegalnym lewicowym ruchu robotniczym, pisze o pomocy udzielanej rodzinom więźniów politycznych. Pomoc taką, w postaci pieniędzy lub żywności, otrzymywała również, znajdująca się w tragicznej sytuacji materialnej, rodzina Fajwła Śliwki.

Barbara Odnous

Adam Bromberg – sztukmistrz z Lublina

Nie trzeba udowadniać, jaki wpływ na dorosłość ma środowisko, w którym się wychowujemy. Skoro więc w Lublinie dorastał wydawca o międzynarodowej renomie, powinniśmy być z tego dumni. Czemu zatem tylko garstka lublinian zna jego nazwisko? Czyżby dlatego, że świętował Pesach, a nie Wielkanoc? Luki w pamięci lublinian może pomóc wypełnić książka *Memorbuch* Henryka Grynberga.

Memorbuch zaczyna się cytatem z Pirke Awot[1], a kończy słowami I. B. Singera. Pomiędzy zdaniem „Jest oko, które widzi, i ucho, które słyszy, i księga w której jest wszystko zapisane" a dialogiem: „– I co, pan wierzy w te wszystkie demony, które pan opisuje? Taki pisarz jak pan? Gdzie pan je widział? – Jak to gdzie? W człowieku" rozpisany jest życiorys Adama Bromberga, syna lubelskiego przemysłowca, dyrektora Polskiego Wydawnictwa Naukowego, a po emigracji do Szwecji w 1970 roku z powodu antysemickich szykan – właściciela wydawnictwa, które zakupiło prawa do twórczości Isaaca Bashevisa Singera i Czesława Miłosza na długo przed uhonorowaniem obu pisarzy Literacką Nagrodą Nobla (zaiste, tylko prawdziwy sztukmistrz mógł tego dokonać).

Henryk Grynberg dostrzegł w tym życiorysie, zdeterminowanym przez pochodzenie i komplikowanym nieustannie przez demony tkwiące w człowieku, uniwersalizm żydowskiego losu i umieścił historię Bromberga na tle dziejów narodu. Stąd epizody z życia bohatera przeplatają się w książce z licznymi dygresjami historycznymi czy wtrętami w postaci np. stenogramów wystąpień sejmowych. Kluczem do tego, pozornie dziwacznego, doboru materiałów jest tytuł – *Memorbuch*, czyli Księga Pamięci. Żydzi w diasporze od wieków zapisywali w Księgach Pamięci nazwiska swoich wielkich zmarłych. Po Holokauście pojawiły się Księgi Pamięci miast, np. Lublina, zawierające wspomnienia ocalonych żydowskich mieszkańców, uratowane zdjęcia, dokumenty. *Memorbuch* Henryka Grynberga nawiązuje do tej tradycji, z tą tylko różnicą, iż w „typowej" Księdze Pamięci żadnego znaczenia nie mają walory literackie, a Henryk Grynberg jest znakomitym pisarzem. Opracowując wspomnienia Bromberga, uznał za godną zapamiętania nie tylko historię jego rodziny, ale i, na przykład, antysemickie wystąpienia w polskim Sejmie, zarówno bowiem jedno, jak i drugie stanowi dziedzictwo polskich Żydów.

Arcyciekawe są lubliniana zawarte w książce, zwłaszcza w jej pierwszym rozdziale zatytułowanym „Lubelski dom". Adam Bromberg, wspominając szczęśliwe dzieciństwo, nakreślił barwny obraz Lublina u początku XX wieku. Życie w kamienicy przy ul. Chmielnej, interesy ojca (np. chmiel kupował na pniu w marcu, czego mogą tylko zazdrościć dzisiejsi plantatorzy) i jego pokerowe namiętności, pierwszy samochód w Lublinie (chenard-et-walker z karbidowym oświetleniem kupiony przez ojca), welodrom, gdzie uczono jazdy na rowerze (i nie tylko), korporacje studenckie, atmosfera politycznych sporów itd. Opowieść zawiera bogactwo szczegółów cennych dla współczesnych historyków. Warto podkreślić, iż Bromberg wspomina Lublin z dumą i nostalgią. Niewykluczone, że to sentyment do rodzinnego miasta zwrócił jego uwagę na

[1] Komentarze do Miszny.

twórczości I. B. Singera. Szkoda, że biogramu Adama Bromberga nie znajdziemy ani w lubelskim *Słowniku biograficznym*, ani w lokalnym *Who is who*. Widocznie przyswojenie światu historii Jaszy Mazura, sztukmistrza z Lublina, to za mało, by znaleźć się w gronie zasłużonych lublinian...

Księga, o której mówią cytowane w motcie Pirke Awot, jest oczywiście rejestrem boskich wyroków. Wspomnienia opracowane przez Henryka Grynberga są rejestrem wyroków ludzkich. Demony tkwiące w ludziach zdecydowały, iż nikt z rodziny Brombergów nie mieszka dzisiaj w Lublinie, ale pozostały ślady. Zachowała się ulica Chmielna, nazwana tak dlatego, że dziadek Adama Bromberga wybudował na niej suszarnię chmielu, i są wspomnienia zapisane w postaci Księgi Pamięci, co każe traktować je jako swoisty testament, świadectwo obecności (nie przez przypadek chyba szwedzkie wydanie książki zatytułowano po prostu *Wspomnienia A. Bromberga*). Tu się urodziłem, tu mieszkała moja rodzina, tu też jest moje dziedzictwo – zdaje się mówić Adam Bromberg na przekór wszystkim, którzy lubią manipulować historią.

> Ojciec wierzył w kompromis, nawet z Bogiem. I Bóg się na to zgadzał, bo nikt w naszej rodzinie nie przestał być Żydem, nawet ja.

Henryk Grynberg

Lubelski dom

Jest oko, które wszystko widzi, i ucho, które wszystko słyszy,
I księga, w której wszystko jest zapisane.
Pirke Awot

Dziadek prowadził skup chmielu na wielką skalę i zbudował pierwszą w Lublinie nowoczesną suszarnię, na Chmielnej, którą dlatego tak nazwano. Tu Lublin się kończył, dalej szły tylko polne drogi na Czechów i dalsze przedmieścia. Dziadek umarł nagle, mając zaledwie czterdzieści lat, i babka musiała czym prędzej wydać swoją szesnastoletnią jedynaczkę za kogoś, kto mógłby poprowadzić interes. Kandydatów do posagu nie brakowało, ale babka chciała zięcia skromnej kondycji, który by jej zawdzięczał swój awans i łatwo dawał sobą kierować. Wybrała więc bystrego komiwojażera z Międzyrzeca, który handlował szczeciną i szczotkami, jak większość międzyrzeckich Żydów, ale za poradą swata zrzucił chałat i brodę, zostawiając tylko, dla kompromisu, bokobrody. Babka chciała, żeby wszystko było jak przedtem – spokojnie, rozważnie, a pewnie – ale bystry zięć zapewnił sobie w intercyzie zwierzchnictwo nad interesem i zaraz po nocy poślubnej powiedział teściowej, że to nie sklepik z wodą sodową, i zabronił jej wchodzić do kantoru. [...]

Ojciec zbudował czteropiętrowy magazyn z windami. Potem kupił przyległy plac i postawił kamienicę z wejściem od sąsiedniej ulicy, którą później nazwano 3-go Maja, a która wtedy się tu kończyła. Sztuczny pilaster udawał, że podpiera gzyms

Adam Bromberg (1912-1993) – urodzony w Lublinie syn bogatego przemysłowca, młody komunista, więzień polityczny, wojenny zesłaniec, oficer frontowy Pierwszej i Drugiej Dywizji WP, wydawca o światowej renomie (mówił o sobie „wydawca nałogowy"), w 1945 roku założyciel wydawnictwa MON, a w latach 1953-1965 dyrektor PWN i inicjator wydania Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN. Po serii antysemickich szykan wyemigrował w 1970 roku do Szwecji, gdzie w 1975 roku założył z córką Dorotą wy-

udający głowicę greckiej kolumny i owalny kartusz na szerokość portalu, z wyrytą po rzymsku datą MCMX–MCMXI, cały w kamiennych laurach, jak pomnik. Obfite kamienne girlandy kapały z obu boków bramy, a skąpsze zachwalały okna pierwszego piętra. Drzwi frontowe były szklone rżniętym kryształem, schody z białego marmuru wyścielone czerwonym chodnikiem, kryształowe szyby w oknach klatki schodowej, wymalowane w dziewoje z bujnym biustem i rozwianym włosem, świeciły wszystkimi kolorami tęczy, kryształowe lustra na podestach uprzedzały, kto idzie, a tabliczki ostrzegały, że służba, dostawcy i żebracy mają wstęp tylko kuchennymi schodami, które były kamienne, wąskie i ciemne.

W Kuczki jedliśmy na balkonie pokrytym gałęziami, przez które wiał wiatr, żebyśmy pamiętali, że byliśmy kiedyś bezdomni i że znów może nam się to zdarzyć.

Mieszkania frontowe – pięciopokojowe, trzypokojowe i dwupokojowe – były przestronne, wysokie, widne i amorki w nich fruwały po sufitach. My zajmowaliśmy dwa połączone mieszkania na pierwszym piętrze. Pokoje w lewo, pokoje w prawo, korytarzyk do wąskiej, niewygodnej łazienki i osobnej ubikacji, tak ciasnej, że kobieta w zaawansowanej ciąży już by się nie zmieściła, oraz do dwóch służbówek, w których mieściło się tylko wyrko, a pod nim walizka kucharki i służącej. Dwa pokoje pod nami zajmowała babka z dziewczyną, a pozostałe trzy emerytowany sierżant w stanie wojny z babką o wspólną kuchnię, łazienkę i ubikację. W pięciu pokojach nad nami zamieszkał bezdzietny Elek z żoną. W suterenach pod wysokim parterem znajdował się warsztat, za którym mieszkał szewc, i sklepik, za którym mieszkał sklepikarz. [...]

W piwnicach oficyny, z więziennymi okienkami pod sufitem, było zawsze ciemno, wilgotno i zimno. W jednej mieszkał dozorca Mikołaj z żoną i czworgiem dzieci, który gorliwie czapkował przy każdym spotkaniu, a w drugiej woźnica Walenty, również z liczną rodziną – według ówczesnego modelu: z przodu dostatek, z tyłu bieda, a pod spodem nędza. Lazar się buntował. Renia się oburzała, ale nie pozwalała sobie na głośny protest. Michael, czyli Mitek, żył na innym świecie, pochłonięty elektrotechniką i chemią. Elek nigdy niczym się nie przejmował. Ja męczyłem ojca pytaniami, czy tak musi być, i nalegałem, żeby dał dozorcy i woźnicy mieszkania w oficynie.

– Oni są przyzwyczajeni, na wsi jeszcze gorzej mieszkali – mówił ojciec. – Czy ty wiesz, ile ja dostaję za mieszkanie w oficynie? Ja nie mogę sobie pozwolić na takie mieszkanie dla dozorcy.

Walenty przyszedł z czapką w ręku, żeby ojciec dołożył mu pięć złotych.

– A ile dostajesz?

– Siedemdziesiąt.

– No to tyle, co wszyscy woźnice.

– Ale ja pomagam w suszarni.

– Nie mogę ci więcej płacić.

– Jak to nie możesz? – zaoponowałem, kiedy Walenty wyszedł. – Przecież mnie dajesz co tydzień dziesięć złotych na tenisa, kupiłeś mi skrzypce za sto i masz setki w każdej kieszeni...

– Nie rozumiesz ekonomii – powiedział ojciec. – Z moich dochodów wolno mi wydać, ile chcę, ale nie z kosztów przedsiębiorstwa. Ja nie mam prawa kierować się uczuciami, jeśli obniża to moją rentowność. W przedsiębiorstwie każda złotówka, każdy grosz na siebie pracuje i jeśli tych pięć złotych miesięcznie, czyli sześćdziesiąt rocznie, zaważy na zysku, to jest to niedopuszczalne. Z moim dochodem mogę robić, co chcę, czy będzie to tysiąc, czy pięćdziesiąt tysięcy, ale przedtem go muszę uzyskać, targując się o każdy grosz.

dawnictwo Brombergs Bokförlag, które zakupiło prawa do twórczości m.in. I. B. Singera i Cz. Miłosza.

Henryk Grynberg (ur. 1936) – poeta, prozaik, eseista. Urodził się w Warszawie, lecz wychował na wsi, na wschodnim Mazowszu. Lata 1942-1944 przeżył, ukrywając się z rodzicami m.in. w lesie i na tzw. aryjskich papierach. W 1958 roku skończył studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim, a w latach 1959-1967 był aktorem w Państwowym Teatrze Żydowskim. Gdy pod koniec 1967 roku wyjechał z teatrem na tournée do Stanów Zjednoczonych, odmówił powrotu do Polski z powodu cenzury i kampanii antysemickiej. Mieszka w USA do dzisiaj. W 1971 roku uzyskał dyplom magistra literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, a następnie pracował w U.S. Information Agency (przeważnie w „Głosie Ameryki"). Debiutował w 1959 roku we „Współczesności", a pierwszy samodzielny zbiór opowiadań *Ekipa „Antygona"* wydał w 1963 roku. Dotychczas opublikował kilka tomów wierszy i blisko dwadzieścia książek, m.in. *Żydowska wojna*, *Zwycięstwo*, *Życie ideologiczne*, Kadisz oraz dwa utwory dramatyczne. Jest laureatem wielu nagród, w tym: im. Kościel-

W malutkiej suterenie, trzy metry na trzy, mieściła się drukarenka Benia, syna ciotki Szpiro. Cztery kaszty i prasa, którą poruszało się, kręcąc koło – drukował formularze, papiery firmowe, afisze. Benio miał żonę i troje dzieci i płacił za wszystko wekslami, a gdy je zaprotestowano, przychodził do naszego ojca i ojciec je wykupował. W końcu Benio doszedł do wniosku, że przegrywa z konkurentami, bo kupuje papier po cenie detalicznej, i jeśli ojciec pożyczy mu na zakup hurtowy, to drukarnia zacznie zarabiać. Ojciec tłumaczył mu, że pieniądze kosztują i że procent od pożyczonej sumy jeszcze podwyższy cenę papieru, nie mówiąc już o koszcie magazynowania.

– Przecież nie zażądasz ode mnie procentu od pożyczki, a w twoim magazynie chyba znajdzie się kąt na mój papier – argumentował Benio.

Ojciec złościł się, bo nic go tak nie mierziło, jak głupia kalkulacja, ale Benio nie przestawał go molestować, więc kupił mu w końcu ten papier i zmagazynował, ale pod warunkiem, że będzie płacił za każdym razem za tyle, ile pobierze z magazynu. Benio pobierał i płacił – kwitami z zamaszystym podpisem, które ojciec natychmiast wyrzucał do kosza.

Z jednej strony stała oficyna pełna lokatorów, z drugiej suszarnia z paleniskami, na których paliła się siarka. Siarka się ulatniała pod sufit, którego nie było, tylko żelazna siatka, na którą wysypywało się chmiel. Chodziły po niej dziewczyny z grabiami i mokrymi chustkami na nosie i ustach, bo chmiel trzeba było w czasie siarkowania przegrabiać, po czym zsypywały go do worków, które mężczyźni zanosili pod prasę i do składu. Przesiarkowany i sprasowany chmiel mógł cały rok leżeć w balotach i nie wiądł. Mężczyźni pracowali jedenaście godzin za siedem złotych, a dziewczyny dziesięć godzin za cztery złote. Ojciec znał wszystkich po imieniu, interesował się ich życiem rodzinnym, pamiętał o prezencie dla każdej młodej pary i dla każdego noworodka. Podwyżki dawał tylko wtedy, kiedy konkurenci więcej płacili, ale nikt się nie skarżył, nie rzucał pracy, nie było żadnych zatargów. [...]

Ojciec nie ukończył żadnej szkoły, ale nieźle mówił po polsku i rosyjsku, czytał po hebrajsku i niemiecku, pisał po żydowsku i szybko liczył. Sam nauczył się gatunków chmielu, zasad uprawy, praw rynkowych, giełdy towarowej, finansowania i nigdy nie przestawał się uczyć. Wczytywał się w gazety, złościł się, kiedy czegoś nie wiedział lub nie rozumiał, i wstydził się do tego przyznać, ale nie rezygnował i nie spoczął, dopóki się nie dowiedział i nie zrozumiał. Kupował chmiel na pniu, w marcu, kiedy plantatorzy potrzebowali pieniędzy. Tracił, jeśli chmiel nie obrodził albo obrodził tak bardzo, że ceny spadały, lecz bez ryzyka nie ma interesu. Założył kartel handlu jęczmieniem słodowym i kartel wódek pejsachowych. Kiedy inflacja w Niemczech doszła do galopu, obciążył kamienicę i z dolarami we wszystkich kieszeniach pośpieszył do Berlina, gdzie w ciągu sześciu dni kupił sześć takich kamienic jak nasza. W parę lat później sprzedał pierwszą z nich za dwa razy więcej niż zapłacił za wszystkie razem. Wciąż potrzebował gry. Po kolacji wychodził z domu i za pół godziny wracał z gromadką pokerzystów. „Guciu, powiedziałem moim niespodzianym gościom, że u nas dla każdego znajdzie się talerz i coś do wódki". [...]

Widziałem, jak chłopiec w moim wieku pędził batem starego Żyda. Żyd nie bronił się, bo to by się źle skończyło dla wszystkich Żydów.

Matka, dziesięć lat młodsza od niego, poszła do ślubu z lękiem, że czeka ją katastrofa, i ten lęk nigdy jej nie opuścił, ale ojciec imponował jej przedsiębiorczością, bystrością i ryzykiem, którego się obawiała, a które on podejmował z taką ochotą i pewnością siebie. [...] Ojciec miał mocne nerwy w interesach, pokerze, na giełdzie, ale tam mu się wyczerpywały i nie starczało ich na przeciwności, nad którymi nie

skich (1966), londyńskich „Wiadomości" (1976), im. Alfreda Jurzykowskiego (1990), im. Stanisława Vincenza (1991), Koret Jewish Book Award (2003). Jego książka *Memorbuch* otrzymała w 2000 roku nominację do literackiej nagrody NIKE.

miał kontroli. Przy każdym nieszczęściu rzucał się na podłogę jak epileptyk. Jak dostał katarakty, to wpadł w przerażenie, że nie odzyska wzroku, i przestał zupełnie panować nad sobą, wrzaskiem reagował na każdy sprzeciw. W najbardziej krytycznych chwilach matka była głową rodziny.

Byliśmy jedną z czterdziestu zamożnych żydowskich rodzin, które wycofujący się Rosjanie wzięli z sobą jako zakładników. Wywieźli nas najpierw do Żytomierza, potem do Odessy, a potem o nas zapomnieli. Ojciec, który nie przepuszczał żadnej dobrej okazji, jeździł po Rosji i handlował nieruchomościami. Po przewrocie lutowym mogliśmy wrócić, ale wtedy świetnie szedł handel klejnotami i znów tygodniami nie było go w domu. Aż za którymś razem przepadł bez wieści. Matka wyprzedała rzeczy i okrężnymi drogami przedostała się z nami do Lublina. Przejęła firmę z rąk Pereca i z powodzeniem ją prowadziła, ale kiedy zachorowałem na szkarlatynę, powierzyła mu ją z powrotem, żeby zamknąć się ze mną na trzy tygodnie w szpitalu zakaźnym i osobiście mnie pielęgnować. Kiedy matka czuwała nade mną w szpitalu, w drzwiach naszego mieszkania zjawił się włóczęga okryty kocem; Renia bała się go wpuścić. Przegrał z bolszewikami. Z więzienia wydostał go – za klejnoty – jego rosyjski partner, Szterental, który miał bardzo atrakcyjną, młodą żonę o cygańskiej urodzie. Z wdzięczności ojciec zabrał ich ze sobą do Lublina, dał im mieszkanie i utrzymywał ich. [...]

Byliśmy jedną z czterdziestu zamożnych żydowskich rodzin, które wycofujący się Rosjanie wzięli z sobą jako zakładników.

Ojciec był pierwszym w Lublinie właścicielem auta, które służyło do reprezentacyjnych wyjazdów na plantacje, żeby robić wrażenie na plantatorach. [...] Jednakże najbardziej niezawodny pozostał nasz koń. Duży i ciężki, z powodzeniem ciągnął zarówno platformę z chmielem, jak i powóz. Nie był szybki, ale ojciec uważał, że nieważne, jak szybko się jedzie, a duży koń dostojniej wygląda.

Ojciec kupił kawałek lasu w Krępcu, dziesięć kilometrów za Lublinem, i postawił w nim cztery pokoje z kuchnią. Jechało się na Piaski Żydowskie, przez Majdanek, koło fabryki samolotów. Wkrótce potem obszarnik Freitag kupił resztę lasu i postawił willę, przy której nasza była budą. Wobec tego ojciec pojechał na Podlasie, w swoje rodzinne strony, gdzie robocizna znacznie mniej kosztowała, i sprowadził willę – w kawałkach – z brygadą budowniczych w chałatach. Jeździłem tam na rowerze i przyglądałem się, jak pracowali – sprawnie, dokładnie, z rysunkiem w ręku. Sami sobie gotowali i nie zwracali uwagi na dziewczyny z okolicy, które do nich wołały i śmiały się, zadzierając spódnice. Jak im trefiły naczynia, to jedli chleb i popijali wodą, a pracę przerywali tylko na modlitwę – w tałesach, rzemykach, na przygiętych nogach, twarzą na południowy wschód. Postawili nam osiem pokoi z werandami do wdychania aromatów lasu i spędzaliśmy tam wszystkie ciepłe soboty i niedziele. Ku utrapieniu matki, bo to dwa domy tam i z powrotem, dwie kuchnie i w każdą niedzielę goście. Któregoś razu ciotka Szpiro przyjechała, zjadła kolację, poszła spać i więcej się nie obudziła. Wszyscy załamywali ręce, że takie nieszczęście, nikt nie wiedział, że to było błogosławieństwo. Tylko jej i babce udało się tak po ludzku umrzeć.

Ojciec chodził do synagogi tylko w Jom Kipur, ale stał wtedy cały dzień bez jedzenia i kropli wody. Na paschalną wieczerzę zapraszał żydowskiego żołnierza z jednostki i czytał nam godzinami – szybką, płynną, zupełnie niezrozumiałą hebrajszczyzną – całą historię niewoli i wyzwolenia. Przed północą otwieraliśmy na oścież drzwi i powiew poruszał wino w kielichu proroka Eliasza, na znak, że go dotknął ustami. W Kuczki jedliśmy na balkonie pokrytym gałęziami, przez które przeciekał deszcz i wiał wiatr, żebyśmy pamiętali, że byliśmy kiedyś bezdomni i że znów może nam się

to zdarzyć. Nie wiem, kto wierzył w Boga. Matka z pewnością wierzyła w światło świec, które zapalała w wieczór piątkowy, i w hebrajskie zaklęcia, które z przejęciem nad nimi szeptała. Nie przestrzegaliśmy licznych nakazów i zakazów szabatu, ale piątkowa wieczerza była obowiązkiem, od którego nikt się nie mógł uchylić, i nie wolno było przy stole mówić o interesach. Ojciec gardził asymilatorami, uciekającymi od żydowskiej tożsamości i od tradycji, której nie znali. Sprowadzał nam instruktora i – za drogie prezenty na trzynaste urodziny – uczyliśmy się zakładać rzemyki i wkuwaliśmy hebrajskie modlitwy, których po uroczystości już nikt z nas więcej nie zmawiał. W innych domach było albo – albo, ale nasz ojciec wierzył w kompromis, nawet z Bogiem. I Bóg się na to zgadzał, bo nikt w naszej rodzinie nie przestał być Żydem, nawet ja.

Zachowany do dziś ostatni w Lublinie balkon kuczkowy przy ulicy Niecałej, sąsiadującej z 3-maja. Takie balkony były miejskim odpowiednikiem szałasów stawianych w czasie Sukkot, czyli Święta Szałasów albo Kuczek. Obchodzone na przełomie września i października trwa ono 7 dni, jest świętem plonów i upamiętnia stawianie szałasów w trakcie czterdziestodniowej wędrówki Żydów przez pustynię. Szałas (sukka) powinien mieć przynajmniej trzy ściany i stać pod gołym niebem, gdyż jego dach musi „pozwolić przeniknąć niebu do środka". W chłodniejszym klimacie nie pozostaje się w szałasach na noc, tylko spożywa w nich posiłki. Według mędrców Sukkot dotyczy również gojów. (Red. na podst. słowniczka z poprzedniego numeru „Scriptores" oraz: A. Uterman, *Encyklopedia tradycji i legend żydowskich*, Warszawa 2000).

Lublin miał przez setki lat przywilej de non tolerandis Judaeis. Król Kazimierz pozwolił się Żydom osiedlić na Piaskach. W dwieście lat później król Zygmunt wpuścił Żydów na Podzamcze. Mogli stawiać kramy, ale nie budynki. Bogaci wkupywali się do posesji feudałów i duchowieństwa, które nie podlegały jurysdykcji miejskiej. Na sesjach Trybunału Koronnego regularnie wnoszono oskarżenia o mord rytualny, a każde przesłuchanie było okazją, żeby bić i grabić. Egzekucje odbywały się przed synagogą, w sobotę, w obecności starszeństwa gminy, a po egzekucji następował pogrom. W XVI wieku Chaim Szwarc oraz jego syn i zięć wydali w Lublinie Pięcioksiąg i Talmud. W sto lat później ta sama drukarnia wydała Novellae Samuela Edelsa i Zohar. Do historii Lublina należą również królewscy lekarze, Ezekiel i autor znanego traktatu medycznego Salomon Luria, a także Chaim Feliks Vitalis, który odbył studia medyczne w Padwie. W 1780 roku Stanisław August kazał wygnać Żydów z Lublina, ale – za pieniądze – sprawę kilkakrotnie odraczano i udało się doczekać do końca jego oświeconego panowania. W 1875 powstała hebrajska drukarnia Herszenhorna i Sznajdermesera, w 1894 Federa i Zecera.

Wszystkie szpitale lubelskie, a także niektóre lokale szkolne przeistoczyły się w lazarety. Zaczęłam pracować w Szpitalu Żydowskim, gdzie tak jak wszędzie brakowało rąk do przenoszenia chorych, opatrywania rannych i przenoszenia zwłok. Należało także przypomnieć sobie o swoim pochodzeniu, które w zaistniałej sytuacji [wybuch II wojny światowej – przyp. red.] nabierało nowego i niebezpiecznego znaczenia. Dla mnie sprawa ta nie stanowiła jakiegokolwiek problemu, była sprawą wyłącznie rodzinną, genealogiczną, bez żadnego zakotwiczenia w tradycjach kulturowych. Wyobrażam sobie, o ile trudniejsze, czy nawet wstrząsające, było wejście w tę nową, przez okupanta narzuconą sytuację dzieciom kuzynów mojej matki, które dotychczas nie miały w ogóle pojęcia o żydowskim pochodzeniu swoich dziadków. Nie były to zresztą wyjątki. Wiele osób stanęło nagle przed własną, nieznaną lub też zepchniętą w niepamięć, prawdą historyczną.
Mam wielki szacunek dla swego pochodzenia i dla przeszłości mojej rodziny, ale nie poczuwam się do niczego poza tym. Jedyną pamiątką tej rodzinnej przeszłości jest piękny szofar – instrument dęty z rogu barana. W dawnych czasach służył on jako trąbka wzywająca do boju czy też sygnalizująca zagrażające niebezpieczeństwo. Później nabrał znaczenia liturgicznego w jakichś obrzędach świątynnych. W czasach nowożytnych używano go już tylko w określone doroczne święta. Wzywał do żalu za grzechy u progu nowego roku. [...] Według tradycji rodzinnej szofar ten znajduje się w rodzinie mojej matki (obecnie u mnie) od ponad 300 lat i miał należeć do najwybitniejszego spośród jego przodków – rabbi Sabataja ben Meiera (1621-1662), znawcy i kodyfikatora praw Talmudu, do czasu ucieczki przed wojskami Chmielnickiego asesora sądu rabinackiego w Wilnie.

Krystyna Modrzewska, *Trzy razy Lublin*, Lublin 1991, s. 70-72.

Mur grodzki przedzielał Lublin. Żyd w chałacie nie wychylał się zza Bramy Grodzkiej, a jeśli, to chyłkiem i czym prędzej wracał. Żyd przynosił naszej matce jajka i ser o szóstej rano, zanim zaczynał się ruch, lecz przydybał go pewnego rana hallerczyk w niebieskim mundurze i zaczął wyrywać mu włosy z brody. Matka pobiegła z garścią pieniędzy do Mikołaja, naszego dozorcy, żeby czym prędzej dał temu hallerczykowi i żeby on zostawił tego Żyda w spokoju. Raz w drodze do szkoły widziałem, jak chłopiec w moim wieku pędził batem starego Żyda. Żyd śmiesznie podskakiwał, biegnąc, nie bronił się, bo to by się źle skończyło dla wszystkich Żydów. Antyżydowska propaganda była głównym tematem „Głosu Lubelskiego", największej lokalnej gazety. Prześcignął ją później tylko ogólnokrajowy, wysokonakładowy „Mały Dziennik", który trzy razy mniej kosztował i miał najwięcej czytelników. W 1918 powstał Katolicki Uniwersytet Lubelski, którego rektor zajmował się pisaniem antyżydowskich pamfletów, a studenci zabawiali się dręczeniem Żydów. Kiedy szła procesja z krzyżami i chorągwiami, wszyscy Żydzi się chowali po bramach, bo narażał się każdy, kto nie zdjął czapki, nie przeżegnał się, nie przyklęknął. Przekonałem się o tym na własnej skórze, kiedy podbiegł do mnie student i zgasił mi na policzku papierosa.

Nienawidzili go endecy, dla agudowców był odszczepieńcem, dla bundowców wyzyskiwaczem, dla syjonistów jednym i drugim, ale się tym nie zrażał i robił swoje.

Po żydowskiej stronie sklepy i warsztaty stały jeden na drugim, na parterach i piętrach, w oficynach, podwórzach, mieszkaniach, szukając bezpieczeństwa w mnogości. Mówiono po żydowsku. Po polsku tylko do chłopów, którzy wyłącznie tu kupowali, bo Żyd w konkurencji z tylu innymi Żydami musiał sprzedawać tanio, można było się z nim potargować, zapłacić mu jajkami i serem. Chłop w zagnojonych butach i z batem – którego nie zostawiał na wozie, boby mu ukradli – nie śmiał iść na Krakowskie Przedmieście, gdzie wymalowane i wyondulowane sprzedawczynie pogardzały nim tak jak Żydem i tak samo szydziły z jego mowy. Poza tym na Krakowskim Przedmieściu nie dostałby pokątnego łódzkiego samodziału „z pokrzywy" – szorstkiego i gryzącego, lecz po przystępnej cenie – a niechby się spróbował targować! W ten sposób żydowska bieda żyła z polską nędzą w nierozerwalnej symbiozie. Żydowska dzielnica była przeludniona jak we wszystkich miastach Polski, jednego z najrzadziej zaludnionych krajów Europy. To szukanie bezpieczeństwa w mnogości, które w długiej żydowskiej historii już nieraz zawiodło, okazało się w końcu zgubne.

Większość Żydów w Lublinie nosiła chałaty i najsilniejszym stronnictwem była Aguda. Dlatego największą uczelnię talmudyczną, zwaną Jeszywą Mędrców, założono w Lublinie. Złożyli się na nią religijni Żydzi z wielu krajów, a na położenie kamienia węgielnego zjechali rabini i cadycy z całej Polski z setkami, jeśli nie tysiącami zwolenników, którzy wyprzęgali konie i sami ciągnęli ich wozy – Lublin był tego dnia czarny jak kondukt żałobny. Drugie miejsce zajmował Bund, biedota, która wyszła z chałatów. Jego przywódca, doktor Herszenhorn, był wenerologiem, który robotników leczył za darmo, a zarabiał na antysemitach, ogłaszając się w endeckiej gazecie. [...] Resztą żydowskich głosów dzielili się lewicowi syjoniści i konformiści jak ojciec. Komuniści nie mieli wpływów ani wśród Polaków, ani wśród Żydów. Jeśli już, to wśród bezrolnych chłopów ukraińskich i białoruskich.

Aguda święcie wierzyła, że trzeba się zamknąć w Torze, która jest twierdzą i jeśli Żydzi będą jej bronić, to ona ich przechowa do czasu, aż przyjdzie Mesjasz na odsiecz. Syjoniści twierdzili, że w naszych czasach nie Tora jest twierdzą, tylko państwo, którego do nadejścia Mesjasza bronić musi dobrze wyćwiczone wojsko. Bundowcy zaś głosili, że Mesjaszem jest socjalizm, który nadejdzie lada dzień.

– Tylko emigracja do Palestyny może ocalić Żydów! – krzyczeli na wiecach syjoniści.

– Wy chcecie ocalić Żydów? Przecież to antysemici wołają „Żydzi do Palestyny!" – przekrzykiwali ich bundowcy.

– Wszyscy jesteście bezbożnikami i z waszej bezbożności urodzi się tylko komunizm! – strofowała jednych i drugich Aguda.

Temperatura szybko dochodziła do wrzenia, wrzask się robił tak wielki, że nikt nie słyszał gwizdka i policjant musiał strzelać w powietrze, żeby obwieścić, że wiec rozwiązany.

– O co chodzi, nie wolno podyskutować? – skarżyły się wszystkie trzy orientacje, bo wrogość była czysto retoryczna, z energicznym wymachiwaniem rękami, ale bez rękoczynów.

– Mesjasz, państwo żydowskie, socjalizm! Wariaci! – podsumowywał te dyskusje ojciec, który był realistą, człowiekiem praktycznym i chciał tylko przetrwać, utrzymać to, co jest. Wbrew wszelkim znakom na ziemi i niebie.

Jako zwolennik postępu, ojciec nie lubił Agudy, ale nie miał na nią rady. Syjonistów uważał za nieszkodliwych donkiszotów. Komunistów nienawidził jeszcze z Rosji, ale komuniści się nie liczyli. Najbardziej obawiał się bundowców, których nieustanne żądania i akcje strajkowe uważał za groźne dla przemysłu i handlu. Ojciec mówił, że Żydzi powinni unikać konfliktów, szukać kompromisów, żyć, zarabiać i współpracować z władzą, bo mają wspólny z Polakami interes w gospodarczym rozwoju kraju. Wciągał polskie firmy do żydowskich karteli i starał się, żeby żydowskie dopuszczano do polskich, zabiegał o współdziałanie stowarzyszeń polskich i żydowskich kupców i przemysłowców i we wszystkich wyborach popierał listę rządową. Był wiceprezesem gminy żydowskiej, współzałożycielem i kuratorem żydowskiego szpitala, inicjatorem i fundatorem żydowskiego gimnazjum, mężem zaufania i rozjemcą w sporach handlowych, syndykiem upadłościowym, żydowskim wiceprezesem Izby Przemysłowo-Handlowej i żydowskim przedstawicielem Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Nienawidzili go endecy, którzy chcieli wyrugować Żydów z polskiej gospodarki, bundowcy uważali go za niebezpiecznego organizatora kapitału, syjoniści nim pogardzali. Dla agudowców był odszczepieńcem, dla bundowców wyzyskiwaczem, dla syjonistów jednym i drugim, ale się tym nie zrażał i robił swoje – z owym niepoprawnym żydowskim optymizmem, że właśnie jemu się uda to, co nie udało się jeszcze żadnemu Żydowi.

Podejmował Wiślickiego, żydowskiego posła, który przyjeżdżał do Lublina na zebrania Żydowskiego Koła BBWR i Związku Kupców i Przemysłowców Żydowskich. Usuwało się przepierzenie między stołowym a pokojem moim i Mitka i rozstawiało stoły na trzydzieści–czterdzieści osób. Wiślicki perorował, zagłuszał wszystkich, nie rozmawiał, tylko pouczał. I zawsze dochodziło do starcia pomiędzy nim a Herszenhornem, który zdecydowanie górował inteligencją, wykształceniem i wiedzą polityczną. Bezsilny wobec jego argumentów Wiślicki krzyczał, że Bund deprawuje Żydów

Lublin 1924. Synagoga Saula Wahla (ok. 1541-1617), kupca i faktora Stefana Batorego i Zygmunta III. Według legendy po śmierci Batorego formalnie był przez jedną noc królem Polski. Urodził się jako syn rabina Padwy i przyjechał do Polski studiować Talmud w Brześciu Litewskim. Tam zaczął zdobywac wpływy jako kupiec. Można przypuszczać, że był on wyedukowanym i religijnym Żydem. Niecałe pięć wieków później jego synagoga stała w części dzielnicy żydowskiej mówiącej w jidysz, znanej z biedy i analfabetyzmu, a jego dwudziestowieczni odpowiednicy, jak ojciec Adama Bromberga, najczęściej byli już zasymilowani. Fot Alter Kacyzne. Ze zbiorów YIVO. Synagogę Saula Wahla widać na zdjęciu Krawieckiej na stronie 136 po prawej stronie u góry. Jest to charakterystyczny budynek ze spiczastym dachem. Nazywano go wówczas również Synagogą Gończów lub kuśnierzy.

i ściele drogę bolszewizmowi, choć Herszenhorn jasno dowodził, że Bund jest zaporą dla komunistycznych wpływów wśród Żydów. Kolację sprowadzano z restauracji, razem z dwoma wyfraczonymi kelnerami, ale matka po każdym bankiecie miała spuchnięte nogi.

Raz przyjechał Żabotyński, który jak widmo krążył po Europie i ostrzegał, że niedługo wszystkie państwa będą narodowe, bez miejsca dla mniejszości, a zwłaszcza Żydów. Po wystawnym obiedzie z kurtuazyjnymi toastami, bo Żabotyński się nie wdawał w dyskusje przy stole, pojechaliśmy do wypełnionego po brzegi kina Corso, gdzie w dwugodzinnym przemówieniu kilkakrotnie powtarzał, że Żydom, którzy nie chcą jechać do Palestyny, po prostu brak wyobraźni. Krępy, w drucianych okularkach i sztywnym kołnierzyku, wyglądał jak skromny urzędnik bankowy, ale mówił z wielką pewnością siebie, bez żadnych notatek i sypał argumentami jak z rękawa. Argumenty te nagradzano gromkimi oklaskami, ale mało kto wyjeżdżał.

Ojciec próbował wciągnąć do interesu Elka, ale Elek wolał studiować. Dziesięć lat chodził w czapeczce korporacji – jedynej, która przyjmowała Żydów. Pił ze swymi korporantami, grał w karty i biegał na dziewczynki. W 1920 roku poszedł jako ochotnik na bolszewików i został piłsudczykiem jak ojciec, ale pracować u ojca nie chciał. Wreszcie po dziesięciu latach studiów wyjechał do Gdańska i założył firmę importowo-eksportową za pieniądze ojca. Ojciec finansował również straty firmy, bo Elek, elegancik z laseczką, większość czasu spędzał w sopockim kasynie, w towarzystwie nocnych dam. Po kilku inspekcjach ojciec doszedł do wniosku, że najlepiej będzie firmę zamknąć i Elek wrócił do Lublina z długami oraz przewlekłą chorobą weneryczną. Teraz już się zgodził pracować u ojca, lecz z odpowiednią pensją i osobnym gabinetem. Przerobiono cztery pokoje na biura, bo w dwóch, według Elka, nie można było pracować. Nie znał się zupełnie na handlu i nie chciał się znać. Nie wyjeżdżał z ojcem na pola, bo targowanie się z plantatorami było poniżej jego godności. Gabinet, telefon, cygaro – owszem, ale żadnych kłopotów. Radość w domu była ogromna, kiedy postanowił się wreszcie ożenić. Jego wybrana, Mania Śpiewak, była sympatyczną blondynką z dużym poczuciem humoru, ale i ta Elka transakcja chybiła, bo okazało się, że jej ojciec jest drobnym kupcem, źle mówiącym po polsku i ma jeszcze parę córek bez posagu, a jedną wydał za doktora Herszenhorna, wskutek czego mieliśmy teraz bundowskiego działacza w rodzinie. Po nader skromnej ceremonii, bo nasza rodzina uważała to za mezalians, Elek pojechał z Manią do Abacji, gdzie wydał mnóstwo pieniędzy, a zaraz potem wyszło na jaw, że nie mogą mieć dzieci i wybuchł nowy spór między rodzinami: z czyjej winy? Ojciec dał im piękne frontowe mieszkanie, ale Mania buntowała Elka, żeby się usamodzielnił, więc ojciec sfinansował mu przedstawicielstwo włosko-żydowskiej firmy Assecurazioni Generali, a później paru innych firm, i za każdym razem się kończyło tak samo.

Ul. Trzeciego maja (biegnąca na wprost). Fot. Henryk Poddębski. Repr. na podst. przedwojennego przewodnika *Lublin* ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

Drugi z kolei spadkobierca, Lazar, został lewicowym syjonistą i pogardzał wszystkim, co robił ojciec. Ubierał się jak robotnik, chodził w sandałach do późnej jesieni, jakby już był w Palestynie. Kra-

wat włożył raz tylko, do zdjęcia rodzinnego. Zachmurzony, niezadowolony, w garniturze, który pękał mu na muskułach, z ledwo przyczesaną czupryną, stanął z tyłu i na uboczu, z dystansem, żeby pokazać, jak mało ma z nami wspólnego – kontrast, negatyw Elka, który usiadł w środku zdjęcia, uśmiechnięty, ulizany, z przedziałkiem i laseczką dżentelmena. Mitek i ja jako chłoptysie występowaliśmy jeszcze z grzywkami i w pumpach. Sprzeciwiał się swoim burżuazyjnym rodzicom na każdym kroku i niczego od nich nie chciał, jak mu kupili coś lepszego, to oddawał lub sprzedawał na cele organizacji. Założył drużynę Szomrów, którzy schodzili się w jego pokoju, gdzie urządził warsztat introligatorski – smród topionego klajstru roznosił się na całe mieszkanie. Co pewien czas wołał mnie, żebym wyniósł kosz ze ścinkami. Mitkowi pozwalał przytrzymywać książkę podczas prasowania. Wynajmowali się również jako tragarze i do przewozu towarów – żeby zarobić na wyjazd do Palestyny. Kłócił się z ojcem i próbował buntować mu robotników – bezskutecznie, bo ojciec nie płacił gorzej niż inni, nie zatrudniał nikogo nielegalnie, wszystkich zapisywał do kasy chorych. Kłótnie Lazara z ojcem doprowadzały matkę do rozpaczy, po raz pierwszy była zupełnie bezradna. Kiedy drużyna postanowiła wreszcie wyjechać do Palestyny, i ojciec, i matka przyjęli to z ulgą. Podróż była skomplikowana, przez Wiedeń, gdzie miesiącami się czekało na przerzut, bo Anglicy nie chcieli już wpuszczać Żydów. Ojciec hojnie go wyposażył, choć wiedział, że wszystko rozda swoim Szomrom. Polecił go również opiece naszych wiedeńskich kuzynów, żeby pozwalali się naciągać na pożyczki, i Lazar pompował z nich bez skrupułów – nie dla siebie, dla Palestyny. Spędził w Wiedniu kilka miesięcy, mieszkał w przyzwoitym hotelu. Pewnej nocy zbudził nas przerażający krzyk matki. Ojciec leżał na podłodze, ale to nie on nie żył, lecz Lazar. Matka straciła wszelkie zainteresowanie domem, ojciec nie wychodził do biura, nawet nie czytał gazet. Mnie i Mitka wysłali do pensjonatu w Zakopanem, a Renię do Wiesbaden. Elek mieszkał już w Gdańsku, więc rodzice zostali sami i po raz pierwszy poczuli się sobie bliscy. O Lazarze więcej się nie mówiło. Policja stwierdziła, że sam się zastrzelił – czterema kulami w usta. Nikt nie pytał, jak to możliwe. Nie zostawił po sobie ani słowa. [...]

Chłop w zagnojonych butach nie śmiał iść na Krakowskie Przedmieście, gdzie wymalowane sprzedawczynie pogardzały nim tak jak Żydem i tak samo szydziły z jego mowy.

Renia miała wystające zęby i za duży nos, jak my wszyscy po ojcu, ale była postawna – wszyscyśmy przerośli ojca o głowę – i miała ciepłe, dobre, łagodne oczy naszej matki. Zaprzyjaźniła się z panią, która pomagała więźniom politycznym i zabierały mnie na odczyty, z których nic nie rozumiałem, ale udawałem, że mnie fascynują, bo byłem przekonany, że mam zostać socjalistą. Matka, zaniepokojona Reni zaangażowaniem, wysyłała ją to do sanatorium, to do prewentorium. Wiosną 1926 roku wysłała ją do Zakopanego, ale zaraz po zamachu majowym Renia przyjechała z powrotem, obłożona gazetami i podniecona, że coś się nareszcie dzieje i że Piłsudski poprowadzi Polskę do socjalizmu.

– Co to ciebie obchodzi? Po co wy się wtrącacie w ich sprawy? – denerwowała się matka. – Zobaczysz, że oni wam to wypomną...

– Jacy „oni”? Mamo, ludzi już się w ten sposób nie dzieli.

– Nie? Jeszcze się przekonasz... Napychają wam głowy teoriami! W życiu jest inaczej niż w książkach...

Tego lata wysłała ją razem ze mną i Mitkiem do Otwocka, do tuczarni doktora Krukowskiego, który – jak cała otwocka szkoła – nauczał, że tylko dobra tusza chroni przed gruźlicą. [...] W ten sposób Renia poznała Uriego, pierwszego rówieśnika

Lublinianie. Albo – jakby to być może określił mieszkaniec chrześcijańskiego Lublina trzymający się swojego sąsiedztwa – „typy żydowskie". Fot. ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego.

w swoim życiu, który też z powodów zdrowotnych nigdy nie chodził do szkoły i czytał wszystko, włącznie z encyklopedią – strona po stronie. Uri znał Marksa i Engelsa na wylot i tak ich nie cierpiał, że zupełnie wyleczył Renię z radykalizmu i już po dwóch tygodniach się z nim zaręczyła. Matka próbowała jej wyperswadować ten pośpiech, ale bała się jej sprzeciwić, a ojciec, zawiedziony na dwóch starszych synach, postawił na inteligentnego zięcia. Dopiero po ślubie dowiedzieliśmy się, że ojciec Uriego popełnił samobójstwo, zostawiając siedmioro dzieci, z których jak dotąd tylko on wszedł w związek małżeński. Ojciec powierzył mu magazyn, lecz Uri ciągle się mylił, mieszał kwity, nie radził sobie z najprostszymi operacjami. Oboje nie mieli matury, więc zapisali się na Wolną Wszechnicę, on na filozofię, a Renia na psychologię. Uri potrafił w ciągu jednej nocy przeczytać i zapamiętać nawet najtrudniejszą książkę i błyszczał jako najzdolniejszy student na seminariach Borensteina, ale nie umiał pracować systematycznie i panicznie się bał egzaminów. Napisał kilka znakomitych prac, ale nie mógł ukończyć studiów i zaczął chodzić do psychoanalityków, od jednego do drugiego.

Mitek i ja wyglądaliśmy jak bliźniacy, lecz różniliśmy się pod każdym innym względem i wszystkiegośmy sobie zazdrościli. On był silny i zdrowy, a ja całe dzieciństwo chorowałem, więc ja mu zazdrościłem zdrowia, a on mnie choroby. [...] Ja zabiegałem o przychylność nauczycieli i kolegów, Mitek przeciwnie, nie lubił społecznego współżycia, szkołę uważał za stratę czasu, a najbardziej historię i literaturę, moje ulubione przedmioty. Nie chciał czytać, nie wierzył w ani jedno słowo drukowane, twierdził, że cierpi na drukowstręt. Miał kolekcję narzędzi do wszystkiego i tuziny buteleczek z chemikaliami, które ciągle mieszał, albo siedział w garażu z szoferem i grzebał z nim w samochodzie. Ojciec kupił największe radio, jakie mógł dostać, z dwiema pięciokilowymi bateriami, które trzeba było samemu ładować, i plątaniną drutów. Mitek dłubał w nich nieustannie i tylko on opanował sztukę posługiwania się tym aparatem. Nie mógł dojść do matury o własnych siłach, więc ojciec wysłał go do Warszawy, do kosztownego gimnazjum Kreczmara, gdzie w razie potrzeby przeciągano uczniów z klasy do klasy za włosy. Po maturze ojciec próbował go zabierać do biura – to okazało się, że księgi buchalteryjne, choć ręcznie pisane, też przyprawiały Mitka o mdłości.

Jakaż była radość ojca, kiedy okazało się, że ja lubię grzebać w biurowych papierach, czytać korespondencję handlową, pisać na maszynie. Nasza zażyłość jeszcze bardziej się zacieśniła, kiedy zachorował na kataraktę. Czytałem mu wtedy listy i gazety i nie mógł się beze mnie obejść. [...] Całą papierową robotę wykonywaliśmy we dwóch i bardzo dużo się wtedy od niego nauczyłem: ekonomii, chwytów handlowych, postępowania z ludźmi. Po operacji wrócił do swoich normalnych zajęć, ale wszędzie mnie z sobą zabierał i wprowadzał we wszystkie sprawy, choć miałem zaledwie piętnaście lat. Asystowałem mu przy ryzykownych wiosennych zakupach chmielu i podziwiałem jego odporność w bezwzględnej walce rynkowej, ale nie mogłem opanować wewnętrznego oporu przeciw utrącaniu i dobijaniu słabszych. [...]

W szkole językiem wykładowym był polski, ale uczono nas hebrajskiego, żydowskiego i historii Żydów. Polskie gimnazja były piękne, specjalnie budowane, nasze mieściło się w przerobionym domu czynszowym, bez bieżącej wody i kanalizacji, z ubikacjami w podwórzu. Klasy były przepełnione, przechodnie pokoje, każde słowo się słyszało przez drzwi i cienkie ściany. Zaduch wzmagała nafta, którą z jakiegoś powodu smarowano podłogi, jej fetor przychodził z nami do domu, matka wciąż

wietrzyła nasze pokoje. Źle płatni żydowscy nauczyciele uczyli nas dla idei i dlatego, że nie chciano ich w polskich szkołach. A byli wśród nich wybitni specjaliści. Jak Mandelkernowa – historyczka i pedagog. Zostałem jej ulubionym uczniem, kiedy napisałem referat o Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Historia była dla mnie żywą opowieścią, fascynującą grą przypadków i konsekwencji, jak w życiu poszczególnego człowieka. [...] Mieliśmy także źle płatnych polskich nauczycieli, których gdzie indziej nie chciano. Jak Gralewski, znakomity polonista, autor artykułów o Żeromskim. Przepięknie wykładał, ale w połowie lekcji wargi zaczynały mu drżeć, tracił wątek, przepraszał i wychodził do ubikacji wstrzyknąć sobie morfiny.

Chłopcy w chałatach do naszej szkoły nie chodzili, ale większość była z biednych domów, gdzie się nie mówiło po polsku, i często nie rozumieli, co się dzieje w klasie. Nie stać ich było na podręczniki, kupowali jeden na trzech albo czterech. Pelcio, najmniejszy w klasie, nie miał nawet na zeszyty. U nich w dwóch pokojach z kuchnią mieszkały trzy pokolenia, matka cały dzień szyła na maszynie, małe dzieci wołały jeść, do odrabiania lekcji miał krawędź chyboczącego się stołu. Krótkowzroczny Rotholc nie miał na okulary i bał się odezwać po polsku, ożywiał się tylko na lekcjach matematyki, w której nikt mu nie mógł dorównać, nawet nauczyciel. Przyprowadzałem ich do domu, ku wielkiemu niezadowoleniu służby, żeby wspólnie odrabiać lekcje i przy okazji ich trochę podkarmiać. Poprawiałem im, a raczej pisałem wypracowania z polskiego. Chodziłem również do nich, żeby zachować jakieś pozory, ale nie wydawali się tym zachwyceni. Bezręki Nisenbaum z Chełma utrzymywał się z korepetycji, podobnie jak Rotholc, ale korepetytorów było wielu, ceny spadały i za parę groszy biegali z jednego końca miasta na drugi. Zaproponowałem im, żeby się porozumieli jak kupcy i przemysłowcy i utworzyliśmy Komisję Pośrednictwa. Uzgodniliśmy ceny minimalne, których nikomu nie wolno obniżać, ale ku mojemu zaskoczeniu natychmiast doszło do konfliktów z korepetytorami, którzy najbardziej potrzebowali zarobku. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem, jak brzydka praktyka zabija piękną teorię, [...]

Ojciec kupował u Polaków i sprzedawał do polskich browarów, ale żaden Polak do nas nie przychodził. Mieszkaliśmy w polskiej części miasta i mówiliśmy tylko po polsku, ale nie mieliśmy polskich kolegów – nawet chłopcy, co chodzili do polskich szkół – i czuliśmy izolację i nieżyczliwość. Spotykaliśmy się we własnym gronie na wieczorkach urodzinowych, a później w każdą niedzielę: trzy Brikmanówny, najładniejsze, dziedziczki garbarni – jeździliśmy dorożkami lub saniami do ich zamiejskiego domu; Bobek Tenenbaum, syn lekarza; Kestenberg ze starszej klasy – oni mieli księgarnię z materiałami piśmiennymi na Krakowskim Przedmieściu; ja z Janką Bier – jej ojciec był zamożnym adwokatem, ale niezadowolonym z życia, bo wolał grać na skrzypcach, a matka przebywała w zakładzie dla umysłowo chorych. Tańczyliśmy przy patefonie albo Szyja Frajdenberg nam grał na pianinie.

Mieszkaliśmy w polskiej części miasta i mówiliśmy tylko po polsku, ale nie mieliśmy polskich kolegów i czuliśmy izolację i nieżyczliwość.

Janka bardzo dużo czytała i stawiała mi wysokie wymagania. To ona wskazała mnie Srulkowi Bursztynowi. Mówił ze mną godzinami o dyskryminacji i niesprawiedliwości, a później o społeczeństwie bez klas i podziałów na religie i nacje. Słyszałem o tym wcześniej od Reni, ale Bursztyn twierdził, że socjaliści nigdzie nas nie zaprowadzą, najlepszym dowodem Piłsudski. Socjaliści nie wierzyli, że proletariat może dojść do władzy w takim kraju jak Rosja, a bolszewicy pokazali, że może. Socjaliści nie wierzą, że rewolucja może zwyciężyć w Polsce, a czemu nie, jeśli zwyciężyła w Rosji? [...]

Było nas trzydziestu kilku, Żydów i Polaków – Żydów trzydziestu, Polaków kilku – i nazywaliśmy się Związkiem Młodzieży Szkolnej. Spotykaliśmy się w opuszczonym browarze na przedmieściu. Bursztyn wygłaszał nam referaty i udzielał odpowiedzi na każde nasze pytanie, wszystko było jasne i proste. Przynosił nam również zadania. Najpierw wypisywaliśmy w nocy hasła na murach. Potem zarzucaliśmy czerwone chorągwie na druty elektryczne przy pomocy „żabki", sznurka obciążonego kawałkiem metalu, który się okręcał na drutach i policja musiała wzywać straż pożarną, żeby je zdjąć. Po roku dostaliśmy zadanie, żeby założyć „technikę". Kupiliśmy powielacz, ale gdzie go ulokować? Złożyliśmy się jeszcze raz i wynajęliśmy pokój z niekrępującym wejściem dla Nisenbauma, który nie miał na komorne, i drukowaliśmy ulotki KZMP, bo okazało się, że nasz ZMS jest szkolną przybudówką KZMP, który był z kolei młodzieżową przybudówką KPP. KZMP wykazywał wielką płodność i zadawał nam co miesiąc dziesiątki ulotek w tysięcznych nakładach, które wynosiły w walizkach dziewczyny. Nasze ulotki fruwały po ulicach Lublina całą jesień, zimę i pół wiosny, a policja nie miała pojęcia, skąd się biorą. I pewno nigdy by się nie dowiedziała, gdyby nie Kestenberg, który pojechał na studia do Paryża i wpadł na pomysł, żeby przysłać nam statut i protokoły Kominternu, sześćdziesiąt stronic bibuły, pocztą, na mój adres! Przesyłkę przynieśli mi do domu dwaj mundurowi – po inwigilacji wszystkich moich kolegów, podczas której zatrzymano dziewczynę wychodzącą od Nisenbauma z walizeczką ulotek. Ojciec padł na podłogę w oczekiwaniu na atak serca.

Matka pobiegła do adwokata. Ach, szczeniacka zabawa w konspirację... Nic na szczęście nie zaszło... Dzięki naszej niezawodnej policji, która rzecz wykryła w zalążku... Już rodzice sami sobie z nimi poradzą!... Taka wersja odpowiadała również władzom, które wolały nie rozdmuchiwać sprawy i nie przydawać komunistom rozgłosu. Na trop KZMP nie trafiono – albo nie chciano trafić – i wyszliśmy na wolną stopę do sprawy, ale szkole groziło zawieszenie, i to na parę tygodni przed egzaminami. Ojciec do mnie się nie odzywał, nie przychodził do stołu, unikał mojego widoku. Mitek, który nie mógł mi darować, że go tak zdystansowałem, szepnął mi na stronie, że ma karabin maszynowy i dwa rewolwery.

– Mitek, co ty pleciesz, pokaż!

– Nie mogę, bo przysiągłem. Powiem ci tylko, że zaprasowałem w balot z chmielem...

Ojciec chodził do wpływowych osobistości, w razie potrzeby z kopertą, dzwonił pod wszystkie numery BBWR do Warszawy i dopuszczono nas – z wyjątkiem Nisenbauma – do matury. Mandelkernowa zaciągnęła mnie w kąt korytarza.

– Salonowi komuniści, bawicie się w rewolucję! Dla was to jeszcze jedna rozrywka, a płacą jak zwykle biedni i bezbronni! Dlaczego nie ustawiliście powielacza w swoich salonach? Dlaczego u Nisenbauma? Żeby on za was zgnił w więzieniu?

Na egzaminie skrzyczała mnie, że nie traktuję poważnie historii, i obniżyła mi ocenę.

Zaraz po maturze ojciec w milczeniu wręczył mi paszport i bilet do Wiednia. Matka mi spakowała walizkę. Nie robiła wyrzutów, tylko drżącym głosem i ze łzami prosiła, żebym na siebie uważał. Powiedziałem jej, że bardzo ją kocham i nigdy nie zapomnę, ile dla mnie i dla nas wszystkich zrobiła. Wiedziałem, że już nie wrócę do domu.

Fragmenty pierwszego rozdziału *Memorbuch* Henryka Grynberga.
Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2000.

HISTORIA MÓWIONA

Program „Historia Mówiona" realizowany jest od 1998 roku w Lublinie przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN". Koordynatorami projektu są Marta Kubiszyn i Marta Grudzińska, z którymi stale współpracuje kilkunastu uczniów, studentów, stażystów i wolontariuszy. W ramach programu zebrano i opracowano ponad 200 relacji mówionych dotyczących historii Lublina. Każda z nich trwa około 60 minut. Część z nich można znaleźć na stronie WWW Ośrodka www.tnn.lublin.pl. Powstająca w chwili obecnej komputerowa baza danych historii mówionych jest autorskim projektem Ośrodka unikalnym w skali europejskiej. Założenia Programu „Historia Mówiona" były konsultowane z prof. Jerzym Bartmińskim (Wydział Filologii Polskiej UMCS), stałą opiekę merytoryczną nad projektem prowadzi profesor Wiesław Theiss (Wydział Pedagogiki Społecznej, UW) – najwybitniejszy polski znawca problematyki oral history (członek International Oral History Association). Ośrodek pozostaje w bliskim kontakcie z warszawskim Ośrodkiem Karta prowadzącym podobne projekty oraz z departamentem Oral History w Museum of London (koordynator: Annette Day).

Historie mówione zgromadzone w ramach programu zostały wykorzystane w wielu tekstach prasowych, reportażach radiowych i filmach oraz w edukacyjnych i artystycznych projektach Ośrodka (Misteria Pamięci, m.in. *Poemat o Miejscu* i stała wystawa „Portret Miejsca" w Bramie Grodzkiej, instalacja *Shrine* i wystawa *Elementarz* we współpracy w Muzeum Państwowym na Majdanku). Program jest realizowany we współpracy z nauczycielami szkół ponadpodstawowych i uczelni. W oparciu o niego powstały trzy prace magisterskie, a w trakcie pisania jest praca doktorska pod kierunkiem prof. Wiesława Theissa. Od kwietnia 2002 Ośrodek zaczął nagrywać relacje osób z regionu lubelskiego. Dzięki zdobytemu doświadczeniu i wiedzy nagrywane i opracowywane są dwie-trzy relacje tygodniowo. Ze względu na wartość, jakość i efekty programu, decyzją Archiwum Państwowego w Lublinie Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN" został uznany za jednostkę, której materiały archiwalne wejdą w skład Państwowego Zasobu Archiwalnego.

„Są artyści, którzy chcą opisać cały świat, a nie potrafią nawet opowiedzieć o sobie. Są też tacy, którzy mówią tylko o sobie, o swojej ulicy, a opowiadają o całym świecie". GRIGORIJ KANOWICZ

Przypadek zamierzony

Dlaczego właśnie Krawiecka 41?

O genezie projektu „Krawiecka 41" Tomasza Czajkowskiego i działalności Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" z jego dyrektorem Tomaszem Pietrasiewiczem rozmawia Marcin Skrzypek.

Pytanie zawarte w podtytule jest charakterystycznym wyrazem zdziwienia ludzi, którzy zanim zetknęli się z projektem „Krawiecka 41", przyzwyczaili się do myślenia o historii w stereotypowy sposób. Myślę, że byłoby bardziej zrozumiałe, gdyby dziejami tej walącej się, pofabrycznej posesji, jeszcze przed wojną przeznaczonej na wyburzenie i zamieszkałej przez żydowską biedotę, zajął się dziennikarz lub historyk. Jeżeli zaś pracę na ten temat pisze student politologii, jest to intrygujące. Odruchowo szuka się jakichś motywów, kryteriów wyboru. Tomek sam mówi, że była to kwestia przypadku. Był to chyba jednak przypadek zamierzony.

Wszystko, co w projekcie „Krawiecka 41" jest dla postronnych osób zagadką, znajduje logiczne wyjaśnienie w kontekście genezy i rozwoju Ośrodka. Projekt ten może służyć jako „studium przypadku" dla zrozumienia naszej działalności. A tę trudno zrozumieć bez odwołań do różnych tekstów i zdarzeń z przeszłości. Zgódźmy się więc, że nasza rozmowa będzie pełna dygresji, bo dopiero dzięki nim można zrozumieć wiele spraw związanych z tym, co robimy.

Zacznijmy wobec tego od początku.

W roku 1992 grupa osób tworzących Teatr NN rozpoczęła swoją działalność w samym centrum miejsca, które niosło ze sobą określoną przeszłość. O tej przeszłości wtedy jeszcze nic nie wiedzieliśmy. Okazało się, że ze wszystkich stron otoczeni jesteśmy nieistniejącym lubelskim miastem żydowskim, a Bramę Grodzką – naszą siedzibę – zwano kiedyś Bramą Żydowską. Było to dla nas zupełnie elementarne odkrycie, że puste przestrzenie obok nas zajmowały kiedyś synagogi, setki budynków, dziesiątki ulic, że żyło tutaj kiedyś kilkanaście tysięcy ludzi i to wszystko w czasie wojny zostało zniszczone. Wystarczy wyjść na te puste place i o tym pomyśleć. Po wielkiej żydowskiej dzielnicy

Na sąsiednie stronie: Brama Grodzka. Kolaż Tadeusza Mysłowskiego.

Krawiecka 14, 1937. Fot. Wiktor Ziółkowski. Muzeum Lubelskie w Lublinie – Oddział Historii Miasta Lublina.

Władysław Panas – kierownik najstarszej w Polsce Katedry Teorii Literatury na KUL, badacz dzieła Brunona Schulza, admirator twórczości Józefa Czechowicza, autor kilku książek (m.in. *W kręgu metody semiotycznej*, *Bruno od Mesjasza*). Eseje i szkice publikował w „Tygodniku Powszechnym", „Znaku", „Akcencie", „Kresach". Tropiciel mistycznych śladów w historii i topografii Lublina (bohater filmu Nataszy Kurczuk-Ziółkowskiej *Magiczne miasto*). Jego zainteresowania naukowe obejmują metodologię, teorię i historię literatury, semiotykę kultury (zwłaszcza pogranicza etnicznego) i kabalistykę, geopoetykę i sztukę ikony. Ostatnio był inspiratorem i animatorem sesji *W ułamkach zwierciadła. Bruno Schulz 1892-1942* związanej ze 110. rocznicą urodzin i 60. rocznicą śmierci tego pisarza.

powstała w przestrzeni miasta – ale też w pamięci jego mieszkańców – wielka wyrwa i pustka.

Skala zapomnienia była dla mnie porażająca. Jest taki obraz Muncha pt. *Krzyk*. Postać z tego obrazu oddaje najlepiej, co wtedy czułem. To był przełomowy moment – stało się dla nas oczywiste, że musimy się z tym problemem w jakiś sposób zmierzyć i odpowiedzieć na pytanie, czym ma być nasza obecność właśnie tutaj. Tak oto rozpoczęła się nasza droga w przeszłość miasta. W dużej mierze zawdzięczam ją prof. Władysławowi Panasowi. Rozmowy z nim pozwoliły mi zobaczyć to, czego wcześniej nie widziałem. Jest on autorem niebywale ważnego dla mnie tekstu pt. *Brama*, który rozpoczyna się w ten sposób:

Magiczne miejsce. W Mieście jest takich kilka, lecz to ma szczególne właściwości. Znajduje się dokładnie na granicy dwóch odrębnych przestrzeni, dwóch radykalnie odmiennych światów. Jest punktem, w którym chrześcijańskie Miasto Górne styka się z żydowskim Miastem Dolnym. Graniczność jawi się więc jako podstawowa cecha Bramy. Z tego umiejscowienia bierze się cała jej niezwykłość. Osobliwe osobliwości – mówiąc zupełnie pleonastycznie – zaczynają się ujawniać, kiedy dokładnie przyjrzymy się położeniu Bramy i kiedy uważnie przeczytamy tekst formowany w przestrzeni lub – co będzie ściślejsze – odnotujemy te jego elementy, które znalazły przestrzenny wyraz. Dostrzegamy, iż lokalizacja Bramy jest wyjątkowo wyeksponowana i podlega specjalnemu umocowaniu zarówno w przestrzeni fizycznej, jak i metafizycznej. Rozpoczynam od topografii, bo przecież mowa o miejscu, które jest w konkretnym miejscu. Gdzie jest miejsce tego miejsca?

Panas postawił kabalistyczną tezę, że w obszarze wokół Bramy zostały zdruzgotane dwie osie świata i dlatego tryumfowało tutaj zło:

Tu zostały zburzone dwie osie kosmiczne, które porządkowały Lublin. Jedna oś to był kościół farny św. Michała, rozebrany w połowie XIX wieku. Druga – „widzący" cadyk, który jednoczył, przewodził. To żart – ale jak się zburzyło osie, pozostały puste miejsca. Puste w sensie fizycznym. Po farze został plac. Po żydowskim mieście, gdzie żył Widzący – trawniki na wzgórzu Zamkowym. I puste w sensie metafizycznym.

Bardzo mnie to przejęło i działało na moją wyobraźnię. Tym bardziej, że skala cierpienia i zniszczenia zadana temu miejscu była rzeczywiście przeogromna. Wniosek z tego wszystkiego był prosty – należy mu przywrócić metafizyczny porządek. I to właśnie robimy.

Skoro jesteśmy już przy opisywaniu symbolicznej topografii miejsca wokół Bramy, warto przywołać słowa Tomasa Venclovy z wykładu wygłoszonego z okazji otrzymania przez niego doktoratu honoris causa na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej:

Styka się tutaj Wschód i Zachód, Północ i Południe, nakładają się na siebie losy dwóch

narodów i państw. W Kaplicy Zamkowej można oglądać freski namalowane przez mistrzów, których sprowadził do Lublina Litwin, król Władysław Jagiełło, freski, które na dodatek są wschodnie, bizantyjskie, chociaż rozmieszczone na sklepieniach ściśle zachodnich, gotyckich. Główny plac miasta nazywa się placem Litewskim; znajduje się na nim pomnik Unii Lubelskiej, która zaważyła na losach Polski i Litwy w sposób zasadniczy, z tym że jest oceniana przez Polaków i Litwinów w sposób diametralnie różny [...]. Słowem, Lublin to miasto, gdzie wyraźnie odczuwa się ciśnienie historii, która wciąż wpływa na naszą świadomość, na nasze codzienne zachowanie.

Było dla mnie jasne, że będąc tu, mamy dwie bardzo ważne drogi, którymi można iść. Jedna to miasto żydowskie, żydowska Atlantyda. Druga – pogranicze, Lublin jako miejsce spotkań Wschodu z Zachodem, miejsce zawarcia unii polsko-litewskiej. Poza tym Grodzka to najstarsza ulica miasta. Przy Bramie odkopano najstarszy fragment murów obronnych, a Zamek oprócz tego, że jest tam kaplica Świętej Trójcy, pełnił funkcję okrutnego więzienia. Tak więc, jeżeli chcesz zrozumieć Lublin, musisz tu przyjść.

Ale zanim odkryliście symbolikę tego miejsca, był to bardzo konkretny budynek, popadający w ruinę.

Razem z przylegającymi kamienicami Brama Grodzka przypominała wtedy, w 1992 roku, bardziej mroczną ruderę niż miejsce, w którym prowadzona będzie jakaś działalność kulturalna. Przed nami stanęły setki piętrzących się problemów, pytań i trudności – wymarzona sytuacja dla grupy zapaleńców chcących robić coś ważnego dla swojego miasta. Ale najciekawsze, że w Bramie Grodzkiej spędziłem kilka lat już wcześniej, w latach osiemdziesiątych, i wtedy była ona dla mnie tylko przypadkowym miejscem pracy. Służyła za siedzibę kilku lubelskich teatrów alternatywnych[1]. Równie dobrze mogliśmy być gdzie indziej. Nie potrafiłem wtedy dostrzec wyjątkowości tego miejsca i jego historii. Już wtedy Brama była w strasznym stanie, dlatego przenieśliśmy się w inne miejsce, gdy tylko pojawiła się taka możliwość[2].

Trafiliśmy do nowo powstałego Centrum Kultury[3], do przyzwoitych warunków, do miejsca w środku miasta, nieobciążonego złą sławą Starówki. Brama Grodzka zeszła do roli magazynu, zaplecza, rupieciarni, natomiast Centrum Kultury stało się domem dla wielu twórców z rodzącymi się powoli konfliktami interesów. Wtedy poczułem, że chciałbym robić coś samodzielnie, być odpowiedzialnym za coś więcej niż teatr. Żeby to robić, trzeba – krótko mówiąc – mieć własną siedzibę. Przez pół roku chodziliśmy po Lublinie i szukaliśmy swojego miejsca, w Bramie czasami robiliśmy próby, jednak przełom w myśleniu jeszcze nie nastąpił – to wciąż nie było moje miejsce. Szukałem wszystkiego, ale nie Bramy. W końcu, zdesperowany, pomyślałem, dlaczego nie wrócić i nie stać się jej gospodarzem? To było olśnienie! Po powrocie w 1992 roku Brama stała się dla mnie wielkim odkryciem, tak jakby czekała, aż dojrzeję do spotkania z nią. Staliśmy się jej gospodarzami, zaczęliśmy być za nią odpowiedzialni[4]. Teraz należało wprowadzić do niej życie. Nie tylko poprzez teatr, ale też inne działania.

Należy temu miejscu przywrócić metafizyczny porządek. I to właśnie robimy.

Jest taka chasydzka opowieść o Żydzie Ajzyku mieszkającym w Krakowie, któremu śniło się, że pod jednym z mostów w Pradze ukryty jest skarb. Pojechał tam i odnalazł most, który zobaczył we śnie. Opowiedział o tym strażnikowi pilnującemu mostu. Ten go wyśmiał i odparł, że również miał sen, ale o skarbie ukrytym w piecu pewnego krakowskiego Żyda Ajzyka. Ajzyk wrócił do domu, rozebrał piec i stał się bogatym człowiekiem. Jest to opowieść o tym, że czasami wyruszamy w świat

[1] Chodzi o Lubelskie Studio Teatralne, które działało w Bramie Grodzkiej w drugiej połowie lat osiemdziesiątych do roku 1990 [przyp. red.].

[2] W opisie ówczesnego stanu technicznego Bramy Grodzkiej można znaleźć następujące punkty: niesprawna instalacja elektryczna lub jej brak; zniszczona stolarka okienna i drzwiowa; brak dużej części dachówek, rynien i ocieplenia; zagrzybiony i zawilgocony tynk; brak schodów i podbicia fundamentów; pęknięcia konstrukcyjne; stara i nieczynna instalacja c.o.; zniszczona elewacja [przyp. red.].

[3] Centrum Kultury w Lublinie powstało w 1991 roku w wyniku połączenia Lubelskiego Studia Teatralnego z Lubelskim Domem Kultury [przyp. red.].

[4] Teatr NN pozostawał wtedy częścią Centrum Kultury. W 1995 roku przyjął nazwę Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN", stając się oddziałem CK, a 1 kwietnia 1998 roku otrzymał niezależność jako miejska instytucja kultury [przyp. red.].

w poszukiwaniu skarbu, nie dostrzegając, że mamy go obok siebie.

Od czego zaczęło się nowe życie Bramy Grodzkiej?

Pierwsze lata działalności Teatru charakteryzowały się wielką liczbą organizowanych imprez, takich jak sesje, spotkania autorskie, wystawy, przedstawienia teatralne, projekcje filmów, koncerty. Miały one na celu przyciągnięcie jak największej liczby osób do tej mało atrakcyjnej, uważanej za niebezpieczną części Lublina i zaznaczenie swojej obecności na mapie kulturalnej miasta. Chodziło w nich też o poszukiwanie swojego własnego, autorskiego programu. Wiodącym programem były wtedy „Spotkania Kultur" nawiązujące do położenia Lublina na pograniczu Wschodu z Zachodem – do jego wielokulturowych tradycji. Uczestnikami Spotkań byli artyści z Europy Środkowo-Wschodniej i Zachodniej, z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Rosji, Krymu, Czech, Słowacji, Węgier, Francji, Niemiec oraz Izraela.

Czasami wyruszamy w świat w poszukiwaniu skarbu, nie dostrzegając, że mamy go obok siebie.

Po jakimś czasie zrozumiałem, że dla Ośrodka podstawowym tematem powinno stać się to, co jest w zasięgu ręki, czyli ta pustka po Mieście Żydowskim, którą widać z okien Bramy. Pamiętam, jak w jednej z rozmów Grigorij Kanowicz – żydowski pisarz z Litwy – powiedział mi: „Są artyści, którzy chcą opisać cały świat, a nie potrafią nawet opowiedzieć o sobie. Są też tacy, którzy mówią tylko o sobie, o swojej ulicy, a opowiadają o całym świecie". To była ważna wskazówka. Oczywiście, tematyka żydowska istniała w naszym programie od samego początku, od momentu uświadomienia sobie historii tego miejsca, ale potrzeba było czasu, żeby dostrzec, że to jest nasz główny temat.

Ul. Nadstawna, 1937. Fot. Wiktor Ziółkowski. Muzeum Lubelskie w Lublinie – Oddział Historii Miasta Lublina.

Co spowodowało, że Teatr NN zaczął się przekształcać w ośrodek kultury?

Zrozumiałem, że sam teatr to za mało, żeby zmierzyć się z problemami, które przed nami stanęły. Wszystko, co robiłem wcześniej, do roku 1990, całe moje „bycie" w teatrze, wyrastało z buntu wobec systemu politycznego, w którym żyłem i z którym się głęboko nie zgadzałem. Po roku 1990 stało się jasne, że tamta epoka skończyła się definitywnie, że zaczyna się okres odbudowy państwa i że trzeba wziąć współodpowiedzialność za rodzącą się nową rzeczywistość. Po raz pierwszy od dziesiątków lat powstało pole do autentycznej aktywności społecznej. Poczuliśmy, że możemy mieć wpływ na naszą małą ojczyznę.

Te pierwsze lata były najbardziej heroicznym, ale też i romantycznym okresem naszej aktywności, w którym z artystów stawaliśmy się animatorami. Rozpoczęliśmy własną „pracę u podstaw", a do tego trzeba było czegoś więcej niż tylko teatru. Stąd właśnie nasza droga: od nieformalnej grupy teatralnej kontestującej rzeczywistość do własnej instytucji, która potrafiła w swoich działaniach złamać stereotyp dawnych tzw. placówek upowszechniania kultury. To doświadczenie uzmysłowiło mi, że życie społeczne wymaga instytucji. Mogą one zwiększać efektywność działań, po-

magać w tworzeniu porządku w swoim najbliższym otoczeniu. To one, dzięki ciekawym ideom i ich realizacji zmniejszają społeczną entropię w chaotycznym z natury świecie. Dla nas podstawowym elementem porządkującym najbliższe otoczenie stała się Pamięć. Stopniowo w ciągu kilku lat w programach Ośrodka przesunęliśmy punkt ciężkości z działalności impresaryjnej, związanej z organizacją typowych działań kulturalnych, w kierunku tworzenie własnego autorskiego programu.

Droga od nieformalnej grupy teatralnej do samodzielnej instytucji kultury odzwierciedla specyfikę lat dziewięćdziesiątych. Myślę, że kiedyś będzie to fascynujący materiał dla socjologów i historyków. Nasza aktywność związana była z historyczną transformacją społeczno-polityczną, z jedną z najważniejszych dekad we współczesnej historii Polski. W programie, który stworzyliśmy, zawarta jest cała atmosfera tamtego okresu. To, w jaki sposób dochodziliśmy do samodzielności, ten mechanizm demokracji lokalnej w działaniu, przekonywanie pojedynczych radnych, klubów czy komisji do utworzenia nowej, samorządowej jednostki kultury – to było bardzo pouczające, ciekawe, ale przede wszystkim trudne. Inna bardzo interesująca dla przyszłego badacza sprawa to nasza ewolucja programowa, wchodzenie w różne działania – szukanie własnego oblicza, własnej drogi. Te nowe, pozaartystyczne działania zaczęły powoli spychać teatr na drugi plan.

A może po prostu zniechęciliście się, bo sztuki Teatru NN nie wzbudzały zainteresowania i trzeba było się zająć czymś innym?

Przeciwnie. Paradoksalnie to właśnie w tym okresie budowania czegoś nowego i odchodzenia od teatru nasze przedstawienia zostały dostrzeżone w Polsce. Świadczą o tym nagrody i bardzo pozytywne recenzje. W marcu 1993 roku *Inwokacja* została nagrodzona jedną z głównych nagród na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Jednego Aktora w Toruniu. W kwietniu w Szczecinie na Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Małych Form *Ziemskie pokarmy* dostały dwie nagrody, wreszcie w listopadzie we Wrocławiu na Spotkaniach Teatrów Jednego Aktora i Małych Form Teatralnych Ziemskie pokarmy otrzymały specjalną nagrodę od Wojciecha Hassa za wyobraźnię teatralną, a Inwokacja nagrodę dziennikarzy. We Wrocławiu graliśmy na scenie Laboratorium, wobec tej ceglanej ściany, która jest swego rodzaju sanktuarium dla dwudziestowiecznego teatru. Po przedstawieniu prowadzący dyskusję znany krytyk teatralny Tadeusz Burzyński mówił o naszych przedstawieniach jako o czymś zupełnie nowym i zaskakującym w polskim teatrze. Podkreślał siłę wyobraźni teatralnej.

To nowatorstwo na pewno brało się częściowo z mojego stosunku do ówczesnej rzeczywistości. Po roku 1990 życie nabrało niesamowitego tempa, wszyscy byli w jakimś opętańczym biegu. Patrzyłem na kolegów artystów i widziałem, jak większość z nich chce mieć te swoje pięć minut w wyścigu po sławę. W tamtym czasie narodził się we mnie dosyć naiwny bunt przeciwko kolaboracji ludzi sztuki, artystów z kulturą masową. Stanęliśmy z boku. Odpowiadała mi sytuacja anonimowości i działań bez rozgłosu. Dlatego nazwa „Teatr NN" nawiązuje do zasady średniowiecznych artystów: bycia anonimowym, pozostawania w ukryciu, tworzenia *ad maiorem Dei gloriam*. Podpisem artysty powinno być to, co zrobił – a nie on sam. Chciałem robić teatr kameralny, dla kilkunastu

zaprzyjaźnionych osób. Miałem też dość bycia artystą na etacie, rozliczanym z tego, że zrobi jedną premierę w roku i zagra kilkadziesiąt przedstawień. To ja chciałem decydować, czy będę pracować nad jakimś przedstawieniem, czy też nie, czy będę je grać, czy też nie. Żeby tak mogło się stać, trzeba było wziąć na siebie zupełnie nowe obowiązki. To wtedy napisałem tekst, rodzaj manifestu, czym jest dla mnie teatr:

Czy nie jest tragiczne to, że nie można zatrzymać tego, co się samemu stworzyło? Teatr ma w sobie coś z kruchości motyla, a jego piękno i ciepło żyją tak krótko i nic nie jest w stanie tego ocalić. [...] Jeżeli coś przetrwa, to tylko legenda – cień egzystencji, przedziwna forma czegoś, czego już nie ma. Ale na to trzeba sobie zasłużyć, odrzucając hałaśliwą reklamę, marzenia o sławie, cierpliwie szukając swojej własnej Drogi nie w imię sukcesu, ale z pokorą przed tym, co nas przerasta. Dlatego nie chcemy brać udziału w wyścigu o sławę, wątpliwą popularność i wątpliwe sukcesy. Właśnie ten wyścig zabija Sztukę i spycha ją na przegrane pozycje. Stąd pozwalamy sobie na rozpaczliwy gest wyniosłości wobec zgiełku i hałasu tego świata, jednocześnie pytając: cóż warta jest Sztuka, która nie ma swojej temperatury, swojego własnego szaleństwa i która przestaje oświetlać drogę w Ciemności?

Czułem, że prawdziwe życie jest właśnie tu, a nie w teatrze.

Jest on wciąż aktualny? Dlaczego uznałeś, że warto go przytoczyć w tej rozmowie?

Bo tak naprawdę trudno zrozumieć to, co wydarzyło się w Bramie bez spotkania z teatrem, który się tu rodził. Bez wejścia w jego atmosferę. To był przecież punkt startu. Tacy byliśmy. Doskonale pamiętam wiele scen z przedstawień, które tu powstały i one wciąż mają dla mnie jakieś symboliczne znaczenie, są ważnym punktem odniesienia. Jest rok 1990, maj, premiera pierwszego przedstawienia Teatru NN *Wędrówki niebieskie* – bardzo wyraźne odejście od teatru politycznego, Teatru Wielkich Spraw, zerwanie z jego poetyką. Chciałem mówić o sytuacjach najprostszych, jakie dzieją się między dwojgiem ludzi, o naszym intymnym byciu w świecie, o samotności. Oto pierwsza scena z tego przedstawienia. Rozmowa między kobietą i mężczyzną. Obok niego stoi walizka. Padają słowa: – Wyjeżdżasz? – Tak, wyjeżdżam. – Ale pamiętaj, zawsze wrócisz w to samo miejsce. Mężczyzna podnosi walizkę, pod którą stoi zapalona świeczka. Odchodzi. Płonąca świeczka zostaje. To było w teatrze, na scenie – a w życiu już za moment mieliśmy Bramę opuścić, żeby po jakimś czasie do niej wrócić. Zapalona w tamtym dniu mała świeczka wciąż się pali.

Inna scena z *Wędrówek*: odchodzący mężczyzna zatrzymuje się. Widzimy na kobiecie jego cień. Z tego cienia jak z czarnego kokonu kobieta wyjmuje białego motylka. Widać go wyraźnie na jej dłoni. Słychać jeszcze pękające szkło, tak jakby ten czarny kokon-cień pękł. Narodził się motyl. Ważnym rekwizytem w tym przedstawieniu było lustro. Staje się ono Pamięcią, zapamiętuje obrazy, wydarzenia. Ten motyw lustra-pamięci, nieruchomego oka, pojawi się kilka lat później na wystawie. W tym spektaklu wszechobecny jest motyw kruchości – wciąż słychać pękające i rozsypujące się szkło. Słyszymy, jak płaszcz upuszczony przez kobietę na ziemię „rozbija" się, jakby był zrobiony ze szkła.

Jeszcze inna scena – unosząca się nad podłogą kobieta bez nóg z rękoma wyciągniętymi w kierunku stojącego naprzeciw niej mężczyzny. Wygląda jak skrępowane, kalekie kształty kobiet-lalek z obrazów Bellmera. Na podłodze pojawiają się ślady stóp idące od niej w kierunku mężczyzny, jakby zostawiał je jej duch. Pomyśleć, że tak vermeerowski w klimacie teatr powstawał obok tej wielkiej pustki – otchłani, która była tuż obok Bramy.

Zupełnie innym przedstawieniem były *Ziemskie pokarmy*, którego premiera odbyła się we wrześniu 1991 roku. Oszczędne w środkach, lecz nieokiełznane w formie, niby ubogie, lecz bogate w myśli, wzruszenia i obrazy. Całość utrzymana w tonacji czerni, bieli i złota, kipiąca od niezwykłych rekwizytów, zaklęć, szeptów i melodii. Po dwóch przedstawieniach zrobionych z dużym zespołem, poczułem potrzebę zupełnego wyciszenia i powstała *Inwokacja* (premiera w maju 1992 roku), w której wykorzystałem antyczny motyw chóru i przodownika chóru, nawiązując do źródeł teatru. Rolę podstawowego symbolicznego elementu *Inwokacji* grało światło. W marcu 1993 odbyła się premiera adaptacji *Zbyt głośnej samotności* Hrabala. Przy tym przedstawieniu pierwszy raz pracowałem z zawodowym aktorem i to jakim. Henryk Sobiechart świetnie rozumiał, że próby musi potraktować jak ryzykowną przygodę. Spektakl idealnie pasował do zrujnowanych wnętrz Bramy Grodzkiej: rozpadająca się sala teatralna, obłażący ze ścian wielkimi płatami tynk, woda kapiąca z sufitu w czasie deszczu, co widzowie uznali za znakomity efekt teatralny.

Przypominam sobie te przedstawienia, pojedyncze sceny i zadaję pytanie, czym był wtedy dla mnie ów teatr? Tu znów sięgam do wspomnianego manifestu:

Dlaczego Teatr? To właśnie w Teatrze można odnaleźć jeden z najbardziej archetypicznych i poruszających obrazów, którym wciąż karmimy naszą wyobraźnię. Magiczny krąg Światła zatrzymujący Ciemność, a nad nim pochyleni ludzie. Światła odwieczna walka z Nocą, Dobra ze Złem i człowiek szukający schronienia i ocalenia tam, gdzie płonie ogień. Tak należy to widzieć, rozumieć i czuć, gdy stajemy naprzeciw czarnych kotar okalających miejsce, gdzie światło powołuje do życia lub gasi coś, co nazywamy Teatrem.

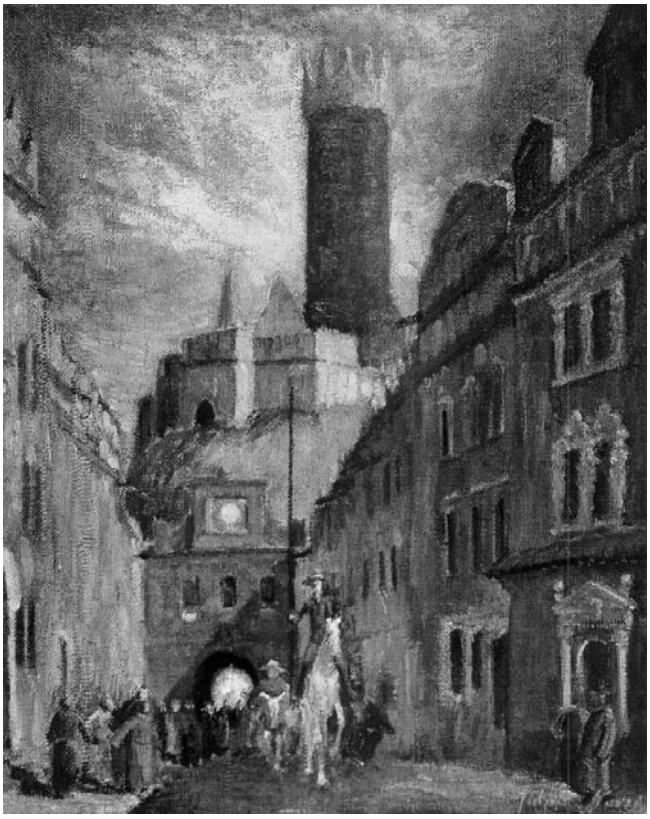

Juliusz Kurzątkowski „ Don Kichot na ulicy Grodzkiej", obraz z 1934 roku, który zainspirował logo Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN". Własność Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

Moby Dick, kolejny spektakl z premierą w czerwcu 1995 roku, był pożegnaniem z pewnym okresem w życiu Ośrodka związanym z teatrem. Miałem wręcz fizyczne poczucie tego, że doszedłem do pewnej granicy. Wielki remont, za który wziąłem odpowiedzialność, różne projekty – jednym słowem, byłem w samym środku życia, w jego wirze, a teatr, który do tej pory robiłem, umierał we mnie i czułem to. Zjadała go codzienność, proza życia i zwykłe zmęczenie. To bardzo osobiste, bolesne i trudne doświadczenie zbliżyło mnie w przedziwny sposób do książki Melville'a. Odnalazłem w opowieści o Ahabie coś ze swojej osobistej historii, jakiś rodzaj współbrzmienia z jego losem i samotnością. Trzeba było się zatrzymać i szukać dla siebie jako artysty innej drogi. Postępowałem według wskazań jed-

Ul. Krawiecka, 1937. Fot. Wiktor Ziółkowski. Muzeum Lubelskie w Lublinie – Oddział Historii Miasta Lublina.

nego z wielkich poetów: „Zanurz się w życie, nie uciekaj od tego, co ci przynosi, niech to zostaje w tobie – i czekaj. Bądź jak ręka farbiarza, a życie zabarwi cię tysiącami nakładających się na siebie kolorów". Tak więc zacząłem bardzo cierpliwie czekać i uczyć się tego miejsca. Właśnie wtedy musiałem podjąć tę dramatyczną decyzję, co dalej. Bardzo wiele osób namawiało mnie, żebym całkowicie poświęcił się teatrowi, odsuwając wszystkie inne sprawy na bok. Ale czułem, że prawdziwe życie jest właśnie tu, a nie w teatrze.

I było?

Z perspektywy czasu widać, że wyjście poza Teatr NN i zaistnienie nie tylko poprzez sztukę nadało naszej pracy nowy sens i perspektywy. Sama odbudowa siedziby Ośrodka bardzo związała nas z tym miejscem. Przechodząc przez prozę remontu i budowy, głębiej je zrozumieliśmy; była to swoista archeologia Pamięci. Zderzenie z Bramą, z jej otoczeniem w jakiś ważny sposób dotknęło nas i przemieniło. Ale z drugiej strony artystyczne działania w istotny sposób dopełniały naszą pozytywistyczną i obywatelską część programu związanego z edukacją i animacją. Potwierdzeniem tego, że idziemy dobrą drogą, było przyznanie Teatrowi NN w 1994 roku jednej z głównych nagród w bardzo prestiżowym konkursie Fundacji Kultury „Małe Ojczyzny – Tradycja dla Przyszłości" za projekt „Pamięć – Miejsce – Obecność". Praca nad tym projektem zmusiła mnie do opisania po raz pierwszy naszych działań i nakreślenia drogi rozwoju dla Ośrodka. Zrozumiałem wtedy, że w moim myśleniu o tym, co robię, najważniejsze są trzy słowa; trzy punkty osobliwe, które modelują świat wokół mnie: pamięć, miejsce i obecność.

Wtedy bardzo świadomie zacząłem używać pojęcia „mała ojczyzna" w odniesieniu do miejsca naszych działań. W projekcie odwołałem się do jego historii, w którą wpisane były doświadczenia trudnego dochodzenia do wzajemnej akceptacji i tolerancji współżyjących ze sobą narodów, religii i kultur, a także doświadczenie Majdanka – obozu zagłady – symbolu dwudziestowiecznego totalitaryzmu, który stał się miejscem tragicznego splotu losów narodów całej Europy. Nawiązując do tych doświadczeń, chcieliśmy stworzyć miejsce spotkań myśli, idei i sztuki, w którym przeszłość byłaby źródłem refleksji i nauki, a nie uprzedzeń i nienawiści. Aby poprzez sztukę i spotkania wróciła w kulturalny krwiobieg tego miejsca pamięć o ludziach, którzy tu zginęli i kiedyś żyli. Tak właśnie narodziły się „Spotkania Kultur".

A z nich z kolei wyłonił się wątek żydowskiej przeszłości Lublina jako główny kierunek działań Ośrodka. Jak to wpłynęło na instytucję, która parę lat wcześniej z teatru stała się miejscem działalności impresaryjno-animacyjnej?

Prawdziwym przełomem w naszej pracy stała się wystawa *Wielka Księga Miasta* z 1998 roku. Pomysł był prosty: wykorzystując stare zdjęcia, stworzyć wystawę poświęconą przedwojennemu polsko-żydowskiemu Lublinowi. Przygotowania do niej rozpoczęliśmy bez świadomości tego, jak dużo pracy jest przed nami. Trzeba było przeprowadzać różnego rodzaju kwerendy i archiwizować uzyskane materiały. Co krok natrafialiśmy na wiele zupełnie nowych dla nas problemów. Zaskoczyło nas na przykład to, że w żadnej z miejskich instytucji kultury nie było w miarę uporządkowanych i opracowanych materiałów o przedwojennych lubelskich fotografiach. A przecież to są zupełnie

elementarne sprawy, ważne dla naszej wiedzy o tym, jak miasto kiedyś wyglądało. Zupełnie niespodziewanie dla nas samych pojawiła się nowa funkcja naszej instytucji – staliśmy się w pewnym sensie placówką naukowo-badawczą. Bo przecież przeprowadzenie kwerend, opracowywanie ich rezultatów związane jest bardziej z pracą naukową niż z działalnością typowej instytucji kultury.

Wtedy zrodził się również pomysł na program „Historia Mówiona", czyli nagrywanie relacji dotyczących dawnego Lublina. Początkowo nastręczał on wiele problemów, począwszy od tego, jak znaleźć rozmówcę, a skończywszy na zadawaniu pytań, które nie mogły być przypadkowe. Rozmowa powinna być przeprowadzona w określonym, z góry przyjętym schemacie. Do tego doszło jeszcze przepisywanie, opracowywanie i archiwizowanie zarejestrowanych relacji. Ludzie wspominają w nich swoich sąsiadów, rodzinne domy i ulice, sklepiki, ulicznych sprzedawców, przywołują zapamiętane z dzieciństwa smaki, zapachy i kolory dawnego Lublina. Te wspomnienia ocalają w jakiś sposób nieistniejący już świat. Zostały one wykorzystane w warstwie dźwiękowej kolejnej wystawy pt. *Portret miejsca*, poświęconej głównie Lublinowi żydowskiemu i tworzącej do dziś stałą scenografię wnętrz siedziby Ośrodka. W oparciu o pozyskane z kwerend stare fotografie oraz nagrane relacje powstało w Ośrodku archiwum, a zawarte w nim materiały są wykorzystywane w projektach artystycznych, wydawniczych i edukacyjnych[5].

Wystawa *Portret miejsca* zbudowana została wokół *Makiety lubelskiego zespołu staromiejskiego do 1939 roku*, który można nazwać kolejnym „rozdziałem" *Wielkiej Księgi Miasta*. Pokazuje ona skalę zniszczeń dokonanych na organizmie miejskim w czasie II wojny światowej. W wyniku likwidacji znajdującej się na Podzamczu dzielnicy żydowskiej, w samym centrum miasta pojawiły się puste przestrzenie, wyłamujące się z logiki historycznego rozwoju urbanistycznego Lublina. Dzięki zgromadzonej przez Ośrodek dokumentacji udało się zrekonstruować dawny układ urbanistyczny tej nieistniejącej części miasta. Makieta w pewnym sensie przedłuża życie obiektów, które zostały fizycznie zniszczone. Ma to szczególnie duże znaczenie w edukacji młodego pokolenia mieszkańców Lublina. Tak powiedział o makiecie wybitny polski historyk prof. Jerzy Kłoczowski:

Jestem pełen uznania. Podziwiam przede wszystkim ogromną robotę. Cztery lata wielkiej pracy ludzi naprawdę zamiłowanych i wiedzących, czego chcą. To jest bardzo głęboki projekt dotyczący historii Żydów w Lublinie. Tu świetnie widać miasto żydowskie, ale trzeba podkreślić, że nie jest to żadne getto, ale że dzielnica żydowska jest integralną częścią całego zespołu. Tu widać jeden organizm miejski, widać rozwój Lublina.

Prace nad wystawą były ważnym etapem na drodze tworzenia nowego typu instytucji, której program powstawał na przecięciu działalności naukowej, muzealniczej, dokumentacyjnej, edukacyjnej, artystycznej i animatorskiej. Dzięki temu nasze działania stały się interdyscyplinarne i zyskały nową jakość. Powstawała instytucja nieco anarchistyczna, o wielokierunkowych działaniach, w której można bez przeszkód realizować nowatorskie i niestandardowe pomysły. Jest ona rodzajem „inkubatora pomysłów" tworzonego na wzór „inkubatora przedsiębiorczości".

Powstawała instytucja nieco anarchistyczna.

Bardzo ważną sprawą dla mnie jest to, że tworzone przez nas archiwum stanie się częścią Archiwum Państwowego. Cytuję z pisma urzędowego: „Uwzględniając charakter i zakres prowadzonej

[5] Informacje o internetowej wersji archiwum czyli „Wirtualnej bibliotece Lublina i regionu lubelskiego" można znaleźć na stronie 78 [przyp. red.].

działalności, ustalam Ośrodek «Brama Grodzka – Teatr NN» w Lublinie jako jednostkę, w której powstają materiały archiwalne wchodzące do państwowego zasobu archiwalnego". Tak więc zbierane przez nas materiały nie ulegną zagładzie i rozproszeniu, jak to się stało w wielu innych przypadkach. Fakt, że przykładamy do tego tak wielką wagę, jest wyrazem szacunku dla własnej pracy. Mamy też świadomość, że w ten sposób dokumentujemy i ocalamy jakąś cząstkę historii naszej Małej Ojczyzny. O tym, co robimy, można też powiedzieć „laboratorium", „laboratorium pamięci". W samym pojęciu laboratorium tkwi kwintesencja naszej działalności – szukanie, eksperyment, odkrywanie nowego. Wspaniale, kiedy splot, a może bardziej stop wielu działań daje ważne społecznie efekty. To jest jakiś rodzaj społecznej alchemii

A może teatru?

Można i tak powiedzieć, bo kiedy planowaliśmy nasze wystawy, patrzyliśmy na aranżacje przestrzeni z zupełnie innej perspektywy niż muzealnik. Dla mnie oznaczało to budowanie scenografii teatralnej, dla której dodatkowym wyzwaniem była przestrzeń siedziby Ośrodka, która ma zupełnie „niewystawienniczy" charakter. Korytarze i zaułki, przypadkowe rozwiązania architektoniczne sprawiają, że trudno jest zapanować nad światłem i perspektywą. Ta przestrzeń ma jednak wartość materialnego zapisu przeszłości miejsca, dlatego nie chodziło o jej zmienianie, ale o wpisanie i wtopienie się w nią. Pracując nad wystawami, stworzyliśmy więc własny język operowania tą przestrzenią, który współgra z nią, podkreśla jej walory, a z jej pozornych słabości czyni atuty – oryginalność i unikalność.

Ważny był też fakt, że to, o czym chcieliśmy opowiadać, było na wyciągnięcie ręki, za oknami. Teraz jest tam pustka, ale w pomieszczeniach Bramy – dzięki wystawie – to nieistniejące miasto miało „zmartwychwstać". Zde-

Brama Grodzka. Fot. Wiktor Ziółkowski. Muzeum Lubelskie w Lublinie – Oddział Historii Miasta Lublina.

cydowałem się wtedy na zrobienie symbolicznego gestu – naprzeciw okna w Bramie Grodzkiej, przez które widać pustkę po dzielnicy żydowskiej, umieściłem na ścianie lustro. Odbija ono tę pustkę, „wciągając" ją do wnętrza. Ten zabieg oznacza, że my, gospodarze Bramy bierzemy odpowiedzialność za pamięć o tym, co było kiedyś za jej oknem. W podobny sposób lustro zostało wykorzystane w jednym z pierwszych przedstawień: *Wędrówki niebieskie*. Dzięki aranżacji przestrzeni Bramy Grodzkiej w oparciu o dokument: stare fotografie, relacje mówione osób oraz materiały archiwalne, rzeczywiście powstał swoisty „teatr pamięci". Na co dzień jego scenografia jest na pozór pozbawiona życia, lecz włączenie świateł i dźwięków powoduje, że ożywa, tak jakby mury tego miejsca zaczynały opowiadać i śnić swoją historię poprzez obrazy i dźwięki.

W *Stu latach samotności* Gabriela Garcii Marqueza opisana jest zadziwiająca historia. Oto mieszkańcy jednego z miast zaczęli tracić pamięć. Żeby zatrzymać ten proces, zbudowano nawet specjalną maszynę pamięci: „Mechanizm ten miał polegać na możliwości powtarzania co rano, od początku do końca, wszystkich wiadomości nabytych w ciągu życia; wyobrażał sobie to jako olbrzymi obrotowy słownik, którego ruchem kierowałby ktoś umieszczony na osi, przy pomocy korby, tak żeby w ciągu kilku godzin mogły przesuwać się przed jego oczami pojęcia najbardziej potrzebne do życia". Podobna „Maszyna Pamięci" została zbudowana w Bramie. Jeszcze innym ciekawym tropem interpretacyjnym dla tej wystawy i samej Bramy może być symbol arki, która ocala i przechowuje w swoim wnętrzu to, co zostało po potopie.

Czy Teatr NN przetrwał tylko w formie wystaw i w nazwie Ośrodka?

To, że przez kilka lat nie powstawały nowe przedstawienia, nie oznaczało, że teatr zniknął z życia Ośrodka. Tylko dzięki doświadczeniom zebranym w pracy teatralnej udawało się stworzyć wiele niestandardowych przedsięwzięć. Teatr przeniosłem w życie. Natomiast *Moby Dick* rzeczywiście zamknął dla mnie pewien okres twórczości czysto teatralnej. Trwało to do 2000 roku, kiedy zrealizowałem swoje pierwsze „misterium pamięci" pt. *Jedna ziemia – dwie świątynie*. Jednym z głównych powodów tego artystycznego milczenia był fakt, że w obliczu tego, co stało się tu w czasie wojny, zacząłem wątpić w możliwości i sens sztuki, w język teatru.

Dojrzewanie zaowocowało działaniami, które umownie nazwałem misteriami. To są moje „dziady".

Świadomość zagłady miasta żydowskiego i niepamięci o nim osadzała się we mnie coraz głębiej. Dobrze oddają moje wątpliwości słowa Jacka Leociaka, który powiedział w jednym z wywiadów: „Nigdy dotąd przepaść między skalą doświadczenia a możliwościami jego wyrazu nie była tak głęboka. Nigdy też literatura jako domena fikcji, konwencji i chwytów nie wydawała się czymś aż tak niestosownym w zetknięciu z doświadczeniem Zagłady". Czy też wypowiedź Czesława Miłosza z przemówienia z okazji przyznania mu doktoratu honoris causa Uniwersytetu Rzymskiego w 1992 roku:

> Pamięć jest wielkim ciężarem, ale nie mogę się od niej wyzwolić i wiek XX przebywa we mnie ze wszystkimi obrazami zbiorowych szaleństw i masowych zbrodni [...]. I teraz, tuż przed końcem drugiego milenium, ciągle siebie zapytuję, ile z tego, co się zdarzyło, znalazło się w naszych książkach. Niestety, nieszczęścia dotykające ludzi, ich cierpienia, ich daremne nadzieje, ich śmierci, jeżeli są pomnożone przez liczbę, która wygląda przerażająco nawet w statystykach, składają się na zjawisko tak ogromne, że nie może sobie poradzić z nim żadna literatura. [...] Oto spostrzegamy, że środki artystyczne będące do naszej dyspozycji wyczerpują się

jeden po drugim [...] i że oglądając się wstecz na nasze stulecie, stoimy wobec rzeczywistości nienazwanej, tak że młode pokolenia już nie dowiedzą się, jak to naprawdę było.

Imre Kertesz, inny laureat Nagrody Nobla, w jednym z wywiadów powiedział wręcz, „że w Oświęcimiu upadła cała europejska kultura. Czas Oświęcimia to zerowy punkt kultury. Więc gdybyśmy chcieli od jakiegoś punktu odbudowywać naszą tradycję, naszą kulturę, to winniśmy zacząć właśnie od obozowego języka".

Zdałem sobie sprawę, że jestem być może ostatnią osobą, która jeszcze wie o małym żydowskim chłopczyku z Kamionki, który prowadzony na śmierć osiwiał.

Czułem się wtedy całkowicie bezradny, szukając odpowiedniej formy artystycznej do zmierzenia się z tą wielką pustą przestrzenią po mieście żydowskim. Przez prawie pięć lat czekałem i byłem jak wspomniana ręka farbiarza. To dojrzewanie zaowocowało działaniami, które umownie nazwałem misteriami pamięci: *Jedna ziemia – dwie świątynie*, *Misterium światła i ciemności*, *Listy do getta*, *Misterium ulicy Szerokiej* [6], *Poemat o miejscu*. To są moje „dziady" – przywoływanie duchów. Nie da się zrozumieć sensu większości moich działań artystycznych bez tych duchów, bez opowieści o nich. Myślę, że życie każdego człowieka ma swoją niepowtarzalną kompozycję – trzeba tylko umieć ją odczytać. To, czego w pędzie codzienności nie dostrzegamy, czy też wydaje się przypadkowe, z perspektywy lat okazuje się coraz pełniejszą kompozycją. Teraz widzę wyraźniej związki między wieloma zdarzeniami z własnego życia.

Brama na mnie czekała, a ja do niej dojrzewałem. Wychowałem się obok Majdanka. Do dziś czuję w sobie grozę tego miejsca, mimo że nic z tego nie rozumiałem. Te wielkie odrutowane przestrzenie, wieże strażnicze, baraki, trupie główki na tablicach i ten budynek z wielkim kominem. Kiedy przeprowadziłem się do innej dzielnicy, obraz Majdanka zatarł się. I oto jako dorosły już człowiek znalazłem się w Bramie, tuż przy miejscu, w którym żyli ci, których zabrano do obozów śmierci – w tym na Majdanek. Uświadomiłem sobie, że moje życie zatoczyło jakiś krąg od Majdanka do Bramy. Od Śmierci do Życia.

Wspomniałeś, że odchodząc od teatru, przeniosłeś go w życie. Wygląda na to, że jednocześnie nastąpił proces odwrotny – Twoje życie przeniosło się do teatru. A raczej życie duchów, które pojawiły się na Twojej drodze. Wiele ich było?

W szkole podstawowej nauczycielka matematyki opowiedziała nam o małym żydowskim chłopczyku, który prowadzony na śmierć przez niemieckiego żandarma osiwiał w ciągu kilku minut. Zdarzenie miało miejsce w czasie wojny w małym miasteczku Kamionka tuż obok Lublina. Widziało to kilkaset osób. Ta opowieść bardzo zapadła w moją pamięć. Ów mały chłopczyk wracał do mnie w snach co kilka lat. Jakiś czas temu zapytałem swoich kolegów z klasy, czy pamiętają tę opowieść. Nikt nie pamiętał. Zdałem sobie sprawę, że jestem być może ostatnią osobą, która jeszcze wie o małym żydowskim chłopczyku z Kamionki, który prowadzony na śmierć osiwiał.

Albo inna historia. Po obejrzeniu wystawy pewna kobieta poprosiła o spotkanie ze mną. Pierwsze słowa, jakie padły z jej ust: „To ja jestem NN". Okazało się, że już kilka razy była obok Bramy, ale nie miała odwagi wejść do środka, bo miejsce to wiązało się dla niej ze strasznymi przeżyciami. W końcu przełamała się, obejrzała wystawę i dostała też do ręki książeczkę, w której w krótkim poetyckim tekście wyjaśniam, skąd wzięła się nazwa teatru: „*Nomen nescio* – imienia nie znam. Wtopić się w swoje dzieło, wtulić się w jego ciepło i istnieć tylko poprzez nie. Zakryć twarz czarnym we-

[6] Informacje o *Misterium ulicy Szerokiej* można znaleźć na stronie 27. Odnośniki do pozostałych misteriów w dalszych przypisach [przyp. red].

lonem. Odejść na spotkanie Ciemności bez obaw i strachu, zostawiając swój Teatr odbity w czyichś uważnych oczach. Zostawiając swój ślad". Pod wpływem tego tekstu, pod wpływem wspomnień, które wróciły owa kobieta opowiedziała mi swoją historię.

Nie pamiętała swoich rodziców. Jej pierwszym językiem był rosyjski. Najodleglejsze wspomnienie to obraz grupki dzieci, wśród których jest i ona. Chodzą po śmietnikach, ulicach. Szukają jedzenia. Jeden ze starszych kolegów jest jej bratem, opiekuje się nią. Wydaje się, że mogła mieć wtedy 4-5 lat. Następny obrazek to kobieta, która bierze ją na ręce i przytula. Pierwszy raz czuje ciepło innego człowieka. W tym jednym momencie ta kobieta staje się jej matką. Wszystko dzieje się to we Lwowie w roku 1942 lub 1943. Kobieta zabiera ją ze sobą do pociągu. W oczach dziewczynki na zawsze pozostanie widok brata, który został na dworcu. Kobieta pochodzi z Lublina, do Lwowa jeździ na handel. Dochodzą do jej mieszkania, do którego wchodzi się z Bramy Grodzkiej. Teraz jest tam jedna z sal wystawowych.

Mieszkanie, w którym była pijacka melina, często odwiedzają ukraińscy żandarmi. Kiedyś przyszli do niego niemieccy żołnierze, szukając żydowskiej dziewczynki. Ktoś im o niej doniósł. Podczas gdy ona siedziała dobrze schowana w domowej kryjówce, jeden z Ukraińców, który traktował ją jak córkę i był wtedy w mieszkaniu, zapewnił, że nie ma w nim żadnej dziewczynki. Wtedy miała pierwszy przebłysk świadomości, że jest Żydówką. Kilka dni później ten sam Ukrainiec przyniósł jej mały niebieski płaszczyk. Była szczęśliwa. Często siadała mu na kolanach. Dopiero po kilku latach zrozumiała, na czym polegała jego służba. To właśnie ukraińscy żandarmi likwidowali getto, a mały płaszczyk był własnością dziewczynki, która zapewne trafiła na Majdanek. Od wielu lat dręczy ją sen z czarną kotarą. Cofa się w przeszłość do najdalszych obrazów dzieciństwa i dochodzi do czarnej kotary, której nie może rozsunąć. Kim jest? Kim byli jej rodzice?

Henio, inny duch przeszłości, przyszedł do mnie na samym początku pracy nad wystawą *Elementarz*[7], poświęconą dzieciom na Majdanku. Henio Żytomirski mieszkał niedaleko Bramy, przy ulicy Szewskiej. Urodził się w 1932 roku i w każdą rocznicę urodzin rodzice robili mu zdjęcia. Ostatnie było zrobione w 1939 roku – Henio nie przeżył wojny. Album z tymi zdjęciami trafił do Ośrodka właśnie wtedy, kiedy myślałem, żeby oprzeć wystawę o losy konkretnych dzieci. Henio jest jednym z czworga dzieci, o życiu których opowiada wystawa. Jedno ze zdjęć z 1938 roku zostało zrobione przy Banku PKO na Krakowskim Przedmieściu. Roześmiany Henio w krótkich spodenkach i podkolanówkach stoi na schodach przy wejściu do Banku. Zawsze, gdy mijam to miejsce i patrzę na wejście ze schodkami, widzę uśmiechniętego Henia...

Na dwa tygodnie przed ukończeniem wystawy, kiedy czułem w sobie wielki niepokój, czy jej scenariusz w ogóle ma sens, odwiedziłem znajomy antykwariat na Starym Mieście.

[7] Informacje o wystawie *Elementarz* można znaleźć na stronach 153 i 154 [przyp. red.].

Brama Grodzka od strony Krawieckiej. Fot. Wiktor Ziółkowski. Muzeum Lubelskie w Lublinie – Oddział Historii Miasta Lublina.

Antykwariusz miał coś dla mnie. Był to dziennik szkolny II klasy Szkoły Podstawowej w Parczewie z 1939 roku. Do klasy chodziło 45 dzieci, w tym 30 żydowskich. W czerwcu 1939 spotkały się ostatni raz. W treści dziennika nie ma nic, co by wskazywało, że za chwilę będzie kataklizm II wojny światowej, który zmiecie z powierzchni ziemi to parczewskie sztetl. Z jednej strony opisy wycieczek z dziećmi na łąkę, do lasu. Lekcje przyrody. Czytanie wierszyków. Takie *Poema naiwne*. Z drugiej strony to coś strasznego, co miało za chwilę nastąpić. Uświadomiłem sobie, że z dużym prawdopodobieństwem część z tych żydowskich dzieci zginęła na Majdanku. Trzymam w ręku ten dziennik, a za dwa tygodnie jest otwarcie wystawy. Był to dla mnie ważny znak potwierdzający, że poszedłem dobrą drogą, budując wystawę na zupełnie podstawowej opozycji: świat dzieciństwa – świat obozu. Światu dzieciństwa i szkoły, którego symbolem może być elementarz, przeciwstawiłem świat obozu, w którym na dzieci czekał „elementarz śmierci".

Jest jeszcze Elżunia, którą spotkałem w czasie pracy nad wystawą. To też zupełnie niesamowita i wstrząsająca historia. Znaleziono bucik dziecięcy pochodzący z Majdanka, a w nim karteczkę z wierszykiem: „Była sobie raz Elżunia / Umierała sama / Bo jej tatuś na Majdanku / W Oświęcimiu mama". Pod nim widniał podpis: „Nazywam się Elżunia. Mam 9 lat. Wierszyk śpiewam na melodię «Z popielnika na Wojtusia»".

I jeszcze historia płaszcza. Na początku lat osiemdziesiątych, kiedy byłem związany z teatrem studenckim „Grupa Chwilowa", pracowaliśmy nad przedstawieniem *Martwa natura*. Jako rekwizytów do tego przedstawienia potrzebowaliśmy wielu płaszczy. W odpowiedzi na ogłoszenie prasowe jakaś starsza pani przyniosła płaszcz swojego brata, który zginął na Zamku w lipcu 1944 roku w ostatniej egzekucji dokonanej przez Niemców. Miał ten płaszcz na sobie w chwili śmierci: „Był pięknym dwudziestoletnim mężczyzną, należał do AK. Kochał teatr. Od dziecka marzył, by zostać aktorem. W lipcu 1944 został aresztowany. Trafił na Zamek. Myślę, że cieszyłby się, wiedząc, że jego płaszcz będzie w teatrze. Brat był w pana wieku – proszę przyjąć ten płaszcz". Grałem w nim, jeżdżąc po całej Europie. Mam go do dziś. Sam nie wiem, jakim cudem się zachował. To przedstawienie nie jest grane od wielu lat. Kilka razy zmienialiśmy siedzibę teatru. Poginęło albo trafiło na śmietnik setki innych rekwizytów, a ten płaszcz jest obok mnie. Przeszedł długą drogę, żeby znaleźć się blisko Zamku. Coś w tym jest. Tak jakbym to ja przeżył za tego młodego człowieka jego życie. Jakbym wypełnił jego los.

Czy to własnie ów płaszcz przypomniał Ci o Majdanku?

Nie, pierwszy artystyczny krok w kierunku Majdanka zrobiłem dzięki Tadeuszowi Mysłowskiemu, który zaprosił mnie do współpracy przy swojej multimedialnej instalacji *Shrine – Miejsce pamięci bezimiennej ofiary*, którą wykonał dla Muzeum w roku 1999. Jest to artystyczny hołd dla ofiar obozów. Głównym elementem umieszczonej w baraku nr 47 instalacji są kamienie i żarówki z abażurami w kształcie kul z zardzewiałego drutu kolczastego. Dzięki tej współpracy wiele się nauczyłem. Moim zadaniem w projekcie było stworzenie części jego oprawy dźwiekowej.

Jako podstawowego tworzywa użyłem nagranych na taśmę magnetofonową wspomnień więźniów obozu. Nakładając je na siebie, nadałem im formę chóru, który pełnił kluczową rolę w antycznej tragedii, a która leży gdzieś u samych źródeł teatru. Co jakiś czas z tego dźwiękowego chaosu wyłania się pojedynczy głos – wspomnienie wyraźnie słyszalne na wyciszonym tle pozostałych głosów. Tak jakby z antycznego chóru wychodził koryfeusz – jego przodownik. Głośniki

Tadeusz Mysłowski – absolwent krakowskiej ASP, rzeźbiarz, malarz, grafik i fotograf, urodził się w Lublinie w 1943 roku. Mieszkał nieopodal Majdanka. W 1969 roku wyjechal do Francji, był stypendystą paryskiej „Kultury". Od 1970 roku mieszka i pracuje w Nowym Jorku. Zafascynowany twórczością Malewicza, Kobro, Strzemińskiego i Jaremy, skoncentrował sie na konstruktywizmie. W swoich pracach niestrudzenie bada naturę dwóch geometrycznych znaków-symboli: krzyża i kwadratu. Realizował rzeźby m.in. dla Nowego Jorku, Tokio i Jokohamy. Prace Mysłowskiego trafiły m.in. do zbiorów Luwru, Museum of Modern Art w Nowym Jorku i Victoria and Albert Museum w Londynie.

zostały umieszczone w dalszej części baraku, przy podłodze. Dzięki temu chór wspomnień słyszalny jest jakby spod ziemi, z piekła, w którym znaleźli się więźniowie. Takie umieszczenie głośników tworzy też skojarzenie z bijącymi źródłami, w tym wypadku dźwięków-głosów. Na tym „polu śmierci" biją źródła pamięci – bo każde wspomnienie jest jakby ocalającym świat strumieniem pamięci. Jest to też swego rodzaju „liturgia słowa". Doświadczenia z pracy przy instalacji *Shrine* było dla mnie bardzo pomocne przy wystawie *Elementarz*.

Porównałeś wcześniej chyba Ośrodek do „arki pamięci". Nie jest to jednak „arka Noego", bo jej misja zależy od współpracy z wieloma innymi „arkami". W przypadku *Elementarza* i *Shrine* było nią Państwowe Muzeum na Majdanku, a w przypadku „Krawieckiej 41" uniwersytet.

W Polsce można zaobserwować rozerwanie więzi zbiorowych na poziomie społecznego zaufania. A przecież ważnym elementem kapitału społecznego jest umiejętność nawiązywania współpracy pomiędzy ludźmi i instytucjami. Ośrodek jest katalizatorem takich działań. Bez współpracy i wzajemnego wsparcia wiele projektów pozostałoby w sferze planów. Jest wielką wartością społeczną, jeżeli jakaś instytucja potrafi poprzez budowanie współpracy kumulować i porządkować rozpraszaną i często niewykorzystywaną energię ludzką na rzecz realizacji jakiegoś pomysłu. Współpraca z uniwersytetem, konkretnie z Uniwersytetem Marii Curie-Skłodowskiej, pojawiła się, kiedy zrozumiałem, jak wielki zakres prac mamy do wykonania i że sami nie jesteśmy w stanie temu wszystkiemu podołać. Uniwersytet okazał się bardzo naturalnym partnerem ze względu na wielki, często nie wykorzystany potencjał działań takich jak praktyki studenckie, możliwość prowadzenia zajęć w Ośrodku, pisanie prac magisterskich i seminaryjnych na zaproponowane przez nas tematy. Z drugiej strony studenci zdobyli możliwość poznania samorządowej instytucji kultury od środka, w bezpośrednim działaniu. Jednocześnie nadali oni naszej pracy większą rangę społeczną.

Projekt „Krawiecka 41" przyniósł spektakularne efekty, ale nie był pierwszym wspólnym przedsięwzięciem Ośrodka i UMCS. Co było wcześniej?

Projekt „Dom" zrealizowany w 1998 roku w ramach zajęć fakultatywnych, które prowadziłem na kierunku samorządowym. Grupa studentów dostała zadanie zgromadzenia wszelkich możliwych informacji archiwalnych o jednej z kamienic ulicy Grodzkiej. Chodziło o uchwycenie historii konkretnego domu zarówno w warstwie materialnej, jak też poprzez losy ludzi, którzy w niej mieszkali. Chcieliśmy prześledzić, jak zmieniali się właściciele, kiedy została podłączona woda, kanalizacja, prąd, gaz... Ważnym elementem projektu były rozmowy z lokatorami. Wykorzystując nasze wcześniejsze doświadczenia z „Historią Mówioną", studenci zaczęli rozmawiać z osobami starszymi, często samotnymi, poznając przy okazji ich problemy. Wtedy niespodziewanie wkroczyliśmy w obszar szeroko rozumianej pomocy społecznej. Był to zupełnie nieprzewidziany przez nas i bardzo pozytywny aspekt projektu, który dopisało życie. Uzyskane w ten sposób materiały posłużyły do realizacji wydarzenia artystycznego pt. *Dom – Grodzka 19* w roku 1998, o którego genezie tak kiedyś napisałem:

Jeżeli ty teraz osobiście nie weźmiesz odpowiedzialności za tę pamięć, nie myśl, że ktoś cię wyręczy.

Jest to próba artystycznego dotknięcia końca pewnego okresu w życiu Starego Miasta w Lublinie oraz związanej z nim mikrospołeczności. Lubelska Starówka zmienia się.

Remontowane są kolejne kamienice i za kilka lat będzie to zupełnie inne miejsce. Chcąc uchwycić chociaż część tego rozpoczętego procesu zmian, zdokumentowano fotograficznie i na taśmie wideo ostatnie dni pobytu lokatorów z kamienicy Grodzkiej 19, przeznaczonej do kapitalnego remontu.

Takie myślenie doprowadziło nas do projektu „Krawiecka 41". Pamiętam moje spotkanie z grupą studentów, na którym proponowałem różne tematy do opracowania w ramach, jak to nazywam, „uczenia się czytania miasta": opisanie jednego dnia w Lublinie (w okresie do 1939 roku), opracowanie historii wybranej ulicy, domu, mostu itp. Jednym z tematów była historia domu przy Krawieckiej 41, na który zwróciłem uwagę dzięki znalezionej w Archiwum Państwowym liście jego lokatorów z 1939 roku. Właśnie do tego tematu zgłosił się Tomek Czajkowski.

Przykład „Krawieckiej 41" pokazuje, w jaki sposób próbujemy związać nasz program z mieszkańcami miasta, w szczególności młodymi, wykorzystując do tego praktyki uczniowskie, studenckie, zajęcia, staże absolwenckie, wolontariat. W przeciwieństwie do wielu instytucji, w których takie osoby traktowane są jako zupełnie nieprzydatne i kłopotliwe, my wręcz zabiegamy o praktykantów i stażystów. Chcemy, aby w oparciu o zebrane w Ośrodku materiały powstawały prace magisterskie, licencjackie i dyplomowe. Tym młodym ludziom w tak ważnym dla nich okresie życia staramy się stworzyć warunki do uczestnictwa w czymś ważnym i wyjątkowym, żeby w Ośrodku przeżyli swoją „przygodę życia", do której później się wraca, wspomina i pamięta. Tutaj mają oni szansę nauczyć się naprawdę czegoś nowego.

To, co zdawkowo nazywamy „nagrywaniem relacji", jest w istocie ocalaniem niematerialnego dziedzictwa kultury. Wciąż wiele osób nie potrafi tego zrozumieć.

Przygoda z archiwalnymi rewersami? Nie brzmi zachęcająco.

Kiedy zacząłem mieć do czynienia ze śladami przeszłości, z dokumentami, zdałem sobie sprawę, że analizując materiały archiwalne, można się dużo dowiedzieć o historii zarówno jednego budynku, jak i całego miasta. Te dokumenty stawały się najbardziej fascynujące wtedy, gdy pojawiali się w nich ludzie, nazwiska konkretnych osób, za którymi kryła się jakaś historia. Na przykład w 1942 roku w księdze meldunkowej jednej z kamienic na ulicy Złotej nagle nazwiska żydowskich mieszkańców kamienicy są wykreślone i pojawiają się nazwiska polskie – a to przecież związane było z powstaniem getta. Żydzi zostali wyrzuceni ze swoich mieszkań. Na ich miejsce wprowadzili się Polacy. Takich informacji można z dokumentów uzyskać bardzo wiele.

Szukanie dokumentów i ich analiza to „uczenie się miasta" w wymiarze historycznym, ale to również rodzaj praktycznej lekcji wychowania obywatelskiego. Ktoś, kto brał do realizacji taki projekt, musiał, docierając do różnych dokumentów, wchodzić w kontakt z wieloma instytucjami samorządowymi, poznając „od kuchni", jak funkcjonuje miasto. Okazało się, że bardzo wielu studentów kierunku samorządowego, kończąc studia, nie miało kontaktu z żadną z takich instytucji. Nie wiedzieli, jak funkcjonuje samorząd na poziomie instytucji. Nie musieli wykonywać na tym poziomie żadnych zadań polegających na rozwiązaniu jakiegoś konkretnego problemu, co byłoby bardzo pouczające. Zabrakło kontekstu. Podobnie jest z przeżywaniem przygody wśród archiwalnych teczek. Na pierwszy rzut oka nie wydaje się to interesującą perspektywą, ale każdy pozornie nieatrakcyjny dokument może być wielkim skarbem, jeżeli potrafimy jego poszukiwania umieścić w jakimś ważnym kontekście, np. mówiąc: „Wy-

obrażcie sobie, że żyło tu 43 000 ludzi i nie ma po nich śladu". Przeszukiwanie archiwów jest czymś zupełnie innym niż czytanie podręcznika. Dotyk, zapach, autentyczność dokumentu – budzą emocje. Jest coś atawistycznego w tym dotykaniu dokumentów. Bez tego poznanie przeszłości jest niekompletne.

Uczestnictwo, poczucie sprawczości, poszukiwanie – to bardzo ciekawe zagadnienia, jeśli się spojrzy na nie z perspektywy teatru, z którego przecież wyrastają Twoje misteria.

W misterium *Dzień pięciu modlitw* wpisałem działanie polegające na tym, że ludzie brali specjalnie przygotowane gliniane tabliczki z odciśniętymi przypadkowymi numerami więźniów i potem mieli możliwość podjęcia próby dowiedzenia się w archiwach muzeum, kto krył się za danym numerem. Trzeba mieć świadomość, że numery w obozach koncentracyjnych nadawano więźniom nie tylko po to, aby ich policzyć. Był to akt symboliczny. W każdej kulturze bardzo mocno zakorzenione jest znaczenie imienia, nazwiska, jako czegoś silnie związanego z człowiekiem. Hitlerowcy stworzyli precyzyjny system zabierania ludziom tożsamości. Robili z nich numery. Zaproponowałem sytuację odwrotną, również symboliczną. Mamy konkretny numer i odnajdujemy ludzi, którzy się za nim kryli. W ten sposób oddajemy tym ludziom twarze. W taki właśnie sposób można wejść w sferę emocji i na płaszczyznę symboliczną.

To działanie odsłoniło skalę strat w materiałach archiwalnych. W wielu przypadkach nie można było przypisać nazwiska do numerów. Ale przynajmniej zadało się pytanie, do kogo należał wybrany numer. Ktoś zaczął sobie wyobrażać, że za jakimś konkretnym numerem stał rzeczywisty człowiek. Każdy uczestnik misterium stawał się w jakiś sposób osobiście odpowiedzialny za pamięć o danym człowieku. To już TY jesteś odpowiedzialny. Nie jakaś instytucja, która realizuje „cele statutowe" i która pewne rzeczy „wykonuje w ramach swoich obowiązków". Jeżeli ty teraz osobiście nie weźmiesz odpowiedzialności za tę pamięć, nie myśl, że ktoś cię wyręczy. Cóż z tego, że uporządkuje się materiały archiwalne, że będą one wszystkie w teczkach, posegregowane i ponumerowane.

Misterium *Dzień pięciu modlitw* odbywające sie w ramach Kongresu Kultury Chrześcijańskiej 7 listopada 2000. Widoczne gliniane tabliczki z numerami więźniów. Fot. Marta Kubiszyn.

Misteria były moim powrotem do działań artystycznych, bo czułem, że odnalazłem formę, język do mówienia o tym miejscu. Misterium *Jedna ziemia – dwie świątynie* wyglądało, posługując się opisem Joanny Podgórskiej, mniej więcej tak:

Po chrześcijańskiej stronie Bramy, począwszy od miejsca po zburzonej 150 lat temu na polecenie władz carskich farze, stanęli Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Po żydowskiej stronie, od miejsca po wysadzonej przez Niemców w powietrze synagodze, stanęli ocaleni z Holokaustu. W jednym momencie – po stronie chrześcijańskiej abp Życiński, a po stronie żydowskiej rabin Michael Schudrich – kapłani wykopali garść ziemi

z miejsc po zburzonych świątyniach. Ziemię w glinianych naczyniach przekazywali sobie z rąk do rąk – po jednej stronie Sprawiedliwi, po drugiej Ocaleni. Dzięki nagłośnieniu po obu stronach Bramy było słychać historie tych, którzy ratowali i tych, którzy zostali uratowani. Gdy przekazywane z rąk do rąk naczynia dotarły do Bramy Grodzkiej, ziemię z nich wymieszał ks. Romuald Jakub Weksler, ocalony z Holokaustu żydowski chłopiec, który, nieświadomy swojego pochodzenia, został katolickim księdzem. Dziś mówi o sobie: Żyd od Jezusa. W tej ziemi licealistka z Lublina i jej rówieśnik z Izraela, wnuk urodzonego w Lublinie Icchaka Karmi, posadzili dwa drzewka winorośli: jedno z Lublina, drugie przywiezione z Izraela. Arcybiskup i rabin spotykają się w Bramie. Wokół Bramy zgromadziło się ponad 2 tys. osób, ale panowała przejmująca cisza. W tej ciszy wypowiedziane w stronę Żydów słowa abp. Życińskiego: „Ja jestem Józef, wasz brat", zabrzmiały w niezwyczajny sposób[8].

Misterium *Jedna ziemia – dwie świątynie* było wynikiem bardzo świadomych fascynacji i poszukiwań na pograniczu teatru i dokumentu. Przy okazji gromadzenia zdjęć do wystawy o dawnym Lublinie i zapisanych na taśmach relacji dawnych mieszkańców miasta zacząłem stykać się z historiami konkretnych ludzi i zrozumiałem, że to może być baza dla teatralnych działań. Na przykład proste, banalne wykorzystanie relacji zebranych w ramach „Historii Mówionej" w wystawie *Portret Miejsca* z jednej strony uteatralniło ekspozycję, a z drugiej nadało jej posmak autentyczności. W misterium *Jedna ziemia – dwie świątynie* wpisałem w formę teatralną żywych świadków historii. Z indywidualnych losów ludzi, z historii miejsca utkałem przestrzeń symboliczną. Powstał rodzaj teatru na styku dokumentu radiowego, widowiska plenerowego, wydarzenia ulicznego – coś, co jest najbliższe misterium. Forma była teatralna, ale treścią stało się samo życie, czyli historie opowiadane przez ludzi niosących ziemię oraz ich i nasze, widzów-uczestników, autentyczne emocje.

Dobrym komentarzem do działań Ośrodka i kolejnego misterium pt. *Listy do getta*[9] mogą być słowa Joanny Podgórskiej:

Teatr NN już od dawna wykroczył poza ramy zwykłego teatru. Wykroczył także poza przestrzeń Bramy. Dzięki dobrej współpracy z władzami miasta udaje się co roku, w rocznicę likwidacji getta, zaciemnić na dwie godziny całą przestrzeń żydowskiej dzielnicy. Z rozświetlonej, tętniącej życiem części Starego Miasta przez Bramę Grodzką wchodzi się w ciemność i ciszę. Lublinianie przychodzą tu co roku ze świecami. Członkowie Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" rozdają mieszkańcom spisy lokatorów i adresy z przedwojennego żydowskiego Lublina z prośbą, by wysłali do nich list. Ludzie wysyłają zasuszone kwiaty, puste kartki albo piszą. Trzynastoletnia Ola napisała do Marii Dwojry Bojm z ul. Szerokiej 47, bo od sąsiadów dowiedziała się, że córka Marii Rachela grała na skrzypcach: „Zwiedzając muzeum, zobaczyłam w gablocie skrzypce

Misterium *Jedna ziemia – dwie świątynie* odbywające sie w ramach Kongresu Kultury Chrześcijańskiej 16 września 2000. Droga z Placu po Farze do Bramy Grodzkiej. Fot. Marta Kubiszyn.

[8] Joanna Podgórska, *Nawróceni na Bramę*, „Polityka" nr 47 z 22 listopada 2003.

[9] Informacje o misterium *Listy do getta* można znaleźć na stronie 28 [przyp. red.].

z inicjałami R. B. znalezione po wojnie przy odgruzowywaniu Lublina. Pomyślałam, że może mieć to związek z pani córką. Czy są to jej pierwsze skrzypce?" Listy wracają z pieczątką: „zwrot", „adresat nieznany" albo ręczną adnotacją: „nie dotyczy", „przy ul. Browarnej nie ma żadnego adresu". Kolejne dotknięcie pustki[10].

Następnym dużym misterium pamięci był *Poemat o miejscu*. Oto jego opis z materiałów prasowych:

12 października 2002 roku o godz. 20.00 odezwał się dzwon z kościoła na Wzgórzu Czwartkowym, dając znak do rozpoczęcia Misterium. W całej przestrzeni wokół Zamku zgasło światło, tworząc „scenę" do dalszych działań. Droga uczestników Misterium rozpoczęła się na Starym Mieście – rozświetlonym i tętniącym codziennym życiem. Następnie przeszli oni przez Bramę Grodzką w ciemność po jej drugiej stronie – tam, gdzie kiedyś było Miasto Żydowskie i gdzie stoi Zamek – a dalej od Bramy Grodzkiej do Zamku, przez Plac Zamkowy, następnie wzdłuż ulicy u podnóża Wzgórza Zamkowego, do miejsca, gdzie stała dawniej synagoga.

Przewodnikiem na tej drodze było światło zapalające się w kolejnych, mijanych otwartych studzienkach kanalizacyjnych, z których wydobywały się głosy-opowieści więźniów Zamku (z okresu okupacji i lat powojennych) oraz wspomnienia mieszkańców Lublina o dzielnicy żydowskiej i jej zagładzie. Odsłaniały one ukryte i niewidoczne na co dzień sensy i znaczenia zawarte w pustej przestrzeni wokół Zamku.

W miejscu dawnej synagogi droga uczestników Misterium została przecięta wiszącą w poprzek czarną kotarą. Było to nawiązanie do kotar z fresków ze ścian Kaplicy Zamkowej. Kotary te wskazują na istnienie tajemnicy, której nie można przeniknąć.

Motyw opowiadania i słuchania przewija się w naszej rozmowie po raz kolejny. Przypadek?

Nie, skutek tego, że rozmawiamy o roli Pamięci i naszej obecności we współczesnym świecie zdominowanym przez media. W pracy Ośrodka wciąż trafiamy na nieprawdopodobne opowieści i historie, które często stają się inspiracja dla dziennikarzy. Pracując nad programem „Historia Mówiona", odkryliśmy, że medium, które doskonale do niego przystaje, jest radio. Zbierane przez nas historie są idealnym materiałem do reportażu. Opowieść o czyimś życiu, poprzez nadanie jej formy dokumentu i emisję, nabiera nowego społecznego wymiaru, stając się często symbolem naszych zbiorowych doświadczeń. Czasem odnajdujemy w niej też coś z naszego własnego życia. Słuchanie przez radio różnych historii, bez względu na to, czy jest to dokument czy teatr, ma w sobie coś bardzo archaicznego i pierwotnego. Dotykamy czegoś, co możemy nazwać kulturą słuchania, która, niestety, ginie na naszych oczach. Stąd wziął w Ośrodku wziął się cykl spotkań z radiem i filmem dokumentalnym.

Konsekwencją tych doświadczeń było zainteresowanie tradycją opowia-

Misterium *Poemat o miejscu*, 12 października 2002. Widoczne studzienki kanalizacyjne, z których wydobywały się głosy więźniów Zamku i wspomnienia o żydowskich mieszkańcach Lublina. Fot. Marta Kubiszyn.

[10] Tamże.

dania historii. Zacząłem zastanawiać się, czy można jeszcze doprowadzić do autentycznego spotkania widza wychowanego na nowoczesnych mediach z człowiekiem opowiadającym jakąś historię. Człowiekiem, który przychodzi do innych ludzi i mówi: „Słuchajcie – chcę wam opowiedzieć historię!" Jak to zrobić, żeby ich zaciekawić. Od samego początku czułem, że sposób opowiadania będzie musiał być poddany jakiejś formie teatralizacji. Aż w końcu trafiłem na opisy bajarzy z teatru ludowego. O jednym z nich pisze Piotr Bogatyriew w *Semiotyce kultury ludowej*:

Biełkow angażuje prawie wszystkie środki sceniczne. Izba jest dla niego obszarem scenicznym; piec jest organiczną częścią opowiadania, albowiem wciąga go w grę, to zdejmując z niego kosz, to wyciągając gorący sagan itp. Mimiką co prawda posługuje się ostrożnie. Obawia się zapewne śmieszności: nie naśladuje twarzy staruchy, do mimiki ucieka się tylko przy odtwarzaniu rozgniewanego starca. Powściągliwość tę rekompensuje natomiast pantomimika. Wykonawstwo Biełkowa nie ma charakteru epickiego – nie opowiadał bowiem o staruszkach jako o osobach trzecich, lecz od samego początku podawał opowieść w pierwszej osobie, ciągle przeistaczając się to w starca, to w jego żonę.

Tu, jak widać, opowiadanie baśni stało się czynnością teatralną. Nie każdy bajarz – ma się rozumieć – tak dramatyzuje i teatralizuje tekst baśni, ale dla bajarza w rodzaju Biełkowa, dla bajarza-aktora, by tak rzec, podobne odtwarzanie opowieści jest czymś zwyczajnym i typowym. Dodajmy jeszcze, że w wykonaniu ustnych opowieści dużą rolę odgrywa zaangażowanie publiczności, która tutaj, jak i w ludowym teatrze, bierze aktywny udział[11].

Trochę później przeczytałem o „śpiewakach brodskich", przedstawieniach teatralnych w formie monologów, w których aktor wcielał się w różne postacie: nauczyciela, kantora, swata, pastucha i z użyciem rekwizytów oraz przebrania śpiewał na smutną nutę o własnej doli i niedoli. Po jakimś czasie występy te przekształciły się w wykonywanie piosenek satyrycznych i prześmiewczych. Mając formę do opowiadania historii osadzoną w tradycji i kilka pięknych opowieści zaczerpniętych z folkloru żydowskiego, można było na nowo rozpocząć pracę w sali teatralnej Bramy Grodzkiej. W latach 2001-2002 powstał w ten sposób tryptyk *Opowieści chasydzkie*, na który złożyły się przedstawienia: *Był sobie raz*, *O tym, jak Fajwł szukał samego siebie* oraz *Tajbełe i demon*. Rolę bajarza wcielającego się w różnych bohaterów gra mój przyjaciel i wicedyrektor Ośrodka Witek Dąbrowski, któremu za każdym razem towarzyszy inny akompaniator: akordeonista, kontrabasista i klarnecista – muzycy znani słuchaczom folku z zespołu Się Gra. Przedstawienia nie wymagają żadnej scenografii. Dobrym miejscem do ich grania jest kawiarnia, gdzie bariera między sceną a widownią znika w naturalny sposób, dzięki czemu łatwiej o to, aby aktor zmienił się w gawędziarza, a publiczność w słuchaczy

[11] Do dziś w bardzo podobny sposób grupy kolędnicze na Huculszczyźnie opowiadają po domach historię Bożego Narodzenia. Głównym „bajarzem" jest w nich osoba grająca postać Żyda, który „śmieszy, tumani, przestrasza", szczególnie młode dziewczęta i dzieci. Trzymany przez niego kostur raz może być drabiną, raz strzelbą, a chwilę później rzeką [przyp. red.].

Witold Dąbrowski i Bartek Stańczyk w przedstawieniu *Był sobie raz*. Fot. Marta Kubiszyn.

opowieści. Te nowe przedstawienia Teatru NN mogą być tematem na odrębną rozmowę[12].

Można powiedzieć, że interdyscyplinarność działań Ośrodka pomaga odkrywać nie tylko nowe metody pracy, ale także zapomniane obszary kultury. Nazywanie „Historią Mówioną" przywołanych z niepamięci obrazów jest przecież celową nobilitacją nie tylko wspomnień, ale i samej sytuacji osobistego spotkania, dzięki któremu w ogóle mogą one być przez kogoś opowiedziane i przez kogoś drugiego wysłuchane, co znalazło odbicie we wspomnianych trzech przedstawieniach.

Trzeba zdać sobie sprawę, że to, co zdawkowo nazywamy „nagrywaniem relacji", jest w istocie ocalaniem niematerialnego dziedzictwa kultury. Wciąż wiele osób nie potrafi tego zrozumieć. Towarzyszące takiej nagranej relacji emocje i osobisty ton mają wielki walor autentyzmu, a aspekt osobistego spotkania sprzyja swoistej „spowiedzi" rozmówcy. Tak więc staliśmy się „zapisywaczami" tego morza opowieści, współtwórcami „Wielkiej Opowieści" o przedwojennym polsko-żydowskim Lublinie. Czasami myślę, że jesteśmy współczesnymi lirnikami, opowiadaczami, którzy przenoszą pamięć o tragicznej często historii w przyszłość i którzy poprzez to „opowiadanie" ją ocalają.

Metafora „Wielkiej Księgi Miasta" użyta kilka lat temu w odniesieniu do wystawy zaczyna żyć swoim własnym życiem. Powstaje „księga", która jest rodzajem zielnika z życiorysami, wspomnieniami, rodzinnymi fotografiami, fotografiami domów, ludzi, ulic, mieszkań, poetyckimi opisami miasta, legendami. Rodzi się opowieść o życiu mieszkańców, opowieść o mieście, którego już nie ma. Trzeba mieć świadomość, że jest ona częścią konkretnego miejsca, wynika z jego historii, z jego ukrytego kodu genetycznego. Ma współtworzyć i odczytywać jego genius loci. Jest krokiem w kierunku tworzenia legendy miejsca, o której Stefan Chwin, jeden z autorów tekstów tworzących legendę Gdańska, napisał:

> Miasto staje się w pełni legendą, kiedy zostaje tematem wielkiej opowieści. Każde „mądre miasto" zabiega o własną legendę i o legendę krążącą po świecie. Miasto bez legendy wegetuje. Legenda obdarza je życiem. Podkreśla, że miasto jest nadzwyczajne i że warto je na własne oczy zobaczyć. Miasto, które nie tworzy własnej legendy, które nie zabiega o własną legendę, które nie wzmacnia własnej legendy, podcina gałąź, na której siedzi. [...] Krążąca po świecie legenda miasta sprawia, że ktoś, kto słyszy daną nazwę, doznaje radośniejszego bicia serca. Czuje, że zbliża się do tajemnicy i marzy, by do niej fizycznie dotrzeć.

Lublin też może mieć taką legendę, może mieć wspaniałą opowieść, która będzie ciekawa i ważna dla przybysza z Europy i z dalekiego świata.

Na przykład jaką?

Może to być opowieść o Lublinie jako miejscu spotkania kultur. Przecież właśnie tutaj zawarta została Unia Lubelska, wówczas wielki eksperyment na drodze dialogu kultur i szukania kompromisów w budowie nowego organizmu państwowego. Unia połączyła świat chrześcijaństwa zachodniego (Polska) ze światem pogańskim (Litwa) i światem kultury bizantyjsko-słowiańskiej (duża część Ukrainy i Białorusi). Wspólna Rzeczpospolita polsko-litewsko-ruska stała się tyglem narodów, w którym było miejsce dla różnych kultur, języków i wyznań, również dla Żydów, którzy tworzyli tu swoje główne skupisko i odgrywali wielką rolę w tej części Europy. Dlatego nie dziwmy się ich obecności w Lublinie i temu, że jego historię przez stulecia w tak wielkim stopniu określało współistnienie obok siebie Polaków i Żydów. To jest wspaniały materiał na legendę, na

[12] Więcej o tryptyku: www.tnn.lublin.pl/spektakle/tryptyk [przyp. red.].

opowieść, ale pod warunkiem, że przywrócimy pamięć o żydowskich mieszkańcach miasta, którzy są nierozerwalną częścią historii Lublina.

Mamy ułatwione zadanie, bo opowieści o żydowskim Lublinie już krążą po świecie. Kto jest najsłynniejszym i najbardziej znanym lublinianinem? Oczywiście Jasza Mazur, bohater książki Singera, *Sztukmistrz z Lublina*. Dzięki niej miliony ludzi na całym globie zna nazwę naszego miasta. Niedawno usłyszałem opowiadaną w Nowym Jorku przez legendarnego rabina Schlomo Carlebacha opowieść o Widzącym z Lublina. Czy to nie wspaniałe, że pamięć o dawnym Lublinie Żydzi przenieśli aż za ocean? A my wciąż nie potrafimy znaleźć we współczesnym Lublinie miejsca dla jego przeszłości.

Nie może być tak, że w mieście zawarcia Unii Lubelskiej zgubiliśmy jej ducha i przesłanie. Tu nie wystarczy żadne fasadowe i deklaratywne działanie podkreślające ważność Unii. Czyż nie jest zastanawiające, że właśnie na Placu Litewskim w pobliżu pomnika Unii stanął pomnik Józefa Piłsudskiego, ostatniego przedstawiciela idei wielkiej, otwartej Rzeczpospolitej? Tak jakby pewien okres w historii Polski został zamknięty. Podczas obchodów żałoby po Marszałku w 1935 sami Żydzi podkreślali, że był on wielkim reprezentantem wspaniałej idei wielonarodowej, wieloreligijnej Rzeczpospolitej i nie dał się nigdy wciągnąć w sieć nienawiści wobec innych narodów i ras. Mamy w samym centrum Lublina, pomnik Unii Lubelskiej i pomnik Józefa Piłsudskiego, tylko czy przyswoiliśmy sobie przesłanie, jakie one niosą? Czy nie jest tak, jak powiedziała w którymś z wywiadów prof. Maria Janion, że „Sprzeniewierzyliśmy się całkowicie idei Rzeczpospolitej"? To wielkie zadanie próbować tę polsko-żydowską przeszłość wydobyć z zapomnienia i ją sobie przyswoić. Nigdy nie zrozumiemy historii Lublina bez uwzględnienia obecności w nim Żydów. Przywołajmy jeszcze raz prof. Janion: „Nie możemy iść do Europy, wypierając z pamięci naszych Żydów, naszych wspólnych skotłowanych losów".

Niedawna historia powstania na Placu Zamkowym pomnika ku czci partyzantów Hieronima Dekutowskiego „Zapory", pokazuje, że są tacy, którzy chcieliby o wszystkim zapomnieć i skojarzyć z tym miejscem zupełnie inną pamięć.

Bardzo dobrze naświetlają tę sprawę słowa dziennikarza z „Gazety Wyborczej":

> Na placu Zamkowym koparka ścięła fragment nasypu, po którym biegnie ulica Zamkowa. Od strony placu Zamkowego stanie tu pomnik polskich patriotów pomordowanych na Zamku w czasie II wojny światowej i tuż po niej. [...] Podczas robót ziemnych, w miejscu, gdzie stanie cokół pomnika, koparka odsłoniła dobrze zachowane piwnice i fragmenty murów. W takim przypadku inwestor powinien przerwać prace i zawiadomić archeologów, którzy muszą zgodzić się na wznowienie prac. Tymczasem ekipa z firmy inżyniersko-budowlanej [...] samowolnie zburzyła odkryte fragmenty dawnej kamienicy. Gdy archeolodzy interweniowali, spotkały ich inwektywy. – Nie chcę nawet powtarzać, co oni mówili. Kiedy odchodziliśmy, powiedzieli ze śmiechem: szalom! – relacjonuje archeolog. [...] W końcu prace wstrzymano[13].

W tej sprawie został również opublikowany list kilku osób, którzy postawili pytanie, czy to miejsce jest odpowiednie dla nowego pomnika[14]:

> Ciągle mówimy o pamięci, staramy się ją ożywić, ale czy nie jest to rozdwojona pamięć? Zniszczenie nigdy nie zbadanych przez archeologów i konserwatorów fragmentów Szerokiej 1 zdaje się być tego przykładem. Ufundowanie pomnika ofiarom Zamku jest ze wszech miar chwalebnym pomysłem, ale wybór miejsca pod pomnik już raczej nie. Zwłaszcza teraz, gdy wiemy, że można tam

[13] Grzegorz Józefczuk, *Koparka nie lubi pamiętać*, „Gazeta w Lublinie" z 11 października 2003.

[14] Pomnik stanął w pewnym oddaleniu od Zamku. Został wbudowany w skarpę przy przejeździe pod ulicą Zamkową, biegnącą dziś sztucznym nasypem powstałym po zniwelowaniu części ul. Szerokiej i dawnej Zamkowej [przyp. red.]

znaleźć materialne ślady po innych ofiarach, wciąż, mimo wszystko, nie do końca opłakanych i należycie wspominanych. Czy ofiary Zamku nie mogą mieć swojego miejsca właśnie na Zamku, tam, gdzie dokonywał się ich los? [...] Mając świadomość, co znajdowało się na terenie Podzamcza, chcielibyśmy zwrócić uwagę, że należy bardzo ostrożnie ingerować w przestrzeń placu Zamkowego czy całego Podzamcza[15].

Wszystko odbywało się bez szerokiej konsultacji społecznej, a przecież przestrzeń publiczna nie jest własnością jakiejś grupy społecznej czy politycznej. Analizując tę sytuację, warto wykorzystać rozważania Ewy Rewers z książki *Pamięć i zapomnienie w Europie przełomu wieków* poświęcone pamięci. Chodzi tu w szczególności o analizę dwóch rodzajów pamięci: politycznej i intelektualnej:

Ta pierwsza zaangażowana jest przede wszystkim w nadawanie ważności zdarzeniom traktowanym instrumentalnie, ustanawianie ich nietrwałych hierarchii [...]. Dynamika pamięci politycznej jest kapryśna, powierzchowna, selektywna i partykularna. [...]. Pamięć polityczna wyżej ceni sobie konflikt niż samooczyszczenie i jednoznaczność niż otwarcie na różne interpretacje.

Pamięć intelektualna na odwrót, nie lubi prostych rozwiązań. Często ucieka od jednoznaczności i zdradzając nieznośną skłonność do głębokiego myślenia, nigdy nie uznaje zdarzeń za gotowe i skończone. Wydłuża dystans, rozszerza kontekst, ostrożnie posługując się samym zdarzeniem. Kłóci się z pamięcią polityczną o wartości i oparte na nich kryteria.

To, co się stało na Placu Zamkowym, pokazuje, jak wielka jest przepaść między dominującą w naszym współczesnym życiu publicznym konfrontacyjną i instrumentalną pamięcią polityczną a pamięcią intelektualną[16]. Za wszelką cenę powinniśmy próbować znaleźć jakąś artystyczną formę wyrazu dla tego szczególnego miejsca bez narzucania mu krzykliwych narodowych symboli, która jednocześnie mogłaby zrównoważyć fakt organizowania w tym miejscu przypadkowych imprez o charakterze masowym. Bo jeżeli szukać genius loci Lublina, to właśnie wokół Bramy Grodzkiej.

Jeżeli pewien sposób myślenia i motywy działań są dla kogoś z gruntu obce, to tym bardziej nie pojmie, jeżeli kieruje się nimi ktoś inny. Trudność zrozumienia projektu „Krawiecka 41" pojawia się w większej skali jako trudność w zrozumieniu działalności Ośrodka. Jest to znakiem, że brakuje czegoś w świadomości społecznej. Czego?

Wciąż wierzę, że jest coś takiego jak służenie dobru, że są potrzebni ludzie rodem z powieści Żeromskiego. Ludzie, których kiedyś nazywano inteligencją, którzy mieli poczucie społecznej wagi swych działań. Tak naprawdę to oni zdecydują o przyszłości Polski. To oni potrafią w najtrudniejszych chwilach mobilizować swoje otoczenie do działania, nie myśląc o własnej karierze ani pieniądzach. Mam głębokie przekonanie, że światu, w którym żyjemy, wciąż potrzebni są wielcy społecznicy z ich romantycznym marzeniem o sprawiedliwości, solidarności i równości szans. W artykule *Dyplomacja społeczna* zamieszczonym w „Rzeczpospolitej" Bogumił Luft napisał:

Miasto, które nie tworzy własnej legendy, które nie zabiega o własną legendę, które nie wzmacnia własnej legendy, podcina gałąź, na której siedzi. STEFAN CHWIN

Wiele organizacji utworzonych w latach dziewięćdziesiątych nosi na sobie piętno idealizmu i ducha zaczerpniętego z etosu polskiej inteligencji. Dla wielu zaangażowanych w to osób jest to przedłużenie czasów walki o wolność. Ale forma tych działań odpowiada czasom nowym – gdy większość ludzi aktywnych, obdarowanych nagle wolnością działa-

[15] „Gazeta w Lublinie" z 13 października 2003.

[16] Więcj informacji o pomnikach na Placu Zamkowym można znaleźć na marginesach stron 14-17 [przyp. red.].

nia, zaczęła zakładać prywatne firmy, idealiści zajęli się tworzeniem fundacji, stowarzyszeń, różnych instytucji – swoich własnych warsztatów pracy na rzecz dobra wspólnego.

Ośrodek pokazuje ludziom pewne wzorce zachowań, starając się rozwiązać problemy, obok których można przecież przechodzić obojętnie. Wiele rzeczy trzeba robić bezinteresownie, ponieważ są wartościowe – ucząc siebie i innych nieegoistycznego bycie w świecie. Wchodzimy tutaj w dyskusję o roli inteligencji polskiej. Nasza działalność jest podtrzymywaniem etosu inteligenckiego. W trudnych czasach grupa ludzi, w większości młodych, dobrze wykształconych podejmuje wyzwania, wiedząc, że nie kryją się za tym żadne wielkie pieniądze i kariery. To, co nimi kieruje, to w dużej mierze poczucie wagi społecznej tych działań.

„Każde społeczeństwo kapitalistyczne – pisał u progu lat sześćdziesiątych w swej klasycznej książce o współczesnym kapitalizmie François Perroux – funkcjonuje normalnie dzięki pewnym sektorom społecznym, których nie przenika ani nie pobudza chęć zysku i pogoń za jak największym zyskiem. Jeśli wysoki funkcjonariusz, żołnierz, urzędnik, ksiądz, artysta czy uczony przeniknięci będą takim duchem, społeczeństwo upadnie, zagrożona będzie wszelka forma gospodarki". W interesie społeczeństwa jest chronienie i rozwijanie instytucji, które istnieją nie po to, by zarabiać, ale by edukować społeczeństwo.

Celem działalności Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" jest właśnie m.in. edukacja młodego pokolenia, które coraz bardziej zatraca poczucie lokalnej tożsamości kulturowej. Bo przecież tylko emocjonalna więź z konkretnym miejscem i jego historią buduje poczucie odpowiedzialności za małą ojczyznę, co w przypadku tego miasta oznacza budowanie więzi między innymi z Lublinem żydowskim. Ale brak pamięci o polskich Żydach i ich kulturze jest problemem wykraczającym poza skalę lokalną, a szkoda, bo nasze wielokulturowe dziedzictwo jest bardzo ciekawe dla cudzoziemców. Wielu z nich dopiero tutaj uświadamia sobie, że korzenie kulturowej tożsamości Izraela są również w Polsce. Działalność Ośrodka na pewno w jakiś sposób przyczynia się do rozbudowywania kontaktów zagranicznych i zwiększania kulturowej atrakcyjności naszego miasta.

Co ma korzystny wpływ na wizerunek miasta, a więc i naszą konkurencyjność chociażby w walce o turystów zjednoczonej Europy, sprowadzając rzecz do kategorii już bardzo merkantylnych.

Ta Europa jest obok nas, na wyciągnięcie ręki – trzeba ją tylko dostrzec. W czasie poszukiwań materiałów ikonograficznych związanych z Bramą Grodzką natrafiliśmy na zapomniany obraz lubelskiego malarza Juliusza Kurzątkowskiego pochodzący z 1934 roku, przedstawiający Don Kichota na tle Bramy Grodzkiej. Temat tego obrazu w sposób zupełnie zaskakujący wprowadza to szczególne miejsce w krąg nowych, ukrytych do tej pory znaczeń. Oto Brama Grodzka w Lublinie staje się częścią historii błędnego rycerza, a błędny rycerz staje się częścią historii Bramy Grodzkiej. Następuje przedziwny, cudowny splot tych historii. A przecież Don Kichot jest wielkim tematem literatury europejskiej. Tak więc wielkie tematy i nurty kultury europejskiej ujawniają się również na peryferiach, poza centrum, nie tracąc nic ze swojej siły i energii. W takim kontekście nie ma znaczenia ranga artysty ani ranga dzieła. Istotne jest podjęcie jakiegoś uniwersalnego tematu przynależnego do dziedzictwa kultury europejskiej. Cała ta historia wskazuje na to, że takie miasto jak Lublin, małe, prowincjonalne i leżące na peryferiach Europy Wschodniej, jest również integralną częścią wielkiego

europejskiego dziedzictwa kulturowego, jest częścią Europy. Patrząc uważnie, w każdym takim zapomnianym europejskim mieście, miasteczku możemy to dziedzictwo odnaleźć odbite w różnych obszarach sztuki i kultury. Bardzo dobrze opisał to Bohumil Hrabal w *Zbyt głośnej samotności*:

Załzawionymi oczami patrzyłem w górę, żeby nagle zobaczyć [...] na fasadach i elewacjach czynszówek oraz gmachów publicznych to, o czym marzyli Hegel i Goethe, tę Grecję, ten przepiękny hellenizm jako wzór i cel, widziałem porządek dorycki, tryglify i listwy greckich rynien, widziałem wieńcowe gzymsy i porządek joński z trzonami i wolutami, porządek koryncki z falującymi liśćmi, widziałem świątynne przedsionki, kariatydy i greckie balustrady aż po same dachy kamienic, w których cieniu szedłem, a przy tym zobaczyłem, że ta sama Grecja jest również na praskich peryferiach, na fasadach zwykłych czynszowych domów, które na portalach i koło okien są ozdobione nagimi kobietami i gołymi mężczyznami, i kwieciem, i latoroślami egzotycznej flory.

Częścią europejskiego dziedzictwa jest również kultura Żydów, która m.in. właśnie w Polsce przeżywała swój rozkwit. Nawet mimo tych racjonalnych argumentów, wielu ludziom trudno jest jednak zrozumieć, dlaczego Polacy zajmują się przeszłością Żydów.

Czasem słyszy się: „Co Polaka obchodzi, że sześćdziesiąt lat temu mieszkali tutaj Żydzi? Przecież ty nie jesteś Żydem". Ale jestem człowiekiem – człowiekiem, którego cała ta przeszłość poruszyła. Coż, tych argumentów nie da się mnożyć w nieskończoność. Z wiedzą o istnieniu miasta żydowskiego w Lublinie zacząłem się oswajać jako dorosły człowiek. Jak już mówiłem, był to proces, który trwał jakiś czas i jego efektem jest działalność Ośrodka. I mam pełne przekonanie do tego, co robię, absolutnie niepodważalne i... i tyle. No właśnie – i tyle.

> Ciocia Guta była bezpartyjna i w oczekiwaniu na socjalistyczny raj, wyśniony przez jej męża, przygotowywała *gale*, nogę w galarecie, która według mojego ojca miała posmak prawdziwego żydowskiego raju.

Yaron (Karol) Becker

Moje potrawy żydowskie

Nie przepadam za pisaniem o jedzeniu. Powodem tego jest rozpowszechniony, u nas w Izraelu, zwyczaj organizowania wieczorków kulturalnych, prezentujących dorobek poszczególnych grup etnicznych. Wytwory ich kuchni zdają się przesłaniać właściwe tym grupom bogactwo duchowe.

Yaron Karol Becker urodził się w 1941 roku w Rosji w rodzinie zesłanych na Syberię żydowskich uciekinierów z Polski. W latach 1946-1957 mieszkał w Polsce, potem wyjechał z rodziną do Izraela, gdzie studiował historię, filozofię i pedagogikę. Pracował jako nauczyciel, wykładowca i dziennikarz. Jego żona pochodzi z Bagdadu. Ma dwie córki. Obecnie działa na rzecz pokoju na Bliskim Wschodzie, propaguje w Izraelu wiedzę o Polsce i stara się budować pomosty między oboma narodami. Współpracuje z Instytutem Polskim jako koordynator programów edukacyjnych. Jest tłumaczem symultanicznym z polskiego i rosyjskiego na hebrajski.

To wielokulturowe, czy też multikulturowe otwarcie – jak obecnie modnie jest mówić w naszym zangielszczonym hebrajskim – zdaje się ograniczać jedynie do chęci poznania etnicznych potraw: od aszkenazyjskich *gefilte fisz* i *cymes*, poprzez marokańską *chraime* (rybę w ostrym sosie), po tunezyjski *kus-kus* lub iracką *kubbe*.

Prawda, że nie samym chlebem człowiek żyje, ale bez chleba też żyć się nie da. Szczególnie, gdy chodzi o chleb rodzinny i potrawy znane z ojcowskiego domu, a mówiąc dokładniej – z matczynej kuchni, doprawiane *mit a jidisze tam*, tzn. z czysto żydowskim smakiem. A zatem pozwólcie, że pomimo górnolotnego wstępu, rozrzewnię się nieco nad moim żydowskim jedzeniem. Nie oczekujcie jednak żadnych przepisów. Żydowskie dania były dla mnie zawsze raczej słowami kodu w leksykonie moich narodowych pojęć niż strawą na co dzień. Pozwólcie zatem, że spróbuję ułożyć te słowa kodu w porządku alfabetu hebrajskiego i podzielić się powstającymi za ich przyczyną skojarzeniami.

Zacznijmy od przystawek, w języku jidysz ***forszpajzn***. Naturalnie bez ***bronfn***, czyli gorzałki (kto chce być dokładny, powie: „bez czegoś do wypicia"), nie można rozpocząć dobrego posiłku. Najsmaczniejszym zaś napojem, który do dziś wspominam, był wiśniowy „sok". Wyglądał bardzo niewinnie, ale przyrządzano go nie tylko z wiśni, lecz i czystego spirytusu. Tak właśnie, nieświadomy pułapki, przeświadczony, iż popijam sok, upiłem się pierwszy raz w życiu. Minęło wiele lat nim ponownie zdobyłem się na odwagę skosztowania takiego *bronfn*. Tym razem była to pejsachówka z atestem koszerności, wydanym przez rabina gminy warszawskiej, a wydrukowanym po hebrajsku z licznymi błędami ortograficznymi. Rytualna czystość trunku była

przedmiotem dumy Polaka, który ugościł mnie tą żydowską mocną śliwowicą.

Upiłem się wówczas nie tylko za sprawą siedemdziesięcioprocentowego alkoholu, lecz również z powodu okoliczności. Oto po dwudziestu sześciu latach nieobecności w Polsce, po licznych kłopotach z otrzymaniem wizy, udało mi się wreszcie przyjechać, wróciłem do korzeni. Czułem się, jakbym chodził we śnie, który śniłem niezliczoną ilość razy i nagle uświadomiłem sobie, z pewną dozą rozczarowania, że to jednak rzeczywistość. Z pewną dozą rozczarowania, moja bowiem *jidiszkajt* (żydowskość), która zrodziła się przecież w tym kraju, skurczyła się w trakcie owego pobytu do lechaim z okazji podnoszenia kieliszków, zawierających wspomniany żydowski trunek.

W Warszawie, znajdującej się wówczas w ryzach stanu wojennego, nie było restauracji żydowskiej, w której można by spożyć prawdziwie żydowski posiłek (dziś jest ich kilka, a niedługo pewno będzie więcej niż w Tel Awiwie). Była natomiast godzina milicyjna, a półki w sklepach zapełniały jedynie butelki z octem i tubki pasty do zębów. Mogłem oczywiście wstąpić do cioci Guty, mieszkającej nadal w Warszawie z dwiema córkami, ale i ona, mimo bohaterstwa, dzięki któremu przeżyła wojnę, nie zdołałaby, prawdopodobnie, przygotować w tamtych warunkach choćby porządnych *forszpajzn*. Nie było zresztą takiej konieczności. W mojej pamięci bardzo dobrze utrwaliły się smaki jej żydowskiej kuchni. Doskonale mogłem sobie wyobrazić, jak idziemy do domu cioci Guty z ojcem, któremu już po drodze leci ślinka, jak przemierzamy w pośpiechu kilka pobliskich ulic, by za chwilę rozkoszować się wytworami jej kuchni, a także by odwiedzić jej męża Dawida, z którym ojciec zwykł bez końca spierać się na tematy polityczne. Wujek (lub, jak go nazywaliśmy – Dawid) i Guta byli w istocie tylko znajomymi moich rodziców i chcieli, abym zwracał się do nich po imieniu. Ja jednak z powodu wielkiego deficytu krewnych, na który cierpiałem po wojnie, zaadoptowałem ich jako członków rodziny i przylepiłem im oficjalny tytuł „wujostwa".

Możecie zapytać, dlaczego przychodzi mi na myśl akurat kuchnia cioci Guty? Ponieważ moja mama była kobietą wyemancypowaną i nie lubiła poświęcać zbyt wiele czasu gotowaniu. Ponadto rodzice ciężko pracowali w ciągu dnia, a wieczory spędzali, jak przystało na prawdziwych komunistów, na rozmaitych kursach oświatowych i zebraniach partyjnych. Ciocia Guta natomiast była bezpartyjna i w oczekiwaniu na socjalistyczny raj, wyśniony przez jej męża, przygotowywała bardzo smaczną ***gale*** (nogę w galarecie), która według słów mojego ojca miała posmak prawdziwego żydowskiego raju.

Przyznaję ze wstydem, iż miałem z *gale* pewien problem i to wcale nie natury religijnej. Wraz z ojcem i wujkiem Dawidem, wiernym komunistą – i to takim, jakim mógł być tylko były uczeń jeszywy – wierzyłem, iż dni kapitalizmu są policzone. Lecz widok *gale* – miękkiej, trzęsącej się galarety, czyli rozgotowanej na części pierwsze kości, z dodatkiem dużej ilości czosnku (przyprawy bardzo żydowskiej) – powstrzymywał w dużej mierze mój rewolucyjny zapał. U ojca wywoływało to napady złości, gdyż w jego oczach stanowiło dowód rozpieszczenia i dekadencji.

Powinienem wówczas lepiej go rozumieć. To były w końcu pierwsze lata powojenne. Wprawdzie nie cierpieliśmy już głodu, jak na Syberii, dokąd moi rodzice uciekli przed Hitlerem, a żywności wystarczało na to, by uspokoić naszą psychozę na tym tle, ale względną normalność osiągało się wtedy za cenę stania w potwornie długich kolejkach i nieustannego zamartwiania się o przyszłość. I oto ja pozwalałem sobie kręcić nosem na *gale*, co oczywiście wywoływało

napięcia wokół stołu. Kryzys był jednak zażegnywany dzięki przebiegłości pań. Ciocia Guta oraz moja sprytna mama doskonale potrafiły odczytać mój przerażony wzrok, padający na ociekającą tłuszczem galaretę i podawały mi od razu następne danie, które w jidysz nazywa się ***gehakte leber***, czyli siekaną wątróbkę przyrządzaną z siekaną cebulką i jajkiem, podawaną zwykle z ćwikłą.

Znałem już wtedy trochę jidysz, ponieważ podczas trzech pierwszych klas pobierałem nauki w szkole żydowskiej. Oprócz tego moja mama miała zwyczaj wstawiania w swoją biegłą polszczyznę wyrażeń w tym języku i na przykład, gdy chciała wyrazić mizerny egzystencjalnie los człowieka (*conditio humana* w języku filozofów), mówiła: *gehakte cores*, co znaczyło „siekane zmartwienia". W mojej dziecinnej, dosłownej wyobraźni rozważałem, jak zmartwienia mogą być siekane. Dzisiaj psychologia określa taki stan mianem dysonansu poznawczego, a „siekana wątróbka" stanowiła jego konkretyzację.

Powiem szczerze – lubiłem sam moment jedzenia karpia.

I jeszcze coś. Do piątego roku życia nie znałem smaku mięsa. Nie z powodu wegetarianizmu, broń Boże, ale z tej prostej przyczyny, że mięso było nieosiągalne w głodowej wojennej diecie i kiedy w końcu pojawiło się jako specjalny delikates na naszym stole, taki *szlimazl* (lub *szlemiel*), tzn. niedorajda, jak ja nie wiedział, jak to się je, co znowu bardzo denerwowało mojego ojca. I tak siekana wątróbka, *gehakte leber*, zbliżyła mnie do mięsa, ponieważ potrafiłem ją przełykać i lubiłem jeść. Oczywiście mamie sprawiało przyjemność patrzenie na dziecko, które podczas wojny cierpiało na niedożywienie, a teraz siedziało spokojnie i z zadowoleniem jadło. Muszę przyznać, iż bycie „dobrym dzieckiem" w tak prosty sposób bardzo mi odpowiadało, a siekana wątróbka z chrzanem (wolę biały, ostry aż do łez chrzan niż ćwikłę) jest do dziś moją ulubioną przystawką.

A teraz, nie przykładając zbytniej wagi do alfabetycznego porządku, przeskoczymy od razu do litery *hej*, pomimo iż sprawa z literą *gimel* nie została jeszcze zamknięta. Jednak pod *hej* czeka już na nas kolejna klasyczna potrawa żydowska – ***hering***, czyli śledź. Nie bardzo wiem, jak mogłem do tej pory o nim nie wspomnieć. Nie można przecież mówić o *lechaim* na rozpoczęcie biesiadowania bez *a bisl sznaps*, to znaczy odrobiny gorzałki. Śledź natomiast stanowił nieodzowną zakąską do bronfn, a choćby i zwykłej wódki, i to nie tylko w żydowskim towarzystwie. Natomiast u biednych Żydów potrawa ze śledzia miała o wiele większe znaczenie. Spożywano ją bowiem zamiast dań z drobiu, które trafiały na ubogi żydowski stół niezwykle rzadko. Tak więc każda okazja do spożycia śledzia była dla mnie wystarczającym powodem, by czuć się szczęśliwym i kiedy w przygotowanej do szkoły kanapce odkrywałem kawałki śledzia, włożonego pomiędzy dwie kromki posmarowane grubą warstwą masła, przyjemność jedzenia przesłaniała mi resztę świata.

I jeszcze jedno, można by rzec: „nacjonalistyczne", wspomnienie z dzieciństwa. Popularny był wówczas dowcip o tym, jak to Żyd namawiał goja do zakupu dużych ilości śledzi, zapewniając, że od jedzenie ich głów człowiek staje się mądrzejszy. Kiedy ofiara podstępu odkrywała, że jest oszukiwana, Żyd mówił: „Widzisz, już zaczęło działać". Ale żarty na bok. Wśród przesądów, które starały się wyjaśnić zjawisko tzw. *jidisze kopf*, czyli żydowskiej głowy, znajduje się przekonanie, iż żydowska mądrość lub spryt brały się od dużej ilości jedzonych ryb, a także czosnku i cebuli. Czosnek wymagałby szerszego omówienia, ale ponieważ zaczęliśmy już mówić o rybach, nie ma wyjścia i musi-

my powrócić do litery *gimel*, by omówić księżniczkę kuchni polsko-żydowsko-aszkenazyjskiej, czyli ***gefilte fisz***.

Karpie pływały u nas w wannie dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Ten delikates socjalistyczna organizacja zaopatrzenia, cierpiąca na chroniczne trudności tzw. okresu przejściowego, mogła wprowadzić na rynek tylko dwukrotnie w ciągu roku. W innych okresach zdobycie karpia było wprawdzie możliwe, ale połączone z licznymi trudnościami. Oczywiście, w naszym domu ryba ta przybierała na talerzu tylko jedną hipostazę – postać *gefilte fisz*. Przy czym, kiedy mówię *gefilte fisz*, mam na myśli dosłowne znaczenie tych słów, czyli rybę z farszem, a nie okropny kotlecik z mielonej ryby dostępny w niby koszernej restauracji, która nosi miano „żydowskiej", gdzieś pomiędzy ulicą Lilienbluma i Alejami Rotszylda w Tel Awiwie. Kiedy mówię *gefilte fisz*, mam na myśli rybę, w środku której znajduje się farsz z drugiej ryby.

Jako dziecku rzecz ta wydawała mi się zagadkowa i cudowna. Początkowo odważałem się jeść tylko nadzienie i patrzyłem z podziwem, jak mój ojciec daje sobie radę z całością, zwłaszcza z głową. Jeść rybę z ośćmi, była to prawdziwa sztuka, której ojciec nauczył się od wuja Dawida. Wuj Dawid zaś w odległej przeszłości pracował jako kelner i specjalista od sztuki jedzenia, dzięki czemu oczarowywał nas sposobem konsumowania takich ryb. Z czasem i ja nauczyłem się radzić sobie z nimi.

Powiem szczerze – lubiłem sam moment jedzenia karpia. Właśnie wtedy niekończące się dysputy pomiędzy ojcem i wujkiem milkły na chwilę. Nawet kwestie walki z Tito i prawicowym odchyleniem nacjonalistycznej kliki gomułkowskiej odkładano na kilka minut z powodu rybich ości. Należało na nie przecież bardzo uważać. I tak w ciszy spożywaliśmy z nabożeństwem *gefilte fisz* cioci Guty, której określenie mianem dzieła sztuki w pełni wyrażało istotę rzeczy. Dorośli mówili, że ta ryba ma smak migdałów, a ja, choć smaku migdałów wtedy jeszcze nie znałem, intuicyjnie zgadzałem się z nimi. Warto dodać, iż *gefilte fisz* wcale nie miała aż tak słodkiego smaku, jak to sobie wyobrażają dziś niektórzy Izraelczycy, mówiący o niej z obrzydzeniem.

Jeszcze jedną rzecz kochałem w *gefilte fisz*. Była to dumna potrawa żydowska. Koniecznych jest kilka słów wyjaśnienia. Być Żydem w Polsce po wojnie wcale nie było łatwo. Nie będę się o tym rozpisywał. Dość powiedzieć, iż samo używanie słowa Żyd przedstawiało problem. Moi koledzy nie byli pewni, czy nie jest to określenie obraźliwe, a dorośli bali się posądzenia o antysemityzm, socjalistycznym prawem zabroniony. Krótko mówiąc, unikano tego wyrazu w jakiejkolwiek formie, zwyczajnie go nie używano. Wytworzyło to u mnie wrażenie, iż bycie Żydem stanowi rodzaj chronicznej choroby, o której nie wypada mówić. Czułem się jak porucznik Lukasz w *Dobrym wojaku Szwejku*, którego czeskość też była rodzajem choroby, choć nie śmiertelnej, to jednak wstydliwej. Tymczasem o *gefilte fisz* nawet zawzięci antysemici mówili z entuzjazmem jako o rybie po żydowsku. Lubiłem słuchać, jak wymawiają słowa „po żydowsku" w naturalny sposób, bez obaw, czy niechęci.

I ostatnie ważne wspomnienie związane z *gefilte fisz*. Moja matka należała do typu histerycznych matek żydowskich, które zdołały uratować swoje pisklęta z wojennej pożogi i troszczyły się o ich zdrowie w sposób naznaczony poświęceniem. Ja byłem jedynym pisklęciem mojej matki i dlatego musiałem znosić całą jej nadtroskliwość dotyczącą również spraw związanych z trawieniem. Kiedy z perspektywy czasu myślę o minionych kłopotach żołądkowych, przypuszczam, iż były one wywołane raczej przyczynami psychosomatycznymi i wynikały z nadmiernej troski rodzi-

ców o moje odżywianie się. Doszło do tego, że moja energiczna mama dotarła w końcu, przy pomocy różnych „chodów", do gastrologa leczącego samego Prezydenta PRL – prof. Plockera.

Nazwisko i wygląd niezbicie dowodziły, iż prof. Plocker był amchł, czyli jednym z naszego narodu. Wysłuchał on z wielką cierpliwością potoku słów młodej, ładnej kobiety o semickim wyglądzie. W jego oczach dostrzegłem dla mojej matki ogrom sympatii, ale profesor od razu zorientował się, że ewentualna terapia nie dotyczy gastrologii i potrzebna jest jej, a nie mnie. Nie żałował nam swojego czasu i dał mamie długi wykład na temat zdrowia, właściwego rozwoju dzieci, a także praw natury, które winny przebiegać własnym torem. Gdy zaś zrozumiał, że samymi słowami nie uspokoi matczynej nadmiernej troskliwości, nastąpiło coś nieoczekiwanego. Oto lekarz prezydenta Polski Ludowej, wielki autorytet medyczny polecił mojej mamie, aby karmiła mnie cudownym lekiem na nerwowy żołądek, czyli sosem z *gefilte fisz*. Do dnia dzisiejszego, gdy maczam kawałek świeżej chałki w tym sosie, wierzę w jego właściwości lecznicze.

Ale powróćmy do stołu i spójrzmy, jak rozwija się, a potem kończy burzliwa dyskusja, jak wycieramy chałą (którą nazywałem „żydowskim chlebem") resztki sosu z *gefilte fisz*, a córki ciotki Guty zbierają talerze ze stołu. Teraz kolej na zupę. Przeważnie był to ***lokszn mit jojch*** (rosół z makaronem). Tej potrawy szczególnie nie znosiłem. Dorośli siedzący przy stole, a zwłaszcza mój ojciec – jak jeden mąż „absolwenci syberyjskiej szkoły przetrwania" – wyrobili w sobie specjalną umiejętność picia wrzątku. Traktowali go jak cudowny lek życia, antidotum na zimno, pluskwy, wszy i wszelkie inne plagi. Dlatego wszystkie płyny podawane do stołu musiały być niemal wrzące. Ojciec do dziś nie pozbył się tego zwyczaju i podczas gorącego izraelskiego chamsinu (pustynnego wiatru) nadal pije wrzącą herbatę i takąż zupę. Możecie więc sobie wyobrazić, jaką *lokszn mit jojch* miał temperaturę, a także jakie podmuchiwania i siorbania dało się słyszeć przy stole. W dodatku zupa była mdła. Dlatego w ścisłym kręgu rodzinnym, gdy chciano o jakimś Żydzie powiedzieć, że jest nudny i nie wyróżnia się żadną szczególną cechą, nazywano go *lokszn mit jojch*. Zupa ta nabierała trochę więcej życia na święto Pesach, kiedy zamiast makaronu pływały w niej ***knejdlech***, tj. knedle zrobione z mąki macowej i jaj. W każdym razie głębokie talerze do zupy opróżniane były wtedy do końca.

Gdyby trzymać się ściśle porządku alfabetycznego, musiałbym teraz przejść teraz do ***lekech***, biszkoptu[1]. Odłóżmy go jednak na później, bo należy on do deserów. Skoro zaś wspomnieliśmy o Pesach, trzeba powiedzieć o czymś, co pojawiało się na naszym stole niezwykle rzadko, i to nie z powodu gospodarczych kłopotów, a z przyczyn czysto ideologicznych. Towar ten pojawiał się właśnie na Pesach razem z *gefilte fisz* i chrzanem. Chodzi mi o macę. Otrzymywaliśmy ją od Gminy Żydowskiej, choć mój ojciec nigdy tam nie bywał. Według niego, Gmina stanowiła wydział Jointu[2] (który faktycznie pomagał gminie), Joint zaś ojciec uważał za „bezpośrednią agenturę amerykańskiego imperializmu i anachroniczną pozostałość religijnego zacofania żydowskiego". Jako oddany członek partii i pracownik Urzędu Bezpieczeństwa nie chciał zaliczać się do „starych kapcanów Jointu". Ojciec miał głębokie podejrzenie, że *jidiszkajt* wszystkich wiernych w Gminie Żydowskiej ogranicza się do paczek, które przychodzą na święta. Dlatego nie pokazywał się w Żydowskiej Gminie Wyznaniowej, natomiast był częstym gościem Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce, które było pod opieką partii. Wujek Dawid popierał ideowe stanowisko ojca.

[1] W zależności od źródeł (słownik, przepisy kulinarne, wspomnienia) *lekech* to piernik, biszkopt lub ciasto drożdżowe. W tym tekście został wybrany biszkopt, ponieważ Autor zaznaczył, że chodzi o „ciasto jajeczne" [przyp. red.]

[2] American Joint Distribution Commettee – organizacja charytatywna założona w USA w 1914 roku na wieść o tragicznej sytuacji ludności żydowskiej w ogarniętej wojną Europie [przyp. red.].

Jak w takim razie koszerne mace z Nowego Jorku, tej fortecy czarnej reakcji, która zamordowała na krześle elektrycznym rodzinę Rozenbergów, trafiały na stół wujka Dawida, jak również na nasz stół? Oczywiście za sprawą cioci Guty i jej najstarszej córki Hali. Szanowały one wprawdzie rewolucyjną czystość głowy rodziny i bohatersko znosiły jego wariactwa (na przykład pracę na budowie za grosze, jak i to, że był chyba jedynym Żydem w Warszawie budującym własnymi rękami socjalistyczną Polskę), ale ponieważ nie dałoby się wyżyć tylko dzięki sile wiary w komunizm, musiały wiązać koniec z końcem. Jeden z takich końców prowadził właśnie do Jointu, a stamtąd pochodziła maca pojawiająca się na naszym i wujka Dawida stole. I oto dwaj ortodoksyjni rycerze, wypatrujący komunizmu dokładnie tak, jak ich przodkowie wypatrywali Mesjasza, nie potrafili wygrać boju ideologicznego z kulinarnym wynalazkiem żydowskim liczącym około trzech i pół tysiąca lat.

Taka paczka macy, której ideologicznej czystości nie badaliśmy, służyła nam przez długie miesiące do przygotowywania prostej potrawy zwanej ***mace mit cibele***, czyli jajek na twardo posiekanych z cebulką, jak również do przygotowywania ***macebrej***, tj. macy wymoczonej w wodzie, wyciśniętej i zmieszanej z jajkami i solą, po czym smażonej jak placuszki. Można było dodać do nich powideł z wiśni lub śliwek, co stanowiło iście królewski przysmak żydowski. Moja matka, która w tygodniu nie miała czasu na gotowanie dla swojego dziecka z kluczem na szyi, rozpieszczała mnie w niedzielę rano, podając mi ten rarytas.

Maca była dla mnie również symbolem mojej żydowskiej tożsamości; rodzajem żydowskiego manifestu w kontekście politycznym. W Polsce okres stalinizmu nie trwał długo. Już w 1954 roku nadeszła odwilż. Mój ojciec nie zerwał kontaktu ze swoimi braćmi, którzy przeżywszy zagładę, zamieszkali w Erec Israel. Kiedy więc już było można, pojechał do syjonistycznego kraju (pomimo ostrzeżeń wujka Dawida) i wrócił zachwycony (m.in. golem, którego strzelił Nachum Stelmach w meczu ze Związkiem Radzieckim na stadionie w Ramat Ganie). W tym samym roku, choć trudno dać temu wiarę, udał się – ku uciesze niebios – do Gminy Żydowskiej i przyniósł stamtąd paczkę macy. Ja zaś, gdy zapraszałem kolegów na szachy, częstowałem ich tym egzotycznym przysmakiem, jak również wykładem o historii żydowskiej (po tym, jak z wypiekami na twarzy pochłonąłem zarys dziejów Żydów Dubnowa). W tym czasie słowo Żyd nabrało dla mnie całkiem nowego wydźwięku. Nie było już w nim nic poniżającego ani dwuznacznego. Przeciwnie – nabrało kolorytu dumy narodowej. Próbowałem w ten sposób wyrazić własną tożsamość, ale wydaje mi się, że moi koledzy zainteresowani byli przede wszystkim smakiem macy.

Zdaje się, że na skutek rozmaitych dywagacji zagubiliśmy tymczasem alfabetyczny porządek dań. Zapraszam więc ponownie do stołu, gdzie z policzkami zaróżowionymi jeszcze po spożyciu gorącej zupy goście wznoszą kolejny ***glezl lechaim*** (kieliszek na zdrowie), po którym nastąpi kulminacyjny punkt biesiady i ciocia Guta okrasi stół kwintesencją jidiszkajt, czyli przyniesie Jego Wysokość ***Czulent mit kiszke***. Tyle że ja, choć głęboko przejęty i wzruszony tą uroczystą chwilą, nie czerpałem z niej kulinarnej przyjemności. A to dlatego, iż moja polska *jidisze mame* w sprawach jedzenia zachowywała daleko idącą ostrożność, a kierowała się przy tym

O *gefilte fisz* nawet zawzięci antysemici mówili z entuzjazmem jako o rybie po żydowsku. Lubiłem słuchać, jak wymawiają słowa „po żydowsku" bez obaw i niechęci.

nienaruszalnymi zasadami dotyczącymi zdrowego żywienia.

Czulent, jak wiadomo, jest potrawą typu złożonego, zawierającą fasolę, kaszę perłową, ziemniaki, jaja oraz, jeśli istniały po temu warunki, kawałek mięsa. Tradycyjnie potrawę tę wkładano do pieca o niskiej temperaturze w piątek po południu, a wyjmowano w porze obiadowej w sobotę (chodziło oczywiście o to, by w sobotę nie zapalać ognia). Według mamy była to potrawa wulgarna i zbyt ciężka dla mojego delikatnego żołądka. Decyzja mamy stanowiła dla mnie świętość. Prawdę mówiąc, nie przepadałem za czulentem, a kiszka, jelito napełnione mieszaniną mąki, tłuszczu i przypraw, wywoływała u mnie mdłości. Ciocia Guta, przygotowana na wszystko, rozwiązywała także i ten problem. Zamiast kiszki zarówno ja, jak i moja koleżanka z przedszkola Ceta otrzymywaliśmy porcję niezwykle smacznych ***kreplech***, tj. smażonych pierogów, nadziewanych mielonym mięsem lub ziemniakami, niekiedy gotowaną kapustą.

Podczas uczty toczyły się gwałtowne dyskusje. Omawiane sprawy były na tyle ciężkie, iż walka z trudnym do strawienia czulentem wydawała się sprawą błahą.

Czulent jest potrawą niełatwą do strawienia i nie wolno go jeść w pośpiechu. Być może dlatego nikt się nigdy przy stole nie spieszył. Należy też zaznaczyć, że – z krótką przerwą na rybę – podczas uczty toczyły się gwałtowne dyskusje. Omawiane sprawy były na tyle ciężkie, iż walka z trudnym do strawienia czulentem wydawała się sprawą błahą. Rozprawiano m.in. o tym, czy Amerykanie zrzucą bombę atomową na Koreę; to znów mówiono o Gomułce, który został aresztowany w Polsce, oraz o Slanskim, który został skazany na śmierć w Czechosłowacji. A wszystko to w jidysz, podniesionym głosem, przy użyciu gwałtownej gestykulacji i sformułowań, które na pozór były wyrażeniami literackimi, a w ustach biesiadników wydawały się przekleństwami: *a szwarce reakcje* (czarna reakcja), *farreters* (zdrajcy), *sonim Izraela* (wrogowie Izraela, wypowiadane z ostrym aszkenazyjskim akcentem, co miało znaczyć – antysemici). Padały też wyrażenia pozytywne typu: *unzere* (nasi, tzn. sowieci), oraz *amchł*, czyli „z naszego narodu – *ex nostris*" itd.

Szczególnie mężczyźni ekscytowali się tymi sporami, jednak kobiety raźnie im sekundowały. Moja mama, a także ciocia Mina i ciocia Tola, będące sekretarzami komórek partyjnych w swoich miejscach pracy, również lubiły uczestniczyć w tych dyskusjach. Żydówki w Polsce w owym czasie, zwłaszcza w środowisku komunistów, były wyemancypowane i bardzo pewne siebie. Przysłuchiwałem się tym rozmowom z zapartym tchem (dlatego nazywano mnie *alte kopf*, czyli „stara głowa") i nawet nie zauważałem, jak tym samym zarażam się na całe życie najniebezpieczniejszym bakcylem – żarem politycznym i zaangażowaniem społecznym.

Dorośli zarazili mnie jeszcze jednym. Czas *redn politik*, tzn. rozprawiania o polityce, ustępował w końcu przy stole czasowi *zingen zmires*, tzn. śpiewania *zmirot* (pieśni chasydzkich). Możliwe, że zmęczenie wywołane biesiadowaniem bądź wypitymi trunkami (zawsze w ilości niezwykle skromnej w porównaniu do naszych polskich sąsiadów) wywierało na towarzystwo taki wpływ. Bardzo lubiłem tę część uczty, ponieważ moi rodzice pięknie śpiewali. Śpiewaliśmy głównie w jidysz, m.in. pieśni chasydzkie, ale proszę pamiętać, że były to utwory przerobione, zaadaptowane przez *epikojres*, czyli ateuszy, i zamiast religijnej treści zawierały zabawne, frywolne teksty.

Wszystko to było przesiąknięte taką dozą *jidiszkajt*, iż wystarczyło mi na całe

życie jako podstawa mojej narodowej tożsamości. Zgromadzone towarzystwo zachowywało się bardzo po żydowsku, tak w mowie gestów, jak i zaangażowaniu politycznym, zawierającym mesjański żar i talmudyczne podejście polegające na wytwarzaniu z każdego problemu *kuszija* (kwestii talmudycznej), rozbijaniu każdej kwestii na co najmniej dwie części i prowadzeniu debaty typu *pilpul* (debaty talmudycznej). Z ich zamiłowania do sporów, a czasem wręcz kłótni, w dochodzeniu do „czystej", nieskażonej prawdy wyniosłem więcej intelektualnego zapału i niekłamanej ciekawości niż z moich uniwersytetów, które przyszły później.

Ale znów oddaliliśmy się od naszego głównego tematu – potraw żydowskich. I tym sposobem możemy stracić deser, **cymes** (słodką potrawę z marchewki i rodzynków) oraz *lekech*, biszkopt, który podawano do herbaty. Cymes poznałem najpierw jako słowo mocno wpisane w język polski. O czymś nadzwyczajnym mówiło się kiedyś: „cymes", albo kiedy przychodziło rozczarowanie, powiadano: „Co ty robisz z tego taki cymes?" A cymes cioci Guty był rzeczywiście arcydziełem i miałem prawo być przekonany, że słowo to jest synonimem doskonałości absolutnej.

Cymes jest też tym dobrym momentem, by pożegnać bohaterów naszej opowieści. Już niebawem wstaną od stołu i rozejdą się do swoich domów. Dla tej resztki narodu uratowanej z wojennej pożogi, a rozproszonej w społeczeństwie, w którym czuli się jednak wyalienowani i osamotnieni, żydowski cymes oznaczał przede wszystkim strawę duchową, zwornik cementujący żydowskie życie towarzyskie. Dzięki niemu mogliśmy ładować baterie swojej *jidiszkajt*, tak rzadkiej i kruchej w Polsce po Holokauście.

Przekład z hebrajskiego:
dr Leopold Sobel

Marta Kubiszyn

Historia lubelskiej rodziny Rosenzweigów

Przeciwwagą dla „Listów do getta", o których piszemy na stronie 28, mogą być kontakty z potomkami lubelskich Żydów, którzy przed wojną wyemigrowali i dzięki temu uniknęli Zagłady.

Jednym z nich jest mieszkający w Dayton w Ohio Kenneth Yale Rosenzweig, który zgodził się udostępnić „Scriptores" historię swojej rodziny oraz zachowane zdjęcia sprzed 1939 roku. Jego przodkowie żyli na Lubelszczyźnie od wielu pokoleń. W prywatnym archiwum rodzinnym zachowała się dokumentacja sięgająca lat czterdziestych XIX wieku. Kenneth Yale Rosenzweig nie mówi po polsku, ale jego ojciec urodził się w Lublinie. Dzięki temu, że jego dziadek Majer Rosenzweig (Rozencwajg) podjął trudną decyzję o emigracji do Ameryki, wierząc, iż czeka go tam dostatnie życie, rodzina uniknęła Zagłady.

Pamięć o polskich i lubelskich korzeniach uległa częściowemu zatarciu. Rosenzweigowie w Ameryce niewiele mówili zarówno o Lublinie, jak i o ponad pięćdziesięciu dwóch członkach rodziny, którzy zginęli w Polsce. W jednym z listów Kenneth pisze jednak, że zaczyna odczuwać potrzebę powrotu do przeszłości: „Zastanawiam się, jakie doświadczenia nabyte w Polsce dały mojej rodzinie umiejętności, wartości i zainteresowania, które potem zdeterminowały jej życie w Ameryce". Być może częściowej odpowiedzi na to pytanie udzieli monografia Lublina, o której piszemy na stronach 47-55. W rodzinie Rosenzweigów zachowały się nieliczne fotografie i dokumenty, jednakże tylko niektóre osoby można zidentyfikować z imienia i nazwiska. Dziadkowie Kennetha mieszkali prawdopodobnie przy skrzyżowaniu ulicy Lubartowskiej z Kowalską. Helena Fiszer, bratanica Pesy Rozencwajg, babki Kennetha, jako jedyna z rodzeństwa chciała w 1923 roku wyjechać do Ameryki. Pozostali również mieli tę możliwość, ale ją odrzucili. Wyjazd z tak pięknego miasta, jakim był Lublin i zrywanie z „wysokiej klasy kulturą" Polski lat dwudziestych uważali za szleństwo.

Udokumentowana historia rodziny zaczyna się 11 marca roku 1842, kiedy to Fajga, żona Wadji Mehltopfa powiła syna, który podczas obrzezania otrzymał imiona Hersz Zajnwel. Hersz poślubił Mariam Libę Klawier, córkę Moszka Klawiera i Rykli Rucheli Fernand, urodzoną 20 lutego 1842 roku w Lublinie. Mariam urodziła ośmioro dzieci, jednakże pięcioro z nich zmarło we wczesnych latach życia. W 1903 roku Pesa, najmłodsza córka Hersza, którą Mariam urodziła w wieku 37 lat, poślubiła młodszego o 2 lata Majera Rozencwajga. Majer, syn pochodzącego z Krasnobrodu Arona i Gitel Rywki Zylberajch z Wąwolnicy, urodził się 8 czerwca 1977 roku na Wieniawie, będącej wówczas małym, podlubelskim osiedlem. Pesa była drugą żoną Majera. Pierwsza, Chaja Sura Wajntraub, zmarła w 1903, prawdopodobnie przy porodzie

drugiego dziecka, osierocając starszą córkę Miriam urodzoną w 1902 roku. Pierwszy syn Majera i Pesy, Moszek Aron, przyszedł na świat w Lublinie w 1905 roku, drugi, Izaak Lejb, dwa lata później. W roku 1907 Majer pozostawiwszy młodą żonę wraz z trójką swoich dzieci pod opieką rodziny, wyemigrował do Ameryki, ale wkrótce wrócił do Lublina, nie mogąc odnaleźć się w zlaicyzowanym środowisku nowego świata. Powrót przyniósł jednak rozczarowanie. Okazało się, że w trudnych warunkach kryzysu gospodarczego Majer nie jest w stanie zarobić na utrzymanie żony i dzieci. W 1909 roku sprzedał cały swój niewielki majątek, ulokował rodzinę w domu teścia i ponownie wyruszył za Ocean, osiedlając się w Houston w Teksasie. Kiedy w lutym 1911 roku dołączyła do niego Pesa wraz z Miriam, Moszkiem Aronem i Izaakiem Lejbem, Rozencwajgowie postanowili zmienić brzmienie swoich imion na bardziej amerykańskie. Majer stał się Meyerem, Pesa – Fanny, Moszek Aron – Morrisem, Izaak Lejb – Eddie Loiusem, zaś Miriam – Mary. Wkrótce na świat przyszły kolejne dzieci: Leon (ur. 1911), Abe (ur. 1912) i Gertrude (ur. 1923). Najstarszy syn Pesy i Majera Moszek Aron (Morris) poślubił młodszą o siedem lat Fredę Meinsten. Pierwszy syn Arnold Harry urodził się w 1936 roku, drugi – Kenneth Yale – w 1943.

Hersz Zajnwel Mehltopf, pradziadek Kennetha Rosenzweiga, urodził się i zmarł w Lublinie.

Skrzyżowanie ulicy Lubartowskiej z Kowalską, przy którym prawdopodobnie mieszkali dziadkowie Kennetha Rozenzweiga. Fot. Stefan Kiełsznia. Z archiwum TNN.

Zdjęcie zrobione już w Ameryce: Meyer (Majer) i Fanny (Pesa) Rosenzweigowie.

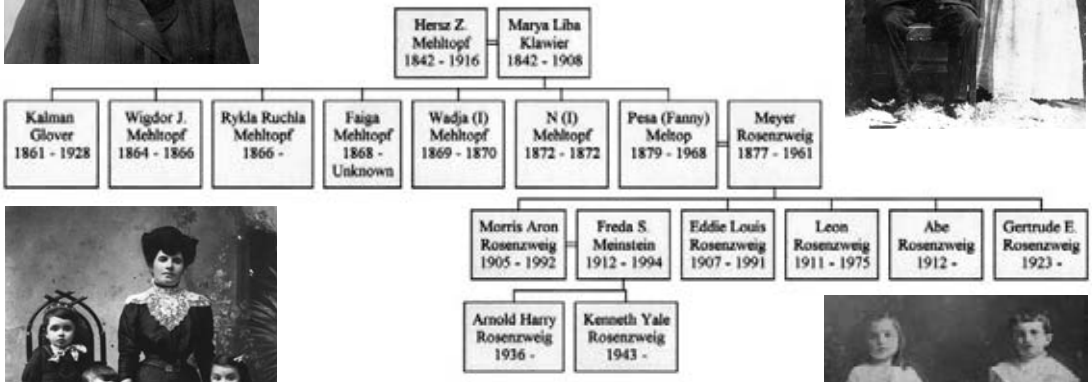

Pesa Mehltopf Rozencwajg, babka Kennetha Rosenzweiga, urodzona w Lublinie, zmarła w Huston. Zdjęcie do paszportu z 1910 roku. Obok niej dwaj synowie: stojący na krześle Izaak Lejb (Eddie) i siedzący z batem w dłoni Moszek Aron (Morris) oraz pasierbica Pesy Miriam (Mary).

Rosenzweigowie: Morris, Eddie (siedzi) i Mary. Zdjęcie prawdopodobnie z 1911roku.

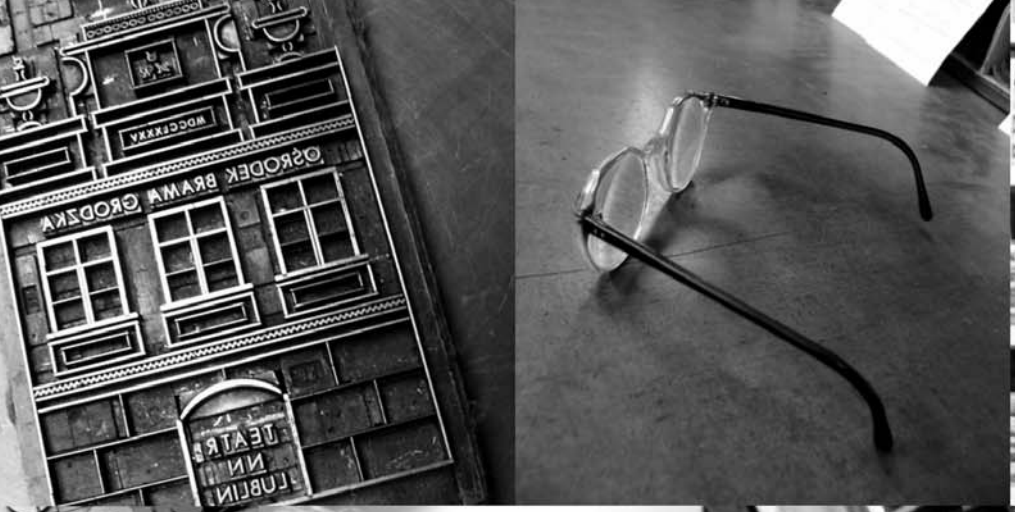

Elementy typograficzne zastosowane w numerze pochodzą z zasobów Oficyny Wydawniczej Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie. Ich opiekunem jest Tadeusz Budynkiewicz (na zdjęciu), lubelski artysta-typografik wykonujący ekslibrisy z gotowych materiałów typograficznych – jedyny w Polsce i jedyny, który pojawia się na międzynarodowych wystawach. Naukę zawodu zecera rozpoczął jako szesnastoletni chłopak w 1945 roku. W 1961 roku wykonał swoje pierwsze ekslibrisy, które od razu spotkały się z zainteresowaniem znawców. Do dziś zrobił ich blisko dwa tysiące. Były wystawiane na piętnastu wystawach indywidualnych i prawie czterystu zbiorowych. Tradycyjna sztuka typografii jest nazywana szlachetną, ponieważ wymaga pracy manualnej i narzuca twórcom ograniczenia, których nie zna komputer (elementy typograficzne mają określony rozmiar i trwałość).

Contents

The current issue of *Scriptores* entitled "On the Paths of Memory" is, as was the previous one, devoted to Jewish Lublin, but seen from a different perspective. The paths of memory are trodden by those who seek scraps of Lublin's Jewish history and try to arrange them into a whole. It is often impossible to separate information gathered in such a way from the person searching for it because the path is a trace left by the traveller. Separate pages scattered throughout the journal are devoted to artistic and educational events constituting the paths of memory of the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre, the publisher of *Scriptores*. As in the previous issue, some texts bear the logo "History-Memory-Reconciliation" that promotes activities bringing Poles and Jews together. The contents of the issue are described in the sections below.

Szeroka Street

In his essay "Terra incognita", Robert Kuwałek, a researcher of the Jewish Lublin, takes us on a tour through time and space along the main street of the Jewish Town, a street as unknown to the present Polish inhabitants of Lublin as it was before 1939: *The legendary splendour of the Jewish district from the times of the old Polish Republic mingled with its grey reality of poor and dilapidated streets*. An appendix containing archival materials about Szeroka Street accompanies the article (including oral testimonies about the street recorded by the publisher).

Lublin in New York

The section opens with a conversation, entitled "History Is Responsibility," with Adina Cimet who speaks about the activities of the YIVO Institute for Jewish Research in New York and about the Educational Program on Yiddish Culture (EPYC) initiated by her. In her description of the EPYC project, Cimet also gives its rational: *Students should be taught to recognise exactly how Jews and Poles lived side by side for hundreds of years. The EPYC hopes to engage students in the study of this history, and also to encourage them to draw parallels to current situations in their own lives, and events throughout the world.* The first stage of the project is devoted to Lublin, because, as we read in extracts from the monograph about the city published in this issue: *Lublin presents a historical microcosm of the Jewish community in Poland. Lublin became centre of commerce, politics, education and culture for Jews. Living arrangements were varied and complex, and were often subject to the vagaries of political power and individual negotiation*. The interview is accompanied by two literary texts presenting times of grandeur and the interwar realities of Jewish Lublin: "A Fair in Lublin" by Shalom Ash and "The Old Lublin" by Samuel Leib Schneiderman.

Language and Them

This section portrays the Jewish community as seen from the perspective of Hebrew and Yiddish languages, which, due to their complex character, are especially helpful for the comprehension of the last century of Jewish history and political as well as social ideas that also influenced Lublin Jews. A great deal of information on the subject may be found in Hillel Halkin's essay, "The Great Jewish Language War" (reprinted from

Commentary): *The Hebrew-Yiddish language war was not fought by writers: it was fought by the ideologues, the politicians, the organizers, the theoreticians, the literary hacks. Nevertheless it had to be fought*. Halkin's views are questioned by Adina Cimet who appeals for a restoration of Yiddish to its proper place in Jewish consciousness as it constitutes a very significant means of preserving Jewish culture: *We are losing parts of our own past by losing this culture*. This section includes fragments of memories concerning language, the article "Cipher" by Marta Grudzińska, familiarizing the reader with Yiddish, and "Ivrit" by Milena Migut about Hebrew.

Paths of Memory

This section is a collection of various texts, each of which may be treated as an example of a separate "path of memory," one of the ways of reaching the past or an attempt to understand it. The section begins with an article by Joanna Zętar summing up our knowledge of the scattered iconography of the Jewish district of Lublin.

In the article "(Un)spoken History" Marta Kubiszyn explains how the term "oral history" should be understood and what its value consists in. This is an edited portion of her PhD dissertation, richly illustrated by examples of oral history items from the archives of the publisher: *The cultural heritage of a place is usually recognized only on the material level, but the memories of people who lived there are its equally important part.*

Barbara Odnous presents a literary synthesis of a few memories from the Jewish Lublin evoking a warm picture of its poorest streets in the short story "An Apple Orchard. Epitaph for the Lublin Ghetto". The protagonist of the story who lives in one of them does not understand Polish just as *he does not understand the singing of a cantor in the synagogue. At home and around everyone speaks "Jewish". So do Antosia and Staś*.

In the article "Lublin Orient" Romuald Dylewski deciphers various shtetlekh against the example of Lublin, drawing on his knowledge of oriental culture. He is a town-planner and the author of, among others, a project of the development of Baghdad: *It took me years to grasp similarities between the culture of the small Jewish towns of my childhood and the culture of the Middle East countries. The meaning of many misunderstood phenomena became clearer to me.*

In "Memories of My Great-Grandmother," Łukasz Jasina, a student of history, law and journalism, reconstructs Jewish Lublin from his great-grandmother's memories and discovers various original mental traits of Lublin citizens of that time: *For my great-grandmother Orthodox Jews were the most religious people in the world, which did not prevent her from calling each non-baptized person "a Jew". [...] Poor Jews were afraid of the Poles who were richer and poor Poles were afraid of wealthy Jews*.

In her article "The Difficult Road to Forgiving" (reprinted from the *Charaktery* magazine), professor of psychology Krystyna Skarżyńska describes the mechanisms of forgiving in a situation when blame is laid on whole nations: *Expecting benefits from the role of a victim is a serious obstacle to forgiving wrongdoers.*

Krawiecka 41

The whole section is devoted to an MA thesis, inspired by the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre, written by Tomasz Czajkowski, a student of political sciences. He reconstructs memories concerning a few buildings in the poorest street of the Jewish Town. The article "Time-Space of Memory" shows the origins of his MA thesis that has led its author to an Israeli kibbutz. After World War I, buildings at Krawiecka 41, occupied previously by a factory, were inhabited by poor people and a few Jewish organizations: kibbutz-hachsbara "Ha Sharon", the Association of Jewish Women and

the "Bonfire" kindergarten run by them, as well as the charity society "Pas Leorchim." Learning about their activities gives us insight into the past, present and future of the Jewish community. The appendix to the section includes a list of important dates in the history of the buildings, documents referring to them and a short guide to the political life of the Jewish Lublin.

In a radio broadcast the author spoke about the idea for the subject of his dissertation: *Why write books about presidents, social activists and not about ordinary people who used to live in a house, or street, about the existence of which most of us has no idea? What is the deeper significance of this? I think to break the silence, restore the history of those people to the history of Lublin. They were mostly poor people, unemployed or ill, or maintained by social welfare. I had no idea that there was such a street as Krawiecka in Lublin. It was something new for me, a real discovery*.

People-Memory-Place

"Lublin Home" is the first chapter of a book by Henryk Grynberg entitled *Memorbuch* dedicated to Adam Bromberg, who was a son of a Lublin entrepreneur. After the war Bromberg was the head of the Polish Academic Publishers. Following his emigration to Sweden in 1970 because of anti-Semitic persecutions, he became the owner of a publishing house that had bought the rights to works of Isaac Bashevis Singer and Czesław Miłosz before they were awarded the Nobel Prize. In "Lublin Home" we meet not only Bromberg, but also his father: *Father believed in the possibility of compromise, even with God. And God agreed to it, because in our family no one ceased to be a Jew, even me*.

Post Scriptum

The section opens with an interview entitled "An Intended Coincidence" with Tomasz Pietrasiewicz, the Director of the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre. In a conversation full of digressions he explains how, in the course of time, the avant-garde NN Theatre became an institution whose activities are inspired by the Grodzka Gate. The latter used to be the place where the Christian and the Jewish Lublin intersected: *We sometimes set out into the world in search of a treasure, not noticing that we have one just at hand*. The theatrical origins of the Centre enable it to look at cultural activities in an unconventional way: *I sometimes think that we are contemporary hurdy-gurdy storytellers who convey the memory about history into the future and who save it through their storytelling*.

The issue closes with the article "My Jewish Dishes" by Yaron (Karol) Becker, for whom Jewish foods are a pretext for amusing digressions about his family based on memories from childhood and youth spent in Poland. Admittedly the text differs from the others because it is not connected with Lublin, but it will certainly leave readers in a good mood: *Gefilte fish was enthusiastically referred to as "Jewish fish" even by bitter anti–Semitists. I liked to hear them pronounce the word "Jewish" without fear and animosities."*

Compact disc with oral history

This issue of "Scriptores" is accompanied by a CD with relations describing Polish-Jewish Lublin and a reportage "Letters to Ghetto" by Mariusz Kamiński from Radio Lublin. The memories were chosen from over 200 relations recorded by the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre since 1998 and are divided into sections: *Jewish Discrict*, *Trade*, *Proffessions*, *Delicacies*, *Language and Education*, *Holy Days*, *Songs*, *Polish-Jewish Relations*, *Memory*. The reportage is devoted to the Centre's action of sending letters to non-existant addressees from the Jewish District.

O wydawcy

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN" jest samorządową instytucją kulturalną działającą w Lublinie na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego i edukacji. W realizowanych programach nawiązuje do symbolicznego i historycznego znaczenia swojej siedziby – Bramy Grodzkiej – będącej dawniej przejściem pomiędzy miastem chrześcijańskim i żydowskim, jak również do położenia Lublina w miejscu spotkania wielu kultur, tradycji i religii.

Teatr NN powstał w 1990 roku. Początkowo jego działalność ukierunkowana była na realizację autorskich przedstawień. Z czasem twórcy Teatru zaczęli otwierać się na inne, pozateatralne i pozaartystyczne przedsięwzięcia o charakterze społecznym i edukacyjnym. Ośrodek odbudował swoją siedzibę, czternastowieczną Bramę Grodzką i przylegające do niej kamienice, co stało się elementem ożywiania i ratowania zniszczonego lubelskiego Starego Miasta. W tym okresie jednym z najważniejszych programów realizowanych w Ośrodku były „Spotkania kultur". Odbywały się prezentacje artystów i środowisk twórczych z Europy Środkowowschodniej i Zachodniej.

W 1998 roku w oparciu o Teatr NN powstał Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN". Trzy osie – pamięć, miejsce, obecność – wyznaczając przestrzenie badawcze i sfery, wokół których rozwijają się działania Ośrodka, dlatego tak ważna stała się w jego pracy pamięć o historii bezpośredniego sąsiedztwa Bramy Grodzkiej – byłej i zapomnianej dzielnicy żydowskiej. Swoje cele Ośrodek realizuje poprzez działania artystyczne, wystawy, spotkania, sesje, promocje książek i czasopism, projekcje filmów, koncerty, działania w przestrzeni publicznej. Od 1998 roku działa internetowa strona placówki, informująca o wszystkich przedsięwzięciach i projektach. Ośrodek prowadzi również działalność wydawniczą. Publikowane są książki, tomiki wierszy oraz pismo „Scriptores". W 1998 roku Ośrodek rozpoczął realizację programu „Wielka księga miasta", w ramach którego zbierane są materiały archiwalne związane z historią polsko-żydowskiego Lublina, takie jak zdjęcia, relacje mówione, dokumenty. W oparciu o te materiały powstała wciąż rozbudowywana wystawa dokumentalna opowiadająca o przedwojennym, dwukulturowym Lublinie. Towarzyszy temu również program edukacyjny poświęcony ocalaniu dziedzictwa lubelskich Żydów.

PROJEKTY ARTYSTYCZNE

W latach 1990-1996 odbyło się pięć premier Teatru NN: *Wędrówki niebieskie*, *Ziemskie pokarmy*, *Inwokacja*, *Zbyt głośna samotność*, *Moby Dick*. W swoich przedstawieniach Teatr NN stworzył własny, oryginalny język teatralny, bliski poetyce snu. Praca z materiałami dokumentalnymi (fotografie, plany, historie mówione) stała się inspiracją do realizacji innego rodzaju przedsięwzięć artystycznych. Znalazły się wśród nich m.in. wystawy dokumentalne tworzące swoisty „teatr pamięci". Wyjątkowe znaczenie mają Misteria Pamięci – działania artystyczne przeprowadzane w przestrzeniach miasta, dotykające ich symbolicznych znaczeń, przywracające im utraconą Pamięć. Zrealizowane dotychczas Misteria to: *Jedna ziemia – dwie świątynie*, *Dzień pięciu modlitw* (w byłym obozie koncentracyjnym na Majdanku), *Misterium ulicy Szerokiej*, *Misterium dzwonu*, *Misterium światła i ciemności* i *Poemat o miejscu*. W sumie wzięło w nich udział kilkanaście tysięcy osób. Innym symbolicznym działaniem przeprowa-

dzanym przez Ośrodek w rocznicę likwidacji lubelskiego getta jest wysyłanie listów zaadresowanych do dawnych mieszkańców nieistniejącego miasta żydowskiego. Jest to próba „dotykania" wielkiej pustki, jaka powstała po zagładzie miasta żydowskiego w Lublinie. W latach 2001-2002 powstał tryptyk *Opowieści chasydzkie* odwołujących się do folkloru żydowskiego. W trzech przedstawieniach: *Był sobie raz...*, *O tym, jak Fajwł szukał samego siebie* i *Taibełe i jej demon* opowiadającemu historie aktorowi towarzyszą kolejno trzej muzycy: akordeonista, kontrabasista i klarnecista.

PROGRAMY EDUKACYJNE

Edukacja kulturalna pełni istotną rolę w programach Ośrodka. Szczególne znaczenia mają projekty związane z edukacją medialną. Ich celem jest nauka świadomego korzystania z propozycji mass mediów oraz wykształcenie umiejętności obrony przed zagrożeniami, jakie niesie życie w globalnej wiosce. Zrealizowano m.in. cykl „Spotkań z dokumentem". Prezentacjom filmów dokumentalnych i reportaży radiowych towarzyszyły spotkaniami z ich twórcami. Od 1999 roku Ośrodek organizuje zajęcia dydaktyczne związane z edukacją wielokulturową dla uczniów, a także szkolenia dla nauczycieli i animatorów kultury. W oparciu o eksponowaną w Ośrodku wystawę dokumentalną *Portret miejsca* została stworzona oferta edukacyjna dla młodzieży szkolnej. Wystawa jest odwiedzana także przez przyjeżdżające do Lublina grupy młodzieży z Niemiec, Izraela i innych krajów. W 2001 roku w Ośrodku odbyła się międzynarodowa konferencja „Edukacja dla pojednania" (zorganizowana we współpracy z Carnegie Council z Nowego Jorku i Uniwersytetem Jagiellońskim). Zainicjowane przez dr Hansa Guggenheima seminarium „Dziedzictwo kulturowe Żydów na Lubelszczyźnie" (współorganizowane z Zakładem Historii i Kultury Żydów UMCS) zaowocowało wydaniem materiałów dla nauczycieli gimnazjów. W 2002 roku Ośrodek rozpoczął nowy regionalny program Zapomniana przeszłość – wielokuturowe tradycje lubelszczyzny, którego głównym efektem stało się stworzenie edukacyjnego portalu *Wirtualna biblioteka Lublina i regionu lubelskiego* zawierającego informacje dotyczące wielorelgijnej i wieloetnicznej historii Lubelszczyzny w postaci tekstów, zdjęć i relacji. Kontynuacją działań będzie projekt poświęcony miasteczkom Lubelszczyzny. Edukacyjny charakter ma także wystawa *Elementarz – życie dzieci na Majdanku*, której towarzyszy dwujęzyczny katalog, strony WWW i scenariusze lekcji.

WIELKA KSIĘGA MIASTA – ARCHIWUM

W ramach realizowanego od 1997 roku programu „Wielka księga miasta" powstaje archiwum materiałów dokumentalnych, takich jak: fotografie, relacje mówione (wywiady z przedwojennymi mieszkańcami miasta), teksty literackie i dokumenty pokazujące codzienne życie przedwojennego Lublina. Informacje o nich zostały udostępnione w portalu edukacyjnym. Zebrane materiały są punktem wyjścia do działań o charakterze artystycznym i edukacyjnym. Powstały m.in. dwie wystawy dokumentalne tworzące aranżację wnętrz siedziby Ośrodka. Forma plastyczna obu wystaw wyrosła z doświadczeń teatru i jest mocno zakorzeniona w teatralnej wyobraźni oraz specyficznym dla teatru języku form. Ważną częścią tego projektu jest *Makieta dawnego lubelskiego zespołu staromiejskiego* w skali 1:250, obejmująca nieistniejącą już dzielnicę żydowską i unaoczniająca skalę zniszczeń dokonanych na organizmie miejskim w czasie II wojny światowej. Dzięki zgromadzonej przez Ośrodek dokumentacji udało się zrekonstruować dawny układ urbanistyczny centrum miasta, odtworzyć przebieg dawnych ulic, usytuowanie placów, przypomnieć charakter zabudowy. W ramach projektu „Dom" gromadzone są informacje o wybranych kamienicach z obszaru dawnego zespołu staromiejskiego. Cho-

dzi tu o uchwycenie historii konkretnego domu zarówno w warstwie dokumentacyjnej (materiały archiwalne), jak też poprzez losy ludzi, którzy tam żyli.

Pion programowy Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN" tworzą:

Historia mówiona – **Marta Kubiszyn** (marta@tnn.lublin.pl)
Marta Grudzińska (martag@tnn.lublin.pl)
Zapomniana przeszłość – wielokulturowe tradycje Lubelszczyzny
Joanna Zętar (asia@tnn.lublin.pl)
Internet – **Krzysztof Wojteczko** (kw@tnn.lublin.pl)
Rafał Sawicki (rafal@tnn.lublin.pl)
„Scriptores" – **Marcin Skrzypek** (marcin@tnn.lublin.pl)
Maria Kowalczyk (maria@tnn.lublin.pl)
Edukacja, „Obyczaje" – **Grzegorz Żuk** (gzuk@tnn.lublin.pl)
Archiwum fotografii – **Beata Markiewicz** (beata@tnn.lublin.pl.),
Agnieszka Wiśniewska (agnieszka@tnn.lublin.pl)
Archiwum zakładowe – **Marzena Baum** (marzena@tn.lublin.pl)
Pracownia audiowizualna – **Piotr Sztajdel** (piotrek@tnn.lublin.pl)
Witold Dąbrowski – wicedyrektor (witek@tnn.lublin.pl)
Tomasz Pietrasiewicz – dyrektor Ośrodka, kierownik artystyczny Teatru NN, (tomek@tnn.lublin.pl)

About the "Grodzka Gate – NN Theatre" Centre, the publisher of "Scriptores"

The Centre is an independen cultural institution engaged in fostering an awareness of Lublin's rich multicultural history and at developing a deeper sense of local identity and tolerance for other cultures. In its activities the Centre refers to the symbolic and historical significance of its residence – the Grodzka Gate – which was once a passage from the Christian to the Jewish part of the city, as well as to the locality of Lublin as a place where various cultures, traditions and religions once met. The space of the Centre's activities is created by the axes: Memory, Place, Presence – restoring the Memory of the Place to extend our Presence there.

The NN Theatre (from Latin nomen nescio, "name unknown") was founded in 1990. Initially its activities focused on theatrical performances, but gradually its creators realised the historical significance of its location and the richness of Lublin's past. They started to open up to other types of activities such as social, cultural and educational initiatives. The Centre restored its residence, the 14th century Grodzka Gate and the adjoining houses, bringing back to life an important part of Lublin's neglected Old Town. One of the most important programmes run at that time was called "Encounters of Cultures", where artists from Western and East Central Europe performed and presented their work. Since then the activities of the Centre have been focused on reviving the memory of Lublin's Jewish section. The Centre achieves this aim through artistic activities, exhibitions, interactive meetings, film screenings, concerts, outdoor events, promotion of books and magazines and its own publications (books, *Scriptores*). Since 1998 information about all these activites can found on web sites. In 1998 the Centre started its programme "The Great Book of the City". Within this framework archival materials connected with the history of Polish-Jewish Lublin, such as photographs, oral testimonies and documents are

collected. Some of these materials have been assembled into a documentary exhibition of two-cultural Lublin.

ARTISTIC PROJECTS

In the years 1990-1996 five premieres of the NN Theatre took place: *Heavenly Wanderings*, *Earthly Foods*, *Invocation*, *Too Loud a Solitude* and *Moby Dick*. In its performances the NN Theatre has created an original theatrical language which is close to a dream poetics. Working on documentary materials (photographs, maps, oral testimonies) has become an inspiration for undertaking artistic activities of other kinds. Among others, those included documentary exhibitions forming a specific "theatre of memory". Exceptional significance is given to "Memory Mysteries" – artistic activities taking place in the city's spaces, connected with their symbolic meaning directed at restoring their lost past. The Mysteries which have been realised so far include: *One World – Two Temples*, *Day of Five Prayers* (in the former concentration camp in Majdanek near Lublin), *Mystery of the Szeroka Street*, *Mystery of the Bell* and *Mystery of Light and Darkness* and *Poem of the Place*. Altogether several thousand people took part in those events. Another project with symbolic meaning was undertaken by the Centre on the anniversary of the liquidation of the Lublin ghetto by sending letters addressed to former inhabitants of the non-existent Jewish town. It is an attempt to "touch" the vast emptiness which came into being after the extermination of the Jews of Lublin. In the years 2001-2002 the triptych of *Chassidic Stories* referring to Jewish folklore and partly based on Isaac Bashevis Singer's fiction was created. In three plays: *Once Upon a Time There Was...*, *How Feivel Was Looking for Himself* and *Taibele and Her Demon*, an actor telling a story is consecutively accompanied by an accordionist, a bassist and a clarinettist.

EDUCATIONAL PROGRAMMES

From the very beginning, cultural education played an important role in the NN Theatre's programmes. Projects connected with media education became increasingly important. Their aim was to teach how to use modern media consciously and critically, how to reach the sources of information and how to prepare oneself for the challenges accompanying life in the global village. Within the framework of that programme, among others, a series "Encounters with Documentaries" was organised. It consisted in screenings of documentary films and presentations of radio broadcasts as well as in holding meetings with their authors. Since 1999 the Centre has been organising classes for students in the realm of multicultural education as well as workshops for teachers and cultural leaders. The basis of these initiatives is a documentary exhibition of the Centre's materials called *A Portrait of the Place*. The exhibition has been visited by young people from around the world including Germany and Israel. In 2001 in co-operation with the Carnegie Council (New York) and Jagiellonian University (Cracow) the Centre organised an international conference "Education for Reconciliation". In the same year the Centre held the seminar on the cultural heritage of Jews in the Lublin region, initiated by Dr. Hans Guggenheim from Boston and co-organized with the Center for Jewish Studies at Maria Curie-Skłodowska University in Lublin, resulted in the publication of materials for school teachers. In 2002 the Centre launched a new regional project: "Forgotten Past – Multicultural Traditions of the Lublin Region," whose most important result is an educational Internet portal *A Virtual Library of Lublin and the Lublin region* (www.tnn.lublin.pl). The latter contains information regarding the multi-faith and multiethnic history of the Lublin

region in the form of texts, photographs and personal accounts. The activities will be continued by a project devoted to small towns of the Lublin region. Another educational project consisted of the exhibition *A Primer: The Life of Children at Majdanek* accompanied by a bilingual catalogue, web site and lesson plans.

"THE GREAT BOOK OF THE CITY" ARCHIVES

Within the framework of a programme called "The Great Book of the City", ongoing since 1997, an archive of documentary materials was created and is constantly developed (www.tnn.lublin.pl). The materials include oral testimonies (interviews with pre-war citizens), literary texts, documents showing everyday life of pre-war Lublin. They serve as a basis for artistic and educational activities. Among others, two documentary exhibitions serving as the interior arrangement of the Centre have been organised. The artistic form of those exhibitions has developed from the experience of the theatre and is strongly rooted in the theatrical imagination and expression. An important part of the exhibition is a model of the pre-war Old Town District decreased to the scale of 1:250, encompassing the non-existent Jewish town. The model emphasises the scope of destruction caused by World War II. The collected documentation allowed us to reconstruct the old structure of the town's centre, to recreate non-existent streets or squares, and to give viewers an idea of the character of the buildings. Some houses or premises are documented in a particularly detailed way to capture the history of specific buildings through archival materials as well as through the history of the people who lived there.

Programme workers of the „Grodzka Gate – NN Theatre" Centre:

Oral History – **Marta Kubiszyn** (marta@tnn.lublin.pl)
Marta Grudzińska (martag@tnn.lublin.pl)
Forgotten Past – Multicultural Traditions of the Lublin Region
Joanna Zętar (asia@tnn.lublin.pl)
Internet – **Krzysztof Wojteczko** (kw@tnn.lublin.pl)
Rafał Sawicki (rafal@tnn.lublin.pl)
Scriptores – **Marcin Skrzypek** (marcin@tnn.lublin.pl)
Maria Kowalczyk (maria@tnn.lublin.pl)
Education, *Obyczaje* magazine – **Grzegorz Żuk** (gzuk@tnn.lublin.pl)
Photography Archive – **Beata Markiewicz** (beata@tnn.lublin.pl.),
Agnieszka Wiśniewska (agnieszka@tnn.lublin.pl)
The Center's Archive – **Marzena Baum** (marzena@tn.lublin.pl)
Audiovisual Studio – **Piotr Sztajdel** (piotrek@tnn.lublin.pl)
Witold Dąbrowski – vice direktor (witek@tnn.lublin.pl)
Tomasz Pietrasiewicz – direktor of the Center, artistic director
of the NN Theatre, (tomek@tnn.lublin.pl)

Contact and address:

Ośrodek "Brama Grodzka – Teatr NN"
20-112 Lublin, Grodzka 21, Poland
(48-81) 532-58-67, fax. 534-61-10
teatrnn@tnn.lublin.pl
www.tnn.lublin.pl